

PISMA ŚWIĘTEJ TERESY.

T O M   D R U G I .

I M P R I M A T U R.

Varsaviae die 10 Aprilis 1898 anno.

† Vincentius.

Secretarius

*J. Podbielski.*

№ 3344.

О Д О Б Р Е Н О.

Варшава 13/25 Августа 1898 года.

Ассессоръ Варшав. Р.-К. Духовной Консисто́рии

**Ес. Чаковскій.**

Секретарь

*Ес. Подбельскій.*

27 179 1

P I S M A  
ŚWIĘTEJ TERESY.



KSIĘGA SPRAWOZDAŃ DUCHOWNYCH,  
KSIĘGA FUNDACYI.

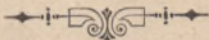
PRZEŁOŻYŁ

Z HISZPAŃSKIEGO

Biskup Henryk Piotr Kossowski.

TOM DRUGI.

Z rysunkiem wszystkich fundacji św. Teresy.



*Severyna & Hensnerow Henrykowa*  
*Paradziwnik* WARSZAWA.  
*908*

Nakładem „Przeglądu Katolickiego”,  
ulica Nowy Świat № 39.

1899.

Дозволено Цензурою.  
Варшава 18 Августа 1898 года.



670268

---

Warszawa.—W drukarni F. Czerwińskiego, ulica Nowy Świat N. 36.

W. 156/92

KSIĘGA

SPRAWOZDAŃ DUCHOWNYCH.




# ŚWIĘTEJ TERESY

SPRAWOZDANIA DUCHOWNE DLA SPOWIEDNIKÓW SWOICH.

---

## UWAGI WSTĘPNE.

 Na końcu księgi *Życia* św. Teresy, Brat Ludwik z Leonu, współczesny Świętej i pierwszy wydawca jej pism, zamieścił p. t. *Dodatków (Adiciones)* zbiór urywków biograficznych, spisanych na luźnych, bez związku chronologicznego kartach, na których Święta własnoręcznie, bądź dla własnej pamięci, bądź dla wiadomości spowiedników swoich, notowała różne, w księdze *Życia* nie wspomniane łaski i objawienia, jakie otrzymywała od Boga. Dodatki te, z pierwotnego wydania przeszły do następnych, jak również i do tłumaczeń na obce języki; Bouix także w swym klasycznym przekładzie francuskim dzieł św. Teresy podaje je bez zmiany. Autentyczność tych urywków żadnej nie podlega wątpliwości; ale również rzecz pewna, że ich pozostało dużo więcej, niż Brat Leon pod powyższym tytułem wydał. Klasztory karmelitek w Awili i w Toledzie do niedawna posiadały, i może dotąd posiadają, dwa, z nieznaczniemi odmianami, równobrzmiące rękopisy z końca XVI czy z początku XVII stulecia, jeszcze w końcu przeszłego wieku z rozkazu Generała karmelitów bosych, przez wyznaczoną w tym celu komisyję najściślej przejrzone, między sobą porównane i sprawdzone, pod tytułem: „Sprawozdania duchowne świętej Matki naszej, i Dodatki do życia jej, obfitsze od ogło-

szonych drukiem"—*Relaciones del Espiritu de N. S-a M-e y Adiciones a su Vida, mas copiosas que las impresas*, w których obok dwudziestu urywków przez Br. Leona wydanych, znajduje się jeszcze czterdzieści innych, takiejże treści, bądź własnoręcznych, bądź z oryginału przepisanych, widocznie jeszcze za życia Świętej, albo wkrótce po jej śmierci, przez pobożną córkę jej troskliwość i miłość zebranych. Urywki te po części błakają się w wydaniach zbiorowych dzieł św. Teresy, rozrzucone w różnych miejscach, bądź między „Przestrogami”—*Avissos*, bądź między Listami—*cartas*, po części dotąd były niewydane. Prócz tego, między Listami Świętej, jak je pierwotnie ułożył i wydał wiel. Palafox, znajdują się mylnie zamieszczone cztery, nie listy, ale obszernie sprawozdania dla spowiedników, które samaż Święta zowie *Relaciones*: jedno, podane w tomie IV, jako List 11-sty, nie adresowane do nikogo, ale prawdopodobnie napisane dla św. Piotra z Alkantary; drugie (w tymże tomie, List 12-ty), dla niewiadomego spowiednika, może dla o. Piotra Ybanez; wreszcie dwa (List 18-sty i 19-ty) skierowane do o. Rodryka Alvarez, zawierające, zwłaszcza pierwsze, treściwy opis jej życia, w niektórych szczegółach dokładniejszy nawet od samegoż *Życia*, w którym Święta nikogo, prócz Ś. Piotra z Alkantary i św. Franciszka Borgiasza, nie wskazuje po imieniu, tu zaś wymienia nazwiska około dwudziestu duchownych, z którymi w przejściach swoich wewnętrznych miała do czynienia. Słusznie więc uczony układacz wzorowo krytycznego wydania, na którym niniejszy przekład się opiera, zamierzył to zamieszanie przyprowadzić do ładu, i te *disjecta membra* w jedną całość zebrać; zaczem i one urywki i te cztery Relacye, w logicznym i chronologicznym, o ile to było możliwem, porządku ułożywszy, utworzył z nich niniejszą księgę *Duchownych sprawozdań*, składającą się z następujących dziesięciu części czyli rozdziałów:



1. Sprawozdanie św. Teresy do św. Piotra z Alkantary, o sposobie modlitwy i stanie duszy swojej, pisane r. 1560.

2. Sprawozdanie do o. Ybanez, czy innego spowiednika swego, dalszy ciąg poprzedniego; pisane w dziewięć miesięcy później.

3. Sprawozdanie o różnych objawieniach i łaskach, otrzymanych od Boga, od r. 1568 do 1571 włącznie; sprawozdanie to prawie całe ogłosił Br. Ludwik z Leonu na końcu *Życia*, pod tytułem: *Dodatki (Adiciones)*; łaski w niem opisane odnoszą się przeważnie do r. 1571, w czasie przełożęństwa Świętej w klasztorze Wcielenia w Awili. W rękopisie Awilańskim obejmuje ono pierwsze 19 artykułów czy paragrafów.

4. Sprawozdanie o łaskach jakie otrzymała w klasztorze Salmantyceńskim, w Wielkim poście, w wielkim tygodniu i na Wielkanoc r. 1571. Rękopis awilański podaje to sprawozdanie w paragrafach 20, 21 i 22. Brat Ludwik wciągnął je także do *Dodatków* swoich, ale skrócone i ze zmianami.

5. Sprawozdanie czy uwagi o różnych punktach życia duchownego, o których pisała, albo pisać zamierzała w dziełach swoich. Sprawozdanie to datuje najpewniej z tegoż czasu, co i poprzednie, pod N. 4. W rękopisie awilańskim znajduje się ono w paragrafach 24—27 i 31—34 włącznie. W paragrafach pośrednich, 28, 29 i 30, Święta mówi o innej zupełnie materji, niewłaściwie tu wtrąconej i związek rzeczy przerywającej. Z tego powodu, w niniejszem wydaniu, trzy te paragrafy zamieszcza się poniżej, jako odrębne sprawozdanie. Zawartość powyższych sześciu paragrafów zamieszczona była po części w zbiorowem wydaniu dzieł św. Teresy, w tomie VI, jako urywek 86-ty.

6. Sprawozdanie o powodach, jakie ją skłoniły do ślubowania posłuszeństwa ojcu Gracjan, w r. 1575. Sprawozdanie to, spisane na luźnej karcie, w rękopisie toletańskim zostało za-

mieszczono na samym końcu. W rękopisie awilańskim zajmuje ono paragrafy 28 i 29, przerywając, jak powiedziano wyżej, wątek rzeczy w poprzednim sprawozdaniu zawartych.

7. Sprawozdanie do o. Rodryka Alvarez, z treściwym opisem życia swego od chwili wstąpienia do klasztoru, i z wymienieniem różnych, jakich w tym czasie miała, przewodników duchownych, aż do r. 1575, daty skreślenia tego sprawozdania.

8. Sprawozdanie do tegoż ojca, o modlitwie i innych sprawach wewnętrznych, pisane w Sewilli, r. 1575.

9. Sprawozdanie w wysokim stopniu zajmujące o wszystkich objawieniach i łaskach, jakie otrzymała w r. 1576 i 1577, w czasie pobytu swego w Toledzie i w Awili. Sprawozdanie to obejmuje paragrafy 35—60 włącznie rękopisu awilańskiego. Niektóre z objawień w niem opisanych były dotąd niewydane.

10. Objawienie użyczone Świętej w pustelni nazaretańskiej w Awili, r. 1579, o sposobie rządzenia zakonem, ogłoszone także przez brata Ludwika z Leonu. W rękopisie awilańskim stanowi ono paragraf 30-ty.

Mamy więc w tych dziesięciu Sprawozdaniach treściwe przedstawienie życia wewnętrznego, a po części i zewnętrznego, św. Teresy, w latach 1568—1579, to jest w przeciągu jedenastu lat. Dane w nich zawarte odpowiadają po części *Życiu*, czyli jak Święta je zwała, księdze **Wielmożności Pańskich**, po części zaś księdze *Fundacyi*, to jest przejściom jej zewnętrznym. Uzupełniając zatem obie te księgi, i cechy znamienne obu na sobie nosząc, słusznie w niniejszem wydaniu na tem miejscu się kładą, między księgą *Życia* a księgą *Fundacyi*, jako przejście od jednej do drugiej.

---

# KSIĘGA SPRAWOZDAŃ.

---

## SPRAWOZDANIE. I

Do św. Piotra z Alkantary, założyciela Braci Bosych świętego o. Franciszka.  
Przedstawia mu stan swej duszy i sposób swój zachowywania się na  
modlitwie. Pisane roku 1560 w klasztorze Wcielenia.

J E Z U S.

Sposób, w jaki obecnie odbywam modlitwę wewnętrzną, jest następujący. Rzadko się zdarza, bym znajdując się na rozmyślaniu, zdołała rozważać rozumem; zaraz od pierwszej chwili wszczyną się zebranie wewnętrzne, i dusza wpada w stan odroczenia albo zachwycenia, tak iż z władz i zmysłów żadnego nie mogę czynić użytku; tyle tylko że słyszę, a i tego co słyszę, nie rozumiem i do niczego więcej nie jestem zdolna.

Często tak bywa, że gdy nie mam zgoła zamiaru myśleć o rzeczach Bożych, gdy owszem zajęta jestem rzeczami obcemi, gdy nawet zdaje mi się w danym razie, że jakkolwiekbym usiłowała zdobyć się na modlitwę wewnętrzną, nie mogłabym, z powodu wielkiej, jaką czuję, oschłości wewnętrznej, do czego jeszcze przyczyniają się i cierpienia moje na ciele: tak nagle i z taką niepowstrzymaną siłą przychodzi na mnie to zebranie i podniesienie ducha, że oprzeć mu się niepodobna, i w jednej chwili czuję w sobie skutki i pożytki duchowne, jakie ono za sobą prowadzi. I to bez żadnego widzenia, któreby mi się zjawiało, bez żadnej mowy, którąbym usłyszała, ani sama nie wiedząc co się ze mną dzieje; tylko to jedno widzę i czuję, że dusza moja, w chwili gdy zdawało mi się, że gubi się i ustaje,

takiemi nagle napełnia się zyskami niebieskimi, iż choćbym rok cały z wszystkich sił moich starała się o pozyskanie ich, nie sądzę bym zdołała nabyć ich tyle i takich, ile ich w tej jednej chwili bez żadnej pracy w sobie obecnych doznaję.

Innemi razy przychodzą na mnie wielkie potężne zapały, z takim tęsknem mdleniem i ustawaniem za Bogiem, że prawie odchodzę od siebie; zdaje mi się, że życie we mnie ustaje, i zarazem poniewolnie muszę krzyczeć i wołać do Boga, taka jest niepowstrzymana gwałtowność tego zapału. Czasem nie mogę usiedzieć na miejscu, jak kiedy mię torsye porywają; i cierpienie to przychodzi mi bez żadnego z mojej strony przyczynienia się, a taki to rodzaj cierpienia, że dusza nigdyby już nie chciała wyjść z niego, póki żyje. Pochodzi ono z nieugaszonego, jakie w sobie czuję, pragnienia, bym mogła już nie żyć, i z tej świadomości że żyję, i nie mam na to lekarstwa; bo jedynem na to lekarstwem byłoby widzenie Boga, a jedynym sposobem aby widzieć Boga, jest śmierć, a śmierci sobie sama dać nie mogę; i w tym stanie zdaje się duszy mojej, że wszyscy wkoło niej są najszczęśliwsi, tylko ona nie, i wszyscy mają lekarstwo na cierpienia swoje, tylko ona nie. Jest to męka tak dojmująca, że gdyby Pan jej nie zaradził, zsyłając jakie zachwycenie, od którego wszystko się ucisza, i dusza napełnia się wielkiem uspokojeniem i uszczęśliwieniem, czy to, jak bywa niekiedy, widząc poniekąd to czego pragnie, czy znowu w innych zdarzeniach słysząc mowy i objawienia niebieskie, bez takich nadzwyczajnych pomocy od Boga niepodobna byłoby przenieść tę mękę.

Czasem znowu powstają we mnie nieopisane pragnienia służenia Bogu, z porywami tak gwałtownymi, że nie staję mi słów na wyrażenie ich siły, a przytem z żalem i bólem, że tak na nic się nie zdam. W takich chwilach zdaje mi się, że nie masz takiego trudu czy utrapienia, ani takiej przeszkody czy przeciwności, choćby to była śmierć, choćby to było męczeństwo, którychbym nie zniosła z łatwością. I to również przychodzi bez uprzedniego zastanowienia; przychodzi nagle, w jednej chwili, i całą mię wstrząsa, ani wiem skąd taka we mnie siła się bierze. Chciałabym wtedy, zdaje mi się, wołać na cały

głos, aby wszyscy mię usłyszeli i zrozumieli, jak wiele im na tem zależy, by nie poprzestawali w służbie Bożej na byle czem, i jak wielkie jest dobro, które Bóg nam da, jeśli my uczynimy się do przyjęcia go sposobnymi. Taka jest, mówię, potężność tych pragnień, że sama w sobie szarpie się i udręczam, widząc że pożądam tego, czego dokazać nie mogę. Zdaje mi się wówczas, że to tylko ciało krępuje mię i więzi, iż nie jestem zdolną w niczem usłużyć Bogu i stanowi memu; bo gdyby nie ono, czyniłabym rzeczy wielkie i znakomite, ileby mi sił na to stało; i tak widząc siebie pozbawioną wszelkiej możności służenia Bogu, taki z tego powodu cierpię ból, że go i wyrazić nie zdolam; aż w końcu, po tem wszystkim, przychodzą słodkości duchowne, i zebranie i pocieszenie w Bogu.

Niekiedy, wśród tych żądz i zapałów do służby Bożej, zdarzało mi się, że chciałam zadawać sobie pokuty, ale nie mogę. Wielkąby mi to przyniosło ulgę, i w rzeczy samej ulgę i pociechę mam z tych, które sobie zadaję, choć są one prawie niczem, skutkiem niedołęstwa ciała mego; wszakże, gdyby ono na to pozwalało, przy tych żądzach jakie mam, sądzę, że przebrałabym miarę.

Nieraz wielką mi przykreść sprawia konieczność rozmawiania z ludźmi, i tak mię ta konieczność martwi, że gorzkie łzy nad nią wylewam, bo jedynem pragnieniem mojem jest samotność; i chociaż będąc sama, nie zawsze się modłę, albo czytam, sama przecie samotność jest dla mnie pociechą. Rozmowa, przeciwnie, szczególnie z krewnymi i powinowatymi, ciąży mi, i jestem między nimi jakby nie swoja, z wyjątkiem tylko tych, z którymi mogę mówić o rzeczach wewnętrznych i potrzebach duszy; z takimi rada i ochotnie rozmawiam; chociaż czasem i oni mi się przykrzą, i wolałabym nie widzieć ich i pozostać sama; ale to rzadko się zdarza. Szczególnie też rozmowa z tymi, przed którymi sumienie moje otwieram, zawsze jest dla mnie pociechą.

Potrzeba jedzenia i spania bardzo mi nieraz jest przykrą, zwłaszcza teraz, gdy widzę, że więcej niż drudzy obyć się bez tego nie mogę. Czynię to dla spełnienia woli Bożej, i Jemu też to ofiaruję. Czas zawsze mi się wydaje krótki, i zawsze mi go

mało do modlitwy; bo zostawać samej, choćby najdłużej, nigdy mi się nie sprzykrzy. Zawsze pragnę mieć czas na czytanie, bo bardzo je zawsze lubiłam. Czytam jednak bardzo mało, na-przód dla tego, że w chwili gdy wezmę książkę do ręki, skupiam się w sobie z wewnętrznego zadowolenienia, i tak czytanie zamienia się w modlitwę; a potem trwa to zawsze bardzo krótko, bo mam dużo zajęć, które, choć dobre, nie sprawuje mi przecie tego zadowolenienia, jakie sprawiałoby tamto. Tak więc wciąż wzdycham za czasem swobodnym, i stąd to, zdaje mi się, pochodzi, że wszystko co robię, wydaje mi się niesmacznem, bo widzę, że nie robię tego, co bym robić chciała i pragnęła.

Wszystkie te dobre żądze, wraz z pomnożeniem cnoty, dał mi Pan od czasu, jak mi użyczył tej modlitwy odpocznienia, połączonej z onemi zachwyceniami; od tego czasu taki znajduję w sobie postęp ku lepszemu, że poprzednie życie moje wydaje mi się jakby stanem zatracenia. Zachwycenia te i widzenia wielkie we mnie sprawują pożytki, jak je tu zaraz opiszę; twierdzą bez wahania, że jeśli jest we mnie co dobrego, nie skądinąd mi to przyszło, jedno z tego źródła.

Stąd powstała we mnie mocna wola i niezachwiane postanowienie, nigdy w niczem nie obrazić Boga, ani grzechem powszednim, i raczej tysiąc razy umrzeć, niż bym miała świadomie i z zastanowieniem taką rzecz uczynić. Stąd postanowienie, że cokolwiek uznam być doskonalszem i z większą chwałą Bożą, zwłaszcza gdy ten, który ma pieczęć o mnie i mną rządzi powie mi bym to uczyniła, jakkolwiekby mi to było przykrem i trudnem, za żadne skarby świata uczynić tego nie zaniecham; i gdybym inaczej postąpiła, jużbym nie miała śmiałości prosić Pana o żadną łaskę, ani stanąć przed Nim na modlitwę; choć mimo to wszystko, wiele jeszcze popełniam błędów i niedoskonałości. Stąd także posłuszeństwo temu, który mię spowiada, jakkolwiek niedoskonałe; wszakże co rozumiem że odemnie żąda albo mi zaleca, tego, według rozumienia mego, spełnić nie zaniedbam; i gdybym zaniedbała, poczytywałabym to sobie za wielki błąd.

Stąd jeszcze pragnienie ubóstwa, choć nie bez niedoskonałości; ale choćbym miała skarby wielkie, nie chciałabym,

zdaje mi się, pobierać z nich dochodów, ani trzymać pieniędzy ukrytych do własnego użytku; zupełnie o to nie dbam, i niczego nie pragnę nad ścisłą potrzebę. Z tem wszystkiem jednak czuję to, że wiele mi jeszcze nie dostaje do doskonałości w tej encocie; bo jakkolwiek niczego nie pragnę posiadać dla siebie, pragnęłabym przecie mieć z czego dawać drugim; dochodów tylko mieć nie chcę, ani żadnej rzeczy na własność.

Z każdego prawie widzenia jakie miałam, odniosłam pożytek i postęp ku lepszemu; jeśli wszakże nie jest to oszukanie dyabelskie, w czem zdają się na spowiedników moich.

Ile razy nasunie mi się co pięknego albo okazałego: wody, błonia, kwiaty, zapachy, muzyka i t. p., nie chciałabym, zdaje mi się, widzieć tego ani słyszeć; tak daleko wszystkim tym pięknościom do tego, co oglądać zwykłam! Zatem i wszelka do nich ochota mię odchodzi. Do takiej skutkiem tego doszłam obojętności względem tych rzeczy, że z wyjątkiem chyba pierwszego, mimowolnego poruszenia, żadnego one na mnie wrażenia nie robią; wszystko to w oczach moich jakby gnój i śmiecie.

Gdy wypada mi z konieczności przestawać i rozmawiać z ludźmi światowymi, chociażby o rzeczach życia wewnętrznego, chociażby sposobem rekreacyi, jeśli rozmowa się przeciąga nad konieczną potrzebę, muszę sobie gwałt zadawać, tak wielką mi to przykreść sprawa.

Wesołe zabawy i inne rozrywki światowe, które dawniej lubiłam, dziś mi są wstrętne i patrzeć na nie nie mogę.

Pragnienia te miłowania Boga i oglądania Go, które jak mówiłam, miewam, nie powstają za pomocą pobożnych rozważań, jakim oddawałam się dawniej, kiedy mi się zdawało że jestem bardzo pobożną, i moc łez wylewałam; ale taki w nich płonie zapal i żar nadmierny, że gdyby Bóg, jak już mówiłam, nie zaradził, zsyłając zachwycenie, przez co dusza, jak mnie mam, się ucisza i znajduje zaspokojenie, rychłoby sądzę od tej nawały życie ustało.

Gdy spotkam duszę wyżej stojącą w doskonałości, mocną w takich, jak mówiłam postanowieniach, oderwaną od rzeczy ziemskich, odważną i mężną, bardzo mię taka chwyta za serce, pragnęłabym z nią obcować, pewna że miałabym z niej pomoc

i pożytek. Dusze bojaźliwe przeciwnie, gdy widzę je ostrożnie ślaniające się po takich tylko rzeczach, które ziemski rozsądek uznaje za możliwe, przykre mi sprawują uczucie, i mimowolnie przeciw nim odwołuję się do Boga i do Świętych, którzy właśnie takie rzeczy, wydające się nam dzisiaj tak straszne i niepodobne, czynili. Nie iżbym sama poczytywała siebie za zdolną do czego, ale mam to przekonanie, że tych, którzy dla miłości Boga zdobywają się na wielkie rzeczy, Bóg łaską swoją wspomaga, i nigdy nie zawiedzie tego, kto w Nim samym ufność swą położy; zaczem też radabym znaleźć jak najwięcej takich, którymby mogła udzielić tego przekonania mego, którzyby nie troszczyli się o to, co będą jeść i czem się przyodziewać, ale wszystką troskę swoją zdali na Boga.

Nie znaczy to, bym w taki sposób zdawała na Boga troskę o rzeczy potrzebne, iżbym sama nie starała się o nie; staram się o nie, ale bez troski, takiej troski, mówię, któraby mi swobodę wewnętrzną zakłócała. I od czasu jak mi Pan użytył tej swobody, dobrze mi jest z tem, i staram się ile mogę zapomnieć o sobie; niema jeszcze roku, zdaje mi się, jak mi Pan dał tę łaskę.

Do próżnej chwały, o ile znam siebie i rozumiem, nie mam chwała Bogu żadnego powodu; bo jasno widzę, że w tych rzeczach, które mam od Boga, nic nie masz mojego. Owszem, Bóg daje mi żywe uczucie nędz moich; i z wszelkiem, na jakieby się zdobyć mogła zastanawianiem się i rozmyślaniem, nie zdołałabym, sądzę, dojrzeć tylu prawd, ile ich w jednej chwili poznaję.

Gdy mówię o tych rzeczach, jak to musiałam uczynić kilka dni temu, zdaje mi się, że mówię o kim innym. Przedtem nieraz jakobym wstydzila się, że te rzeczy, które dzieją się we mnie, doszły do wiadomości drugich; ale teraz rozumiem, że przez nie w niczem nie jestem lepszą, że owszem jestem gorsza, tak wielkie łaski biorąc, a tak mały z nich czyniąc pożytek. Szczerze mówię, nie było, w przekonaniu mojem, i nie masz na całym świecie istoty pod każdym względem gorszej odemnie; cnoty drugich, przekonana jestem, daleko większą mają zasługę; ja nic nie robię, tylko biorę łaski; i to co mnie



Bóg raczy dawać tutaj, to snąć dla drugich chowa w dodatku; zaczem i błagam Go, by nie dopuszczał tego, bym nagrodę moję miała odnieść w tem życiu; i snąć dlatego Bóg prowadzi mię tą drogą słodkości i łask nadzwyczajnych, że niedołęzna i grzeszna nie zniosłabym innej.

Na modlitwie, i w każdym niemal, na jakie się zdobędę, choć krótkiem rozmyślaniu, nie potrafię, jakkolwiekby się o to starała, pragnąć ulg i pociech, i Boga o nie prosić; bo widzę, że Jego życie całe było jednym cierpieniem i męką; więc i dla siebie proszę Go, aby mi dawał cierpienia, używszy naprzód łaski do znoszenia ich.

Wszystkie tego rodzaju rzeczy i łaski bardzo wysokiej doskonałości wrażają mi się do duszy, o ile rozumiem, na modlitwie wewnętrznej, tak iż sama sobie się dziwię i zdumiewam, iż widzę tyle tak wysokich prawd, a tak jasnych, że w obec nich rzeczy tego świata wydają mi się czczą marą i głupstwem; i trudno mi zrozumieć samą siebie, gdy wspomnę, jak dawniej zachowywałam się względem tych rzeczy, bo dzisiaj martwienie się śmierciami i utrapieniami tego świata, zbytecznie przynajmniej poddawanie się bólowi, albo przywiązaniu do krewnych, do przyjaciół i t. p., wydaje mi się nierozumem. Dla tego, jak mówię, trudno mi zrozumieć samą siebie, gdy zważę, jaką dawniej byłam i jakimi uczuciami się powodo-  
wałam.

Gdy widzę w kim jakie rzeczy, które widocznie zdają się być grzechem, nie mogę przecie zdobyć się na stanowczy o takim sąd, by istotnie obraził Boga, i choćbym się kiedy nieco zastanowiła nad tem,—co czynię rzadko albo nigdy,—nigdy się na taki sąd nie zdobyłam, jakkolwiek grzech widziałam jasno; zawsze mi się zdawało, że jak sama pragnę i staram się wier-  
nie służyć Bogu, tak tegoż pragną i o toż się starają wszyscy. Dał mi Bóg tę wielką łaskę, że nad rzeczą złą, jeśli mi się potem przypomni, nigdy się nie zatrzymuję myślą; a gdy się przypomni, zawsze patrzę na to, co w takiej osobie jest dobrego. Tym sposobem takie rzeczy nigdy mi nie sprawiają udręczenia, ale za to często mię udręcza widok występków ogólnych, mianowicie herezyi, i ile razy na nie wspomnę, za-

wsze mi się zdaje, że to jedno jest istotne nieszczęście, nad którym słusznie boleć należy. Boleję również, gdy widzę duszę, która już oddawała się modlitwie wewnętrznej, a cofnęła się wstecz; taka niewierność martwi mię, ale nie bardzo, bo staram się nie zastanawiać się nad tem.

Pod względem próżnych wykwintności, w których dawniej miałam upodobanie, widzę w sobie poprawę, ale nie zupełną; nie zawsze widzę siebie w tym względzie umartwioną, chociaż niekiedy, tak.

Wszystko to, co tu mówię, jest to zwykły stan mój, i tak się, o ile rozumiem siebie, dzieje w duszy mojej, przy ciągłej prawie pamięci na obecność Boga. I choć rozmawiam o innych rzeczach, nie sędzę by mi to czyniło roztargnienie, chyba, że, jak mówiłam, sama chcę; i to nie zawsze, tylko wówczas, gdy rozmawiam o rzeczach ważnych, a i to, dzięki Bogu, chwilami tylko myśl mi odrywa i nie zajmuje mnie ciągle.

Przychodzą na mnie czasy, choć nie często, a trwa to jakie trzy, cztery do pięciu dni, że wszystkie te rzeczy dobre, i zapły, i widzenia jakoby mię opuszczają, i samęż o nich pamięć tracę, tak iż, choć chcę i szukam w pamięci, nie widzę coby kiedy było we mnie dobrego. Wszystko to wydaje mi się jakby sen, albo przynajmniej nic sobie wyraźnego przypomnieć nie mogę. Przytem i cierpienia fizyczne męki mi zadają. Wszystko mi się mięsza w głowie, na żadną myśl o Bogu zdobyć się nie mogę, ani wiem w jakim zakonie żyję. Choć czytam, nic nie rozumiem; wydaje mi się, że jestem pełna grzechów, bez żadnej chęci i odwagi do cnoty, i wielkie męztwo, jakie zwykle czuję w sobie, tak gdzieś zanika, że najmniejszej pokusy czy szemrania ze strony świata nie zdołałabym, zdaje mi się, znieść i zwyciężyć. Przychodzą mi wtedy myśli takie, że jestem do niczego, czemu więc wdaję się w rzeczy wyższe nad miarę pospolitą? ogarnia mię smutek, zdaje mi się że oszukuję wszystkich, którzy jakiegokolwiek dobre o mnie mają mniemanie; chciałabym ukryć się gdzie tak głęboko, by nikt mnie nie widział: pragnę samotności, nie dla wyższego postępu w cnotie, jedno przez małoduszność. Gotowabym, zdaje mi się, klócić się z każdym, kto mi się sprzeciwi; tylko że w tej cią-

głej walce wewnętrznej, Bóg mi daje tę łaskę, że Go nie obrażam więcej niż zwykle, ani Go proszę, by mię z tego udręczenia wybawił, ale jeśli taka jest wola Jego, by ono trwało zawsze, niech mię trzyma ręką swoją, abym Go nie obraziła; a z całego serca zgadzam się z wolą Jego, i w tem, że nie zawsze mię w takim stanie trzyma, widzę i uznaję szczególną nademną łaskę Jego.

Co mię tu zdumiewa, to że gdy jestem w tym stanie, od jednego słowa, jak je w sobie słyszeć zwykłam, od jednego widzenia, od jednej chwili zebrania wewnętrznego, choćby nie trwało dłużej nad jedno Zdrowaś Marya, jak również za przystąpieniem do Komunii świętej, zupełne mi i w duszy i na ciele wraca uspokojenie i zdrowie, i zupełna jasność w umyśle, i wszystka, jaką w zwyczajnym czasie miewam, moc ducha i gorącość pragnień. Mam już w tym względzie nabyte doświadczenie, bo wiele razy tak bywa; przynajmniej co do Komunii, już więcej niż od pół roku bardzo wyraźnie i jasno czuję po każdej uzdrowienie na ciele; podobniez bywa nieraz i z zachwyceniami; i trwa to niekiedy trzy godziny, i więcej, czasem i cały dzień znacznego doznaję polepszenia. Nie sądzę by to było przywidzenie, bo miałam sposobność sprawdzić co mówię, i pilną na to zwracałam uwagę. Stąd też, gdy jestem w stanie tego zebrania wewnętrznego, żadnej się niemocy nie boję. Winnam tu jeszcze dodać, że na zwyczajnem rozmyślaniu, jak je przedtem miałam w zwyczaju, polepszenia tego nie doznaję.

Z wszystkiego co dotąd powiedziałam, co do mnie, jestem przekonana, że są to rzeczy od Boga; bo znając siebie, jaką byłam, i jako szłam drogą wiodącą na zatracenie, do którego w prędkim czasie byłabym doszła, nie mogłam nie zdumieć się, gdy w duszy mojej ujrzałam takie rzeczy, nie wiedząc skąd mi przyszły wszystkie te cnoty; nie poznawałam samej siebie; widocznie była to rzecz darowana, nie własną pracą nabyta. Z całą prawdą i jasnością to widzę, i wiem że się nie mylę, iż Bóg użył tych rzeczy za środek, nie tylko do pociągnięcia mnie do służby swojej, ale i do wyrwania mnie z piekła, jak o tem wiedzą spowiednicy moi, ci zwłaszcza, przed którymi złożyłam spowiedź z całego życia.

Stąd też, gdy spotkam kogo, kto coś słyszał o mnie, chciałabym opowiedzieć mu przeszłe życie moje; bo wszystką cześć i sławę moją na tem, zdaje mi się, pokładam, aby Pan był pochwalony, i o nic więcej nie dbam. On wiedobrze, chyba że zupełnie ślepa jestem, że ani honor, ani życie, ani chwała, ani żadne dobro ciała czy duszy nie ma dla mnie pociągu, że nie chcę ani pragnę mojego pożytku, jedno chwały Jego. Nie mogę temu dać wiary, by dyabeł tyle powynajdywał sposobów na pozyskanie duszy mojej, na to tylko, aby ją po tem wszystkiem stracił; nie mam go za tak głupiego. Ani temu uwierzyć nie mogę, by Bóg, chociażbym sama za grzechy moje zasłużyła na takie oszukanie, nie wysłuchał tylu modlitw, jakie tyle dusz cnotliwych od dwóch lat za mną zanosi, i ja nic innego nie robię, jedno wciąż proszę wszystkich o modlitwy, aby Pan dał mi poznać, czy jest w tem chwała Jego, albo też inną mię drogą prowadził. Nie wierzę, by Pan, w Boskiej łaskawości swojej, dopuścił ciągłego wzmaganania się we mnie tych rzeczy, gdyby nie były sprawą Jego. Te uwagi, i te modlitwy tylu świętych, dodają mi ducha, gdy przychodzą mi one obawy, że może to wszystko nie jest od Boga, kiedy ja taką jestem grzeszną. Ale gdy jestem na modlitwie, i w dni takie, kiedy mam pokój wewnętrzny i myśl utkwioną w Bogu, choćby się razem zebrali wszyscy, ilu ich jest na świecie, uczeni i święci, i wszelkimi jakieby wymyślić zdołali, strachami mię dręczyli, i choćbym chciała im uwierzyć, nie dokazaliby tego, bym uwierzyła, że to sprawa dyabelska, bo uwierzyć w to nie mogę. I kiedy oni chcieli mię znaglić do tego, bym uwierzyła, strach-ci mię ogarniał, i bacząc na powagę tych, którzy mi to oznajmiali, mówiłam sobie, że tacy ludzie chyba mówią prawdę, i że ja, taka nędzna i grzeszna, śnać muszę być w błędzie. Ale za pierwszym słowem tej mowy, którą słyszę w sobie, za pierwszą chwilą zebrania wewnętrznego czy widzenia, w niwecz pełzły wszystkie ich dowodzenia; uwierzyć im w żaden sposób nie mogłam, i znowu utwierdzałam się w przekonaniu mojem, że to sprawy Boże.

Przyznaję jednak, że nieraz i zły duch może się wtrącać w te rzeczy; że tak jest, sama to widziałam i mówiłam; ale

skutki są inne; i kto tego doświadczył na sobie, tego, sędzę, dyabeł nie oszuka. Z tem wszystkim jednak świadczę się, że jakkolwiek wierzę, że te rzeczy niezawodnie są od Boga, nigdy przecie nie uczyniłabym niczego bez zgody tego, który ma pieczę o mnie, i bez upewnienia się z jego strony, że w tem, co chcę uczynić, jest większa chwała Boga; nigdy też niczego więcej nie miałam na myśli, jedno bym była posłuszną, i nie ukrywała niczego, bo tego mi potrzeba. Bywam bardzo często strofowana za uchybienia moje, w sposób dojmujący aż do wnętrzości: słyszę również często rady i przestrogi, ile razy w tem co czynię jest albo może być jakie niebezpieczeństwo; i przestrogi te wielki mi przyniosły pożytek, przywodząc mi często na pamięć dawne grzechy moje, co mię mocno pobudza do żalu i skruchy.

Bardzo szeroko się rozpisalam, ale i to rzecz pewna, że tym dobrom, jakie widzę w sobie wychodząc z modlitwy, źle, zdaniem mojem dopisuję, bo widzę w sobie wiele niedoskonałości i mało postępu, a wielką nędzę. Może też te rzeczy, które mi się we mnie zdają dobrami, źle rozumiem, i oszukuję siebie; bo życie moje widocznie się z niemi nie zgadza, i to mi daje do myślenia. Wszakże, w tem wszystkim, co tu powiedziałam, mówię to, co mi się wydaje być prawdą i czego w istocie w sobie doznałam. Te są rzeczy wysokie i doskonałe, które, czuję, że Pan zdziałał we mnie, tak niedoskonałej i niecnotliwej. Zdaję to wszystko na sąd Waszej Miłości, bo znasz całą duszę moją<sup>1)</sup>.

1) W rękopisie, pochodzącym z biblioteki głównego domu karmelitów Bosych prowincyi hiszpańskiej, a przechowywającym się obecnie w bibliotece narodowej w Madrycie (*Canon di N. S. Madre*, N. 36), znajduje się karta, zawierająca sąd św. Piotra z Alkantary o duchu św. Teresy, własną ręką Świętego w trzydziestu i trzech punktach spisany. Podstawą jego było bez wątpienia powyższe sprawozdanie, i treściwe a kategoryczne i stanowcze motywa jego, w onych trzydziestu i trzech punktach podane, były to zapewne one „powody i racye“, któremi, jak Święta opowiada w *Życiu swoim* (r. XXX), św. Piotr z Alkantary wpłynął na onych uczonych teologów, którzy w widzeniach jej upatrywali sprawę ducha złego, i skłonił ich do zaniechania udre-

## SPRAWOZDANIE II.

Pisane w klasztorze Wcielenia, między r. 1561 a 1562, do spowiednika niewiadomego. Święta opisuje w dalszym ciągu stan duszy swojej.

J E Z U S.

Przeszło rok temu, zdaje mi się, napisałam to co poprzedza. Bóg przez cały ten czas trzymał mię ręką swoją, że nie stałam się gorszą; owszem, w tem co powiem, widzę znaczne polepszenie; niech będzie pochwalony za wszystko.

---

czeń, jakie jej z tego powodu zadawali. Pomimo stosunkową długość jego, podajemy tu w całości ten ciekawy i ważny dokument:

„1. Celem Boga jest pociągnąć duszę do Siebie, celem dyabła, odwieść ją od Boga. Zbawiciel nigdy nie używa takich sposobów, któreby mogły oddalić kogo od Niego, i podobnież dyabeł nigdy nie używa sposobów, któreby mogły zbliżyć kogo do Boga. Wszystkie zaś widzenia i drugie rzeczy, które w niej się dzieją, coraz bardziej ją zbliżają do Boga, czynią ją pokorniejszą, posłuszniejszą i t. d.

2. Według nauki św. Tomasza, Anioł światłości poznaje się po spokoju i uciszeniu, jakie w duszy pozostawia. Nigdy człowiek nie może doznawać tych rzeczy, żeby zarazem nie używał wielkiego pokoju i zadowolenia takiego, że wszystkie przyjemności ziemskie razem wzięte nie równają się najniższemu stopniowi jego.

3. Nie masz żadnego nchybienia albo niedoskonałości, którychby się dopuściła, za któreby nie była strofowana przez tego, który wewnątrz do niej mówi.

4. Nigdy o te rzeczy nie prosiła ani ich nie pragnęła, jedno tylko spełnienia we wszystkim woli Boga i Pana naszego.

5. Wszystko, cokolwiek jej mówi on głos wewnętrzny, zgadza się z Pismem i z nauką Kościoła, i zupełną jest prawdą wedle całej ścisłości Szkoły.

6. Ma wielką czystość duszy i wielką szczerzość serca, i pragnienia najgorętsze spodobania się Bogu, gotowa wzamian za to nogami zdeptać cokolwiek jest ziemskiego.

7. Otrzymała upewnienie, że wszelka rzecz sprawiedliwa, o którąby prosiła, będzie jej daną od Pana. Prosiła o wiele rzeczy i takich, które nie zmieściłyby się na tym papierze, jakkolwiekby był wielkim, i wszystkich Pan jej użyczył.

8. Rzeczy te, gdy są od Boga, zawsze zmierzają do dobra, czy to własnego, czy powszechnego, czy czyjegoś. Ona zaś, jak tego ma jasne prze-

Widzenia i objawienia nie ustały, ale są o wiele bardziej wysokie; nauczył mię Pan pewnego sposobu modlitwy, w którym znajduję skuteczną pomoc do wyższego postępu, dużo większe oderwanie się od rzeczy tego życia, większą odwagę i swobodę ducha. Zachwycenia spotęgowały się; przychodzą one nieraz jawnie, gdy jestem w towarzystwie, i z taką niepowstrzymaną nagłośnią i siłą, że nie zdołam ich zewnętrznie opanować, skutkiem czego obecni je widzą; i nie masz sposobu

---

świadczenie, i sama z tych rzeczy wielki pożytek odniosła, i wielu innym do dobrego pomogła.

9. Ktokolwiek z nią przestaje, mimowoli, chybaby miał złą wolę, czuje się pobudzonym do pobożności temi jej sprawami, choć ona o nich nie mówi.

10. Na każdy dzień pomnaża się w doskonałości cnót, i ciągle ją głos wewnętrzny uczy rzeczy coraz doskonalszych. I tak przez cały czas, odkąd miewa te widzenia, wciąż rosła coraz wyżej, co właśnie św. Tomasz podaje za pewny znak działania Bożego.

11. Głosy, które słyszy, nigdy jej nie mówią ciekawości ani rzeczy niewłaściwych, ale same tylko rzeczy ku zbudowaniu.

12. O niektórych objawiły jej, jako pełni są czartów, aby poznała, do jakiego stanu przychodzi dusza, gdy obrazi Pana śmiertelnie.

13. Jest to obyczaj i cecha złego ducha, że kogo chce oszukać, temu radzi trzymać w sekrecie to, co mu mówi; jej głosy przeciwnie zalecają jej, by to, co słyszy, przedstawiała uczonym sługom Bożym, i ostrzegają ją, że gdyby ze wstydu co zataiła, naraziłaby się tem samem na oszukanie dyabelskie.

14. Tak wielki jest pożytek, jaki dusza jej odnosi z tych rzeczy, i takie daje przykładem swoim zbudowanie, że już przeszło czterdzieści sióstr w jej klasztorze w wielkiem żyje zebraniu ducha.

15. Rzeczy te przychodzą jej zwykle po długiej modlitwie, i kiedy głęboko jest pogrążona w Bogu i miłością Jego płonąca, albo gdy przystępuje do Komunii.

16. Rzeczy te wzbudzają w niej bardzo gorące pragnienie upewnienia się, czy jej dyabeł nie zwodzi.

17. Sprawują w niej jak najgłębszą pokorę; rozumie dobrze i uznaje, że wszystko to, co otrzymuje, jest z daru i ręki Pańskiej, i jako nic nie ma z samej siebie.

18. Gdy zostaje bez tych widzeń, zdarzające się przeciwności sprawują jej przykrość i zmartwienie; skoro zaś przyjdą na nią te rzeczy, niczego już nie pamięta, tylko wielką pałą żądzą cierpienia, w którym taką znajduje roskosz, że sama się sobie dziwuje.

zataić ich, chyba że uda mi się złożyć je na moją chorobę sercową, aby patrzący sądzili, że to zwykłe omdlenie; choć staram się z wszystkich sił oprzeć się z początku, często się zdarza, że nie mogę.

Co się tyczy ubóstwa, Bóg, zdaje mi się, wielkiej mi łąski użyczył, iż i rzeczy do życia potrzebnych chciałabym nie mieć, jedno z jałmużny; owszem, chciałabym żyć w takim ostatecznym niedostatku, iżby każdy kawałek chleba który jem,

---

19. Za radość i pociechę poczytuje sobie utrapienia, nieprzychylnie o niej sądy i szemrania, choroby wszelkie i niemoce; a straszliwe cierpi bóle serca, i torsyc, i inne boleści, które wszystkie, gdy jest w stanie widzenia, ustają.

20. Pomimo tylu cierpień, czyni jednak wielkie pokuty, posty, dyscypliny i inne umartwienia.

21. Wszystko, cokolwiek na tej ziemi może jej się wydarzyć przyjemnego, zarówno jak i strapienia, których wycierpiała wiele, przyjmuje z jednakową równością ducha, nie tracąc pokoju i statku wewnętrznego.

22. Tak mocne ma postanowienie chronienia się obrazy Boskiej, że uczyniła ślub czynienia zawsze tego co uzna, albo co ten który ją zna, powie jej że jest rzeczą doskonalszą. I lubo za świętych poczytuje Ojców Towarzystwa, i ich pośrednictwu przypisuje te wielkie łaski, jakie Pan jej uczynił, wszakże upewniała mię, że gdyby się przekonała, że zaniechanie stosunków z nimi byłoby rzeczą doskonalszą, gotowa byłaby nigdy już z nimi nie mówić, ani się z nimi nie widzieć, nie zważając na to, że oni to wprowadzili ją na drogę do tych rzeczy i spokój jej przywrócili.

23. Roskosze duchowne, jakich doznaje, i gorące uczucia dla Boga, i rozpiływanie się w miłości Jego, są bez zaprzeczenia rzeczą zdumiewającą, i całemi dniami bywa niemi zachwycona.

24. Często, słysząc kogo mówiącego z namaszczeniem i siłą o Bogu, wpada w zachwycenie, i choć się stara, oprzeć mu się nie może; i wtedy pozostaje w takim stanie w oczach tych którzy na to patrzą, głęboko takim widokiem przeniknieni i do pobożności pobudzeni.

25. Nie może tego znieść, by kto ma pieczę o niej, nie wymawiał jej uchybień jej, i nie strofował jej, i z wielką każde strofowanie przyjmuje pokorą.

26. Z tem wszystkim i to jest dla niej widokiem nieznośnym, gdy dusza żyjąca w stanie doskonałości, nie stara się o doskonałość odpowiednią powołaniu swemu.



zależał od łaski cudzej. Żyjąc w domu, w którym mam pewność, że nie zabraknie mi czem się pożywić i czem się przyodziać, nie tak doskonale, zdaje mi się, spełniam ślub ubóstwa i radę Chrystusową, jak gdy się znajduję w takim domu, który nie będzie miał dochodów, gdzie zatem i rzeczy potrzebnych nieraz może zabraknąć; dobra zaś, których się prawdziwem ubóstwem nabywa, sądzę że są wielkie i nie chciałabym ich tracić. Tak wielką nieraz czuję w sobie wiarę, i tak mocne przekonanie, że Bóg nie może zawodu zrobić temu, kto Mu służy, i tak nie-

27. Ma serce zupełnie oderwane od przywiązania do krewnych, nie pragnie towarzystwa ludzkiego, kocha samotność. Wielkie ma nabożeństwo do Świętych, i w dni ustanowione przez Kościół na obchodzenie pamięci ich lub tajemnic wiary, wysokie niewa od Pana uczucia pobożne i podniesienia ducha.

28. Gdyby wszyscy Ojcowie Towarzystwa, i wszyscy ilu ich jest na tej ziemi służy Boży upewniali ją, że to, co w niej się dzieje, jest sprawą ducha złego, choć w zwykłym stanie swoim, póki nie ma widzenia, boi się wobec takich zapewnień i drży o siebie; wszakże, gdy jest na modlitwie i w zebraniu ducha, choćby ją porąbano na sztuki, nie da w siebie wmówić, by tym, który w niej działa i do niej mówi, był kto inny, jedno Bóg.

29. Dał jej Bóg taką siłę i męztwo ducha, że trzeba się nad nim zdumiewać. Z przyrodzenia była bojaźliwa; teraz depcze po wszystkich czartach. Niezrównanie jest wyższą nad wszelkie przesady i błahości kobiece; zupełnie jest wolna od skrupułów; jest to dusza w najwyższym stopniu prawa.

30. Nad to wszystko użyczył jej Pan najśodsze daru łez. Serce ma pełne litości dla bliźnich: jasne ma poznanie niedostatków swoich, wysokie poważanie dla dobrych; siebie samę zaś poniża. Powtarzam i twierdząc za rzecz pewną, że bardzo wielu pomogła do dobrego, a do tych wielu i ja się zaliczam.

31. W ciągłej żyje pamięci na Boga, i żywe ma uczucie obecności Jego. Cokolwiek jej było zapowiedziano w onych mowach wewnętrznych, wszystko to było prawdą i spełniło się; jestto dowód bardzo przekonujący.

32. Rzeczy te sprawiają w niej przedziwną jasność umysłu i wielkie oświecenie w rzeczach Bożych.

33. Proszę jej powiedzieć: niech zajrzy do Pisma, a znajdzie w niem, że nigdy nie było przykładu, by dusza pragnąca podobać się Bogu, mogła przez tak długi czas zostawać w błędzie.“

wątpliwą pewnością, że nie masz, i nie będzie nigdy przykładu, by słowo Jego zawiodło, że nie potrafię zmienić mojego w tym względzie postanowienia, ani dopuścić do siebie żadnej o to obawy, zaczem i wielką przykrość mam, gdy mi radzą, bym zapewniła sobie dochody, i od tych doradców odwołuję się do Boga <sup>1)</sup>.

Daleko większą niż dawniej, mam teraz, zdaje mi się, litość dla ubogich, bardzo nad nimi bolejąc, i mocno pragnąc zaradzić ich nędzy, tak iż gdybym mogła w tem iść za chęcią moją, wszystko odzienie moje zwłokłabym z siebie, dla przyodziania ich. Żadnego do nich wstępu nie czuję, choć przestając z nimi i rękoma ich dotykam; jasno w tem widzę nowy dar od Boga, bo dawniej, choć dla miłości Jego dawałam jałmużnę, ale tego przyrodzonego uczucia litości nie miałam. Bardzo wyraźną w tym względzie czuję w sobie poprawę.

Podobnież i w znoszeniu krzywdzących sądów i szemrań, — a bywa ich wiele, i z wielką ujmą dla mnie, — znaczny widzę w sobie postęp. Takie one, zdaje mi się, robią na mnie wrażenie, jak gdybym była idyotką i nic nie rozumiała; nieraz prawie zawsze, uznaję, że szkalujący mię mają słuszość. Ale tak mało mię to obchodzi, że nie widzę nawet, cobym tu mogła ofiarować Bogu, wiedząc z doświadczenia, jak wielki stąd dusza moja zysk odnosi; zaczem raczej uważam ich za dobroczyńców moich. Wszelka uraza do nich znika we mnie bez śladu, jak tylko ukłęknę na modlitwę. W pierwszej chwili, gdy takie rzeczy słyszę, trochę mi to przykrość robi, ale bez niepokoju, ni wzburzenia; a gdy potem widzę, jak nieraz to bywa, że kto mię żałuje, ja wtedy, szczerze mówiąc, w duchu się śmieję, bo wszystkie przykrości tego życia tak maleją, zdaje mi się, są wagi, że nie ma czego się martwić; wszystko to przedstawia mi się jakby sen, po którym, za przebudzeniem, nic nie pozostanie.

---

<sup>1)</sup> Powyższy ustęp stwierdza datę, na wstępie tego Sprawozdania położoną, to jest, że Święta pisała je w końcu r. 1561, lub w pierwszej połowie r. 1562, kiedy jeszcze zostawała w klasztorze Wcielenia, który miał dobra, i kiedy ważyła się kwestya, czy nowy klasztor św. Józefa ma posiadać dochody. Ob. *Życie*, r. XXXV.

Daje mi Bóg żywsze pożądanja, silniejszy pociąg do samotności, o wiele większe, jak już mówiłam, oderwanie się od wszystkiego, za sprawą tych widzeń, w których poznałam, gdzie jest to co jest wszystkim, chociażbym opuściła wszystkich przyjaciół, i przyjaciółki, i powinowatych, bo wszystko to tylko cząsteczki; owszem, raczej rodzeństwo wszelkie mocno mię męczy; bylebym o jedną odrobinę lepiej mogła służyć Bogu, gotowam opuścić ich wszystkich z wszelką swobodą ducha i z przyjemnością, i tak wszędzie mam pokój.

Niektóre rzeczy, które zostały mi objawione na modlitwie sposobem rady albo przestrogi, okazały się w skutku zupełnie prawdziwemi. Tak więc, ze strony Boga i wciąż rosnącej hojności łask Jego, znajduję w sobie wielki bardzo postęp ku lepszemu; ale z mojej strony, i w służbie Jego, widzę siebie daleko gorszą; bo daleko więcej brałam roskoszy, która na mnie spływała, chociaż często Pan daje i wielkie cierpienia. Pokuty bardzo mało; czci, choć często wbrew woli mojej, okazywanej mi <sup>1)</sup>, dużo. Słowem, widzę że żyję w roskoszach, a nie w pokucie. Bóg niechaj temu zaradzi, jak może.

Dziewięć miesięcy, mniej lub więcej, upłynęło od czasu, jak ręką moją napisałam to co wyżej. Od tego czasu aż dotąd nie cofnęłam się wstecz od łask, które mi Pan uczynił; zdaje mi się owszem że nowych dostąpiłam, mianowicie łaskę dużo większej swobody ducha. Przedtem zdawało mi się, że nie mogę się obyć bez drugich, i wielką ufność pokładałam w pomocy od świata. Teraz zrozumiałam jasno, że wszystko to laseczki z trzciny suchej, na których nie można się oprzeć bezpiecznie, bo gdy zaciężą na nich lada brzemień przeciwności lub sądów nieprzychylnych, łamią się. I tak z własnego doświadczenia przekonałam się, że jeden tylko jest prawdziwy sposób uchronienia się upadku, to jest, oprzeć się na krzyżu, i ufać w Tym który dał do niego się przybić. On sam, przekonałam się, jest

---

<sup>1)</sup> Z powyższych słów wydawca hiszpański słusznie wnosi, że św. Teresa to sprawozdanie, albo przynajmniej ten ustęp jego pisała w czasie pobytu swego w Toledzie, w pałacu Ludwiki de la Cerda. W tem przypuszczeniu, to co mówi o wielkiej czci, jaką jest otoczona, staje się zrozumiałem. *Ob. Życie*, r. XXXIV.

przyjaciel prawdziwy, i na Nim polegając, czuję w sobie moc i wyższość taką, iż zdołałabym, zdaje mi się, czoło stawić całemu światu, przeciwko mnie spiknionemu, byleby Bóg mnie nie opuścił.

Przedtem lubiłam bardzo i pragnęłam mieć życzliwość u ludzi; odkąd zrozumiałam tę prawdę tak jasną, nie już o to nie dbam, owszem, rzec mogę, przyjaźń ludzka poniekąd mi ciąży, z wyjątkiem tych, przed którymi otwieram duszę moją, albo tych, którym mam nadzieję być pomocą do postępu w nocie; tamtych życzliwości pragnę, aby mię znosili, tych drugich dlatego, aby mając dla mnie przychylność, łatwiej uwierzyli temu, co im mówię o marności wszystkich rzeczy ziemskich.

W niemałych utrapieniach, i prześladowaniach, i przeciwniństwach, jakie miałam do zniesienia w ciągu tych miesięcy, Bóg mi dodawał wielkiej odwagi, tem większej, im większa na mnie nastawała nawałność, tak iż zgoła mi się nie przykrzyło cierpieć. I z tymi, którzy źle o mnie mówili, nie tylko nie byłam źle, ale owszem, jakby więcej jeszcze za to ich kochałam; nie wiem jak się to stało, ale był to widocznie szczególny dar z ręki Pańskiej.

Z przyrodzenia mego, gdy czego pragnę, zwykłam pragnąć gwałtownie; teraz wszystkie pragnienia moje tak są spokojne, że gdy które się spełni, nie czuję nawet bym się z tego cieszyła. Wszelkie przykrości czy przyjemności, z wyjątkiem rzeczy tyjących się modlitwy, zarówno mi są obojętne, jak gdybym była idyotką bez czucia, i w takim stanie pozostaję całemi dniami.

Zapały, które nieraz na mnie przychodzą i pobudzają mię do zadawania sobie pokuty, są silne nad wyraz; i chociaż wtedy czynię jaką pokutę, tak mało, przy tej gorącej żądzy ją czuję, że nieraz, i prawie zawsze, wydaje mi się raczej jakby szczególną roskoszą; tylko że będąc bardzo schorzałą, mało mogę zadawać sobie umartwień.

Konieczność jedzenia jest często dla mnie wielkiem, obecnie nawet wprost nieznośnem cierpieniem, zwłaszcza gdy dla niej muszę przerywać modlitwę. Śnać musi ono być wielkiem, kiedy mię przywodzi do gorzkiego płaczu, i jakby mimowolnie

wybucho głosem narzekaniem, co skądinąd wcale nie jest moim obyczajem. Jakkolwiek wielkie w życiu mojem wycierpiałam utrapienia, nie pamiętam bym kiedy pozwoliła sobie na słowo skargi; pod tym względem nic nie masz we mnie kobiecego, i serce mam harde.

Gorąco bardzo, goręcej niż kiedybądź przedtem, pragnę tego, by znalazło się jak najwięcej dusz, zwłaszcza między uczonymi, któreby z zupełnem oderwaniem się od świata Bogu służyły, i do niczego z tych rzeczy ziemskich się nie przywiązywały, tak jak ja widzę, że wszystko to marność i fraszki. Widzę i czuję wielkie potrzeby Kościoła, i tak mi one ciężą na sercu, że dzieciństwem mi się wydaje, martwić się i frasować o co bądź innego. Nie przestaję też polecać ich Bogu; bo widzę to jasno, że jeden mąż zupełnie doskonały i prawdziwą miłością Boga pałający, więcej może przynieść pożytku, niż wielu oziębłych.

W rzeczach wiary, dużo większe, zdaje mi się, czuję w sobie wzmocnienie. Zdołałabym, zdaje mi się, sama jedna stawiać czoło wszystkim lutrom, i wytknąć im na oczy ich błędy. Bardzo mię boli zguba tylu dusz. Wielu widzę na lepszą drogę nawróconych, i nie mogę nie uznać, że spodobało się Bogu nawrócić ich przezemnie. Widzę także i czuję, że z łaski i dobroci Jego, dusza moja z każdym dniem rośnie coraz wyżej w miłości Jego.

Chociażbym rozmyślnie chciała unosić się próżną chlubą, sądzę, że nie potrafiłabym, i nie rozumiem jakim sposobem mogłaby powstać we mnie myśl, by którakolwiek z tych cnót była własnym moim nabytkiem; boć nie tak dawno temu, jak przez długie lata widziałam siebie bez żadnej cnoty, i dziś jeszcze z mojej strony nic nie czynię innego, jedno że biorę łaski, a nie służę, jako najniepożyteczniejsze stworzenie na świecie. Szczerze mówiąc, nieraz zastanawiam się nad tem, jak wszyscy wkoło mnie postępują w dobrem, tylko ja jedna sama z siebie zawsze jestem do niczego. Nie jest to, upewniam, żadna pokora, tylko sama prawda; i kiedy widzę siebie taką niepożyteczną i żadnego postępu nie czyniącą, nieraz przychodzi mi myśl i obawa, czy nie ulegam jakiemu oszukaniu. Tylko

że widzę także jasno, że one moje zyski duchowne jedyne swe źródło mają w tych objawieniach i zachwyceniach, w których nic nie masz ze mnie, i tyle się do otrzymania ich przyczyniam, ile głuchy pień; i to mię ubezpiecza i uspokaja, i oddają się w ręce Boga, i polegam na pragnieniach moich, bo też wiem pewno, nic innego nie mają na celu, jedno umrzeć dla Niego, pracować i cierpieć dla Niego bez wytchnienia, cokolwiekby przyjsć miało.

Bywają dni, że bezprzestannie przychodzą mi na myśl słowa św. Pawła, — choć bez wątpienia, nie mnie się równać z Apostołem, — że żyję, zdaje mi się, już nie ja <sup>1)</sup>, nie ja mówię, nie ja chcę, ale żyje we mnie Ten, który mną rządzi i daje siłę; i chodzę jakby wyszła z siebie, i samoż życie niewypowiedzianem jest dla mnie cierpieniem. Niema też większej ofiary, którąbym mogła zanieść Bogu, jak codzien ją zanoszę, i większego dowodu gotowości mojej na wszelką służbę Jego, nad to, że tyle cierpiąc nad tem życiem w rozłączeniu z Nim, przecie dla miłości Jego zgadzam się żyć. Chciałabym tylko, by było to życie pełne ciężkich utrapień i przesładowań; i kiedy już niezdatną jestem do pomnażania się w doskonałości niechże przynajmniej zdatną będę do cierpienia; i wszelkie, jakie są na świecie cierpienia, rada zniosłabym, za jeden najmniejszy stopień wyższej zasługi, to jest, doskonalszego spełnienia woli Jego.

Z wszystkiego, cokolwiek słyszałam na modlitwie, chociażby dwa lata naprzód, nie masz ani jednego punktu, któryby się w oczach moich nie spełnił. A tak są wielkie te rzeczy, które widzę i słyszę o wielmożnościach Boga, i jako dziwnemi drogami wszystko rozrządza i do skutku doprowadza, że ile razy zacznę się nad tem zastanawiać, prawie zawsze ustaje mi rozum, jako gdy człowiek patrzy na rzeczy o wiele przewyższające pojęcie jego, i wpadam w zachwycenie.

Niech tylko Bóg mię strzeże od obrazy Jego; bo doprawdy nieraz prerażenie mię ogarnia, gdy wspomnę jako wielkie On o mnie ma staranie, a ja z mojej strony prawie w ni-

<sup>1)</sup> Gal. 2, 20.

czem się do tego nie przyczyniam, bo nim te łaski otrzymałam, byłam przepaścią grzechów i złości, i zdawało mi się, że nie jest w mojej mocy powstrzymać się od nich. I dla tego chciałabym, aby wszyscy wiedzieli o tych złościach moich, by lepiej stąd poznali, jak wielka jest moc Boga. Niech będzie pochwalony na wieki wieczne. Amen.

## J E Z U S.

Ta druga część sprawozdania niniejszego nie jest pisana ręką moją, jak pierwsza; ale ja ustnie opowiedziałam spowiednikowi mojemu, a on, nic nie opuszczając i nic nie dodając, swoją ręką ją spisał. Był to mąż wysoce duchowny i uczony teolog, i jemu wyznawałam wszystkie sprawy mej duszy, a on naradzał się o nich z innymi uczonymi, między którymi był i Ojciec Mamio. Niczego w wewnętrznych przejściach moich nie znaleźli, coby się nie zgadzało zupełnie z Pismem świętem. Odtąd już jestem spokojna, lubo rozumiem dobrze, że dopóki Bóg mię prowadzi tą drogą, potrzeba mi koniecznie w niczem nie ufać samej sobie; zaczem też zawsze wyznaję wszystko, choć mię to dużo kosztuje. Pamiętaj Wasza Miłość, że wszystko to ma pozostać pod sekretem spowiedzi, jak o to Waszej Miłości usilnie prosiłam.

## SPRAWOZDANIE III.

O różnych łaskach, jakie otrzymała od Boga w latach 1568—1571. <sup>1)</sup>

Gdy w czasie pobytu mego w klasztorze Toletańskim radzono mi, bym nie dawała w nim miejsca pogrzebu jedno szlachetnie urodzonym, Pan rzekł do mnie: — „Mocno pobłędzisz, córko, jeśli będziesz zważała na prawa i obyczaje świata.

---

<sup>1)</sup> Sprawozdanie to, z nrywków złożone, ogłosił Br. Ludwik z Leonu, pod tytułem *Dodatków do Życia św. Teresy*, ale w innym porządku, niż je ma rękopis Awilański, i z opuszczeniem wielu ustępów, w tymże rękopisie zawartych.

Zwróć oczy na mnie, który byłem ubogim i wzgardzonym od świata. Czy mniemasz, że wielcy tego świata wielkimi będą przedemną? albo że wedle rodu ma się oceniać wartość wasza, a nie według cnót?“ <sup>1)</sup>

W klasztorze św. Józefa w Malangonie, w drugi dzień Wielkiego Postu, zaraz po Komunii, ukazał mi się Pan nasz Jezus Chrystus, jak zwykle, w widzeniu przez wyobraźnię. Wpatrując się weń, ujrzałam na głowie Jego, zamiast korony cierniowej, koronę jaśniejącą świetnemi promieniami, wychodzącemi dokoła, zapewne z miejsc poranionych cierniami. Wielką mię ten widok napełnił pociechą, bo szczególnie mam nabożeństwo do tajemnicy Ukoronowania cierniem. Na myśl jednak, jaką to straszną mękę musiał uciepć Pan, od tych ran w głowie, tylu cierniami przebodzonej, żalność wielką mię ogarnęła. Wtedy Pan rzekł do mnie: — „Nie za te rany mię żałuj, ale za te, które mi dzisiaj zadają niezliczone.“ — Zapytałam Go, cobym mogła uczynić na zarządzenie temu, że jestem gotowa na wszystko. Odpowiedział mi: — „Nie czas teraz odpoczywać, ale śpiesz z zakładaniem tych domów; dusze w nich mieszkające są moją pociechą. Przyjmuj wszystkie, ile ci ich zaoferują, bo wiele jest dusz, które dla tego tylko mi nie służą, że nie mają gdzie. Które domy założysz w małych miastach, niech będą podobne do tego, bo tyleż może w nich być zasługi, co i w większych, byleby równa w nich była gorliwość. Staraj się, by wszystkie zostawały pod kierunkiem jednegoż zwierzchnika, i pilnie czuwaj nad tem, by troska o potrzeby doczesne nie zakłóciła wam pokoju wewnętrznego; Ja sam będę was wspierał, aby wam nie zbywało na niczem. Niech wszędzie mają troskliwą pieczę o siostrach chorych; bo przełożona, która nie stara się o potrzeby i wygodę chorej, podobna jest do przyjaciół Ioba: Ja tej siostrze zsyłam chorobę dla dobra jej duszy, a ona wystawia na szwank jej cierpliwość. Opisz także historię

<sup>1)</sup> Pierwszego tego ustępu nie masz w rękopisie Awilańskim; Br. Ludwik kładzie go na przedostatniem miejscu swoich *Dodatków*. Tu się kładzie na początku, raz dla tego, że odnosi się do r. 1568, od którego zaczyna się to sprawozdanie, a powtóre, aby nie przerywać ciągu dalszych ustępów, jak je podaje rękopis Awilański.



tych fundacyi.“—Gdy na to ostatnie zalecenie myślałam w sobie, że w takiej naprzykład fundacyi klasztoru w Medina, nic nie spostrzegłam takiego, coby godnem było opisania, On rzekł do mnie: — „Czegoż więcej chcesz, kiedy widzisz, że była to fundacya cudowna?“ — Chciał przez to powiedzieć, że On sam dokonał tego dzieła, które po ludzku było niepodobnem; i tak postanowiłam spełnić rozkaz Pański i zabrać się do tego opisu.

Pewnego razu, gdy otrzymawszy od Pana jakieś zlecenie dla kogoś, zastanawiałam się nad tem, że nic go nie rozumiem, i błagałam Go o objaśnienie, przypuszczając zarazem, że snąc to złuda szatańska, Pan rzekł do mnie:—„Nie masz w tem żadnej złudy; Ja sam ci to w czasie właściwym objaśnię.“

Innego razu, gdym sobie wspominała, jako o wiele łatwiej zachować doskonałą czystość duszy, żyjąc z daleka od interesów ziemskich, i jako ze mną, gdy poniewolnie niemi się zajmuję, musi być źle, i wielu muszę dopuszczać się uchybień, usłyszałam te słowa: — „Nie może być inaczej, córko; ale staraj się zawsze i we wszystkim mieć prawą intencję i oderwanie się od wszystkiego, i zapatruj się na Mnie, aby uczynki twoje były zgodne z mojemi.“

Gdy zapytywałam siebie, jaki może być powód, że teraz prawie nigdy nie miewam zachwyceń w obecności drugich, Pan powiedział mi: — „Nie potrzeba tego już teraz; dość już masz znaczenia i wpływu ku osiągnięciu tego czego chcę; mamy wzgląd na ułomność ludzką, aby kto złośliwy na złe tego nie tłómaczył.“

We wtorek po Wniebowstąpieniu Pańskiem, pozostając jakiś czas na modlitwie, po Komunii z oschłością przyjętej, bo umysł miałam tak roztargniony, że niepodobna mi było zatrzymać się myślą nad niczem, żaliłam się Panu na nędzę naszej natury. Niebawem dusza moja poczęła płonąć zapalem niebieskim, i zdało mi się że jasno, w widzeniu umysłowem, widzę obecną całą Trójcę Przenajświętszą, i mając przed oczyma duszy pewnego rodzaju przedstawienie, które było jakoby figurą prawdy, czyniącej siebie przystępną tępości mojej, poznałam, w jaki sposób Bóg jest jeden we trzech Osobach; wydało mi się zarazem, że wszystkie trzy Osoby, wyraźnie przedstawiające

mi się we wnętrzu duszy mojej, mówią do mnie, oznajmując mi, że — „każda z Nich osobnej używa mi łaski, skutkiem czego od tego dnia uczuję w sobie pomnożenie w trzech rzeczach: w miłości, w cierpieniu z weselem, w żywym uczuciu i w wewnętrznym zapale miłości.“ Zrozumiałam wówczas te słowa Pańskie, że— „w duszy żyjącej w stanie łaski wszystkie trzy Osoby Boskie uczynią mieszkanie <sup>1)</sup>“. Dziękując potem Panu za tak wielką łaskę, a zarazem czując siebie całkiem jej niegodną, żaliłam się z najgłębszą boleścią Boskiemu Majestatowi Jego, dla czego, kiedy spodobało Mu się takie łaski mi czynić, wypuścił mnie z ręki swojej, i pozwolił na to, bym była tak grzeszną?—bo właśnie dniem przedtem wielką miałam w duszy żalność i gorzkość, stawiając sobie przed oczy grzechy moje. Widziałam jasno, ile Bóg, od wczesnego dzieciństwa mego, dokładał starania, aby mię do siebie pociągnął, i jakich ku temu dzielnych i skutecznych używał sposobów, które jednak wszystkie pozostały bez skutku. Jasno mi stała na oczy ta miłość bez granic, jaką Bóg nam okazuje, odpuszczając nam wszystko, skoro tylko zechcemy nawrócić się do Niego; a nad nikim ta miłość Jego nie okazała się wspanialej, niż nademną, jak na to wiele mogłabym przytoczyć dowodów. Tak głęboko te trzy Osoby, które widziałam jako są jednym Bogiem, pozostały w duszy mojej wyryte, że gdyby to dłużej potrwało, niepodobna by mi było, przy takim Boskim towarzystwie, nie pozostawać w ciągłym zachwyceniu. Inne jeszcze w tem widzeniu były szczegóły, i inne jeszcze słowa słyszałam, o których tu pisać nie mam potrzeby.

Pewnego razu, na krótko przed tem widzeniem, przystępując do Komunii, nim jeszcze mi ją podano, i gdy Najświętsza Partykuła jeszcze była w puszcze, ujrzałam nad nią jakby gołębicę, z szelestem poruszającą skrzydła; tak mię ten widok przejął i zachwyił, że ledwo z wielkim wysiłkiem zdołałam przyjąć Komunię. Oba te widzenia miałam u św. Józefa w Awili. Komunię wówczas mi dawał o. Franciszek Salcedo. Drugiego dnia, słuchając Mszy świętej, przez tegoż odprawianej, ujrza-

---

<sup>1)</sup> Jan, 14, 23.

łam w Hostyi Pana uwielbionego, i oznajmił mi, że przyjemną Mu jest jego Ofiara.

Innego razu usłyszałam te słowa: — „Przyjdzie czas, kiedy w tym kościele będą się działy wielkie cuda, i zwać go będą kościołem świętym.“ — Było to również u św. Józefa w Awili, roku 1571.

Obecność tę trzech Osób Boskich, o której mówiłam na początku, miałam prawie ciągle przytomną w duszy aż do dnia dzisiejszego, Kommemoracyi św. Pawła; a że byłam nawykła oglądać samego tylko Pana Jezusa, więc widzenie trzech Osób robiło mi jakoby niejaką trudność, choć widzę że to jeden Bóg. Disiaj, gdy się nad tem zastanawiała, Pan rzekł do mnie: — „Mylisz się, wyobrażając sobie rzeczy duszy za pomocą przedstawienia rzeczy cielesnych. Zrozumiej, że między tem dwojgiem wielka jest różnica, i że dusza zdolna jest objąć i posiadać wiele rzeczy na raz.“ — Coś podobnego, tak sobie rzecz przedstawiam, dzieje się ze mną, jak kiedy w gąbkę przenika i wsia-ka woda: w podobny sposób, zdaje mi się, dusza moja napęlnia się Bóstwem, i niejako opływam w nie, i posiadam w sobie trzy Osoby Boskie. Wtedy usłyszałam jeszcze te słowa: — „Nie kus się o to, byś ty mnie zamknęła w sobie, ale staraj się, byś ty zamknęła się wemnie.“ — Zdawało mi się przytem, że widzę te Boskie trzy Osoby, jako mieszkając we wnętrzu duszy mojej, udzielają się zarazem wszystkiemu stworzeniu, żadnego nie pomijając, a przecie nie przestając zostawać we mnie.

W kilka dni po widzeniu wyżej opisanem, zastanawiając się nad sobą, czy nie mają słuszność ci którzy mię gania, że opuszczam samotność klasztorną dla zakładania nowych domów, i czy nie byłoby lepiej dla mnie, gdybym wyłącznie oddawała się modlitwie, usłyszałam w sobie taką odpowiedź: — „Pożytek człowieka, póki żyje, nie na tem polega, by starał się jak najwięcej cieszyć się roskoszą posiadania mnie, ale na tem, by czynił wolę moję.“ — A gdy myślałam sobie, czy nie ta jest względem mnie wola Boża, bym się stosowała do słów ś. Pawła, który niewieście zaleca pozostawać w ukryciu, tem bardziej że niedawno temu zarzucano mi właśnie te słowa, i przedtem już nieraz je słyszałam, Pan rzekł do mnie: — „Powiedz im, niech

nie trzymają się ślepo jednego tylko miejsca Pisma świętego, ale niech je porównywiają z drugimi. Czy sądzą może, że potrafią związać mi ręce?“

Jednego dnia po oktawie Nawiedzenia, modląc się w jednej z pustelni Góry Karmelu i polecając Bogu jednego z braci moich, który przebywał w miejscu, grożącym mu zatraceniem duszy, ważyłam się, nie pamiętam już czy w myśli tylko, czy też wyraźnemi słowy, tak do Niego mówić: — „Gdybym ja widziała, Panie, brata twego w takim niebezpieczeństwie, czegożbym nie uczyniła dla wyratowania go? niczego, sądzą, nie zaniechałabym, coby jedno było w mojej możności. — Na to odpowiedział mi Pan: — „O córko, córko! siostrami moimi są zakonnice w klasztorze Wcielenia, a ty się ociążasz pójść do nich? Bądź dobrej myśli, pamiętaj że Ja tego chcę; rzecz nie jest tak trudna, i to co obawiasz się że będzie ze szkodą tamtej sprawy, i jednej i drugiej obróci się w korzyść. Nie opieraj się dłużej, potęga moja jest wielka“ <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> R. 1571, Papież Pius V, ustanowiwszy wizytatorów dla wszystkich zakonów, wizytatorem całego Karmelu mianował O. Piotra Fernandez, dominikanina, męża doświadczonej roztropności i świętobliwości. Nowy wizytator, pragnąc zaprowadzić ścisłe zachowanie reguły w klasztorze Wcielenia w Awili, uznał, że najskuteczniej cel ten osiągnie, powierzając rządy klasztoru reformatoree Karmelu, zaczem i mianował ją przeoryszą rzeczownego klasztoru. Święta, mając wówczas założonych już ośm klasztorów zreformowanych i zarządem ich obarczona, wzdrzyła się przed narzucenym jej przez wizytatora nowym ciężarem, zagrażającym, jak jej się zdawało, pomyślnemu rozwijaniu się reformy. Do tego to jej wzdragania się odnosi się powyższe widzenie, i miłościwy wyrzut Zbawiciela, który obawom jej koniec położył i skłonił ją do ochotnego zrobienia z siebie tej nowej ofiary. Pan dotrzymał swej obietnicy: reforma żadnego uszczerbku nie poniosła, a w klasztorze Wcielenia, pod trzyletnimi rządami Świętej, przy pomocy św. Jana od Krzyża, którego wezwała na spowiednika, ścisłe zachowanie reguły i doskonałość życia zakonnego wspaiaiale zakwitły, i po dziśdzień w nim się zachowują. Na samym wstępie, i w chwili objęcia rządów klasztoru, Święta, jak pisze Ribera, w chórze, w stali przeznaczonej dla przeoryszy, umieściła wielką, pięknie rzeźbioną figurę Matki Boskiej z Góry Karmelu. W obecności całego zgromadzenia, w jej ręce oddała klasztor, i klucze u nóg jej złożyła, oznajmując tym symbolicznym obrzędem, że ona, Teresa, niczem jest, że prawdziwą klasztoru przeoryszą i rządczynią jest Najświętsza Panna, łaskawa i wielmożna całego Karmelu Pani i Opiekunka. W kilka dni potem, jak to Święta sama opowia-

Zapatrując się na surowe pokuty, jakie sobie zadawała pewna bardzo pobożna osoba <sup>1)</sup>, i myśląc sobie, że przy gorących pragnieniach, jakie mi Pan niekiedy dawał ku temu, byłabym mogła uczynić więcej, gdyby mię nie krępowało posłuszeństwo dla spowiedników, zapytywałam siebie, czyby nie było z większym dla mnie pożytkiem, gdybym ich nadal w tym względzie nie słuchała.“ Ale Pan rzekł do mnie: — „Nie tak, córko; dobrą drogą idziesz i bezpieczną. Widzisz wszystką pokutę, jaką ona czyni? więcej waży przedemną posłuszeństwo twoje.“

Raz, na modlitwie, ukazał mi Pan w widzeniu umysłowem, jaki jest stan duszy, żyjącej w łaśce: widziałam umysłem Tróję Świętą, obcuującą z nią, i z tego obcowania dusza ona brała moc, górującą nad wszystkim co ziemskie. Zrozumiałam wówczas te słowa Pieśni: „Miły mój zstąpił do ogrodu swego <sup>2)</sup>“ . Ukazał mi Pan także stan duszy, leżącej w grzechu i bez żadnej siły ni władzy do dobrego, nakształt człowieka, skrępowanego i związanego za ręce i nogi, leżącego w głębokiej ciemności z zawiązanemi oczyma, tak iż choćby chciał, ani widzieć, ani słyszeć, ani chodzić nie może. Taka mię zdjęła litość nad duszami w tym stanie pogrążonemi, że dla wybawienia choćby jednej z nich, wszelka męka wydałaby mi się lekką. Komuby dano było ujrzeć to, co ja w tem dwojakim widzeniu widziałam, a czego i opisać dokładnie nie potrafię, ten, sądzę, niepodobna by jeszcze zgodził się na postradanie takiego wielkiego dobra i skazanie siebie na takie wielkie zło.

Pewnego dnia, gdy trapiłam się bardzo, jak zaradzić potrzebom zakonu, Pan rzekł do mnie: — „Czyń co z ciebie jest, i zdaj się na Mnie, i o nic się nie frasuj. Ciesz się dobrem, jakie ci dane jest, bo jest to dobro bardzo wielkie. Ojciec mój podoba sobie w tobie, i Duch Święty miłuje cię.“

---

da w jednym z dalszych ustępów tego sprawozdania, objawiła jej się Królowa niebieska, chwając ją i dziękując jej za to uroczyste macierzyńskiej Jej władzy i opieki uczczenie.

<sup>1)</sup> Pierwsze wydanie Br. Ludwika z Leonu wymienia nazwisko tej osoby: nazywała się Donna Catalina de Cardona. Ob. *Fundacye*, r. 28.

<sup>2)</sup> Pieśń, 6, 1.

— „Ciągłe pragniesz cierpień, a z drugiej strony od nich się uchylasz; Ja rozrządzam rzeczy według dobrej, jak ją znam, woli twojej, a nie według przyrodzonej skłonności i słabości twojej. Bądź mężną, boć widzisz, że ja cię wspieram; chciałem abyś zdobyła sobie tę koronę. Jeszcze za dni twoich ujrzysz wielki wzrost zakonu Panny Najświętszej.“ — Te słowa słyszałam od Pana w połowie lutego roku 1571.

W pierwszym roku mojego przełożenia w klasztorze Wcielenia, w czasie nieszporów przed dniem św. Sebastyana, w chwili gdy zaczynało się *Salve*, ujrzałam Matkę Boską, z wielkim mnóstwem aniołów, zstępującą do stali przeoryszy, gdzie była ustawiona figura Jej, i zasiadającą na tem miejscu: nie widziałam już wówczas, zdaje mi się, figury, jedno samę osobę Najświętszej Panny. Zdawała mi się nieco podobną do obrazu który mi dała hrabina <sup>1)</sup>, chociaż krótki miałam czas jej się przypatrzeć, bo zaraz wpadłam w głębokie zachwycenie. Na wierzchu gzemsów stali i na przednich jej poręczach, zdawało mi się, że widzę mnóstwo aniołów, choć nie w cielesnej postaci, bo widzenie było umysłowe. W takim stanie pozostałam przez cały czas śpiewu *Salve*, a Pani nasza rzekła do mnie: — „Dobrą myśl miałaś, że mię tu umieściłaś; będę obecną hołdom uwielbienia, które tu będą się składały Synowi mojemu, i będę Mu je przedstawiała <sup>2)</sup>.“ Potem pozostałam pogrą-

<sup>1)</sup> Była to Marya de Velasco de Aragon, hrabina Osorno. Obraz ten po dziś dzień przechowuje się w klasztorze św. Józefa w Awili. Ribera powiada o nim, że nigdy nie widział piękniejszego i głębszą część wzbudzającego.

<sup>2)</sup> Klasztor Wcielenia po dziś dzień święcie przechowuje pamięć tego widzenia serafickiej matki swojej. Od daty tego widzenia aż dotąd, Królowa niebieska poczytywała się i poczytuje za przeoryszę klasztoru; figura Jej, którą św. Teresa na pierwszym miejscu w chórze umieściła, a która, podobnie jak obraz wyżej wspomniany, wiejącym od niej urokiem nadziemskiej powagi, dziwnie do pobożności usposabia, szczególną otoczona jest czcią i nabożeństwem, i dotąd trzyma w ręku klucze klasztoru, które św. Teresa wówczas przed nią złożyła. Podobnie i stalle, w których w onem widzeniu ukazali się św. Teresie aniołowie, od tego czasu pozostały puste, przyozdobione tylko kwieciami i pobożnymi malowidłami; pod nimi zaś urządzono niższe siedzenia, na których teraz, *in conspectu angelorum* pod wodzą niebieskiej Przecoryszy, i zasiadającej obok Niej, w drugiej stali, serafickiej matki swojej, szczęśliwe domowniczki Karmelu chwałę Pańu śpiewają.

żoną w modlitwie, sposobem obcowania duszą z Trójcą Przenajświętszą, jakiego mi dano bywa dostępować, i zdało mi się, że Osoba Ojca przygarnia mię do siebie, mówiąc mi rzeczy pełne najśłodszej łaskawości. Między innymi powiedział do mnie te słowa, na dowód swojej dla mnie miłości: — „Oddałem ciebie Synowi mojemu, i Duchowi Świętemu, i tej Pannie Najświętszej. Cóż ty za to możesz oddać Mnie?“

W oktawę Ducha Świętego uczynił mi Pan łaskę, dając mi pewną nadzieję, że dom ten <sup>1)</sup> będzie się pomnażał w doskonałości, to jest dusze w nim mieszkające.

W dzień św. Magdaleny Pan na nowo stwierdził mi łaskę, którą mi już był uczynił w Toledzie, wybierając mię, w nieobecność pewnej osoby, na miejsce tejże.

Drugiego roku mojego przełożenia w klasztorze Wcieleń, gdy w oktawę św. Marcina przystępowałam do Komunii, Brat Jan od Krzyża, który mi ją dawał, przełamał Partykulę, podając drugą połowę siostrze przy mnie klęczącej. Uczynił to, jak sądzę, nie iżby Partykuł zabrało, ale dla umartwienia mnie, bo mówiłam mu przedtem, że bardzo lubię przyjmować Komunię w Partykule całej i dużej, choć wiem dobrze, że to wszystko jedno, i że Pan pod każdą najmniejszą cząsteczką cały jest obecny. Wtedy Pan, jakoby stwierdzając że tak jest, rzekł do mnie: — „Nie bój się, córko, nikt nie zdoła odłączyć cię ode mnie.“ Potem ukazał mi się w widzeniu umysłowem, jak to nieraz czyni, w najgłębszem wnętrzu duszy mojej, i podając mi rękę prawą, rzekł: — „Obacz ten gwoźdź: jest to znak, że od dnia dzisiejszego będziesz oblubienicą moją. Dotychczas na to nie zasługiwałaś, ale odtąd będziesz broniła czci mojej, nie tylko jako Stworzyciela i Króla, i Boga twojego, ale jako prawdziwa oblubienica moja. Cześć moja będzie czią twoją, i cześć twoja czią moją.“ — Łaska ta takie potężne wywarła na mnie wrażenie, że jakoby nie mogłam zmieścić się w sobie, i jak nieprzytomna rzekłam Panu: — Panie, albo rozszerz nędzne serce moje, albo nie dawaj mi takiej łaski, której wiem pewno, że nie zdoła unieść niskie przyrodzenie moje. Cały ten dzień pozosta-

---

<sup>1)</sup> Klasztor Wcieleń.

łam tak na wskrós przenikniona Bogiem. Wielką potem z tego widzenia korzyść odniosłam, ale większe jeszcze zawstydzenie i smutek, że w niczem się Panu nie odśługuję za tak wielkie łaski.

Innego dnia Pan rzekł do mnie: — „Czy sądzisz, córko, że zasługa polega na opływaniu w pociechy? Nie polega ona na niczem innem, jedno na pracy, cierpieniu i miłości. Nie znajdziesz nigdzie, by Paweł św. używał onych roskoszy niebieskich więcej niż jeden raz; ale znajdziesz, że cierpiał wiele razy. Przypatrz się życiu mojemu, iż pełne było cierpienia; znajdziesz w niem tylko jedną chwilę roskoszy, gdy się przemienił na górze Tabor. Nie sądz, gdy widzisz Matkę moję piastującą mię na ręku, by ta najśłodsza Jej pociecha była bez srogiej katuszy; w samejże chwili, gdy Symeon rzekł do Niej prorocze słowa swoje. Ojciec mój oświecił Ją, i ukazał Jej, jak wielkie męki ucierpię. Wielcy oni Święci, którzy mieszkali na puszczy, pod wodzą Ducha Bożego, który nimi kierował, surowej oddawali się pokucie, ciężkie przytem staczając walki z czartem i z samymi sobą, i długi czas nieraz zostawali bez żadnej pociechy duchownej. Wierzaj, córko, że kogo Ojciec mój więcej miłuje, temu większe daje cierpienia, i miara tych cierpień jest miarą miłości. Czemże więc tobie mogę lepiej okazać miłość moję, jedno gdy dla ciebie chcę tego, czegom chciał sam dla siebie? Przypatrz się tym ranom moim: do tego stopnia bole twoje nigdy nie dojdą. Ta jest droga prawdy. Gdy to zrozumiesz, wtedy wspólnie ze mną będziesz opłakiwała zgubę, jaką na siebie sprowadzają niewolnicy świata, których wszystkie pragnienia, i starania, i myśli, skierowane są do celu wprost przeciwnego, do używania wczasów i roskoszy.“ — Gdy tego dnia zaczynała rozmyślanie, taki miałam silny ból głowy, że zdawało mi się rzeczą niepodobną bym mogła się modlić. A Pan rzekł do mnie: — „Z tego poznasz, jaka jest nagroda cierpienia: nie stało ci siły i zdrowia do mówienia ze mną, a oto ja sam przyszedłem do ciebie, na rozmowę z tobą i pocieszenie ciebie.“ Rzecz pewna, że półtorej godziny, albo mało co mniej, pozostałam tak w zebraniu wewnętrznem, bez najmniejszego roztargnienia. Wtedy Pan mówił do mnie słowa wyżej przyto-



czone, i wiele innych; nie wiedziałam sama gdzie jestem, czułam tylko w sobie takie uszczęśliwienie, że go i opisać nie zdołam; potem ze zdziwieniem spostrzegłam, że mój ból głowy znikł bez śladu, a w duszy czułam gorącą żądzę cierpienia. Wówczas także zalecił mi Pan, bym miała w ciągłej pamięci te słowa Jego do Apostołów: „Nie jest sługa nad pana swego“<sup>1)</sup>.

## SPRAWOZDANIE IV.

O łaskach, jakie otrzymała od Pana w Salmantyce,  
w końcu Wielkiego Postu r. 1571<sup>2)</sup>.

Wczoraj cały dzień zostawałam w wielkiem opustoszeniu ducha, nawet przy Komunii, i choć to był dzień Zmartwychwstania Pańskiego, żadnego przecie taka wielka uroczystość nie robiła na mnie wrażenia. Wieczorem, gdy byłam razem z drugimi, jedna z nich zaśpiewała piosenkę, opiewającą, jakie to gorzkie cierpienie, żyć daleko od Boga. Śpiew ten, odpowiadający ówczesnemu usposobieniu i strapieniu memu, tak silnie na mnie podziałał, że ręce poczęły mi tężeć, i nie było sposobu oprzeć się zachwyceniu. Przekonałam się wówczas, o czem

<sup>1)</sup> Jan, 13, 16.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie to spisane zostało przez św. Teresę w Salmantyce dla O. Ribery, czy którego innego jej spowiednika. Zawierają się w niem wszystkie, o ile wiadomo, łaski i objawienia, jakich dostąpiła onego r. 1571 w W. Tygodniu i w tygodniu Wielkanocnym, ale opisuje je Święta w porządku odwrotnym: mówi naprzód o oschłości jaką cierpiała w dzień Zmartwychwstania, i o zachwyceniu swoim tegoż dnia wieczorem. Potem opowiada, czego doznała przy Komunii w poniedziałek wielkanocny, i stąd cofa się wstecz do łask, otrzymanych w niedzielę Kwietnią i w następne dni W. Tygodnia, i kończy wzmianką o cierpieniach, przebytych kilka dni przedtem, t.j. w tygodniu Męki Pańskiej. Całe to sprawozdanie stanowi ważne i drogocenne dopełnienie do Życia Świętej. Snać pierwotnie spisane było urywkami na luźnych kartach, których część tylko Br. Ludwik z Leonu miał w rękę, bo niektóre tylko następny i to zmienione i skrócone, w *Dodatkach* swoich zamieścił. Ribera i Ypes musieli je widzieć w całości, bo i jeden, i drugi w swej *Historji Św. Teresy* wspominają wszystkie łaski i objawienia w tem sprawozdaniu opisane.

jeszcze nie wiedziałam, że podobnie jak dusza wychodzi z siebie i wpada w zachwycenie od wewnętrznego uszczęśliwienia, tak i bardzo wielkie cierpienie wewnętrzne może ją wprawić w podobneż zawieszenie i wyprowadzić ją z siebie. Przez kilka dni poprzednich nie miałam, zdaje mi się, tych wielkich zapałów, jakich zwykłam doznawać, a tego, który przyszedł na mnie obecnie, przyczyna, jak sądzę, jest ta, o której mówię, jeśli to być może. Przedtem ból mój nie był jeszcze dorósł tej miary, by mógł wydobyć się ze mnie, a że to ból nad wyraz nieznośny, a jeszcze byłam przy zmysłach, więc wyrwał mi z piersi głośne jęki i krzyki, od których niezdolną byłam się powstrzymać. Teraz gdy się wzmógł do ostateczności, doszedł do takiego szczytu przebudzenia duszy, i lepiej teraz rozumiem on miecz boleści, który przebódl duszę Najświętszej Panny, bo dotąd, jak mówię, nie miałam pojęcia o tem, co to jest zachwycenie z bólu. Mam od tego przejścia ciało tak stłuczone, że i dziś z wielką trudnością to piszę, i ręce mię bolą jakby ze stawów wyrwane. Za widzeniem powiesz mi Wasza Miłość, czy może być takie zachwycenie z cierpienia, i czy to, co mi się zdaje, zgadza się z prawdą, czy też jestem w błędzie.

Jeszcze i dzisiaj rano byłam w tem udręczeniu, aż na modlitwie przyszło na mnie wielkie zachwycenie, i zdało mi się że Pan, porwawszy do nieba ducha mego, przedstawiał mię Ojcu swemu, mówiąc Mu:— „Oto ta, którą mi dałeś: oddaję ją Tobie;“— a Ojciec, tak czułam, przygarniał mię do siebie. Nie było to widzenie przez wyobraźnię; ale rzecz sama zupełnie była wyraźna i pewna, a tak wysoko duchowna, że żaden opis jej nie określi. Ojciec, gdy tak byłam blisko przy Nim, mówił mi słowa, których nie pamiętam; niektóre z nich były o łaskach, jakie mi miał uczynić. Trwało to dość długą chwilę, że mię tak trzymał przy sobie.

Wczoraj, gdy Wasza Miłość odszedłeś tak prędko, widząc że nie możesz pozostać przy mnie, nawet dla pocieszenia mnie, gdy pociechy potrzebuję, bo ważniejsze snąc i potrzebniejsze, jakie masz zajęcia, nie pozwalają ci na to, byś tracił czas ze mną, miałam przykrość z tego i zasmuciłam się na chwilę. Czułam że rozmowa z Waszą Miłością, w tem wewnętrznym,

o którym mówiłam, opustoszeniu mojem, byłaby mię pokrzepiła; z drugiej strony jednak, będąc wolną, jak mi się zdaje, od wszelkiego przywiązania do jakiegobądź stworzenia na świecie, zaniepokoiłam się nieco tem mojem pragnieniem pociechy od ciebie, z obawy, czy nie jest to znak umniejszenia się we mnie tej swobody wewnętrznej. Było to wczoraj wieczorem, a dziś Pan raczył mi odpowiedzieć na wątpliwość moję, i rzekł do mnie: — „Nie dziwuj się temu, córko: podobnie jak ludzie w tem śmiertelnem życiu pragną towarzystwa drugich, dla podzielenia się z nimi ziemskimi pociechami swemi, tak i dusza pragnie mieć kogo, coby ją rozumiał, i komuby mogła udzielić radości swoich czy cierpień, i smuci się, gdy nie znajduje takiego.“ — Rzekł mi jeszcze: — „Teraz dobrze jest z tobą, i przyjemne mi są uczynki twoje.“ — Gdy zaś tym razem dłuższą chwilę ze mną pozostawał, przyszło mi na myśl, że przedtem jakoby skarżyłam się Waszej Miłości na krótkotrwałość tych widzeń; a Pan powiedział mi na to: — „Jest różnica między takim widzeniem, a tem co dusza widzi za pomocą wyobraźni. W łaskach, jakich wam użyczam, nie masz stałego prawidła, i być nie może, bo w różny sposób ich użyczam wedle potrzeby, raz tak, a drugi raz inaczej.“

Po Komunii, uczułam najwyraźniej Pana przy mnie stojącego; począł mię pocieszać słowy najczulszej miłości; między innymi, powiedział mi: — „Oto mię masz, córko; jestem przy tobie, ja sam; pokaż ręce twoje.“ — I uczułam, że bierze je w ręce swoje, i do boku swego przykłada; po czem rzekł: — „Obacz rany moje; nie jesteś bezemnie; krótkość życia tego przemija.“ — Z niektórych rzeczy, które mi powiedział, zrozumiałam, że od chwili Wniebowstąpienia swego, nigdy już inaczej nie zstąpił na tę ziemię, ani siebie nikomu nie udzielił, jedno w Najświętszym Sakramencie. Objawił mi jeszcze, jako w pierwszej zaraz chwili Zmartwychwstania swego ukazał się swej Matce Najświętszej, bo już prawie upadała pod nawałem męczeństwa swego; i duszę miała tak na wskrós mieczem boleści przebodzoną, że nawet ujrzawszy już Jego zmartwychwstałego, nie od razu mogła przyjść do siebie, i tą radością się cieszyć. Zrozumiałam z tego przez porównanie, jakie to było

ono moje przebudzenie, jakże różne od tego! i jaka musiała być niezmierna boleść tej Panny Najświętszej, kiedy już ta moja wydała mi się tak wielką. Dodał jeszcze Pan, że długo naonczas pozostał z Matką swoją, bo potrzeba było tego, aby Ją zupełnie pocieszył.

W niedzielę Kwietnią, po przyjęciu Komunii, takie na mnie przyszło zawieszenie ducha, że nawet nie byłam zdolna przełknąć Najświętszy Sakrament. Trzymając go jeszcze w ustach, gdy po chwili nieco przyszedłam do siebie, miałam to uczucie, że usta moje pełne są krwi, i twarz moja i ja cała zlaną krwią, ciepłą jeszcze, jak gdyby dopiero co wypłynęła z ran Zbawiciela. Uczułam z tego słodkość niewypowiedzianą, a Pan rzekł do mnie: — „Córko, chcę byś doznała na sobie błogich skutków krwi mojej, i nigdy nie wątpiła o miłosierdziu mojem. Ja ją wylałam wśród męki najsroźszej, a ty jej używasz z wielką roskoszą, jak widzisz; tak ci się hojnie odpłacam za pociechę, jaką ty mi w tym dniu sprawiasz.“ — Pociechą swoją raczył Pan nazwać to, że od lat przeszło trzydziestu stale, o ile to było w mojej możności, w ten dzień niedzieli Kwietniej przystępowałam do Komunii, i starałam się jaknajlepiej przygotować duszę moją na przyjęcie i ugoszczenie Pana; bo wielką to zawsze wydawało mi się ze strony Żydów nieludzkością, że takie uroczyste uczyniwszy Mu, gdy wjeżdżał do Jerozolimy, przyjęcie, potem Go puścili samego, i kazali Mu tak daleko, aż w Betanii, szukać sobie pożywienia; i wyobrażałam sobie, że Pan wszedłszy do duszy mojej, u mnie sobie odpocznie, choć w bardzo lichej, jak teraz widzę, gospodzie. Takie to tworzyłam sobie myśli dziecinne, a Pan śnać raczył łaskawie je przyjmując, bo widzenie to, którem mi za nie odpłacił, jest jedno z tych, których jestem najpewniejsza; przedziwną też ono było mi nadal pomocą do przygotowania się do Komunii.

Przed tą niedzielą, w tygodniu Męki Pańskiej, przez trzy dni, jeśli dobrze pamiętam, miałam on ból wielki, jaki mi, czasem silniejszy czasem słabszy, sprawia to, że żyć muszę daleko od Boga. Tym razem był on bardzo silny, i zdawało mi się już, że nie wytrzymam. Skołatana i wymęczona tem wewnętrznem cierpieniem, spostrzegłam wreszcie że już późno i pora na

wieczerzę, ale z powodu torsyi jeść nie mogłam. Czując jednak wielkie wycieńczenie, z powodu długiego przedtem niejedzenia, wielki sobie gwałt zadałam i położyłam chleb przed sobą, chcąc zmusić siebie do spożycia go. Wtem ukazał mi się Chrystus Pan, i widziałam jako sam łamie mi chleb, i po kęsku kładzie mi w usta, mówiąc: — „Jedz, córko, i znoś jak możesz; żal mi ciebie że tak cierpisz, ale na teraz tak potrzeba dla dobra twego.“ — Ból mój natychmiast ustał, i pociecha wróciła do duszy, bo najprawdziwiej czułam wówczas, i jeszcze cały dzień następny, że On jest zemną, i tak żądza i tęsknota moja uspokoiła się do czasu. Zwłaszcza to słowo Jego: „Żal mi ciebie“, tak mię pokrzepiło; bo żaden ból, sądzę, już mię boleć nie może, kiedy wiem że On mię żałuje.

---

## SPRAWOZDANIE V.

### OBJAWIENIA I NAUKI O RZECZACH DUCHOWNYCH.

---

O obawie i wątpliwości, czy się jest w stanie łaski.

— „Czego się dręczysz, niebożę? Czy nie jestem już Bogiem twoim? Nie widzisz, jak tam mną poniewierają? Czemuż więc, jeśli mię kochasz, nie bolejesz nademną? Córko, bardzo jest różna światłość od ciemności. Ja jestem wierny; żaden nie ginie nieświadomie, tak by nie wiedział o tem, że sam siebie gubi. Błądzi i łudzi siebie, kto bezpieczeńność swoją pokłada w pociechach duchownych; prawdziwa bezpieczeńność, to świadectwo dobrego sumienia. Ale niechaj nikt nie sądzi, by zdołał sam z siebie mieszkać w światłości; nie jest to w mocy niczyjej, tak samo jak w porządku natury, nikt nie jest mocen zatrzymać noc, aby nie przyszła w porze swojej. Zależy to jedynie od łaski mojej. Najlepszy sposób, by dusza zatrzymała w sobie światłość, polega na tem, by dobrze zrozumiała, że nic nie może uczynić sama z siebie, że światłość przychodzi jej odemnie; bo jakkolwiekby już była w światłości, skoro ja się od niej

oddalę, natychmiast nastaje noc. Ta jest prawdziwa pokora, gdy dusza pozna, co może sama z siebie, a co mogę ja. Nie zaniechaj spisać tych przestróg które ci dają, aby ci nie wyszły z pamięci. Lubisz mieć na piśmie rady i nauki, które odbierasz od ludzi; czemuż więc miałoby ci się wydawać stratą czasu, zapisywanie tych, które słyszysz odemnie? Przyjdzie czas, że wszystkie one będą ci potrzebne.“

Jako Pan dał mi zrozumieć, co to jest zjednoczenie <sup>1)</sup>.

— „Nie sądz, córko, by sama już bliskość przy mnie stanowiła zjednoczenie; blisko, bardzo blisko jestem i przy tych, którzy mię obrażają, choć oni zemną być nie chcą. Ani pociechy nawet i słodkości zjednoczenia, choćby w stopniu bardzo wysokim, choćby z czystego daru mego, nie są jeszcze zjednoczeniem; nieraz są one raczej środkiem tylko do pozyskania duszy, takiej nawet, która nie jest w stanie łaski.“ — W chwili gdy słyszałam te słowa, zostawałam w bardzo wysokiem podniesieniu ducha. Dał mi Pan zrozumieć, co to jest zjednoczenie duchem, i jaki wówczas jest stan duszy, i jak się mają rozumieć te słowa: „Wielbi dusza moja“, i „rozradował się duch mój“; dano mi również zrozumieć, że „duch jest wyższym i przełożonym nad wolą.“

Wracając do kwestyi zjednoczenia, rozumiałam, że jest to stan czysto duchowny, wyniesiony nad wszystkie rzeczy tej ziemi, nie mający już w sobie żadnej najmniejszej cząsteczki, któraby chciała wyjść z pod władania woli Bożej; tak iż człowiek w tym stanie jednym się staje duchem i jedną wolą z Bogiem, zgodny z Nim we wszystkim, próżny siebie a wszystek pełny Boga, bez żadnego śladu miłości własnej, lub przywiązania do jakiegobądź rzeczy stworzonej. Lecz jeśli na tem, myślałam w sobie, zasada się zjednoczenie, tedyć, skoro dusza moja zawsze jest w tem usposobieniu wyrzeczenia się wszystkiego

---

<sup>1)</sup> Ciekawy ten ustęp, jak się okazuje z zakończenia, był spisany na żądanie spowiednika jakoby konsultacya w kwestyi modlitwy zjednoczenia. W braku daty i wszelkich w samym tekście wskazówek, trudno określić, kiedy i do kogo pisany był ten urywek.

dla Boga, tem samem możnaby powiedzieć, że zawsze jest w stanie zjednoczenia; a przecie rzecz pewna i niezaprzeczona, że stan ten może być tylko chwilowym, i bardzo krótko trwa. Przyszłam zatem do wniosku, że jakkolwiek żyjąc sprawiedliwie, i mnożąc przez to zasługi i duchowne zyski swoje, dusza pomnaża się w złączeniu z Bogiem, nie można przecie powiedzieć by tem samem już była w tym stanie zjednoczenia, jakiego dostępuje się tylko w kontemplacyi. I jakby na stwierdzenie tego wniosku mego, zdało mi się że słyszę w sobie taką mowę wewnętrzną, choć bez wyraźnych słów: „że tyle jest pyłu przylegającego do nędzy naszej, i tyle niedostatków i frasunków, w które wciąż na nowo się wikłamy, iż niepodobna byśmy w tym stanie zachowali w sobie tę czystość zupełną, jaką ma duch, gdy złączy się z duchem Bożym, i wyjdzie z siebie i wysoko się wzniesie nad tę nędzę nędz naszych.“ I zdaje mi się także, że skoro zjednoczenie zasadza się na takim zupełnem zgodzeniu i złączeniu woli i ducha naszego z duchem Bożym, więc też niepodobna by je mógł osiągnąć, kto nie jest w stanie łaski, choć utrzymywano mi przeciwnie. Ostatecznie sądzę, że będzie to zawsze bardzo trudno, bez szczególnej łaski Bożej, poznać kiedy mianowicie jest istotne „zjednoczenie“, bo kto jest w tym stanie, sam stanu swego nie rozumie.

Napisz mi Wasza Miłość swoje zdanie, i powiedz jeśli tu powiedziałam co nie do rzeczy, a kartę tę odeślij mi na powrót.

Wyczytawszy w którejś książce, że trzymanie u siebie wyobrażeń misternie wyrabianych nie jest rzeczą zgodną z doskonałością, a mając właśnie w celi swojej takie wyobrażenie, miałam już zamiar je usunąć. Przedtem już, nim jeszcze natrafiłam na tę książkę, zdawało mi się, że ubóstwo nie pozwala jedno na proste obrazki papierowe; tembardziej więc wyczytawszy ono zdanie, postanowiłam innych w klasztorze nie dopuszczać. Wtem, w chwili, kiedy zupełnie o tem nie myślałam, usłyszałam od Pana te słowa: — „Nie dobre jest takie umartwienie. Bo powiedz, co lepsze: czy ubóstwo, czy miłość? Skoro więc lepsza jest miłość, nie pozbawiaj siebie, ani zakonnicom twoim nie odbieraj tego, co pomaga do wzbudzenia w sobie miłości. Książka, którą czytałaś, mówi tylko o bogatych rzeźbach

i innych wytwornych ozdobach wyobrażeń, nie zaś o samych wyobrażeniach. Tej zdrady właśnie dyabeł dokazał na lutrach, że im odjął wszelkie środki i sposoby pobudzenia siebie do większej pobożności, i tak idą na zatracenie. Wierni moi, córko, teraz więcej niż kiedybydź powinni się starać o to, aby czynili wprost przeciwnie temu, co tamci czynią.“--Oznajmił mi przytem Pan, jako wielki mam obowiązek gorliwie służyć Najświętszej Pannie i św. Józefowi, bo Im to zawdzięczam, że wiele razy gdy byłam już bliską odrzucenia, Bóg, Ich prośbami ubłagany, nawrócił mię na drogę zbawienia.

Nazajutrz po św. Mateuszu, już po onem widzeniu, w którym dano mi było oglądać Trójkę Świętą, i stan duszy żyjącej w łasce, będąc jak zwykle zachwycona na modlitwie, dostąpiłam bardzo jasnego poznania tejże tajemnicy i wyraźnego, w pewien sposób i za pomocą porównań, widzenia jej przez wyobraźnię. Wrażenie poprzedniego, jakie mi było kilkakrotnie użyzione, widzenia jej umysłowego, po kilku dniach osłabło, i nie pozostawiło we mnie tak dokładnego, jak je dzisiaj mam, poznania tej prawdy, iż mogę ją sobie jasno w myśli przedstawić. I widzę teraz, że co w tem widzeniu oglądałam, to nieraz przedtem słyszałam od uczonych i teologów, w takiż sam sposób wykładane, tylko że nie rozumiałam tego, co mi mówili, jak teraz rozumiem, choć zawsze bez wahania w to wierzyłam, bo pokus przeciw wierze nigdy nie miałam.

W ciemnocie grubo zmysłowych pojęć naszych, zdarza się, że wyobrażamy sobie trzy Osoby Trójcy Świętej, jak je nieraz przedstawiają na obrazach, złączone w jedną osobę, podobnie jakby odmalować człowieka o jednym ciele, a trzech twarzach; a ponieważ wyobrażenie takie nam jest wstrętnem, i samo przez się przedstawia się jako rzecz niemożliwa, więc nie śmiemy dłużej nad tem się zastanawiać, bo umysł, zbity z tropu, lęka się by w końcu o samej prawdzie nie zwątpił, i tak pozbawia siebie wielkiego zysku, jakiby mógł odnieść z głębszego tej prawdy rozważania.

To co mnie się ukazało, były to trzy Osoby odrębne, z których każda ma własną postać i własną mowę swoją. Potem jeszcze, na lepsze stwierdzenie tej odrębności Osób, sta-



nęło mi na myśli, jako jedna tylko Osoba Syna przyjęła ciało ludzkie. Trzy te Osoby miłują się wzajemnie; i wzajemnie się jedna drugiej udzielają, i wzajemnie znają siebie. Lecz jeśli każda ma własną odrębność swoją, jakim więc sposobem możemy mówić i wierzyć, że wszystkie trzy jednaż są istotnością, co przecie jest prawdą wysoką i wielką bardzo, za którą gotowa jestem tysiąc razy umrzeć? Takim sposobem, że we wszystkich trzech Osobach jedna jest wola, i jednaż wszechmoc, i jednaż władza najwyższa. Tak iż żadna z nich nie może uczynić bez drugiej, i wszystkich ile ich jest na świecie stworzeń, jeden jest Stworzyciel. Czy mógłby Syn stworzyć jedną mrówkę bez Ojca? Nie, bo jedna jest Ich obu moc, i tak samoż i Ducha Świętego: tak iż jeden jedyny jest Bóg, wszystek wszechmogący, i wszystkie trzy Osoby jednymże są Majestatem. Czy mógłby kto miłować Ojca, nie miłując zarazem Syna i Ducha Świętego? Nie, bo kto przyjemnym jest jednej z trzech Osób, przyjemnym jest wszystkim trzem i podobnież, kto obraża jedną, obraża wszystkie trzy. Czy może Ojciec być bez Syna i bez Ducha Świętego? Nie, bo jedna jest istność Boska, i gdzie jest jedna Osoba, tam są wszystkie trzy, i rozdzielone być nie mogą. Jakim więc sposobem widzimy jednak trzy Osoby odrębne, i jakim sposobem ciało ludzkie przyjął tylko Syn, a nie Ojciec, ani Duch Święty? Tego już nie rozumiem, niech to tłumaczą teologowie. To tylko wiem, że w tem dziele tak cudownem działali wszyscy Trzej, i dalej się w to nie zagłębiał; na samym wstępie myśl moja na tem się zatrzymuje, iż wiem, że jest to Bóg wszystek wszechmogący i że tak chciał, a więc i mocen był uczynić, jak chciał; i im lepiej to rozumiem, tem mocniej w to wierzę, i tem głębszą dla Niego czuję cześć i nabożeństwo. Niech będzie błogosławiony na wieki. Amen.

Gdyby mi Pan nie był uczynił tych łask, które mi uczynił, nie sądzę bym się była zdobyła na odwagę podjęcia tych dzieł, których się dokonało, ani na siłę potrzebną do zniesienia tych utrapień, i przeciwnieństw, i sądów, jakie się wycierpiało. I tak, od chwili, jak się wszczęły fundacye, znikły dawne obawy i strachy moje, czy nie jestem oszukiwaną przez ducha złego, i zupełnej nabrałam pewności, że to co się dzieje we mnie,

jest sprawą Boga, i tę pewność mając, ochotnie się porywałam na rzeczy trudne, choć zawsze radząc się i słuchając kogo należało; z czego wnoszę, że jako spodobało się Panu wzbudzić początki tego zakonu, i mnie w miłosierdziu swoim użyć ku temu za narzędzie, tak też Boski Majestat Jego wziął na siebie dopełnienie tego, czego mi nie dostawało, to jest wszystkiego, aby to co postanowił, przyszło do skutku, i aby tem jaśniej w takiej nędznej istocie okazała się wielmożność Jego.

Antyoch, skutkiem mnóstwa grzechów których był pełny, taką z siebie złą woń wydawał, że nie mógł znieść sam siebie, ani otaczający go przy nim wytrzymać nie mogli.

Spowiedź jest na to, aby wyznawać na niej winy swoje i grzechy, a nie cnoty swoje i łaski otrzymywane na modlitwie, chyba tylko takim, któremu podobne rzeczy bezpiecznie powierzać można. Nad tem niech czuwa przeorysza, a siostra w danym razie niech jej wyzna potrzebę swoją, a przełożona osądzi, jak należy postąpić; bo, jak mówi Kassyan, ten kto nie jest świadomy tych rzeczy duchownych, podobny jest do człowieka, który nigdy nie widział tego ani słyszał o tem, że są ludzie, którzy pływać umieją; zaczem, gdy ujrzy kogo zanurzającego się w rzece, sądzi że koniecznie musi utonąć.

Jako Pan sam tego chciał, by Józef opowiedział braciom widzenie swoje, i by to widzenie nie pozostało w ukryciu, chociażby objawienie jego tyle miało kosztować Józefa, ile go w rzeczy samej kosztowało.

Jako strach mimowolny, którego doznaje dusza w chwili, gdy Bóg raczy jej uczynić jaką łaskę nadzwyczajną, jest skutkiem czci głębokiej, jaką nas przenika zetknięcie się z duchem, jak tego mamy przykład na onych czterech <sup>1)</sup> starcach, o których mówi Pismo.

Jako pozorna ta sprzeczność, że władze wewnętrzne, choć w czasie zachwycenia pozostają w zawieszeniu, zdolne są jednak w tymże czasie przedstawiać duszy tę lub owę rzecz, aby

---

<sup>1)</sup> Zapewne Święta chciała powiedzieć „dwudziestu i czterech.“ Wyraźnie tu miała na myśli następ Księgi Objawienia, gdzie jest mowa o czworgu zwierząt symbolicznych, otaczających stolicę Bożą, i o dwudziestu i czterech starszych, upadających na twarz przed siedzącym na stolicy (Obj. 4, 6—10).

ją poleciła Bogu, może się tak rozumieć, że nie władze same czynią to przedstawienie, ale może anioł jaki, jak on o którym mówi Pismo, że stoi z kadzielnicą przed stolicą Bożą, i ofiaruje Panu modlitwy świętych <sup>1)</sup>.

Jako nie masz grzechu bez świadomości, dla tego i Pan nie dopuścił onemu królowi zgrzeszyć z żoną Abrahama, bo ją poczytywał za siostrę, a nie za żonę jego <sup>2)</sup>.

---

## SPRAWOZDANIE VI.

O ślubie posłuszeństwa, który uczyniła Ojcu Gracyan, r. 1575.

Roku 1575, w miesiącu kwietniu, w czasie pobytu mego w nowej fundacyi w Veas, trafiło się że przybył tam Mistrz Brat Hieronim od Matki Boskiej Gracyan. Spowiadałam się u niego niejednokrotnie, ale nie w taki sposób, bym się całkiem oddawała pod kierunek i władzę jego, jak to czyniłam ze zwyczajnymi spowiednikami moimi. Któregoś dnia, gdy byłam przy stole, bez żadnego uprzedniego podniesienia ducha, uczułam nagle poczynające się w duszy zawieszenie i zebranie, zapowiadające mi przyjść mające nowe zachwycenie, i z szybkością błyskawicy, jak zwykle, stanęło mi w oczach to widzenie i zjednoczenie z Panem. Ujrzałam tuż przed sobą Pana naszego Jezusa Chrystusa, w takiej samej postaci, w jakiej zwykle mi się ukazuje Boski Majestat Jego, a przy Nim, z prawego boku, stał tenże Mistrz Gracyan. Pan ujął prawą rękę jego i moją, i złączywszy je, rzekł: — „Chcę, abyś tego przyjęła za namiestnika

---

<sup>1)</sup> Obj. 5, 8.

<sup>2)</sup> Ostatnie te cztery ustępy, żadnego między sobą związku nie mające, są to widocznie krótkie aforyzmy albo notatki, które Święta dla pamięci sobie zapisywała, albo też może, jakby z formy ich wnosić można, nagłówki przygotowane do zamierzonego dalszego myślenia w nich zawartej rozwinięcia. Ustępy te, podobnie jak i poprzednie artykuły tego sprawozdania, w wydaniu Br. Ludwika z Leonu i późniejszych, porozrzucone, to w *Dodatkach*, to w *Urywkach*, to w *Listach*; w rękopisie Awilańskim i Toletańskim znajdują się zamieszczane pod tymże ogólnym tytułem Sprawozdań, — *Relaciones*.

mojego na całe życie; bądźcie zgodni ze sobą we wszystkim, bo tak potrzeba.“ — Pozostała we mnie zupełna pewność, że widzenie to i zalecenie było od Boga, że je zatem spełnić należy. Ale stawało mi w tem na przeszkodzie wspomnienie na dwóch spowiedników, których długi czas miałam za przewodników, i słuchałam ich, i wiele im zawdzięczam; zwłaszcza jeden z nich, do którego mam wielkie przywiązanie, straszliwy mi w tym razie wstręt i trudność czynił. Z tem wszystkim jednak, nie mogąc żadną miarą przypuścić tej myśli, by widzenie ono było złudzeniem, bo z nadzwyczajną na mnie siłą podziałało, i bardzo głębokie pozostawiło mi wrażenie, tem bardziej, że potem jeszcze dwa razy Pan przemówił do mnie wyraźnemi słowy, abym się nie bała, i że On tego chce: widząc zatem wyraźnie, że taka jest wola Pańska, zdobyłam się wreszcie na postanowienie spełnienia jej, i oddania się w posłuszeństwo wskazanego mi przewodnika aż do końca życia mego, czego nigdy z żadnym z poprzednich nie czyniałam, choć miałam do czynienia z wielu mężami wysokiej nauki i świętości, i z wielką troskliwością zajmującymi się duszą moją, ale mi nigdy na myśl nie przyszło, uczynić rzecz podobną, i związać się z którym niezmiennie i na zawsze; raczej z pomiędzy wielu wybierałam sobie na spowiednika tego, który rozumiałam że będzie dla mnie odpowiednim, i że ja również nie będę dla niego ciężarem.

Skoro się zdobyłam na to postanowienie, taki uczułam w sobie pokój i taką ulgę wewnętrzną, że sama sobie się dziwiłam, i nowe w tem uznałam upewnienie, że Pan tego chce; bo takiego pokoju i takiej pociechy nie sądzę by dyabeł mógł sprawić w duszy; stąd też, ile razy na to wspomnę, wielbię Pana, i przychodzą mi na myśl te słowa Psalmu: — „Posuit fines tuos pacem, — uczynił granice twoje pokój“<sup>1)</sup>, — i radabym całą wyniszczyć siebie w wychwalaniu Boga.

Może w miesiąc po uczynieniu tego postanowienia, w drugi dzień Zesłania Ducha Świętego, gdym bawiła w Sewilli dla fundacyi tamecznej, wysłuchałyśmy Mszy świętej w pustelni w Ecija,

---

<sup>1)</sup> Ps. 147.

i tamże pozostałyśmy na odpoczynek południowy. Towarzyszki moje modliły się w pustelni, ja zaś usunęłam się na samotność do przyległej zakrystyi. Staęła mi tam na myśli wielka łaska, jaką mi był uczynił Duch Święty w takiż dzień uroczysty, w wigilję święta. i powstało we mnie wielkie pragnienie oddania Jemu jakiej bardzo znacznej usługi, a nie mogłam znaleźć takiej rzeczy, którejbym nie miała uczynionej, albo przynajmniej postanowionej, bo uczynek każdy zawsze musi być niedoskonały i odpowiedni nędzy mojej; aż przyszło mi na myśl, że choć uczyniłam już ślub posłuszeństwa, mogę go przecie uczynić jeszcze w sposób doskonalszy, i że przyjemną Jemu będzie ze mnie ofiarą, gdy poślubię to, co już byłam zamierzyła, to jest, że będę posłuszną Ojcu Mistrzowi Hieronimowi. Z jednej strony zdawało mi się, że nic przez to nie uczynię wielkiego, skoro już przedtem byłam postanowiła to uczynić; ale z drugiej strony, niezmierną w tem przykrość i trudność czułam, ze względu na to, że czyniąc ślub przełożonemu, nie otwiera się przed nim duszy swojej; że przełożeni się zmieniają, i że gdy z jednym niedobrze, nastaje drugi; że wreszcie mam siebie, jak mi się zdawało, na całe życie pozbawić wszelkiej swobody, i zewnętrznej, i wewnętrznej: wszystko to udęczało mię niewypowiedzianie, i wzniecało we mnie pokusę, bym tego nie czyniła. A przytem, samże ten opór, który czułam w woli, głęboko mię zawstydział: że oto, gdy zdarza się sposobność uczynienia czegoś dla Boga, ja się od tego uchylam, że służba Jego, wymagająca takiego postanowienia, wydaje mi się rzeczą przykrą i twardą. Słowem, trudność ta taką mi mękę sprawiała, że nie pamiętam bym w życiu mojem jaką uczyniła z siebie ofiarę, nawet gdy składałam professyę, przy którejbym taką ciężkość czuła i rozdarcie wewnętrzne, z wyjątkiem onej chwili, kiedy opuszczałam dom ojcowski, dla wstąpienia do klasztoru. I ciężkość ta była powodem, że wyszedł mi z pamięci Ten, którego miłuję, i udział, jaki On ma w zamiarze moim, owszem wówczas przedstawiał mi się jakby obcy,—co mię potem mocno przeraziło;—tylko bojaźń wielką czułam ciągle, czy się nie przeniewierzam służbie Bożej. Natura, nie lubiąca skrępowania, a kochająca się w swobodzie, musiała zrobić swoje; choć ja tej

swobody od wielu lat już nie używam, i za nią nie tęsknię. Ale ślubem zrzec się jej nieodwołalnie, to zdawało mi się rzecz inna, jak i jest w istocie. Wreszcie, po długiej i ciężkiej walce wewnętrznej, Pan raczył mię natchnąć ufnością wielką: powiedziałam sobie, że ofiara ta, im mi jest cięższą, tem będzie lepszą; że ślub ten uczynię na cześć i dla miłości Ducha Świętego i tem samem jakoby zobowiązę Go, aby oświecał tego Ojca, by on mógł mnie oświecać; a przytem przypomniało mi się, że Pan sam mi go przeznaczył za przewodnika. Upadłam więc na kolana i przyrzekłam, że całe życie moje będę czyniła cokolwiek mi rozkaże, aby przez to oddać cześć i służbę Duchowi Świętemu, byleby w rozkazach jego nie było nic przeciwnego Bogu, albo z ujmą dla przełożonych, względem których większe mam zobowiązania. Zastrzegłam sobie, że ślub ten nie będzie się rozciągał do rzeczy mniejszej wagi, gdybym naprzykład z naleganiem chciała takiej rzeczy, i nie zważając na decyzję jego bym jej zaniechała, potem na nowo o nią się upominała; ani do łask i pociech moich wewnętrznych, ani do rzeczy obojętnych, czyniących się bez zastanowienia. Nakoniec co do uchybień, i grzechów moich, i wewnętrznego usposobienia mego, przyrzekłam, że nic przed nim nie ukryję świadomie, co jest więcej niż to, co zwykle zachowuje się w stosunku do przełożonych, i że wewnątrznie zarówno jak i zewnątrznie, będę go miała za namiestnika Boga samego. Nie wiem czy tak było istotnie, ale po złożeniu tego ślubu zdawało mi się, że wielką rzecz uczyniłam na cześć Ducha Świętego; uczyniłam przynajmniej wszystko co umiałam i mogłam, choć to bardzo mało w porównaniu z tem, co Jemu jestem winna.

Dziękuję Bogu, że stworzył człowieka, na którego w zupełności zdać się mogę; bo mam tę ufność najmocniejszą, że w Boskiej łaskawości swojej będzie mu dla mnie wielkich łask używał; a ja wielkie mam wesele i uszczęśliwienie wewnętrzne, iż całkiem, rzecz mogę, uwolniłam się od samej siebie, i gdzie obawiałam się, że znajdę ucisk i skrępowanie, tam przeciwnie nabyłam nierównie większej wolności. Niech będą Panu dzięki i chwala za wszystko.

---

## SPRAWOZDANIE VII.

Napisane roku 1575 dla O. Rodryka Alvarez, Towarzystwa Jezusowego.

Wymienia w niem spowiedników, którym w różnych czasach powierzała sumienie i duchowne sprawy swoje, i opowiada główne zdarzenia zakonnego życia swego.

Zakonnica, która to pisze, przyjęła habit lat temu czterdzieści; od pierwszego roku powołania swego poczęła rozmyślać o Męce Chrystusa Pana, rozważając po kolei tajemnice jej, po kilka razy dziennie, i zastanawiając się przytem nad grzechami swemi; o rzeczach któreby wychodziły nad zwykły porządek przyrodzony, nigdy nie myślała; zapatrywała się tylko na stworzenia, albo na takie rzeczy, które jej przypominały, jak prędko wszystko się kończy, a w stworzeniach upatrywała wielmożności Boga, i miłość nieskończoną jaką On nas miłuje.

Miłość ta daleko gorętszą wzniecała w niej żądzę służenia Jemu, niż bojaźń, którą się nigdy nie powodowała; pobudka taka zupełnie nie przypadała do jej usposobienia; zawsze tylko wielkie miała pragnienie, aby Bóg był uwielbiony od wszystkich, i aby mnożyła się chwała Jego. Do tego celu zmierzały wszystkie jej modlitwy; dla siebie o nic nie prosiła, bo w zamian za jedno, choćby w najmniejszej rzeczy, pomnożenie chwały Bożej, małą jej się wydawało rzeczą znosić wszystkie męki czyscowe.

W takim stanie przeżyła około dwudziestu i dwóch lat, wielkie wciąż cierpiąc oschłości; a nigdy jej ani w myśli nie powstało, pragnąć czego więcej; bo za taką poczytywała siebie, że i pomyśleć o Bogu nie warta, i że wielką Pan w Boskiej dobroci swojej czyni jej łaskę, cierpiąc ją w obecności swojej na modlitwie, albo na jakim pobożnem czytaniu.

Będzie temu jakoby ośmnaście lat, na dwa albo trzy lata, — zdaje mi się, że trzy, — przed podjęciem sprawy pierwszego klasztoru karmelitek Bosych, który założyła w Awili, jak zaczęło się jej zdawać, że słyszy nieraz kogoś wewnątrz do niej mówiącego, i że widzi pewne widzenia i objawienia, wewnątrz, oczyma duszy, — bo oczyma ciała nigdy nie nie

widziała, ani nic nie słyszała uszami; dwa razy zdawało jej się że słyszy zewnątrz jakieś mowy z ust niewidomych pochodzące, ale obadwa razy nic nie zrozumiała. Obrazy, jakie jej się w tych widzeniach wewnętrznych przedstawiały, po największej części przemijały szybko jak błyskawica; ale tak głębokie i trwałe pozostawiały po sobie wrażenie, i tak wielkie, owszem i większe, sprawiały w niej skutki, jak gdyby je była oglądała oczyma cielesnemi.

Pisząca tak nadmiernie lęklivego była naonczas usposobienia, że nieraz i w biały dzień bała się zostawać sama. Nie mogąc zaś, jakkolwiek o to się starała, zapobiedz tym widzeniom i od nich się uchylić, bardzo tem się dręczyła, z obawy czy niema w tem jakiej zdrady dyabelskiej. Poczęła tedy szukać na to rady i pomocy u mężów duchownych z Towarzystwa Jezusowego, między innymi: u O. Araoz, który będąc komisarzem Towarzystwa, bawił jakiś czas w tych stronach; u O. Franciszka, byłego księcia Gandyi, z którym rozmawiała dwa razy; u prowincyała, obecnie powołanego do Rzymu na Assystenta, O. Idziego Gonzalez; także u O. Jana Suarez, obecnie prowincyała w Kastylii, choć z tym mniej miała styczności; dalej, u O. Baltazara Alvarez, obecnie rektora w Salmantyce, który w tym czasie całe sześć lat ją spowiadał; u O. Salazar, obecnie rektora w Cuenza; u O. Santander, rektora w Segowii; u rektora w Burgos, O. Ripalda, który zrazu źle był o niej uprzedzony, dowiedziawszy się o tych rzeczach, dopóki jej potem sam nie wysłuchał; u doktora Pawła Hernandez w Toledzie, konsultora Inkwizycyi; u Ojca który był rektorem w Salmantyce, w czasie gdy u niego się spowiadała; u doktora Gutierrez i u innych jeszcze Ojców, po części należących do Towarzystwa, którzy jej się zdawali świadomymi rzeczy duchownych, a do których się udawała, ponieważ znajdowali się w miejscach, w których chwilowo dla fundacyj nowych przebywała.

Z O. Bratem Piotrem z Alkantary, mężem świętym z zakonu franciszkanów Bosych, dużo rozmawiała, i on to głównie przyczynił się do tego, że w końcu uznano, iż działa w niej duch dobry. Przez sześć lat przeszło wystawiano ją na ciężkie



próby, jako o tem szerzej pisała <sup>1)</sup>, i jako jeszcze niżej się wspomni; a ona łzami się zalewając i głęboko strapiona, im więcej mnożyło się prób, tem częstsze miewała zawieszenia i zachwycenia, choć bez odchodzenia od zmysłów.

Wiele modlitw zanoszono do Boga, wiele Mszy świętych ofiarowano, aby Pan raczył ją na inną drogę wprowadzić; bo niezmiernie wielka bojaźń ją udręczała, lubo tylko w porach kiedy nie była na modlitwie, i lubo we wszystkim co się ściaga do wyższego postępu duszy, wielka się w niej okazywała odmiana na lepsze, a przytem ani śladu próżnej chluby, ani nawet pokusy do unoszenia się próżnością lub pychą; owszem raczej wstydziła się tych rzeczy, i rumieniła się na myśl, że ludzie o nich wiedzą; i z wyjątkiem spowiedników, albo takich, którzyby ją oświecić mogli, nigdy z nikim o tych rzeczach nie mówiła; a i przed spowiednikiem przykrzej jej było te przejścia swoje wyznawać, niż gdyby to były ciężkie grzechy, bo zawsze jej się zdawało, że ją wyśmiewać będą, i że poczytają to wszystko za czczą, egzaltację kobiecą i marne mrzonki, jakim podlegają dewotki, a któremi ona zawsze się brzydziła.

Będzie temu może lat trzynaście,—już po założeniu domu św. Józefa, i po jej do tegoż przeniesieniu się z tamtego klasztoru,—przybył do miasta tego biskup, który teraz jest biskupem salmantyceńskim, a przedtem był inkwizytorem, naprzód w Sewilli, a potem, zdaje mi się, w Toledzie. Nazywał się Soto. Ona postarała się o posłuchanie u niego, dla większego uspokojenia swego. Zdała mu sprawę o wszystkim. On, wysłuchawszy jej, oznajmił, że nie jest to sprawa, któraby należała do jego urzędu inkwizytorskiego, skoro wszystko to, co ona widzi i słyszy, utwierdza ją coraz bardziej w wierze katolickiej, w której zawsze trwała niewzruszona, żywiąc przytem najgorętsze pragnienia chwały Bożej i dobra dusz, dla których, i dla każdej poosobno, tysiąc razy dałaby się zabić.

Widząc ją tak znękaną, poradził jej by się udała do Mistrza Jana z Awili, męża w rzeczach modlitwy wewnętrznej bardzo doświadczonego; jemu niech opíše wszystko, i cały

<sup>1)</sup> W księdze *Życia*.

przebieg życia swego, niczego nie opuszczając, a co on jej odpowie, na tem będzie mogła spokojnie polegać. Usłuchała tej rady, i spisała grzechy i całe życie swoje. Odpowiedź Mistrza była bardzo pocieszająca i uspakajająca. Ono zaś sprawozdanie jej tak było napisane, że wszyscy teologowie, spowiednicy moi, którzy je czytali, znaleźli w niem pełno bardzo pożytecznych uwag o rzeczach duchownych; skutkiem czego zalecili jej, by je dała przepisać, i ułożyła drugą książeczkę <sup>1)</sup>, z podobnemi radami i przestrogiemi dla córek swoich,—bo była przeoryszą.

Z tem wszyskciem jednak od czasu do czasu jeszcze się w niej odzywały dawne jej obawy; nieraz jeszcze przychodziło jej na myśl, że i ludzie wysoko duchowni tak samo mogą się mylić jak ona. Oznajmiła spowiednikowi chęć swoją zasięgnięcia zdania najznakomitszych uczonych i teologów, chociażby niebardzo oddanych modlitwie; bo o to jedno tylko jej chodziło, by się upewniła, czy to, co w niej się dzieje, zgadza się z Pismem świętem. Chwilami znowu pociechę i uspokojenie znajdowała w tem przeświadczeniu, że lubo sama dla grzechów swoich zasłużyła na to, by stała się pastwą zamięn złego ducha, przecie być nie może, by Pan tyłu ludziom dobrym i cnotliwym, szczerze pragnącym ukazać jej prawdę, dopuszczał błędzić i utwierdzać ją w błędzie.

W tym więc zamiarze gruntowniejszego oświecenia i upewnienia się, poczęła się zwracać do Ojców zakonu chwalebnego św. Dominika, przed którymi już przedtem była się z tych rzeczy spowiadała, to jest nie przed tymi samymi Ojcami, ale przed Ojcami tegoż samego zakonu. Ci zaś, których się potem radziła, byli następujący: O. Brat Wincenty Baron, naonczas konsultor świętego Officyum, który ją półtora roku spowiadał w Toledzie, i przedtem jeszcze przez wiele lat o tych rzeczach z nią traktował. Był to wielki teolog. Uspakajał ją najzupełniej, podobnie jak i Ojcowie Towarzystwa, o których było wyżej. Skoro nie obraża Boga, tak oni mówili jej wszyscy, i skoro uznaje siebie grzeszną, czegożby miała się lękać? Radziła się dalej O. Brata Piotra Ybanez, który był lektorem w Awili:

---

<sup>1)</sup> Była to książka p. t. *Droga doskonałości*.

O. magistra Brata Dominika Banez, obecnie regensa kollegium św. Grzegorza w Waliadolidzie; spowiadał mię przez sześć lat, i zawsze też, ile razy zdarzyła się potrzeba, znosiłam się z nim listownie; O. magistra Chaves; O. magistra Brata Bartłomieja de Medina, doktora salmantyceńskiego, o którym wiedziała, że z tego, co słyszał o niej, źle był dla niej usposobiony; wносиła zatem, że on, tak mało ją ważąc, pewniej niż ktobądź inny nie będzie jej oszczędzał, i powie jej, jeśli jest w błędzie. Było to dwa lata temu, albo mało co dawniej. Uprosiła go, by słuchoł jej spowiedzi, przez czas jej tam pobytu, zdała mu najdokładniejszą sprawę o wszystkim, i toż samo, aby lepiej zrozumiał, podała mu na piśmie. Po tem wszystkim, on także, tak samo i więcej niż drudzy, kazał jej być spokojną, i od tego czasu stał się i pozostał najlepszym jej przyjacielem.

W Waliadolidzie, bawiąc tam jakiś czas dla założenia nowego klasztoru, spowiadała się u Brata Filipa de Meneses, który wówczas był rektorem miejscowego kollegium św. Grzegorza, i przeltem już, usłyszawszy o tych rzeczach, przyjeżdżał do Awili dla rozmówienia się z nią, w tym najżyczliwszym zamiarze, że jeśli się przekona, iż ona jest w błędzie, oświeci ją, a w przeciwnym razie będzie jej bronił przeciwko wszelkim, jakieby na nią posłyszał, szemraniom. Odjechał zupełnie zadowolniony.

W szczególności też zasięgała rady O. Salinas, prowincyała zakonu św. Dominika, męża wysoko duchowego; i drugiego teologa, O. Lunar, który był przeorem u św. Tomasza w Awili, a w Segowii, Brata Diego de Yangües, lektora.

Między tymi Ojcami dominikanami nie zbywało na takich, którzy w wysokim stopniu oddani byli modlitwie bogomyślnej, owszem, prawie wszyscy byli mężami bogomyślnymi. Niekiedy wszakże miała do czynienia i z innymi, do czego w ciągu tylu lat, zwłaszcza gdy z powodu fundacyi tak często zmieniała miejsce, koniecznością, nieraz i ze strachem, była zmuszoną. Przebyło się prób nie mało. bo każdy chciał na swój sposób ją oświecić, i usilnie w nią wmawiał, co był wmówił w siebie. Ona zawsze i niezmiennie pragnęła być posłuszną, cokolwiek jej kazano, zaczem i wielką to dla niej było zgryzotą, gdy

w tych rzeczach nadprzyrodzonych niepodobna jej było którego usłuchać. Modlitwy jej, i modlitwy sióstr w domach przez nią założonych, głównym i najprzedniejszym celem i przedmiotem jest rozszerzenie wiary i wzrost jej zakonu; w tym celu też powzięła myśl założenia pierwszego swego klasztoru.

Tym, którzy w widzeniach jej upatrywali sprawę ducha złego, odpowiadała, że gdyby które z tych widzeń nakłaniało ją do rzeczy przeciwnych wierze katolickiej i przykazaniom Boskim, nie potrzebowałaby szukać i zasięgać zdania uczonych, ani w dalsze próby się wdawać, ale sama widziałaby odrazu, że to sprawa dyabelska. Nigdy niczego nie uczyniła, opierając się na tem jedynie, co jej było objawionem na modlitwie; owszem, jeśli kiedy spowiednicy kazali jej uczynić rzecz tym objawieniom przeciwną, bez żadnej ciężkości spełniała ten rozkaz, i zawsze im zdawała sprawę z wszystkiego. Nigdy, choćby ją upewniano, że tak jest, nie miała tak stanowczego przekonania i wiary w to, że widzenia jej są od Boga, iżby gotowa była przysiąc na to, chociaż ze skutków i wielkich łask, jakich w niektórych rzeczach stąd doznawała, wносиła, że działa w niej duch dobry; ale zawsze wyżej nad wszystko, pragnęła postępu w cnotach; i toż samo zaleca zakonnicom swoim, powtarzając im często, że kto będzie głębiej pokornym i umartwionym, ten będzie wyżej duchowym.

Wszystko to, co tu powiedziane i napisane, podała na piśmie O. magistrowi Bratu Dominikowi Banez, mieszkającemu w Waliadolidzie, z którym najdłużej się znosiła, i dotąd się znosi. O. Banez przedstawił jej pismo świętemu officyum w Madrycie, jak ją o tem uprzedzał. We wszystkim poddaje się wierze katolickiej i Kościołowi Rzymskiemu. Nikt jej tych widzeń nie poczytał za winę, bo są to rzeczy wyższe nad możność człowieka, a rzeczy niepodobnych Pan od nas nie żąda.

Że te jej sprawy wewnętrzne takiego nabrały rozgłosu, poszło to stąd, że ona, będąc w ciągłej obawie, radziła się kogo mogła, a ci znowu powiadali to drugim; przyczyniła się do tego i zła przygoda, jaka się zdarzyła z jej pismem. Było to dla niej nad wyraz dotkliwem udręczeniem i krzyżem, i kosztowało ją wiele łez; nie przez pokorę, z pewnością, ale z powodu jaki wyżej

wymieniła. Snać dopuścił to Pan na utrapienie jej; bo choć który zrazu gorzej się o niej odzywał niż drudzy, wkrótce potem i taki tem bardziej ją chwalił.

Bardzo się wystrzegą poddania się pod kierunek takich, o których wiedziała albo domyślała się, że bezwarunkowo uznają wewnętrzne przejścia jej za działanie ducha Bożego; zaraz jej przychodziła obawa, że może ich oboje, i ją, i tak przychylnie o niej sądzącego, dyabeł w pole wyprowadza. Ochotniej powierzała duszę swoją takiemu, który okazywał wahanie się i niepewność w tym względzie; choć przytem jednak przykro jej było, gdy który, dla wystawienia jej na próbę, zupełne dla tych rzeczy objawiał lekceważenie, bo z pewnych względów rzeczy te miały w jej oczach wyraźną cechę pochodzenia od Boga, i dla tego, jak trudno jej było zupełną dać wiarę tym, którzy je bezwarunkowo uznawali za objawienia Boże, tak również nierada była gdy kto, za rozpatrzeniem sprawy, tak stanowczo je odrzucał. Tak, dobrze rozumiejąc że w tych widzeniach może być złudzenie, zawsze się obawiała możliwego niebezpieczeństwa, i nigdy się zupełnie upewnić nie mogła.

Starą się z wszystkiej możności swojej nigdy niczem nie obrazić Boga, i zawsze we wszystkim być posłuszną; pod tą dwojaką obroną, ufała, że chociażby te rzeczy były sprawą złego ducha, przecie przy pomocy Boskiej będzie od zrad jego bezpieczną.

Od czasu jak zaczęła otrzymywać te objawy nadprzyrodzone, duch jej zawsze się skłaniał do szukania rzeczy doskonałych; miała przytem wielką, prawie ustawiczną żądzę cierpienia. W prześladowaniach, — a przebyła ich wiele, — znajdowała dla siebie pociechę, szczególną czując w sobie miłość ku tym, którzy ją prześladowali, i gorące pragnienie ubóstwa i samotności, i wyzwolenia z tego wygnania, a oglądania Boga. Takie, i inne tym podobne widząc w sobie skutki, poczęła się uspakajać, bo zdawało jej się, że duch który takie cnoty w niej sprawia, chyba nie może być złym; podobnież i ci, którzy mieli pieczę o jej duszy, w tem mniemaniu ją utwierdzali, nie w tym zamiarze by zarzuciła wszelką bojaźń, ale aby miała ulgę w wielkiem strapieniu swoim.

Nigdy duch jej nie podawał jej tej myśli, by miała zataić cokolwiekbądź; zawsze ją pobudzał do tego, by była posłuszną we wszystkim. Oczyma ciała, jak już powiedziano, nigdy nic nie widziała; widzenia jej tak były czysto duchowe i tak nieuchwytnie, że nieraz w początkach zdawały jej się urojeniem; czasem znowu przypuszczenie to zdawało jej się niepodobnem. Widzenia te nie były objawem ustawicznym; najczęściej przychodziły jej w chwili jakiej potrzeby, jak na przykład jednego razu, gdy przez kilka dni z rzędu cierpiała niezdolność męki wewnętrznej i znękanie duszy, pochodzące z obawy, czy nie jest pod mocą złudy dyabelskiej, jak o tem szeroko napisano we wspomnianem wyżej opowiadaniu: bo tak jawne były jej grzechy, że musiały tam znaleźć miejsce obok innych rzeczy, a ona, gdy je opisywała, tak była pod wrażeniem strachu, który ją przenikał, że pominęła wszelki wzgląd na sławę swoją i dobre o niej mniemanie ludzi.

W tym stanie udręczenia, tak wielkiego, że nie masz wyrazu na określenie jego, od jednego we wnętrzu swoim usłyszenia tych słów: — „Jam jest, nie bój się“, taki do duszy jej wrócił pokój, i odwaga, i ufność, że sama pojąć nie mogła, skąd takie wielkie dobro jej przyszło: pewno że żaden spowiednik, ani żaden teolog, ani cała gromada uczonych z wielką obfitością słów i dowodzeń, nie zdołaliby sprawić w niej tego pokoju i tego uciszenia, jakie od tego jednego słowa w jednej chwili w nią wstąpiły. Podobnież i w wielu innych zdarzeniach widzenia takie umacniały ją; gdyby nie to, nie byłaby żadną miarą wytrzymała tak srogich utrapień i przeciwności, a przytem i chorób, których wycierpiała bez liku, i dotąd cierpi, choć w mniejszym stopniu; bo nie masz u niej dnia bez jakiego, w tym lub owym rodzaju, cierpienia. Bywają one większe lub mniejsze; ale zawsze stanem jej zwykłym są ciągle boleści, przy innych wielu niemocach, które, gdy wstąpiła do klasztoru, srożej jeszcze niż przedtem ją nękały: oby w czemkolwiek były Panu na chwałę. Łaski, jakie Pan jej czyni, prędko jej wychodzą z pamięci: choć wspomina na nie, i często, nigdy jednak nie zdoła dłużej się nad niemi zatrzymać, jak się zatrzymuje nad grzechami swemi, które zawsze ją dręczą, i prawie bez przerwy stoją jej w oczach, jak błoto cuchnące.

Pokusy do próżnej chluby nigdy nie doświadcza, zapewne w skutek tego, że tyle nagrzeszyła, i tak mało Bogu służyła. Nigdy w duchu jej nie powstała myśl, któraby nie była całkiem skromna i czysta; aniby, jak jej się zdaje, gdzie jest duch dobry i łask nadprzyrodzonych używa, myśl taka postać nie mogła; bo duch wtedy zupełnie o ciało nie dba, i pamięć o niem traci, będąc wszystek pełny Boga.

Z tem wszystkiem, nigdy jej nie opuszcza głęboka bojaźń Pana Boga naszego, by Go w czem nie obraziła, by w każdym zdarzeniu czyniła wolę Jego: o to Go błaga ustawicznie. I takie jest w niej, jeśli się nie myli, stanowcze postanowienie, nie odstąpienia w niczem od woli Bożej, i ochotna gotowość do spełnienia jej we wszystkim, że nie masz rzeczy tak trudnej, skoro tylko spowiednik, kierujący jej duszą, upewni ją, że doskonałej przez nią może usłużyć Panu, którejby się nie podjęła i za łaską Jego nie wykonała. I ufna w Boską łaskawość Jego, iż nie opuszcza tych, którzy się ochotną wolą poświęcą na służbę i chwałę Jego, tak zupełnie, w porównaniu z tym celem najwyższym, pomija wszelki wzgląd na samę siebie i na własny pożytek swój, jak gdyby nie czekała jej żadna od Pana nagroda; tak przynajmniej jej się zdaje, o ile zdoła zrozumieć samę siebie, i o ile rozumieją jej spowiednicy.

Co tu spisała na tej karcie, wszystko to jest czystą prawdą, jak to stwierdzić mogą samiż jej spowiednicy, i wszyscy inni, ilu ich, od dwudziestu lat aż do tej chwili zajmowało się jej duszą. Prawie ustawicznie czuła się pobudzaną w duchu do wysławiania Pana, i chciałyby żeby wszystek świat poznał Go i chwalił, choćby miała to okupić najcięższą z samej siebie ofiarą. Stąd rodzi się w niej żądza zbawienia dusz; a widząc jaka jest nędza wszystkich rzeczy tego świata, i jaka jest bez żadnego porównania wyższa cena rzeczy wewnętrznych, przyszła tem samem do wzgardzenia światem, i wszystkim co wraz z światem przemija.

Co do sposobu jej widzeń, o który Wasza Miłość zapytujesz, jest on taki, że nic się nie widzi, ani zewnątrz ani wewnątrz, bo nie jest to widzenie przez wyobraźnię; ale choć się nie widzi, rozumie się jednak i czuje co jest i skąd po-

chodzi, i to nierównie jaśniej niż gdyby się na oczy widziało; tylko nie przedstawia się tu żaden przedmiot poszczególny. Jest to tak, jak gdybyś, przypuśćmy, w ciemnym pokoju czuł kogo przy tobie stojącego: nie widzisz go, bo ciemno, ale wiesz z pewnością i czujesz obecność jego; tylko że porównanie to nie zupełnie odpowiada rzeczy, bo w przypuszczeniu powyższem, choć dla ciemności nie widzisz tej osoby, możesz przecie inną drogą, tem że słyszysz szmer, albo że ją przedtem widziałeś i znasz, nabrać przekonania o obecności jej; tu zaś nic nie masz podobnego, ale bez żadnego słowa, zewnętrznego czy wewnętrznego, dusza czuje i poznaje z zupełną jasnością, kto przy niej jest i z której strony jest, nieraz i rozumie, co tak obecny chce jej oznajmić. Skąd i jakim sposobem to rozumie, tego nie wie; ale wie, że tak jest, i póki zjawienie trwa, nie wiedzieć o niem nie może. Gdy zaś przejdzie, już go, choćby najusilniej o to się starała, takim jakim było, wznowić w sobie nie zdoła bo każde takie wznowienie będzie tylko tworem wyobraźni a nie duchowem rzeczy samej przedstawieniem, które nie jest w jej mocy, podobnie jak wszelkie inne rzeczy nadprzyrodzone. Stąd też, komu Bóg czyni takie łaski, ten nie może nie mieć siebie za nic, i głębiej jeszcze niż przedtem będzie się upokarztał; bo jasno widzi, że jest to rzecz czysto darowana, której ani wywołać, ani gdy przyjdzie uchylić się od niej, nie jest w jego mocy. Zaczem rodzi się w nim tem gorętsza miłość i pragnienie służenia Panu tak możnemu, który mocen jest czynić rzeczy takie, jakich my tu na ziemi ani pojąć nie zdołamy, i jakich żaden umysł, choćby najgłębszego teologa, nie dosięgnie. Niech będzie błogosławiony Ten, od którego są te dary, amen, na wieki wieczne.

---



## SPRAWOZDANIE VIII.

Do tegoż O. Rodryka Alvarez.

J E Z U S.

Wewnętrzne te rzeczy duchowe, z uwagi zwłaszcza na krótkotrwałość i szybkie przemijanie ich, tak są trudne do wypowiedzenia, a jeszcze trudniejsze do wyrażenia ich w sposób dla drugich zrozumiały, że jeśli posłuszeństwo nie przyjdzie mi w pomoc, to moje pisanie wyda się bredzeniem, zwłaszcza gdy mam mówić o rzeczach tak zawiłych i trudnych. Ale mniejsza o to, choćbym i bredziła, boć rzecz wiadoma, że nieraz już insze i większe brednie słyszałeś odemnie. O tem tylko błagam, byś Wasza Miłość pamiętał, że w tem wszystkim co tu napiszę, nie mam zgoła zamiaru poczytywać i podawać zdanie moje za niewątpliwe i pewne, bo może być, że nie rozumiem tych rzeczy; ale to mogę twierdzić z wszelką pewnością, że niczego tu nie powiem, czegobym nieraz i często w samej sobie nie doświadczyła. Czy to rzeczy dobre czy złe, Wasza Miłość to osądzi, i mnie sąd swój oznajmi.

Sądzę, że będzie to Waszej Miłości po myśli, gdy od razu zacznę mówić o rzeczach nadprzyrodzonych, od pierwszego ich początku; bo dary duchowne, jakie sami przy pomocy Pańskiej osiągnąć możemy, jako to: uczucia pobożne, słodkie rozrzewnienia, łzy i rozmyślanie, są to rzeczy wiadome.

Pierwszy jaki uczułam w sobie objaw modlitwy, jak mi się zdaje, nadprzyrodzonej, — nadprzyrodzonemi zowią tu takie stany i usposobienia wewnętrzne, których sami żadną pracą ani pilnością, jakkolwiekbyśmy się o to starali, osiągnąć nie zdołamy, choć do osiągnięcia ich przysposobić się możemy i powinniśmy, bo wiele, jak sądzę, na tem przysposobieniu zależy: — jest to pewne, jakie dusza czuje w sobie, *zebranie* wewnętrzne. W tym stanie przybywają duszy jakoby inne zmysły własne, podobne do tych zmysłów zewnętrznych, ale od nich odrębne, i za pomocą tych zmysłów wewnętrznych, dusza, rzekłbyś, usiłuje uchylić się od gwaru onych zewnętrznych; nieraz

nawet unosi je nad siebie, i chciałyby zamknąć oczy i uszy, aby niczego nie widziały i nie słyszały, i nie rozumiały, jedno to czem ona w tej chwili jest zajęta, to jest, aby mogła sama rozmawiać z Bogiem samym. Żaden tu zmysł ani władza przyrodzona nie gubią się; wszystkie pozostają czynne, ale na to, aby się napełniały w Bogu. Komu Pan użytył łaski tego zebrania wewnętrznego, ten łatwo zrozumie co mówię; kto tego daru sam nie zakosztował, ten go i nie zrozumie, albo przynajmniej wiele będzie potrzeba słów i porównań, aby mu to wytlómaczyć.

Z tego zebrania rodzi się niekiedy pewne *uciszenie* wewnętrzne i pokój bardzo słodki; duszy w tym stanie zdaje się, że niczego już jej nie dostawa; samo nawet mówienie, to jest modlitwa ustna i rozmyślanie, ją męczy; chciałyby tylko miłować; trwa to pewien czas, nieraz i dłuższy.

Z tego rodzaju modlitwy wynika zwykle pewne, jak je zowią *uspienie* władz; nie są one wówczas tak pochłonięte, ani tak zawieszona, iżby mogło się to zwać zachwyceniem; nie jest to także zupełne zjednoczenie.

Niekiedy, owszem i często, dusza czuje, że sama tylko wola jest zjednoczona; czuje się to bardzo jasno: jasno, mówię, o ile rzecz się tak przedstawia. Cała jest pełna Boga, i widzi dusza zupełną dla niej niemożność zatrzymania się nad jakimś bądź innym przedmiotem, lub działania czegoś bądź innego. Drugie dwie władze tymczasem zupełną zachowują swobodę do zajęć i prac około służby Bożej: słowem idą tu ręka w rękę Marta z Maryą. Pytałam Ojca Franciszka, czy nie jest to złudzenie, bo byłam tem zdumiona; ale on mię upewnił, że to się zdarza często.

Zupełnie co innego, gdy wszystkie władze pogrążone są w *zjednoczeniu*. Niczego wówczas działać nie mogą. Rozum staje jakby przerażony. Wola miłuje raczej niż rozumie; ale ani tego że miłuje, ani co czyni, sama nie rozumie, tak iżby zdołała w słowach to wyrazić. Co do pamięci, ile mnie się zdaje, zgoła jej nie masz, ani myśli żadnej, ani zmysły wówczas nie działają, jakby zupełnie odeszły, aby dusza tem hojniej mogła się napawać tem, w czem rokoszuje; tak przynajmniej mnie się

zdaje, że na tę chwilę zmysły zupełnie się gubią; ale przemija to prędko. Po skarbach pokory i innych cnót, i świętych żąd, jakie w duszy pozostają, poznaje się, jak wielkie dobro z tą łaską jej przyszło; ale jak i co to jest, tego wyrazić niepodobna, bo jakkolwiekby dusza usiłowała zrozumieć, nie zdoła tego ani pojąć ani wypowiedzieć. Ta łaska, jeśli jest prawdziwą, zdaniem mojem, jest największą z wszystkich, jakie Pan czyni duszy na tej drodze duchowej; przynajmniej z pomiędzy wielkich, ta jest największą.

*Zachwycenie a zawieszenie*, jest to, jak sędzę, jedno i to samo, tylko że ja zwykle zowię to zawieszeniem, nie chcąc używać wyrazu zachwycenie, który ma w sobie coś przerażającego. Zawieszeniem prawdziwie zwać się może i to zjednoczenie, o którym była mowa. Różnica między niem a zachwyceniem na tem polega, że to ostatnie dłużej trwa, i więcej daje się czuć zewnątrz; wstrzymuje oddech, mowę odbiera, oczu otworzyć nie pozwala. Wszystko to wprawdzie bywa i w zjednoczeniu, ale tu objawia się to z większą siłą. Ciepło przyrodzone nie wiem jak i dokąd uchodzi, i gdy zachwycenie jest wielkie, ręce stygną jakby zmrożone, niekiedy sztywnieją i wyprężają się jak patyki, i całe ciało pozostaje nieruchome w takiej postawie, stojącej czy klęczącej, w jakiej zostało pochwycone. Dusza w taką opływa rokosz z oglądania tego, co Pan jej ukazuje. że zapomina już, rzekłbyś, ożywiać ciało i porzuca je jakby martwe. W nerwach tylko, gdy stan ten się przedłuży, pozostaje uczucie bólu.

W tym stanie, rzecz można, Pan raczy dawać duszy większe zrozumienie tego czem się cieszy, niż w zjednoczeniu, najczęściej też, w jednej chwili, odkrywają się przed nią jakie tajemnice Boskiego Majestatu Jego; a skutki potem pozostają w niej wielkie, i zapomnienie o samej sobie, i żądza gorąca, by taki wielki Bóg i Pan poznany był i uwielbiany od wszystkich. Prawdziwie, od Boga, zachwycenie nie może, jak sędzę, nie pozostawić po sobie w duszy wielkiego i jasnego poznania, jako sama z siebie w niczem się do otrzymania takiej łaski przyczynić nie mogła, i jaka jest nędza jej i niewdzięczność, że nie służyła Temu, który z samej tylko dobroci swojej tak

wielkie łaski jej czyni, bo rokosz i słodkość tak tu bez żadnego porównania przewyższa wszystko, cokolwiek może być przyjemnego na tej ziemi, że gdyby pamięć żywa tych rokoszy potem się w niej nie zacierała, wszelkie pocięchy ziemskie byłyby dla niej nieustającym obrzydzeniem; i tak dochodzi do wzgardzenia wszystkiemi rzeczami tego świata.

Między zachwyceniem a *porwaniem* taka jest różnica, że w zachwyceniu dusza stopniowo umiera dla tych rzeczy zewnętrznych, tracąc zmysły i żyjąc tylko Bogu. Porwanie zaś przychodzi z szybkością błyskawicy, od jednego objawienia, jakie Pan w Boskiej wielmożności swojej da do najgłębszego wnętrza jej, i w jednej chwili porywa ją, rzekłbyś nad samą siebie, jak gdyby już wyszła z ciała. Potrzeba tu w pierwszych początkach niemałej odwagi, na takie zupełne oddanie się w ręce Boga, aby ją zaniósł dokąd zechce; bo nim ją Boski Majestat Jego unieści w pokoju tam gdzie postanowił ją podnieść, — podnieść mówię, na to, aby oglądała i poznała rzeczy wysokie, — rzecz pewna, że trzeba naprzód aby miała mocno postanowiony umysł i gotowość umrzeć dla Niego; bo biedna dusza nic nie wie, co to będzie, i co się z nią stanie; tak, mówię, bywa z początku. Cnoty po tej łasce pozostają w duszy, ile rozumiem, dzielniejsze: gorętsze żądze, jaśniejsze, z głębszą bojaźnią i żarliwszą miłością, poznanie potęgi tego Boga wielkiego, kiedy tak, nie pozostawiając jej żadnej władzy nad sobą, porywa duszę, właśnie jako najwyższy Pan i władca jej; i czuje dusza w sobie wielki żal, iż obraziła taki wielki Majestat, i zdziwienie, jak to być mogło, by śmiała Go obrazić, i wielką bardzo troskę o to, by nikt Go już nigdy nie obrażał, ale by wszyscy wielbili Go i chwalili. Z tego snąc źródła, jak sądzę, płyną wielkie one nieugaszone pragnienia zbawienia dusz, i przyczynienia się w czemkolwiek do ich zbawienia, aby Bóg miał tę chwałę, której jest godzien.

*Wzlot* ducha, jest to coś, — nie wiem jak to nazwać, — wznoszącego się wzgórze z najgłębszego wnętrza duszy. Na objaśnienie tego, jedno tu tylko przypomina mi się porównanie, które zamieściłam w książce wiadomej Waszej Miłości <sup>1)</sup>, gdzie

<sup>1)</sup> W książce *Życia*. r. 20 i 21.

jest obszerne opisanie wszystkich tych rodzajów modlitwy i innych jeszcze rzeczy; ale taką mam pamięć, że wszystko zaraz zapominam. Dusza i duch, zdaje mi się, jest to jedno i toż samo; tylko że, podobnie jak ogień, gdy jest wielki, i wiele doń dREW MARZUCONO, aby mocno płonął, tak i dusza, gdy od zjednoczenia z Bogiem nakształt wielkiego ognia się zapali, wypuszcza z siebie płomień i wzgóre się unosi, chociaż przytem pozostaje na ziemi, jak on ogień, który, choć płomień z niego w górę się wzbija, przecie paląc się na dole, zawsze jest ogniem. W taki sposób, zdaje mi się, dusza wydaje z siebie coś tak rączego i tak misternego, co wzbija się w strefy górne, i idzie kędy Pan chce; jest to coś podobnego do wzlotu; dokładniej tego określić niepodobna, i nie wiem, jakim innym porównaniem mogłabym to objaśnić; to tylko wiem, że rzecz sama daje się czuć bardzo wyraźnie, i nic jej powstrzymać nie zdoła.

Duch, jak biedna uwięziona ptaszyna, wyzwolił się, rzekłbyś, z nędzy tej znikomości, i z więzienia tego ciała, i już nie krępowany więzami jego, swobodnie może hojniej się napawać tem, co Pan mu daje. Jest to rzecz tak wytworna i droga, co tu poznaje i czuje dusza, że niepodobna jej przypuścić, by mogło być w tem, jak i w ogóle w którejbaź z tych rzeczy, jakie złudzenie. Dopiero gdy miną te roskosze, za każdym razem powstawały w niej obawy, że względu na taką wielką niegodność tej, która te dary otrzymuje, i zdawało jej się że wszelki ma powód do obawiania się wszystkiego; chociaż w głębi duszy czuła zawsze niejaką bezpieczeńność i dobrą otuchę, ale tyle tylko, iżby mogła z tem żyć, nie tyle, by kiedy zaniechała pilności i czuwania, aby nie uledez jakiemu oszukaniu.

*Pędem ducha* zowie pewne pożądanie, które nieraz nagle, owszem najczęściej ustawicznie, bez uprzedniej modlitwy, powstaje w duszy, na samo wspomnienie o tem, że żyje jeszcze daleko od Boga, albo za samem usłyszeniem jakiego słowa, które się do tego oddalenia odnosi. Taka jest potęga tego wspomnienia, i z taką nieraz działa siłą, że w jednej chwili dusza jakoby odchodzi od siebie. Jako gdy kto znienacka otrzyma jaką bardzo bolesną wiadomość o nieszczęściu jakiego się nie spodziewał, albo gdy go jaki strach nagły przerazi, i od

tego przerażenia czy zmartwienia myśl mu, rzekłbyś, i rozum ustaje, i niepokieszony, cały pozostaje jakby pogrążony w znękanu swoim: tak tu jest i z duszą, tylko że tego znękania i bólu jej przyczyna jest taka, iż widzi i czuje że dobrze byłoby dla niej umrzeć. Rzekłbyś, że wszystko, co dusza w takiej chwili widzi i rozumie, jest tylko na zwiększenie cierpienia jej, i że Pan sam tak chce i zrząda, by wszystka istność jej do niczego więcej nie była zdolną, by nawet nie mogła pokrzepić się pamięcią na to, że Jego to wola, by jeszcze żyła; czuje wkłoł siebie takie osamotnienie i wyrzucie z wszystkiego, jakiego żadne słowa nie zdołają wyrazić; bo wszystek świat i wszystkie rzeczy jego sprawują jej cierpienie, i żadna rzecz stworzona do niej nie przystaje; samego tylko pragnie dusza Stworzyciela i do posiadania Jego tęskni, a to widzi że jest rzeczą niepodobną, aż dopiero gdy umrze; a że sama sobie śmierci zadać nie może, więc umiera z tego że nie umiera, tak dalece, że prawdziwie wprawia ją to w stan grożący śmiercią; i tak widzi siebie jakby zawieszoną między niebem a ziemią, i sama nie wie, co począć z sobą. A Bóg od czasu do czasu objawia jej promyk istności swojej, aby lepiej widziała, co traci na tem rozłączeniu z Nim, i to jej sprawuje ból tak dziwnie srogi, jakiemu żaden wyraz nie dorówna; bo nie masz takiego bólu na tej ziemi, z tych przynajmniej jakie ja wycierpiałam, któryby z tym mógł iść w porównanie; od półgodziny tylko takiego bólu, wszystko ciało pozostaje stargane, i nogi jakby ze stawów wyrwane, i ręce tak niesłychanie zbolałe, że i pióra utrzymać nie zdołają.

Tego wszystkiego nie czuje dusza, aż gdy przeminie on zapał. Dopóki on trwa, dość jej tego cierpienia, które znosi wewnątrz, i pod wpływem jego nie czułaby, sądzę, najcięższych katuszy zewnętrznych. A przytem jednak zachowuje wszystkie zmysły swoje; może mówić, może nawet patrzeć; chodzić tylko nie może, bo ją trzyma powaloną wielki cios miłości. Zapał ten, choćby był tak gwałtowny, iżby człowiek umarł od niego, o tyle tylko przynosi pożytek, o ile Bóg sam go wznieci. Wtedy sprawuje skutki wspaniałe, i wielkim jest zyskiem dla duszy. Uczeni o nim jedni mówią tak, drudzy ina-

czej; żaden go nie potępia. Ojciec magister z Awili pisał mi, że to rzecz dobra i święta; toż samo mówią wszyscy, a dusza dobrze czuje, że jest to wielka łaska od Pana. Ale gdyby to bardzo często się powtarzało, nie na długo starczyłoby życia.

Zwyczajnie zapał ten w takiej się formie objawia, że onej żądzы oglądania Boga towarzyszy wielkie rozrzewnienie i obfitość łez, i tęsknota za wyzwoleniem z tego wygnania; ale że przytem dusza zachowuje swobodę myśli, i zdolna jest zastanowić się nad tem, że taka jest wola Pańska, aby jeszcze żyła, więc tem się pociesza, i ofiaruje Jemu tę konieczność zostania jeszcze przy życiu, błagając Go, by ono było jedynie na chwałę Jego, i tak ona żalność jej przechodzi.

Inny jeszcze bardzo zwyczajny sposób modlitwy duchowej, jest to pewnego rodzaju *przeszycie*: dusza wówczas prawdziwie czuje, jak gdyby jej kto strzałą serce, albo ją całą na wskrós przeszzywał. Ból z tego tak wielki, że nie może się powstrzymać od jęku, a przytem jednak tak słodki, że chciałaby iżby nigdy nie ustał. Ból ten nie jest w zmysłach, i rana ona nic nie ma w sobie materyalnego; dusza czuje go duchowo we wnętrzu swoim, bez żadnego objawu bólu na ciele; ale że są to rzeczy których niepodobna objaśnić inaczej, jedno za pomocą porównań, dla tego używam tu tych grubych tłumaczeń, prawdziwie grubych w porównaniu z tem, co one tłumaczyć mają; ale innym sposobem wyrazić tego nie potrafię. Z tego właśnie powodu uważam, że nie są to rzeczy przydatne do opisów czy opowiadań; kto tego sam nie doświadczył, ten niepodobna by zrozumiał, skąd pochodzi i gdzie się mieści ten ból; bo cierpienia duchowe bardzo są różne od tych cierpień ziemskich. I tem sobie tłumaczę, jak to dusze w czyscu i w piekle więcej cierpią, niż my tu na ziemi przez porównanie z temi cierpieniami cielesnemi pojąć i przedstawić sobie zdołamy.

Czasem znowu zdaje się że ta *rana miłości* pochodzi z samegoż najgłębszego wnętrza duszy. Skutki z niej wielkie. Zranienia tego, jeśli Bóg go nie da, własnem, choćby najusilniejszym staraniem wywołać niepodobna, jak również zgoła niepodobna uchylić się od niego, gdy spodoba się Panu je zadać. Jest to pewien rodzaj tęsknoty do Boga, tak żywej i głęboko

duchowej, że nie masz wyrazu na opisanie jej; a widząc, że skępowana ciałem, nie może, tak jakby chciała, cieszyć się Bogiem, dusza wielkie czuje do tego ciała obrzydzenie; widzi w niem jakby mur przegrody, stający jej na drodze do używania tego, czem, jak to wówczas zdaje jej się że rozumie, dusza się cieszy sama w sobie, gdy ciało nie staje jej na przeszkodzie. Stąd także widzi, jak wielką szkodę wyrządził nam grzech Adama, że duszę naszą tej swobody pozbawił.

Ten rodzaj modlitwy miałam pierwaj jeszcze nim zaczęły przychodzić na mnie zachwycenia i wielkie one zapaly, o których mówiłam. Zapomniałam jeszcze nadmienić, że te wielkie zapaly prawie nigdy się nie kończą bez zachwycenia i szczególnego jakiego daru łaskawości Pańskiej, którym Pan duszę pociesza, i dodaje jej odwagi aby żyła dla Niego.

Wszystko to, co się tu powiedziało, nie może być przywidzeniem, dla różnych przyczyn, o których długo byłoby tu mówić; czy są to rzeczy dobre, czy nie, Pan to wie. Skutków ich i postępu w dobrem, jakie one pozostawiają w duszy, jak mnie ze wszech miar się zdaje, niepodobna nie uznać.

Osoby zemną mówiące, widzę jasno że są wyraźnemi osobami, tak jak wczoraj widziałam, że Wasza Miłość rozmawiałeś z Ojcem prowincyałem; tylko że, jak już Waszej Miłości mówiłam, niczego nie widzę ani słyszę; a przecie, choć ani oczy ciała ani oczy duszy tych osób nie widzą, dziwną, zupełną mam pewność, że one są przy mnie, i gdy odejdą, widzę i czuję ich nieobecność. Jak się to dzieje, tego nie wiem, ale to dobrze wiem, że nie jest to urojenie; bo jakkolwiekby potem usiłowała wyobrazić to sobie na nowo, nie jest to w mojej mocy, choć próbowałam; i tak samo jest z wszystkiem innem, co w tych widzeniach się dzieje, o ile zdołam te rzeczy wyrozumieć; a patrząc na nie od tylu lat, dostatecznie mogłam o tem się przekonać, abym mogła mówić z taką pewnością. Prawda, — i na to niech Wasza Miłość raczy zwrócić uwagę, — że jak co do Osoby, która zawsze sama do mnie mówi, mogę twierdzić, że taką mi się przedstawia, jaką jest, tak co do drugich twierdzić tego nie mogę. Jedna z nich, wiem dobrze, że nigdy przy tem nie była: dla czego, o tem nigdy się nie dowiedziałam, i nigdy



też w to się nie wdaję, bym miała żądać czego więcej nad to, co Bóg mi użyczyć zechce, bo zaraz mi przychodzi na myśl, że mogę przez to dyabłu otworzyć drogę do oszukania mnie; i teraz również nie śmiałabym o to prosić, bo mię zawsze ta sama obawa wstrzymuje.

Pierwsza, zdaje mi się, dała mi niekiedy uczuć obecność swoją; ale nie pamiętając już dokładnie, co i jak to było, twierdzić tego nie śmiem. Wszystko, co tu napisałam, do tego ma służyć, byś Wasza Miłość wiedział, i jak najobszerniej, jak się to odbywa, choć nie wiem czy w takich słowach. Lubo Osoby te w taki sposób niewypowiedzianie dziwny oznajmują obecność swoją każda poosobno, dusza przecie poznaje tu i czuje, że jest to jeden Bóg. Nie pamiętam, bym kiedy słyszała Pana do mnie mówiącego wedle Bóstwa swego; mówi zawsze Człowieczeństwo Jego, i to już z wszelką pewnością twierdzić mogę, że nie jest to urojenie.

Co do wody, o której Wasza Miłość mówisz, nic o niej nie wiem, ani również nie słyszałam, w którym miejscu znajduje się Raj ziemski. Jak już mówiłam, od tego, co Pan mi daje poznać, uchylić się nie jest w mojej mocy, i to poznaję, bo nie mogę inaczej; ale bym sama prosiła Boskiego Majestatu Jego o objawienie mi jakiej tajemnicy, tego nigdy nie uczyniłam; zarazby mi się zdawało, że to tylko moje przywidzenie, i że zły duch mię wyprowadzi w pole. Nigdy, dzięki Bogu, nie miałam tej ciekawości, bym pragnęła dowiedzieć się o rzeczach przedemną zakrytych, i nic o to nie dbam, bym wiedziała co więcej nad to, co wiem; dość mię już kosztowało utrapienia to co bez przyczynienia się woli mojej, jak mówię, słyszałam; lubo był to, jak sądzę, sposób jakiego Pan, widząc mię taką niecnotliwą, użył dla zbawienia mego, bo dobrym takich nadzwyczajnych pobudek nie potrzeba, aby służyli Boskiemu Majestatowi Jego.

Inny jeszcze rodzaj modlitwy przychodzi mi na pamięć, poprzedzający jeszcze on pierwszy, o którym mówiłam: jest to takie uczucie obecności Boskiej, które zgola nic nie ma wspólnego z widzeniem, a które każdy, jak sądzę, wyjąwszy chyba w chwilach oschłości, łatwo mieć może, skoro tylko, choćby

tylko modlitwą ustną, pragnie polecić siebie Boskiej łaskawości Jego. Daj Boże, bym z winy mojej nie utraciła tak wielkich łask, i niechaj On raczy mieć miłosierdzie nademną.

## SPRAWOZDANIE IX.

O różnych łaskach duchownych, jakie otrzymała w Toledzie i w Awili, w ciągu lat 1576 i 1577.

Pewien mąż duchowny <sup>1)</sup>, u którego, przybywszy do tego miasta w którym bawię obecnie, zaczęłam była się spowiadać,

<sup>1)</sup> Był to O. Yepes, dominikanin, w tym czasie, t. j. w r. 1576 czy 1577, przeor klasztoru św. Hieronima w Toledzie. W chwili przeniesienia ciała Świętej do Awili, Ojciec ten zeznał, że w czasie jej pobytu w Toledzie, po wiele razy miał zamiar pójść do niej, dla wysłuchania jej spowiedzi, a zawsze ten zamiar jego, sam nie wie jakim sposobem, pozostawał bez skutku, i zawsze jakaś przeszkoda stawała mu na drodze, zmuszając go do odłożenia zamierzonej posługi duchownej. Wtedy O. Gracyan, obecny temu zeznaniu, i świadomy powyższego objawienia Świętej, objaśnił go, że przeszkody one nie były skutkiem przypadkowych okoliczności, ale zrządzeniem Bożem, mającem na celu skłonienie św. Teresy do obrania sobie za przewodnika duchownego Ks. Velasquez, kanonika katedry toledańskiej, później arcybiskupa Santiago, jednego z najuczestniejszych i najgorliwszych kościelnych dostojników hiszpańskich w w. XVI. Św. Teresa w r. 30 swej księgi Fundacyi, wielkie mu oddaje pochwały: „Wręczono mi, pisze, list od doktora Velasquez, biskupa Osmy, z którym, gdy jeszcze był kanonikiem i scholastykiem przy katedrze toledańskiej, ja, nie będąc jeszcze zupełnie wolną od obaw moich, postarałam się była zawiązać stosunek duchowny; wiedząc o nim, że jest wielkim teologiem i gorliwym sługą Bożym, prosiłam go z usilnem naleganiem, aby zechciał mieć pieczę o duszy mojej i spowiadać mię. On, choć był obarczony pracą, widząc przecie potrzebę moją, i że go proszę na miłość Pana Jezusa, tak ochotnie przystał na prośbę moją, że aż się zdziwiłam... *Prawda że był do tego inny jeszcze powód, o którym nie tu jest miejsce mówić.*“ Powód ten Święta wymienia właśnie w powyższem sprawozdaniu. Było to w r. 1576. Widać z tego, że św. Teresa spisywała to sprawozdanie w samymże Toledzie, i w chwili spełniania się rzeczy które opisuje. Sposób opisywania tych zdarzeń, i samaż urywkowa krótkość ustępów, zupełnie są te same co w Sprawozdaniu III. I tu prawie każdy ustęp zaczyna się od „gdy“—(*estando*). Może to Sprawozdanie było dalszym ciągiem tamtego.

i który przyjąwszy mię z wielką życzliwością, potem także, gdy podjął się kierunku duszy mojej, takąż mi życzliwość okazywał, niespodzianie usunął się i przestał tu przychodzić. Czując dotkliwie brak jego, pewnego wieczoru, na modlitwie, miałam objawienie wewnętrzne, że Bóg sam wstrzymuje go, aby nie przychodził, ponieważ potrzeba, bym sprawy duszy mojej powierzyła drugiemu w temże mieście kapłanowi. Zmiana ta była mi przykrą, i z obawy, że nowy spowiednik, nie znając mnie, może mnie nie zrozumie i będzie mię niepokoił, i dla tego że lubiłam tamtego, za miłość którą mi wyświadczył, i widok jego i kazania jego, ile razy go słyszałam mówiącego, zawsze mi pociechę duchowną sprawiały; wiedziałam przytem, że ten, do którego miałam się udać, bardzo jest zajęty, zaczem moje narzucanie się jemu tembardziej jeszcze wydawało mi się niewłaściwem. Ale Pan rzekł do mnie: — „Ja to zrzadzę, że wysłucha cię i zrozumie. Otwórz się przed nim, a znajdziesz u niego niejaką pomoc w strapieniach twoich.“ — Ostatnie te słowa odnosiły się, jak sądzę, do bólu, jaki wówczas cierpiałam, że muszę żyć daleko od Boga. Jakoż w Boskiej łaskawości swojej, Pan raczył jeszcze dodać te słowa: — „Widzę dobre cierpienie, które cię udręcza; ale nie może być inaczej, dopóki żyjesz na tem wygnaniu, a wszystko to jest dla większego dobra twęgo.“ — Słowa te bardzo mię pocieszyły. Stało się jak Pan zapowiedział: kapłan ten znajduje czas i chwile swobodne dla mnie, i zrozumiał mię, i wielką mi przyniósł ulgę. Jest to mąż bardzo uczony i świętobliwy.

W dzień Ofiarowania Matki Boskiej, gdy gorąco bardzo polecając Bogu pewną osobę, dla której pragnęłam jak najwyższego postępu w świętości, uważałam z jednej strony, że nie dobrze byłoby dla niej, mieć dochody własne i swobodę rządzenia się swoją wola, a z drugiej strony znowu stawało mi na myśli wątle jej zdrowie, i wielkie pożytki jakie ona sprawuje dla zbawienia dusz, usłyszałam te słowa: — „Prawda, że wiernie ona i gorliwie mi służy; ale wielka to rzecz, iść za mną, wyzuwszy się z wszystkiego, tak jak Ja nagi wstąpiłem na krzyż. Powiedz jej, niech zda się na Mnie.“ — Ta druga wątpliwość moja pochodziła stąd, że przyszło mi wówczas na myśl,

że co do mnie, nie potrafiłabym z takim słabem zdrowiem, jakie ona ma, zdobyć się na taką wysoką doskonałość.

Gdy razu jednego zajęta byłam myślą o wielkiej przykrości, jaką mi to sprawia, że muszę jeść mięso, a nie mogę czynić pokuty, usłyszałam taką odpowiedź: — „Nieraz w tem pragnieniu pokuty więcej jest miłości własnej, niż istotnego pragnienia.“

Raz, gdym się bardzo trapiła myślą, że obraziłam Boga, Pan rzekł do mnie: „Wszystkie grzechy twoje są przedemną jak gdyby nie były; umacniaj się na przyszłość, bo jeszcze nie skończyły się utrapienia twoje.“

Jednego dnia, będąc na modlitwie, uczułam duszę moją tak pogrążoną w Bogu, jak gdyby świat już nie istniał, jak gdyby cała była przenikniona Bogiem. Zostało mi tam objawione znaczenie tych słów kantyku *Magnificat*: „Rozradował się duch mój“, w sposób taki, że nigdy go zapomnieć nie mogę.

Raz, gdy się zastanawiałam nad zawziętością przeciwników naszych, dążącą do zniesienia tego klasztoru sióstr bosych, i czy mają zamiar powoli rozpędzić je wszystkie, usłyszałam te słowa: — „Zamiar taki mają, ale skutku jego nie ujrzą; owszem, stanie się wręcz przeciwnie.“

Gdy jednego razu w głębokiem zebraniu wewnętrznem polecałam Bogu Elizeusza <sup>1)</sup>, otrzymałam taką odpowiedź: — „Prawdziwy to syn mój, nigdy go nie zostawię bez pomocy mojej“, czy też inne słowo podobne, bo tego ostatniego wyrazu dobrze nie pamiętam.

Jednego dnia, po rozmowie z pewną osobą, która wiele opuściła dla miłości Boga, wspomniawszy na siebie, jako ja nigdy niczego nie opuściłam dla Niego, i w niczem Mu nie służyłam tak jak powinnam, po tylu łaskach, jakie On duszy mojej uczynił, poczęłam bardzo tem się smucić. A Pan rzekł do mnie: — „Wiesz już, jakie między Mną a tobą spełniły się zaślubiny, i tem samem że jesteś Mnie poślubioną, co-

---

<sup>1)</sup> O Hieronima Gracyan, spowiednika swego. Tak go przeżywa Święta w listach swoich, pisanych w czasie prześladowania młodego zakonu karmelitów Bosych, od r. 1576 do 1578.

kolwiek Ja posiadam, Twoje jest; daję ci więc wszystkie męki i boleści jakie wycierpiałem; przez nie możesz prosić Ojca mego, i na nie się powoływać jak na własność twoją.“ — Wiedziałam-ci, bo tak mię uczono, że wszyscy mamy uczestnictwo w zasługach męki Zbawiciela; ale sposób tego uczestnictwa w takiej mi się tu, zupełnie innej, postaci objawił, że miałam to uczucie, jak gdybym otrzymała we władanie wielkie potężne królestwo, bo łaskawości i miłości, z jaką Pan mi uczynił tę łaskę, żadną miarą tu wyrazić nie zdołam. Poznałam w tejże chwili, że Ojciec przyjmuje ten układ, i odtąd zupełnie inaczej zapatruję się na Mękę Pańską, jako na rzecz moją własną, co wielką mi przynosi ulgę i otuchę.

W dzień św. Magdaleny, gdy rozmyślałam nad tem, jaką miłość i przyjaźń winna jestem Panu Jezusowi, stosownie do tego, co On raczył mi powiedzieć o tej Świętej, gdy zatem czułam w sobie gorące pragnienie naśladowania jej przykładu, Pan uczynił mi wielką łaskę, i rzekł do mnie: — „Od tej chwili staraj się i usiłuj, byś mi gorliwiej jeszcze służyła niż dotąd.“ — Wzbudził we mnie pragnienie, bym jeszcze nie tak prędko umarła, abym miała czas poświęcić siebie na spełnienie tego zlecenia Jego, i pozostała we mnie od tego czasu ochotna i stanowcza gotowość do cierpienia.

Jednego razu miałam objawienie, w jaki sposób Pan jest obecny we wszystkich stworzeniach, i w jaki sposób mieszka w duszy; przedstawiło mi się to pod podobieństwem gąbki, która wciąga w siebie wodę.

Gdy wrócili do kraju bracia moi <sup>1)</sup>, z jednym z nich <sup>2)</sup>, któremu wiele jestem winna, nie mogłam zaniechać widywania się, i rozmawiania z nim o potrzebach duszy i kierunku życia jego. Dla mnie te rozmowy były umęczeniem i przykrością; ofiarowałam ją Panu, w tem przekonaniu, że poddaję się jej z obowiązku; ale przyszło mi na myśl, że w Konstytucjach na-

<sup>1)</sup> Wawrzyńiec i Piotr, wrócili razem z Ameryki, w sierpniu 1575. (*Listy*, t. IV, list 42. Por. *Życie, Dodatek I*, „O rodzeństwie św. Teresy.“)

<sup>2)</sup> Wawrzyńcem, który wróciwszy do Hiszpanii, oddał się pod kierunek duchowny świętej siostry swojej, jak ona o tem w wielu listach swoich z tego czasu wspomina.

szych jest artykuł zalecający nam unikanie stosunków z krewnymi, i byłam w wątpliwości, czy przepis ten w tym razie mię obowiązuje. Na to Pan odpowiedział mi: — „Nie, córko, bo Ustawy wasze o tyle tylko obowiązują, o ile są zgodne z przykazaniem mojem.“ — W rzeczy samej, duch i zamiar onej Konstytucyi do tego zmierza, by się która nie przywiązywała zbyt do towarzystwa z krewnymi; wemnie zaś, o ile mi się zdaje, przywiązania tego niema, owszem, rozmowa z nimi raczej męczy mię i rozstraja.

W dzień św. Augustyna, po Komunii, w sposób którego określić nie zdołam, — to tylko wiem, że było to widzenie umysłowe, i w jednej chwili przeszło, — dano mi było poznać, i jakby oglądać, jako trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej, których wyobrazenie mam wyryte w duszy, są jedną istnością. Poznałam to w wyobrazeniu tak dziwnie nadzwyczajnem, i w świetle tak jasnem, że działanie i skutek tego widzenia zupełnie były odmienne od tego, co się poznaje przez wiarę <sup>1)</sup>. Od tego czasu nigdy nie mogę pomyśleć o której z trzech Osób, bym ich razem nie widziała w duchu wszystkich trzech. Tak i dziś zastanawiałam się nad tem, jakim sposobem kiedy tak zupełnie są jedno, sam tylko Syn przyjął na się ciało ludzkie. Na to Pan rzekł do mnie te słowa: — „Choć wszystkie trzy są jedno, każda przecie jedna od drugiej jest różną.“ — Są to wielmożności takie, że na wspomnienie o nich znowu powstaje w duszy żądza wyrwania się z tej niewoli, w której ją więzi ciało, aby oglądaniem ich cieszyć się nie mogła. Ale choć widzenie takie w jednej chwili przemija, większą przecie bez porównania korzyść dusza, sama nie wiedząc i nie rozumiejąc jak, z niego odnosi, niż z długich lat rozmyślenia.

Dzień Narodzenia Najświętszej Panny Maryi jest dla mnie dniem szczególnego wesela. Za nastaniem tego dnia zdawało mi się, że dobrze będzie ponowić śluby moje, co gdy chciałam uczynić, ukazała mi się Najświętsza Panna w widzeniu oświe-

---

<sup>1)</sup> Wiara poznaje się rzeczy niewidome; gdy więc w tem objawieniu Święta „widziała“ ukazaną jej tajemnicę wiary, nie dziw, że widzenie to, jak mówi, działanie i skutek w niej sprawiło odmienny zupełnie od tego, co się poznaje przez wiarę.

cającem, i wydało mi się że trzyma w swych ręku śluby moje, i że Jej one są przyjemne. Widzenie to pozostało mi przez kilka dni, i wciąż widziałam ją stojącą przy mnie po lewej ręce. Jednego dnia, po Komunii, miałam to uczucie, że dusza moja prawdziwie staje się jedno z najświętszem Ciałem Pańskiem, którego obecność ukazała mi się widomie; mocno to na mnie podziało, i sprawiło we mnie wielki postęp wewnętrzny.

Jednego razu, gdy domyślałam się, że zechcą mię posłać do pewnego klasztoru <sup>1)</sup> dla zreformowania go, i myślą tą się trapiłam, usłyszałam te słowa: — „Czego się boisz? Cóż tam możesz więcej utracić, niż życie, które już tyle razy oddałaś mi w ofierze? Ja was wspomogę.“ Było to na modlitwie, i słowa te w taki sposób były powiedziane, że wielkie w duszy mojej sprawiły uspokojenie i wesele.

Raz, czując w sobie pragnienie usłużenia w czem Panu, i wspomniawszy przytem, jaka jest licha i nędzna wszelka służba którą Mu oddać zdołam, powiedziałam sama w sobie: Na cóż Ty, Panie, żądasz uczynków odemnie? A Pan odpowiedział mi: — „Na to, córko, abys mi dała dowód dobrej woli twojej.“

Jednego razu Pan użyczył mi światła ku poznaniu pewnej rzeczy, której zrozumienie ucieszyło mię; lecz zaraz, czy wkrótce potem, tak mi to wyszło z pamięci, iż żadną miarą nie mogłam natrafić w myśli, co to było; gdy tedy tak siliłam się, aby sobie onę rzecz widzianą przypomnieć, usłyszałam te słowa: — „Wiesz o tem, że nieraz mówię do ciebie; nie zaniedbuj spisywać co słyszysz, bo choćby stąd nie było pożytku dla ciebie, może być pożytek dla drugich“ <sup>2)</sup>. A gdy na te słowa zafrasowałam się, że więc może dla grzechów moich, drugim przynosząc pożytek, sama zgubię siebie, On rzekł do mnie: — „O to się nie bój.“

<sup>1)</sup> Był to zapewne Klasztor karmelitek trzewickowych w Paterna, do którego rzeczywiście w październiku 1576 posyłane były, w celu reformy, siostry bosc z Sewilli, gdzie w tymże czasie bawiła i Święta.

<sup>2)</sup> Z powyższego ustępu okazuje się powód i cel tych Sprawozdań. Z wyraźnego rozkazu Boga spisywała w nich św. Teresa łaski jej używane, mając na celu, jak Jej to Bóg sam wskazał, pożytek tych, którzy je czytać będą.

Raz, w zebraniu wewnętrznym, i w tem Boskiem towarzystwie, które zawsze mam w duszy obecne, tak żywo uczułam przytomność Boga w mem wnętrzu, że przyszły mi na myśl słowa św. Piotra: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego“, bo i ja wtedy widziałam tego Boga żywego, mieszkającego w duszy mojej. Nie jest to widzenie takie jak inne widzenia, bo polega ono na wierze i z niej bierze moc nieomylną, tak iż wątpić o tem niepodobna, że Trójca Święta obecnością i wszechmocnością, i istnością swoją mieszka w duszach naszych. Jest to prawda, której zrozumienie w sposób dziwnie skuteczny przyczynia się do naszego postępu w dobrem. Na widok takiego ogromnego Majestatu, obecnego w takim nikczemnym stworzeniu, jakim jest dusza moja, zdumienie i przerażenie mię ogarnęło; a Pan rzekł do mnie: — „Nie jest nikczemną, córko, dusza twoja, bo uczyniona jest na wyobrażenie moje.“ — Poznałam także wówczas niektóre z przyczyn, dla których Bóg większe ma upodobanie w duszach, niż w drugich stworzeniach swoich; ale są to rzeczy tak nieuchwytnie i wysoko duchowe, że choć umysłem pojęłam je od razu, wypowiedzieć ich nie potrafię.

Bolejąc bardzo nad niedolą naszego Ojca <sup>1)</sup>, i nie mogąc zmartwienia mego ukoić, pewnego dnia, po Komunii, błagałam Pana, usilnie bardzo powtarzając Mu prośbę, aby, kiedy sam mi go dał, nie dopuszczał także bym pozostała bez niego. Odpowiedział mi Pan: — „Bądź bez obawy.“

Jednego razu, obecność trzech Osób Boskich, którą zawsze mam przytomną w duszy, z taką mi się objawiła jasnością, że bez najmniejszej wątpliwości widziałam mieszkającego we mnie Boga żywego i prawdziwego; przytem dano mi było poznać takie rzeczy, których, choć je widziałam, po widzeniu wypowiedzieć nie potrafię. Między innymi ukazano mi było wówczas, w jaki sposób sama tylko Osoba Syna wzięła na się ciało ludzkie, a nie drugie dwie. Opisać tych objawień, jak mówiłam,

---

<sup>1)</sup> Ojca Gracyan, spowiednika Świętej i przełożonego karmelitów Bosych. Niedola, o której wspomina Święta, była skutkiem zapamiętałego prześladowania, jakie w końcu 1575 karmelici dawnej obserwancyi wzniciłi przeciw odnowionemu Karmelowi, a nasanprzód naturalnie przeciw naczelnemu zwierzchnikowi zreformowanego zakonu.



nie potrafię; odbywają się one nieraz tak głęboko w ukryciu duszy, że umysł je, rzekłbyś, jakby przez mgłę tylko poznaje, tak jak człowiek uspiiony, albo nawpół śpiący, niewyraźnie tylko słyszy co się do niego mówi. Zastanawiałam się nad tem, jak ciężkie jest to życie, że nas pozbawia szczęścia zostawania zawsze i nieprzerwanie w tem przedziwnem Boskiem towarzystwie, i mówiłam sama w sobie: Panie, daj mi jaki sposób, abym mogła wytrzymać to życie. A Pan rzekł do mnie: — „Pomnij na to, córko, że po śmierci już nie będziesz mogła mi służyć tak jak teraz mi służysz: dla mnie jedz, dla mnie śpij, i cokolwiek czynisz, niechaj wszystko będzie dla mnie, jak gdybyś nie ty już żyła, jedno ja w tobie; bo to właśnie miał na myśli św. Paweł, gdy pisał te słowa.“

Raz, po Komunii, było mi ukazano, jak Ojciec przyjmuje we wnętrzu duszy naszej tę ofiarę najświętszego Ciała Chrystusowego. O ile pojęłam i widziałam, są tu obecne trzy Osoby Boskie, i niewypowiedzianie przyjemną jest Ojcu ta ofiara Syna Jego, i cieszy się Nim i rokosz swoją ma w Nim, powiedzmy bez wahania, tu na ziemi, bo nie Człowieczeństwo naonczas mieszka z nami w duszy naszej, jedno Bóstwo Jego; i dlatego ta ofiara tak Mu jest przyjemną i miłą, i dla niej takie nam wielkie łaski czyni. Poznałam także, że zawsze zarówno przyjmuje tę ofiarę, chociażby kapłan ją spełniający był w grzechu, tylko że wówczas łaski z niej płynące nie udzielają się duszy jego, tak jak się udzielają tym, którzy są w stanie łaski; nie iżby moc swoją traciły Boskie one dzielności, pochodzące z tego uczestnictwa, w jakim Ojciec przyjmuje tę ofiarę, jedno że natrafiają na opór z winy tego, który je miał otrzymać; podobnie jak słońce, gdy promień jego padnie na bryłę smoły, nie jest winne temu, że w niej nie jaśnieje tak jak jaśnieje w kryształach. Gdybym teraz o tem mówić miała, lepiej i zrozumiałej bym to wytłómaczyła; a wiele na tem zależy, byśmy to rozumieli, i wiedzieli jak to jest, bo wielkie tajemnice dzieją się w duszy człowieka, gdy przyjmuje Komunię. Żał się Boże, że to ciało nie pozwala nam cieszyć się niemi.

W oktawie Wszystkich Świętych miałam dwa czy trzy dni ciężkiego udręczenia, na wspomnienie wielkich grzechów

moich, z wielkim nad to strachem zawieszonych nademną prześladowań, których jedyną podstawą były podnoszone przeciw mnie ciężkie, potwarcze oskarżenia, i pod wrażeniem tego strachu zupełnie mię była odeszła zwykła odwaga i gotowość moja do cierpienia dla miłości Boga. Staralam się dodawać sobie otuchy, wzbudzałam w sobie akty gotowości na wszelką wolę Bożą, widziałam jasno, jak wielki będzie zysk dla mnie z tego prześladowania; ale wszystko to mało pomagało, i strach nie ustępował. Była to ciężka walka wewnętrzna. Odszukałam list, w którym dobry mój Ojciec przypominał mi słowa św. Pawła, jako Bóg „nie dopuści, byśmy byli kuszeni nad to co możemy“<sup>1)</sup>. List ten znaczną przyniósł mi ulgę, ale nie zupełną; z pewnego względu nawet wznowił raczej moję za Ojcem tęsknotę, i cały dzień potem wielki smutek miałam, widząc siebie pozbawioną pomocy jego, a nie mając do kogo się udać w tem strapieniu mojem. Słowem, czułam się bardzo opuszczoną, i wciąż mię prześladowała i nowego mi smutku dodawała ta myśl, że nikogo nie znajdę, ktoby mię wspomógł i uspokoił, oprócz niego, a on, na ciężkie utrapienie moje, zmuszony jest prawie ciągle przebywać gdzieś daleko.

Nazajutrz wieczorem, przy czytaniu duchownem, natrafiłam na drugi ustęp z listów św. Pawła, który mi niejaka przyniósł pociechę; zaczem, w nieznacznem jeszcze zebraniu wewnętrznem, poczęłam wspominać sobie, jak to dawniej miewałam w duszy mojej Pana obecnego, jak żywo wówczas czułam, że On prawdziwie jest Bóg żywy. W ciągu tych myśli, nagle ujrzałam Go w sobie widzeniem duchowem, i głęboko, w samem wnętrzu duszy, jakby tuż przy sercu, usłyszałam głos Jego, mówiący mi: — „Jestem tu, przy tobie; chciałem tylko, byś się przekonała, że nic nie możesz bezemnie.“ W tejże chwili spokój wrócił do duszy mojej, i wszystkie strachy moje znikły. Tej samej jeszcze nocy, gdy byłam na Jutrzni, w widzeniu duchowem, ale tak jasnem, że równało się prawie widzeniu przez wyobraźnię, ujrzałam Pana spoczywającego na rękach moich, w takiej postawie, jak Go malują w piątej stacyi Sie-

---

<sup>1)</sup> 1 Kor. 10, 13.

dmiu Bolesci, złożonego na łonie Matki Najświętszej. Mocno mię to widzenie przeraziło, bo takie było wyraźne, i tak je miałam blisko, że obawiałam się złudy dyabelskiej. Wtedy On rzekł do mnie: — „Niech cię to nie przeraża; bliższem bez porównania złączeniem Ojciec mój jest z duszą twoją.“ Widzenie to tak głęboko utkwilo mi w pamięci, że dotąd je mam przed oczyma obecne; wrażenie słów, jakie przytem Pan mi powiedział, trwało we mnie przeszło miesiąc; teraz już przeszło.

Jednego dnia, wieczorem, w wielkiem byłam strapieniu, nie mając żadnych wiadomości o moim Ojcu, tembardziej że gdy pisał ostatni raz, cierpiącym był na zdrowiu; chociaż to strapienie moje nie było już tak gwałtowne jak ono pierwsze, gdy się dowiedziała o niedoli jego, a jakiemu podobnego nigdy już więcej nie doznałam; zawsze jednakże troska o niego przeszkadzała mi w modlitwie. W tem strapieniu mojem ujrzałam nagle widzenie tak wyraźne, że nie mogło być prostem tylko wyobrażeniem: ukazała mi się we wnętrzu mojem światłość, a w tej światłości on szedł drogą rażny i wesoły, i z rozjaśnionem obliczem. Ta jasność oblicza musiała zapewne pochodzić od światłości którą widziałam, i zdaje mi się że tak jest z wszystkimi wybranymi w niebie: sądzę że odbłask światłości wynikającej z Pana naszego czyni ich jasnymi. Wśród takiego widzenia usłyszałam te słowa: — „Powiedz jemu, niech natychmiast przystąpi do dzieła, bo jego jest zwycięstwo.“

Jednego dnia, po powrocie jego, gdy wieczorem na modlitwie wysławiała Pana, dzięki mu czyniąc za tyle tak wielkich łask które mi uczynił, Pan rzekł do mnie: — „O cóż ty możesz prosić, córko moja, czego bym ja nie uczynił?“

W dniu przedstawienia Brewe papieskiego, będąc w największej niespokojności i w takim strwożeniu wewnętrznem, że i modlić się nie mogłam, ponieważ doniesiono mi, że nasz Ojciec w wielkiem jest niebezpieczeństwie, że go zatrzymują przemocą, że z krzykiem wielkim mu wygrażają <sup>1)</sup>—usłyszałam te słowa: — „O niewiasto małej wiary! uspokój się, wszystko

<sup>1)</sup> Ustęp ten odnosi się do zapamiętałego, aż do czynnych obelg poniesionego buntu, jaki karmelici dawnej obserwancy w klasztorze Sewilskim

idzie jak najlepiej.“ — Było to w dzień Ofiarowania Najświętszej Panny Maryi roku 1575. Postanowiłam sobie wówczas, że jeśli Najświętsza Panna raczy nam to wyjednać u Syna swego, byśmy, Ojciec nasz i my z nim, już byli wolni od prześladowania tych Braci <sup>1)</sup>, poproszę Ojca o zarządzenie, aby każdego roku to święto obchodzone było uroczystie w naszych klasztorach sióstr Bosych. Gdym czyniła to postanowienie, było mi wyszło z pamięci, że już przedtem w widzeniu, jakie miałam, było mi dano zlecenie, by ustanowił to święto. Teraz dopiero, przy powtórnem odczytaniu tego zeszytiku, przyszło mi na myśl, że ta uroczystość koniecznie się obchodzić powinna.

## SPRAWOZDANIE X.

O objawieniu, jakie miała w Awili, roku 1579, i oznajmionych jej od Pana czterech przestrogach dla zakonu Karmelitów Bosych.

W wigilję Zesłania Ducha Świętego, udawszy się na modlitwę do pustelni nazaretańskiej przy klasztorze św. Józefa w Awili, i rozważając tam jedną bardzo wielką łaskę, którą mi Pan w takiż dzień, mniej więcej dwadzieścia lat temu był uczynił, uczułam w sobie wielki zapal i gorącość ducha, skutkiem których wpadłam w zachwycenie. W tem głębokiem zebraniu duszy, usłyszałam od Pana te słowa, które tu zapisuję <sup>2)</sup>: — „Powiedz odemnie tym Ojcom Bosym, niech

podnieśli przeciw Ojcu Gracyan, gdy tenże 21 listopada 1575, z polecenia unncyusza Hormaeto, przybył do nich z kanoniczną wizytą. Brewe, o którego przedstawieniu Święta wspomina, było to może pierwsze Piusa IV z r. 1562 upoważniające do założenia pierwszego domu karmelitek Bosych, czy też może inne późniejsze, mające na celu skłonienie zwolenników starej obserwancyi do przyjęcia reformy.

<sup>1)</sup> Karmelitów dawnej obserwancyi.

<sup>2)</sup> Objawienie to, bez wątpienia jedno z najważniejszych, jakie Święta zapisała w tej swojej księdze Sprawozdań, Karmelitki klasztoru św. Józefa w Awili przechowują wyryte złotemi głoskami na ścianie pustelni nazaretańskiej.

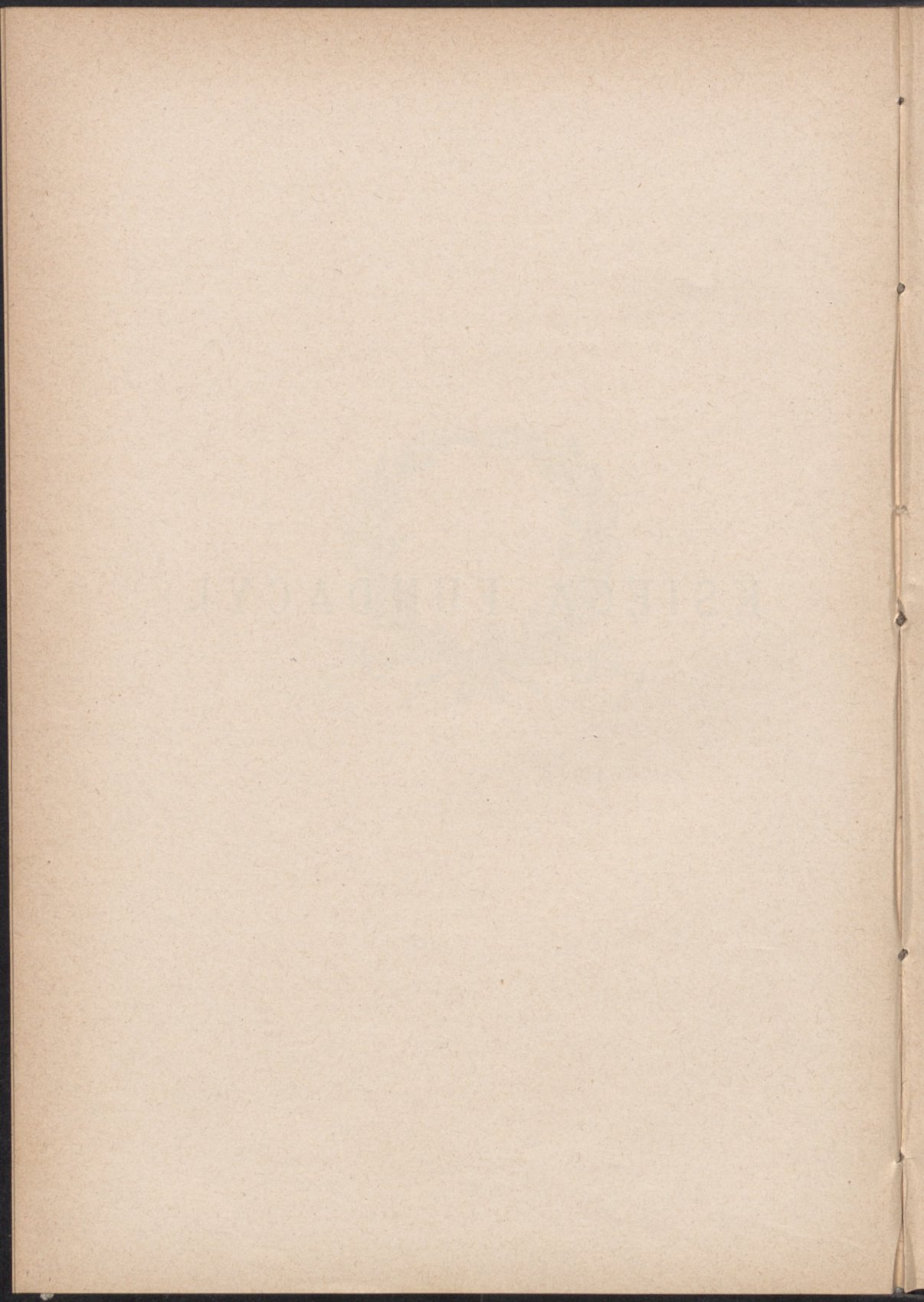
pilnie przestrzegają tych czterech rzeczy, które póki u nich zachowywać się będą, zakon ten coraz wyżej będzie rósł i postępował, gdyby zaś ich zaniedbali, niech wiedzą, że tem samem zaczną coraz bardziej odpadać od początku swego i pierwszej żarliwości swojej. Pierwsza jest, aby między przełożonymi była zgoda i jednomyślność. Druga, aby, jakkolwiekby rosła liczba domów, liczba Braci w każdym czasie była niewielka. Trzecia, aby mało przestawali z ludźmi świeckimi i tylko dla dobra dusz ich. Czwarta, aby nauczali więcej czynami niż słowy.“ — Było to w roku MDLXXIX. A iż to wielka jest prawda, stwierdzam ją i poświadczam podpisem moim.

*Teresa od Jezusa.*

KONIEC KSIĘGI SPRAWOZDAŃ.



KSIĘGA FUNDACYI.





## UWAGI WSTĘPNE.

---

*Księga fundacyi*, to jest historia powstania klasztoru Karmelitek i Karmelitów Bosych, przez św. Teresę założonych, stanowi poniekąd, choć nie w tym zamiarze była pisana, dalszy ciąg i dopełnienie księgi jej *Życia*. Nawiązując opowiadanie do opisanego już w tej ostatniej księdze założenia pierwszego klasztoru św. Józefa w Awili, r. 1562, obejmuje ona z przerwami ostatnie dwadzieścia lat życia Świętej, aż do r. 1583, który był rokiem jej śmierci; a choć św. Teresa, stosownie do założenia swego, mówi w niej głównie tylko o klasztorach, przez nią fundowanych, wspomina przecie, jak inaczej być nie mogło, wiele innych zdarzeń życia swego, bliższy lub dalszy z temi fundacyami związek mających, tak iż całość przedstawia dość dokładny obraz tej części życia jej.

Zaczęła Święta tę drogocenną księgę swoją, jak sama to we Wstępie zaznacza, w Salmantyce, w dzień św. Bartłomieja 1573 r., z polecenia O. Ripalda, naonczas rektora miejscowego kollegium jezuickiego. Ale podobnie jak do napisania księgi *Życia*, niezależnie od rozkazu spowiedników, miała wyraźny

rozkaz od Boga <sup>1)</sup>, tak i te fundacye swoje, już na sześć lat przedtem, sam Pan kazał jej opisać, w objawieniu, jakie miała od Niego w klasztorze Malangońskim, w Poście roku 1568 <sup>2)</sup>. Zajęta bez wytchnienia podróżami i zachodami około fundacyi, w tym czasie nieprzerwanie jedna po drugiej następujących, — w przeciągu trzech lat, od r. 1568 do r. 1571, założyła pięć nowych klasztorów, — potem przez trzy lata obarczona włożonem na nią ciężkiem brzemieniem zarządu i naprawy klasztoru Weielenia w Awili, nie mogła wykonać zaraz danego jej od Pana rozkazu. Dopiero w połowie r. 1573, gdy półroczny pobyt w Salmantyce przywrócił jej nieco swobody, zmaglona rozkazem tamecznego dyrektora swego, O. Ripalda, wszczęła zleconą jej pracę, i napisała pierwsze 20 rozdziałów, obejmujące, prócz dosyć długiej dygressyi dydaktyczno-ascetycznej, historję założenia pierwszych ośmiu klasztorów, tudzież pierwszego klasztoru karmelitów Bosych w Durvelo. Dalsze siedm rozdziałów, opowiadające fundacye czterech nowych klasztorów, spisywała z rozkazu O. Gracyan, komisarza apostolskiego dla prowincyi hiszpańskiej zreformowanego Karmelu, zaczawszy od marca r. 1574, i zakończyła tę drugą część księgi swojej, jak sama to w podpisie zaznacza, w Toledzie, 14 listopada 1576. Nastaly potem dwa czy trzy lata ciężkiego i zapamiętałego, ze strony samychże braci, reformie przeciwnych, prześladowania, które, przez chwilę odnowionemu zakonowi zupełną groziło zagładą. Św. Teresa spędziła te lata w ukryciu klasztor-

---

<sup>1)</sup> Ob. *Życie, Wstęp*.

<sup>2)</sup> Ob. *Księga Sprawozdań, Sprawozdanie III, ustęp 2-gi*.

nem, bądź w Toledzie, bądź w Awili; dopiero r. 1580, po uciśnieniu się burzy, podjęła na nowo przerwane dzieło fundacyi i przez trzy lata do śmierci swojej cztery jeszcze klasztory założyła, z których ostatnim był klasztor w Burgos. Każdą z tych fundacyi opisała zaraz po dokonaniu jej, tak już czując się schorzałą i wycieńczoną, że za każdą miała przekonanie, iż będzie to ostatnia; jakoż na czwartej, w Burgos, dopełnionej zaledwo na pół roku przed śmiercią, sprawdziło się jej przecucie. Opisy te stanowią trzecią część księgi, czyli cztery rozdziały końcowe.

Do tych trzydziestu rozdziałów Księgi Fundacyi, niektóre wydania hiszpańskie dołączają jeszcze jeden, zawierający historię fundacyi klasztoru w Granadzie, skreśloną na rozkaz O. Gracyan przez Matkę Annę od Jezusa. Opis ten, i wytworną prostotą stylu swego, i wysoko zajmującą i budującą treścią swoją, w istocie godzien jest stanąć obok pism natchnionej reformatorki Karmelu; lecz jako nie przez nią pisany, nie należy do tekstu księgi jej. Wszakże dla niepospolitej piękności i ważności jego, zamieszczamy go na końcu jako Dodatek.

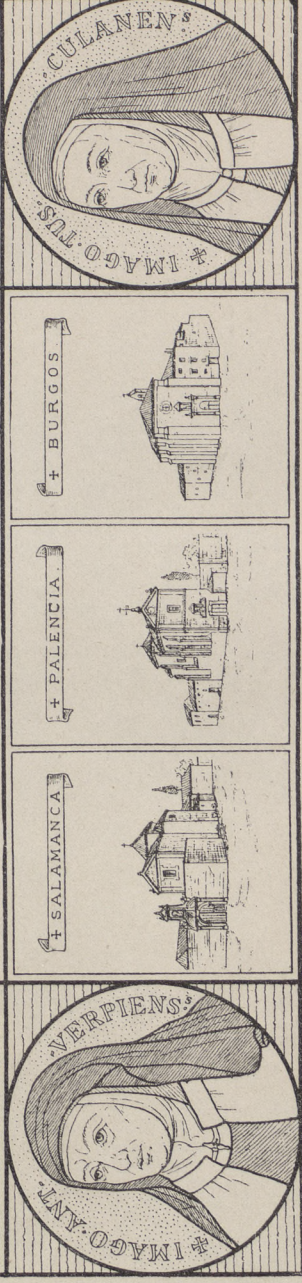
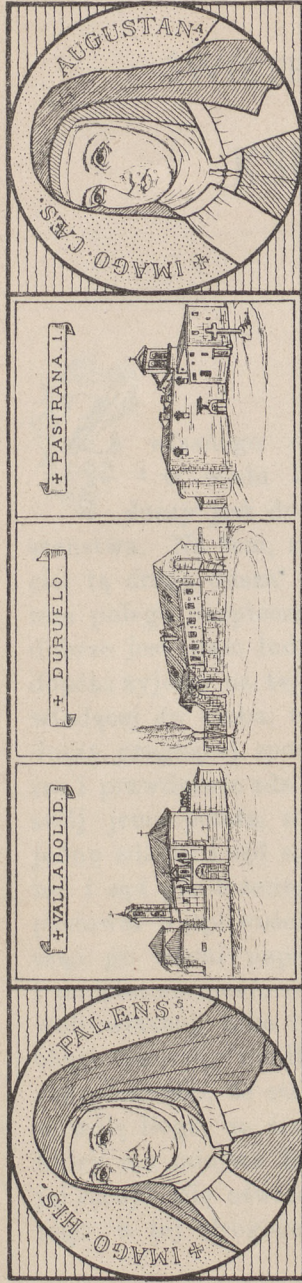
O stylowych zaletach i pięknościach tej księgi, zdaniem uczonego wydawcy, za którym w przekładzie naszym idziemy, przewyższających wszystkie inne pisma św. Teresy; o uroczej prostocie tych opowiadań, zaprawionej tu i owdzie prawdziwie atycką solą dosadnie żartobliwych uwag, jakiemi bystry i lotny z przyrodzenia dowcip Świętej, bez najmniejszego jednak śladu żółci czy urazy, w różnych miejscach mimochodem charakteryzuje przeciwieństwa i przeszkody, jakie w ciągu tych fundacyj złość albo głupota ludzka jej na drodze stawiały, — mówić tu nie

mamy potrzeby. Wspomnimy tylko na zakończenie obietnicę, jaką święta Autorka w ciągu pisania swego otrzymała od Pana w objawieniu, z którego sama zdaje sprawę spowiednikowi swemu, O. Gracyan: — „Pan powiedział mi, pisze, że książka ta przyniesie pożytek bardzo wielu duszom“<sup>1)</sup>.—Niechże z łaski Jego, wszyscy którzy tę książkę w niniejszym jakimkolwiek przekładzie czytać będą, znajdą się w liczbie onych „bardzo wielu dusz“; niech w Boskiej dobroci swojej Pan na nich wszystkich raczy spełnić tę najłaskawszą obietnicę swoją.

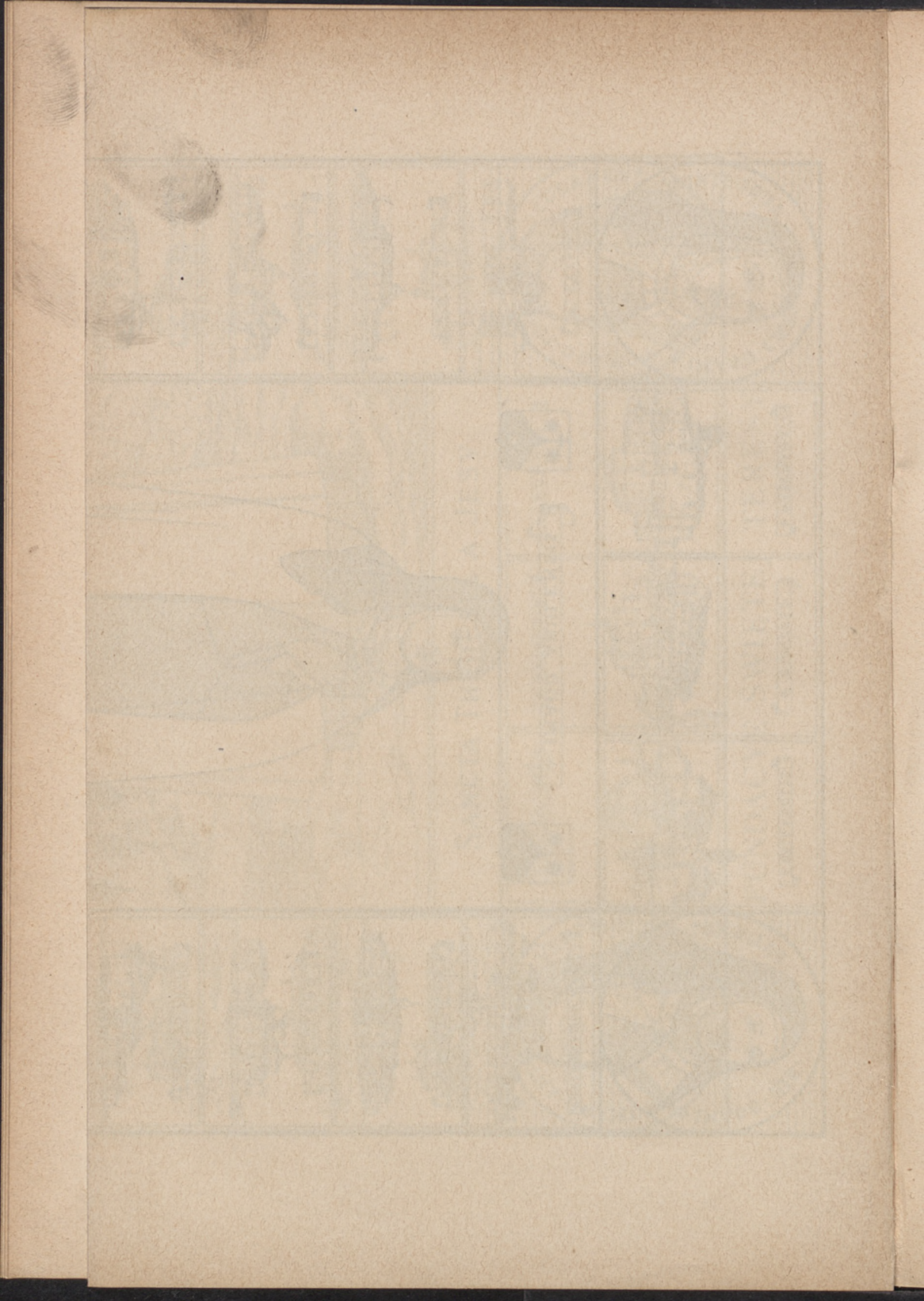
---

<sup>1)</sup> *Listy*, t. IV, *urywek* 17.

---



FUNDACYE ŚWIĘTEJ TERESY.



ŚWIĘTEJ TERESY OD JEZUSA

KSIĘGA FUNDACYI.

W S T Ę P.



własnego doświadczenia przekonałam się, o czym i w wielu książkach czytałam, jak wielkiem to dla duszy jest dobrem, nie schodzić nigdy z drogi posłuszeństwa. Na tem, zdaniem mojem, zasadza się postępek w cnotcie; tą drogą dusza coraz bardziej wzbogaca się w pokorę; na tem polega bezpieczna ufność i uspokojenie tej obawy, którą dobrze jest nam ludziom śmiertelnym w sobie zachowywać, dopóki żyjemy na tej ziemi, byśmy snać nie zbłąkali się z drogi wiodącej do nieba; tu znajduje się on pokój tak pożądany dla duszy pragnącej spodobać się Bogu. Ktokolwiek bowiem szczerze i prawdziwie zda siebie na to święte posłuszeństwo, i umysł swój jemu podda, nie chcąc już mieć innego zdania i sądu, jedno zdanie i sąd spowiednika, albo jeśli żyje w zakonie, zdanie i sąd przełożonego swego, tego już dyabeł nie będzie napastował wątpliwościami i niepokojami swemi, bo widzi że kusząc go niemi napróżno, szkodę raczej niż korzyść odnosi; i podobnie niesforne zapędy natury naszej, rade czynić wedle woli własnej, albo i samże rozum stłumić dla zadowolenia chęci swoich, umilkną w nim, bo posłuszeństwo będzie mu przypominało, że stanowczo i raz na zawsze wolę swoją złożył w wolę Boga, za środek ku temu obierając poddanie się temu, który mu miejsce Boga zastępuje. Odkąd Pan w dobroci swojej raczył mię oświecić ku poznaniu wielkiego skarbu zamkniętego w tej drogocennej cnotcie, starałam się zawsze, choć-

nieudolnie i niedoskonale, zachowywać ją. Prawda że nieraz mi ją utrudnia jasne jakie mam poznanie małej we mnie cnoty, bo do niektórych rzeczy, jakie mi czynić każą, zdaje mi się, że siły mojej nie starczy. Niechaj Pan w Boskiej łaskawości swojej raczy zaradzić niedostateczności mojej i w tej obecnej, którą mi zlecono, robocie.

W czasie pobytu mego w klasztorze św. Józefa w Awili, roku tysiąc pięćset sześćdziesiątego drugiego, to jest w samymże roku założenia tego klasztoru, otrzymałam od Ojca Garcia de Toledo, dominikanina, naonczas spowiednika mojego, rozkaz opisania fundacyi rzeczzonego klasztoru i wielu innych rzeczy, które kto ujrzy to pismo, jeśli ono wyjdzie na światło dzienne, sam obaczy. Obecnie, w roku tysiąc pięćset siedmdziesiątym i trzecim, po upływie jedenastu lat, znajdując się w Salmantyce, mam za spowiednika Ojca magistra Ripalda, rektora kolegium Towarzystwa Jezusowego<sup>1)</sup>. Ten, przeczytawszy onę księgę pierwszej fundacyi, uznał, że będzie to na większą chwałę Bożą, gdy piszę o drugich siedmiu klasztorach, które od założenia pierwszego aż do tego czasu z łaski Pana naszego powstały, jak również o pierwszych początkach klasztorów Ojców Bosych teźże reguły pierwotnej; zaczem i kazał mi opracować ten opis. Wykonanie tego rozkazu wydawało mi się niepodobnem, przy tylu interesach do załatwienia, i tylu listach do pisania, i innych jeszcze obowiązkach, włożonych na mnie z rozkazu przełożonych; gdy nadto jeszcze tak mało do czego jestem zdolną, a zdrowie tak mam zniszczone, że i bez tej pracy nadzwyczaj mi narzuconej, nieraz, wedle nędznego przyrodzenia mego, zdawało mi się, że dłużej brzemienia mego nie zniosę. W takim więc będąc udręczeniu, do Pana się uciekłam, polecając Jemu utrapienie moje. A Pan rzekł do mnie: — „Córko, posłuszeństwo dodaje siły“. Niechże Boska łaskawość Jego to sprawi, by tak się stało, i niech użyzcza łaski, abym potrafiła na chwałę Jego opowiedzieć miłosierdzie, jakie w tych fundacyach zakonowi naszemu uczynił. W opowiadaniu mojem, upewniam, będzie sama tylko i czysta prawda, bez żadnej przesa-

---

<sup>1)</sup> Ob. *Dodatek*, II.



dy, o ile wiem i rozumiem; opowiem wszystko tak, jak było rzeczywiście. W najmniejszej rzeczy nawet, za nic na świecie nie powiedziałabym kłamstwa; tem bardziej więc, gdy to co tu piszę, ma być na chwałę Panu, za ciężki grzech poczytywałabym sobie najłżejsze w tem pisaniu mojem rozminięcie się z prawdą; byłoby to, zdaniem mojem, nie tylko zmarnowaniem czasu, ale i nadużyciem rzeczy Bożych na oszukanie ludzi; miasto chwały Bożej, wyrządziłabym Bogu obrazę, co byłoby niegodną zdradą. Niech Boska miłość Jego nie wypuszcza mnie z swej opieki, bym miała uczynić rzecz podobną. Każdą fundacyę opiszę poosobno, starając się pisać zwięźle i krótko, o ile potrafię; bo styl mam taki ciężki, że słusznie się obawiam, czy mimo najlepszej woli nie umęcę i drugich, i siebie. Lecz znając miłość, jaką mają dla mnie córki moje, którym to pismo ma się dostać po śmierci mojej, ufam że cierpliwie mię zniosą. A jako w niczem nie szukam pożytku mego, i o nic nie dbam, jeno o cześć i chwałę Pana naszego, tak i to pisanie podejmując, błagam Go, niech daleką będzie od tych, którzy to czytać będą, myśl przypisywania mnie którejbych z tych wielu rzeczy świetnych i chwalebnych, które tu znajdują opisane, bo byłoby to wprost przeciwnem prawdzie; niech raczej proszą za mną Boskiego Majestatu Jego, aby mi raczył odpuścić zły użytek, jaki z tych wszystkich łask uczyniłam. Za to zwłaszcza córki moje nierównie słuszniejszy mają powód do żalenia się na mnie, niż do dziękowania mi za to, co się w tych fundacyach dokonało. Dobroci Boskiej, córki moje, wszystko oddajmy dziękczynienie za te tak wielkie łaski, jakie nam uczynił. Ktokolwiek będzie to czytał, proszę go na miłość Boga o jedno Zdrowaś Marya, aby mi modlitwą swoją dopomógł do wyzwolenia z czysca i dojścia do oglądania Jezusa Chrystusa, Pana naszego, który z Ojcem i Duchem Świętym żyje i króluje na wieki wieków. Amen.

Dzięki słabej pamięci mojej, zapewne tu opuszczę niejedną rzecz ważną, a wspomnę za to o wielu takich, bez którychby się obyło; będzie to, słowem, robota odpowiednia tępości umysłu mego, i nieokrzesianiu memu, a także warunkom, w jakich ją piszę, mało mając do niej czasu spokojnego. Sto-

sownie do danego mi polecenia, dotknę tu również, przy zdarzonej sposobności, niektórych materyi, odnoszących się do modlitwy wewnętrznej, i złudzeń jakie się w niej zdarzyć mogą, aby, ktoby im podlegał, w porę się na tej niewłaściwej drodze zatrzymał. We wszystkim poddaję się temu, czego matka święta Kościół naucza; postanowiłam nadto, że nim to pismo dostanie się do rąk waszych, siostry moje i córki, pierwiej je przejrzą ludzie uczeni i w rzeczach duchownych doświadczeni.

Zaczynam w imię Pańskie, wzywając na pomoc błogosławioną Matkę Jego, której, choć niegodna, habit noszę, i chwalebne go ojca i pana mego, św. Józefa, w którego domu jestem, bo pod jego wezwaniem wzniesiony jest ten klasztor Karmelitek Bosych, a który przez całe życie moje przyczyną swoją mię wspierał. Roku 1573, w dzień św. Ludwika, króla francuskiego, to jest dnia 24-go sierpnia.

NIECH BĘDZIE BÓG POCHWALONY.

# JEZUS—MARYA.

ZACZYNA SIĘ FUNDACYA KARMELU ŚWIĘTEGO JÓZEFA W MEDINA DEL CAMPO.

## ROZDZIAŁ I.

W jaki sposób poczęła się pierwsza myśl tej fundacyi i drugih.

Przez pięć lat, od chwili założenia domu św. Józefa w Awili, przebywałam w tym klasztorze; będą to, zdaje mi się, o ile dzisiaj o tem sądzić mogę, najspokojniejsze lata życia mego, za których ciszą i spokojem często potem tęskniła i tęskni dusza moja. W tym czasie wstąpiło do naszego zakonu kilka panien, które, wnosząc z wykwintności i okazałości strojów, można było sądzić, że świat już je pozyskał dla siebie; ale Pan odrywając je wcześniej od tych marności, pociągnął je do domu swego, tak wysoką darząc je doskonałością, że przykład ich wielkiem był dla mnie zawstydzieniem. Tym sposobem doszłyśmy do liczby trzynastu, której postanowiono było że nigdy nie przekroczymy. Roskoszą było dla mnie żyć pospołu z takimi świętymi i czystemi duszami, których jedyną troską była służba i chwała Pana. Boska łaskawość Jego zsyłała nam, choć nikogo o nic nie prosiłyśmy, czego nam było potrzeba do życia; a jeśli kiedy zabrakło nam chleba, co się bardzo rzadko zdarzało, one tem większą stąd radość miały. Z uwielbieniem dzięki czyniłam Panu, patrząc na tyle tak wysokich cnót, a szczególnie na taką świętą obojętność tych dusz, nie frasujących się o nic, jedno o to, aby Jemu służyły.

Ja też, choć sprawowałam rządy klasztoru, nie pamiętam bym kiedy zafrasowała się o rzeczy doczesne, mając tę mocną wiarę, że nie zapomni Pan o służebnicach swoich, o to jedynie się starających, by Jemu się spodobaly. Zdarzało się niekiedy,

że tego, co miałyśmy w domu, nie starczyło na obiad dla całego zgromadzenia; polecałam wtedy to, co jest, podać słabszym i pilniej pożywienia potrzebującym; ale żadna nie chciała się przyznać, by miała większą potrzebę od drugih, i tak strawa im ofiarowana pozostawała nietknięta, dopóki Bóg jej nie zesłał więcej, aby było dosyć dla wszystkich. Posłuszeństwa ich, — cnoty, dla której szczególną mam cześć, choć pełnić jej nie umiałam, póki mię te służebnice Boże jej nie nauczyły, i lepiejbym ją umiała gdybym była cnotliwą, — wiele mogłabym przytoczyć przykładów, na które sama patrzałam. Jeden tu wspomnę, jak mi w tej chwili przychodzi na pamięć. Pewnego razu podano nam do stołu w refektarzu ogórki; mnie się dostał jeden bardzo cienki, i wewnątrz zepsuty. Z udaną tedy powagą zawołałam jedną z siostr, odznaczającą się rozumem i wykształceniem <sup>1)</sup>, i dla doświadczenia jej posłuszeństwa, kazałam jej pójść i zasadzić ten ogórek w ogródku, jaki miałyśmy przy domu. Zapytała mię, jak go ma zasadzić, czy na sztorc czy w poprzek. Odpowiedziałam jej, że w poprzek. Poszła więc i zasadziła go, ani chwilę nie dopuszczając tej myśli, że niepodobna by nie usechł; to jedno miała na myśli, że działa przez posłuszeństwo i służy Chrystusowi, i ślepe to posłuszeństwo zagłuszyło w niej rozum przyrodzony, iż pewną była że czyni rzecz najrozumniejszą. Zdarzało się, że umyślnie naznaczałam jednej siostrze sześć albo siedm różnych obowiązków na raz, a ona je przyjmowała nie odpowiadając ani słowa, przekonana, że zdoła spełnić je wszystkie. Miałyśmy studnię z bardzo złą wodą, według zapewnienia tych, którzy jej próbowali, a przytem tak głęboką, że zdawało się rzeczą niepodobną wydobyć z niej wodę; robotnicy, których wzywałam aby ją urządzili, śmiali się ze mnie, że chcę wyrzucać pieniądze napróżno. Zapytałam siostr, jakie ich zdanie. Jedna z nich odpowiedziała, że trzeba podjąć tę robotę; Pan nasz, mówiła, musi nam przysyłać wodę z miasta, i musi nam dawać czem nakarmić tych, którzy ją nam przynoszą; dalekoż taniej wypadnie wielmożności Jego,

---

<sup>1)</sup> Była to Marya de Ocampo, w zakonie Marya od Św. Jana Chrzciciela, siostrzenica św. Teresy.

gdy sprawi, byśmy ją miały w domu, a zatem i nie omieszka tak uczynić. Z taką to powiedziała żywą wiarą, i z taką stanowczością, że i ja nabrałam pewności, że tak się stanie; zaczem, wbrew zdaniu i oporowi studniarza, choć znajdującego się na rzeczy, kazałam przystąpić do dzieła, i z łaski Pana wyprowadziliśmy ze studni promień wody dobrej do picia, zupełnie wystarczający na naszą potrzebę, i do dziś dnia płynący <sup>1)</sup>. Nie opowiadam tego zdarzenia dla zaznaczenia cudu, bo gdybym chciała mówić o cudach, wiele innych tego rodzaju rzeczy mogłabym wymienić, ale dla wykazania na tym przykładzie, jaka była wielka wiara w tych siostrach, bo tak się stało jak mówię. Nie jest tu głównym zamiarem moim, pisać pochwały zakonnicych tych klasztorów, które wszystkie dotąd, dzięki dobroci Pańskiej tą drogą idą: opisywać tu wszystkie podobne powyższym przykłady, i wiele innych jeszcze szczegółów, byłoby za długo; choć opis taki nie byłby bez pożytku; pobudzałby te, które po nich przyjdą, do naśladowania tych pierwszych. Ale jeśli jest wola Pańska, by te szczegóły były ogłoszone, zapewne przełożeni polecą przeoryszom spisanie ich.

Żyłam więc, ja nędzna, wśród tych dusz anielskich, bo tak jak je znałam, nie mogę ich nazwać inaczej. Wyznawały przedemną, nietylko każde najmniejsze swe uchybienie, choćby zgoła wewnętrzne, ale i dary nad wyraz wielkie, łaski nadzwyczajne, żarliwe żądze, całkowite oderwanie serca od wszystkiego co ziemskie, jakich Pan im użyczał. Samotność była dla nich roskoszą; upewniały mię, że nigdy się nią nasycić nie mogą; przyjmowanie odwiedzin, choćby rodzonych braci, wydawało im się męką. Która więcej miała czasu i możności pozostawiania w pustelni, ta poczytywała się za najszczęśliwszą. Zastanawiając się nad wysoką szlachetnością tych dusz, nad męstwem, zgoła nie niewieściem, jakim Bóg je napełniał do cierpienia i pracy dla chwały Jego, nieraz myślałam sobie, że Pan, takie w nich składając bogactwa, śnać wielki jaki ma w tem cel i zamiar; nie iżby mi nawet przez głowę przeszło, by miało się stać to co potem się stało, bo było to wówczas, po ludzku sądząc, zupeł-

---

<sup>1)</sup> Studnia ta otrzymała miano „Zdroju Maryi od Św. Jana Chrzciciela.“

nem niepodobieństwem, i w braku wszelkich środków ku temu, niepodobna było o takich rzeczach i myśleć. Ale coraz wyżej z każdym dniem rosły we mnie gorące pożądanja przyczynienia się w czemkolwiek do zbawienia jakiej duszy; i nieraz miałam takie uczucie, jak gdyby kto posiadał w schowaniu u siebie skarb wielki, i chciałby użyzyć z niego wszystkim, a nie mógłby, bo mu ręce związane: tak i dusza moja czuła się niejako związaną, bo jakkolwiek bardzo wielkie były łaski, których Pan w tych latach mi używał, wszystko to zdawało mi się jakby uwięzione we mnie, i leżące bez pożytku. Nie mogąc uczynić nic więcej, służyłam Panu ustawicznie ubogiemi modlitwami mojemi, i siostry pobudzałam aby czyniły podobnie, i żarliwe w sobie utrzymywały pragnienia zbawienia dusz i wzrostu Kościoła świętego; jakoż każdy, kto zbliżył się do nich, wielkie zawsze z rozmowy z niemi odnosił zbudowanie. W takich to wewnętrznych pracach i pragnieniach zanurzałam wielkie one pożądanja moje.

Tak upłynęło było może trochę więcej niż cztery lata, gdy przybył do mnie w odwiedziny pewien zakonnik franciszkanin, imieniem Brat Alfons Maldonado. Żarliwy ten sługa Boży takiemiż, jak i ja, pałał żądzami zbawienia dusz, a mógł je wypełnić czynem, czego mu bardzo zazdrościłam. Niedawno przedtem był powrócił z Indyi; począł mi opowiadać o tych milionach dusz, które tam giną, bo nie masz kto by je uczył wiary prawdziwej; miał do nas, sposobem poufnej nauki, kazanie, pobudzając nas do pokuty; potem nas pożegnał. Taka mi po tem widzeniu się z nim pozostała w sercu żalność nad zgubą tylu dusz, że prawie odchodziłam od siebie; udałam się do pustelni, i tam zalewając się łzami wołałam do Pana, błagając Go, by mi dał sposób i możność pozyskania jakiej duszy dla służby Jego, kiedy mu czart tyle ich wydziera; by przynajmniej modlitwa moja, kiedy nic więcej uczynić nie mogę, miała przed Nim jaką ku temu skuteczność. Serdecznie zazdrościłam tym, którym dano jest, dla miłości Pana naszego poświęcać się tej wielkiej sprawie, chociażby tysiąc razy na śmierć narazić się mieli. Bywa tak ze mną, że gdy czytamy żywoty Świętych, to co oni uczynili dla nawrócenia dusz, daleko większą wzbud-

dza we mnie pobożność, i rozrzewnienie, i zazdrość, niż wszelkie męki, jakie wycierpieli. Ten jest szczególny pociąg i skłonność, jaką mam od Pana; i mam to przekonanie, że więcej w oczach Jego waży jedna dusza, którąbysmy, z łaski i miłosierdzia Jego, pracą i modlitwą naszą Jemu pozyskali, niż wszelkie inne, jakiebysmy mogli oddać Mu usługi.

Wśród takiego serdecznego strapienia mego, jednego wie czoru, gdy byłam na modlitwie, ukazał mi się Pan w takiej w jakiej zwykle Go widuję postaci, i z wielką do mnie mówiąc miłością i pocieszając mię, rzekł: — „Ufaj, córko, i poczekaj nieco, a ujrzysz rzeczy wielkie.“ Słowa te tak głęboko utkwily mi w sercu, że ani na chwilę o nich zapomnieć nie mogłam; i lubo znaczenia ich, mimo ciągłego nad nimi rozmyślania, dociec nie zdołałam, wielce przecie mię pocieszyły; miałam zupełną pewność, że zapowiedziane one wielkie rzeczy się sprawdzą, ale w jaki sposób to się stanie, o tem żadnego nie miałam pojęcia. Tak upłynęło jeszcze, zdaje mi się, pół roku, aż wreszcie nastąpiło to, co teraz opowiem.

---

## ROZDZIAŁ II.

Przyjazd naszego Ojca Generała do Awili, i co z przyjazdu jego wynikło.

Generałowie nasi stale mieszkają w Rzymie, i żaden z nich nigdy nie był w Hiszpanii; zdawało się więc niepodobna, by terazniejszy miał kiedy do nas przyjechać. Lecz jako, gdy Pan chce, nie masz rzeczy niepodobnej, tak i w obecnym razie Boska Opatrzność Jego zrządziła, że czego nigdy przedtem nie było, to się teraz stało. Wiadomość o tem, gdy ją otrzymała, nie była mi, zdaje mi się, zupełnie przyjemną; bo jak mówiłam w opisie fundacyi domu św. Józefa, dom ten, z powodów tam wymienionych, nie podlegał władzy zakonu. Dwu rzeczy się bałam: naprzód, by generał nie był na mnie zagniewany, do czego, nie znając całego przebiegu rzeczy, słuszny mógł mieć powód; a powtóre, by nie kazał mi wracać do klasztoru Weienia, rządzącego się regułą złagodzoną, co dla mnie, z przy-

czyn, nad któremi tu rozwodzić się nie mam potrzeby, ciężkiem byłoby strapieniem. Dość tej jednej racyi, że nie mogłabym tam zachowywać z całą ścisłością reguły pierwotnej, i że znalazłabym się w zgromadzeniu, liczącem przeszło sto pięćdziesiąt siostr, a łatwiej-ci o zgodę i pokój w domu, w którym, jak w tym naszym, liczba zakonnicej jest niewielka. Lecz Pan szczęśliwie, nad spodziewanie moje, z tych obaw dał wyjście. Generał, gorliwy sługa Boży, mąż przytem wysokiej nauki i roztropności, uznał że sprawa nasza jest dobrą, i żadnego mi w niczem nie okazał nieukontentowania. Nazywa się Jan Chrzyciel Rubeo <sup>1)</sup> z Rawenny; wysoko jest poważany w zakonie, i słusznie.

Gdy tedy przybył do Awili, postarałam się, aby zwiedził ten dom św. Józefa, a biskup polecił nam przyjąć go z całą czcią i ceremonjałem własnej jego osobie należnym. Zdałam mu sprawę o wszystkim z zupełną szczerością i prawdą, bo tak zawsze postępować zwykłam z przełożonymi, cokolwiekby stąd miało wyniknąć, skoro oni z urzędu swego zastępują miejsce Boga, jak również i ze spowiednikami; inaczej postępując, nie byłabym spokojną o duszę swoją. Zdałam mu podobnie sprawę z wewnętrznego stanu i z całego prawie życia mego, choć tak grzesznego. On, wysłuchawszy mnie, powiedział mi wiele rzeczy na pociechę moją, i upewnił mnie, że nie każe mi opuszczać naszego klasztoru. Ucieszył się bardzo, przypatrzywszy się naszemu porządkowi życia, widząc w nim obraz, jakkolwiek niedoskonały, pierwszych początków naszego zakonu, i jako reguła pierwotna zachowuje się u nas w całej swej ścisłości, bo żaden inny klasztor jej nie przestrzega, ale cały zakon rządzi się regułą zlagodzoną. Stąd też, pragnąc jak najdalszego rozszerzenia się tych początków naszych, wydał mi bardzo szerokie upoważnienia do zakładania więcej takich klasztorów, z zagrożeniem cenzur kościelnych, gdyby który prowincyał chciał mi w tem stawiać przeszkody. Ja go o te upoważnienia nie prosiłam, ale poznawszy mój rodzaj modlitwy,

---

<sup>1)</sup> Właściwe nazwisko jego, obyczajem ówczesnym zlatynizowane, było Jan Rossi. Przybył do Hiszpanii r. 1566, za panowania Filipa II, umocowany Bullą św. Piusa V, który na krótko przedtem był wstąpił na tron papieski.



sam zrozumiał z niego gorące pragnienia moje, przyczynienia się w czemkolwiek do duchownego postępu choćby jednej duszy i bliższego jej złączenia się z Bogiem.

Upoważnień tych i sposobów do spełnienia onych pragnień moich ja sama nie szukałam; owszem samoż pomyślenie o tem wydawało mi się szaleństwem; boć rozumiałam to dobrze, że taka, jak ja, maluczka, bez żadnego znaczenia i powagi kobiecina niczego zdziałać nie może. Ale gdy duszę ogarną one święte żądze, nie jest już w jej możliwości od nich się uchylić. Miłość Boga, pragnienie chwały Jego i wiara czynią podobnem to co w oczach przyrodzonego rozumu jest niepodobieństwem tak i dla mnie, w obec objawionej mi stanowczej woli przewielebnego naszego generała, bym więcej klasztorów zakładała, klasztory te były jakby już założone. Wspomniałem na one słowa, które Pan był do mnie powiedział: przedtem nie mogłam zrozumieć znaczenia ich, teraz widziałam już na oczy początek ich spełnienia się. Wielki miałam smutek, gdy nasz Ojciec generał odjeżdżał z powrotem do Rzymu; bardzo go byłam pokochała, i z odjazdem jego zdawało mi się, że pozostaję w wielkiem opuszczeniu. On też bardzo na mnie był łaskaw, i szczególną mi przychylność okazywał; ile razy zajęcia jego na to mu pozwalały, przychodził do nas i mówił nam o rzeczach duchownych, a czuć było w słowach jego, że Pan snąc wielkich łask mu użył; pociechą było dla nas słuchać go.

Przed odjazdem jego, biskup nasz, Don Alvaro de Mendoza, pasterz serdeczną otaczający miłością i opieką wszystkich, w których widzi pragnienia służenia Bogu z większą doskonałością, prosił go o upoważnienie do założenia w dyecezyi swojej kilku klasztorów karmelitów Bosych, według reguły pierwotnej. Z innych stron także zanoszono do O. generała podobne prośby. On radby był na nie się zgodził; ale napotkał na opór ze strony zakonu, i przeto, nie chcąc dać powodu do rozterek w prowincyi naszej, na razie rzeczy zaniechał.

Mimo to jednak, w kilka dni potem, zważywszy, że skoro mam zakładać klasztory żeńskie, nieodzownie będzie potrzeba, by obok nich powstały także klasztory Braci tejże reguły, tem bardziej że Karmelitów w naszej prowincyi tak mała była liczba,

iż zdawało się prawie jak gdyby zakon u nas miał wygasnąć: po gorącym tej sprawy poleceniu Bogu, napisałam do Ojca generała list błagalny, przedstawiając mu jak umiałam najlepiej moje racye: że wielka stąd będzie chwała Bogu, że trudności przewidywane nie są dostatecznym powodem do zaniechania takiej dobrej sprawy, że i Najświętszej Pannie, której tak gorliwym jest czcicielem, nie małą przez to odda usługę. Snać Ona sama wzięła w ręce tę sprawę; bo generał, skoro doszedł do niego list mój, z Walencji, gdzie wówczas bawił, przysłał mi upoważnienie do założenia dwóch klasztorów męskich, w czem jawnie się okazała ochotna troskliwość jego o dobro i wzrost zakonu. Zapobiegając oporowi niechętnych, polecił wykonanie rozporządzenia swego obu prowincyałom, i obecnie urzędującemu, i dawnemu, chociaż z nimi nie łatwo było dojść do końca. Ale osiągnąwszy już rzecz główną, ufałam, że Pan dokona i reszty; i tak się stało; dzięki staraniom Księdza Biskupa, który popierał tę sprawę jakby swoją własną, oba prowincyałowie wreszcie się zgodzili.

Cieszyłam się, że mam już zapewnione upoważnienie, ale wraz z niem przybyło mi i troski, bo nie było (nie znałam przynajmniej) w całej prowincyi ani jednego zakonnika, zdolnego do wykonania takiego przedsięwzięcia, albo choćby kapłana świeckiego, któryby chciał uczynić początek. Wciąż tylko błagałam Pana, aby mi wzbudził i przysłał choć jednego pomocnika. Nie miałam również domu, ani sposobu nabycia go. Do podjęcia więc takiego dzieła była tam wszystkiego jedna uboga zakonnica bosa, bez żadnej znikąd pomocy, oprócz od Pana, obładowana listami upoważniającemi i dobremi chęciami, a pozbawiona wszelkiej możności spełnienia ich czynem. Nie traciłam jednak odwagi ani nadziei, że skoro Pan dał jedno, da więc i drugie; rzecz cała wydawała mi się już zupełnie możliwą, zatem i przystąpiłam do dzieła.

O Boże wielki! Jakże dziwnie objawiasz potęgę twoją, dodając śmiałości maluczkiemu robaczkowi! Zaprawdę, nie twoja w tem wina, Panie mój, jeśli nie umieją wielkich rzeczy zdziałać ci, którzy Cię miłują; winna temu jedynie małoduszność i tchórzostwo nasze. Nie umiemy się zdobywać na mężne postano-

wienia, zawsze pełni tysiącznych strachów i względów ludzkich, i dla tego Ty, Boże mój, nie działasz w nas cudów i wielmożności twoich. Bo któż ochotniejszy nad Ciebie do dawania, skoro tylko znajdziesz komu dawać, i kto chętniej niż Ty przyjmuje usługi, i własnym kosztem sprawując je, i za nie odpłacając? Bodajbym z Boskiej łaskawości Twojej umiała Tobie w czem usłużyć; bodajbym tyle od Ciebie wzięwszy, usilniej się starała oddawać Tobie z tego, com wzięła. Amen.

---

### ROZDZIAŁ III.

W jaki sposób, i z jakimi środkami przystąpiono do założenia klasztoru św. Józefa w Medina del Campo.

Wśród takich zamysłów i trosk moich, przyszło mi na myśl udać się o pomoc do Ojców Towarzystwa, w onem miejscu, to jest w Medina, mieszkających i wielkiej tam wziętości używających; tembardziej, że jak o tem mówiłam w opisie pierwszej fundacyi, przez wiele lat duszę moją przed nimi otwierałam, i tyle jej kierunkiem swoim uczynili dobrego, że odtąd i na zawsze szczególną dla nich mam cześć i miłość. Napisałam więc do tamecznego Rektora, donosząc mu o otrzymanem od naszego Ojca Generała zleceniu. Trafiło się, że tym Rektorem był właśnie ten sam Ojciec, który mię przez wiele lat spowiadał, jak o tem w wyżej wskazanem miejscu mówiłam, tylko nazwiska jego tam nie wymieniłam: nazywał się Baltazar Alvarez; obecnie jest prowincyałem. Odpowiedział mi, że i sam i drudzy Ojcowie uczynią dla nas w tej potrzebie co tylko będzie w ich mocy; jakoż dużo nam pomogli do uzyskania zgodzenia się miasta i zwierzchności duchownej, co gdy chodzi o założenie klasztoru utrzymującego się wyłącznie z jałmużny, wszędzie jest rzeczą trudną; i tu więc także kilka dni zeszło na wstępnych zachodach i rokowaniach.

Prowadził je pewien kapłan, wielki sługa Boży, całkiem oderwany od wszelkich rzeczy tego świata, żarliwie oddany modlitwie. Był on kapelanem naszego klasztoru; Pan wzbudzał

w nim także, jakich i mnie użyczał pragnienia, stąd też wielką z niego pomoc miałam, jak się to w dalszym ciągu okaże; nazywa się Julian z Awili. Zgodzenie się wreszcie nastąpiło; ale nie było ani domu, ani szeląga na kupienie go; a co do kredytu, albo by kto zechciał w czemkolwiek za mnie poręczyć, jak mogła tego się spodziewać taka jak ja uboga przybłęda, jeśliby Pan sam tego cudu nie sprawił? Jakoż On zarządził potrzebie naszej. Pewna panienska bardzo pobożna, której nie mogliśmy przyjąć do klasztoru św. Józefa, bo już nie było miejsca, dowiedziawszy się o zamierzonym otworzeniu nowego domu, przyszła do mnie z prośbą o przyjęcie. Miała ona trochę grosza, ale tak mało, że nie było za co kupić domu; za ledwo starczyło jej pieniędzy na najęcie mieszkania, o które też wystarałyśmy się, i dla nas na drogę. Z takim więc zasobem wybrałyśmy się z Awili; pojechały ze mną dwie siostry z klasztoru św. Józefa, i cztery siostry z klasztoru Wcielenia, to jest z tego klasztoru reguły zlągodzonej, w którym zostawałam do czasu założenia św. Józefa; nasz Ojciec kapelan, Julian z Awili, towarzyszył nam.

Gdy wieść o postanowionym wyjeździe naszym rozeszła się po mieście, szemrania było dużo: jedni mówili że zwaryowałam, drudzy czekali, jaki będzie koniec tego szaleństwa. Samże biskup, jak później mi mówił, poczytywał nasz zamiar za wielki nierozum, lubo wówczas nic mi o tem nie wspomniał, ani próbował zatrzymać mię, nie chcąc w wielkiej swej dla mnie przychylności robić mi zmartwienia. Przyjaciele moi za to dużo mi nagadali, ale ja nic na ich argumenta nie zważałam; bo to, co im się wydawało trudnem i niepodobnem, w moich oczach było rzeczą tak łatwą, że niepodobna mi było przypuścić tej myśli, by skutek mógł nie być pomyslnym. Gdy jeszcze gotowaliśmy się do wyjazdu z Awili, napisałam była do jednego Ojca z naszego zakonu, imieniem Brat Antonio de Heredia, który wówczas był przeorem klasztoru Karmelitów, istniejącego w Medina, pod wezwaniem św. Anny, z prośbą aby nam kupił tam jaki dom. On udał się w tym celu do jednej pani, jemu oddanej, która posiadała dom, bardzo dobrze położony, ale z wyjątkiem jednej izby całkiem rozwalony. Pani ta tak była dobrą, że zgodziła się go sprzedać, i zrobiła umo-

wę nie żądając kaucyi, ani żadnej rękojmi, prócz słowa jego; bo też, gdyby była wymagała innego ubezpieczenia, nie byłybyśmy w możności uczynienia zadość jej żądaniu. Wszystko Pan tak nam ułatwiał i zrzęczał. Ale dom ten tak był zrujnowany, że musiałyśmy nająć tamten drugi, dopókiby nasz nie był naprawiony, co nie małą było robotą.

Pierwszego dnia podróży naszej, wieczorem, gdyśmy zmęczone złym, jaki miałyśmy zaprzęgiem, zajeżdżały na noc do Arevalo, wyszedł na spotkanie nasze pewien kapłan, przyjaciel nasz, który nam był przygotował gościnę w domu jakichś pobożnych niewiast, i ostrzegł mię po cichu, że ten dom w Medina nie dla nas, że ponieważ leży blisko klasztoru augustyanów, zakonnicy nie pozwalają na to, byśmy w nim zamieszkały, że niezawodnie wytoczą nam proces. O Boże wielki, co znaczą wszelkie przeciwieństwa od ludzi, komu Ty, Panie, raczysz ducha i odwagi dodawać! Mnie ta przeciwność jakby większej jeszcze otuchy przymnożyła: skoro dyabeł, tak myślałam sobie, już się zaczyna miotać, więc pewno będzie Pan miał wierną służbę w tym klasztorze. Uprosiłam jednak tego kapłana, by głośno o tem nie mówił, aby snąc nie przeraziły się towarzyski moje, szczególnie te dwie z klasztoru Wcielenia <sup>1)</sup>, bo drugie gotowe były dla mnie wszelkie znieść utrapienie. Jedna z tych dwu była wtedy przełożoną klasztoru, i mocno się jej wyjściu sprzeciwiano; obie były z rodów zamożnych, i przyłączyły się do mnie wbrew woli swych krewnych, którym, tak samo jak wszystkim, zamiar mój wydawał się szaleństwem, i po ludzku, jak sama później o tem się przekonałam, aż nadto mieli słuszność. Ale gdy Panu się spodoba użyć mnie do założenia takiego domu, żadnej, rzecz mogę, nie uznaję przeszkody któraby mi się zdawała dostatecznym powodem do zamiechania dzieła; dopiero gdy rzecz już zrobiona, trudności wszelkiego rodzaju gromadnie mi stają na oczy, jak się to w dalszym ciągu okaże.

---

<sup>1)</sup> Wyżej, Święta powiada, że z klasztoru Wcielenia cztery siostry z nią pojechały; tu mówi tylko o dwóch: — *las dos*, — jakby ich nie było więcej. Ale zapewne te dwie dla tego wyróżnia od drugich, że mniej na nich polegała niż na tamtych.

Stanąwszy w gospodzie, dowiedziałam się, że bawi tu w Arevalo zakonnik dominikanin, bardzo gorliwy sługa Boży, u którego spowiadałam się w czasie pobytu mego w klasztorze św. Józefa. W opisie fundacyi tego klasztoru szeroko mówiłam o cnotach jego; tu więc wymienię tylko jego nazwisko: był to Ojciec magister Dominik Banes. Jest to mąż wielkiej nauki i wysokiej roztropności, jego też zdaniem się kierowałam. W przedsięwzięciu mojem nie widział on tak wielkich trudności jak wszyscy, których rady zasięgałam; bo im kto lepiej pozna Boga, tem łatwiejszemi stają się jemu sprawy dla chwały Jego podjęte; wiedział także o niektórych łaskach, jakie Pan w Boskiej dobroci swojej mi czynił, i po tem, co na własne oczy oglądał przy fundacyi św. Józefa, wszystko już wydawało mu się zupełnie możliwem. Widzenie się z nim wielką było dla mnie pociechą, i mając zdanie i radę jego, pewna byłam, że wszystko się dobrze ułoży. Gdy tedy przyszedł do mnie, opowiedziałam mu pod sekretem, jak rzeczy stoją, na co on mię upewnił, że sprawa z augustyanami prędko, jak sądzi, da się załatwić. Mnie jednak i najmniejsza zwłoka wydawała się ciężką, bo nie wiedziałam, co począć z tylu siostrami. Tak więc spędziłyśmy całą tę noc w wielkim frasunku, bo i one wszystkie niebawem dowiedziały się w gospodzie o tem co zaszło.

Nazajutrz, zaraz zrana, przyjechał do nas Ojciec Antoni, przeor nasz, i oznajmił mi, że dom o kupno którego się ułożył, wystarczy, że jest w nim przedsiónek, z którego można będzie zrobić kaplicę, przyozdobiwszy go nieco oponami. Postanowiłyśmy pójść za jego radą; mnie przynajmniej bardzo się ona podobała, bo im prędzej rzecz by się załatwiła, tem lepiej dla nas: raz że byłyśmy po za naszym klasztorem, a powtóre także dla tego, że nauczona doświadczeniem, przy pierwszej fundacyi nabytem, obawiałam się i tu jakiego przeciwieństwa, zaczęłam pragnęłam czempędzej objąć w posiadanie nasze siedlisko, pierwej nimby się o nas dowiedziano. Postanowiłyśmy więc wykonać natychmiast nasz zamiar. Ojciec magister Dominik był także tego zdania. Stanełyśmy w Medina del Campo w wigilię Najświętszej Panny sierpniowej — Wniebowzięcia Matki Boskiej,—o północy; nie chcąc robić turkotu, wysiadłyśmy przy

klasztorze św. Anny, i pieszo doszliśmy do domu. Wielkie to miłosierdzie Pańskie, że nas po drodze nie napadł który z byków, które właśnie o tejże porze spędzano, do walki nazajutrz odbyć się mającej. Całkiem zajęte sprawą naszą, o niczem więcej nie myślałyśmy; ale Pan, który zawsze ma pieczę o tych, którzy pragną Mu służyć, wybawił nas, bo rzecz pewna, że nic tam innego nie miałyśmy na celu, jedno służbę Jego. Doszedłszy do domu, weszliśmy na dziedziniec; mury już wtedy wydały mi się mocno zrujnowane, ale nie tak jeszcze mi się przedstawiły, jak je ujrzałam za dnia. Snać Pan na tego poczciwego Ojca dopuścił dobrowolną ślepotę, kiedy nie widział tego, że nie jest to miejsce, w któremby wypadało umieścić Przenajświętszy Sakrament.

Rozpatrzywszy się bliżej w onym przedsiönku, znalazłyśmy go zawalonym gruzami, które trzeba było uprzątać; dach byle jak z desek sklecony, ściany porysowane i bez oprawy. Noc była już późna; kobierców miałyśmy z sobą zaledwo trzy, co było jakby nic, w porównaniu z rozmiarami ścian pokryć się mających. Nie wiedziałam co począć, bo widocznie byłoby nieprzyzwoitością w takim otoczeniu ustawiać ołtarz. Ale wołać było Pana, by kaplica stanęła bez zwłoki, i łaskawem zrządzeniem Jego dostałyśmy niespodzianie czego nam było potrzeba. Zawiadowca tej pani miał u siebie w schowaniu wiele różnych jej dywanów, oraz namiot z adamaszku błękitnego, a dała mu była polecenie, bo była to osoba bardzo pobożna, by nam wydał cokolwiekbyśmy potrzebowały. Na widok tak bogatych przyborów, dzięki czyniłam Panu, i drugie pewno uczyniły podobnie. Ale jeszcze był kłopot z gwoździami, których nie miałyśmy z sobą, a trudno było chodzić po nie i kupować w nocy; poczęliśmy wreszcie wrywać ówieki ze ścian, i tak nakoniec, choć z trudem, nazbierało się ile ich było potrzeba. Wszyscy tedy zabraliśmy się do pracy: mężczyźni rozwieszali opony, my oczyszczałyśmy z gruzu i zamiatałyśmy podłogę, a tak rażno nam szła ta robota, że o pierwszym brzasku dnia już ołtarz był gotów, i dzwonek zawieszony w przeległym kurytarzu, zaczęł natychmiast i kapłan wyszedł ze Mszą świętą. Równało się to formalnemu objęciu w posiadanie. Nikt się

z przybyłych na Mszę nie gorszył z ubóstwa naszego ołtarza, tembardziej że umieściliśmy na nim Przenajświętszy Sakrament. My słuchałyśmy Mszy świętej przez szpary we drzwiach naprzeciwko ołtarza, bo innego dla nas miejsca nie było. Ja w onej chwili byłam uszczęśliwiona, bo każdy nowy kościół niezmierną jest dla mnie pociechą, iż przybywa w nim jedno więcej miejsce na mieszkanie Pana w Najświętszym Sakramencie. Ale nie długa była radość moja; gdym po Mszy świętej stanęła na chwilę w oknie i wyjrzałam na dziedziniec, ujrzałam w wielu miejscach całe szmaty murów rozwalonych i leżących na ziemi, co aby naprawić długiego na to będzie potrzeba czasu i nie-małej pracy.

O Boże wielki! jaki żal i ciężkość ścisnęły mię za serce, gdym widziała Boski Majestat Twój tak wystawiony jakby na ulicy, i to jeszcze w tych czasach tak niebezpiecznych, jakich dożyliśmy dzięki tym lutrom! I wraz z tem strapieniem stanęły mi na myśli wszystkie trudności, ile mi ich zarzucać mogli ci, którzy tak stanowczo ganili mój zamiar, i jasno teraz uznawałam, że mieli słusność. Zdawało mi się niepodobieństwem, bym mogła doprowadzić do skutku to co byłam podjęła; bo ile przedtem wszystko mi się wydawało łatwem, skoro w tem co czyniłam, miałam na celu chwałę Bożą, tyle teraz pokusa z taką siłą mię ścisnęła, iż zdawało mi się jakoby nigdy żadnej łaski od Boga nie otrzymała, i nic mi innego nie stało przed oczyma, jedno własna niskość i niemoc moja. Na takiej nędzy się opierając, jakiegoż mogłam spodziewać się pomyślnego skutku? Gdybym jeszcze była sama, łatwiejby to przeniosła; ale na myśl o towarzyszach moich, żeby one ze wstydem miały wracać do klasztoru, z którego wychodząc tyle przeciwieństwa poniosły, serce mi się krajało. I tem jeszcze się dręczyłam, że skoro tak z samego początku fałszywą drogą poszłam, snąć więc i to już się nie spełni, coby mi Pan był objawił, iż w dalszem następstwie uczyni. A wraz z tem udręczeniem tuż powstawała we mnie wątpliwość, czy to co byłam słyszała na modlitwie, nie było złudzeniem; i ta wątpliwość nie była najmniejszym, owszem była największym z cierpień, jakie



wówczas przebyłam: strach mię niewypowiedziany przenikał, czy snąć nie zostałam oszukaną od dyabła.

O Boże wielki, jakież to bolesny stan takiej duszy. którą spodoba się Tobie pozostawić w utrapieniu! Gdy wspomnę na to udręczenie wewnętrzne, i inne podobne, których kilkakrotnie w ciągu tych fundacyi doznałam, śmiało rzec mogę, że niczem wydają mi się w porównaniu wszelkie cierpienia fizyczne, jakkolwiek i tych dużo, i ciężkich, przebyłam. Towarzyszkom moim jednak, tego udręczenia mego, choć męki cierpiałam od niego, w niczem nie okazywałam, nie chcąc zwiększać jeszcze i tak już dotkliwego ich zmartwienia. W takim stanie pozostawałam cały dzień; wieczorem dopiero przyszedł do nas jeden z Ojców Towarzystwa, przysłany przez rektora, i przyjście jego i rozmowa z nim pocieszyły mię bardzo i dodały mi otuchy. Nie wyznałam mu wszystkich udręczeń moich; powiedziałam mu tylko, ile nad tem cierpię, że tak jesteśmy jakby na bruku. Wszczęłam starania o wynalezienie dla nas, za jakąbądź cenę, jakiego domu do najęcia, gdziebyśmy mogły się umieścić, dopóki by nasz nie był naprawiony. Wiele ludu wstępowało do naszej kaplicy, i było to dla mnie niejaką w strapieniu mojem pociechą, że nikt nie zwrócił uwagi na takie niestosowne umieszczenie jej; było to prawdziwie miłosierdzie Boskie, bo byłam najpewniejsza, że obaczywszy tę jej nagość i te ruiny, zabiorą nam Przenajświętszy Sakrament. Dotąd się dziwię tej powszechnej nieuwadze, że nikomu to na myśl nie przyszło; ale się i śmieję z dziecinnego wówczas strachu mego, bo zdawało mi się, że gdyby nas spotkało to nieszczęście, wszystko tem samem byłoby stracone.

Pomimo najusilniejszych poszukiwań, nie znalazł się w całym mieście ani jeden dom do najęcia. Wielki skutkiem tego miałam wciąż niepokój, i we dnie, i więcej jeszcze w nocy; bo chociaż każdej nocy stawiałam ludzi na straży Najświętszego Sakramentu, zawsze byłam w obawie żeby nie zasnęli; po wiele razy więc wstawałam i patrzyłam przez okno, dla przekonania się naocznie, bo przy jasnym świetle księżycy dobrze było widać, co się dzieje na dworze. Przez wszystkie te dni wciąż wiele ludzi przychodziło, i nie tylko nic w urządzeniu kaplicy

naszej nie widzieli złego, ale owszem pobudzało ich to do pobożności, że widzą Pana jakby po raz wtóry wystawionego na ganku; a On w Boskiej łaskawości swojej, jako Mu nigdy nie dosyć poniżenia siebie dla nas, zdawało się że nigdy nie chce tego miejsca opuścić. Wreszcie, po ośmiu dniach, kupiec jeden, posiadający bardzo piękny dom, zaprosił nas byśmy zajęły górne piętro jego, upewniając że będziemy tam jakby u siebie. Miał tam bardzo dużą złoconą salę, którą nam oddał na kaplicę; a jedna pani, wielka służebnica Boża, mieszkająca blisko domu przez nas nabytego, — nazywała się Helena de Quiroga <sup>1)</sup>, — przyrzekła nam pomoc swoją, abyśmy bezzwłocznie przystąpić mogły do zbudowania kaplicy, na umieszczenie Najświętszego Sakramentu, oraz i dom tak urządzić, abyśmy w nim były za klauzurą. Wielu innych dobroczyńców dawało nam hojne jałmużny na pożywienie i potrzeby życia; ale ta pani z nich wszystkich najskuteczniej nas wspomogła.

Odtąd już zaczął się dla mnie czas większego spokoju; w mieszkaniu użyzionem nam przez tego kupca, zupełną miałyśmy klauzurę, i mogłyśmy wrócić do odmawiania godzin kantonicznych. Z drugiej strony zacny nasz przeor gorliwie zajął się domem, i wiele pracy około naprawy jego łożył; trwało to jednak dwa miesiące, ale w końcu do tyła dom się urządził, że przez kilka lat jakie takie miałyśmy w nim pomieszczenie; później, z łaski Pana, stopniowo coraz dogodniejszym się stawał.

Bawiąc w tym nowym klasztorze, nie spuszczałam z oka zamierzonej także fundacyi klasztorów męskich; ale nikogo, jak mówiłam, nie mając do pomocy, nie wiedziałam jak to po-

<sup>1)</sup> O tej prawdziwie niepospolitej niewieście, która całe życie swoje, i w panieństwie, i w stanie małżeńskim, i we wdowieństwie, zdumiewająco bohaterскими jaśniała cnotami, i w końcu dwóch synów oddawszy Bogu na służbę, wśląd za córką Hieronimą, równie świętą jak matka, wstąpiła do Karmelu, O. Ludwik da Ponte, w swem życiu O. Baltazara Alvarez, taką czyni wzmiankę: „Między duszami, któremi O. Baltazar z szczególną troskliwością kierował, była w Medina del Campo Donna Helena Quiroga, synowica kardynała Gaspara Quiroga, arcybiskupa toletańskiego, która później wstąpiła do Karmelu i żyła tam i umarła jak święta.“

cząc. Postanowiłam wreszcie pomówić o tem w cztery oczy z miejscowym przeorem, i obaczyć, co też mi poradzi; tak i uczyniłam. Przeor, dowiedziawszy się odemnie o moim zamiarze, ucieszył się bardzo, i przyrzekł że sam pierwszy przyjmie reformę. Ja zrazu wzięłam to za żart, i otwarcie mu to wyznałam; bo jakkolwiek zawsze był dobrym zakonnikiem, i człowiekiem wewnętrznym, i bardzo gorliwym i kochającym się w samotności swej celi, a przytem i oddanym nauce, nie zdawało mi się jednak by mógł być odpowiednim do podjęcia takiej sprawy; sądziłam, że ani ducha ani sił mu nie starczy do wytrzymania takiej surowości, jakiejby się poddać musiał, bo wątłej był budowy, i do tak ścisłej reguły, jak nasza, nie przyzwyczajony. On przecie, w odpowiedzi na te wątpliwości moje, upewniał mię, że się myślę; że od dawna już czuje w sobie powołanie Pańskie do życia surowszego; że nawet już miał postanowienie wstąpienia do Kartuzów, i że mu tam obiecano iż będzie przyjęty. Z tem wszystkiem jednak te zapewnienia jego, choć słuchałam ich z pociechą, nie zupełnie uspokoiły mię; prosiłem go zatem, byśmy sobie zostawili nieco czasu do namysłu, a onby tymczasem zaprawiał się do tych rzeczy, do których miał się potem słubem zobowiązać. Zgodził się na to, i tak upłynął cały rok, w ciągu którego tyle nań przyszło różnych utrapień, i prześladowań, i oszczerstw i fałszywych oskarżeń, iż widocznem było, że Pan sam chce go tym sposobem wypróbować; a on wszystko to znosił z mężną cierpliwością, coraz wyższe czyniąc postępy w doskonałości, co widząc, błogosławiłam Pana, iż snąc sam w Boskiej łaskawości swojej tak go przysposabia do zamierzonego dzieła.

Wkrótce po onej rozmowie mojej z przeorem, przybył do Medina młody zakonnik, zostający na studyach w Salmantyce, — nazywał się Brat Jan od Krzyża. Starszy Ojciec, któremu był dodany za towarzysza, mówił mi z wielkimi pochwałami o dziwnie świątobliwym życiu jego, za co z pociechą wielką dzięki czyniłam Panu. Poznawszy go, większą jeszcze radość miałam z mojej z nim rozmowy. Wyznał mi, że i on także zamierza wstąpić do Kartuzów. Na to objawiłam mu zamiar mój, prosząc go usilnie, by się wstrzymał, aż Pan nam da własny

klasztor, i przedstawiając mu, że skoro pragnie wyższej doskonałości, daleko lepiej będzie, i z nierównie większą chwałą Boga, gdy we własnym zakonie życie doskonalsze zaprowadzi. Przyrzekł mi, że tak uczyni, byleby tylko sprawa zbytnie się nie przewlokła. Mając tym sposobem już dwóch Braci <sup>1)</sup> na pierwszy początek, tak byłam pewna pomyslnego skutku nowej fundacyi, jak gdyby już była gotowa. Wszakże, nie zupełnie jeszcze dowierzając przeorowi i nie mając jeszcze zapewnionego miejsca na założenie nowego domu, wolałam jeszcze jakiś czas się wstrzymać.

Tymczasem siostry nasze coraz większe zjednywały sobie w mieście poważanie, i coraz większem otaczano je poszanowaniem i miłością; i słusznie, jak sądzę; bo wszystkie one nie innego nie miały na myśli, jedno jakoby każda doskonalej służyła Panu. We wszystkim stosowały się do porządku życia przyjętego u św. Józefa w Awili, tąż samą rządząc się regułą i też same zachowując konstytucye. Pan także przymnażał nowych powołań, i tak wielkimi te dusze łaskami obsypywał, że aż zdumiewałam się nad niemi. Niech będzie błogosławiony na wieki, amen; śnać niczego więcej nie czeka, jedno miłości naszej, aby nam okazał swoją.

## ROZDZIAŁ IV.

O szczególnych łaskach, jakie Pan czyni siostram w tych klasztorach naszych. Przetrogi dla przełożonych, jak się w obec nich mają zachowywać.

Nim postąpię dalej w tem opowiadaniu mojem,—nie wiedząc, ile mi Pan jeszcze da życia i czasu swobodnego, a mając go nieco w tej chwili,—zdało mi się rzeczą właściwą zamieścić tu niektóre uwagi dla przełożonych, aby wiedziały, jak mają postępować z podwładnemi swemi, i prowadzić dusze ich mając

<sup>1)</sup> Czyli jak Święta mawiała żartobliwie, „półtora Brata“, Jana od Krzyża, dla młodego wieku i niskiego wzrostu jego, zowiąc „półbratkiem“ — „medio fraile.“

na względzie, nie tyle własne ich upodobanie i zadowolenie, ile raczej rzeczywisty postęp ich w doskonałości. Zaznaczę tu nasamprzód, że w chwili, gdy mi kazano opisać te fundacye, oprócz pierwszego domu św. Józefa w Awili, o którym zaraz po założeniu jego się pisało, było z łaski Pana założonych drugich siedm, aż do fundacyi w Alba de Tormes, która w tej kolei była ostatnią; że zaś do onego czasu nie założyło się ich więcej, przyczyną temu było moje skrępowanie innemi obowiązkami, jakie na mnie włożyli przełożeni, o czem jeszcze w dalszym ciągu będzie mowa. Zastanawiając się tedy nad tem, co w ciągu tych lat stało się w rzeczonych klasztorach w porządku rzeczy duchownych, uznałam konieczność powiedzenia tego co tu chcę powiedzieć; daj Boże bym umiała tak dokładnie i jasno mówić o tych rzeczach, jak widzę że mówić o nich potrzeba. Otóż, skoro łaski, których siostry doznają, nie są oszukaniem ani zamianiem, potrzeba więc nie dopuszczać do duszy żadnego z ich powodu niepokoju i trwogi; bo jak to już na innych miejscach powiedziałam, w małych jakie dla sióstr ułożyłam pisemkach, kto postępuje z czystym sumieniem i w duchu posłuszeństwa, nad tem nigdy Pan nie dopuści złemu duchowi takiej mocy, iżby zdołał oszukać go i duszy jego zaszkodzić; przeciwnie, sam zawsze na zdradach swoich się oszuka. Wie on o tem dobrze; i przetoż nie tyle szkody, sądzę, on nam wyrządzić może, ile my jej same sobie wyrządzamy, folgując wyobraźni i złym humorom naszym, zwłaszcza jeśli jeszcze przyłączy się do nich melancholia; bo niewieście przyrodzenie nasze słabe jest, a miłość własna, panująca w nas, bardzo subtelna. Jakoż, mając do czynienia z wielą dusz, które się do mnie udawały, między którymi byli i mężczyźni, ale więcej niewiast, nie mówiąc już o siostrach tych klasztorów naszych, jasno się przekonałam, że bardzo często, mimo woli i wiedzy, same siebie łudzą i w błąd wprowadzają. Zapewne, że może się w to wdawać i dyabeł, dla naigrawania nas; ale bądź co bądź wśród tylu dusz, które, jak mówię, poznałam, nie znalazłam żadnej, którąby Pan w dobroci swojej był z opieki swej wypuścił. Na to smać dopuszcza na nie te próby, aby w nich ćwiczone, z własnego doświadczenia poznały drogi życia duchowego.

Tak się dziś, dla grzechów naszych, obniżyły na świecie pojęcia o modlitwie bogomyślnej i doskonałości chrześcijańskiej, iż dla oddania duszom chęci i odwagi, potrzeba im takiego, jak je tu daję, objaśnienia rzeczy. Bo kiedy tylu ich boi się wstąpić na tę drogę, choć niebezpieczeństwa na niej nie widzą, cóżby dopiero było, gdybyśmy im mówili, że jest niebezpieczeństwo? W prawdzie grozi nam ono wszędzie i na każdym kroku, i w każdej rzeczy, póki żyjemy, potrzeba nam postępować z bojaźnią, prosząc Pana aby nas oświecał, i nie opuszczał nas. Lecz, jak o tem, zdaje mi się, na innem miejscu mówiłam <sup>1)</sup>, jeśli może być jaki rodzaj życia, nierównie mniej niż drugie wystawiony na niebezpieczeństwo, jest to życie tych, którzy usilniej starają się mieć myśl zwróconą do Boga, i pracować nad udoskonaleniem siebie.

O Panie mój! gdy wspomnimy, ile razy, choć sprzeciwiamy się woli twojej, wybawiasz nas z niebezpieczeństw na jakie przez to sami się wystawiamy, jaki sposób przypuścić, byś nie miał nas wybawić, gdy niczego więcej nie mamy na celu i nie pragniemy, jedno tego, by spodobać się Tobie, i cieszyć się posiadaniem Ciebie? To rzecz niepodobna, i nigdy nie uwierzę by to być mogło. Może być że Bóg w ukrytych sądach swoich dopuści pewne rzeczy, i takie lub inne zrzádenia: ale nigdy z dobrego nie może wyniknąć złę. Niechże nam ta pewność będzie pobudką, nie byśmy miały cofać się wstecz, ale byśmy tem raźniej postępowały naszą drogą, i tem lepiej się spodobały Boskiemu Oblubieńcowi naszemu, i tem prędzej Go znalazły; nie byśmy na przyszłość dawały jeszcze miejsce niepokojom i trwogom, ale byśmy raczej odważnie i mężnie szły naprzód po tych stromych i ostrych wertepach, jakimi są drogi tego życia; boć w końcu, idąc naprzód w pokorze, przez miłosierdzie Boskie dojdziemy do onego miasta Jeruzalem, kędy w porównaniu z roskoszą tam nam zgotowaną, maluczką, wspomnienia niegodną rzeczą, czyli raczej niczem będzie się nam wydawało wszystko, cokolwiek tu ucierpialiśmy.

---

<sup>1)</sup> W księdze *Życia*, r. 37.

W miarę jak poczęły się zaludniać te gołębince Najświętszej Panny, Pani naszej, Boski też Majestat Pana począł objawiać wielmożności swoje w tych niewiastkach, słabych z przyrodzenia, ale mocnych i mężnych w żądzach świętych i w oderwaniu się od wszystkiego stworzenia, to jest w tem, czem snać najściślej dusza łączy się ze Stwórcą swoim, jeśli ma czyste sumienie. Ostatni ten warunek niepotrzebnie dodałam, bo prawdziwe oderwanie się, zdaniem mojem, nie może być bez usilnej pilności i stanowczej woli chronienia się wszelkiej obrazy Boskiej. I jako te święte dusze we wszystkich mowach i uczynkach swoich nigdy się nie oddalały od Niego, tak i Boski Pan nawzajem nie mógł, rzekłbyś, przenieść tego na siebie, by na chwilę rozłączył się z niemi. Są to rzeczy, na które tu patrzę na własne oczy, i z wszelką prawdą poświadczyć mogę. Te zaś które po nas przyjdą, gdyby czytając to, nie widziały już pośród siebie tych łask nadzwyczajnych, jakie tu mają opisane, niech się zatruwają o siebie, niech tej zmiany na gorsze nie przypisują czasom zmienionym; bo u Boga nie masz różnicy czasów, i dobroć Jego każdego czasu gotowa jest wielkie łaski czynić tym, którzy szczerem sercem Mu służą; niech patrzą raczej i obaczą, czy same nie opuściły się w służbie Bożej, i niech postarają się opuszczenie swoje naprawić.

Nieraz, gdy mowa o pierwszych początkach zakonów, słyszę takie zdanie, że świętym onym ojcom naszym Pan większych łask użyczał, jako tym którzy mieli być fundamentem duchownej zakonu budowy. Prawda. Ale i o tem należałoby nam zawsze pamiętać, że my także jesteśmy fundamentem dla tych, którzy po nas przyjdą; i gdybyśmy my dziś żyjące, nie odstępowały od przykładów, jakie nam zostawili ci którzy żyli przed nami, i gdyby te, które będą po nas, czyniły podobnie, budowa stałaby zawsze mocna i niewzruszona. Cóż mi to pomoże, że oni święci dawnych czasów tak byli doskonali, jeśli ja, nastąpiwszy po nich, tak jestem niedoskonała, iż życiem mojem niecotliwem niszcę to, co oni zbudowali? Boć to rzecz jasna, że nowowstępujący nie tyle stosują się do tych, którzy dawno temu zeszli z tego świata, ile raczej do

do tych, których widzą przed sobą obecnych. Zabawna to rzecz, bym miała nędze moje składać na to, że nie było mi dano żyć w onych pierwszych czasach, bym nie w tem raczej uznawała jej przyczynę, że życie i cnoty moje tak daleko pozostają w tyle za życiem i cnotami tych, którym Bóg tak wielkich łask używał.

O Boże mój! jakież to marne wymówki, jakie oczywiste łudzenie siebie! Cóż z tego, że założycielom zakonów Bóg, tem samem że do wielkich rzeczy ich wybrał, większą też dał łaskę? Mnie to cięży, i to mię boli, mój Boże, że taka jestem niecnotliwa i taka w służbie twojej niepożyteczna, i jeżeli mnie nie dajesz tych łask, jakich użyczaleś ojcom moim, wiem dobrze, że ja sama tylko jestem temu winna. Żalność mię ogarnia, Panie, gdy życie moje z ich życiem porównam, i bez łez o tem wspomnieć nie mogę. Widzę, że co oni zapracowali, to ja zmarnowałam, i żadną miarą nie mam prawa żalić się o to na Ciebie; jak i żadna z nas nigdy się słusznie na Ciebie żalić nie może, ale jeśli widzi w zakonie swoim jakie rozluźnienie, niechaj się stara by sama się stała kamieniem węgielnym, na którymby budowa upadająca na nowo się wzniosła, a Pan dopomoże.

Wracając teraz do tego, o czem byłam zaczęła mówić, a daleko odeszłam od przedmiotu, tak wielkie są łaski, jakie Pan czyni w tych domach, że na jedną siostrę, jeśli jeszcze taka się znajdzie, którąby prowadził drogą zwykłego rozmyślenia, wszystkie drugie dochodzą do szczytów doskonałej bogomyślności; niektóre Pan wznosi jeszcze wyżej, i zsyła na nie zachwycenia; innym jeszcze innych łask użycza, połączonych z objawieniami i widzeniami, wyraźnie i niewątpliwie pochodzącymi od Niego. Nie masz w tej chwili domu, w którymby się nie znalazła jedna, albo dwie, albo trzy, takimi nadzwyczajnymi łaskami zaszczycone. Wiem-ci dobrze że świętość nie na tem się zasadza; nie na to też o tych rzeczach wspominałam, abym je tylko chwalić chciała, ale aby się okazało, że uwagi i przestrogi, jakie tu daję, nie są zbyteczne.

---



## ROZDZIAŁ V.

O modlitwie bogomyślniej i objawieniach: uwagi i przestrogi przydatne, szczególnie duszom powołanym do pracy zewnętrznej.

Nie jest zamiarem ani myślą moją, by to, co tu powiem, tak było dokładnie i trafnie wyrażonem, iżby miało służyć za nieomyślne prawidło: podobne roszczenie, w rzeczach tak trudnych, byłoby niedorzecznem. Różne w tem życiu duchownem, i dążeniu do doskonałości, są drogi; może więc o której z nich zdołam coś powiedzieć, coby trafiło do przekonania i odpowiadało potrzebie tych, które to czytać będą; któreby zaś, nie będąc na tej drodze, tego co powiem, nie zrozumiały, będzie to właśnie dowód, że idą inną drogą; a choćby wreszcie te uwagi moje nie przydały się żadnej, Pan zawsze przyjmie dobrą wolę moją, bo wie i widzi, że tylko to powiem, o czem wiem z własnego doświadczenia, albo czego nie doświadczyłam sama, to widziałam w drugich, i patrząc na przejścia ich wewnętrzne, poznałam.

Nasamprzód, chcę tu objaśnić, wedle słabego rozumienia mego, na czem polega istota doskonałej modlitwy wewnętrznej. Znam takich, którzy sądzą, że wszystko tu się zasadza na rozumie, jeśli zdołają, choćby z wielkiem natężeniem, dłuższy czas trzymać myśl utkwioną w Bogu, już tem samem zdaje im się, że są ludźmi duchownymi, a gdy uwaga ich, nie mogąc znieść tego ciągłego naprężenia, odwróci się od Boga do rzeczy postronnych, chociażby dobrych, dręczą się tem rozartagnieniem swoim, i pocieszyć się nie mogą, i zdaje im się, że wszystko stracone. Takie niezrozumienie rzeczy rzadziej się zdarza u mężów uczonych, chociaż i między nimi napotkałam niektórych, którzy podobnemu błędowi podlegali; ale nam niewiastom łatwiej weń popaść, i pilniejszej nam przeciw takim ciemnym pojęciom potrzeba przestrogi. Nie mówię by nie było to łaską od Pana, jeśli kto może zagłębiać się w ustawicznym rozważaniu cudownych spraw Jego, i dobrze robi kto o tę łaskę się stara. Ale należy pamiętać, że nie wszystkie wyobrażenie zdolne są z natury swojej ciągle rozmyślać, gdy

przeciwnie wszystkie dusze zdolne są kochać, a na tem, nie na rozmyślaniu, zasadza się doskonałość. O przyczynach, — nie wszystkich zapewne, bo to byłoby niepodobna, ale o głównych przynajmniej, — z których powstaje niestałość wyobraźni naszej, pisałam na innym miejscu, tu więc już o nich mówić nie potrzebuję. To tylko chciałbym tutaj jaknajmocniej zaznaczyć, że dusza nie jest samą wyobraźnią tylko, i nie od tej ostatniej wola powinna przyjmować rozkazy, co byłoby wielkiem dla niej nieszczęściem, jak się o tem wyżej mówiło; że zatem postęp duszy nie na tem polega, aby dużo rozmyślała, jedno na tem, by dużo miłowała. Jaką drogą, pytacie, nabywa się tej miłości? Droga do miłości, odpowiadam, ta jest, gdy dusza mocną i stanowczą ma wolę, dla miłości Boga pracować i cierpieć, i skoro nadarzy się sposobność, to postanowienie swoje czynem wypełnia.

Prawda, że do tego postanowienia przychodzi dusza przez rozmyślanie o tem, co jesteśmy winni Bogu, i kto On, a kto my; i takie rozmyślanie wielką ma zasługę, i dla poczynających bardzo jest odpowiednie. Ale to się ma rozumieć o tyle, o ile rozmyślaniu nie staje w drodze obowiązek posłuszeństwa albo pożytek drugich, to jest obowiązek miłości bliźniego; w takim razie bowiem, gdy się nastrecza który z tych dwu obowiązków, potrzeba go spełnić bez odkładania, opuszczając to, co najgoręcej pragnęłybyśmy, jak nam się zdaje, poświęcić Bogu, to jeśli te najpożądańsze chwile samotnego o Nim rozmyślania, i używania tych słodkich pociech któremi On nas darzy. Zrzekając się tych słodkości, dla spełnienia którego z onych dwu obowiązków, prawdziwie dajemy je Panu w ofierze, i dla Niego pracujemy, jako On sam to Boskiemi ustymi oznajmił, mówiąc nam: — „Cokolwiek uczynicie jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili.<sup>1)</sup>“ To mówi o uczynkach miłości bliźniego; a co się tyczy posłuszeństwa, pewno On nie chce, by, kto szczerze Go kocha, szedł inną drogą, niż tą, którą sam tak bardzo ukochał, „stawszy się posłusznym

---

<sup>1)</sup> Mat. 25, 40.

aż do śmierci.<sup>1)</sup>“ Lecz jeśli tak jest, skądże więc pochodzi niesmak jakiego najczęściej doznajemy, ile razy cały dzień, lub większą część dnia odjęta nam była możliwość zostawania na samotności i pograżania się w Bogu, chociaż zajęte pełnieniem obowiązków zewnętrznych, wiemy przecie że nie traciłyśmy czasu na próżno? Pochodzi to, zdaniem mojem, z dwojakiej przyczyny, z których pierwszą i główną jest miłość własna, która w to się mięsza, a tak subtelna, że trudno ją rozpoznać, to jest innemi słowy, że sami sobie sprawy z tego nie zdając, pragniemy raczej zadowolenia własnego niż upodobania Bożego. Boć łatwo to zrozumieć, że skoro dusza poczęła już kosztować, jako słodki jest Pan <sup>2)</sup>, większe ma z tego zadowolenie, gdy ciało odpoczywa wolne od pracy zewnętrznej, a sama używa tych duchownych roskoszy.

O jakże inaczej czuje i czyni miłość tych, którzy prawdziwie miłują tego Pana, i znają serce Jego! Jakżeby mogli używać wczasów, gdy widzą że choć w małej części mogą się przyczynić do postępu jakiej duszy, aby się pomnożyła w miłości Bożej, albo wesprzeć ją dobrą radą, albo obronić ją od grożącego jej niebezpieczeństwa? Jakże nieznośnie, w obec takiej potrzeby bliźniego, męczyłoby ich własne odpoczywanie! Serce z żalu się kraje takiemu prawdziwemu miłośnikowi, na widok tyłu dusz idących na zgubę; i kiedy nie może ratować ich czynem, modlitwą nieustanną błaga za niemi Pana; i tak traci roskosz swoją, i rad jest z tej utraty, bo nie zważa na własne zadowolenie swoje, jedno na to, jakby najlepiej czynił wolę Pańską. Tak samo jest i z posłuszeństwem: gdy Bóg daje nam rozkaz i wyraźnie wskazuje obowiązek którym chce byśmy się w danej chwili zajęły, niepięknie byłoby kazać Mu czekać, i siedzieć wpatrując się w Niego, dla tego że tak nam przyjemniej. Szczególniejszy to sposób ćwiczenia się w miłości Bożej, tak Bogu wiązać ręce i narzucać Mu tę drogę, jaka nam się podoba, jakoby żadną inną nie mógł nas doprowadzić do celu!

---

<sup>1)</sup> Filip 2, 8. — <sup>2)</sup> Ps. 33, 9.

Pomijając tu, jak mówiłam na wstępie, własne moje w tej mierze doświadczenia, odwołuję się do tego, co widziałam w niektórych innych duszach, które znam, i z niemi obcowalam, i przez nie przysłałam do zrozumienia tej prawdy. I ja wówczas bardzo się tem trapiłam, że mało miałam czasu do modlitwy, i nad niemi również się litowałam, widząc je wciąż zajęte około różnych zatrudnień i prac zewnętrznych, zleconych im przez posłuszeństwo. Myślałam sobie, i im to nieraz mówiłam, że niepodobna w takim odmęcie postąpić w życiu wewnętrznym, i wówczas istotnie mało go miały. O Panie, jakże różne są drogi twoje od poziomych myśli naszych! I jaka to prawda, że skoro dusza raz zdobędzie się na stanowczą wolę miłowania Ciebie, i odda się w ręce twoje, Ty niczego więcej od niej nie żądasz, jedno by była posłuszną, i pilnie patrzała, jak lepiej Tobie usłużyć może, i tego pragnęła: wtedy już nie ma potrzeby troszczyć się o drogi, i sama je sobie wybierać, bo wola jej cała już do Ciebie należy. Ty sam, Panie mój, bierzesz na siebie troskę o nią i staranie, i wiedziesz ją drogą, jaka wiesz że dla niej będzie najlepszą. I chociażby przełożony w rozporządzeniach swoich nie miał na pierwszym względzie tego starania o postęp dusz naszych, ale myślał tylko o rzeczach doczesnych, dla dobra zgromadzenia, wedle rozumienia jego, potrzebnych, Ty, Boże mój, o duszach naszych pamiętasz, i tak niemi kierujesz i powszednie ich sprawy tak rozrządzasz, iż nieznacznie, sami nie wiemy jak, samem tylko wiernem i posłusznem dla miłości Boga spełnianiem tych nakazanych nam rzeczy zewnętrznych, pomnażamy się w życiu wewnętrznym, i z czasem, ku wielkiemu zdumieniu naszemu, wielki w sobie spostrzegamy postęp w doskonałości.

Taką drogą do wysokiej doskonałości doszedł pewien zakonnik, z którym jeszcze niedawno temu rozmawiałam. Przez piętnaście lat tak był obarczony pracą w różnych urzędach i przełożenstwach, które nań wkładało posłuszeństwo, że przez cały ten czas nie pamięta by miał jeden dzień swobodny dla siebie, i tylko starał się ile mógł, w różnych porach dnia choć na chwilę uklęknąć na modlitwę, czuwając przy tem nad sobą, aby zawsze miał czyste sumienie. Nie spotkałam nigdy duszy

bardziej rozmiłowanej w posłuszeństwie; stąd i słowa jego miłość tej cnoty wzbudzają w każdym, kto je słyszy. Hojnie mu Pan za to odpłacił: z łaski Jego, sam nie wie jak, doszedł on do tej nieocenionej, najpożądańszej swobody ducha, którą się cieszą doskonali, i w której znajdują wszystko szczęście, jakiego może człowiek pragnąć w tem życiu; bo niczego nie pożądając, wszystko posiadają. Niczego na tej ziemi nie boją się ani nie pragną; ani ich żadne utrapienie nie zgnębi, ani żadna pociecha ziemską zbyt nie wzruszy; słowem żadna odmiana czy przygoda nie zdoła zakłócić wewnętrznego ich pokoju, bo pokój ten wszystek na Bogu samym polega; a ponieważ Boga nikt im wydrzeć nie zdoła, więc jedna tylko troska w tem życiu może im dolegać, to jest obawa, by sami Go z własnej winy nie stracili; wszelkie zaś inne rzeczy tego świata są dla nich jakby nie były, bo żadna tego szczęścia i zadowolenia, jakie nosi w sobie, ani mu zwiększyć ani umniejszyć nie zdoła.

O błogosławione posłuszeństwo, i wszelkie, dla posłuszeństwa. od pociech duchownych oderwanie się, iż do takiej doskonałości mocne jest duszę doprowadzić! Zakonnik, o którym mówiłam, nie jest jedynym tego przykładem; znam inne dusze jemu podobne. Spotkawszy się z niemi po długoletnim niewidzeniu, pytałam ich, co przez ten czas porabiały, i dowiedziałam się, że wszystkie te lata zeszyły im na pracach i posługach posłuszeństwa i miłości bliźniego; a przytem jednak znalazłam je tak wysoko posunięte w życiu duchownem, że aż się zdumiewałam. Odwagi więc, córki moje, nie dawajcie miejsca smutkowi; ale gdy posłuszeństwo posyła was do posług zewnętrznych, bądźcie tego pewne, że i w kuchni także, wśród garnków i rondłów, Pan jest z wami, i wewnątrz i zewnątrz was wspiera.

Wspomnę tu, co mi opowiadał pewien mój znajomy, zakonnik. Był sobie mocno i niezachwianie postanowił, że cokolwiekby mu rozkazał przełożony, choćby rzecz najtrudniejszą, nigdy się nie wymówi. Pewnego dnia, późnym już wieczorem, wyczerpany całodziennym trudem i już nie mogąc utrzymać się na nogach, szedł do siebie, chcąc usiąść i odpo-

czać trochę. W tem spotkał go przełożony, i kazał mu wziąć motykę, i pójść kopać w ogrodzie; a on, choć tak strudzony na całym ciele i ledwo mogący się ruszać, nie odpowiadając ani słowa, wziął motykę swoją i zabrał się do spełnienia rozkazu; aż oto, w chwili gdy szedł gankiem wiodącym do ogrodu, — sama na własne oczy oglądałam to miejsce, gdy w wiele lat potem wypadło mi tamże nowy dom założyć, — ukazał mu się Boski Zbawiciel z krzyżem na barkach, tak umęczony i pod ciężarem swoim upadający, iż na widok Jego żywo uczuł i jasno zrozumiał on zakonnik, jako strudzenie i cierpienie jego niczem jest, w porównaniu z tem, co ucierpiał Pan Jezus.

Co do mnie, mam to przekonanie, że wszelkie niesmaki i ciężkości, jakie nam nieraz przeszkadzają do posłuszeństwa, są poduszczeniem złego ducha, który dla tego je nam pod różnemi pięknymi pozorami podsuwa. że wie o tem i widzi, iż nie masz drogi, któraby prędzej wiodła do najwyższej doskonałości, nad tę drogę posłuszeństwa, i niech każda dobrze to rozważy, a przekona się, że mówię prawdę. Bo na czem polega najwyższa doskonałość? rzecz widoczna, że nie polega na pociechach wewnętrznych, ani na tem by kto miewał wielkie zachwycenia, i widzenia, i ducha proroctwa; jedno na tem, by wola nasza tak była zgodną z wolą Boga, iżby nie było takiej rzeczy, której, skoro wiemy że Bóg jej chce, i my byśmy jej nie chcieli całą wolą naszą, i równie ochotnie przyjmowali rzeczy gorzkie jak i rzeczy przyjemne, gdy wiemy, że taka jest wola Jego. Takie zrzeczenie się wszelkiej woli własnej wydaje się nad wyraz trudnem; i w rzeczy samej bardzo to trudno, nie tyle jeszcze czynić rzeczy, wręcz i ze wszech miar woli i przyrodzonym skłonnościom naszym przeciwne, ile raczej, o co głównie tu chodzi, czynić je z wewnętrznym zadowoleniem. Ale miłość, gdy jest doskonała, ma tę moc, że pod jej wpływem zapominamy o własnem zadowoleniu naszym, aby tylko zadowolnić tego, kogo miłujemy. Wówczas prawdziwie, wszelkie choćby najsrozsze utrapienia, gdy wiemy, że znosząc je, będziemy przyjemnymi Bogu, stają się dla nas słodkiemi; i taka jest miłość tych, którzy do tego doszli, że ko-

chają się i weselą się w prześladowaniach i zelżywościach, i wszelkich uciskach.

Są to rzeczy tak niewątpliwe, i powszechnie wiadome, i jasne, że nie mam potrzeby dłużej się nad nimi rozwodzić. Chcę tu tylko bliżej objaśnić przyczynę, dla czego posłuszeństwo najprędzej tu, zdaniem mojem, do celu prowadzi, i najprzedniejszym jest środkiem do osiągnięcia tego szczęśliwego stanu. Przyczyna jest ta: woli naszej żadną miarą nie zdołamy tak opanować, iżby cała, jakby czyste i nieskalane naczynie, napełniła się Bogiem, jedno gdy nasamprzód uczynimy ją poddaną rozumowi; do tego zaś jedyną prawdziwą drogą jest posłuszeństwo. Rozumowania i racye, choćby najlepsze, nic tu nie poradzą; bo natura i miłość własna tyle na nie mają pogotowiu racyi przeciwnych, że tą drogą nigdy nie dojdziemy do końca; nieraz rzecz najlepsza, gdy do niej nie mamy ochoty wyda nam się niewczesną, dla tego jedynie, że nam się nie chce ją spełnić.

Nie skończyłabym nigdy, gdybym chciała wypowiedzieć wszystko, co byłoby do powiedzenia o tej wojnie wewnętrznej, i o tych niezliczonych złudach i mamidłach, któremi czart, i świat, i własna zmysłowość nasza usiłują nas zwieść z prostej drogi rozumu. Cóż więc począć na to? Oto, podobnie jak w zawiłym i wątpliwym procesie, obie strony, sprzykrzywszy sobie bezowocne prawowanie się obierają sobie rozjemcę, i w jego ręce sprawę swoją składają, tak i dusza niech się zda na takiego rozjemcę, przełożonego czy spowiednika, z mocnem postanowieniem, że już się więcej prawować, ani sprawy swojej sama rozsądzać nie będzie, z zupełną ufnością polegając na słowie Pana, który mówi: „Kto was słucha, Mnie słucha <sup>1)</sup>“. zatem i nie troszcząc się już zgoła o wolę swoją. Takie zrzeczenie się siebie bardzo jest przyjemnem Panu, — i słusznie, bo przez nie oddajemy we władanie Jego tę wolną wolę, którą On nam dał. Nieraz to zrzeczenie się sprawi nam mękę wewnętrzną, nieraz wznieci w nas tysięczne burze i walki; nie-

---

<sup>1)</sup> Luk. 10, 16.

raz sąd na nas wydany będzie nam się zdawał niesprawiedliwym i bez sensu: ale nie zważając na te trudności i wstręty, i odważnie pasując się z sobą w tem bolesnem potykaniu się wewnętrznem, dochodzimy do zgodzenia się z wolą przełożonych, i ostatecznie, z przykrością czy bez przykrości, spełniamy co nam każą. A Pan w tej walce tak skuteczną pomoc nam niesie, iż dla tego właśnie i za to, że dla miłości Jego wolę naszą i rozum pod jarzmo posłuszeństwa oddajemy, zupełnej swobody wewnętrznej i zupełnego nad wolą naszą panowania z daru łaski Jego nabywamy. Wówczas już, będąc całkiem Panami samych siebie, możemy bez podziału oddać się Bogu, ofiarując Mu wolę czystą, aby On ją połączył ze swoją, i błagając Go aby zesłał z nieba ogień miłości swojej, i pochłonął tę ofiarę, oczyszczoną już z wszystkiego, coby mogło nie podobać się Jemu. Bo z naszej strony uczyniliśmy co mogliśmy, aby Mu ją uczynić przyjemną, i choć z wielkim bólem i trudem, już przecie złożyliśmy ją na ołtarzu, i już ona, ile z nas jest, nie dotyka ziemi.

Rzecz jasna, że nikt nie może dać tego czego nie ma, ale potrzeba by sam pierwszy posiadał to, co ma dawać drugim. Dla nabycia zaś i posiadania tego skarbu, nie masz, wierzajcie, pewniejszej drogi nad tę, byśmy go trudząc się i kopiąc dobywali z tej kopalni posłuszeństwa; im dalej w nią się zagłębimy, tem obficiej się z bogacimy; im ochotniej poddamy się człowiekowi, zastępującemu miejsce Boga, nie chcąc mieć inszej woli, jedno wolę starszych naszych, tem bardziej będziemy panami woli naszej, dla zgodzenia jej z wolą Boga. Powiedzcie, siostry, czy nie sowiecie opłaci się nam tym sposobem zrzeczenie się pociech samotności? Brak tych pociech, upewniam was, nie będzie wam przeszkodą w przysposobieniu się do osiągnięcia tego prawdziwego zjednoczenia, o którym mówię, to jest stania się woli naszej jedną z wolą Bożą. To jest zjednoczenie, którego pragnę dla siebie, i które chciałybym widzieć w was wszystkich, nie zaś one bardzo słodkie napawania się Bogiem, jakie zdarzają się w życiu duchownem, i zwykle zowią się zjednoczeniem. Chociaż i to roskoszne zjednoczenie będzie waszym udziałem, jeśli jedno nastąpi po



onem pierwszym; lecz jeśli po tych słodkich uniesieniach pozostaje mało posłuszeństwa a dużo woli własnej, sędzę, że taka dusza ma zjednoczenie z wolą swoją, nie zaś z wolą Bożą. Obym z łaski i dobroci Pańskiej tak umiała czynem spełniać te prawdy, jak je jasno rozumiem!

Jest druga jeszcze przyczyna, dla której przykro nam porzucać samotność dla zajęć zewnętrznych, ta mianowicie, że na samotności mniej bywa okazji do obrazy Boskiej, — choć i tu są niebezpieczeństwa, bo gdziekolwiekbyśmy się obrócili, czart wszędzie trafi za nami, i wszędzie nosimy z sobą samych siebie, — a zatem i łatwiej duszę czystą zachować, i ile straszną jest dla duszy kochającej Boga sama myśl i możność obrażenia Go, tyle rada jest i niewypowiedzianą czuje pociechę, gdy znajdzie się na miejscu bezpiecznym, wolnym od szkopułów, o któreby się potknąć mogła. Ten powód do uchylenia się ile możności od obcowania z ludźmi, przyznaję, że wielką ma siłę, daleko większą, zdaniem mojem, niż wzgląd na pociechy i słodkości, jakich nam Bóg zwykł użyczać na samotności.

Ale tu właśnie, córki moje, nie w ukryciu cichego zakątka, jedno wśród walki pokus, okazuje się moc i statek miłości. I lubo tu częstsze mogą się zdarzać uchybienia, niekiedy i małe upadki, wszakże zysk dla duszy, wierząc, bez porównania jest większy. Mówię to, rozumie się, zawsze w tem przypuszczeniu, że posłuszeństwo lub miłość bliźniego do tego wyjścia z ukrycia nas skłania, inaczej bowiem, gdy ten dwojaki powód nie nagli, zawsze wracam do tego, że lepsza jest samotność; owszem i wtedy, gdy ją opuszczamy dla posług zewnętrznych, zawsze jej pragnąć powinniśmy, i w rzeczy samej. każda dusza prawdziwie miłująca Boga ustawicznie do niej tęskni. Zysk zaś, o którym mówiłam, w tem jest, że okazyje na jakie będziemy wystawieni, pokażą nam, czem jesteśmy, i jak daleko starczy cnota nasza. Żyjąc ciągle na osobności, jakkolwiekbyśmy mogli wydawać się świętymi, nie wiemy przecie, czy jest w nas pokora i cierpliwość, ani nie mamy sposobu przekonania się o tem. Tak i żołnierza nie poznasz, czy jest walecznym czy nie, aż gdy go ujrzysz potykającego się z nieprzyjacielem. Świętemu Piotrowi zdawało się, że jest bardzo

mężnym, ale wiemy jakim się okazał w próbie; aż gdy powstawszy z upadku, i już nie ufając samemu sobie, wszystką ufność swą w Bogu położył, wtedy prawdziwie stał się mężnym i poniósł to męczeństwo, którego świat był świadkiem.

O Boże wielki! gdybyśmy znali głębokość nędzy naszej! Bez tej znajomości, wszędzie nam grozi niebezpieczeństwo, i dla tego dobrze nam, i bardzo dobrze, gdy nam każą takie rzeczy, z którychbyśmy poznali niskość naszą. Za większą łaskę od Pana poczytuję jeden dzień upokorzenia i poznania samego siebie, nabytego kosztem wielu gorzkości i cierpień, niż długie dni spokojnej na samotności modlitwy. Tem śmielej to twierdzę, że kto prawdziwie miłuje, ten wszędzie i na każdym miejscu miłuje i pamięta na umiłowanego. Byłaby to rzecz smutna, gdybyśmy nie mogli się modlić inaczej, jedno schowani w kącie; trawić długie godziny na samotnem rozmyślaniu, to dla mnie, widzę to dobrze, rzecz nie podobna, ale kto wypowie, jaka jest przed tobą, Panie mój siła jednego westchnienia, dobywającego się z wnętrzości serca zranionego bólem swojego na tej ziemi wygnania, i tym dotkliwszym jeszcze bólem, że i w tem wygnaniu nie dają mu czasu i swobody, aby mogło sam na sam z tobą obcować, i tobą się cieszyć?

Tutaj to, siostry, jasno się okazuje, żeśmy uczyniły siebie niewolnicami Pana naszego, dobrowolnie dla miłości Jego zaprzedanemi w moc cnoty posłuszeństwa, gotowemi na pierwsze jej skinienie, porzucić niejako Boga samego, to jest roskosz cieszenia się rozmową z Nim i pociechami Jego. Lecz cóż znaczy to dla miłości Jego ofiara nasza, gdy wspomnimy jako On zstąpił z łona Ojca, aby stał się posłusznym i uczynił siebie sługą naszym? Czem zdołamy odplacić, jaką służbą odsłużyć taką łaskę Jego.

Wszakże i w sprawowaniu tych posług, choć z posłuszeństwa albo dla miłości bliźniego podjętych, należy nam mieć baczenie, byśmy niemi zajęte, nie zapominały całkiem o sobie, i nie zaniechały częstego, z głębi serca, przybiegania myślą do Boga naszego. Wierzajcie mi, siostry, nie długość czasu poświęcanego na modlitwę stanowi o postępie duszy; sameż

te posługi zewnętrzne, gdy na nich przez posłuszeństwo czy dla pożytku drugich czas trawicie, wielką wam będą do postępu wewnętrznego pomocą, i w jednej chwili lepiej was mogą przysposobić do zapałów miłości Bożej, niż długie godziny rozmyślania. Wszystko to jedynie z ręki Pana przyjść nam może, i przychodzi. Jemu cześć dziękczynienie na wieki wieczne.

## ROZDZIAŁ VI.

O szkodach, jakie może sobie wyrządzić dusza w życiu duchownem, gdy nie wie, kiedy i jak należy sprzeciwić się duchowi, to jest zapałom wewnętrznym i zachwyceniom. — O pożądaniu Komunii świętej, i jakie w niem mogą ukrywać się złudzenia. — Ważne wskazówki i przestrogi dla przełożonych w tych domach naszych.

Pilnie się zastanawiałam i starałam się rozumieć, skąd pochodzi pewien rodzaj wielkiego pochłonięcia ducha, jakie widziałam u niektórych dusz pobożnych, którym Pan na modlitwie wielkich słodkości używa, gdy z ich strony nie zbywa na odpowiedniemu przysposobieniu się do przyjęcia łask Jego. Nie mówię tu o tych wypadkach, gdy dusza zostaje w zawieszaniu i zachwyceniu, porwana mocą Boskiej wielmożności Jego; dość o tem pisałam na innych miejscach. W podobnych zdarzeniach niema co mówić o własnem naszym działaniu i przysposobieniu się, bo sami z siebie nic tu uczynić nie możemy, i jeśli jedno zachwycenie jest prawdziwe, oprzeć się jemu, wbrew wszelkiej usilności naszej, nie zdołamy; dodać wszakże należy, że ta siła, która nas opanowuje w zachwyceniu i władzy nad sobą nas pozbawia, krótko trwa. Pochłonięcie zaś, o którym tu mówię, następuje najczęściej w chwili, gdy dusza wszczyna modlitwę uspokojenia, podobną do pewnego rodzaju snu duchownego. Jest to stan taki, że kto nie wie, jak się w nim zachowywać, może dużo czasu stracić, i siły

swoje na próżno wyczerpać, i to z własnej winy, a z małą zasługą.

Chciałabym to jaknajjaśniej wytłómaczyć, choć rzecz jest trudna, i nie wiem czy zdołam; ale dusze, któreby zostały w tym błędzie, jeśli zechcą mi dać wiarę, pewna jestem, że mnie zrozumieją. Znałam takie dusze wysoko cnotliwe, które po siedm i ośm godzin zostawały w tym stanie, i zdawało im się że są w zachwyceniu; każde ćwiczenie duchowne tak je pochłaniało, że zaraz całe się oddawały popędowi jego, tłómacząc sobie, że nie godzi się im sprzeciwić się Panu; tym sposobem, gdyby, wcześniej nie zaradzono złemu, łatwo mogły same się powoli przyprawić o śmierć, albo zmysły stracić. Według mojego rozumienia, rzecz się ma tak: gdy Pan zacznie używać duszy pociech niebieskich, przyrodzenie nasze, chciwe roskoszy, tak się przejmuje tą słodkością, iż nie śmie zrobić najmniejszego poruszenia, by mu snąć ta słodkość się nie rozwiała, i za nic nie chciałoby utracić jej. Jakoż w rzeczy samej, duchowna ta rokosz słodsza jest niż wszelkie uciechy tego świata. Przypuśćmyż, że pociechy te trafią na naturę słabą, albo na umysł, czyli raczej na wyobraźnię z przyrodzenia nielotną; umysł taki, gdy uchwyci się jakiej rzeczy, cały w niej utkwii, niezdolny ani na chwilę uwagę swą od niej odwrócić. Jak w życiu powszednim nieraz się zdarza ludziom powolnego umysłu, że zamyśliwszy się o jakiej rzeczy, choćby nie odnoszącej się do Boga, tak się w niej zatopią, iż patrząc na przedmioty ich otaczające, nie widzą, ani uwagi na to, na co patrzą, nie zwracają, albo od wielkiego zamyślenia zapominają co powiedzieć mieli: tak podobnież, wedle różnego przyrodzenia kompleksyi albo słabości głowy, bywa i z tem pochłonięciem na modlitwie. A jeśli jeszcze do tego przyłączy się melancholia, ta dopiero naprowadzi im do głowy tysiące słodkich przywidzeń.

O melancholii będzie mowa niżej; ale i bez niej, takie rzeczy, jak je tu opisałam, zdarzają się duszom pobożnym, wyniszczonym pokutą, zarówno jak tym, o których mówiłam wyżej, to jest, że skoro tylko poczują w sobie słodkość miłości Bożej, całkiem się dają tej słodkości opanować. Mojem

zdaniem, lepiej byłoby, gdyby się nie poddawały urokowi, bo na tym stopniu modlitwy bardzo dobrze mogą mu się oprzeć. Jako w słabości fizycznej człowiek czuje w sobie zniemożenie, i ruszyć się ani mówić nie zdoła, tak samo dzieje się i tu, gdy brak należnego oporu; wtedy siła duchowego uniesienia zмага takie niedołęzne przyrodzenie i ubezwładnia je. Czemże więc, może kto zapytać, stan taki różni się od zachwycenia, kiedy na pozór oba te stany zupełnie są do siebie podobne? Tak jest, na pozór, ale nie w rzeczy samej. Zachwycenie, czyli zjednoczenie wszystkich władz w Bogu, jak mówiłam, trwa krótko, ale wielkie po sobie skutki pozostawia, wielkie oświecenie duszy, i innych wiele pożytków duchownych; rozum tu nic nie działa, tylko Pan sam działa w woli. W tym stanie przeciwnie, o którym tu mówię, jest zupełnie inaczej; choć ciało jest jakby pojmane i ubezwładnione, ale wola, i pamięć, i rozum pozostają swobodne, tylko że działanie ich będzie bezwładne, i czego się w danym razie uchwycą, temu się oddają, i tego się oburącz trzymają.

Ja w tej mdłości ciała, bo nie jest to nic innego, choć z dobrego źródła bierze początek, żadnego nie widzę pożytku. Lepiej zaiste mogą użyć czasu, niż poddając się tyle godzin takiemu upojeniu; daleko większą ma zasługę jeden akt cnoty, albo częste pobudzenie woli do miłości Bożej, niż ta gnuśna bezczynność. Radzę zatem przełożonym, niech z wszelką pilnością starają się zapobiegać takim długim omdleniom, z których, zdaniem mojem, nic innego nie wynika, jedno sparaliżowanie władz i zmysłów, pozbawiające możności czynienia tego czego żąda dusza, a zatem i postradanie zasługi i duchownych pożytków, jakich dusza dostępuje posłuszeństwem i staraniem się o to, aby spodobała się Panu. Jeśli spostrzegą w której, że podobne omdlenia są u niej skutkiem osłabienia fizycznego, niech jej zabronią postów i umartwień, takich, mówię, które nie są przykazane, — choć w danym razie, gdy tego okaże się potrzeba, można ze spokojnem sumieniem zabronić i tych ostatnich; — niech ją naznaczą do posług domowych, aby się zajęciem zewnętrznem rozerwała.

Inne, choć nie podlegają tym omdleniom, mają przecie wyobraźnię zbyt zajęta przedmiotem rozmyślenia swego, jakkolwiek mogą to być rzeczy bardzo wysokie i bogomyślne. Zdarza im się wtedy, i nieraz, że już nie zdołają panować nad sobą; szczególnie za otrzymaniem od Pana jakiej łaski nadzwyczajnej, albo jakiego widzenia, dusza nieraz tak pozostaje pod wrażeniem tego widzenia, iż zdaje jej się, że ciągle je widzi, a tak nie jest, bo widziała je tylko raz. Gdy więc się okaże, że która całymi dniami pozostaje w takim pochłonięciu, należy jej zmienić przedmiot rozmyślenia; nie masz w tem nic złego, bo skoro rozmyślanie zawsze będzie o rzeczach Bożych, nie robi to żadnej różnicy, czy dusza będzie rozmyślała o tem czy o owem; zawsze tak rozmyślając zajęta będzie Bogiem, i Bogu służy; a Bóg równe ma upodobanie w modlitwie naszej, czy rozmyślamy o Nim samym, Stworzycielu wszech rzeczy, czy też niekiedy zastanawiamy się raczej nad stworzeniami Jego, i nad tą potęgą Jego, która je stworzyła.

O nieszczęsna nędzo ludzka, ciężąca na nas skutkiem grzechu, że i w dobrem potrzeba nam powściągliwości i miary, byśmy na niem zdrowia nie podkopali, i tem samem stali się niezdolni tem dobrem się cieszyć! Rzecz pewna że wielu jest takich, zwłaszcza tych, którzy mają słabą głowę albo niepoohamowaną wyobraźnię, którym należy, którym koniecznie potrzeba lepiej poznać samych siebie; lepiej przez to usłużyć i Panu. Któraby więc spostrzegła w sobie, że ma wyobraźnię wyłącznie i całymi dniami zajęta jaką tajemnicą, czy to Męki Pańskiej, czy chwały niebieskiej, czy innym podobnym przedmiotem, i o niczem innem, choćby chciała, myśleć nie może, ani od tego pochłonięcia jednym wyłącznym przedmiotem się oswobodzić: niech wie i rozumie, że potrzeba jej w jaki bądź sposób się rozerwać; inaczej przyjdzie czas, że dowie się o swojej szkodzi, i przekona się, że to wyłączne zatopienie się w jednej myśli pochodzi, jak mówiłam, albo z wielkiego osłabienia fizycznego, albo też, co daleko gorsza, z niezdrowej wyobraźni. Podobnie jak obłąkany, gdy jedna myśl mu utkwi w głowie, niezdolny jest zapanować nad sobą, ani od tej myśli się oderwać, ani o niczem innem myśleć, ani żadne racye

nie zdołają go skłonić do tego, bo nie jest panem rozumu swego: tak również i tu mogłoby się zdarzyć to samo, lubo nie przeczę, że słodkim byłby taki rodzaj obłąkania. Jeśli zaś do tej chorobliwej wyobraźni przyłączy się jeszcze melancholia, trudno obliczyć, jak wielką stąd może być szkoda dla duszy. Co do mnie, nie widzę zgola, coby mogło być dobrego w takim skrępowaniu duszy, zdolnej Bogiem samym się cieszyć; bo, pominawszy nawet racye wyżej przywiedzione, to samo już, że Bóg jest nieskończony, jasno dowodzi, że nie ma dusza powodu ani potrzeby trzymać się niewolniczo jednej wyłącznie tajemnicy lub wielmożności Jego, kiedy ich jest tyle, nad którymi zastanawiać się może; owszem, im więcej kto rozważa Boskich spraw i doskonałości Jego, tem jaśniej mu się objawi wielkość Jego nieskończona.

Nie znaczy to, byśmy w ciągu jednej godziny, albo choćby w ciągu całego dnia mieli rozmyślać o wielu naraz materjach, bo z tego najpewniej tyle tylko wynikłoby, że nie skorzystalibyśmy z żadnej. Nie chciałabym, pisząc o kwestyi tak delikatnej, by kto czytając słowa moje domyślał się rzeczy, których ja nie mam na myśli, i co innego rozumiał, kiedy ja mówię co innego. Dobre zrozumienie niniejszego rozdziału tak jest, upewniam, rzeczą ważną, że jakkolwiek pisanie to mię trudzi, nie czuję przecie trudu mego; jak z drugiej strony pragnęłabym, by kto czytając te rzeczy nie rozumiałby ich od razu, nie żałował trudu odczytania ich razy kilka. Mówię to szczególnie do przełożonych i do mistrzyń nowicyuszek, które z obowiązku swego winny kierować siostrami w rzeczach modlitwy. Jeśli nie użyją z samego początku pilnego starania i bacności w powściągnięciu podobnych słabości i omdlewań, same się przekonają później, ile czasu potrzeba na zaradzenie im po niewczasie.

Gdybym mogła tu przytoczyć wszystkie, o jakich wiem, przykłady szkód z tego źródła wynikających, przekonałaby się każda, jak słusznie na ten punkt tak usilnie nalegam. Jeden tylko wymienię, z którego łatwo będzie domyślić się drugich. Mamy w jednym z tych klasztorów naszych dwie siostry, jedną chórową, drugą konwerską; obie odznaczają się

wysoką bogomyślnością, połączoną z umartwieniem, i pokorą, i innemi cnotami, za które im Pan wielkich łask użył i daje im objawienia wielmożności swoich; obie zwłaszcza tak oderwane od wszystkich rzeczy ziemskich i wyłącznie miłości Pana oddane, że jakkolwiek na wszelkie najtrudniejsze próby je wystawiamy, nigdy nie dostrzegłyśmy, by w czemkolwiek zbywało im na odpowiedniej, o ile nasza niskość zdoła, łaskom, jakich Pan im użył, wierności. Dla tego tak szeroko nad ich cnotami się rozwodzę, aby te, którym podobnych cnót niedostawa, tem bardziej miały się na baczości. Otóż poczęły na nie przychodzić wielkie zapęły pożądania i tęsknoty do Pana, nad którymi niezdolne były zapanować. Sama tylko Komunia uśmierzała nieco te ich uniesienia; zaczęły też wyprosiły sobie u spowiedników pozwolenie częstego do niej przystępowania; ale żądza ta tak się w nich coraz wyżej wznosiła, iż w końcu zdawało się, że gdyby którego dnia nie komunikowały, umarłyby z pewnością. Spowiednicy, widząc te dusze w takim stanie, i takie niepoohamowane pragnienie ich, uznali, — choć jeden z nich był mężem gruntownie duchownym, — że w rzeczy samej nie masz dla nich innego lekarstwa. I nie koniec na tem: z jedną z nich do tego doszło, i do takich ją zapęł wewnętrzny przywołał ciężkości, że potrzeba było dawać jej Komunię o samym świecie, aby dzień przeżyć mogła; takie miała szczere przekonanie, bo i jedna i druga nie były to dusze zdolne do obłudy, i za nic na świecie nie popełniłyby kłamstwa. Mnie tam wówczas nie było, ale przełożona napisała do mnie, donosząc co się dzieje, i jako rady sobie z niemi dać nie może, a że takie osoby poważne, to jest spowiednicy, są zdania, że należy ustąpić i zgodzić się na to, bez czego one wytrzymać nie mogą. Ja z łaski Pana od razu zrozumiałam, jak rzeczy stoją, ale nie objawiałam zaraz zdania mego, ażbym sama przybyła na miejsce: naprzód z obawy że mogę się mylić, a powtóre, że nie wypadło stać w sprzeczności z tymi, którzy te rzeczy pochwalali, póki bym nie objawiła im racji moich.

Jeden ze spowiedników tyle miał pokory, że skoro przyjechałam na miejsce, i z nim się rozmówiłam, przyznał mi



słuszność. Drugiego przeciwnie, nie tak wysoko, czyli raczej w porównaniu z tamtym wcale nie duchownego, żadną miarą nie mogłam przekonać; ale mało na opór jego zważałam, nie mając takich względem niego obowiązków. Wzięłam na rozmowę obie siostry; przedstawiałam im racje, zdaniem mojem, dostateczne do przekonania ich o tem, że obawa ich, iż bez Komunii umrzeć muszą, jest tylko urojeniem; ale myśl ta tak mocno w nich tkwiła, że jej żadne racje nie zdołały wybić im z głowy. Zaniechawszy więc dalszych dowodzeń, oznajmiłam im, że ja też, tak samo jak one, tęsknię do Komunii, ale się od niej powstrzymam, aby z mojego przykładu przekonały się, że i one komunikować nie powinny, z wyjątkiem dni Komunii ogólnej. Jeśli ma być z tego śmierć, więc umrzemy wszystkie trzy, bo zdaniem mojem, lepsza to, niż gdyby podobny obyczaj miał się zaprowadzić w tych domach naszych, gdzie są jeszcze inne dusze, tyleż co i one, kochające Boga, a zatem i każda mogłaby sobie rościć prawo do takichże dla siebie wyjątków.

Dzięki zaciągniętemu nałogowi, złe już tak głęboko się było zakorzeniło, do czego pewno i dyabeł się, wmięszał, że gdy im nie dano Komunii, na prawdę zdawało się, że umrą. Ja jednak nieubłaganie trwałałam w postanowieniu mojem; bo im bardziej one wzdragały się przeciw posłuszeństwu, wyobrażając sobie że usłuchać nie mogą, tem wyraźniejszy widziałam w tem dowód, że wszystko to tylko pokusa. Pierwszy on dzień przebyły z wielką ciężkością, drugiego cierpiały trochę mniej, następnych coraz mniej, i kiedy wkrótce potem sama bez nich przystąpiłam do Komunii, bo mi tak kazano, — sama z siebie nie byłabym przystąpiła, widząc taką słabość ich, — one zupełnie już spokojnie to zniosły. W krótkim czasie przekonały się one, i wszystkie drugie, że była to pokusa, i jak dobrze to się stało, że jej w porę jeszcze zaradzono; bo niezadługo potem zaszły, nie z winy siostr, nieporozumienia między tym domem a przełożonymi zakonu, — o czem może jeszcze w dalszym ciągu nieco opowiem, — a ci nie byłiby pochwalili ani ścierpieeli podobnych zwyczajów.

O, ileż mogłabym przytoczyć tego rodzaju przykładów! Wspomnę tu przynajmniej jedno jeszcze podobne zdarzenie, choć zaszło ono nie w klasztorze naszego zakonu, jedno w klasztorze bernardynek. Była w tym klasztorze zakonnica, równie cnotliwa jak one dwie poprzednie. Skutkiem ustawicznego biczowania się i postów doszła była do takiego wycieńczenia, że za każdym przystąpieniem do Komunii, albo za każdym gorętszem uniesieniem pobożnem, natychmiast padała na ziemię jak martwa, i ośm do dziewięciu godzin w takim stanie pozostawała. Zdawało jej się, i wszystkie drugie tak sądziły, że są to zachwycenia. A tak często jej się to zdarzało, że gdyby temu nie położono tamy, pewna jestem, że bardzo złe byłyby stąd wynikły następstwa. Wieść o tych rzekomych zachwyceniach rozchodziła się po całym mieście. Mnie bolały te słuchy, bo z łaski i woli Pana, wiedziałam co o tem wszystkim trzymać należy, i w wielkiej byłam obawie, na czem to się skończy. Spowiednik tej zakonnicy był i moim, bardzo mi przychylnym ojcem duchownym; będąc u mnie, opowiedział mi wszystko. Ja mu na to oświadczyłam moje o tych zajęściach przekonanie: że jest to tylko strata czasu, że niepodobna by były to zachwycenia, że to wprost tylko skutek niemocy fizycznej; poradziłam mu by jej zabronił dyscyplin i postów, i kazał jej się rozerwać. Ona, posłuszna, uczyniła jak jej kazano. W krótkim czasie odzyskała siły, i już więcej nie było mowy o zachwyceniach; a gdyby to były prawdziwe zachwycenia, żaden środek ludzki nie zdołałby ich powstrzymać, dopóki by Bóg chciał aby rwały. Bo taka jest potężna siła ducha Bożego, że żadna siła nasza nie zdoła mu się oprzeć, a przytem, jak mówiłam, działanie jego wielkie w duszy skutki pozostawia; gdy przeciwnie rzekome te zachwycenia tak przemijają bez śladu, jak gdyby ich wcale nie było, i niczego więcej po sobie nie pozostawiają, jedno wyczerpanie i złamanie w ciele.

Z tego, co się powiedziało, zrozumiejmy i pomnijmy, że cokolwiek nas krępuje wewnątrznie w sposób taki, iż czujemy że rozum już nie jest swobodny, wszystko to powinno nam być podejrzanem; nigdy tą drogą nie nabędziemy wolności

ducha; bo jedna z głównych cech tej wolności zasadza się na tem, byśmy umieli znajdować Boga we wszystkich rzeczach stworzonych, i swobodnie przez nie do Boga myślać się wznościć mogli. Co za tem jest, wszystko to tylko niewola ducha, która, nie mówiąc już o szkodzie, jaką wyrządza ciału, więzi duszę i wzrost jej tamuje. Jako gdy kto idąc drogą, trafi na bagno lub trzęsawisko, i tak w niem zabrniesz, że dalej postąpić nie może, tak po części dzieje się wtedy i z duszą, której, aby mogła postąpić, zupełnej potrzeba swobody, bo nie tylko powinna wciąż iść naprzód, ale i latać, i na skrzydłach gołębiczy wznosić się wzgórze.

Co do tych, które mówią, albo którym się zdaje, jak się to nieraz zdarza, że są pochłonięte w Bogu, i w tem rzekomem zawieszeniu władz wewnętrznych ani panować nad sobą ani myśli rozerwać nie mogą: powtarzam raz jeszcze zdanie i radę moją: jeśli taki stan trwa dzień tylko, albo choćby cztery dni, albo i tydzień, niema jeszcze czego się obawiać, bo nie jest to nic nadzwyczajnego, gdy naturze słabej tyle czasu potrzeba, aby mogła przyjść do siebie po doznaniem wstrząśnienia. Ale jeśli rzecz dalej się przedłuża, wtedy już należy zaradzić złemu. Tyle tylko w tym stanie jest dobrego, że nie masz w nim winy ani grzechu, że owszem nie jest pozbawiony zasługi przed Bogiem; zawsze jednak pociąga on za sobą te szkodliwe następstwa, o których mówiłam, i wiele innych jeszcze. Mianowicie co się tyczy Komunii, nie mała byłaby to niewłaściwość, gdyby dusza, dla niepohamowanego jej pożądania, nie chciała być posłuszną spowiednikowi i przełożonej. Jakkolwiekby wielkie czuła w sobie, za odmówieniem jej Komunii, opustoszenie, należy przecie, w tem jak we wszystkim, umartwiać ją, choć w sposób łagodny, aby jej nie popchnąć do ostateczności; należy im tłumaczyć i przywieść je do uznania, że pożyteczniejsza rzecz i potrzebniejsza, zrzec się woli swojej, niż szukać pociechy swojej.

Może się w to wmięszac i miłość własna, jak tego sama na sobie doświadczyłam. Zdarzało mi się nieraz, że zaraz po Komunii, gdy postać chleba musiała jeszcze cała być wemnie, widząc drugie przystępujące, czułam w sobie jakby zazdrość

do nich i żal, że już komunikowałam, i drugi raz komunikować nie mogę. Wówczas, choć to po wiele razy się powtarzało, nie widziałam w tem nic nagannego; później dopiero spostrzegłam się, że to uczucie pochodziło raczej z chęci zadowolenia własnego, niż z miłości Bożej; wzbudzało je wemnie pragnienie tej słodkości i pociechy wewnętrznej, jakiej po większej części doznajemy w chwili Komunii; bo gdyby mi było chodziło tylko o posiadanie Boga w mej duszy, wszakci już Go posiadam; i gdyby mi było chodziło tylko o spełnienie przepisu, jaki nam w pewne dni każe przystępować do Komunii, wszak już go byłam spełniła; i gdyby mi było chodziło tylko o łaski, jakie nam się w Najświętszym Sakramencie udzielają, wszak już je byłam otrzymała. Tym sposobem przyszedłam do jasnego poznania, że powodowałam się wówczas tylko pragnieniem uczuwalnej onej pociechy, i że jej więcej pragnąć nie powinnam.

Przypomina mi się tu pewna pani, którą znałam, bawiąc w jednym mieście, gdzie posiadamy nasz klasztor. Uchodziła w całym mieście za gorliwą służebnicę Bożą, i mogła taką być; komunikowała co dzień, nie mając stałego spowiednika, tylko to w jednym kościele to w drugim do Komunii przystępując. Uderzało mię to, i byłabym wolała widzieć ją raczej posłuszną jednemu przewodnikowi, niż tyle razy komunikującą. Mieszkała w domu własnym, i robiła, sądzę, co jej się podobało; ale że była dobrą, wszystko też co robiła było dobrem. Nie raz czyniłam jej uwagi moje, ale ona nie zważała na mnie, i słusznie, bo była o wiele lepszą odemne, ale w tym punkcie nie zdaje mi się bym była w błędzie. Korzystając z przybycia świętego Brata Piotra z Alkantary, postarałam się aby z nią się obaczył; ale sprawozdanie, jakie przed nim o sobie uczyniła, nie bardzo mi się podobało, czemu zapewne nie inna była przyczyna, jedno ta wielka nędza nasza, że nikt nas nigdy nie zdoła w zupełności zadowolnić, jeśli nie jedną z nami drogą chodzi; bo pewna tego jestem, że więcej ona Panu służyła, i więcej w jeden rok pokuty czyniła, niż ja przez wiele lat. W końcu, bo do tego zmierzam, przyszła na nią choro-  
roba śmiertelna; postarała się nie zwlekać o pozwolenie, bo co-

dzień w mieszkaniu jej odprawiała się Msza święta, i by jej codzień na Mszy dawano Komunię. Gdy jednak choroba jej się przedłużała, kapłan bardzo pobożny, który często u niej miewał Mszę świętą, uznał w końcu, że nie można na to pozwolić by tak codzień w pokoju komunikowała. Była to zapewne pokusa czartowska. bo stało się to w samże dzień, którego ona umarła. Widząc, że Msza święta się kończy, a Komunii jej nie dają, tak się na to oburzyła, i takim gwałtownym na kapłana uniosła się gniewem, że ten mocno zgorszony przybiegł do mnie, donosząc mi co się stało. Mnie to mocno obeszło, zwłaszcza że nie było nawet pewności, czy miała jeszcze czas pojednać się z Bogiem, bo zdaje się, że zaraz po tem zjściu umarła. Przekonałam się na tym przykładzie, jak ciężką szkodę wyrządza duszy przywiązanie do woli własnej w czemkolwiek bądź, a tem bardziej w rzeczy tak wielkiej. Bo kto tak często przystępuje do Pana, temu słusznie należy tak uznawać niegodność swoją, iżby nigdy nie śmiał tego czynić polegając na własnem zdaniu swoim, ale zasięgał i słuchał zdania duchownego przewodnika, aby to, czego mu niedostaje do godnego połączenia się z tak wielkim Panem, — a do tego każdemu musi niedostawać wiele, — zastąpił i dopełnił posłuszeństwem, z rozkazu tylko przystępując. W zdarzeniu, o którym mówię, biedna ona pani miała podaną sobie sposobność do głębokiego upokorzenia się, i podobno większą, niż z przyjęcia Komunii, byłaby miała zasługę, gdyby była uznała, że kapłan w tym razie nic jej nie był winien, ale że Pan sam, widząc jej nędzę i niegodność, tak był zrządził, bo nie chciał wniść do takiego nieprzystojnego dlań mieszkania. Tak czyniła pewna osoba, której roztropni spowiednicy niejednokrotnie odmawiali Komunii, bo przystępowała do niej często. W czulej swej dla Pana miłości, bolała bardzo nad takim od Niego usunięciem; ale z drugiej strony, więcej pragnąc czci Boga niż swojej, nie przestawała błogosławić Go za to, że stworzył oczy spowiednikowi, aby ją poznał jaką jest, i nie dopuszczał Boskiemu majestatowi Jego wchodzić do takiej lichy gospody; i tych myśli się trzymając, z wielkim spokojem duszy poddawała się zakazowi, chociaż z rzewną także, miło-

sną boleścią; ale za nic w świecie nie byłaby postąpiła wbrew temu, co jej kazano <sup>1)</sup>).

Wierzajcie mi siostry, kiedy miłość Boża, — nie mówię żeby to była prawdziwa miłość Boża, ale taką nam się wydaje, — w podobny sposób wzburza namiętności, albo prowadzi do czego takiego, co obraża Boga, albo zakłóca pokój duszy tak zakochanej w myślach swoich, że już głosu rozumu nie słyszy, wtedy rzecz jasna, że szukamy samych siebie; wtedy też dyabeł, który nie śpi, nie omieszka nastawać na nas, wiedząc, że w taką porę łatwiej i ciężiej szkodzić nam może, jak to uczynił onej pani. Wypadek jej, przyznaję, mocno mię przeraził; nie iżbym straciła ufność, że kusiciel nie zdołał dokazać tego, by dusza jej poszła na potępienie, bo dobroć Boga wielka jest, ale że pokusa trafiła, bądź co bądź, na złą godzinę. Opisałam to zdarzenie dla przestrogi przełożonych, i aby siostry z świętą bojaźnią zastanawiały się nad sobą, i badały siebie, w jaki sposób przystępują do przyjęcia tak wielkiego daru. Jeśli po to przystępują doń aby przez to podobały się Bogu, wszak wiedzą dobrze, że lepiej podoba się Jemu posłuszeństwo niż ofiara <sup>2)</sup>. Jeśliż tak jest, jeśli przez posłuszeństwo wstrzymując się od Komunii większą mam zasługę, więc czegoż mam się niepokoić? Nie mówię, by nie mogły przytem czuć przykrości, byle była pokorną; bo nie wszystkie jeszcze doszły do tego stopnia doskonałości, na którym nic już duszy nie jest przykrem, skoro tylko czyni to, co wie że jest przyjemniejszym Bogu. Bo gdy wola zupełnie jest oderwana od wszelkiego względu na samą siebie, wtedy rzecz jasna, że nic już jej zasmucić nie zdoła, że owszem będzie się radowała z następczającej się jej sposobności przypodobania się Panu w rzeczy tak dużo ją kosztującej, i upokorzy się, i zarówno ochotnie poprzestanie na Komunii duchownej. Lecz ponieważ w początkach jest to szczególną łaską od Pana, gdy daje te gorące pragnienia złączenia się

---

<sup>1)</sup> Nie trudno się domyślić, że osoba o której tu mówi, Święta, w taki sposób siebie poniżający, a wielkość Boga wynoszący, i mądrość spowiedników swoich chwalaący, jest ona sama.

<sup>2)</sup> Kr. 15, 22.

z Nim, — chociaż daje je i doskonałym, i gorętsze jeszcze; ale dla tego mówię tu o początkach tylko, bo na tym stopniu pragnienia one wyżej się cenić powinny, i zresztą, na tym stopniu doskonałości, o którym wspomniałam, nie są one już tak gwałtowne: — słusznie więc takim poczynającym można to wyrozumieć, że pozbawione Komunii, uczują rzewny żal i zmartwienie, byleby tylko zachowały przytem pokój duszy, i brały sobie z tego pohop do czynienia aktów upokorzenia siebie. Lecz gdyby doznawały z tego powodu jakiego wzburzenia lub miotania się, albo skrytego żalu do przełożonej lub do spowiednika, niechaj będą pewne, że jest to oczywista pokusa. Jeśliby zaś która, gdy spowiednik zabronił jej Komunii, jednak odważyła się komunikować, ja zasługi, jakąby z takiego postępku odniosła, nie życzyłabym sobie. W rzeczach tak niesłychanie ważnych, nie godzi się nam czynić siebie sędziami we własnej sprawie. Sąd należy do tego, któremu powierzone są klucze ku wiązaniu i rozwiązywaniu. Niechaj Pan raczy nam użyć światła, abysmy w rzeczach tak ważnych nie błądzili; niech nam nie odmawia pomocy łaski swojej, byśmy darów, jakich nam użyczą, nie obracali na obrazę Jego.

---

## ROZDZIAŁ VII.

Jak należy postępować z duszami, podlegającemi melancholii.

Wskazówki przełożonym potrzebne.

Siostry moje z tego klasztoru świętego Józefa w Salmanyce, w którym bawiąc, piszę te słowa, prosiły mię usilnie, bym powiedziała nieco o sposobie postępowania z takimi, które mają skłonność do melancholii. Jakkolwiek pilnie przestrzegamy tego, by takich nie przyjmować, jest to jednak przywara tak subtelna, że umie udawać umarłą, gdy jej tego potrzeba, i skutkiem tego zdarza się, że nie dostrzeżemy jej, aż po niewczasie. Nie pamiętam, ale zdaje mi się, że o tej materji już kiedyś mówiłam nieco w którejsz książeczce; wszakże nie za-

wadzi i tu coś o tem powiedzieć, o ile z łaski Boga potrafię. Gotowam i sto razy powtarzać rzeczy może już dawniej powiedziane, gdy mogę mieć nadzieję, że będzie komu z tego jakikolwiek pożytek.

Melancholicy tyle umieją wynajdywać różnych wybiegów dla postawienia na swoim, że chcąc trafić na sposób właściwy znoszenia ich i kierowania nimi tak, aby nie mogli szkodzić drugim, potrzeba te ich wybiegi zbadać i dobrze na nich się poznać. Zaznaczę nasamprzód, że nie wszyscy podlegający tej wadzie, tak są trudni i uciążliwi; jeśli przytem są pokorni i charakteru łagodnego, a zwłaszcza jeśli mają zdrowy rozsądek, choć sami w sobie dręczą się i cierpią, nie będą przecie szkodliwymi dla drugich. Są także różne stopnie tego chorobliwego usposobienia. Przekonana jestem, szczerze to mówię, że w niektórych dyabeł używa tego usposobienia za środek, dla dostania ich w moc swoją, i jeśli nie będą się mieli bardzo na baczości, z pewnością dokaże zamiaru swego. Główny bowiem skutek melancholii jest ten, że opanowuje rozum i zaćmiewa go; w tem zaś zaćmieniu rozumu, do czego nie zdołają popchnąć namiętności? Być pozbawionym rozumu, to zdaje się znaczy to samo, co oszaleć; i tak jest. Ale w tych, o których tu mówię, złe nie dochodzi do takiego stopnia, choć dużo lepiej byłoby, żeby doszło; bo udawać z konieczności, że za rozumne poczytujesz, i jako rozumne traktować stworzenie takie, które widzisz że rozum straciło, toć to męka nieznośna; gdy przeciwnie te, które całkiem już opanowała ta choroba, choć godne są pożałowania, ale już szkodzić nie mogą i jakkolwiek nie masz sposobu wpłynąć na nie rozumem, bojaźń utrzyma je w karchach.

Głównie więc mam tu na myśli takie, w których groźna ta i w skutkach swoich tak zgubna choroba jest dopiero w początkach i jeszcze takiej siły nie nabrała, choć zawsze z tychże złych soków się rodzi, i z tegoż korzenia wyrasta, i na tymże pniu dojrzewa. Z takiemi, gdy inne sposoby nie starczą, potrzeba również uciec się do tegoż środka grozy i bojaźni. Niech przełożone zadają im wszelkie pokuty przyjęte w zakonie; niech starają się tak je ukrócić, iżby zrozumiały,



że wszelkimi fochami i dąsami swojemi nic a nic nie wskurają. Bo niechby tylko raz i drugi spostrzegły, że krzykami swemi i desperacyami, które dyabeł kładzie im w usta, aby je zgubił, zdolają postawić na swoim, to samo już bezpowrotnie w złem je utwierdzi, i dość wtedy jednej takiej na zawichrzenie całego klasztoru. Skoro biedna taka dusza nie ma w samej sobie siły odpowiedniej, aby mogła obronić się od poduszceń, które zły duch jej podsuwa, potrzeba zatem by przełożona z jaknajwiększą troskliwością czuwała nad jej kierunkiem, nie tylko zewnętrznym, ale i wewnętrznym; i kiedy chora rozum ma zaćmiony, tem jaśniejszym więc powinien on być w przełożonej, aby czart, korzystając z jej niemocy, nie dostał jej w moc swoją. Jest to w rzeczy samej stan niebezpieczny; są wprawdzie czasy, kiedy te złe humory takbiorą górę nad duszą, że zupełnie tłumią rozum: — i wtedy już nie będzie grzechu, tak samo jak waryatowi to, co czyni w szaleństwie, za grzech się nie poczytuje. Ale bywają inne czasy, nie zupełnego zagłuszenia, tylko osłabienia rozumu, a więc będzie tu zawsze jakaś, większa czy mniejsza wina. Potem znowu przychodzą chwile jaśniejsze i spokojne. Otóż chodzi o to, by chorej, gdy ma się źle, nie pozwolono w niczem woli jej, by snąć tem ośmielona, nie chciała, gdy przyjdzie do siebie, sama sobą rządzić, to jest, ślepo wystawić się na podstępny i zdrady szatańskie, które są straszne. Dobrze przypatrzysz się tego rodzaju duszom, obaczymy, że nad wszystko lubią czynić wolę swoją, mówić cokolwiek im ślina przyniesie na usta, podpatrywać wady cudze i niemi pokrywać swoje, używać wszystkiego, co im smakuje. Tym sposobem, jawnie okazując, że nie mają w sobie siły odpornej przeciw złemu, a mając nieumartwione namiętności, z których każda domaga się zaspokojenia żądzy swojej, dokądże takie dusze zajdą, i co z niemi się stanie, jeśli nie będzie nikogo, ktoby za nie opór stawiał i tamę kładł grzesznym ich skłonnościom?

Powtarzam raz jeszcze, — a mogę w tem powołać się na własne doświadczenie, bo wiele znałam dusz tą chorobą dotkniętych, i miałam z niemi do czynienia: — nie masz na nie innego lekarstwa, jedno doprowadzenie ich na wszelki sposób

możliwy do uległości i posłuszeństwa. Jeśli słowa nie skutkują, trzeba użyć kar; jeśli lżejsze kary nie starczą, niech nastąpią za nimi cięższe; jeśli mało zamknięcia na miesiąc, niech się przedłuży do czterech miesięcy; taka surowość, jest to największe dobrodziejstwo, jakie można podobnym duszom wyświadczyć. Bo jak już mówiłam, i na nowo powtarzam, gdyż dla własnego ich dobra potrzeba, by dobrze to rozumiały, jakkolwiek nieraz albo i często się zdarza, że dusza w napadzie melancholii traci wszelkie nad sobą panowanie, nie jest to przecie jeszcze wyraźne, niewątpliwe obłąkanie, tak iżby ją wymawiało od winy; — bywa to niekiedy, ale nie zawsze. Zawsze więc dusza podobnemu stanowi ulegająca, w wielkim jest niebezpieczeństwie grzechu, chyba że, jak mówiłam, napad tak jej odjął rozum, że nieświadomie i poniewolnie musiała uczynić to, co w tym stanie uczyniła. Wielkie to więc miłosierdzie Boga nad duszą tej niemocy podlegającą, gdy jej daje łaskę poddania się zwierchności, która nie rządzi, bo na tej uległości, ze względu na niebezpieczeństwo, o którym mówię, polega wszystko dobro i bezpieczeństwo jej. Niechże taka dusza, czytając te słowa, jeśli dostaną się w ręce jej, pomni na miłość Boga, że może tu chodzić o wieczne jej zbawienie.

Znam dusze dotknięte melancholią, którym ta nieszczęsna niemoc prawie zupełnie rozum odbiera; ale są to dusze pokorne, i tak bojące się wszelkiej obrazy Boskiej, że nie zważając na lzy któremi się w skrytości zalewają, nigdy nie czynią nic nad to, co im każe posłuszeństwo, i mimo swą niemoc, w postępowaniu swoim niczem się nie wyróżniają od drugich. Prawdziwe i ciężkie cierpią męczeństwo, ale tem większa za to chwala je czeka, a tu na ziemi odbywają czyściec swój, i za życia wykupują się od czyścica po śmierci. Ale co do tych, któreby nie chciały dobrowolnie tak się zachowywać, niechaj, powtarzam, przełożona je zmusi, i niech się nie unosi niewczesną dla nich litością, bo folgując ich wybrykom, doczeka się tego, że zły przykład ich i drugie wszystkie za sobą pociągnie. Pominąwszy bowiem wielkie bardzo niebezpieczeństwo, w którym, jak mówiłam, własna dusza takiej nieszczęśliwej zostaje, inna jeszcze ogólna szkoda grozi od niej całemu domowi, mianowicie

ta, że dzięki przyrodzonej nędzy serca ludzkiego, drugie, nie widząc tej niedoli wewnętrznej, która gnębi jej duszę, a z pozorów zewnętrznych poczytując ją za dobrą, będą także chciały każda uchodzić za dotknięte melancholią, aby im także podobne czyniono folgi, i podobne okazywano pobłażanie; dyabeł też z pewnością nie zaniecha utwierdzać je w tej myśli, i takie zatem w całym domu sprawi spustoszenie, jakiemu potem, gdy wyjdzie na jaw, bardzo trudno będzie zaradzić. Jest to rzecz tak ważna, że żadną miarą nie godzi się przełożonej dopuścić się w tym względzie najmniejszego zaniedbania czy miękkosci; jeśli chora okaże krnąbrność albo upór, niech ją ukarze jak zdrową; niech jej niczego nie puszcza płazem, ani nieuprzejmości i opryskliwości dla siostr, ani żadnej winy podobnej.

Może to się komu wyda niesprawiedliwością, w braku innego sposobu karać chorą, tak jakby była zdrową, ale w takim razie byłoby także niesprawiedliwością, wiązać i karcieć furiatów; należałoby raczej zostawić ich na wolności, aby robili i mordowali wszystkich. Wierzajcie mi, iż mam w tym względzie doświadczenie; wielu różnych sposobów próbowałam, ale nie znalazłam innego. Przełożona, któraby chciała przez litość dozwalać takim swobody, tego tylko się doczeka, że w końcu niepodobna będzie z niemi wytrzymać; a gdy wtedy zabierze się do zaradzenia złemu, pokaże się, że i drugie już dużą od nich szkodę ucierpiały. Jeśli, jak każdy przyzna, nie jest to okrucieństwem, jedno dobrym uczynkiem, gdy wiążemy i ukroćamy furiatów, aby nie zabijali ludzi, choć słusznie zasługują na litość, bo nie wiedzą co czynią, czyż nie daleko słuszniej jeszcze należy poskramiać takie nieszczęśliwe, aby przykładem wyuzdania swego nie wyrządzały szkody duszom? Tem bardziej, że często, jak o tem mocno jestem przekonana, nie melancholia do takich je wybryków popycha, jedno charakter samowolny, niepokorny i nieposkromiony; niejedna taka, widziałam to na własne oczy, gdy kto patrzy na nie, kogo się boją, powstrzymują się i powstrzymać się mogą: czemużby nie mogły dla bojaźni i miłości Boga? Bardzo się boję, czy nie jest to sprawa czartowska, czy to nie dyabeł korzysta z tej rzekomej melancholii,—bo często, jak dopiero co mówiłam jest

ona tylko udawaniem,—aby pod tym pozorem dusze do sieci swoich zagarniała. Częściej dzisiaj, niż bywało dawniej, spotykamy się z tym wyrazem, i wszelka swawola, wszelkie przywiązanie do woli własnej, podszywa się pod miano melancholii. Stąd też zdaniem mojem, w tych domach naszych, i we wszystkich w ogóle domach zakonnych, należałoby nigdy nie brać na usta tego wyrazu, pod którym snać koniecznie ukrywa się takie niezakonne rozpasanie. Nazywajmy rzecz po imieniu: zówmy ją ciężką chorobą, — o, i jak ciężką! — i jako taką ją leczmy. Należy więc koniecznie od czasu do czasu zadać chorej jakie lekarstwo na uśmierzanie jej humorów, aby były znośniejsze; niech pobędzie jakiś czas w infirmaryi; a gdy z niej wyjdzie i wróci do zgromadzenia, niech wie, że ma być posłuszną i pokorną jak drugie, i że gdyby służyć nie chciała, nic jej żadne humory nie pomogą. Tak koniecznie powinno być, z powodów, które wyżej przywiodłam, a mogłabym ich przytoczyć jeszcze więcej. Przełożona zaś niech czuwa nad nią, nie dając jej tego poznać, z jaknajczulszą, prawdziwie macierzyńską miłością, i niech używa wszelkich jakie wynaleźć zdoła sposobów, zdolnych przywrócić jej zdrowie.

Mogłoby się здаwać, że sama z sobą jestem w sprzeczności, zalecając teraz czułą troskliwość i miłość, kiedy przedtem ciągle mówiłam o potrzebie surowości. Tak mówiłam, i słowa mego nie cofam. Potrzeba te biedne w takich trzymać karbach, by im już ani na myśl nie przyszło, iżby kiedy zdołały dokazać tego, czego im się zachciewa; potrzeba by wiedziały że służyć muszą, bo właśnie to byłoby dla nich największą szkodą, gdyby się czuły wolnemi. Ale może przełożona nie dawać im rozkazów, których przewiduje że nie usłuchałyby, nie mając w sobie siły potrzebnej do zwyciężenia siebie; może zręczną a uprzejmą namową skłaniać je do tego, czego potrzeba, tak iżby, o ile to być może, usłuchały nie z przymusu, jedno z miłości, co byłoby daleko lepiej; i prawie zawsze dokaże tego przełożona, jeśli będzie umiała słowem i uczynkiem upewnić je o tem, że szczerze je kocha. Niech przytem dają im jak najwięcej zatrudnienia przy różnych obowiązkach; jest to, zważmy to dobrze, najskuteczniejsze dla nich lekarstwo, bo odbiera im czas i możliwość

do próżnych marzeń i puszczania wodzy wyobraźni, na czem właśnie cała ich choroba polega. Zapewne, że ze zleconych im obowiązków niezbyt świetnie się wywiążą, ale lepiej znosić małe ich w takich rzeczach winy, niż narażać się na znoszenie większych i cięższych, gdyby znowu odeszły od rozumu, samym sobie na zgubę. To jest, powtarzam, najskuteczniejsze, zdaniem mojem, dla nich lekarstwo. Potrzeba nadto nie pozwalać im na długie rozmyślenia, trzeba owszem i zwyczajne im skrócić; bo przy chorobliwej, jaką po większej części mają, wyobraźni, długie modlitwy byłyby dla nich bardzo szkodliwe, i podawałyby im tylko sposobność do wytwarzania niezrozumiałych dla nichże samych, i dla nikogo, dziwołagów. Należy także pilnować, by nie jadały ryby, chyba rzadko kiedy, i postów nie czyniły tak ustawicznych jak drugie.

Może komu się wyda, że zbyt długo się rozwodzę, tyle dając rad i wskazówek co do tej jednej niemocy, a milczeniem pomijając wszystkie inne, kiedy tyle ich jest i tak ciężkich, w tem nędznem życiu, zwłaszcza dla nas słabych i ułomnych niewiast. Dwojaki do tego miałam powód: Pierwszy ten, że dotknięte melancholią mają siebie za zdrowe, nie chcąc uznać choroby w nich ukrytej; gdy zaś choroba ta nie jest ani febrą ani gorączką, i nie zmusza ich pójść do łóżka i wezwać lekarza, potrzeba więc, by przełożona zastąpiła im lekarza, bo jest to choroba groźniejsza dla duszy dążącej do doskonałości, niż wszelkie obłożne i śmiertelne niemocy. Drugi mój powód jest następujący: inne choroby kończą się wyzdrowieniem albo śmiercią; z tej przeciwnie rzadko kto wyzdrowieje, ani się na nią nie umiera, tylko się traci rozum, co jest także w swoim rodzaju śmiercią, śmiertelnie ciężką dla drugich. A którym ta choroba nie odbiera rozumu, te same w sobie noszą gorzkie jak śmierć udręczenia, i urojenia, i skrupuły, które one wciąż poczytują za pokusy, choć znosząc je cierpliwie, bardzo wielką stąd odniosą zasługę; gdyby zaś mogły przyjsć do uznania, że źródłem tych udręczeń które cierpią, jest też sama ich skłonność do melancholii, gdyby zatem zdobyły się na odwagę i nie zważały na nie, niemałą to przyniosłoby im ulgę. Co do mnie, wielki mi ich żal, i wszystkie też siostry

i towarzyski ich pomnąc, że i na nie Pan mógłby zesłać podobną niedolę, słuszną by szczere dla nich miały współczucie, i z najczulszą miłością znosiły je, nie dając im jednak poznać tego, jak mówiłam wyżej. Bodajbym z łaski Pana była zdołała, w tem co powiedziałam, trafne i skuteczne podać rady na tę tak ciężką niemoc.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Kilka uwag o objawieniach i widzeniach.

Są ludzie, których, zdawałoby się, samo wspomnienie o widzeniach albo objawieniach przeraża; jaki mogą mieć powód do takiego strachu, w czem widzą tak groźne niebezpieczeństwo dla duszy, którą Bóg zechce tą drogą prowadzić, tego, przyznaję, nie rozumiem. Nie mam zamiaru tutaj roztrząsać, które widzenia są prawdziwe, a które ułudą tylko, ani wymieniać znaków, po których, jak mię nauczyli mężowie głęboko uczeni, można jedno od drugich rozpoznać. Chcę tu tylko wskazać, co powinna czynić dusza w takim zdarzeniu; bo nie łatwo trafi na spowiednika, któryby jej w tej materii nie naprowadził niepokoju i strachów. Najwięcej jest takich, którzy nie tyle się przerażają, gdy im wyznasz, że dyabeł ci podsuwał wszelkiego rodzaju pokusy, myśli bluźniercze, rozpasane, niewstydlive widziadła, ile ich, nie już przerazi tylko, ale zgorzszy, gdy im powiesz, że widziałaś anioła, i z nim rozmawiałaś, albo że ci się ukazał Pan Jezus ukrzyżowany.

O objawieniach, pochodzących od Boga tem bardziej nie mam potrzeby mówić tu obszerniej, że dobrze jest wiadomy każdej główny i najpewniejszy znak, którym się różnią od fałszywych, to jest wielkie skarby i dobra duchowne, które po nich w duszy pozostają. Powiem tu więc raczej o wyobrażeniach i widziadłach, w których zły duch, dla oszukania nas, przebiera się w udaną postać Chrystusa Pana albo świętych Jego. Otóż najmocniej jestem przekonana, że nigdy Boska łaskawość Pana naszego nie pozwoli na to, ani nie da złemu duchowi tej władzy, by zdołał podobnemi widmami duszę oszu-

kać, chyba sama z własnej winy swojej do tego mu pomogła; przeciwnie, sam na zdradach swoich się oszuka. Żadną miarą, powtarzam, nie ulegnie dusza temu złudzeniu, jeśli jedno ma pokorę. Nie mamy więc czego się lękać; ufajmy tylko w Pana i gardźmy temi podstępami dyabelskimi; owszem, obracajmy je sobie na pożytek, tem żarliwiej chwając Boga i tem wierniej Mu służąc.

Znam osobę, którą spowiednicy trzymali w ciężkim ucisku i udręczeniu, z powodu widzeń jakie miewała; choć później z wielkich skutków i dobrych uczynków, jakie z nich wynikły, okazało się, że były to widzenia od Boga. Niemało ją to kosztowało, gdy na widok Pana, ukazującego się jej w widzeniu, musiała od Niego się żegnać znakiem krzyża świętego, albo pokazywać mu figę, bo tak jej było kazano <sup>1)</sup>. Wielki teolog, ojciec dominikanin, magister Dominik Banez, którego później się radziła, powiedział jej, że było to źle, że nikomu takiej rzeczy czynić się nie godzi; bo gdziekolwiek ujrzymy wyobrażenie Pana naszego, powinniśmy uczcić je, choćby je malował dyabeł, który jest wielkim artystą; owszem, wbrew złośliwemu zamiarowi swemu, zdrajca ten nie szkodę nam przez to wyrządza, jakby chciał, ale raczej przysługę oddaje, gdy tak żywy nam stawia przed oczy wizerunek Ukrzyżowanego czy innego świętego przedmiotu, iż wrażenie z niego odniesione pozostaje nam wyryte w sercu. Bardzo mi ta nauka trafiła do przekonania; boć każdy, patrząc na jaki obraz znakomity, będzie go podziwiał, choćby wiedział, że malował go zły człowiek, i przewrotność malarza nie zepsuje nam pobożnego wrażenia, jakie na nas dzieło jego sprawuje. Pożytek zatem z widzenia, czy szkoda, nie jest w rzeczy widzianej, jedno w tym, który na nią patrzy, to jest w tem, czy ma, czy nie, pokorę potrzebną aby z widzenia korzyść odniósł. Duszy prawdziwie pokornej żadne widzenie, choćby było od ducha złego, zaszkodzić nie zdoła; ale gdzie nie masz pokory, tam nie będzie pożytku, chociażby widzenie pochodziło od Boga. Duszę, którą to, co powinno ją pobudzać do upokorzenia się, do uznania siebie

<sup>1)</sup> Ob. *Życie*, rozdz. 29.

niegodną tak wielkiej łaski, przeciwnie w pychę i próżność wzbija, podobna jest do pająka, który cokolwiek połknie, wszystko to obraca w truciznę; dusza pokorna przeciwnie jest jako pszczoła, która wszystko w miód zamienia.

Bliżej myśl moję objaśnię. Gdy Pan w Boskiej łaskawości swojej raczy się ukazać jakiej duszy, na to aby Go lepiej poznała i więcej miłowała, albo aby jej jaką tajemnicę swoją objawił, albo jakimi szczególnymi łaskami i pociechami ją obdarzył, a ona, kiedy powinnaby, jak mówiłam, korzyć się i uniażać w uznaniu nicestwa swego, takiej łaski niegodnego, woli zaraz mieć siebie za świętą, i wyobraza sobie, że łaska ta jest zasłużoną za wierną służbę jej nagrodą: tedyć rzecz jasna, że podobna do onego pająka, wielkie dobro, jakie jej stąd przyjsć mogło, na złe sobie obraca. Przypuśćmy teraz na odwrót, że to zły duch, dla wzbicia jej w pychę, takie jej widzenia nasuwa: jeśliż ona sądząc, że widzenia te pochodzą od Boga, upokarza się i uznaje siebie niegodną tak wielkiej łaski i tem gorliwiej stara się służyć Panu, widząc siebie tak zubożoną, kiedy mieni się być niewartą jeść choćby okruszyny, spadające ze stołu świętych, o których słyszała, że podobnych łask od Boga dostępowali, i niegodną oddawać im najniższe posługi; jeśli tak uniażając siebie, usilniej jeszcze przykłada się do czynienia pokuty i do coraz żarliwszej modlitwy, i jeszcze pilniej strzeże się by w niczem nie obrażała tego Pana, który jej, jak sądzi, taką łaskę uczynił, i jeszcze doskonalej stara się być posłuszną: wtedy, ręczę za to, dyabeł ucieknie, i więcej nie wróci, i żadnej po sobie szkody w tej duszy nie pozostawi. Jesliby w tych objawieniach słyszała zalecenie uczynienia tego lub owego, albo przepowiednie rzeczy przyszłych, potrzeba koniecznie by zasięgnęła rady światłego i roztropnego spowiednika, i nic nie czyniła ani nie uwierzyła z tego co słyszała, jedno co spowiednik jej wskaże. W tym celu może wyznać całą rzecz przełożonej, aby ona jej obmyśliła takiego spowiednika, któryby posiadał wspomniane tylko co zalety; ale niechaj wie i pamięta raz na zawsze, że jesliby nie usłuchała tego, co spowiednik jej powie, i nie chciała ulegać kierunkowi jego, byłby to znak, że widzenia jej są sprawą złego ducha, albo wytworem



strasznej melancholii. Przypuściwszy nawet, że spowiednik się myli, ona najpewniej ustrzeże się błędu, trzymając się ściśle zdania i zaleceń jego, chociażby to, co słyszała w widzeniu, było głosem anioła Bożego; bo albo Pan w Boskiej dobroci swojej użyje mu światła potrzebnego, albo też sam tak wszystko zrządzi, iżby mimo błędu jego, dusza słuchając go osiągnęła to, co On dla dobra jej postanowił. Ta jest jedyna droga zupełnie bezpieczna; inaczej postępując, można się na wielkie niebezpieczeństwo narazić i wielką sobie szkodę wyrządzić.

Pamiętajmy, że przyrodzona ułomność nasza bardzo łatwo ulega złudzeniom, zwłaszcza w nas niewiastach, i że właśnie na tej drodze modlitwy bogomyślniej, ułomność ta najłatwiej się okazuje. Miejmy się więc na baczności, byśmy za lada przywidzeniem, jakie nam wyobraźnia nasunie, nie myśleli zaraz, że to objawienie od Boga; prawdziwe objawienie, bądźmy tego pewni, łatwo daje się poznać i w sposób niewątpliwy. Tem bardziej jeszcze tam potrzeba ostrożności i powściągliwości, gdzie jest jakabądź skłonność do melancholii. Sama patrzałam na takie przykłady podobnych przywidzeń, że wydziwić się nie mogłam, jakim sposobem człowiek może przyjść do tego, by najmocniej był przekonany, że widzi to, czego nie widzi. Kiedyś przyszedł do mnie pewien kapłan i z uwielbieniem począł mi opowiadać, co mu mówiła jedna penitentka jego: jako Matka Boska codziennie przez długi czas ją odwiedzała, i siadała przy niej na łóżku, i godzinę całą, i dłużej, z nią rozmawiała, i różne jej nauki dawała, i rzeczy przyszłe jej objawiała; a że w tych bredniach mogłaby być jedna lub druga rzecz podobna do prawdy, więc na tej zasadzie wszystko się przyjmowało za najczystsza prawdę. Co do mnie, zrozumiałam od razu jak rzeczy stoją, ale nie śmiałam wypowiedzieć całego zdania mego, bo żyjemy w takim świecie, iż potrzeba nam dobre mieć baczenie, co o nas mogą pomyśleć drudzy, jeśli chcemy, by słowa nasze miały jaki skutek. Powiedziałam mu więc tylko, że należałoby naprzód poczekać na spełnienie onych proroctw, jeśli to proroctwa prawdziwe, i przypatrzeć się innym tych widzeń skutkom i objawom, i dowiedzieć się, jakie

jest życie tej osoby. Jakoż w końcu prawda wyszła na wierzch, i pokazało się, że były to tylko przywidzenia chorego mózgu.

Mogłabym przytoczyć wiele innych tego rodzaju przykładów, a każdy z nich byłby nowem stwierdzeniem tego, do czego tu zmierzam, mianowicie, że nie powinna dusza od razu dawać wiarę widzeniom swoim, ale dłuższy czas ma nad nimi się zastanawiać, i dobrze zbadać i poznać samą siebie, pierwej nim taką rzecz wyzna spowiednikowi, by go snać niechcąca nie oszukała; bo spowiednik, jakkolwiekby był uczonym, jeśli nie zna tych rzeczy z własnego doświadczenia, niełatwo na nich się pozna. Tak, bardzo niedawno, czy może parę lat temu, jakiś człowiek zupełnie wywiódł w pole kilku bardzo uczonych i duchowo wykształconych kapłanów, prawiąc im podobne rzeczy; aż trafił na osobę, która posiadała to z własnego doświadczenia nabyte zrozumienie łask Bożych; ona też jasno poznała, że były to chorobliwe złudzenia człowieka pomieszanego na umyśle. Choć rzecz, pięknemi pozorami pokryta, wówczas jeszcze się nie wydała, Pan jednak wkrótce potem wywiódł ją na jaw; ale przedtem osoba ona, która pierwsza prawdę odgadła, dużo miała do zniesienia, bo nikt jej wierzyć nie chciał.

Z tych powodów, i z innych tym podobnych, wiele zależy na tem, by każda siostra jasno zdawała sprawę przełożonej z tego, czego doznaje na modlitwie; i przełożona nawzajem powinna pilnie badać przyrodzone usposobienie każdej i stopień jej wewnętrznego udoskonalenia; zaczem uprzedzi spowiednika, aby łatwiej każdą zrozumiał, albo gdyby zwyczajny spowiednik nie miał dość światła na rozsądzenie takich widzeń, wybierze na tę potrzebę nadzwyczajnego. Powinna również pilnie mieć baczenie, aby takie rzeczy, choćby najpewniej pochodziły od Boga, choćby im towarzyszyły łaski widocznie cudowne, nie dochodziły do wiadomości ludzi świeckich; nie każdemu nawet spowiednikowi wypada mówić o nich, jeśliby który nie miał należytej roztropności i nie umiał milczeć. Jest to rzecz bardzo ważna, więcej niż zdołam wyrazić. Niech także uważa, aby siostry między sobą o tem nie mówiły. Sama zaś niech zawsze słucha ich wyznań z wszelką uwagą i roztropnością,

okazując się więcej skłonną do przyznania pierwszeństwa tym, które się odznaczają pokorą, umartwieniem i posłuszeństwem, raczej niż tym, któreby Bóg prowadził tą wysoko nadprzyrodzoną drogą, chociażby przytem także cnoty posiadały. Bo w której Duch Pański takie rzeczy działa, w tej działanie Jego mnoży także pokorę i radosne umiłowanie pogardy; jej więc upokorzenie nie zaszkodzi, a drugie z niego korzyść odniosą: bo nie mogąc osiągnąć onych łask nadzwyczajnych, które Bóg daje komu chce, większą uczują pociechę z posiadania tych cnót, o których mówiłam. Wprawdzie i te cnoty są darem Bożym: ale łatwiej na nie własnem staraniem zapracować i nieocenioną mają wartość w życiu zakonnem. Niechaj Pan w Boskiej łaskowości Swojej raczy ich nam użyzyć. A nie odmówi ich nikomu, kto usilnem ćwiczeniem się i gorącą modlitwą, ufając w miłosierdzie Jego, o nie się stara.

---

## ROZDZIAŁ IX.

Wyjazd z Medina del Campo na fundację św. Józefa w Malagonie.

Jakże daleko odeszłam od przedmiotu mego! Ale kto wie? może z tych uwag które powyżej wypisałam, albo choć z niektórych, większy się okaże pożytek, niż z opowiadania fundacji. Gdy tak, jak to opisałam w swoim miejscu, przebywając w Medina del Campo, z niewypowiedzianą pociechą patrzałam na postępy sióstr, wiernie wstępujących w ślady starszych towarzyszek swoich u św. Józefa w Awili, we wszelkiej cnotcie zakonnej, i zobopólnej miłości, i gorącości ducha, a Pan nasz coraz obficiejsz zaopatrywał nas we wszelkie potrzeby, tak dla budowy kościoła jak i na utrzymanie sióstr; wstąpiło do nas kilka nowych aspirantek, snać umyślnie wybranych przez Pana, aby się stały podstawą duchownej naszej budowy; od tych bowiem pierwszych początków zależy, jak sądzę, wszystek dalszy rozwój i pomyślność, bo następne, jaką znajdują drogę utorowaną, taką i pójdą za pierwszemi. Mieszkała w Toledzie jedna pani,

siostra księcia Medina-Coeli <sup>1)</sup>, w której domu, jak to opowiedziałam obszernie w opisie fundacyi św. Józefa <sup>2)</sup>, z rozkazu przełożonych jakiś czas przebywałam. Szczególną wówczas powzięła dla mnie miłość, która później miała jej być niejaką pobudką do uczynienia tego, co uczyniła. Tak to Pan w Boskiej Opatrzności swojej, za środek ku spełnieniu zamiarów swoich, używa nieraz rzeczy, według nas, którzy nie wiemy przyszłości, nic nie znaczących albo na nic niepotrzebnych. Gdy pani ta dowiedziała się, że otrzymałam upoważnienie do zakładania klasztorów, poczęła usilnie mię prosić, bym także otworzyła dom nasz w Malagonie, miasteczku do niej należącemu. Ja w żaden sposób nie chciałam się zgodzić na to jej żądanie, z powodu, że w takiej małej mieścinie klasztor nie mógłby się utrzymać bez zapewnienia mu stałych dochodów, a temu z zasady stanowczo byłam przeciwną.

Teologowie jednak, jak również i spowiednik mój, których zdania w tej kwestyi zasięgałam, objaśnili mię, że niesłusznie się opieram: że skoro święty Sobór (Trydencki) pozwala na posiadanie dochodów, ja nie powinnam, dla utrzymania się przy moim sposobie widzenia, uchylać się od założenia tego klasztoru, z którego taka wielka może być chwala Bogu. Gdy przytem i ona pani nie ustawała w usilnych naleganiach swoich, nie mogłam w końcu nie zgodzić się. Wyznaczyła fundusz dostateczny na utrzymanie nowego domu, bo taka jest stała zasada moja, że klasztory nasze powinny być albo zupełnie ubogie, albo też, w razie wyznaczenia któremu stałego utrzymania, dochody jego powinny być tak zabezpieczone, aby siostry nie były zmuszone naprzykrzać się komubądź w potrzebach swoich. Zastrzegłam jednak przytem w sposób najmocniej stanowczy, by żadna nie posiadała niczego na własność, ale by wszystkie we wszystkim zachowywały jak najściślej konstytucye, tak samo zupełnie jak drugie klasztory, trzymające się zupełnego ubóstwa.

---

<sup>1)</sup> Donna Ludwika de la Cerda, wdowa po Arias'ie Pardo, i pani na Malagonie.

<sup>2)</sup> Ob. *Życie*, rozdz. 34.

Po spisaniu odnośnych dokumentów, posłałam po kilka sióstr, wyznaczonych do tej fundacyi, i w towarzystwie onej pani przybyliśmy do Malagonu, gdzie dom dla nas nie był jeszcze tak wykończony, byśmy mogły w nim od razu zamieszkać, skutkiem czego potrzeba nam było przez tydzień mieścić się w jednym z pokoiów zamkowych.

W niedzielę kwietnią roku 1568, poprzedzone przez ludność miejscową, która procesjonalnie była wyszła na spotkanie nasze, odziane w płaszcze białe, z zasłoną spuszczoną na oczy, zostałyśmy wprowadzone do kościoła, gdzie wysłuchałyśmy kazania, poczem przeniesiono Najświętszy Sakrament do naszego klasztoru. Obchód ten uroczysty głęboko wzruszył wszystkich obecnych.

Zatrzymałam się jakiś czas w nowej fundacyi. Jednego dnia, będąc na modlitwie po Komunii, usłyszałam z ust Pańskich obietnicę, że w tym domu dobrze i wiernie służyć Mu będą <sup>1)</sup>. Pozostałam w Malagonie nie dłużej, ile pamiętam, nad dwa miesiące, bo kwapił się duch mój w dalszą drogę, na fundacyę domu w Waliadolidzie; co mi do tego powód dało, opowiem to w następującym rozdziale.

## ROZDZIAŁ X.

Fundacya domu w Waliadolidzie, pod wezwaniem Poczęcia  
Najświętszej Panny z Góry Karmelu.

Na cztery czy pięć miesięcy przed fundacyą tego klasztoru św. Józefa w Malagonie, przyszedł do mnie pewien młody pan wysokiego rodu <sup>2)</sup>, i oznajmił mi, że gdybym chciała założyć klasztor w Waliadolidzie, on z wielką chęcią ofiaruje mi na ten cel dom swój tamże, z dużym i pięknym ogrodem, położonym wśród rozległej winnicy; był to dar wspianiały, a on domagał się bym go zaraz wzięła w posiadanie. Przyjęłam,

<sup>1)</sup> Ob. *Księga Sprawozdań, Sprawozd. III.*

<sup>2)</sup> Był to Don Bernardyn de Mendoza, brat biskupa Awilańskiego. Posiadłość pod Waliadolidem, którą na ręce św. Teresy ofiarował N. Pannie z Karmelu, zwała się Rio de Olmos.

lubo nie bardzo mi się chciało zakładać klasztor w takim miejscu, o ćwierć mili od miasta; ale myślałam sobie, że raz będąc w posiadaniu tego domu, będzie można wymienić go na drugi w mieście; w każdym razie, ze względu na tak ochotną wolę jego, nie chciałam go pozbawiać zasługi tego dobrego uczynku i stawać na przeszkodzie pobożnej jego intencji.

Mniej więcej w dwa miesiące potem, zapadł nagle na ciężką niemoc, której postępy tak były gwałtowne i szybkie, że straciwszy mowę, nie mógł się dobrze wypowiedać, lubo wciąż znakami skruchę swoją oznajmiał i Pana za winy swoje przepraszał. Umarł bardzo prędko, daleko od miejsca, gdzie wówczas zostawałam. Ale Pan objawił mi, że zbawienie jego w wielkim było niebezpieczeństwie; że jednak znalazł miłosierdzie u Niego, przez wzgląd na usługę, jaką oddał Matce Jego, ofiarując on dom swój na założenie w nim klasztoru poświęconego Jej zakonu; ale że nie wyjdzie z czyściska, aż za pierwszą Mszą, jaka się w tym klasztorze odprawi; wówczas dopiero będzie z mąk czyścowych wyzwolony. Od chwili tego objawienia, tak mi wciąż stały przed oczyma męki tej duszy, że chociaż właściwie chciałam naprzód założyć klasztor w Tolledzie, odłożyłam ten zamiar na później, i z największym, ile tylko mogłam, pośpiechem zajęłam się fundacją w Waliadolidzie.

Nie mogłam jednak przywieść jej do skutku tak prędko, jak tego pragnęłam. Potrzeba mi było zatrzymać się dość długo w klasztorze św. Józefa z Awili, który był pod moim zarządem, potem u św. Józefa w Medina del Campo, bo dom ten miałam po drodze. Tu jednego dnia, na modlitwie, Pan rzekł do mnie: — „Spiesz się; dusza ta bardzo cierpi.“ Więc, choć mi brakowało jeszcze wielu rzeczy potrzebnych, zabrałam się do dzieła, i w dzień św. Wawrzyńca (10 sierpnia) stanęłam w Waliadolidzie. Gdy ujrzałam on dom, wielki na widok jego miałam zawód i zmartwienie; przekonałam się, że niepodobna, bez nałożenia wielkich kosztów, ani myśleć o umieszczeniu w nim zakonnic; przytem, choć bardzo przyjemny, dla rokosznego dokoła ogrodu, dom ten widocznie musiał być niezdrowy, bo stał nad samą rzeką.

Zmęczona z drogi, musiałam jeszcze pójść na mszę do klasztoru naszego zakonu, położonego przy bramie miasta; było tak daleko do niego, że odległość ta zdwoiła jeszcze moje strapienie; nie okazałam tego jednak przed siostrami, aby im nie odebrać odwagi. Sama też, choć zgnębiona, nie traciłam ufności, że Pan, jako mi kazał tu pospieszyć, tak też biedzie naszej zaradzi. Po cichu, nic nikomu nie mówiąc, wezwałam rzemieślników, i kazałam porobić przegrody, na celki dla sióstr i inne konieczne urządzenia. Był z nami ksiądz Julian z Awili, ten sam, o którym była mowa wyżej, i jeden <sup>1)</sup> z onych dwóch Braci, który jak tamże powiedziałam, chcieli przyjąć regulę karmelitów Bosych; ten ostatni, dla lepszego poznania jej, przypatrywał się naszym porządkom i praktykom, ks. Julian zaś robił starania o wydanie upoważnienia biskupiego na naszą fundacyę, co do którego biskup miejscowy, jeszcze przed przyjazdem moim, dobrą dawał nadzieję. Nie poszło to jednak tak prędko, wypadła niedziela, a my jeszcze nie miałyśmy w ręku obiecanego upoważnienia, bez którego i Najświętsza Ofiara u nas się sprawować nie mogła; ale wydano nam indult tymczasowy na odprawienie jej w miejscu, które przeznaczyliśmy na kościół; tam też mogłyśmy w tę niedzielę wysłuchać Mszy świętej.

Ani mi na myśl nie przyszło, by wtedy już miało się spełnić to, co mi Pan był o onej duszy zapowiedział; mówił, że się to stanie za pierwszą Mszą, ale ja sądziłam że przez pierwszą ma się rozumieć ta, na której będzie wprowadzony do nas Najświętszy Sakrament. W chwili gdy kapłan z puszką świętą w ręku zbliżał się do miejsca, gdzie miał nam dać Komunię, i w samejże chwili, gdy przystępowałam dla przyjęcia jej, ukazał mi się on zmarły, z jasnym, rozpromienionym od radości obliczem, i składając ręce dziękował mi za to, co dla niego uczyniłam, aby został wyzwolony z czyśćca; po czem zaraz dusza ta wstąpiła do nieba. Gdy pierwszy raz usłyszałam z ust Pana zapewnienie, że dusza jego jest na drodze do zbawienia, nie wielką, przyznając, miałam co do niej otuchę, raczej żal wielki

---

<sup>1)</sup> Św. Jan od Krzyża.

i niepokój o nią mię dręczył; zdawało mi się, że śmierć jego nie była taką, jaką mu życzyć należało po życiu, jakie prowadził, bo choć nie zbywało mu na dobrych uczynkach, było to jednak życie uwikłane w sprawy światowe. Prawda, że z drugiej strony pocieszało mię i obawy moje uśmierzało to, co w ostatnich czasach mówił towarzyszkom moim, że ciągle myśli o śmierci. Zaiste, wielkie to szczęście, i rzecz wielce przyjemna Panu, komu dano jest oddać jaką usługę Matce Jego, i wielkie jest miłosierdzie Jego. Chwała Mu i dziękczynienie na wieki, iż taką chwałą i życiem wiecznem odplaca nam za niepoczesne uczynki nasze, i sprawy nasze, same z siebie małą wartość mające, przez łaskę swoją czyni wielkiemi.

W dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi, 15 sierpnia roku 1568, objęliśmy nowy klasztor w posiadanie. Nie długo jednak w nim zostaliśmy, bośmy się prawie wszystkie ciężko rozchorowały. Widząc smutne położenie nasze, jedna pani, zamieszkała w tem mieście, przysłała nam w pomoc. Była to Donna Marya de Mendoza, małżonka komandora Cobos'a, matka margrabiego de Camarasa, osoba wysoko pobożna i wielce dobroczynna, jak o tem jawnie świadczą hojne jałmużny jej. Jest ona siostrą biskupa Awilańskiego, i z tego powodu już dawniej ją znałam i wielu łask od niej doznawałam; bardzo nam była pomocną przy zakładaniu pierwszego klasztoru i we wszystkim, co się tyczy pomyślności naszego zakonu, żywy udział brała. Otóż będąc tak dobrą i miłosierną, i widząc, że w tem miejscu niepodobna nam mieszkać bez wielkiej trudności, tak z powodu ciągłych chorób, jak i z powodu zbytnej odległości od miasta i utrudnionej przez to jałmużny, ofiarowała się nam przyjąć od nas ten dom, a kupić nam za to drugi. Tak i uczyniła; i nie tylko darowała nam dom dużo więcej wart od tego, który jej ustąpiłyśmy, ale i zaopatrzyła nas, i dotąd zaopatruje we wszystko, czego nam tylko potrzeba, i dalej, dopóki żyje, zaopatrywać będzie <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Do czasu nkończenia potrzebnych w nowym domu urządzeń, Donna Marya Mendoza, siostra wspomnianego wyżej Don Bernardyna, zaprosiła siostry do pałacu swego i z najczulszą gościła je u siebie miłością. Klauzury



W dzień św. Błażeja <sup>1)</sup> przeniosliśmy się do nowego domu; lud z wielkiem nabożeństwem procesjonalnie towarzyszył nam przez miasto, i dotąd wielką czią i miłością otacza ten dom nasz, bo Pan wielu łaskami okazuje nad nim miłosierdzie swoje i pociągnął do niego dusze wybrane, których świetność kiedyś w swoim czasie głośną będzie na świecie; za co niech Jemu będzie chwała i dziękczynienie, iż takimi drogami raczy dawać dziełom swoim pomnożenie, i takie łaski wylewać na stworzenia swoje. O jednej zwłaszcza, która w tym czasie tu wstąpiła, i choć młodziutka wiekiem, wszystkim pokazała przykładem swoim, co to jest świat, zdeptawszy go nogami, zdało mi się rzeczą pożyteczną, obszerniej tu wspomnieć, dla nauki i zawstydzienia tych, którzy tak się w nim kochają, a na zachętę panienkom, którymby Pan raczył dać dobre natchnienia i święte żądze w nich wzbudzić, aby nie wahały się czynem odpowiedzieć miłociwemu Jego wezwaniu.

Mieszka w tem mieście jedna pani, Donna Marya de Acuna, siostra hrabiego De Buendia. Po śmierci męża, który był gubernatorem Kastylii, w bardzo młodym wieku jeszcze pozostawszy wdową, z trojgiem dzieci, jednym synem i dwiema córkami, tak świętobliwemu oddała się życiu i tak cnotliwie dzieci swoje wychowała, iż zasłużyła sobie na ten zaszczyt, że Pan je raczył przyjąć za swoje. Powiedziałam, że pozostały jej dwie córki; omyliłam się, miała ich trzy. Jedna, skoro doszła do lat, wstąpiła do zakonu <sup>2)</sup>; druga nie chciała wyjść za mąż, ale pozostała przy matce, wiodąc z nią życie w wysokim stopniu budujące; trzecia, najmłodsza, była ta, której wstąpienie do Karmelu tu opowiadam. Syn od wczesnej młodości począł poznawać marność tego świata i tak silne Bóg mu da-

---

naturalnie w tem chwilowem pomieszczeniu nie było, z czego korzystając św. Teresa, w czasie pobytu swego u Donny Maryi, zajęła się młodym Ojcem Janem od Krzyża, tłómacząc mu sama regułę i ducha nowej reformy. Tym sposobem wielki odnowiciel Karmelu odbył nowicyat pod kierunkiem wielkiej odnowicielki jego, i przez nią przeniknął się zasadami pierwotnego zakonu, któremu wraz z nią dawną jego świetność przywrócił.

<sup>1)</sup> 3 lutego 1569 r.

<sup>2)</sup> Do klasztoru dominikanek w Waliadolidzie.

wał powołanie do zakonu, że nie go od postanowienia odwieść nie mogło; matka też pewno, uradowana z powołania jego, skutecznie mu, przy łasce Bożej, dopomagała do wytrwania, lubo tego przed ludźmi nie okazywała, że względu na opór rodziny. Ale gdy Pan chce którą duszę mieć dla siebie, żaden opór, żadna usilność stworzeń nie zdoła stanąć na przeszkodzie spełnieniu się woli Jego. Tak stało się i w tem zdarzeniu: przez trzy lata wszelkich używano przedstawień i nalegań, usiłując zachwiać młodzieńca w postanowieniu jego, a koniec był ten, że wstąpił jednak do Towarzystwa Jezusowego. Spowiednik tej pani <sup>1)</sup> opowiadał mi potem, jako wyznawała mu, iż nigdy w życiu serce jej nie opływało takim weselem, jak w dniu professyi jej syna <sup>2)</sup>.

O Pani! jakąż to łaskę nieocenioną czynisz tym, którym dajesz takich rodziców, taką prawdziwą miłością dzieci swoje miłujących, i nad wszelkie państwa, i majoraty, i bogactwa, życzących im dóbr nieskończenie większych w onej szczęśliwości, której nigdy nie będzie końca! Jakże więc słusznie boleć należy i litować się nad nieszczęsną ślepotą tego świata, którą rażeni rodzice na tem cześć swoją zasadzają, by niepożycie przechowywały się w ich rodzie te nędzne jak gnój dobra ziemskie, a nie pomną na to, że prędzej czy później muszą z niemi się rozstać, że wszystko, co znikome, choćby najdłużej się przechowało, skończyć się musi, a zatem mało się ważyć powinno. I tak, w tem zaślepieniu swoim, kosztem własnych dzieci chcą utrzymać marny splendor domu swego, i z niesłychaną zuchwałością śmieją Bogu wydzierać te dusze, które On wybrał dla siebie, a dusze te pozbawiać tak wielkiego dobra, które, chociażby nawet nie zapewniało im tej szczęśliwości wiecznej, którą im Bóg, wzywając je do zakonu, przeznaczają, już tem samem byłoby dobrem nieocenionem, że wyzwala nas z pod jarzma gniotących służebności i wymagań światowych. O Boże, otwórz im oczy i niech poznają, niech zrozumieją, co

<sup>1)</sup> O. Ripalda, rektor domu profesów Tow. Jezusowego w Waliadolidzie.

<sup>2)</sup> Ob. Dodatek III.

to jest, prawdziwa miłość rodzicielska, jaką dzieci swoje kochać powinni; niech im już nie wyrządzają takiej krzywdy, aby one nie były kiedyś ich oskarżycielami przed Bogiem, na onym sądzie ostatecznym, na którym i oni, czy chcą czy nie chcą, dowiedzą się, jaka jest rzeczywista wartość każdej rzeczy.

Tak więc, dzięki miłosierdziu Bożemu, Don Antonio de Padilla, — tak się zwał on młodzieniec, syn Donny Maryi de Acuna, porzucił świat, mając lat mniej więcej siedmnaście. Skutkiem wstąpienia jego do zakonu, dobra wszystkie przechodziły na starszą córkę, Donnę Ludwikę de Padilla, to jest, nie tylko dobra rodzicielskie, ale i obszerne włości stryja, hrabiego de Buendia, po którego śmierci bezdzietnej, hrabstwo jego i godność gubernatora Kastylii prawem dziedzictwa przypadają Don Antoniemu. Nie będę tu opowiadała, bo nie należy to do rzeczy, — wszystkich udręczeń, jakie wycierpiał od rodziny, nim w końcu przywiódł do skutku postanowienie swoje; łatwo się tego domyśli, kto wie, jak wielką wagę możni tego świata przywiązują do tego, by dom i ród ich nie pozostał po nich bez następcy. O Synu Ojca przedwiecznego, Jezu Chryste Panie nasz, prawdziwy Królu wszystkiego stworzenia, cóż Ty pozostawiłeś tu, odchodząc z tego świata, abyśmy, potomstwo twoje, po Tobie odziedziczyli? Cóż Ty posiadałeś na tej ziemi, Panie mój, prócz cierpień, i boleści, i zelżywości, nie mając nawet w srogiem konaniu śmiertelnem innego łoża, jedno twarde drzewo krzyża? I nam więc, Boże mój, którzy pragniemy być prawdziwymi synami twymi i nie zrzekać się dziedzictwa twego, nie godzi się uciekać od cierpienia. Herbem twoim pięć ran twoich: to, córki, powinno być i naszym godłem, jeśli mamy odziedziczyć królestwo Jego; nie używaniem wczasów, i roskoszy, i honorów, i bogactw ma się nabywać to, co On kupił takim wylaniem krwi swojej. O panowie szlachetni, na miłość Boga, otwórzcie oczy i obaczcie, jako prawdziwi rycerze Jezusa Chrystusa, i książe Kościoła Jego, taki święty Piotr i święty Paweł, nie tą drogą chodzili, którą wy idziecie. Czy może sądzicie, że dla was ma być osobna, nowego rodzaju droga do nieba? Mylicie się. Prawdziwą drogę oto Pan wam

ukazuje, na przykładzie takich maluczkich, jak ten młodzieniaszek, jak ta panienka, o których tu mówimy. Widywałam nieraz tego Don Antoniego i rozmawiałam z nim: radby był posiadał dużo większe jeszcze dobra, aby je wszystkie porzucił dla Chrystusa. Zaiste, błogosławiony młodzieniec, błogosławiona dziewczeczka, którzy na taką sobie u Boga łaskę zasłużyli, iż w wieku, w którym świat wszechwładnie zwykł panować nad synami ludzkimi, oni umieli zdeptać go nogami. Błogosławiony niech będzie Ten, który im tak wielkiego dobra użyzył.

Gdy tedy skutkiem wstąpienia Don Antoniego do zakonu, wszystkie posiadłości rodu prawem przeszły na starszą siostrę jego, ta wobec spadającego na nią blasku wielkości ziemskich, taką samą jak brat wspaniałość serca okazała. Od dzieciństwa bowiem żarliwie oddana modlitwie, z której jako ze źródła spływa na duszę światło od Boga, ku poznaniu prawdy, chwałą doczesną i bogactwy, idąc za przykładem brata, wzgardziła. O Boże wielki! iluż to ludzi ochotnie zgodziłoby się wycierpieć przykrości wszelkie, udręczenia, i procesa, i choćby życie nawet i cześć swoją na szwank narazić, dla pozyskania takiego dziedzictwa! Ta przeciwnie wycierpiała nie mało, aby uzyskać pozwolenie zrzeczenia się onegoż. Taki to jest duch i obyczaj świata; nierozum jego rzuca się w oczy, tylko że ślepi jesteśmy i nie widzimy go. Chętnie i z wielkiem weselem ducha, Donna Ludwika, dla uwolnienia się wreszcie od tej sukcesyi, uczyniła zrzeczenie się na imię najmłodszej siostry swojej, ostatniej, jaka jeszcze pozostawała na świecie, mającej za ledwo dziesięć czy jedenaście lat życia. Niebawem, dla przechowania marnej nazwy rodowej, familia postanowiła dziewczeczkę jeszcze nieletnią wydać za stryja jej, rodzonego brata jej ojca, i za uzyskaniem potrzebnych dyspens papieskich, odbyły się zaręczyny.

Ale Pan nie dopuścił tego, by córka takiej matki i siostra takiego rodzeństwa uległa fałszywym pojęciom świata, których tamci szczęśliwie się ustrzegli. Stało się to w sposób następujący. Zrazu panienka lubowała się w strojach i zbytkach światowych, świetnych i wspaniałych, odpowiednio do

wysokiego stanu jej, zdolnych zatem olśnić umysł tak młody. Ale nim jeszcze skończył się drugi miesiąc od zaręczyn, Pan zaczął oświecać ją wewnątrz, choć jeszcze nie rozumiała tych Boskich natchnień Jego. Spędziwszy wesoło dzień cały w towarzystwie narzeczonego, którego nad wiek swój gorąco kochała, wieczorem nie mogła się obronić ciężkiemu smutkowi, na myśl, że dzień się skończył i że następne podobnie się skończą. O cudowna wielmożności Boga! samoż zadowolenie, jakiego doznawała z uciech znikomych, przywiodło ją do tego, że też uciechy jej zbrzydły! Smutek jej tak coraz bardziej się wzmacniał, że nie było już w jej mocy ukrywać go przed narzeczoną; ale na troskliwe pytania jego nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo sama nie rozumiała, co jej jest. Wypadła mu w tym czasie potrzeba odjechania jej na dłuższy czas, w podróż daleką, czem ona, tak mocno przywiązawszy się do niego, bardzo się martwiła. Ale wówczas właśnie Pan odkrył przed nią przyczynę jej strapienia; zrozumiała, że dla tego sobie spokoju znaleźć nie może, że dusza jej już się skłania ku rzeczom, które nigdy nie przemina. Poczęła zastanawiać się nad tem, jako brat jej i siostra obrali sobie część bezpieczniejszą, a ją pozostawili wśród niebezpieczeństw świata. Dręczyła ją ta myśl, zwłaszcza, że z drugiej strony uważała siebie za nieodwołalnie związaną, nie wiedząc jeszcze o tem, o czem później dopiero się dowiedziała, że zaręczyny nie są przeszkodą do wstąpienia do zakonu; nadewszystko zaś przywiązanie do narzeczonego wciąż ją powstrzymywało od ostatecznego postanowienia, a wszystko to razem w bolesnem ją trzymało zawieszeniu i rozterce wewnętrznej. Lecz Pan, chcąc ją mieć dla siebie, powoli zacierał w jej sercu to ziemskie przywiązanie i coraz żywszą w niej rozniewał żądzę opuszczenia wszystkiego. Wówczas jeszcze do tej żądzę pobudzał ją tylko wzgląd na zbawienie wieczne i chęć obrania środków najpewniej do tego celu wiodących. Mówiła sobie, że wysokiem stanowiskiem swoim więcej niż wielu innych wplątana w rzeczy tego świata, zapomni o potrzebie zapracowania sobie na rzeczy wieczne. Taką to mądrością, w tak młodym wieku, napełniał Pan tę duszę, ucząc ją szukać tego, co trwa niepożyte bez końca!

O szczęśliwa dusza, tak wczesnie uzdrowiona z tej ślepoty, w której tylu starców leży aż do śmierci! Wreszcie czując już w sobie wolę i serce wolne od więzów, które je krępowały, postanowiła bez podziału oddać je Bogu, i z tem postanowieniem swoim, z którym dotąd się kryła, naprzód zwierzyła się siostrze. Ta, sądząc zrazu, że jest to tylko dziecinne zachcenie, poczęła jej odradzać, przedstawiając jej, że i na świecie i w stanie małżeńskim może być zbawioną. „Czemuż więc ty wszystko to porzuciłaś?“ odpowiedziała jej dziewczeczka. Tak upłynęło jeszcze kilka dni, a pragnienie jej oddania się Bogu z każdym dniem wyżej rosło. Mimo to jednak nie śmiała zamiaru swego objawić matce; a może właśnie matka świętymi modlitwami swemi taką w sercu córki wojnę wewnętrzną wznieciła i takie jej zwycięstwo wyprosiła.

---

## ROZDZIAŁ XI.

Dalszy ciąg wszczętego w poprzedzającym rozdziale opowiadania. —

Jaki zakon obrała sobie Donna Kasylda de Padilla, w wykonaniu świętego zamiaru swego wstąpienia do klasztoru.

W tymże czasie wypadł w tym naszym klasztorze Poczęcia obrządek uroczystych obłóczyn jednej konwerski, siostry Stefanii od Apostołów, której powołanie może później opowiem; bo choć to córka ubogiego wieśniaka i urodzeniem bez porównania niższa od tamtej córki możnego domu, wszakże wielkimi, jakich jej użyczył, łaskami, Bóg tak ją wywyższył, iż dla chwały Boskiej wielmożności Jego, warta jest wspomnienia. Donna Kasylda—tak było imię onej duszy wybranej od Boga, o której w poprzedzającym rozdziale mówić zaczęłam,—będąc obecną na tych obłóczynach, w towarzystwie babki swojej, matki jej narzeczonego, nadzwyczajnie upodobała sobie nasz klasztor: mała liczba i ubóstwo sióstr wydawały jej się pożądanym do tem gorliwszej służby Bożej warunkiem. Nie miała jednak jeszcze niezachwianego postanowienia zerwania z narzeczoną, co jak mówiłam, było dla niej najtrudniejszą do

zwalczenia zawadą. Zastanawiając się jednak nad sobą, nie bez przerażenia spostrzegła, że wpływ życia światowego niejedną już w niej sprawił zmianę na gorsze. Przypominała sobie, jak to dawniej, przed zaręczeniem się, stale przestrzegała postanowionych w ciągu dnia czasów modlitwy, w czem dobra i święta matka jej była jej przykładem i wzorem, i do tego pobożnego zwyczaju ją i rodzeństwo jej wdrażała, od siódmego roku życia prowadząc je w pewnych czasach do kaplicy domowej, i uczyła je rozmyślać o Męce Pańskiej, i często je do spowiedzi posyłała. Jakoż doczekała się szczęśliwego skutku tych pobożnych nauk swoich, i w zupełności spełniło się święte jej pragnienie aby dzieci jej bez podziału oddane były Bogu; bo jak sama mi mówiła, na każdy dzień ofiarowała je Panu, błagając Go, by je wyjął z tego świata, którego czczość i marność oddawna dobrze rozumiała i w pogardzie, jak tego jest godzien, go miała. Nieraz przychodzi mi na myśl, co to będzie, gdy te jej dzieci już będą w niebie używały roskoszy wiecznych: jakie wówczas będą dzięki czyniły tej matce, której po Bogu to szczęście swoje zawdzięczają; jakim dusza jej będzie opływała nowym i osobnym nadmiarem szczęśliwości, na widok chwały tych zbawionych przez nią dzieci jej. Lecz przeciwnie, jaki okropny los czeka tych rodziców, którzy nie chcą chować synów swoich jako synów Bożych, — boć więcej oni do Boga należą, niż do nich, — gdy razem z nimi ujrzą się pogrążonych w piekle: jakie tam jedni na drugich przeklęstwa miotać będą, jaka będzie nękała ich rozpacz!

Ale wróćmy do naszej młodej dziedziczki. Spostrzegła niebawem, że nietylko w rozmyślaniu się opuszcza, ale już i do odmawiania różańca pewną czuje odrazę. Mocno ją to przeraziło; czuła, że jeśli dalej pójdzie tą drogą, coraz gorzej będzie z jej duszą; a z drugiej strony jasne miała przeświadczenie, że jeśli wstąpi do tego domu naszego, pewnem przez to uczyni zbawienie swoje. To ją przywiodło do ostatecznego postanowienia. Pewnego dnia z rana, gdy w towarzystwie matki i siostry była u nas, złożyło się tak, że wypadło je wpuścić za kratę; weszły więc wszystkie trzy, ale ani matka ani siostra nie domyślały się, co z tego wyniknie. Kasylda, ledwo przesta-

piwszy próg, oświadczyła, że tu już zostanie, i nie było sposobu skłonić ją do wyjścia. Tak rzewnie płakała, tak gorącemi słowami błagała by ją zostawiono, że i siostry wszystkie zdumione były taką jej usilnością. Matka, choć w duchu uradowana, bojąc się jednak familii, nie byłaby rada takiemu jej od razu pozostaniu, by snąć nie oskarżali jej, że ona córkę namówiła; przełożona również podzielała jej zdanie, znajdując przytem że dziewczeczka jeszcze za młoda, że potrzeba dłuższej próby. Ona wszakże obstawała przy swoim postanowieniu, i w takim stanie rzeczy pozostały aż do wieczora. Posłano tymczasem po jej spowiednika, i po O. Dominika (Bagnez), który, jak na początku wspomniałam, był spowiednikiem moim; ja wówczas nie byłam na miejscu. Ojciec ten poznał od razu, że jest to sprawa Ducha Pańskiego, i jak najmocniej poparł młodą aspirantkę, za co miał twardą walkę do przebycia z familją. Oto wzór, według którego powinienby postępować każdy, kto mieni siebie sługą Bożym, gdy widzi duszę powołaną od Boga, powinien stanąć w jej obronie, nie krępując się tak bardzo względami rostropności ludzkiej. Ojciec Dominik obiecał jej pomoc swoją, aby mogła nazajutrz wrócić do klasztoru. Tym sposobem, ulegając usilnym, jakie jej czyniono przedstawieniom, a głównie z uwagi na to, by matki jej za nią nie obwiniali, na ten raz zgodziła się pójść z nią jeszcze do domu; ale święte jej pragnienia codzien większej siły nabierały. Matka widząc to, uznała potrzebę uprzedzenia krewnych, ale pod sekretem, aby narzeczony nie dowiedział się przed czasem. Krewni uznali to za dzieciństwo: w każdym razie, mówili, panna powinna poczekać, aż dojdzie do lat, nie mając obecnie jeszcze lat dwunastu. Na to ona im odpowiadała: „Kiedy uznaliście, że mam lata dostateczne na to, byście mię wydali za mąż i rzucili w świat, jakimże sposobem teraz znajdujecie mię za młodą, bym mogła oddać się Bogu?“ Wiele innych jeszcze racy przywodziła, tak mądrych i trafnych, że trudno było nie uznać, iż nie sama z siebie wszystko to mówi, ale inszy i większy mówi przez nią. Rzecz nie mogła tak długo pozostać w tajemnicy, by w końcu wiadomość nie doszła narzeczonego. Wtedy już ona, w obawie nowych i większych trudności z je-



go strony, uznała za rzecz konieczną, nie czekać powrotu jego i postanowienie swoje bezzwłocznie wykonać. W święto Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, będąc u babki swojej, która miała zarazem stać się jej świekrą, ale o zamiarze jej nie była uprzedzona, poczęła bardzo ją prosić o pozwolenie przejechania się trochę za miasto, z ochmistrzynią swoją, na co ta, chcąc jej zrobić przyjemność, chętnie się zgodziła i powóz swój na tę przejażdżkę jej dała. Tymczasem Kasylda, dawszy pieniędzy jednemu ze służących, poleciła mu kupić wiązkę łuczywa i czekać z nią przy furcie klasztornej; sama zaś rzekomą przejażdżką tak pokierowała, iż w końcu znalazła się przed bramą naszego domu. Tu kazała stanąć i poleciła służbie pójść poprosić siostry kołowej o szklanekę wody, nie mówiąc dla kogo; po czem, tuż za posłańcem swoim, pośpiesznie wyskoczyła, nie zważając na przedstawienia ochmistrzyni, żeby poczekała, że jej wodę przyniosą do powozu. Łuczywa już były złożone pod furką; kazała zadzwonić, aby kto przyszedł zabrać je, a stanawszy tuż przy furcie, skoro się drzwi uchyliły, wpadła w mgnieniu oka do środka i rzuciła się do stóp figury Matki Boskiej, obejmując je rękoma i ze łzami błagając przełożonej, by jej nie wypędzała. Tymczasem służba pozostawiona na ulicy podniosła wielkie krzyki i dobijała się do furty, aż ona wyszedłszy do nich do kraty, oznajmiła im, iż pod żadnym warunkiem stąd już nie wyjdzie, polecając im zarazem, aby donieśli o tem jej matce. Ochmistrzyni także i drugie niewiasty, które ją były odwiozły, głośno płakały i narzekały, ale ona nic na to nie zważała. Babka, skoro się o tem zajęciu dowiedziała, pośpieszyła na miejsce, ale ani ona, ani stryj, ani narzeczony, w długich, jakie za powrotem miał z nią przy kracie rozmowach, niczego nie dokazali; przedstawienia i nalegania ich sprawiały jej udręczenia, ale tem mocniej ją w jej postanowieniu utwierdzały. Narzeczony, po długich żalach i narzekaniach, przedstawiał jej, że z większym pożytkiem mogłaby służyć Bogu, zostając na świecie i hojne czyniąc jałmużny. Odpowiedziała mu na to, że dawanie jałmużny pozostawia jemu; inne zaś dowodzenia jego zbijała krótko oświadczeniem, że za pierwszy obowiązek sobie poczytuje, starać się o zbawienie swej duszy; że znając słabość

i ułomność swoją, jasno to widzi, że nie zdołałaby się zbawić wśród pokus świata; że wreszcie on nie ma powodu skarżyć się na nią, iż go opuściła, bo opuściła go dla Boga, czego on nie może poczytywać sobie za obrazę i krzywdę. W końcu, widząc, że niczem go przekonać ani uspokoić nie zdoła, wstała i zostawiła go przy kracie samego. Żadnego po tem rozstaniu żalu nie czuła; owszem, po tej ostatniej rozmowie do reszty dawną swą ku niemu skłonność straciła. Tak to, gdy Pan oświeci duszę światłością prawdy swojej, wszelkie pokusy i przeszkody, jakie jej kładzie szatan, tem mocniej tylko ją utwierdzają; bo Pan sam wówczas Boską mocą swoją za nią walczy. Tak walczył i w tej młodej duszy i w niej zwyciężał; bo widoczną było rzeczą, że On przez nią mówi, nie ona sama z siebie. Familia jednak i narzeczony, przekonawszy się, że nie zdołają skłonić jej do wyjścia dobrowolnie, postanowili użyć siły; wystarali się o dekret królewski, upoważniający ich do zabrania jej z klasztoru i nakazujący przełożonym wypuścić ją na wolność. Ona, przez cały czas pozostawania w klasztorze, to jest od dnia Poczęcia aż do dnia Młodzianków, w który ją zabrali, choć nie wkładała habitu, z wielkiem jednak uradowaniem spełniała wszelkie obowiązki zakonne, tak jakby go nosiła. Gdy wreszcie z siłą zbrojną przyszedli ją zabrać, choć zmuszona była uleść przemocy, ale z rzewnemi łzami wymawiała krewnym, że na próżno ją dręczą, bo niczego na niej tym gwałtem nie dokażą. Umieścili ją w domu jednego pana, gdzie codzien musiała słuchać usilnych namów i upomnień od zakonników i różnych innych doradców; jedni całą rzecz poczytywali za dzieciństwo, drudzy chcieli by spokojnie używała dóbr swoich. Długo byłoby opowiadać po szczególe wszystkie dysputy, jakie miała do wytrzymania, i w jaki sposób z każdej wyszła zwycięzko. Wszyscy zdumiewali się nad mądrością odpowiedzi jej. Widząc wreszcie, że tą drogą nie dojdą do celu, oddali ją do czasu matce, na dalszą próbę. Była to w rzeczy samej próba nie lekka: matka, snąc już zmęczona ustawicznym z jej powodu niepokojem i zgiełkiem, w niczem jej nie popierała, raczej okazywała się jej przeciwną. Było to może w celu gruntowniejszego doświadczenia jej; tak przynaj-

mniej ona mi to potem tłómaczyła, a jest to osoba tak świętobliwa, że nie można nie dawać wiary temu co powie. Ale dziewczeczka tego nie rozumiała; przytem i spowiednik, do którego chodziła, w najwyższym stopniu przeciwny był jej powołaniu. Z wyjątkiem więc jednej z panien matki jej, u której znajdowała współczucie i niejaką pociechę, nikogo nie miała na obronę swoją, prócz Boga. Tak w ciężkich strapieniach i udręczeniach żyła aż do skończonych dwunastu lat. Wówczas krewni, widząc że żadną miarą nie zdołają odwieść jej od myśli wstąpienia do zakonu, nosili się z zamiarem oddania jej przynajmniej do klasztoru, w którym zostawała już starsza jej siostra, a w którym reguła nie była tak surową jak w Karmelu. Kasylda, skoro ją doszła wiadomość o tym zamiarze, umyśliła natychmiast jakim bądź sposobem przywieść do skutku postanowienie swoje. Pewnego więc dnia, gdy była z matką i ochmistrzynią swoją w kościele, a matka wysłuchazy Mszy świętej, przystąpiła do konfesyonału dla odbycia spowiedzi, ona uprosiła ochmistrzynię, aby poszła do zakrystyi i u którego z Ojców Mszę świętą dla niej zamówiła; skoro zaś ta odeszła, nie zwlekając ani chwili, zrzuciwszy trzewiki, aby jej w biegu nie zawadzały, i podkasawszy wlokącą się suknię, pobięła co wyskoczyć mogła ku naszemu klasztorowi, do którego stamtąd było daleko. Ochmistrzyni, nie zastawszy jej za powrotem w zakrystyi, puściła się w pogoń za nią, i ujrzawszy ją zdaleka, zawołała na człowieka idącego po przedzie, by przyspieszył kroku i zatrzymał ją; ale ten, jak później się tłómaczył, doznał tejże chwili jakiegoś obezwładnienia w członkach, i tak nie mogąc postąpić naprzód, poniewolnie ją puścił. Tym sposobem dziewczeczka zdążyła pierwsza przybieść do klasztoru, i zamknawszy za sobą drzwi od wejścia, poczęła wołać, by ją wpuszczono za furte; gdy w chwilę potem nadbiegła ochmistrzyni, ona już była za kratą. Dano jej zaraz habit, i tak wreszcie dokonała się święta sprawa, którą Pan był w niej łaską swoją rozpoczął. Niebawem też Boska miłość Jego poczęła jej za wierność, jaką Mu okazała, odpłacać hojnością duchownych darów swoich, a ona z niewypowiedzianą radością służyła Mu w pokorze niezrównanej i zupełnem wyrzuciu się

z wszystkiego. Niech będzie błogosławiony na wieki, iż takie w ubogim habicie szerszycianym upodobanie daje tej, która przedtem w kosztownych i zbyt kownych szatach się kochała; lubo i ta gruba powłoka zakonna nie zdołała zakryć urody jej i wdzięków przyrodzonych, w które Pan hojnie ją uposażył; ale hojniej jeszcze wylał na nią wdzięki duchowne i takimi ją wysokimi zaletami serca i umysłu obdarzył, iż rozmową i samą postawą swoją wszystkich do siebie pociąga i do chwaleń Boskiej łaskawości Jego pobudza. Dałby Bóg, by wiele znalazło się dusz, tak wiernie jak ona odpowiadających powołaniu swemu.

---

## ROZDZIAŁ XII.

O życiu i śmierci Beatryczy od Wcielenia, którą Pan do tego domu naszego powołał: życiu tak cnotliwem i śmierci tak pięknej, iż słusznie należy im się to wspomnienie.

Na kilka lat przed Donna Kasyldą wstąpiła do tego klasztoru naszego daleka krewna jej Donna Beatrycza Onez. Tak wielkie Pan w jej duszy sprawował postępy w cnotach, iż była przedmiotem podziwienia dla wszystkich. Wszystkie siostry, z przełożoną na czele, twierdzą jednozgodnie, że nigdy póki żyła, nie spostrzegły w jej postępowaniu niczego, coby mogło zwać się niedoskonałością; nigdy, w jakiejbyś przeciwności, nie widziały na twarzy jej poruszenia wewnętrznego czy zaszepienia się; zawsze na obliczu jej jaśniała jednaż skromna, pogodna wesołość, jawnie świadcząca o wewnętrznym weselu jej duszy. Kochała się w milczeniu; ale nie było w niem nic ciężkiego dla drugich; przeciwnie, taki mu umiała nadawać wdzięk, że i milcząc wszystkich do siebie pociągała. Nikt od niej nigdy nie usłyszał słowa, w czemkolwiekbyś zasługującego na nagane; nigdy się z nikim nie sprzeczała, nigdy nie uniewinniała siebie, jakkolwiek przełożona nieraz doświadczała jej, upominając ją za winy, których nie popełniła, jak to się praktykuje w naszych klasztorach, dla umartwienia miłości własnej. Nigdy się na nic, ani tembardziej na żadną siostrę nie skarżyła. Ja-

kikolwiek jej naznaczono obowiązek, nigdy przy nim nikomu, słowem, czy wyrazem twarzy, najmniejszej przykrości nie wyrażała. Słowem, we wszystkim tak się zachowywała, iż niepodobna było dostrzedz w niej żadnej niedoskonałości. Na kapitułach nawet, gdzie siostry zelatorki z obowiązku swego wyszukują i zaznaczają jako winę najlżejsze uchybienia, na nią się nigdy żadna kulpa nie znalazła. Wszystko w niej, i wewnątrz i zewnątrz, w doskonałej było harmonii; a źródłem tej harmonii była ciągła jej pamięć na wieczność i na koniec, na który jesteśmy stworzeni od Boga. Chwała Boga była ustawicznie na ustach jej, a w sercu najgorętsza wdzięczność za dobrodziejstwa Jego; słowem, całe życie jej było jedną nieustającą modlitwą.

W rzeczach posłuszeństwa nigdy się nie dopuściła najmniejszego uchybienia, ale każdy dany jej rozkaz najochotniej, najpilniej, z weselem ducha spełniała. Miłość bliźniego była w niej dziwnie gorąca; świadczyła się, że gotowa jest za każdą duszę dać się porąbać na sztuki, aby tylko nie zginęła, i cieszyła się posiadaniem brata swego, — tak Go nazywała, — Jezusa Chrystusa. Cierpienia swoje, — a były one bardzo wielkie, jak opowiem niżej, — mianowicie różne choroby straszliwe i nad wyraz bolesne, z taką ochotną wolą znosiła, i z taką radością, jak gdyby to były najśłodsze uciechy i roskosze. Pewno też Pan roskoszami swemi duszę jej napełniał, inaczej niepodobna by z takim weselem takie męki cierpieć mogła.

Początek tych niemocy jej był następujący. Kilku złoczyńców, skazanych na śmierć za ciężkie zbrodnie swoje, miało być w samemże mieście Waliadolidzie straconych na stosie. Ona, wiedząc snąc z objawienia Bożego, że nieszczęśliwi ci idą na śmierć nie tak przygotowani jak potrzeba, niezmiernie była strapiona grożącą im zgubą wieczną, zaczęła z boleścią najgłębszą zwrócić się sercem do Pana, gorąco i usilnie prosząc Go o zbawienie tych dusz, i w zamian za to, na co one zasłużyły, czy też dla zasłużenia samej na łaskę, o którą dla nich prosiła, — bo w jakich mianowicie słowach prośbę swoją wyraziła i ten ślub swój uczyniła, dokładnie nie pamiętam, — ofiarując się przyjąc na całe życie z ręki Jego wszelkie, jakieby zdołała wytrzy-

mać, cierpienia i boleści. Tejże nocy przyszedł na nią pierwszy paroksyzm febry, i od tej chwili aż do śmierci cierpienia jej trwały bez przerwy. Skazańcy oni ponieśli śmierć w dobrem usposobieniu; snąc Bóg wysłuchał jej za nimi modlitwę, ale i ofiarę jej widocznie przyjął. Bo też za onemi pierwszemi objawami febry, utworzył jej się wrzód we wnętrznościach, połączony z tak dojmującym bólem, iż na zniesienie go z cierpliwością nie było za nadto łask i pociech, któremi Pan duszę jej napełniał. Ponieważ wrzód był wewnątrz ukryty, lekarstwa, jakie jej zadawano, dosięgnąć i uleczyć go nie mogły, dopóki z łaski Pana sam nie pękł i materya wypłynęła, co w części przynajmniej umniejszyło jej męki. Lecz nieugaszonemu jej pragnieniu cierpienia mało było wszystkich tych tak srogich boleści. Raz, w dzień Podwyższenia Krzyża, w czasie kazania o Męce Pańskiej, ta żądza cierpienia z taką w niej potęgą wezbrała, że niezdolna już jej powstrzymać, skryła się do celi swojej, i twarzą padła na łożo, potokiem łez się zalewając; a gdy siostry przestraszone przybiegły, pytając co jej jest, odpowiedziała im: „Ach, siostry, proście za mną Pana, by mi dał więcej krzyżów i boleści, wówczas dopiero będę szczęśliwą“.

Wszystkie swe sprawy wewnętrzne najwierniej odkrywała przełożonej i wielką w tem znajdowała pociechę. Przez cały czas tak ciężkiej i długiej aż do śmierci niemocy swojej, nigdy nikomu nie była ciężką; siostrze infirmarce tak była posłuszną, że bez jej pozwolenia nie przełknęłaby ani kropli wody. Pragnąc cierpienia, gdy ono jest daleko, jest to u dusz oddających się bogomyślności rzecz bardzo zwyczajna; ale cierpieć istotnie, a radować się z tego, jest to udziałem nie wielu. Otóż siostra nasza cierpiała boleści tak nad wyraz gwałtowne, że samaż ich gwałtowność musiała im, i życiu zarazem, rychły koniec położyć; do tego jeszcze utworzył jej się nowy wrzód w gardle, tak iż niczego przełknąć nie mogła; a przecie, gdy siostry przy łożu jej obecne i przełożona chciały ją pocieszać i ducha jej dodawać, ona spokojnie odpowiadała im, że cierpienia te i bole żadnej nie sprawują jej przykrości, że nie pomieniałaby się z żadną z siostr, najlepszem zdrowiem się cie-

szącą. Mając wciąż przed oczyma duszy tego Pana, dla miłości którego cierpiała, najrozmaitszych używała wybiegów, aby ukryć przed wszystkimi srogość męczarni swoich; zaledwo w najgwałtowniejszych paroksyzmach bólu lekkim jakim jękiem się zdradziła. Szczerze była przekonana o sobie, iż nie masz na całym świecie większej nad nią grzesznicy; stąd w całym zachowaniu się swoim niezrównaną okazywała pokorę; wychwalać i podnosić cnoty drugich, największą dla niej było pociechą. W umartwieniu była nieubłaganą dla siebie; wszelkiej przyjemności i ulgi sobie odmawiała, a tak zręcznie umiała to ukrywać, że ktoby nie bardzo pilnie na nią uważał, niczego by nie spostrzegł. Mogło prawie się zdawać, że duchem już nie żyje na tej ziemi i z żadnym już stworzeniem nie ma obcowania, tak była obojętną na wszelkie rzeczy doczesne; wszelkie przygody i odmiany tego życia przyjmowała z jednakowym zawsze spokojem i z jednakową zawsze pogodą na twarzy. Z tego powodu jedna z siostr powiedziała jej kiedyś, że możnaby ją prawie zaliczyć do rzędu tych ludzi ambitnych i tak o zachowanie godności swojej dbających, iż woleliby raczej umrzeć z głodu, niż przyznać się komu do tego, że nędzę cierpią; bo zdawało się wszystkim, że niepodobna jednak by pewnych rzeczy nie czuła, choć zgola tego po sobie nie okazywała.

Wszelkie prace i obowiązki swoje z tak czystą i wysoką spełniała intencją, iż każda czynność jej pełną miała i całkowitą zasługę. Siostrom też, do takiej intencji je pobudzając, nieraz mawiała: „Najmniejsza rzecz nieocenionej nabiera wartości, gdy czynimy ją dla miłości Boga. Tak potrzeba nam, siostry, przyniknąć się tą prawdą, iżbyśmy nigdy ani oka nie zmrużyły, jedno w tej myśli i na ten koniec, oby i to było na chwałę i upodobanie Jego.“ Nigdy się nie wtrącała do żadnej rzeczy, któraby nie była jej zleconą; stąd też ślepa była na błędy cudze, a widziała tylko swoje. Wszelka zaś pochwała jej tak ją bolała, że i sama sądząc o drugich według siebie, nigdy niktogo nie chwaliła w obecności jego, aby mu nie zrobić przykrości.

Ciągle i we wszystkim, jak mówiłam, umartwiając siebie, odmawiała sobie nawet takich najniewinniejszych przyjemności,

jak przechadzki po ogrodzie, albo ucieszenia się widokiem lub wonią pięknego kwiatu, czy jakim bądź wdziękiem stworzonym. Byłoby to, mówiła, niegrzecznością względem Pana, gdybym szukała sobie ulgi w cierpieniach, które On sam mi daje. Nigdy też o nic nie prosiła; cokolwiek jej dano, wszystko to było dla niej dobre. Wszelka pociecha, mówiła, inna niż w Bogu, dla mnie byłaby krzyżem. Jedno jeszcze nadmienię: gdy w ścisłem, jakie z urzędu przeprowadziłam co do życia i cnót jej dochodzeniu, wzywałam wszystkie siostry tego domu, każdą po osobno, aby dały swoje o niej świadectwo, nie było między nimi ani jednej, któraby nie zgadzała się na to jednomyślne wszystkich zeznanie, że w całym postępowaniu jej, tak jak na nie codziennie patrzyły, nigdy nie dostrzegły niczego, coby nie było oznaką duszy wysoko cnotliwej i prawdziwie doskonałej.

Gdy wreszcie przyszedł czas, w którym Pan postanowił zabrać ją z tego świata, cierpienia jej jeszcze się wzmogły; a ona wszystkie te różnego rodzaju, nad wyraz srogie boleści swoje z takim znośnością rozradowaniem ducha, że kto mógł, i jak najczęściej mógł, przybiegał do łoża jej, chwalać Boga i budując się widokiem takiego nadziemskiego w cierpieniu wesela. Między innymi, gorąco pragnął być obecnym przy jej śmierci kapelan i spowiednik tego klasztoru, godny i gorliwy sługa Boży, który znając jej duszę, uważał ją za świętą. Z łaski Boga spełniło się jego życzenie; widząc chorą, już po przyjęciu świętych Olejów, coraz mocniej cierpiącą i coraz bardziej słabnącą, wezwano go do niej, aby w razie, gdyby koniec miał nastąpić w nocy, jeszcze raz ją rozgrzeszył i asystował jej w konaniu. Na krótko przed dziewiątą, gdy siostry wszystkie wraz z kapelanem były przy niej zebrane, na kwadrans może przed skonaniem, boleści wszystkie ustały, a ona z wyrazem nadziemskiego spokoju wzniosła oczy ku niebu, twarz jej, jakby jasnością niebieską opromieniona, zajaśniała od wewnętrznego wesela, i oczy trzymając utkwione w jakies niewidome dla drugich, śnać bardzo radosne widzenie, po dwa kroć się uśmiechnęła. Kapelan i siostry obecne niewypowiedzianej na ten widok doznali pociechy duchownej i wewnętrznego rozradowa-



nia, którego inaczej określić nie umieli, jedno że zdawało im się, że już są w niebie. Z takim weselem na twarzy, z oczyma wzniesionemi do nieba, skończyła, piękna i po śmierci jak anioł. Po takim życiu, wolno nam, wedle tego, czego nas uczy wiara, mieć nadzieję i ufać, że Bóg ją przyjął na odpocznienie, w nagrodę za nienasyconą jej żądzę cierpienia dla miłości Jego.

Kapelan utrzymywał, i wielu osobom to powtarzał, że w chwili spuszczenia ciała do grobu, uczuł dobywającą się z niego woń przenikliwą a dziwnie słodką. Siostra zakrystyanka z swojej strony zapewniała, że światła zapalonego na jej pogrzebie, nie zgoła się nie upaliło. Wszystko jest możebne u Boga i wielkie jest miłosierdzie Jego. Jeden z Ojców Towarzystwa Jezusowego, który przez wiele lat był spowiednikiem zmarłej i miał kierunek nad duszą jej, gdy kiedyś przy sposobności mówiłam z nim o tych dziwnych objawach, oświadczył mi, że nic w nich nie widzi nieprawdopodobnego, i zgoła im się nie dziwi, wiedząc w jaki nadzwyczajny sposób Pan się tej duszy wybranej udzielał. Daj Boże, córki moje, byśmy umiały okazać się godnemi tak dobrego towarzystwa, w jakim Pan nas raczył umieścić, dając nam w tych domach naszych żyć pospołu z takimi duszami świętymi, jak ta, o której tu mówiłam, i wiele innych, o których może jeszcze, co opowiem, aby każda z nas, zwłaszcza jeśli się która opuściła nieco w pierwszej swej gorliwości, brała sobie stąd pobudkę do usilnego naśladowania tak wysokich przykładów, i abyśmy wszystkie wysławiały Pana, który tak wspaniale raczy objawiać wielmożność swoją w takich, jak my, słabych niewiastach.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

W jaki sposób i za czyją sprawą powstał pierwszy, według reguły pierwotnej, klasztor Karmelitów Bosych, roku 1568.

Jeszcze przed wyjazdem moim na fundację w Waliadolidzie, byłam się ułożyła, jak o tem była mowa wyżej, z Ojcem

Antonim od Jezusa <sup>1)</sup>), naonczas przeorem klasztoru karmeliciego świętej Anny w Medina, i z Ojcem Janem od Krzyża, że w razie założenia klasztoru reguły pierwotnej karmelitów Bosych, oni dwaj pierwsi wstąpią do niego. Nie mogąc dostać zrazu domu odpowiedniego dla zamierzonej fundacyi, nieustannie polecałam tę sprawę Panu; bo co do tych dwu Ojców, z zupełną ufnością na nich polegałam. Ojca Antoniego, przez cały ten rok od mojej z nim umowy, Pan sam mocno był wypróbował, zsyłając nań wszelkiego rodzaju utrapienia, które on zniósł z doskonałym poddaniem się i cierpliwością; co zaś do O. Jana od Krzyża, nie było już potrzeba osobnej próby, bo chociaż liczył się do karmelitów sukiennych <sup>2)</sup> i trzewiczkowych, żył przecie od początku w wysokiej doskonałości i surowości zakonnej.

Zapewniwszy mi już rzecz główną, to jest zakonników, gotowych dać początek, Pan raczył łaskawie ułatwić i resztę. Jeden pan z Awili, imieniem Don Rafał <sup>3)</sup>, z którym nigdy przedtem nie miałam żadnej styczności, dowiedziawszy się, nie pamiętam już i nie wiem jak, o zamiarze naszym założenia klasztoru Ojców Bosych, zgłosił się do mnie, ofiarując się z gotowością ustąpienia mi domu, należącego doń w nędznej wioszczynie, liczącej zaledwo dwudziestu mieszkańców; dom ten, o ile pamiętam, służył za mieszkanie komornikowi, którego tam trzymał dla ściągania czynszów, przypadających mu z posiadłości jego. Choć domyślałam się z góry, jaki to może być dom, z głębi serca jednak podziękowałam Panu i z szczerą wdzięcznością ofiarę przyjąłam. Objaśnił mię ten pan, że dom ten leży przy trakcie do Medina del Campo, że jadąc tamtędy na fundacyę w Waliadolidzie, będę go miała po drodze, zaczem łatwo mi będzie wstąpić i obaczyć go. Obiecałam mu, że zastosuję się do wskazówek jego, i tak też uczyniłam. Wyje-

<sup>1)</sup> Ob Dodatek IV.

<sup>2)</sup> „Sukiennymi“ — *los del pano*, — nazywano w Hiszpanii karmelitów reguły złagodzonej, dla tego, że habit i płaszcz nosili z sukna, nie szarszany lub pilściowy, jak karmelici Bosi.

<sup>3)</sup> Don Raphael de Mexia.

chałam z Awili w czorwcu, w towarzystwie jednej siostry, i O. Juliana z Awili, kapelana domu św. Józefa, który, jak powiedziałam wyżej, towarzyszył mi we wszystkich tych jazdach moich. Wyruszyliśmy wcześniej z rana, ale nie znając drogi, zabłądziliśmy, i nie było kogo zapytać o drogę, bo mizerna ta wioszczyna mało komu była wiadomą. Cały dzień więc błądziliśmy z niemałym utrudnieniem, bo słońce silnie dogrzewało; gdy sądziliśmy, że już nie daleko, pokazało się, że jeszcze drugie tyle pozostaje nam drogi do przebycia. Umęczenie i przykrości, jakich doznailiśmy w tej drodze, dobrze mi utkwily w pamięci. Zapadała już noc, gdyśmy wreszcie stanęli na miejscu. Ale gdyśmy ujrzeli on dom, nie stało nam odwagi zostać w nim na noc, taki był pełny nieczystości i brudu, a przytem natłoczony mnóstwem chłopstwa sprowadzonego na żniwa. Przedsiónek dość przyzwoity, spora izba z przylegającym do niej lamusem, i kuchenka: taki to był gmach, przeznaczony dla nas na klasztor. Obmyśliłam zatem taki rozkład: z przedsiönka będzie kościół, lamus posłuży za chór, bo się do tego najlepiej nadawał, a izba za dormitarz. Na to okrzyczała się towarzyszka moja; choć lepsza odemnie i do wszelkiego umartwienia bardzo ochotna, nie mogła jednak znieść tej myśli, bym w takiej chałupie zakładała klasztor: „Matko, wołała, nie masz duszy tak gorliwej i tak wysoko duchowej, któraby w podobnem pomieszczeniu wytrzymała; proszę na wszystko, porzuć tę myśl.“ Ojciec towarzysz nasz, choć także podzielał zrazu jej zdanie, wszakże, gdym mu wytłómaczyła powody moje, już się nie sprzeciwiał. Poszliśmy zatem do kościoła na noc, bo przy niezmiernem, jakie czuliśmy strudzeniu, nie bardzo bylibyśmy radzi spędzić ją bezsennie.

Przybywszy do Medina, rozmówiłam się zaraz z O. Antonim; opowiedziałam mu, jak rzeczy stoją; powiedziała mu, że jeśli jedno zdobędzie się na odwagę zamieszkania do czasu w takim pomieszczeniu, może być pewnym tego, że Bóg rychło przyjdzie nam w pomoc; że wszystko pójdzie dobrze, byle tylko zacząć. Nie bez zasady takie mu dawałam stanowcze zapewnienie; bo wówczas już, rzec mogę, tak jasno miałam przed oczyma to, co Pan później uczynił, i tak byłam pe-

wna tych rzeczy, jak dzisiaj pewną ich jestem, gdy je widzę spełnione; owszem i dużo więcej się spełniło, niż to, co wówczas przewidywałam, gdyż w chwili kiedy to piszę, mamy już z łaski Boga dziesięć klasztorów karmelitów Bosych. Przedstawiłam mu jeszcze, że ani przeszły prowincyał ani obecny, — których zgodzenie się, jak mówiłam, było nieodzownym do fundacyi naszej warunkiem, — nie daliby nam potrzebnego upoważnienia, gdyby widzieli, że zakładamy sobie dom duży i neleżycie urządzony, przypuściwszy nawet by nabycie onego było w możności naszej; gdy przeciwnie pozwolenie na umieszczenie się nasze w tej wiosce i w takiej ruderze, wyda im się rzeczą nic nie znaczącą. Okazało się, że O. Antoni miał od Boga większą odwagę niż ja; oświadczył mi, że gotów jest zamieszkać, nie tylko w tej nędznej chacie, ale choćby i w chlewie. Podobną gotowość okazywał i O. Jan od Krzyża. Pozostawało nam zatem jeszcze uzyskać pozwolenie od wspomnianych wyżej dwóch Ojców prowincyałów, bo nie inaczej jedno pod warunkiem ich zgodzenia się. Ojciec General był nam wydał upoważnienie. Zupełną miałam ufność w Panu, że otrzymamy ich pozwolenie, i w tej nadziei uprosiłam O. Antoniego, aby postarał się wedle możności swojej o zebranie nieco jałmużny na jakiegokolwiek oporządzenie onego domu; sama zaś, z O. Janem od Krzyża, udałam się do Waliadolidu, na opisaną wyżej fundację. Tam, ponieważ przez kilka dni miałyśmy w domu robotników, sprowadzonych dla przerobienia go na klasztor, skutkiem czego i nie mogłyśmy przestrzegać klauzury, skorzystałam zatem z tej sposobności zajęcia się O. Janem, dla objaśnienia mu całego naszego sposobu życia, aby dobrze poznał wszystkie szczegóły, mianowicie umartwienia u nas używane i ducha bratniej miłości, jaka nas wszystkie między sobą łączy, i sposób rekreacyi naszych, z taką miarą obmyślanych, iż służą nam tylko do zobopólnego poznania wad i ułomności naszych i do chwilowego odetchnienia, abyśmy niem pokrzepione łatwiej mogły zachowywać i znosić całą surowość reguły. On był tak wyćwiczony we wszelkiej cnocie, że daleko więcej ja mogłam się nauczyć od niego, niż on ode-

mnie; ale wówczas nie o tem myślałam, mając jedynie na celu poznanie go z życiem i charakterem sióstr naszych.

Łaskawem zrządzeniem Bożem tak się złożyło, że właśnie w tymże czasie przebywał w Waliadolidzie O. Alonso Gonzalez, prowincyał naszego zakonu, od którego zależało potrzebne nam pozwolenie. Był to dobry sobie starzec, bez złości i bez złośliwego do nas uprzedzenia. Ponieważ jednak jeszcze się wahał, tyle mu przekonywających przedstawiłam racyi, ostrzegając go zwłaszcza, jak ciężki miałby do zdania Bogu rachunek, gdyby stawał na przeszkodzie tak dobrej sprawie, o której poparcie go proszę, że znacznie się udobruchał; pewno też Pan, jako było wolą Jego by rzecz się stała, wewnątrznie go skłaniał do żądanego ustępstwa. Wreszcie Donna Maria de Mendoza i brat jej, biskup Awilański, który zawsze był pomocnikiem naszym i obrońcą, dobili z nim targu, jak również i z O. Aniołem Salazar, poprzednim prowincyałem, z którego strony głównie obawiałam się trudności. Ale zdarzyło się, że wówczas właśnie w pewnej potrzebie swojej, zmuszony był szukać pomocy i poparcia u Donny Maryi Mendoza, i to, jak sądzę, głównie go skłoniło do okazania się nam przychylnym. Ale i w braku takiej zewnętrznej pobudki, Pan byłby niezawodnie poruszył i skłonił ku nam serce jego, jak to przedtem był uczynił z O. Generałem, który zrazu tak był zamiarowi naszemu przeciwnym. O Boże wielki, ileż to w ciągu tych fundacyi napotkałam podobnych, niepokonanych zdawało się trudności, a Pan przecie w Boskiej łaskawości swojej tak je dziwnie łatwo uchylił! I jakie to dla mnie zawstydzienie, że choć na takie cuda własnymi oczyma patrzyłam, nie stałam się przecie lepszą niż jestem. Dziś jeszcze, gdy to piszę, na wspomnienie tych dziwów zdumienie mię ogarnia. Najmocniej też tego pragnę, by wszyscy z łaski Boga uznali to i zrozumieli, że wszystka w dokonaniu tych fundacyi praca i przyczynienie się stworzeń jest jakby niczem; wszystko to Pan sam w Boskiej wielmożności swojej zrządził, i z tak niskich i małych początków tak wielkie rzeczy wyprowadził, jakie tylko wszechmogąca potęga Jego sprawić mogła. Niech Mu będzie chwała i dziękczynienie na wieki.

---

## ROZDZIAŁ XIV.

Dalszy ciąg o założeniu pierwszego domu Karmelitów Bosych. Jakie życie w nim wiedli pierwsi dwaj Ojcowie i jaki pożytek począł Pan przez nich sprawić wśród ludności okolicznej na cześć i chwałę swoją.

Mając tedy już zgodzenie się obu prowincyałów, mieliśmy, zdaniem mojem, wszystko czego nam było potrzeba, i nie widziałam czegoby nam jeszcze mogło brakować. Stanęło więc na tem, że O. Jan od Krzyża pojedzie do domu dla nich przeznaczonemu i postara się oporządzić do tyła, by czem prędzej mogli się do niego wprowadzić; bo w wielkiej byłam obawie, by nam nie weszła jeszcze w drogę nowa jaka przeszkoda i dla tego wszystka myśl moja była w tem, by nie zwlekając zrobił się początek. Tak więc O. Jan odjechał <sup>1)</sup>, a O. Antoni tymczasem kwestował i już był nieco rzeczy potrzebnych uzbierał; pomagałyśmy mu w czem mogłyśmy, choć pomoc to była niewielka. Gdy z Medyny przyjechał do Waliadolidu dla widzenia się ze mną, chwalił mi się z wielkiem zadowoleniem bogatą kwestą swoją, tylko że w istocie było tego bardzo mało; w klepsydry tylko był suto zaopatrzony; nabierał ich aż pięć, z czego się szczerze uśmiełam; ale on mi dowodził, że tego potrzeba koniecznie, dla przestrzegania porządku godzin w klasztorze, że nie chce chodzić na oślep, nie wiedząc która godzina; ale przy całym tem bogactwie, nie miał podobno nawet na czem się położyć i czem się nakryć. Urządzenie domu, mimo

---

<sup>1)</sup> Miejscowość, w której znajdowała się ona nędzna chata, ofiarowana św. Teresie, miała nazwę Durvelo. Tu powstał pierwszy klasztor Karmelitów Bosych i św. Jan od Krzyża był pierwszym jego zakonnikiem. Wyjechał z Waliadolidu 30 września 1568 r. Święta dała mu do pomocy jednego z robotników, którzy urządzali nowy jej dom w tem mieście. Dała mu także pierwszy habit, własną jej ręką skrajany i uszyty. Była to siermięga z najgrubszej szarszy, nie dochodząca do kostek; na niej szkaplerz, krótszy od habitu; na wierzch płaszcz biały, nie fałdowany, ciasno przylegający, pod habitem tunika zgrzebna. O. Jan od Krzyża pierwsze dwa miesiące, do przyjazdu O. Antoniego, przebywał sam jeden w Durvelo.

najlepszej woli obu Ojców, opóźniło się nieco, dla braku pieniędzy. Gdy wreszcie wszystko było gotowe, O. Antoni złożył przeorstwo swoje i uczynił professę reguły pierwotnej; radzono mu, by się nie spieszył i pierwiej rzecz wypróbował, ale on o czekaniu ani słyszeć nie chciał i z największą w świecie uciechą podążył do chatki swojej, gdzie go już czekał O. Jan od Krzyża <sup>1)</sup>).

Opowiadał mi potem O. Antoni, że gdy przybył na miejsce, na widok tej lichej wioszczyny, serce mu wezbrało niewypowiedzianem weselem; miał to uczucie, że świat już dla niego nie istnieje, od chwili jak opuściwszy wszystko, zamknął się w tej samotności. Niewygód nędznego pomieszczenia swego oba zgoła nie czuli, raczej wydawało się im ono jakby rajem rokoszy. O Boże wielki! jakże mało gmachy okazałe i wygodny zewnętrzne pomagają do wewnętrznego zadowolenia duszy! Na miłość Pana proszę was, siostry i was ojcowie moi, patrzcie, byście nigdy nie zaniechali jaknajwiększej skromności i powściągliwości w zakładaniu domów, aby nie były duże i kosztowne. Miejmy zawsze przed oczyma przykład prawdziwych fundatorów naszych, onych ojców świętych, których jesteśmy potomstwem, wszak wiemy, że nie inną drogą, jedno tą drogą ubóstwa i pokory doszli oni do tej szczęśliwości, w której dzisiaj się cieszą posiadaniem Boga.

Doprawdy, widziałam to na oczy i z doświadczenia o tem się przekonałam, że więcej bywa gorącości ducha, a nawet i wewnętrznego wesela, gdy ciału ciasno i niewygodnie, niż gdy ono przestronie ma pomieszczenie i wczasów używa. Na cóż nam się zda dom choćby najobszerniejszy, kiedy na stałe przebywanie zawsze mamy tylko jedną celkę? i że celka ta będzie szeroka i dobrze urządzona, cóż nam z tego przyjdzie? wszak nie po to w niej mieszkamy, abyśmy na ściany jej patrzali. Wszak nie mamy w niej mieszkać wiecznie, ale tylko

---

<sup>1)</sup> O. Antoni de Heredia, przywdziewając habit reformy, przybrał sobie imię Antoni od Jezusa. Stanął w Durvelo 27 listopada 1568 r. Nazajutrz, w pierwszą niedzielę Adwentu, była pierwsza Msza św. w nowym klasztorze i dzień ten w aktach domu zaznaczony jest jako właściwa data fundacyi.

tyle w niej będzie naszego mieszkania, ile będzie czasu tego krótkiego życia. A jakże nam słodką będzie ciasność jej, gdy wspomnimy, że im mniej użyjemy przyjemności na tej ziemi, tem większą będziemy się cieszyli szczęśliwością w onej wieczności, gdzie zgotowane nam są mieszkania wedle miary miłości, z jaką tu wstępujemy w tropy i naśladujemy życia najśłodsze go naszego Pana Jezusa. Jeśli, jak mówimy, te początki nasze mają być wznowieniem pierwszej reguły i ducha zakonu Najświętszej Matki Jego, nie czyniż Jej, i onym dawnym ojcom naszym, tej krzywdy, byśmy nie mieli starać się o jaknajbliższe z nimi podobieństwo; i choć nieudolność nasza nie zdoła im sprostać we wszystkim, toć przynajmniej w używaniu rzeczy obojętnych i do utrzymania życia nie koniecznych, umiemy zachowywać ścisłą miarę i powściągliwość. Jeśli jest w tem nieco trudu, samże trud ten staje się słodkim, jak tego świeży przykład mamy na tych dwóch Ojcach; początek tylko nieco ma trudności; skoro nań mężnie się odważymy, tem samem już trudność zwyciężona i dalej wszystko staje się łatwem.

W pierwszą, — czy może w drugą, nie pamiętam dobrze, — niedzielę Adwentu tegoż roku 1568, odbyła się pierwsza Msza w tym nędznym przedsionku, nie ozdobniejszym pewno od stajenki Betlehemskiej. W poście następnego roku, w przejeździe do Toletu na fundacyę, wstąpiłam tam. Było to z rana; zastałam O. Antoniego, z tym samym zawsze, jaki go nigdy nie opuszcza, wyrazem wesela na twarzy, zamiatającego przed kościołem. „A to co?“ zawołałam; „a gdzież, ojcze, honor twój?“ Na to on, uśmiechając się od wewnętrznego uszczęśliwienia, odpowiedział mi: „Przeklęty niech będzie ten czas, kiedy dbałem o honor.“ Wszedłszy do kościoła, zdumiałam się, widząc wszędzie oznaki gorącości ducha, jaką Pan był ten nowy dom napełnił: wszędy na ścianach, same tylko krzyże albo trupie głowy. I nie ja jedna odniosłam to wrażenie; dwaj kupcy z Medyny, znajomi moi, którzy mi towarzyszyli w tej drodze, tak byli tym widokiem wzruszeni, że wciąż tylko rzewnymi łzami płakali.



Pamiętam zwłaszcza, i póki żyję, pamiętać będę mały krzyż drewniany przy kropielnicy, z naklejonym na nim, malowanym na papierze wyobrażeniem Chrystusa Pana; papierowy ten obrazek głębiej, sądzę, do pobożności pobudzał, niż gdyby był najmisterniej z kosztownego materiału urobiony. Chór, w lamusie urządzony, w połowie dość był wysoki, aby Ojcowie mogli w nim odmawiać godziny kanoniczne albo słuchać Mszy świętej; ale wejście tak było niskie, że aby dostać się do środka, mocno musieli się schylać. W dwóch rogach kościółka mieli dwie maleńkie pustelnie, w których inaczej zmieścić się nie mogli, jedno leżący albo siedzący, a i tak jeszcze głową dotykali dachu; dla ogrzania się napełniali je sianem, bo chłód tam był wielki; w każdej było okienko, z widokiem na ołtarz i kamień, służący za wezglowie, a nad nim krzyże i trupie głowy. Dowiedziałam się, że po Jutrzni nie wychodzili wcale na odpoczynek, ale pozostawali tam aż do Prymy, tak głęboko pogrążeni w modlitwie, że nieraz wychodząc stamtąd na Prymę, mieli habity całkiem pokryte śniegiem, a nie czuli tego. Hory odmawiali wspólnie z innym Ojcem karmelita, z Trzewickowych, który był się do nich przyłączył, choć będąc mocno schorzałym, habitu nie zmienił; czwarty był z nimi młody braciszek, jeszcze nie wyswięcony, który także był przy nich zamieszkał.

Chodzili po wioskach okolicznych, ogłaszając słowo Boże ludności miejscowej, zupełnie nieoświeconej. Był to jeden z powodów, dla których rada byłam założeniu domu naszego w tem miejscu; widziałam bowiem, że nigdzie tam w całej okolicy nie było klasztoru, ani nikogo, ktoby ten ciemny lud mógł nauczać, i bardzo nad tem bolałam. Ojcowie nasi w tak krótkim czasie powszechnie byli sobie zjednali poważanie i zaufanie ludu, co, gdy się o tem dowiedziałam, niewypowiedzianą mię napełniło pociechą. Chodzili tak przepowiadając i nauczając, na odległość półtorej mili albo i dwu mil, po głębokich śniegach i lodowych wertepach i to zupełnie boso, bo później dopiero kazano im nosić sandały. Całe dni tak spędzali na nauczaniu i słuchaniu spowiedzi i późnym dopiero wieczorem wracali do domu na posiłek, ale takim wśród tych

prac opływali weselem wewnętrznem, że ani strudzenia ani głodu nie czuli. Na pożywieniu im nie zbywało, bo ze wsi okolicznych znoszono im więcej niż potrzebowali. Przyjeżdżali także do nich do spowiedzi niektórzy panowie z miejscowości sąsiednich; niebawem poczęli im ofiarować u siebie lepsze domy i pomieszczenie. Między nimi był jeden, Don Ludwik de Toledo, pan na Cinco-villas (Pięciomiastach). Pan ten był wybudował kościół, na umieszczenie w nim obrazu Matki Boskiej, w szczególny sposób zasługującego na to, aby mu była oddawana cześć publiczną. Ojciec jego był go posłał z Flandryi matce jego czy babce, nie pamiętam, przez jakiego kupca, ale ten tak się do tego obrazu przywiązał, że przez wiele lat zatrzymał go u siebie, i dopiero w godzinę śmierci dał znać tym, dla których dar ten drogi był przeznaczony, aby go do siebie zabrali. Jest to duży obraz, a tak piękny, że w życiu mojem nie widziałam piękniejszego; i wielu innych to zdanie moje podziela. O. Antoni od Jezusa, gdy na zaproszenie tego pana przyjechał do niego i obraz ten ujrzał, tak się w nim, i słusznie, rozmiłował, że od razu zgodził się na przeniesienie tam klasztoru. Miejsce to nazywa się Mancera. Jedną ono miało niedogodność, mianowicie, że nie było tam studni i zdawało się nawet że niepodobna będzie dokopać się wody; mimo to jednak, gdy oba ojcowie na to przeniesienie się zgadzali, pan ten zbudował im klasztor, nie wielki, jak tego wymagała ich professya i kościół w potrzebne sprzęty zaopatrzył, a wszystko to uczynił dobrze i hojnie, po pańsku i po chrześcijańsku <sup>1)</sup>.

Nie mogę tu pominąć milczeniem, w jaki sposób, zdaniem wszystkich, cudowny, Pan raczył i wody im dostarczyć. Pewnego dnia, po wieczery, O. Antoni, który był przeorem, przechadzając się z braćmi w dziedzińcu klasztornym, i rozmawiając z nimi o tym dotkliwym braku wody, nagle się zatrzymał i laską którą miał w ręku, zrobił na ziemi, zdaje mi

---

<sup>1)</sup> Don Ludwik de Toledo, za chrześcijańską szczodrobliwosć swoją, najpożądańszą otrzymał od Boga w dzieciach swoich nagrodę: starszy syn jego i córka wstąpili do odnowionego Karmelu i święcie w nim życia dokonali.

się, znak krzyża świętego, choć tego dobrze nie pamiętam; ale w każdym razie jakiś znak zrobił łaską w miejscu upatrzonym i rzekł: „Tu kopcie.“ I oto, ledwo nieco ziemię poruszyli, woda doskonała do picia w takiej obfitości wytrysła, że nawet gdy potrzeba czasem oczyścić ocembrowanie, trudno ją zatamować; do wszystkiej przy budowie roboty mularskiej ta woda służyła, wszystkie potrzeby klasztoru nią się zaopatrują, a nigdy, jak mówiłam, nie wysycha. Później bracia ogrodzili sobie miejsce na ogród, i szukali w niem wody, i dużo się napracowali, założyli nawet koło do ciągnięcia wody, ale z tem wszystkim, dotąd przynajmniej, ani kropli nie znaleźli.

Co do mnie, widząc tę chatkę, niedawno temu jeszcze niepodobną do zamieszkania, teraz tak pełną ducha Bożego, że na każdym kroku i w każdym jej zakątku coraz nowe znajdowałam dla siebie zbudowanie; słysząc o sposobie życia Ojców naszych, i o umartwieniach ich, i nieustannej modlitwie i o dobrym, jaki dawali z siebie przykładzie; gdy zwłaszcza jedni państwo, moi znajomi, mieszkający w sąsiedztwie, przyjechawszy do mnie, poczęli mówić mi o nich, słów nie znajdując na godne wychwalenie ich świętości, i niezmiernego, jaki wśród tego ludu sprawują, pożytku: z głębi duszy, z niewypowiedzianą radością wewnętrzną dzięki czyniłam Panu, iż z łaski Jego dano mi jest oglądać już pierwsze owoce rozpoczętej sprawy, wielki, jak godzi się mniemać, pożytek naszemu zakonowi i wzrost chwały Bożej wróżące. Niech Boska dobroć Jego raczy to sprawić, by rzeczy dalej tak szły, jak dotąd idą: w zupełności wówczas ziści się nadzieja moja. Oni dwaj kupcy, którzy mi, jak mówiłam, towarzyszyli, mówili mi potem, że za żadną cenę nie oddaliby tej pociechy, jaką im przyniósł chwilowy ten pobyt w klasztoru naszym. O dziwna potęga cnoty! Milszym niż wszystkie ich bogactwa, wydał im się widok tego ubóstwa, i duszę ich uspokoił i pocieszył.

Gdyż potem rozmawiała z Ojcami o naszych interesach i sprawach zakonnych, taka będąc, jaką jestem, słaba i niecnotliwa, poczęłam nalegać na nich, by zwolnili nieco srogości pokut swoich, bo w surowościach i umartwieniach przebierali, zdawało mi się, miarę. Po tylu gorących, jakie mię to ko-

sztowało, pragnieniach i modlitwach, znalazłszy wreszcie z łaski Pana z kim sprawę rozpocząć, i takie widząc szczęśliwe jej początki, bałam się by dyabeł w samejże surowości Ojców nie znalazł sposobu zaszkodzenia nam i nie doprowadził ich do zamorzenia się przed czasem, nimby się spełniły nadzieje, jakie w nich pokładałam. Było z mojej strony dowód niedoskonałości i małej wiary; nie pamiętałam na to, że sprawa przez nas podjęta jest sprawą Bożą i że Boska moc Jego potrafi ją zachować i wzrost jej zapewnić. Oni jednak, pełni tych cnót, na których mnie zbywa, mało zwracali uwagi na przedstawienia i prośby moje i w niczem nie zmienili świętobliwego trybu życia swego. Tak rozstałam się z nimi, z sercem pełnem najśodszej pociechy, chociaż nie umiałam tyle chwalić Boga i dziękować Mu, ile należało za takie wielkie miłosierdzie Jego. Oby mi w Boskiej łaskawości swojej raczył uczynić godną wywdzięczenia Mu się w czemkolwiek za nieogarnione mnóstwo dobrodziejstw Jego, amen. Szczęśliwe powstanie tego klasztoru Ojców, było, rozumiałam to dobrze, łaską bez porównania większą, niż wszystkie fundacye domów żeńskich, których mi Pan dał dokonać.

---

## ROZDZIAŁ XV.

O fundacyi domu chwalebneho św. Józefa w mieście Toledzie,  
roku 1568.

Mieszkał w mieście Toledzie pewien kupiec, mąż zacny i pobożny. Żył w dobrowolnem bezżeństwie, przykładnie bardzo i cnotliwie. Niepospolitą odznaczał się szczerością i prawością charakteru. Uczciwym handlem pomnażał wciąż swój majątek, z tym zamiarem, że zapisze go cały na jaką fundacyę, z której byłaby jaknajwiększa chwała Bogu. Nazywał się Marcin Ramirez. Gdy ciężko zaniemógł i już był bliskim śmierci, O. Paweł Hernandez, z Towarzystwa Jezusowego, u którego przedtem się spowiadałam, gdy bawiłam w Toledzie,

układając się o fundacyę Malagońską, a który bardzo pragnął osiedlenia się siostr naszych w tem mieście, udał się do chorego i przedstawił mu, jak wielka będzie chwała Panu z założenia takiego klasztoru, i jako zapisując na ten cel majątek swój, osiągnie w zupełności wszystek pożytek, jaki sobie obiecywał z ustanowienia kaplic, i kapelanów, i pewnych uroczystości dorocznych, które przy miejscowej parafii z mienia swego ufundować zamierzał. Chory miał się już tak źle, że widząc, iż na ułożenie tej sprawy czasu mu nie starczy, przekazał ją całą na ręce brata swego, Alfonsa Alvarez Ramirez, i zaraz potem umarł. Nie mógł poruczyć ostatniej woli swojej w pewniejszą ręce: Alfons Alvarez był to człowiek w wysokim stopniu roztropny, i bogobojny, i dobroczynny, i ze wszechmiar godny zaufania; mogę to najprawdziwiej o nim poświadczyć, bo wiele z nim miałam do czynienia, i mówię, co widziałam.

W chwili zejścia Marcina Ramirez, ja jeszcze bawiłam w Waliadolidzie, zajęta tameczną fundacyą. Oba więc, i O. Paweł Hernandez i Alfons Alvarez, napisali do mnie, donosząc mi o tym wypadku i domagając się spiesznego przyjazdu mego, jeśli mam zamiar przyjąć tę fundacyę; pojechałam zatem prawie natychmiast po urządzeniu domu w Waliadolidzie<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Wezwanie do Toletu otrzymała św. Teresa w początku grudnia 1568 r.; ale będąc bardzo zajęta urządzeniem domu w Waliadolidzie, a przytem chorą na febrę, nie mogła przybyć do Toletu tak prędko jak tego żądano, i z tego powodu posłała na imię O. Pawła Hernandez i rektora kolegium Jezuitów plenipotentę do traktowania w jej imieniu z Alfonssem Ramirez. W ślad za tym dokumentem, datowanym 7 grudnia, Święta 13 tegoż miesiąca napisała do Donny Ludwiki de la Cerda, z prośbą o wyjednanie jej potrzebnych upoważnień. Nakoniec, w liście do Alfonsa Ramirez, pisany 19 lutego 1569 r., na dwa dni przed wyjazdem z Waliolidu, przeprasza za opóźnione przybycie swoje, przy czem między innymi wyraża żal swój, że O. Pawła Hernandez już w Toledzie nie zastanie. Tem się tłumaczy zupełne milczenie, jakie w dalszym ciągu opisu swego zachowuje o tym Ojcu, dla którego całe życie zachowała najgłębszą cześć i wdzięczność. W r. 1578, w chwili gdy młodemu zakonowi groziła zupełna zagłada, napisała do niego do Madrytu, błagając go, by ją i zakon wziął w swoją obronę. List ten (T. III. n. 7) jest jednym z najpiękniejszych i najrzewniejszych, jakie wyszły z pod pióra św. Teresy. (Ob. *Bolland.—Acta S. Teresia*, p. 112).

Przybyłam do Toletu w wilię Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi, i zajęchałam do pałacu Donny Ludwiki (de la Cerda), fundatorki naszej w Malagonie, u której już przedtem w różnych czasach stawałam. Zostałam przyjęta z wielką radością, bo pani ta szczególną ma dla mnie miłość. Miałam z sobą dwie towarzyszkę, obie z klasztoru św. Józefa Awilańskiego, gorliwe bardzo służebnice Boże. Umieszczono nas, jak zwykle, w osobnym pokoju, gdzie byliśmy zupełnie samotne, jakby w klasztorze. Niebawem wszczęłam rokowania z Alfonsem Alvarez, co do zamierzonej fundacyi; brał w nich udział i zięć jego, Diego Ortiz, dobry Teolog, ale więcej w zdaniu swoim uparty niż teść, i nie łatwo było trafić z nim do ładu. Stawiali mi z początku różne warunki, na które nie uważałam by mi wypadło się zgodzić. W ciągu tych pertraktacyi, szukali jakiego domu do najęcia, który byśmy mogły zająć, ale mimo wszelkiego szukania, nie mogli znaleźć nic odpowiedniego. Z drugiej strony wielką miałam trudność w uzyskaniu potrzebnego upoważnienia od naczelnika miasta, przewodniczącego w Radzie administracyjnej <sup>1)</sup>, na miejscu arcybiskupa, którego wówczas nie było <sup>2)</sup>, jakkolwiek usilne za nami czyniła u niego starania ona pani, u której stałam, jak również i jeden możny pan, Don Piotr Manrique, syn gubernatora Kastylji i kanonik Toletański. Był to, — czyli raczej jest, bo jeszcze żyje, — mąż bardzo pobożny; w rok po założeniu tego domu naszego, nie zważając na słabe zdrowie swoje, wstąpił do Towarzystwa

---

<sup>1)</sup> *Consejo dela Gubernacion*. Rada ta, mimo swego charakteru świeckiego, zostawała pod przewodnictwem Arcybiskupa Toletańskiego, jako Prymasa i księcia feudalnego. Później instytucya ta zamieniła się w trybunał duchowny do spraw administracyjnych i spornych.

<sup>2)</sup> Arcybiskupem Toletańskim w r. 1569 był głośny dominikanin Bartłomiej Carranza; ale skutkiem zatargu, jaki miał z Inkwizycyą, już od roku 1557 trzymany był w więzieniu świętego Officium w Waliadolidzie. Wypuszczony w końcu na wolność, udał się do Rzymu, gdzie i zmarł w r. 1576. Lubo więc w r. 1569 stolica Toletańska nie wakowała, była przeciw *sedes impedita*, skutkiem uwięzienia prawego pasterza. Słusznie zatem i zgodnie z prawdą, mówi Święta, że nie było wówczas arcybiskupa, bo był jakby go nie było.

Jezusowego, którego dotąd jest członkiem <sup>1)</sup>). Jednakże i on, pomimo wielkiego znaczenia, jakiego dla niepospolitego rozumu i dzielności charakteru swego w Toledzie używał, nie mógł z tem upoważnieniem naszym dojść do końca; ledwo zdołał skłonić naczelnika, aby się dla nas okazał przychylniejszym, a już znowu panowie radni robili trudności. Z drugiej strony i układy nasze z Alfonsem Alvarez wciąż szły oporem, dzięki zięciowi, któremu ten zbyt ulegał, tak iż w końcu doszło do zupełnego zerwania. Nie wiedziałam już co począć. Przyjechawszy do Toletu umyślnie i wyłącznie dla tej fundacyi, czułam to dobrze, że wielki byłby wstyd odjechać z niczem. Głównie jednak, i więcej niż wszelkie inne trudności, dolegała mi kwestya upoważnienia, bo byłam pewna, że skorobyśmy tylko zdołały się usadowić, Pan dalszym potrzebom zaradzi, jak to już w poprzednich fundacyach uczynił. Widząc tedy, że one starania za nami trwają już przeszło dwa miesiące, a sprawa nie tylko nie postępuje, ale owszem coraz gorzej się wikła, postanowiłam w końcu sama się z naczelnikiem rozmówić na oczy. Udałam się do kościoła, położonego tuż przy jego mieszkaniu, i stamtąd posłałam do niego z pokorną prośbą, by raczył obaczyć się zemną. Gdym się znalazła z nim na cztery oczy, rzekłam do niego: — „Nieładnie to, że są niewiasty, które tego tylko pragną, aby mogły żyć w surowej pokucie i ścisłym zamknięciu, i dążeniu do doskonałości, a że znajdują się ludzie, którzy ani myśląc zadawać sobie podobnego trudu, owszem w uciechach i wczasach pędząc dni swoje, chcą jeszcze kłaść przeszkody sprawie tak Panu naszemu przyjemnej“. Wiele innych jeszcze rzeczy powiedziałam mu, z wielką, jaką Pan sam mi dawał, śmiałością i stanowczością. Słowa moje tak go skruszyły, że natychmiast, na oczekaniu, wydał mi upoważnienie. Wróciłam do siebie ucieszona, tak jakby już cała fundacya była gotowa, choć w gruncie wszystkiego jeszcze do niej brakowało. Posiadałam całego majątku trzy czy cztery dukaty; kupiłam za to dwa obrazy, aby było co zawiesić

---

<sup>1)</sup> Don Piotr Manrique był stryjem młodego Antoniego de Padilla, o którego powołaniu zakonnem była mowa wyżej, w rozdz. X.

nad ołtarzem, dwa sienniki i jedną koldrę, O domu, po zerwaniu układów z Alfonsem Alvarez, już nie było mowy. Był mi wprawdzie zrobił nadzieję pewien kupiec, przyjaciel mój, mieszkający w Toledzie. Kupiec ten nazywa się Alfons de Avila; żyje w dobrowolnem bezżeństwie, wszystek oddany dobrym uczynom, szczególnie niesieniu pomocy więźniom. Ten więc pocieszał mię, mówiąc bym była spokojna, że on mi poszuka domu; i pewno byłby spełnił obietnicę swoją, ale na utrapienie moje ciężko zaniemógł.

Na kilka dni przedtem bawił chwilowo w Toledzie O. Marcin od Krzyża, franciszkanin, bardzo świętobliwy sługa Boży. Odjeżdżając, skierował do mnie jednego penitenta swego, niejakiego Andrada, młodego człowieka, wcale nie bogatego, czyli raczej zupełnie ubogiego. Poleciał mu, żeby się oddał na moje usługi i zrobił cokolwiek mu powiem. Jakoż, któregoś dnia, gdy byłam w kościele na Mszy, młodzieniec ten zbliżył się do mnie i powtarzając mi dane mu przez tego dobrego Ojca polecenie, upewniał mię, że wszystko uczyni dla mnie, co tylko będzie w jego możliwości, choć będąc ubogim, osobą tylko swoją służyć mi może. Podziękowałam mu za tę gotowość jego, ale trochę mi się wydawało zabawnem, a więcej jeszcze towarzyszkom moim, że ten święty człowiek takiego nam przysłał pomocnika, nie bardzo, z powierzchowności jego sądząc, nadającego się do stosunków z karmelitkami Bosemi.

Gdy tedy, mając już w ręku upoważnienie, a nie mając nikogo ktoby mi był pomocnym, i komubym mogła polecić wyszukanie nam domu do najęcia, nie wiedziałam co dalej począć, przyszedł mi na myśl on młody człowiek, przysłany do mnie przez O. Marcina od Krzyża. Towarzyszki moje, gdy im o tem wspomniałam, serdecznie naśmiały się ze mnie i odradzały mi, bym go nie używała, bo nic innego z tego nie wyjdzie. Jedno że przez niego sprawa przed czasem się rozgłosi. Ja jednak wolałam nie zważać na śmiechy i rady ich; dziwny, prawie tajemniczy sposób, w jaki ten młody człowiek do mnie trafił, i to jeszcze posłany przez takiego sługę Bożego. utwierdził we mnie przecucie, że pomoc jego nie będzie dla nas bezskuteczną. Posłałam więc po niego i zobowiązawszy go naprzód



do ścisłego zachowania tajemnicy, opowiedziałam mu, jak rzeczy stoją i że potrzeba nam wynaleźć jaki dom, którybyśmy nająć mogły, że stawię za nas poręczyciela, w czym liczyłam na poczciwego naszego Alfonsa de Avila, wówczas, jak mówiłam, chorego. Oświadczył mi, że to rzecz bardzo łatwa i że wyszuka czego nam potrzeba. Jakoż zaraz nazajutrz rano przyszedł za mną do kościoła OO. Jezuitów, gdzie byłam na Mszy, z oznajmieniem, że dom już znalazł, tuż blisko; przyniósł mi i klucze do niego, abyśmy poszły go obejrzyć, co i uczyniłyśmy; i był to rzeczywiście dom tak dogodny, że blisko rok cały w nim stałyśmy. Ile razy wspomnę na tę fundacyę, zawsze zdumiewam się z uwielbieniem nad dziwnymi drogami Opatrzności Boskiej. Blisko trzy miesiące, — albo conajmniej przeszło dwa, dobrze nie pamiętam, — osoby tak bogate i możliwe szukały po całym mieście odpowiedniego dla nas pomieszczenia i nic nie znalazły, jak gdyby wcale domów nie było w Toledzie; aż oto zjawia się ten młody człowiek, nie bogaty, owszem bardzo ubogi, a Pan daje mu wyszukać od razu dom taki, jakiego nam potrzeba. I znowu: mogła ta fundacya przyjść do skutku bez żadnego trudu, gdyby układy z Alfonsem Alvarez były się powiodły; a oto Pan zrządził, że się nie powiodły, że owszem zupełnie się rozbiły, aby klasztor nasz powstał w ubóstwie i w ciężkiej walce z trudnościami.

Gdy więc dom ten okazał się dla nas dogodnym, umyśliłam zaraz go zająć, nie czekając na zaprowadzenie w nim klasztornych naszych urządzeń, by śnać nie zaszła jeszcze jaka przeszkoda. Niebawem też, zgodnie z tem życzeniem mojem, przybiegł do mnie tenże Andrada z doniesieniem, że dom tegoż dnia będzie wolny, że zatem możemy od razu przenieść tam sprzęty nasze. Odpowiedziałam mu na to, że będzie to niewielka robota, bo sprzętów żadnych nie mamy, z wyjątkiem dwóch sienników i jednej kółdry. Wiadomość ta łatwo mogła go zadziwić; towarzyszki też moje nierade były z tej niewczesnej ich zdaniem szczerości mojej: wymawiały mi, żem mu to powiedziała, bo teraz, dowiedziawszy się, żeśmy tak ubogie, nie będzie już chciał nam pomagać. Mnie, przyznając, ta myśl nie przyszła, ale obawa sióstr okazała się płonną: otwarte moje

wyznanie żadnego nie sprawiło na młodym człowieku niekorzystnego wrażenia. Ten, który mu dał taką dobrą wolę do pomagania nam, zachował ją w nim także, ażby skończył swe zadanie; z takim też zapalem zajął się urządzaniem domu i sprowadzeniem robotników, jakiego my same chyba nie zdołałybyśmy przewyższyc. Pożyczyliśmy sobie aparaty i wszystkie potrzeby do Mszy świętej. Wreszcie o zmierzchu, przy odgłosie dzwoneczka, z rodzaju tych, jakimi się dzwoni na Podniesienie, bo innego nie miałyśmy, przeprowadzane przez jednego z robotników, zajęliśmy dom nasz, i całą noc spędziłyśmy na robocie około porządków wewnętrznych, ale po cichu, i w ciągłej obawie by nas nie dosłyszano i nie dowiedziano się przed czasem, jaki jest istotny zamiar nasz. Jedyne miejsce odpowiednie na kaplicę miałyśmy w pokoju, do którego wejście było przez drugi domek przyległy, który zatem także byliśmy najęły od właścicielki, choć jeszcze w nim mieszkały jakieś niewiasty.

Nad ranem, gdy już wszystko było gotowe, nie mogąc dłużej trzymać rzeczy w sekrecie przed onemi sąsiadkami, którym przedtem nie śmiałyśmy nic mówić, aby nas nie wydały, otworzyłyśmy drzwi do naszej kaplicy, umieszczone w przepierzeniu i wychodzące na mały dziedzińczyk. One wtedy, usłyszawszy ruch, przebudziły się i zerwały się z łóżek przerażone; ledwo je zdołałyśmy uspokoić; a gdy wkrótce potem kapłan umówiony przyszedł ze Mszą świętą, choć jeszcze nadąsane, nie śmiały przecie przeszkadzać nam czynnie, aż wreszcie, zrozumiawszy o co chodzi, z łaski Pana ułagodziły się.

Z innego jeszcze względu okazało się żeśmy niebacznie postąpiły, w zapale naszym dokonania czempredzej sprawy natchnionej nam od Boga, nie zwracając należytej uwagi na możliwe niedogodności. Właścicielka domu naszego, będąc żoną starszego w rodzie, gdy spostrzegła, że na gruncie jej zakłada się klasztor i kościół, niemało narobiła nam krzyku i kłopotu; dopiero, gdy jej zrobiłyśmy nadzieję, że jeśli zechce po ludzku z nami wychodzić, dobrze jej za dom zapłacimy, dał Pan Bóg, że się udobruchała. Na mieście znowu, panowie radni, dowiedziawszy się, że klasztor już założony, pomimo że

oni nie chcieli się za nic zgodzić na wydanie upoważnienia, mocno się nasrożyli i w nieobecność naczelnika, któremu zaraz po mojem widzeniu się z nim wypadło było gdzieś wyjechać, udali się do jednego z miejscowych dostojników kościelnych, — potajemnie już uprzedzonego przezemnie o wszystkim, — wyrażając przed nim zdziwienie i oburzenie swoje na taką zuchwałość, by jakaś tam mizerna niewiasta, wbrew woli ich, śmiała im klasztor zakładać, i odgrażając się, że tego płazem nie puszcza. On, udając że o niczem nie wie, uspakajał ich jak mógł, tłómacząc im, że i w innych miejscach już podobne domy pozakładałam, a pewno i tu nie uczyniłam tego bez należnych rękojmi. Oni jednak w kilka dni potem przysłali mi dekret, zabraniający odprawiania u nas Mszy świętej, dopóki nie przedstawię upoważnień, na mocy których tak postąpiłam. Odpowiedziałam im jaknajłagodniej, że uczynię według ich rozkazu, jakkolwiek w tych rzeczach nie mam obowiązku ich słuchać; zaczęłam uprosiłam tego pana, o którym mowa była wyżej, Don Piotra Manrique, aby się z nimi rozmówił i pokazał im papiery moje. Przedstawienia jego ułagodziły ich, zwłaszcza że bądź co bądź, rzecz już była zrobiona; gdyby nie to, sprawa nasza byłaby zły obrót wzięła.

Kilka dni przebyliśmy w tym domu zupełnie pustym, za cały sprzęt i bogactwo mając nasze dwa sienniki i koldrę; pierwszego dnia nie było nawet garści chrustu, na którym byśmy upiekły sobie rybkę; aż Pan natchnął nie wiem komu dobrą myśl, że nam położył w kaplicy wiązkę drzewa, i tak biedzie naszej zaradził. Nocami potrochu marzliśmy. bo był mróz; nakrywałyśmy się jak mogłyśmy naszą koldrą i grubemi płaszczami wołokowemi, które nosimy na wierzchu, i to nieraz pomagało. Może to komu wyda się rzeczą niepodobną, byśmy wychodząc z domu tej pani, która mię tak szczerze kochała, mogły się znaleźć u siebie w takim ubóstwie: innego na to wytłómaczenia nie widzę, jedno to, że Pan chciał byśmy doznały na sobie pożytków tej cnoty. Ja jej o nic nie prosiłam, bo nie lubię nikomu się naprzykrzać; jej to zapewne wówczas na myśl nie przyszło, bo skądinąd, daleko więcej dla mnie po-

niosła i ponosi ciężaru, niż to, co w tej potrzebie dać nam mogła.

Ubóstwo to wielkiem było dla nas szczęściem; takie wśród niego czułyśmy zadowolenie wewnętrzne, takie wesele ducha, że ile razy na te dni wspomnę, widzę jasno jakie skarby ukryte łask i pociech Pan w każdej cnocie chowa zamknięte. W tem ogołoceniu z rzeczy ziemskich dusze nasze były jakby pogrążone w najśłodszej kontemplacyi. Ale niedługo to trwało; rychło samże Alfons Alvarez i drudzy poczęli nas zaopatrywać we wszystko, więcej nam nasyłając niżesmy sobie życzyć mogły. Szczerze powiem, że mię to mocno zasmucało: miałam to uczucie, jak gdyby mi zabierano całe skarby kosztownych złotych klejnotów, które stanowiły bogactwo moje, i skazywano mię na nędzę; tak, i więcej jeszcze bolało mię to, że ubóstwo nasze się kończy. I towarzyszki moje także podzielały ze mną to uczucie; widząc, że chodzą zasmuczone, zapytałam, co im jest? a one na to: „Jakże, matko, mamy, się nie smucić, kiedy snąć już nie jesteśmy ubogiem!“ Od tego czasu, pragnienie jaknajgłębszego ubóstwa coraz wyżej wemnie rosło; utwierdziłam się na zawsze w tej królewskiej wyższości ducha, która za nic ma wszelkie dobra doczesne, kiedy niedostawania ich duszę wzbogaca w dobra wewnętrzne, z których się rodzi in-sze i lepsze nasycenie i uspokojenie, niż je świat i dostatki jego dać mogą.

W czasie, gdym się układała z Alfonsem Alvarez o tę fundacyę, znalazło się wielu, którzy na to krzywo patrzali, i wymawiali mi, że do takiej sprawy dopuszczam ludzi nie wysoko urodzonych i nie szlachtę,—choć byli to ludzie, jak mówiłam, bardzo uczciwi w zawodzie swoim i cnotliwi;—tem bardziej, mówili mi, że w takim wielkiem mieście jak Tolet, nie zabrakłoby mi łatwości znalezienia sobie osób możnych i wysoko położonych, któreby się sprawą moją zajęły. Na mnie uwagi te nie robiły wielkiego wrażenia, bo dzięki Bogu, zawsze ceniłam wyżej cnotę niż świetność rodu; ale naczelnik miasta tak podzielał ogólne przekonanie, czy też tak był pod wpływem licznych na niego w tym punkcie nalegań, że gdy w końcu wydał mi upoważnienie, zastrzegł jednak i położył to za

warunek, że w przeprowadzeniu tej fundacyi będę się trzymała tego samego sposobu postępowania, jaki zachowywałam w poprzednich.

W obec tego zastrzeżenia, nie wiedziałam co począć; bo w tymże czasie, już po założeniu klasztoru, Alfons Alvarez z rodziną swoją przyszedł do mnie i na nowo zawiązał układy. W obec dokonanej już fundacyi, zdawało mi się, że będzie najwłaściwiej, gdy oddam im kaplicę główną, z warunkiem, że do reszty klasztoru żadnego już nie będą mieli prawa, tak jak się to zachowuje obecnie. Z drugiej strony jednak do tejże kaplicy głównej objawiała chęć pewna osoba książęcego rodu, i różne z tego powodu dawano mi rady. Wahałam się więc, nie wiedząc co postanowić. Aż Pan sam raczył mię w tej wątpliwości oświecić, i rzekł do mnie pewnego dnia: — „Jakże mało na sądzie Bożym będą ważyły te wysokie tytuły i książęce wielmożności!“ zaczął surowo mię strofował, żem takim radom i przystęp do siebie dawała, że nie są to myśli przystojne dla dusz, które raz na zawsze światem wzgardziły <sup>1)</sup>.

Upomnienie to mocno mię zawstydziło; zaraz też pod wrażeniem onegoż i z wielu innych jeszcze powodów, postanowiłam dokończyć wszczęte układy, oddając rodzinie Ramirez'ów wspomnianą kaplicę. Nigdy tego nie żałowałam; bez tego, nie byłybyśmy były w możności nabyć domu, dzięki zaś szczodrobliwości Alfonsa Alvarez i zmarłego brata jego, dostał się nam ten dom, w którym obecnie mieszkamy, jeden z najlepszych w Toledzie, a kosztował dwanaście tysięcy dukatów. W kaplicy naszej częste miewamy święta uroczyste i po kilka Mszy świętych się odprawia, z czego nie tylko siostron wielka rośnie pociecha, ale i pożytek ludowi. Gdybym była zważała na marne opinie świata, żadną miarą, po ludzku sądząc, nie byłybyśmy uzyskały tak dogodnego pomieszczenia, a nad to jeszcze przykrość i krzywdę byłabym wyrządziła temu, który nam taką życzliwość okazał i takie dobrodziejstwo wyświadczył.

---

<sup>1)</sup> Ob. *Księgę Sprawozdań, Sprawozd. III, punkt 14.*

## ROZDZIAŁ XVI.

Niektóre, na cześć i chwałę Panu, szczegóły z dziejów wewnętrznych tego klasztoru św. Józefa w Toledzie.

Zdało mi się rzeczą właściwą wspomnieć tu nieco o świętej gorliwości, z jaką niektóre z sióstr tego klasztoru oddawały się służbie Pana, aby te, które po nich nastaną, usiłowały zawsze naśladować te piękne początki. Między innymi wstąpiła do nas, jeszcze przed nabyciem tego domu, siostra Anna od Matki Bożej, że tylko to zakonne jej imię wymienię. Miała lat czterdzieści; całe życie swoje strawiła na służbie Pana; ale choć w domu i w zewnętrznych życia warunkach nie zbywało jej na przyjemnościach, bo była sama jedna i posiadała majątek, wołała jednak obrać sobie ubóstwo i zależność życia zakonnego i w tym celu zgłosiła się do mnie. Zdrowia była bardzo słabego; mimo to jednak, widząc duszę tak dobrą i odważną, uznałam że będzie to dobry początek dla naszej fundacyi i przyjął ją. Spodobało się Panu, wśród umartwień i ścieśnień zakonnych lepsze dać jej zdrowie, niż je miała będąc na swobodzie i używając wczasów. Jedną rzecz głównie w niej mię zbudowała, i dla tego o niej tu mówię, to że nim jeszcze została dopuszczoną do professyi, z całego majątku swego, a miała go znaczny, wyzuła się i sposobem jałmużny domowi naszemu darowała. Mnie ta hojność jej była przykrą, i nie chciałam na to się zgodzić; przedstawiałam jej, że może jeszcze tego kroku pożałować, albo też może my nie zechcemy dopuścić jej do professyi, a wtedy znalazłaby się w bardzo trudnem położeniu. Bez wątpienia, że w razie nieprzyjęcia jej nie byłybyśmy jej puściły bez zwrócenia jej tego, co nam darowała; ale tego jej nie mówiłam, chcąc jej dać jaknajmocniej uczuć, na co się naraża; a miałam do tego powód dwojaki: raz, aby nie było z tego jakiej pokusy; a powtóre, dla lepszego wypróbowania ducha jej. Odpowiedziała mi na moje przedstawienie, że gdyby do tego przyjsć miało, poszłaby w takim razie i zebrałaby dla miłości Bożej, i nie było sposobu za-

chwiać jej postanowienia. Żyła u nas bardzo szczęśliwa i w daleko lepszym zdrowiu niż przedtem.

Przedziwny w tym klasztorze panował zapał do wszelkich ćwiczeń umartwienia i posłuszeństwa. Przełożona, jak sama na to, bawiąc tam, patrzałam, pilnie musiała baczyć na słowa swoje, bo cokolwiekby powiedziała, choćby bez myśli, siostry natychmiast to spełniały. Razu jednego, przechadzając się po ogrodzie, zatrzymały się przy małej jaką tam miałyśmy sadzawce. „Coby też to było, rzekła przełożona zwracając się do jednej z nich, gdybym ci kazała rzucić się w wodę?“ Jeszcze nie dookończyła tych słów, gdy siostra już była w wodzie, aż ją wydobyto tak przemoczoną, że musiała się przebrać. Innym razem znowu,—było to w mojej obecności,—w czasie gdy siostry się spowiadały, jedna czekając na kolej swoją, zbliżyła się do przełożonej i coś do niej przemówiła. „Jak to? rzekła do niej przełożona, w takiej chwili chcesz rozmawiać? czy to w taki sposób skupiasz się w duchu? lepiej pódz ondzie, schowaj się głową w studni i myśl o grzechach twoich.“ Siostra wzięła to dosłownie, jako rozkaz wrzucenia się do studni, i takim pędem pobiegła spełnić rzekomy ten rozkaz, że gdyby jej nie byli w porę przytrzymali, byłaby rzeczywiście utopiła się w studni, z tem najmocniejszym przekonaniem, że największą w świecie odda przez to usługę Bugu. Takie to, i niezliczone inne tym podobne akty ślepego posłuszeństwa i bohaterskiego umartwienia działały się w tym naszym klasztorze; zapał sióstr do tych świętych praktyk dochodził aż do zbytku, aż do przebrania miary, tak, iż potrzeba było uprosić niektórych świątłych kapłanów i uczonych teologów, aby je oświecili, w czem i w jakich granicach powinny być posłuszne i powstrzymali niepomiarkowane ich zapędy; bo niektóre dochodziły w tym kierunku do takich ostateczności, że gdyby ich nie uniewinniała dobra ich wiara i czysta intencja, raczej winę byłyby miały niż zasługę. I nie tylko w tym jednym klasztorze, o którym tu mówię, bo nastroczyła się do tego sposobność, taki panował duch poświęcenia siebie bez granic, ale i we wszystkich drugich, i gdyby nie to, że sama w nich miałam udział,

radabym przytoczyła więcej podobnych przykładów, aby Pan był pochwalony w służebnicach swoich <sup>1)</sup>.

W czasie bytności mojej w tym klasztorze, jedna z sióstr zaniemogła śmiertelnie. Po przyjęciu świętego Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia, cała się rozpromieniła od wewnętrznego uszczęśliwienia i wesela, i z taką prostotą i spokojem przyjmowała zlecenia nasze do nieba i obiecywała wstawiać się za nami do Boga i do Świętych Patronów naszych, jak gdyby już była na tantym świecie. Na krótko przed jej skonaniem byłam wyszła na chwilę do kaplicy, prosząc Pana w Najświętszym Sakramencie ukrytego, aby jej dał dobrą śmierć; wróciwszy stamtąd do celi umierającej, ujrzałam Go w Boskiej Osobie Jego, stojącego w głowach łoża, na środku wezglowia; ręce miał nieco rozchylone, jakby biorąc chorą w swoją obronę, i rzekł do mnie: — „Bądź tego pewna, że wszystkie siostry tych klasztorów, w godzinę śmierci tak będą wspierał i bronił; niechże się nie boją pokus przedśmiertnych.“ Słowa te napełniły mię pociechą i w głębokiem pozostawiły mię zebraniu wewnętrznem. Gdym po chwili przyszedłszy do siebie, zbliżyła się do chorej, ona powiedziała mi te słowa: — „O matko, jakże wspaniałe rzeczy mam oglądać!“ i tak umarła jak anioł. Patrzałam potem na śmierć kilku innych sióstr i w każdej widziałam takiż sam dziwny spokój i pogodę przy konaniu, bez żadnego śladu najmniejszej pokusy: wyglądało to zupełnie na zachwycenie albo na modlitwę odpocznienia. I nam też, ufam, Bóg w dobroci swojej takiejże w ostatniej potrzebie łaski użyczy, przez zasługi Syna swego i błogosławionej Matki Jego, której szatę nosimy. Przetoż, córki moje, starajmy się ze

---

<sup>1)</sup> Jeden taki przykład mamy zapisany w rocznikach Karmelu. Pewnego dnia, po Jutrzni, Święta dała którejś siostrze jakieś upomnienie; ta według przepisu reguły, tejsze chwili padła twarzą do ziemi; nie otrzymawszy zaś rozkazu podniesienia się, całą noc, od 10 wieczór do 6 rano, pozostała tak krzyżem leżąca. Nazajutrz rano Święta zastała ją w tej postawie; ale choć uradowana w duchu z takiego aktu posłuszeństwa i umartwienia, ukryła pryncie w sobie zadowolenie swoje, a siostrę onę, dla głębszego jeszcze upokorzenia i większej jeszcze zasługi jej, na nowo zgromiła, jakoby za samowolne zadanie sobie takiej pokuty.



wszystkich sił naszych, byśmy były prawdziwemi karmelitkami. Życie to prędko się skończy; a gdybyśmy wiedziały, jakie udręczenia cierpi wielu w onę godzinę, jakimi chytremi i zdradzieckimi pokusami dyabeł ich nęka, wysoko ceniłybyśmy sobie tę łaskę od Pana nam obiecaną.

Opowiem tu jeden przykład takich pokus przedśmiertnych, który mi się w tej chwili przypomina. Znałam tego, któremu się to wydarzyło, był to nawet daleki powinowaty moich krewnych. Kochał się namiętnie w grze, miał niejakię wykształcenie, ale nie gruntowne, i z tego właśnie kusiciel skorzystał na oszukanie jego, nasuwając mu w ostatniej jego chorobie wyobrażenie, że nawrócenie się w godzinę śmierci na nic już się nie zda. Tak mu utkwilo w głowie to wyobrażenie, że nie było sposobu namówić go do spowiedzi. Dręczył się nieszcześliwy, żałował szczerze za złe życie swoje, ale przytem wciąż utrzymywał, że spowiedź już nie dla niego, bo jasno widzi, że jest potępiony. Spowiednik jego, uczony teolog dominikanin, różnemi dowodami usiłował wywieść go z błędu, ale ten, wciąż słuchając tylko poduszczeń złego ducha, na wszystko miał gotową odpowiedź i tysiące subtelnych wykrętów. Trwało to kilka dni, i spowiednik już nie wiedział co począć; ale śnać i on i inne dusze pobożne bardzo się gorąco za biednym modlili, kiedy w końcu Pan nad nim się zmiłował. W stanie chorego znaczne objawiło się pogorszenie; ból w boku, na który cierpiał, coraz sroższe mu zadawał boleści. Spowiednik pospieszył do łoża jego, zapewne z nowym zasobem argumentów na przekonanie upornego; ale nie wieleby to było pomogło, gdyby Pan w miłosierdziu swoim nie był wreszcie zmiękczył serce grzesznika. Gdy tedy spowiednik począł go upominać, i nowemi dowodami swemi przekonywać, chory nagle podniósł się i usiadł na łóżku, jakby zdrow, i rzekł: — „Kiedy mówisz, Ojcze, że spowiedź może mi jeszcze co pomódz, więc gotów jestem wypowiadać się.“ Wezwał, nie pamiętam, pisarza czy notaryusza, przysiągł uroczyście, że nigdy już grać nie będzie, i życie swoje, jeśliby Panu spodobało się jeszcze je przedłużyć, poprawi, na co wszystkich obecnych wezwał na świadków; po tem wypowiadał się jaknajpiękniej, i z taką pobożnością przy-

jął Najświętszy Sakrament, że polegając na tem, czego wiara nas uczy, możemy ufać że dostąpił zbawienia Daj nam Boże, siostry, żyć tak jak na prawe córki Najświętszej Panny przystoi, i wiernie zachowywać śluby nasze, aby Pan nasz mógł nam uczynić tę łaskę, którą nam obiecał. Amen.

## ROZDZIAŁ XVII.

O fundacyi dwóch klasztorów, męskiego i żeńskiego, w Pastrana, tegoż roku 1569.

Pierwsze dwa tygodnie po fundacyi tego domu w Toledzie, w którym, jak mówiłam, mieszkałyśmy blisko rok, dużo było roboty z urządzeniem kaplicy, założeniem krat i dopełnieniem innych porządków; ciągle przez ten czas miałam do czynienia z robotnikami i bardzo byłam zmęczona; ale wreszcie, w wigilię Zesłania Ducha Świętego, wszystko było gotowo. W pierwszy dzień Zielonych Świątek, siadając z rana z siostrami do posiłku w refektarzu, takiej doznałam pociechy na myśl, że żadnej już nie mam roboty, i że przez te święta będę mogła choć chwilami cieszyć się spokojnie Panem moim, iż ta wielka słodkość, jaką czułam w duszy, prawie mi odbierała wszelką chęć do jedzenia. Ale nie byłam godną tej pociechy. Jeszcześmy nie były wyszły z refektarza, gdy oznajmiono mi, że przyszedł i czeka na mnie sługa przysłany od księżny Eboli, małżonki księcia Ruy Gomez de Silva. Wysłam do niego, i pokazało się, że księżna przysyła po mnie, w interesie fundacyi klasztoru w Pastrana. Fundacya ta od dawna była między nią a mną umówiona, ale nie sądziłam, by miała tak prędko przyjść do skutku. Nagle to wezwanie przyszło mi bardzo nie w porę; opuszczać klasztor tylko co, i wśród tylu przeciwnieństw założony, byłoby rzeczą wielce niebezpieczną; od razu też postanowiłam, że nie pojedę, i taką dałam odpowiedź posłowi. A choć on mi na to oznajmił, że to niepodobna, że księżna już jest w Pastrana, że po to jedynie tam

pojechała, że taki zawód równałby się zniewadze, ja jednak ani myślałam na teraz tam jeździć. Powiedziałam mu, żeby poszedł się posilić, a ja tymczasem napiszę do księżny, i on jej list mój zawiezie. Krzywił się na to, bo był to sługa bardzo czuły na honor swej pani; ale wobec racyi moich, które mu objaśniłam, pogodził się z koniecznością.

Siostry przeznaczone do tego nowego domu ledwo co były przyjechały; zdawało im się rzeczą zgoła niepodobną, bym mogła tak zaraz je i klasztor opuścić. Poszłam i uklęknęłam przed Najświętszym Sakramentem, prosząc Pana, by mi dał tak napisać do księżny, iżby się nie obraziła, z czego mogłyby były wyniknąć bardzo złe dla nas następstwa, zwłaszcza w obec poczynającej się wówczas zaledwo reformy Braci Bosych, a i skądinąd pożądaną ze wszechmiar było rzeczą, byśmy nie straciły łask u księcia Ruy Gomez, który u króla i w całym kraju tak wielkie miał wpływy i znaczenie. Nie pamiętam jednak, by względ ten wówczas stawał mi na myśli; to tylko wiem i pamiętam, że nie chciałam tej pani obrazić. W tem, gdy się namyślałam, co i jak napisać, usłyszałam taki głos od Pana. — „Nie wzbraniaj się od tej jazdy; idzie tam o coś więcej jeszcze niż o samą tę fundacyę; a zabierz z sobą regułę i konstytucye.“ Usłyszawszy te słowa, choć racye za pozostaniem w domu wydawały mi się ważne, nie śmiałam już polegać na własnym sądzie moim i wolałam raczej postąpić tak, jak zwykle w podobnych zdarzeniach postępuję, to jest zasięgnąć rady spowiednika i do niej się zastosować. Nie mówię w takich razach spowiednikowi, co usłyszałam na modlitwie, bo mi z tem zawsze spokojniej; błagam tylko Pana, by go raczył oświecić, aby samem przyrodzonym światłem rozumu umiał sprawę trafnie osądzić, a Pan, gdy chce, aby jaka rzecz się stała, sam mu ją podaje do serca.

Doświadczyłam tego po wiele razy; i w tem zdarzeniu także stało się podobnie. Spowiednik, rozważywszy wszystko, uznał, że należy mi pojechać; tak więc i postanowiłam. Wyjechałam z Toledu w drugi dzień Zielonych Świątek. Droga mi wypadła na Madryt. Zatrzymałyśmy się tam, towarzyszki moje i ja, w klasztorze Franciszkanek, u jednej pani,

założycielki tego klasztoru, i w nimże mieszkającej. Była to Donna Eleonora Mascarenas, dawna piastunka królewska, bardzo gorliwa służebnica Boża. Dawniej już różnemi czasy u niej stawałam, ile razy zdarzyło mi się być przejazdem w Madrycie, i zawsze była dla mnie bardzo łaskawą.

I tym razem przywitała mię radośnie, oznajmując mi na samym wstępie, że w dobrą porę przybywam, gdyż właśnie bawi u niej pewien pustelnik, który bardzo pragnie mię poznać, gdyż sposób życia jego i towarzyszków jego wielkie ma, zdaniem jego, podobieństwo z regułą naszą. Ja, mając dotąd tylko dwóch Braci, od razu pomyślałam sobie, że może on się do nich przyłączy, co byłoby rzeczą wielce dla nas pożądaną; bardzo więc prosiłam tę panią, by mi ułatwiła widzenie się z nim. Zajmował pokój samotny, wyznaczony mu przez Donnę Eleonorę; miał przy sobie młodego towarzysza, Brata Jana de Miseria, wielkiego prostaka w rzeczach światowych, ale bardzo świętobliwego w służbie Bożej. Za pierwszym spotkaniem naszym, nadmieniał w ciągu rozmowy, że ma zamiar udać się do Rzymu. Lecz nim pójdę dalej, opowiem naprzód, co wiem o tym Ojcu. Wstąpiwszy do naszego zakonu, przybrał imię Maryan od św. Benedykta, ale na świecie nazywał się Maryan de Azaro. Rodem był Włochem; miał stopień doktora; rozum miał niepospolity i nadzwyczajne zdolności. Służył zrazu na dworze królowej polskiej <sup>1)</sup>, jako ochmistrz główny całego jej domu, od wstąpienia w związki małżeńskie stale się uchylając, został kawalerem maltańskim i otrzymał komandoryę; aż Pango powołał do wyrzeczenia się wszystkiego, dla skuteczniejszej pracy około zbawienia swej duszy. Ciężkie potem miał do przebycia utrapienia; oskarżony fałszywie o współnictwo w jakimś zabójstwie, dwa lata trzymany był w więzieniu; nie chciał jednak adwokata, ani do niczyjego nie uciekał się wstawiennictwa, Bogu samemu i sprawiedliwości Jego pozostawiając obronę niewinności swojej. Jakoż dwaj fałszywi świadkowie, którzy zeznawali przeciw niemu, jakoby on ich był najął

---

<sup>1)</sup> Katarzyny Austriaczki.

do popełnienia tego morderstwa, podobnego w końcu doczekali się losu, jaki niegdyś spotkał onych dwóch starców, oskarżycieli niewinnej Suzanny: badani każdy oddzielnie, gdzie i w jakim miejscu oskarżony dawał im to zlecenie, jeden twierdził, że przyjmował ich siedząc na łóżku, drugi, że schował się z nimi w zagłębieniu okna, zaczem wreszcie oba zmuszeni byli przyznać się do kłamstwa. On za to wykupił ich od zasłużonej kary, co go, jak mię upewniał, nie mało pieniędzy kosztowało; podobnież gdy ten, który był uknuł przeciw niemu całe to przesładowanie, sam potem dostał się pod sąd i jemu został oddany do badania, on mając go w rękę i mogąc się na nim zemścić, przeciwnie wszystkiego wpływu swego użył, aby go ocalić.

Takimi to, i wielu innemi jeszcze cnotami, — bo był to mąż szczerzy i czysty, w obyczajach i wszystkim obcowaniu swoim nieskazitelny, — snać zasłużył sobie na łaskę i światło od Pana, iż jasno poznał marność tego świata, i postanowił całkiem się od niego usunąć. W tym celu począł bliżej się przypatrywać różnym zakonom i zastanawiać się, który z nich wypada mu obrać dla siebie; ale w każdym, jak mi mówił, znajdował rzeczy, nie przypadające do usposobienia jego. Dowiedział się wreszcie o świeżo powstałym zgromadzeniu pustelników, na puszczy zwanej Tardon, w pobliżu Sewilli, pod kierunkiem świętego bardzo człowieka, Ojca Mateusza <sup>1)</sup>; każdy przebywał samotny w celi swojej; chóru i wspólnych pacierzy

---

<sup>1)</sup> Wielebny Ojciec Mateusz de la Fuente, odnowiciel zakonu bazylianckiego w Hiszpanii. Urodził się około roku 1524 w Alminnete, w pobliżu Toledu. Nauki pobierał w Salmantyce. Obrawszy sobie życie pustelnicze, przebywał naprzód około Kordowy, ale uchylając się od czei, jaką go tam poczęto otaczać, schronił się wkrótce potem na nieprzystępne wertepy Sierry Moreny. Później jednak, z rozkazu Jana z Awili, spowiednika swego, przybrał sobie kilku towarzyszków, i osiadł z nimi w puszczy pełnej dzikich ostów czy kaktusów, od czego i miejscowość tę zwano *el Cardon* (oset), albo jak ją później przewano, *Tardon*. Zajmowali się uprawą roli, obrawszy sobie za godło słowa Apostoła: „Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je“. Gdy z rozkazu św. Piusa V pustelnicy zmuszeni byli zamienić się w zakonników, O. Mateusz i towarzysze jego przyjęli regułę św. Bazylego.

kapłańskich nie mieli, na Mszę tylko do kaplicy się schodzili, ubogie pożywienie swoje każdy u siebie przyjmowali: dochodów żadnych nie mieli, jałmużny nie prosili ani jej nie brali, żyjąc jedynie z pracy rąk swoich. Całe to opowiadanie jego, gdym go słuchała, wydało mi się jakby wiernym obrazem życia świętych ojców naszych. Przyłączył się więc do tego zgromadzenia i ośm lat taki żywot pustelniczy prowadził. Gdy zaś poczęto i w Hiszpanii wprowadzać w wykonanie dekret świeżo ukończonego św. Soboru Trydenckiego, nakazującego przyłączenie pustelników do którego z istniejących zakonów, on postanowił udać się do Rzymu, w celu uzyskania indultu dla siebie i braci swoich, aby im wolno było pozostać takiemż, jakimi dotąd byli, pustelnikami. W tym właśnie zamiarze, w chwili naszego poznania się, bawił przejazdem w Madrycie. Wysłuchawszy do końca opowiadanie jego, pokazałam mu pierwotną regułę naszą, nadmieniając przytem, że nie trudząc się tak daleko, może w Karmelu tak samo dalej żyć jak dotąd żył w pustelni, gdyż obie reguły zupełnie zgadzają się z sobą, szczególnie w punkcie utrzymywania się z pracy rąk, o co jemu najwięcej chodziło, bo chciwość, mówił, i przywiązanie do dóbr ziemskich główną jest przyczyną zguby tylu ludzi i dla tego właśnie stan zakonny w takiej jest pogardzie u świata. Podzielałam w zupełności to jego przekonanie, rychło więc porozumieliśmy się z sobą, nie tylko w tym punkcie, ale i we wszystkim. Na uwagi moje i przedstawienia, z jakim pożytkiem chwały Bożej będzie mógł służyć Panu, gdy przyjmie habit karmelicki, odpowiedział mi, że obmyśli to sobie przez noc. Widziałam jednak, że postanowienie jego już prawie dojrzało, i zrozumiałam wówczas, że do niego to, i do spodziewanego, za przystąpieniem jego, wzrostu zakonu Braci Bosych, odnosiły się te słowa, które byłam słyszała na modlitwie, że o co większego tu chodzi, niż o samo tylko założenie nowego klasztoru sióstr. Niezmierną z tego miałam radość, bo byłam przekonana, że mąż taki, gdy wstąpi do naszego zakonu, znakomite mu odda na chwałę Bożą usługi. Pan też tego chciał, i tak skutecznie tej nocy serce jego pociągnął, że nazajutrz mój Ojciec spotkał mię z oznajmieniem

stanowczego już postanowienia swego; sam nie mógł się wydziwić takiej nagłej, jaka z nim zaszła odmianie, i to za sprawą niewiasty,—co i dotąd jeszcze nieraz mi powtarza, jak gdybym ja to sprawiła, a nie Pan, który sam mocen jest odmienić serce człowieka. Zaiste, cudowne są drogi Jego! tyle lat ten sługa Boży żył w zawieszeniu, nie wiedząc gdzie się obrócić, i jaki stan ostatecznie sobie obrać,—bo ten, w którym ostatnie ośm lat przebył, nie był właściwym stanem, gdyż pustelnicy ci ślubów nie składali, ani żadnych innych zobowiązań na siebie nie brali, prócz obowiązku życia na samotności:—aż oto nagle, jakby w jednej chwili, Bóg skłania serce jego do tego, co mu przeznaczał, i oznajmia mu, jak wielką chwałę odda Boskiemu Majestatowi Jego w tym stanie i zakonie naszym, i jako raczy potrzebować pomocy jego, ku rozszerzeniu sprawy rozpoczętej. Jakoż i wielką był nam pomocą, choć go to już do tego czasu wiele kosztowało trudów i utrapień, i jeszcze większe go czekają, nim dzieło zaczęte utwali się i zakorzeni, jak to bardzo wyraźnie zapowiadają gwałtowne przeciwnictwa, powstające obecnie na wznowienie pierwotnej reguły; która właśnie w tych trudnościach i walkach skuteczną w nim ma podpórę, bo dzięki rozumowi, i układności, i świętobliwemu życiu swemu, wysokie ma poważanie i znaczenie u wielu osób możnych, które przez szacunek dla niego sprzyjają nam i opieką swoją nas otaczają.

Oznajmując mi swoje postanowienie, O. Maryano uprzedził mię zarazem, że w Pastrana, to jest w tem samym miejscu, do którego ja byłam w drodze, Ruy Gomez darował mu kawał gruntu, w samotnem położeniu, na pustelnię bardzo odpowiedni; że zatem teraz założy tam klasztor naszego zakonu, i w nim przywdzieje habit. Z wdzięcznością przyjąłem tę obietnicę jego i gorąco zarazem dziękowałam Panu, że władzę do tej fundacyi już mam gotową, bo przewielebny nasz Ojciec General był mi przysłał dwa dokumenty z upoważnieniem do założenia dwóch klasztorów męskich, a założony był dopiero jeden. Posłałam zaraz umyślnego do tamtych dwóch Ojców, o których wyżej była już mowa, to jest do prowincyała obecnego i do poprzednika jego na tymże urzędzie, z usilną pro-

szą o pozwolenie, bo bez ich zgody się rzecz nie mogła się zrobić. Napisałam także do biskupa Awilańskiego, Don'a Alvaro de Mendoza, bardzo na nas łaskawego, prosząc, aby nam to u nich wyjednał.

Z łaski Boga, zgodzili się bez trudności, z uwagi zapewne, że założenie klasztoru Braci Bosych w takim miejscu bezludnem, klasztorom ich nie może uczynić uszczerbku. O. Maryano, przed odjazdem moim dał mi słowo, że skoro tylko pozwolenia od prowincyałów nadejdą, on natychmiast za mną przyjedzie. Z wielką więc radością w sercu udałam się w dalszą drogę. Zastałam w Pastrana księżną i księcia Ruy Gomez, i jak najlepiej zostałam przez nich przyjętą. Dali nam pokoje zupełnie samotne, w których musiałyśmy przebywać dłużej niż się spodziewałam. Dom przez księżną dla nas przeznaczony okazał się o wiele szczyplym; kazała go zatem w znacznej części zwalić, nie mury same, ale ściany wewnętrzne, i odpowiednio rozszerzyć.

Pozostałam w Pastrana trzy miesiące, w ciągu których ciężkie miałam przejścia. Księżna domagała się różnych rzeczy, z naszymi ustawami niezgodnych, i gotowa już byłam odjechać i rzec się fundacyi, niż takim warunkom się poddać. Ale księżę Ruy Gomez, mąż w wysokim stopniu poważny i rozsądny, uznawszy że mam słuszność, wpłynął na żonę i ułagodził ją, ja zaś zrobiłam niejaki ustępstwa, mając głównie na celu pomyślne załatwienie sprawy klasztoru męskiego, o który więcej mi chodziło niż o fundacyę klasztoru sióstr; rozumiałam dobrze, że to rzecz najważniejsza, jak się to i później okazało. Tymczasem nadeszły pozwolenia od prowincyałów, i Maryano z towarzyszem swoim przybył do Pastrana. Księstwo chętnie zgodziło się na to, aby na gruncie przez nich darowanym, w miejsce zamierzonej zrazu pustelni stanął dom karmelitów Bosych. Wezwałam O. Antoniego od Jezusa, pierwszego, jak mówiłam wyżej, zakonnika domu w Manzera, aby przyjechał i dał początek tej nowej fundacyi. Sama dla mających wstąpić dwóch braci przyrządziłam habity i płaszcze, i robiłam wszystko co mogłam, aby jaknajprędzej odbyły się ich obłóczyny. W tymże czasie posłałam była do klasztoru



w Medina del Campo po więcej sióstr, bo miałam z sobą tylko dwie. Mieszkał wtedy w tem mieście jeden Ojciec karmelita, O. Baltazar od Jezusa, człowiek jeszcze nie stary, ale już i nie młody, znakomity kaznodzieja; ten dowiedziawszy się, że zakładamy klasztor reguły pierwotnej, zabrał się z siostrami i przyjechał do nas, z postanowieniem przejścia na obrządek karmelitów Bosych; tak też za przyjazdem zaraz uczynił, za co z głębi duszy dziękowałam Bogu. On też dał habit braciuszka Ojcu Maryano i towarzyszowi jego; bo Maryano, jakkolwiek nań o to nalegałam, żadną miarą nie zgadzał się zostać bratem chórowym, poczytując siebie niegodnym kapłaństwa, i chcąc być najmniejszym i ostatnim z wszystkich. Później dopiero, z rozkazu przewielebnego O. Generała naszego, przyjął święcenia <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> W dopełnieniu powyższego opowiadania św. Teresy, przytoczymy tu jeszcze następujące szczegóły biograficzne o O. Maryano i towarzyszu jego, O. Janie od Nędzy. Ambroży Maryano urodził się w Bitonto, w królestwie neapolitańskim, z wysokiego i bogatego, z cnót i bogobojności słynącegogo rodu. Nanki odbył świetnie, odznaczając się w poezyi i w wymowie, a zarazem i w matematyce, i geometryi. Był współ uczniem Hugona Buoncompagni, późniejszego Papieża Grzegorza XIII, który i na tronie papieskim dawną dla niego przyjaźń zachował. Dostąpiwszy później stopnia doktora teologii i obojga praw, pomimo młodego jeszcze wieku swego został wysłany jako konsultor teolog na Sobór Trydencki, gdzie nauką swoją, i pobożnością, i roztropnością, i umiejętnością w traktowaniu spraw najzawilszych tak się odznaczył, że Ojcowie Soboru polecili mu poselstwa w sprawach religijnych do Flandrii, Niemiec, i innych królestw północnych. Sława, jaką sobie w tych poselstwach zjednał, zwróciła nań uwagę powszechną. skutkiem czego królowa polska, Katarzyna Austryaczka, małżonka Zygmunta Augusta, powołała go do rady swojej i mianowała go ochmistrem domu swego. Ale już wówczas przykrząc sobie światem, Maryano opuścił dwór królewski i uczyniwszy dozgonny ślub czystości, został kawalerem maltańskim, wkrótce potem mianowany komandorem. Roku 1557 odznaczył się rzadką walecznością w słynnej bitwie pod Saint-Quentin. Po odniesionem zwycięztwie, wkroczywszy z wojskiem hiszpańskim do miasta, z mieczem w ręku wystąpił w obronie czci dwu córek domu, w którym miał kwaterę, napastowanych przez rozpustnika. Wkrótce potem podległ onemu fałszywemu oskarżeniu, o którym mówi Święta i został wtrącony do więzienia. Gdy wreszcie okazała się jego niewinność, Filip II tem większe dawał mu dowody szacunku, mianował go gubernierem księcia

Po założeniu obu klasztorów, męskiego i żeńskiego <sup>1)</sup> i za przybyciem O. Antoniego od Jezusa, poczęto przyjmować nowicyuszów; o niektórych z pomiędzy nich wspomnę w dalszym ciągu; ale wszyscy oni z niezrównaną gorącością ducha służyli Bogu i wysokich cnót dawali przykłady, jak to, jeśli spodobą się Panu, kto inny lepiej odemnie opisze, bo co do mnie, jest to przedmiot przewyższający zdolność moją. Co do klasztoru sióstr, księstwo oboje bardzo byli z niego radzi; księżna zwłaszcza wielką mu z początku życzliwość okazywała i opieką najczulszą go otaczała i łaskami różnemi go darzyła. Ale gdy wkrótce potem umarł jej małżonek Ruy Gomez, nagle, Bóg wie czy to z poduszczenia dyabelskiego, czy może z wyraźnego zrządzenia Opatrzności, stan rzeczy się zmienił. Księżna, w pierwszym niepohamowanym uniesieniu żalu swego, bez namysłu uparła się wstąpić do naszego klasztoru. Ca-

---

Salmona, którego kazał mu odprowadzić do Hiszpanii i sam wróciwszy do Madrytu, posyłał go z ważnemi poleceniami do Sewilli i do Kordowy. Bawiąc w Kordowie, Maryano odbył u jezuitów ćwiczenia duchowne, z których wyszedł z niewzruszonym już postanowieniem zupełnego oddania się Bogu. Jak to postanowienie wykonał, wiemy to już z powyższego opowiadania Świętej. W zakonie O. Maryano wysokiego używał poważania i godnie piastował zlecane mu przełożenstwa i urzędy. Umarł jak święty, w Madrycie, r. 1594 — Brat Jan od Nędzy, na świecie Jan Norduch, pochodził także z Neapolitańskiego i za młodu znał O. Maryano. Od dzieciństwa wielką odznaczał się pobożnością. W pustelni Tardon, O. Maryano już go zastał i po ośmioletnim tam pobycie, oba razem przyjęli habit karmelitów Bosych. Brat Jan od Nędzy całe życie okazał się takim, jakim go tu opisuje św. Teresa: wielkim, niezrównanej prostoty ewangelicznej, sługą Bożym. Bóg, szczególny miłośnik tych, którzy prostego są serca, obsypywał go hojnością łask nadzwyczajnych: użyczył mu daru modlitwy, i daru proroctwa i daru czynienia cudów. Z prawdziwie synowską miłością czeił pokorny zakonnik Najświętszą Matkę Zbawiciela; zawsze miał przy sobie Jej obraz i na jego skuteczność wszystkie cuda swoje składał. Jemu przypisuje się pierwszy, jeszcze za życia Jej zdjęty, portret św. Teresy. Umarł prawie stuletni, r. 1616 w Madrycie, poczytywany za świętego.

<sup>1)</sup> Objęcie pustelni odbyło się 13 lipca 1569 r.; dzień ten akta Zakonu oznaczają jako datę urzędową fundacyi domu karmelitów Bosych w Pastrana. Klasztor sióstr, pod wezwaniem Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, utworzony został cztery dni wcześniej, 9 lipca.

ła pogrążona w swem strapieniu, trudno było by mogła zasmakować w ścisłej klauzurze i innych, do których nie była przywykła, umartwieniach klasztornych; przełożona znowu, obowiązana stosować się do postanowień świętego Soboru Trydenckiego, nie mogła jej pozwalać na zwolnienia, których ona dla siebie żądała. Skutkiem tego tak się do niej i do wszystkich sióstr zraziła, że i potem jeszcze, choć zrzuciła habit i do pałacu swego wróciła, znieść ich nie mogła i niechęć swoją i wstręt im okazywała <sup>1)</sup>. W takim stanie rzeczy, widząc, że biedne siostry, przez nią prześladowane, ciągle cierpią udręczenie i niepokój, użyłam wszelkich dróg i sposobów, aby przełożeni zgodzili się na opuszczenie tego klasztoru, a założenie drugiego na miejsce jego w Segowii; tak się i stało, jak to niżej opowiem. Siostry, opuszczając Pastranę, pozostawiły na miejscu wszystko co były dostały od księżny, nie żądając nawet słusznego od niej wynagrodzenia za utrzymanie kilku nowicyuszek, na rozkaz jej bez żadnego posagu przyjętych, które też razem z niemi na nową fundacyę pojechały. Zabrały z sobą tylko łóżka swoje i niektóre drobiazgi, które były z sobą przywozły. W mieście wyjazd ich wzbudził żal powszechny. Ja przeciwnie jaknajmocniej ucieszyłam się z niego, widząc przecie koniec ich utrapień i spokój odzyskany. Miałam zupełną pewność, że z ich strony, w tem zagniewaniu księżny, żadnej nie było winy; owszem i po przyjęciu habitu

---

<sup>1)</sup> Cały ten proces psychologiczny, naprzód namiętnego żalu po mężu, potem gwałtownych porywów dewocyi i w końcu równie gwałtownego przejścia ich w gniew i zawziętość pychy obrażonej, zaczął się, rozegrał i skończył w przeciągu trzech dni. Było to miłościwem zrządzeniem Opatrzności, że tak odrazu i stanowczo zerwały się stosunki między świętą i czystą dziewczyną awilańską a tą wyniosłą i lekkomyślną kobietą, która korzystając z wysokiego stanowiska swego i z łask, jakimi się cieszyła u Filipa II, ambitnemi intrygami i wybrykami swemi nawet na politykę swego rządu zgubny wpływ wywarła i jawnie wyuzdanem życiem swoim dla dworu i dla całego kraju stała się zgorszeniem. Dobrze widać już wówczas ją przeniknęła przełożona karmelitek w Pastranie, świętobliwa Matka Izabella od św. Dominika: na pierwszą wiadomość o zamiarze księżny wstąpienia do tego klasztoru, zawołała: „Księżna do nas wstępuje? klasztor nasz przepadł!” i tak się stało.

takie same uszanowanie jej okazywały, jak przedtem. Przyczyną złęgo, prócz niepohamowanego żalu tej pani, była służąca, którą miała przy sobie i której o ile mi wiadomo, główną, w tem co zaszło, winę przypisywać należy. Ostatecznie jednak, co się stało, stało się z woli Bożej i Pan skoro to wszystko dopuścił, snąć widział, że miejsce to nie było na klasztor dla nas odpowiednie. Głębokie są i wyższe nad wszelkie przewidywania i myśli nasze, wyroki Jego. Ja też sama z siebie nie byłabym się odważyła podejmować te fundacye, ale działałam wedle zdania i rady osób i z nauki i z świętobliwości swojej godnych zaufania.

---

## ROZDZIAŁ XVIII.

O fundacyi klasztoru świętego Józefa w Salmantyce, roku 1570. —  
Kilka ważnych uwag dla przełożonych.

Dokonawszy tych dwu fundacyi, wróciłam do Toledu, gdzie pozostawałam kilka miesięcy, dla załatwienia kupna domu, o którym mówiłam i doprowadzenia go do zupełnego porządku. Jeszcze byłam zajęta temi sprawami, gdy otrzymałam list z Salmantyki, od O. rektora tamecznego collegium OO. jezuitów <sup>1)</sup>, w którym ten Ojciec zachęcał mię do założenia klasztoru naszego w temże mieście, dowodząc mi różnemi racyami, ileby z tej fundacyi mogło wyniknąć dobrego. Dawniej już o tem mi mówił, ale wzgląd na wielkie ubóstwo tej miejscowości <sup>2)</sup>, powstrzymywał mię od myśli otworzenia tam

---

<sup>1)</sup> Był to świętobliwy O. Marcin Gutierrez, natchniony kaznodzieja, żarliwy czciciel i apostoł czi Najświętszej Panny Maryi. Roku 1572, w przejeździe do Rzymu, umęczony przez hugouotów w Cardilhac, we Francyi południowej.

<sup>2)</sup> Salmantyka była, jak i dotąd jest, jednym z najznacniejszych miast w Hiszpanii; prócz słynnego uniwersytetu, posiadała ogromną ilość collegiów, szpitalów, klasztorów i innych fundacyi; ale właśnie to mnóstwo zakładów

domu utrzymującego się tylko z jałmużny, jakimi są wszystkie domy nasze. Zważywszy jednak, że i Awila jest miastem ubogiem, a przecie nam na niczem tam nie zbywa; że ład i rzędnosc panujące w naszych klasztorach i ograniczona liczba siostr, i dochód jakikolwiek, dający się osiągnąć z pracy ręcznej, znacznie nam ułatwiają utrzymanie się w trudnych nawet warunkach; że wreszcie Bóg, jak mocno wierzę, nie opuszcza nigdy tych, którzy Mu służą; uznałam, że na ofiarowaną mi fundacyę zgodzić się mogę i powinnam. Ukończywszy więc w Toledzie roboty moje, i przyjechawszy do Awili, napisałam ztamtąd do miejscowego biskupa <sup>1)</sup>, z prośbą o upoważnienie, a biskup, w skutek danych mu przez O. rektora objaśnień o naszym zakonie i o spodziewanej z tej fundacyi chwale Bożej, tyle był łaskaw, że wydał mi bezwzględnie odnośny dokument.

Otrzymawszy to upoważnienie, uważałam klasztor jakby już za gotowy, tak mi się to zdawało rzeczą łatwą. Postarałam się zaraz o najęcie domu, za pośrednictwem jednej pani, mojej znajomej. Nie obyło się jednak bez trudności, bo nie była to pora najmowania mieszkań, a w domu dla nas upatrzonym stali jacyś studenci; ale w końcu stanęło na tem, że oni ustąpią, skoro się zgłoszą osoby, które dom ten zająć mają. Jakie to będą osoby, tego nie wiedzieli: bo aż do chwili objęcia domu chciałam aby rzecz pozostawała w najściślejszym sekrecie, wiedząc już z doświadczenia, jakie przeszkody dyabeł zwykł nam wzniecać, ile razy wywietrzy, że zabieramy się do fundacyi nowego klasztoru. I w tej fundacyi także, choć Bóg nie dopuścił mu przeszkodzić jej z początku, bo chciał

---

publicznych, nie pozostawiające prawie miejsca na domy prywatne, utrudniało utrzymanie się klasztoru żyjącego tylko z jałmużny i z tego względu Święta zowie to miasto bardzo ubogiem.

<sup>1)</sup> Biskupem salmantyceńskim był wówczas (1560—1574) Don Pedro Gonzalez de Mendoza, z książęcego domu Del Infantado. Zasiadł z odznaczeniem się na Soborze Trydenckim.

tego by się zrobiła, później jednak wielkie na nią powstały trudności i przeciwnstwa, dotąd jeszcze, choć w chwili gdy to piszę, już kilka lat od założenia jej upłynęło, nie całkiem usunięte; snać wielka z niej ma być chwała Bogu, kiedy dyabeł tak jej nie cierpi.

Mając tedy upoważnienie biskupie i dom zapewniony, ufna w miłosierdzie Boskie, — bo nikogo zgoła tam nie znałam, ktoby nam w czemkolwiek mógł być pomocnym, a na urządzenie domu znacznego potrzeba było nakładu, — udałam się w drogę do Salmantyki, jedną tylko towarzyszkę, dla niezwrócenia uwagi po drodze, z sobą zabierając. Nauczona doświadczeniem przykrości i utrapień przebytych w Medina del Campo, z powodu zbytnej liczby siostr, jakie tam miałam z sobą, przekonałam się, że lepiej naprzód pojechać samej, a siostry sprowadzać dopiero na objęcie gotowego już domu. Tym sposobem, w razie jakich trudności, ja sama tylko ponoszę kłopoty i przykrości, i ta jedna zemną, bez której mi puszczać się w drogę niepodobna. Staaliśmy na miejscu w wigilię Wszystkich Świętych, spędziwszy znaczną część poprzedniej nocy w drodze, przy silnym mrozie, ale zatrzymawszy się jednak na krótki nocleg, bo byłam mocno cierpiąca.

W opisie tych fundacyi nie wspominam o tem, cośmy w tych długich i uciążliwych drogach wycierpiały, od mrozów, od upałów, od śniegów, które nieraz całemi dniami nas zasypywały, ile razy, zmyliwszy drogę, przychodziło nam błąkać się, ile przy tem dolegały mi ciężkie moje niemoce i febry; bo z łaski Boga prawie ciągle jestem schorowana: w tem wszystkim jasno widziałam, że Pan sam dodawał mi siły. Nieraz, w chwili, gdy chodziło o nową jaką fundacyę, niewypowiedzianego doznawałam znękania i ucisku, czując się tak słabą i zbolałą, że w celi nawet nie mogłam inaczej wytrzymać, jak leżąca; i w tem udęczeniu mojem zwracałam się do Pana, żaląc się Jemu, dla czego każe mi robić, czego zrobić nie zdołam; a Pan przecie w Boskiej łaskawości swojej zawsze mi tyle dał siły, że choć z trudnością, mogłam się zabrać do rzeczy, i taki mi wlewał zapał do serca i takie zajęcie się

sprawą mi zleconą, iż zupełnie już jakoby zapomniałam o sobie <sup>1)</sup>).

<sup>1)</sup> Nie będzie od rzeczy zamieścić tu ciekawe i budujące szczegóły, jakie Ribera podaje o tych podróżach Świętej. Najczęściej i ile możności zabierała z sobą tylko takie siostry, które okazywały chęć towarzyszenia jej, i uprzejmem słowem dziękowała im za tę ich gotowość. W dzień wyjazdu całe zgromadzenie przystępowało do Komunii. Dla łatwiejszego utrzymywania się w skupieniu i uchronienia się od natrętów, podróże te odbywały się zawsze osobnym najętym powozem, to jest najczęściej prostym wozem, nakrytym płótnem. Skoro się wszystkie umieściły, zwykle ćwiczenia zakonne prowadziły się dalej, jak w klasztorze; dzwoneczkiem starsza dawała znak rozpoczęcia i zakończenia ich, a klepsydra mierzyła godziny. Milczenie w godzinach postanowionych, tak samo się zachowywało jak w klasztorze, nie tylko przez siostry, ale i przez towarzyszących im zwykle zakonników czy kapłanów, a nawet i przez służbę; tych ostatnich, do takiego umartwienia nie przywykłych. Święta za wiernie zachowane milczenie wynagradzała jakim lepszym jedzeniem albo datkiem. Jeśli kiedy wypadła jej konieczność przzerwania milczenia, czyniła to w słowach jaknajkrótszych, z uprzejmym uśmiechem i z dodaniem zawsze jakiego słowa miłością Bożą tchnącego, które dla słuchających było i zbudowaniem i pokrzepieniem. Rekreacye ożywiały pogodną wesołość, choć wszystka rozmowa była wyłącznie o Bogu i rzeczach Bożych. Wsiadając z powozu, siostry spuszczały zasłony, twarzą swojej nikomu nie pokazując, nawet niewiastom. W zajazdach i na noclegach Święta dla siebie i dla sióstr brała zawsze izbę ile możności oddaloną i samotną; siostra jedna stała ciągle przy drzwiach, spełniając urząd furtyanki. Księża i drudzy towarzysze drogi mieścili się gdzie mogli. W miejscowościach ubogich i w niemożności dostania większej ilości pokoiów osobnych, Święta za pomocą opou urządzała przegrody, aby siostry choć tym sposobem odłączone od drugich i podobne do klauzury miały pomieszczenie. Sama zawsze pierwsza wstawiała i budziła drugie, a wieczorem znowu kładła się ostatnia, sama pilnując wszystkiego. Podróżnej gromadce, dla słuchania spowiedzi, odprawiania Mszy św. i udzielania Komunii, zawsze towarzyszył kapłan, najczęściej O. Julian z Awili albo O. Gonzalez de Aranda. Codziennie, z wyjątkiem nadzwyczajnej jakiej przeszkody, wszystkie przed wyjazdem z noclegu słuchały Mszy św. Święta zawsze miała przy sobie wodę święconą; zwykle też brała w drogę, trzymając ją na ręku, figurę Dzieciątka Jezus i obrazek św. Józefa, aby widok tych świętych przedmiotów ułatwiał siostronom pamięć na obecność Boską. Przy takim urządzeniu drogi, zmiana miejsca nie robiła im różnicy, bo wszędzie jednakowo zachowywały swe praktyki i ćwiczenia klasztorne. Święta Bóg w tych podróżach taką zalewał hojnością łask i pociech swoich, że gdyby nie zewnętrzne rozrządzenia przygód lub przykrości podróży, nie byłaby

Nigdy, o ile pamiętam, nie uchyliłam się od podjęcia fundacyi z obawy cierpienia, jakkolwiek podróże wszelkie, zwłaszcza dalekie, zawsze mi były bardzo przeciwnie. Ale raz puściwszy się w drogę, za nic sobie miałam trud wszelki, pomnąc w czyjej służbie go ponoszę i radując się tą myślą, że w tym nowym domu Pan będzie odbierał cześć i chwałę, i sam w nim będzie mieszkał w Najświętszym Sakramencie. Każdy kościół nowo powstający, szczególną jest dla mnie pociechą, gdy wspomnę ile ich dzisiaj lutrzy burzą i niszczą. Nie masz, sędzę, tak wielkich trudów i cierpień, którychby nam godziło się ulęknąć, jeśli w zamian za nie możemy takim wielkiem dobrem społeczność chrześcijańską obdarzyć. Bo jakkolwiek wiele jest dusz, które nie pomną, że Jezus Chrystus, prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, całą istotnością swoją mieszka na wielu miejscach na raz w Najświętszym Sakramencie, wszakże ta Jego z nami obecność powinna być dla nas wszystkich największą pociechą. Co do mnie, często, wyznając, doświadczam tej pociechy, gdy widzę w chórze te dusze tak czyste pograżone w uwielbieniu Boga. Bo że czystem sercem te dusze Pana chwałą, to łatwo poznać po wielu znakach i po doskonałym ich posłuszeństwie, i po tem weselu ducha, jakim je napełnia takie ściśle zamknięcie i taka samotność, i po radosnej ich gotowości do skorzystania z każdej, jaka im się nadarzy sposobność do umartwienia i upokorzenia siebie. Im większą Pan której

---

zdolna znieść ich nawału. Ale i wśród tych roztargnień zawsze była głęboko skupiona, ani na chwilę, rzecz można, nie tracąc z oczu Boga. A ta pamięć na obecność Boga szczególny miała u niej, bardzo wysoki charakter. Zupełną miała i jasną świadomość mieszkania w głębi jej duszy trzech Osób Trójcy świętej, czuła w sposób cudowny obecność Ich, żyła jakoby w ustawicznym z Niemi obcowaniu. Przy takim Boskiem towarzystwie, nie dziw, że jak sama to wyznaje w księdze *Życia* swego, ciężkiem jej było towarzystwo ludzi. Wszakże, ile razy wymagała tego miłość bliźniego, umiała wychodzić z tego zaczarowanego wnętrza swego, i z nieczórną prostotą i uprzejmością rozmawiać; obecni wtedy nasłuchiwać się nie mogli słów jej, prawdziwie nadziemską tchnących słodkością, i pogodą, i wdziękiem, i kto raz miał szczęście z nią rozmawiać, ten pewno całe życie rozmowy tej nie zapominał.

(*Ribera, Życie św. Teresy*, ks. I, r. 18).



przełożonej daje łaskę ćwiczenia ich w tem wyniszczeniu samych siebie, tem większe stąd ich zadowolenie i uszczęśliwienie, i prawdziwie rzecz można, że prędzej przełożona ustanie w takim wystawianiu ich na próbę, niż one w posłuszeństwie; bo co do tego, pożądanja ich nie znają granic.

Jakkolwiek niema to ścisłego związku z historją fundacyi, którą zaczęłam opisywać, wszakże, ponieważ wspomniałam o umartwieniu, umieszczę tu córki moje, aby później nie zapomnieć, kilka uwag, dotyczących się tego przedmiotu, które w tej chwili przychodzą mi na myśl, a które może nie będą bez pożytku dla przełożonych. Różnych różnym Pan użycza zdolności i cnót; zatem też każda, będąc na przełożeniu, chce prowadzić siostry jej podwładne tą samą drogą, którą sama chodzi. Przełożonej zamiłowanej i mocno utwierdzonej w umartwieniu wewnętrznem, wszystko cokolwiek rozkaże podwładnej w celu ujarznienia w niej woli własnej, wyda się rzeczą łatwą, tak jak byłoby dla niej, choć jednak, gdyby sama miała spełnić taki rozkaz, kto wie, czy w danym razie nie przyszłoby jej to z trudnością. Trzymajmy się stale tej zasady, że co dla nas byłoby ciężkiem i trudnem, tego nie powinniśmy nakazywać drugim. Rozsądek jest warunkiem bardzo ważnym do dobrego sprawowania rządów; w tych domach naszych jest to warunek konieczny, — prawie powiedziałabym, nierównie bardziej konieczny niż w innych klasztorach, — bo większy u nas cięży na przełożonych obowiązek czuwania nad siostrami pod ich kierunek oddanemi, nie tylko nad zewnętrznem ich zachowaniem się, ale i nad usposobieniem ich wewnętrznem. Inna znowu przełożona, mająca w sobie większą gorącość ducha, chciałaby by siostry, i po za porami przepisanimi, ciągle były na modlitwie. Słowem, jak mówiłam, różnemi różnemi Pan prowadzi drogami; ale przełożona powinna pamiętać, że nie na to postanowiona jest, aby sama dla podwładnych wybierała drogę, jaka jej się podoba, jedno na to, aby je prowadziła drogą wskazaną przez regułę i konstytucyę, chociażby i wolała inną, i musiała zadawać gwałt własnej skłonności swojej.

W jednym z tych domów naszych widziałam przełożoną, mającą szczególny pociąg do praktyk pokutnych: w tym też

kierunku prowadziła wszystkie. Zdarzało się, że całe zgromadzenie brało bez przerwy dyscyplinę przez całą długość siedmiu Psalmów pokutnych z modlitwami; bywały tam inne jeszcze tegoż rodzaju ćwiczenia. W innych znowu domach zdarza się, że przełożona, zatopiwszy się w modlitwie, choć już po odmówieniu Jutrznii, więc nie w porze przepisanej na modlitwę, zatrzymuje wszystkie siostry i każe im podobnie się modlić, kiedy daleko lepiej byłoby, żeby poszły spać. Jeśli która, jak mówiłam, kocha się w umartwieniu, więc wszystkie dręczy ciągłymi umartwieniami; a te biedne owieczki Panny Najświętszej, wszystko, bez słowa odpowiedzi, spełniają co ona im każe, i wszystko znoszą w milczeniu jak jagniątka niewinne, na co patrząc, wielkie mam zbudowanie i zawstydzenie, ale czasem i silną pokusę. Bo siostry, całe zajęte Bogiem, nierozsądku przełożonej nie widzą, ale ja lękam się o ich zdrowie, i wolałabym, żeby poprzesławano na zachowaniu reguły, co samo już dostateczną jest pracą, a co nad to, niech się dzieje łagodnie i w duchu cichości, szczególnie w tem wszystkim, co się odnosi do umartwienia. Niechże przełożone, na miłość Boga, baczące na to oko mają: niech pamiętają, że w zarządzie tych domów niezmiernie ważną rzeczą jest rozsądek i dobre wyrozumienie zdolności i usposobienia każdej. Bez pilnego na te dwa warunki baczenia, miasto pożytku, szkodę wyrządzą podwładnym i niepokoju i trwogi je nabawia.

Niech pamiętają, że te dodatkowe, nad przepis reguły, umartwienia, nie są obowiązkiem i ta jest pierwsza i naczelna zasada, której się trzymać powinny. Zapewne, że umartwienie jest potrzebnem, aby dusza mogła wybić się na wolność i wznieść się do wysokiej doskonałości. Ale nie jest to rzecz którąby się dała zrobić w krótkim czasie; do tego celu zdąża się stopniowo i powoli; i to właśnie jest rzeczą przełożonej, by każdej w tem dopomagała, wedle stopnia zdolności i zrozumienia, i gorącości ducha, jakich Bóg której użycza. Może która pomyśli sobie, że na rozum i zdolności przyrodzone, o których dopiero co wspomniałam, nie masz tu co zważać. Myli się. Znajdzie się niejedna, która nim dojdzie do zrozu-

mienia, na czem się zasadza doskonałość, i do przeniknienia się duchem naszej reguły, dobrze się namęczy; i taka może potem właśnie najwyżej postąpi w świętości; ale nim to nastąpi, długi czas nie potrafi zrozumieć, kiedy należy tłómaczyć się, a kiedy nie, i innych tym podobnych drobnych praktyk, które gdyby rozumiała, możeby je spełniała z łatwością, ale nim je zrozumie, nie dostrzega znaczenia ich i wartości, albo co gorsze, żadnej w pełnieniu ich nie widzi doskonałości. W jednym z domów naszych jest pewna zakonnica, najświętobliwsza, o ile o tem sądzić mogę, z wszystkich jakie mamy w tym zakonie, dusza miłością Boga płonąca, nadzwyczajnemi od Boga łaskami obdarzona, w umartwieniu i w pokorze niezrównana: otóż są pewne punkta naszych konstytucyi, które jej żadną miarą nie mogą pomieścić się w głowie; tak na przykład oskarżanie kulpy na kapitule wydaje jej się brakiem miłości bliźniego: jakże, mówi, mogę skarżyć na siostrę? Mogłabym więcej przytoczyć podobnych przykładów; niejedna jest między nami bardzo gorliwa służebnica Boża, cierpiąca na podobną trudność zrozumienia pewnych rzeczy, a przecie pod względem postępu w cnotach przewyższająca drugie, choć te wszystkie rozumieją.

Niechaj także nie wyobraża sobie przełożona, by zdołała od razu poznać dusze; niech zostawi to Bogu, który sam zna skrytości serc, a niechaj stara się każdą prowadzić tą drogą, którą Pan jej przeznaczył, byleby nie wykraczała w niczem przeciw posłuszeństwu i zasadniczemu przepisom reguły i konstytucyi. Ona jedna z pomiędzy jedenastu tysięcy Panien, która w pierwszej chwili skryła się i odłączyła się od towarzyszek swoich, nie mniej przeto została świętą i męczenniczką: owszem, może więcej ucierpiała niż drugie, gdy potem sama jedna wydała siebie na męczeństwo.

Wracając jeszcze do zadawania umartwień, weźmy taki przykład. Przełożona, dla umartwienia siostry, daje jej rozkaz, może sam w sobie łatwy, ale dla niej trudny; ona go spełni, ale taki przy tem cierpi niepokój i takie pokusy, że widocznie lepiej było nie dawać jej tego rozkazu. Będzie to przestroga dla przełożonej, że nie powinna tej siostry pchać do doskona-

łości przemocą, że raczej ma do czasu dać folgę i powoli kroczkiem postępować, dając Panu czas, aby sam stopniowo zdziałał w tej duszy to, czego potrzeba. Przeciwnie, zmuszając ją gwałtem, i jakoby za włosy ciągnąc ją do tej doskonałości, bez której ostatecznie siostra ta może być jeszcze bardzo dobrą zakonnicą, łatwo może w tej duszy wzniecić trwogę i odmęt wewnętrzny i wtrącić ją w zniechęcenie i upadek na duchu, co jest rzeczą bardzo straszną. Patrząc na drugie, nauczy się powoli czynić jak i one, czego niejedyn przykład widzieliśmy; a chociażby stało się inaczej, brak tej jednej cnoty nie będzie jej jeszcze przeszkodą do zbawienia. Znam jedną taką, która całe życie wielką się odznaczała świętobliwością, i od wielu lat już na wszelki sposób gorliwie służy Panu, a przecie podlega zawsze pewnym niedoskonałościom i pewnych doznaje uczuć, których w sobie stłumić nie może; widzi to dobrze, i trapi się tem i przede mną żal i smutek swój wynurza. Na to snać Bóg dopuszcza jej ulegać tym ułomnościom, w których nie masz ani śladu grzechu, aby miała powód do upokorzenia się, i przekonała się dotykalnie, że nie jest jeszcze całkiem doskonałą. Tak więc jedne potrafią znosić wielkie umartwienie, i im trudniejsze rzeczy im kazać, z tem większą pociechą je spełnią, bo Pan dał im siłę wewnętrzną do ujarznienia woli swojej; drugie nie zniosą i małych, i zmuszać je do nich, byłoby to samo, co wkładać na barki dziecka dwa ciężkie wory zboża; nie tylko ich nie uniosło, ale ciężar taki nad siły zgniótłby je raczej i obalił na ziemię. Wybaczcie mi, córki moje, — do przełożonych to mówię, — że wedle tego, co w niektórych z was spostrzegłam, tak szeroko się nad temi uwagami rozwodzę.

Jedną jeszcze dodam przestrozę, i to bardzo ważną: nigdy, chociażby pod pozorem doświadczenia posłuszeństwa, nie dawajcie rozkazów, których spełnienie byłoby grzechem, chociażby powszednim; a wiem o takich przykładach, i parę ich przytoczyłam wyżej, że gdyby siostra była uczyniła to, co jej było kazano, byłaby popełniła grzech śmiertelny. Ją może uniewinniłaby dobra jej wiara i prostota serca; ale żadną miarą nie uniewinniłaby się przełożona, tem bardziej, że zna bezwa-

runkową uległość tych dusz niewinnych, któremi rządzi, i wie, że cokolwiek im każe, to one natychmiast spełnią. Czytając lub słysząc o bohaterskich czynach zaprzania się ojców świętych na puszczy, przekonane są, że każdy rozkaz im dany dobry jest i słuszny, albo przynajmniej, że same, spełniając go, czynią rzecz najlepszą. Ale i one powinny wiedzieć o tem, że co bez rozkazu byłoby grzechem, tego i mając rozkaz, uczynić nie mogą. Mogą wprawdzie i powinny usłuchać, gdy im każą opuścić Mszę św., albo zaniechać postu, i tym podobne rzeczy; bo choć to są przykazania, same z siebie obowiązujące, przełożona wszakże dla słusznych przyczyn ma prawo w danym razie od nich zwolnić. Ale takie rozkazy jak on wrzucenia się do studni, i tym podobne, niezawodnie grzechem byłoby spełnić, bo nie godzi się żadnej liczyć na to, że Bóg dla niej cud uczyni, jak to niekiedy czynił dla świętych. Wiele zaiste jest rzeczy, w których doskonałe posłuszeństwo otwarte dla siebie ma pole; byleby nie było w nich niebezpieczeństw wyżej wskazanych, wszystkie one są dobre i godne pochwały.

Kiedys w Malagonie jedna siostra prosiła przełożonej o pozwolenie wzięcia dyscypliny. Zapewne nie pierwszy raz przychodziła z tą prośbą, bo przełożona odpowiedziała jej krótkim: „Daj mi pokój, idź sobie“; a gdy ta dalej się naprzykrzała, powtórzyła jej znowu: „Daj mi pokój, idź sobie na spacer“. Jakoż siostra z największą prostotą poszła na spacer i kilka godzin spacerowała. Któraś zapytała jej, czego tak ciągle chodzi, odpowiedziała, że tak jej kazano. Aż wreszcie zadzwoniono na Jutrznie; przełożona, zdziwiona, że siostry nie widać w chórze, zapytuje, gdzie się obraca. „Spaceruje“, odpowiedziano jej. Potrzeba więc przełożonym, jak już mówiłam, bardzo się mieć na baczności i z wielką postępować oględnością, mając do czynienia z duszami tak rozmiłowanymi w posłuszeństwie. Innym razem któraś znalazła w ogrodzie dużego robaka i przyniosła go do przełożonej, pytając czy nie ładny? „Bardzo ładny“, odpowiedziała przełożona żartując: „zjedz go“. Poszła do kuchni z robakiem swoim i najdokładniej go usmarzyła. „Co tam smarzysz, i na co?“ zapytała jej kucharka. „Robaka smarzę“,

odpowiedziała, „i zjem go“; i gdyby jej nie wstrzymano, byłaby tak zrobiła, z ciężką może szkodą dla zdrowia, i z nie-mniejszym strapieniem dla przełożonej, która ani pomyślała, by żart jej tak został wzięty na seryo. Niewypowiedziana to radość dla mnie, że widzę córki moje, tak aż do zbytku roz-miłowane w posłuszeństwie, bo sama szczególnie mam cześć dla tej cnoty, i z wszystkich sił moich starałam się o to, aby one jej nabyły. Ale na nic byłaby wszelka usilność moja, gdyby Pan sam w nieskończonem miłosierdziu swoim nie był nam uczynił tej łaski, że wszystkie na ogół mają pociąg do tej cnoty i ochotnie się do niej skłaniają. Oby w Boskiej dobroci swojej dawał nam czynić w niej coraz wyższe postępy.

---

## ROZDZIAŁ XIX.

O fundacyi domu św. Józefa w Salmantyce, ciąg dalszy.

Daleko odeszłam od opowiadania mego; ale gdy mi się nastręczy sposobność mówienia o jakiej kwestyi życia duchowego, w której Pan raczył mię drogą własnego doświadczenia oświecić, nie mogę o niej nie wspomnieć; może też to, co mnie się wydaje dobrem, będzie takim w istocie. Zawsze jednak, córki, zasięgajcie rady ludzi z nauką i przez nich znajdziecie drogę doskonałości w roztropności i prawdzie. Przełożonym zwłaszcza koniecznie potrzeba spowiadać się u światłych i uczonych teologów; inaczej, w wielu rzeczach pobałamuca, a będzie im się zdawało, że postępują najświęciej. Dla siostr także powinny się starać o spowiedników naukowo wykształconych.

Stanęłyśmy tedy w Salmantyce w wigilią Wszystkich Świętych, w południe, roku, jak wyżej powiedziałem, 1570. Z gospody, w której zatrzymałyśmy się, posłałam dowiedzieć się do jednego zacnego mieszczanina, któremu byłam zleciła opróżnienie domu dla nas najętego. Nazywał się Mikołaj Gu-tierrez. Był to bardzo gorliwy sługa Boży; cnotliwym życiem swoim zasłużył sobie u Pana na łaskę wielkiego pokoju

i wesela wewnętrznego w utrapieniach, jakich doświadczył wiele, i bardzo dotkliwych: niegdyś bardzo zamożny, przyszedł był do zupełnego ubóstwa, a tak ochotnie je znosił, jak by największe posiadał bogactwa. W założeniu tej fundacyi bardzo nam był pomocny, ochotną wolą i prawdziwem poświęceniem siebie, wiele około niej pracy sobie zadając. Otóż przyszedłszy do mnie na wezwanie moje, oznajmił mi, że dom jeszcze nie jest opróżniony, bo dotąd nie mógł skłonić studentów do ustąpienia z niego. Wytlómaczyłam mu, jak wiele mi zależy na bezzwłocznem zajęciu tego domu, pierwiej nim przyjazd mój stanie się wiadomym w mieście, bo jak już mówiłam, zawsze byłam w obawie, by jeszcze nam jaka przeszkoda w drogę nie weszła; zaczem Gutierrez udał się do właściciela domu, i choć nie bez trudności, dokazał przecie tego, że przed wieczorem zrobiono nam miejsce, i tegoż dnia jeszcze mogliśmy się na noc przenieść do siebie. Była to pierwsza fundacya, którą otworzyłam bez wprowadzenia Najświętszego Sakramentu; sądziłam zawsze, że bez tego nie masz istotnego wniścia w posiadanie, i dopiero niedawno przedtem byłam się dowiedziała, że nie jest to warunek konieczny, z czego na ten raz bardzo się cieszyłam, wobec niepięknych porządków, jakie zastałyśmy po studentach; panowie ci, snąc niewybredni w punkcie ochędostwa, w takim stanie cały dom pozostawili, że nie mało przez noc użyłyśmy pracy, nim go doprowadziłyśmy do czystości<sup>1)</sup>.

Nazajutrz rano odprawioną została pierwsza Msza święta, poczem zaraz posłałam po więcej sióstr, które miały przybyć z Medina del Campo. Noc po tym dniu Wszystkich Świętych spędziłyśmy, ja z towarzyszką moją, zupełnie same. Przyznam się wam siostry, że dotąd jeszcze śmiać mi się chce, gdy wspomnę na strach, jakiego wówczas użyła towarzyszka moja,

---

<sup>1)</sup> Jednym z tych studentów był późniejszy biskup Barbastro, Don Juan Moriz. Pozostał po nim dokument, w którym popierając wniosek o beatyfikację ś. Teresy, mówi między innemi: „Lat temu czterdzieści, gdy odbywał nauki na uniwersytecie salmantyceńskim, ustąpiłem z domu w którym miałem mieszkanie, aby ona w nim mogła założyć klasztor żeński“. *Anno Teresiano*, Tom. V. pag 74.

Marya od Najświętszego Sakramentu, zakonnica starsza ode mnie, i bardzo świętobliwa służebnica Boża. Dom był bardzo duży, z mnóstwem schowań i zakomórków, a pusty i zapuszczony. Otóż siostra Marya nie mogła sobie wybić z głowy, że kiedy ci studenci tak się ociągali z ustąpieniem, pewno który z nich pozostał jeszcze gdzieś w jakim kącie ukryty; i bez wątpienia, że gdyby był chciał, byłby mógł to zrobić, bo miałby gdzie się schować. Zamknęliśmy się w jednym pokoju, gdzie była słoma; jest to pierwszy artykuł, o który się staram przy założeniu nowego domu, bo mając słomę, już jesteśmy spokojne o nocleg. Na niej więc tę pierwszą noc spałyśmy, pod dwiema kołdrami, których nam pożyczono. Nazajutrz też, zakonnice z pobliskiego klasztoru św. Elżbiety <sup>1)</sup>, choć my obawiałyśmy się, że bardzo będą nierade naszemu w tak bliskiem z niemi sąsiedztwie osiedlenia się, z wielką przeciwnie życzliwością pożyczyły nam rzeczy potrzebnych dla towarzyszek naszych przybyć mających, dostarczyły nam pożywienia, i potem jeszcze, przez cały czas naszego w tym domu mieszkania wiele nam świadczyły dobrodziejstw i wspierały nas jałmużną. Owoż, znalazłszy się w tym pokoju dobrze zamkniętym, siostra Marya, co do studentów, jakoby nicó się uspokoiła; mimo to jednak wciąż oglądała się ze strachem, to w jedną, to w drugą stronę; zapewne i dyabeł przyczyniał się do tego jej przerażenia, nasuwając jej widma urojonych niebezpieczeństw, aby przez nią nastraszyć i mnie, do czego przy ciągłych moich słabościach sercowych nie wiele potrzeba. „Czegoż tak się oglądasz, zapytałam jej, kiedy wiesz, że nikt tu wejść nie może?“ — „Matko, odpowiedziała mi, ja myślę sobie, coby to było, gdybym teraz tu nagle umarła: cobyś ty wówczas sama jedna poczęła?“ Istotnie, podobny wypadek, gdyby się zdarzył,

---

<sup>1)</sup> Był to klasztor terecyarek franciszkanek, zniesiony dopiero w r. 1857, jako grożący ruiną. W Alba de Tormes istnieje jeszcze dom tego zgromadzenia, i dotąd w nim przechowuje się cela, w której chwilowo gościła św. Teresa w czasie, gdy zakładała swój klasztor w tem mieście. Terecyarki te noszą habit fioletowy, na pamiątkę królewskiej purpury swej Patronki, św. Elżbiety królowej.



byłby dla mnie, przynaję, ciężkim do przebycia; zatrzymałam się na chwilę myślą nad tem przypuszczeniem, i nawet się przeleżałam, bo widok trupa, choć się go nie boję, zawsze mi, choćbym nie była sama, sprawia pewne omdlenie sercowe. Ciągły przytem odgłos dzwonów. — bo było to, jak mówiłam w wilią Dnia Zadusznego, zmacniał to wrażenie, a przytem i dyabeł z tej sposobności skorzystał, aby nam takimi dziecinstwami myśli poplątać; bo ten jest zwykły sposób jego, że gdy widzi, że go się nie boimy, innych wtedy szuka dróg do zatrwożenia nas. W końcu jednak, po chwili zastanowienia, powiedziałam siostrze Maryi: — „Jak się to stanie, wtedy pomyślę, co zrobić; tymczasem, siostrzo, daj mi spać“. Jakoż po dwu bezsennych nocach, rychło nam sen uśpił strachy nasze, a nazajutrz przybycie drugich siostr zupełnie je rozpedziło.

Klasztor nasz pozostawał w tym domu około trzech lat, czy czterech nawet, dobrze nie pamiętam. Mnie w tym czasie kazano udać się do klasztoru Wcielenia w Awili <sup>1)</sup>. Nie był to dla mnie rozkaz pożądany, bo nigdybym z własnej woli nie opuściła nowej fundacyi, póki bym nie zostawiła siostr w domu własnym, a spokojnym i odpowiednio urządzonym. Nigdy też, o ile to zależało odemnie, inaczej nie postępowałam. Bóg mi użyczał tej wielkiej łaski, że do pracy i trudu zawsze byłam pierwsza i niewypowiedzianą w tem znajdowałam dla siebie przyjemność; w każdym domu sama obmyślałam i urządzałam wszystkie, aż do najdrobniejszych, szczegóły do spokojnego i z powołaniem naszym zgodnego życia służące, jak gdybym miała sama w nim mieszkać aż do śmierci, i wielką to było

---

<sup>1)</sup> Ś. Pius V, Papież, przeprowadzając na prośby Filipa II reformę zakonów w Hiszpanii, wizytatorem apostolskim w tym celu mianował między innymi Piotra Hernandez, dominikanina, polecając mu reformę klasztorów karmelitańskich w obu Kastyliach. Mąż ten Boży, rozumem i nauką zarówno jak świętobliwością zakonną znakomity, pragnąc w klasztorze Wcielenia wznowić ducha dawnej reguły, za najskuteczniejszy ku temu sposób uznał oddanie tego klasztoru na trzy lata pod kierunek św. Teresy. Nie zawiódł się w oczekiwaniu swoim. Święta, objawszy rządy w październiku r. 1571, przy pomocy św. Jana od Krzyża, którego była sobie wyprosiła za spowiednika siostr, w krótkim czasie doprowadziła klasztor do stanu kwitnącego. Ob. *Życie*.

dla mnie pociechą, ile razy mogłam odjeżdżając pozostawić siostry dobrze i jaknajdogodniej umieszczone. Dla tego też bardzo się martwiłam, wiedząc, że te, które zostawiłam w Salmantyce, na wielkie tam narażone są cierpienia, nie pod względem utrzymania, bo o tem. ponieważ dom nasz nadto był położony na ustroniu, aby można było liczyć na jałmużny, ja sama z miejsca pobytu mego pamiętałam, ale pod względem zdrowia, bo w domu była wilgoć i zimno dotkliwe, a z powodu znacznej rozległości jego nie starczyło nam środków na gruntowne zaradzenie złemu; a co najgorsza, nie można było trzymać w nim Najświętszego Sakramentu, co dla dusz w takim zamknięciu żyjących bardzo bolesną jest ujmą. One jednak wcale się nie trapiły tem przykrem położeniem swoim, owszem z takim je znosiły weselem, że było czego dziękować Bogu. Niektóre z nich mówiły mi, że wyrzucałyby to sobie jako niedoskonałość, gdyby pragnęły innego domu, kiedy z tego zupełnie są zadowolnione, zwłaszcza gdyby jeszcze miały w nim Najświętszy Sakrament.

Wreszcie przełożony nasz <sup>1)</sup>, widząc taką ich doskonałą cierpliwość, w takich ciężkich jakie miały do zniesienia przykrościach, zlitował się nad niemi, i kazał mi opuścić klasztor Wcielenia, a pojechać do nich. One już były umówiły się z jednym panem ze szlachty miejscowej, o ustąpienie im domu, jaki posiadał w mieście; ale dom ten był w takim stanie, że potrzeba nam było wydać przeszło tysiąc dukatów, nim mogłyśmy się do niego wprowadzić. Dom ten stanowił majorat, więc do zmiany własności potrzeba było pozwolenia królewskiego; ale on zgadzał się na to, byśmy i przed wydaniem tego pozwolenia dom zajęły, pozwalając nam nawet robić w nim zmiany i wznosić potrzebne nam ściany i przegrody. Uprosiłam O. Juliana z Awili, który mi, jak mówiłem, w tych fundacyach towarzyszył, i w czasie przeniesienia mego do klasztoru Wcielenia także był pojechał zemną, aby mi i teraz towarzyszył do Salmantyki. Obejrzelśmy razem on dom, dla przekonania się,

---

<sup>1)</sup> Tenże sam O. Hernandez.

co jest w nim do zrobienia, ja mając już doświadczenie, dobrze się znałam na tych rzeczach. Przyjechaliśmy w sierpniu, i jakkolwiek przyspieszałam ile możliwości roboty, aby się skończyły do ś. Michała, to jest do pory odnawiania najmów rocznych, dużo jednak jeszcze w tym terminie brakowało do tego, by dom zupełnie był gotów; ale mimo to potrzeba nam było przenieść się zaraz, choć do niegotowego, bo najmu tego domu w którym stałyśmy, nie byłyśmy na rok następny przedłużyły, i nowy lokator bardzo naglił nas, abyśmy się wynosiły. Kaplica ledwie była, i to nie całkiem jeszcze, pobielona. Pan on, który nam był sprzedał ten dom, był nieobecny; różni życzliwi odradzali nam i ganili, że się tak nagle wprowadzamy; ale wobec konieczności, trudno zważać na rady, nie zaradzające potrzebie. Wprowadziłyśmy się więc w wilię św. Michała, nad ranem. Było już ogłoszono, że otworzenie domu, z wprowadzeniem Najświętszego Sakramentu i z kazaniem, odbędzie się nazajutrz, w sam dzień święta. Spodobało się Panu, że właśnie w czasie naszego przeprowadzania się, wieczorem, począł padać taki deszcz rzęsiasty, że z przenoszeniem rzeczy potrzebnych niemalą miałyśmy trudność. Kaplica świeżo zbudowana, źle była pokryta, skutkiem czego prawie nie było w niej kąta gdzieby nie zaciekało. Przyznam się wam córki, że tego dnia bardzo się uczułam niedoskonałą. Wobec ogłoszonego już i zapowiedzianego nabożeństwa, nie wiedziałam co począć; trapiłam się tylko bezradna, i wreszcie, jakby utyskując, powiedziałam Panu: — „Albo mi, Panie, nie zlecaj takich rzeczy, albo zaradz tej potrzebie“<sup>1)</sup>. Pocziwy nasz Mikołaj Gutierrez, spokojny

---

<sup>1)</sup> Pod zasłoną oskarżania się o niedoskonałość, Święta w pokorze swojej zręcznie ukrywa tu cud przez nią zdziałany; w rzeczy samej tak było, że ledwo zaniosta do Pana one skargę swoją, gdy tejże chwili niebo się wypogodziło. Wielebna Matka Anna od Jezusa, tak opisuje, jako świadek naoczny, cudowne to zdarzenie, w swych zeznaniach do procesu kanonizacyjnego: „Była już ósma wieczór, powiada, miałyśmy jeszcze trzy ołtarze do ubrania, a deszcz wciąż zalewał kaplicę. Nie wiedząc już co począć, poszłam z drugimi dwiema siostrami do Świętej, i w obecności O. Juliana z Awili, i licencyata Nieto, kapelana klasztoru naszego w Alba, którzy z nią rozmawiali, powiedziałam jej tonem bardzo stanowczym: — Wiesz, Wielebna Matko, która godzina, i ile

jak zawsze, jak gdyby nic złego nie groziło, cicho i łagodnie uspokajał mię: — „Nie frasuj się, Matko, mówił mi; Bóg temu zaradzi“. I tak się stało. W dzień św. Michała, w porze kiedy ludzie mieli się zbierać na nabożeństwo, słońce zajaśniało. Powitałam je z uczuciem najgłębszej ku Bogu wdzięczności, i trudno mi było nie uznać, że daleko lepiej począł sobie był on święty człowiek, z ufnością polegając na Panu, niż ja, podając się zmartwieniu memu.

Zebrało się sporo ludzi, i z wielką uroczystością, przy odgłosie muzyki, odbyło się wprowadzenie Najświętszego Sakramentu. A ponieważ dom ten bardzo dobrze jest położony w jednej z głównych dzielnic miasta, więc i wiadomość o nas szerzej się rozchodziła, i poczęli różni z nabożeństwem garnąć się do klasztoru naszego i kaplicy. Dwie panie szczególnie wiele nam okazywały życzliwości: Donna Marya Pimentel, hrabina de Monterey <sup>1)</sup>, i Donna Maryana, małżonka korredżitora,

---

nam jeszcze pozostaje do zrobienia na jutro; zechciej więc prosić Boga, aby deszcz ustał. — Sama proś, odpowiedziała mi, trochę nierada tak jasnemu wypowiedzeniu ufności mojej w skuteczność jej modlitwy: sama proś, kiedy ci tak pilno, i kiedy myślisz, że Bóg mię tak od razu wysłucha. Zamilkłam i wyszłam: ale ledwo przestąpiłam próg i stanęłam na przyległym dziedzińcu, ujrzałam nad sobą niebo tak czyste i gwiaździste, że niktby temu nie dał wiary, by przed chwilą jeszcze była taka gwałtowna i uporeczywa ulewa. Ośmielona tą niespodzianą zmianą, poważylam się wrócić do Świętej, i w tymże tonie stanowczej ufności powiedziałam jej: — Już nie pada; ale byłabyś też mogła. Wielbna Matko, wcześniej poprosić Boga o pogodę. — Na to nie już nie odpowiedziała, tylko się słodko i łagodnie uśmiechnęła.“ (Manrique, *Żywot Wiel. Matki Anny od Jezusa*, ks. II, r. 8).

<sup>1)</sup> I tutaj znowu św. Teresa, wspominając o serdecznej przychylności hrabiny Monterey, pomija milczeniem cudowne zdarzenie, które do niej powód dały: ale co pokora Świętej chciała ukryć przed nami, to nam przekazali jej życiopisarze. Dokonawszy fundacyi w Albie, Święta powróciła do Salmantyki, chcąc osobiście doglądać młodego jeszcze tamże klasztoru swego. Stanęła w pałacu hrabiego Monterey, który pragnąc ją mieć u siebie, był sobie u prowincyała tę łaskę wyprosił. Pobyt ten św. Teresy w domu hrabiego zazna- czył się dwojakiem cudownem uzdrowieniem. Pierwszego dostąpiła żona guwernera dzieci hrabiostwa, śmiertelnie chora na szkarlatynę, i już przez lekarzy opuszczona. Święta, na prośbę hrabiostwa, odwiedziła ją, i jakby sposobem przywitania włożyła jej ręce na głowę; w tejsze chwili chora zerwała się,

to jest burmistrza czy prezydenta miasta. Zaraz nazajutrz, jakby umyślnie dla zaspiewania nam radości naszej z posiadania Najświętszego Sakramentu, przyjechał nasz pan, właściciel domu, tak zły i zagniewany, że nie wiedziałam już co z nim począć; snać dyabeł był w tem, że nie było sposobu dojść z nim do ładu: przedstawiałam mu, że warunki umowy wszystkie spełniłyśmy, ale wszelkie racye i perswazye moje były daremne. Za wstawieniem się kilku osób nam życzliwych ułagodził się nieco, ale potem znowu zmienił zdanie. Byłam już gotowa oddać mu dom; ale i na to się nie zgadzał, żądał tylko wypłacenia mu od razu całego szacunku, co było przeciwnem umowie; bo dom ten w istocie należał do żony jego, która go chciała sprzedać dla wyposażenia dwu córek swoich, i ten był tytuł powoływany w podaniu o pozwolenie królewskie, my zaś, do czasu nadejścia onegoż, pieniądze za dom należne byłyśmy, wedle umowy, złożyły na ręce osoby przez samegoż tego pana wskazanej. Z całego tego zawikłania wynikło to, że dzisiaj jeszcze po upływie trzech lat, sprawa tego kupna nie jest skończona, i nie wiem, czy klasztor nasz będzie mógł pozostać

---

jakby ze snu przebudzona, pytając kto jej dotknął, i wołając, że jest uzdrowiona. Święta, zawstydzona takim widocznym cudem, przez nią z woli Bożej działanym, kazała milczeć chorej, chcąc wmówić w obecnych, że bredzi nieprzytomna; ale lekkie z łóżka zcrwanie się uzdrowionej, i gorące dziękczynienia, jakie składała swej wybawicielce od śmierci, zbyt jawnie świadczyły o rzeczywistości cudu. Druga uzdrowiona była córeczka samychże hrabiostwa. Rodzice widząc ją już prawie konającą i grożącą im stratą przerażeni, uciekli się do św. Teresy z błagalną prośbą, aby im wyjednała u Boga ocalenie dziecka. Święta czyniąc zadość ich żądaniu, udała się na modlitwę, w ciągu której ukazali jej się św. Dominik i św. Katarzyna Seneska, zwiastując jej, że prośba jej została wysłuchana, i zalecając przytem, aby uzdrowiona, na dziękczynienie Bogu, nosiła przez rok habit św. Dominika. Święta, nie mogąc oznajmić rodzicom tego polecenia, bez przyznania się tem samem do użyczonego jej widzenia, zwierzyła się z kłopotem swoim Ojcu Banez, który podjął się zastępstwa. Dziewczynka, cudownie uratowana, chodziła przez rok w habitcie św. Dominika; później doszedłszy do lat, wyszła za hrabię Olivarez; syn jej, sławny książę Olivarez, zapewne przez pamięć na cud, którego matka jego doznała za pośrednictwem św. Teresy, był całe życie szczególnym obrońcą i dobroczyńcą zreformowanego Karmelu.

w tym domu, jak w chwili kiedy to piszę, jeszcze w nim pozostaje, czy też trzeba będzie przenieść go gdzieindziej <sup>1)</sup>. To tylko wiem, że w żadnym z klasztorów tej naszej reguły pierwotnej, jakie dotąd Pan nam założyć pozwolił, siostry nie miały tyle przykrości do zniesienia, ile w tym salmantyceńskim. Ale tyle w nich jest, z miłosierdzia Boskiego, zaprzania siebie i ochotnej woli do cierpienia, że wszystko to znoszą z weselem w czem niechaj Pan w Boskiej dobroci swojej i nadal utwierdzać je raczy. Mniejsza o to, jaki nam dom na mieszkanie przypadnie, wygodny czy niewygodny; owszem, na wspomnienie jako Pan wszystkiego świata nie miał na tym świecie własnego schronienia, wielka to dla nas pociecha, mieszkać w domu, z którego nas wyrzucić mogą. Takie tułanie się po obcych, pożyczanych kątach nieraz, jak o tem świadczą te fundacye, nam się zdarzyło; ale mogę oddać to świadectwo prawdzie, że nigdy nie spostrzegłam, by która siostra tem sobie przykrzyła. Niechże nam za to nie zabraknie mieszkania w domu wieczności, co niechaj Pan raczy sprawić przez niekończoną dobroć i miłosierdzie swoje, amen, amen.

---

## ROZDZIAŁ XX.

O fundacyi klasztoru Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi  
w Alba de Tormes, roku 1571.

W niespełna dwa miesiące po dokonaniem w dzień Wszystkich Świętych objęciu domu w Salmantyce, podskarbi księcia Alby i żona jego <sup>2)</sup> zgłosili się do mnie z usilnem naleganiem, abym w tem mieście, to jest w Alba de Tormes, klasztor założyła. Nie miałam wielkiej chęci do tej fundacyi, bo w takiej małej mieścinie klasztor nie mógłby istnieć bez stałych do-

---

<sup>1)</sup> W rzeczy samej, po śmierci św. Teresy, siostry nie mogąc nakłonić do zgody tego pana, zmuszone były ustąpić z domu jego, i przeniosły się w inną dzielnicę miasta, gdzie klasztor ich dotąd istnieje.

<sup>2)</sup> Podskarbin tym był nie kto inny, jedno własny szwagier Świętej, Jan de Ovalle, mąż siostry jej, Joanny de Ahumada.

chodów, a mojem życzeniem zawsze było, by wszystkie domy nasze utrzymywały się z samej tylko jałmużny. Ale bawiący wówczas w Salmantyce O. magister Dominik Banes, który był spowiednikiem moim, jak o tem wspomniałam na początku tych Fundacyi, wylażał mię za ten jakoby upór mój tłómacząc mi, że skoro Sobór Trydencki na dochody pozwala, byłoby to dzieciństwem z mojej strony, gdybym z takiego powodu wymawiała się od założenia nowego klasztoru; dodał przytem, że to moje bezwarunkowe odrzucanie dochodów dowodzi niezrozumienie rzeczy, bo doskonałość i ubóstwo zakonne zgoła nie zależą od tego, czy klasztor posiada majątek, czy nie. Lecz nim przystąpię do opisu fundacyi, pierwej powiem, kto był domu tego fundatorką, i w jaki sposób Pan ją pobudził do tego pobożnego przedsięwzięcia.

## I. H. S.

Fundatorka tego klasztoru Zwiastowania Najświętszej Panny w Alba de Tormes, Teresa de Layz, pochodziła z rodu wysokiego, z najprzedniejszych, najczystszej krwi hidalgów. Rodzice jej jednak, nie posiadając odpowiedniego majątku, ani środków dostatecznych do utrzymania dawnej świetności rodu, mieszkali na wsi, w Tordillos, miejscowości odległej o dwie mile od miasta Alby. Jest to rzecz prawdziwie pożałowania godna, ta próżność panująca na świecie, gwoli której ludzie wolą raczej skazać siebie na ukrywanie się gdzieś w odludnym zakątku, gdzie żyją pozbawieni towarzystwa, i nauki, i tylu innych rzeczy, służących ku oświeceniu duszy, niż odstąpić w najmniejszej rzeczy od tego, czego rzekomy ich honor wymaga. Rodzice Teresy de Layz, mając już cztery córki w chwili przyjścia jej na świat, bardzo byli nieradzi narodzeniu się tej piątej. Prawdziwie oplakane to zaślepienie śmiertelnych ludzi! Nie wiedzą, co jest dla nich lepszego, nie zdołają rozumem swoim przeniknąć ukrytych przed nami wyroków Bożych, nie potrafią odgadnąć, ile i jak wielkiej pociechy właśnie córka im przynieść może, ile właśnie syn może im przyczynić zmartwienia: a przecie nie chcą zdać się na wolę Tego, który wszystko widzi i wie, i sam wszystko tworzy

i gryzą się i zagryzają tem, z czego by się radować powinni. Śpiącą czy martwą wiarą swoją nie umieją wyżej podnieść swych myśli; nie pomną, że Bóg sam wszystko zrzadza, że w Jego ręce z ufnością oddać się powinni; a ile wielkiem jest zaślepienie ich, że tego nie czynią, tyle też jawny jest ich nierozum, że tak się martwią i gryzą na próżno, ani się nie zastanowią nad tem, że nic im to nie pomoże. O Boże wielki! jakże inaczej sądzić będą o tych ślepych wymaganiach i żalach swoich w on dzień, w którym każda rzecz objawi się w prawdziwym świetle swoim! Iluż tam ojców znajdzie się w piekle przez tych synów, których tak pragnęli! ile matek ujrzy się w niebie, dzięki cnotom i zasługom córek swoich!

Wracam do opowiadania mego. Rodzice podali małą do chrztu w sam dzień narodzenia jej, i to im się chwali. Ale zresztą tak mało dbali o życie jej, że trzeciego dnia, od rana do wieczora, zostawili ją samą; nikt przez cały dzień nie zajrzał do dziecka. Wieczorem dopiero przysła piastunka najęta, i dowiedziawszy się co się dzieje, prędko pobiegła do maleństwa, prawie pewna, że już umarło. Kilka osób, przybyłych w odwiedzinę do matki, poszło za nią; i o to w ich oczach stała się rzecz dziwna. Piastunka z płaczem wzięła dziecko na ręce, i z wyrazem oburzenia na nieludzkie z niem obchodzenie się rodziców, zawołała: — „Jak to, biedna dziecino, nie jesteś nawet ochrzona? — Na to dziecko podniosło głowę i wyraźnie wymówiło: — „Jestem“. Po tem jednym słowie, znowu jak każde inne dziecko, stała się i pozostała niemowlęciem, aż do czasu kiedy dzieci mówić zaczynają. Wielkie było zdumienie obecnych, a matka od tego czasu pokochała dziecinę i troskliwą otaczała ją opieką; często mówiła, że pragnęłaby dłużej żyć, aby mogła obaczyć jeszcze, co Bóg z tem dziwnem dzieckiem uczyni. Wychowała ją wraz z siostrami jak najstaranniej, zaprawiając je do pobożności i wszelkiej cnoty.

Gdy doszła do lat, rodzice poczęli myśleć o wydaniu jej za mąż, czemu ona z początku się sprzeciwiała, woląc pozostać panną; aż gdy któregoś dnia usłyszała, że Franciszek Velazquez, — który później miał być wraz z nią fundatorem tego domu, oświadcza się o jej rękę, natychmiast, na samo wymie-



nienie nazwiska jego, oświadczyła gotowość wyjścia za mąż, jeśli ją za niego wydadzą, choć go zupełnie nie znała. Pan sam tak zrzucił, aby tym sposobem przyszło do skutku to dobre dzieło, które oni we dwoje na chwałę jego wykonali. Velazquez, mąż cnotliwy a bogaty, tak kocha swą żonę, że wszystko gotów jest uczynić dla zrobienia jej przyjemności i słusznie, bo wszelkie zalety i cnoty, jakie zdobyć mogą niewiastę zamężną, Pan jej w wysokim stopniu użyty; wzorowa z niej pani domu, a przytem, z dobrocią niezrównaną łączy nieugiętą stałość w uczciwości i cnocie, czego mianowicie w jednym zdarzeniu świetny dowód dała. Mąż z nią po ślubie osiadł był w Albie, skąd był rodem; lecz gdy po niej jakim czasie kwatermistrze książęcy umyślili w domu przez nich zajmowanym wyznaczyć mieszkanie jakiemś młodemu kawalero-wi, ona tak się na to obruszyła, że dalszy pobyt w tym domu stał się dla niej nieznośnym; bo będąc młodą i przystojną, a widząc że dyabeł już zaczyna w tym młodym człowieku wzniecać myśli nieuczciwe, bała się, by z tego nie wynikło co złego. Nie mówiąc więc nic mężowi o tych obawach swoich, prosiła go tylko, by ją zabrał z tego miejsca, a on, czyniąc zadość jej życzeniu, przeniósł się z nią do Salmantyki, gdzie i w czasie gdy ich poznałam, żyli szczęśliwi i w wielkich dostatkach, bo niezależnie od własnego majątku swego, Velazquez piastował tam wysoki urząd, zapewniający mu wielkie wpływy i powszechne poważanie. Jedno tylko mieli zmartwienie: Pan im nie dawał dzieci. Żarliwie w tym celu zanosila do Boga modlitwy i różne ofiarowała uczynki pobożne, zawsze tylko o to jedno Pana prosząc, by raczył jej dać potomstwo, któreby po niej chwaliło Boski Majestat Jego, bo pobożne serce jej nie mogło przenieść na sobie tej myśli, by cześć i miłość, jaką Bogu oddaje, miała się skończyć z jej życiem, by nikogo nie pozostawiła po sobie, ktoby ją dalej przedłużał. Nigdy, jak mię upewniała, te jej pragnienia i prośby o potomstwo innego celu nie miały; i wierzę temu, bo jest to osoba tak szczerą i wysoce cnotliwą, że niepodobna mi wątpić o rzetelności tego jej zapewnienia. Z głębi serca dzięki czynię Panu, patrząc na cnotliwe życie tej duszy, tak żarliwie we wszyst-

kiem jedynie chwały i upodobania Bożego pragnącej i taką obfitością zasług i dobrych uczynków każdą chwilę życia swego zapełniającą.

Po kilku latach takich gorących a wciąż daremnych pragnień, wciąż których bezustannie mnożyła swoje w tym celu modlitwy i nabożeństwa, polecając się zwłaszcza św. Andrzejowi, szczególnie, jak jej mówiono, w podobnych sprawach patronowi, pewnej nocy, ułożywszy się już do snu, usłyszała głos mówiący do niej: — „Nie pragnij dzieci; byłyby tobie na potępienie.“ Choć zdumiona i przerażona tym głosem, nie zrzekła się przecie pragnienia swego; zdawało jej się niepodobieństwem, by rzecz tak dobra z tak czystą intencją pożądana, mogła stać się dla niej przyczyną potępienia. Nie zważając więc na tajemnicze ono ostrzeżenie, przedłużała swoje modlitwy, wciąż prosząc Pana o potomstwo i polecając się jak przedtem szczególnej przyczynie św. Andrzeja. Aż jednego dnia, gdy żywiej jeszcze niż zwykle zajęta była tą główną myślą swoją, miała takie widzenie, sama nie wie, czy było to we śnie czy na jawie, ale w każdym razie ze skutków się okazało, że było to widzenie od Boga. Zdawało jej się, że stojąc na ganku jakiegoś domu, widzi pod sobą dziedziniec ze studnią pośrodku, a nieopodal za nią łąkę bujnie się zieleniącą i wśród tej łąki pełno kwiatów białych, tak pięknych, że żadne słowa nie zdołałyby opisać dziwnego wdzięku ich. Przy studni zaś ukazał jej się św. Andrzej z zachwycająco poważnym i pięknym obliczem i ukazując na one kwiaty, rzekł do niej: — „Oto insze i lepsze potomstwo, niż to którego pragniesz.“ Tak wielkiem to widzenie nappełniło ją weselem, że radaby była całe życie na nie patrzeć; ale trwało tylko chwilę. Jasno jednak zrozumiała, choć jej nikt tego nie powiedział, że był to św. Andrzej i tego również była pewną, że Bóg jej objawił wolę swoją, aby założyła klasztor. Było to więc widzenie umysłowe zarazem i duchowo zmysłowe; i nie mogło być ono, jak o tem przekonywują następujące dowody, ani prostem tylko urojeniem, ani też uludą dyabelską. Naprzód, że nie było to urojenie, dowodem tego wielkie i pomyślne skutki, jakie z tego widzenia wynikły: pragnienia one, przedtem tak gorące i ustawiczne, od razu

ustaly i tak głęboko w sercu jej pozostało przekonanie, że taka jest wola Boża, że nigdy odtąd Pana nie prosiła o potomstwo, ani go nie pożądała. Że zaś, powtóre, nie było w tem uludy dyabelskiej, okazuje się to również tak z tegoż dobrego i szczęśliwego skutku, jakiego żadna sprawa dyabelska nigdy zdziałać nie może, jak i z tego, że w istocie klasztor ten stanął i dotąd istnieje i bardzo w nim wierną Pan służbę odbiera, i wreszcie z tego, że widzenie ono o sześć lat przeszło wyprzedziło założenie klasztoru, a dyabeł nie jest mocen wiedzieć naprzód, co się stanie w przyszłości.

Pod wrażeniem świętego przerażenia, jakim ją przeniknęło to widzenie, Teresa przedstawiła mężowi myśl swoją, że kiedy nie masz w tem widocznie woli Bożej, by doczekali dzieci, więc najlepiej, zdaniem jej, użyją majątku swego na założenie klasztoru. On, zawsze do wszelkiej sprawy dobrej ochotny i dla miłości żony gotowy we wszystkim dogodzić pobożnym jej chęciom, z radością przyjął jej wnioszek. Poczęli więc obmyślać miejsce na zamierzoną fundacyę. Teresa chciała ją założyć w rodzinnem mieście swoim, ale on jej przekonywającymi racjami wytłómaczył, że nie byłoby to miejsce odpowiednie.

Gdy jeszcze tak się między sobą naradzali, księżna Alby przysłała po Velazqueza, wzywając go, aby przeniósł się na powrót do Alby i przyjął urząd głównego pełnomocnika i zarządzającego jej domem. On, ulegając woli możnej pani, zgodził się na jej żądanie, chociaż nowy ten urząd daleko mniej był korzystnym od tego, który sprawował w Salmantyce. Żona jego, na pierwszą o tem postanowieniu wiadomość, bardzo się zmartwiła, bo jak mówiłam, pobyt w Albie był dla niej wstrętnym; wprawdzie uspokoiła się nieco, gdy mąż dał jej zapewnienie, że do domu, w którym zamieszkają, obcych lokatorów pod żadnym warunkiem nie dopuści, zawsze jednak z wielkiem żalem opuszczała Salmantykę, bo pobyt w tem mieście był dla niej ze wszechmiar dogodniejszym. Tymczasem Velazquez odjechał do Alby i kupiwszy tam dom, ją do siebie wezwał. Pojechała bardzo nie rada, a większą jeszcze przykrość miała, gdy ujrzała dom nowonabyty nie oporzędzony,

niewygodny, bez żadnych zabudowań gospodarczych: bardzo więc niewesoło tę pierwszą w nim noc spędziła. Lecz oto, gdy nazajutrz rano wyszła na dziedziniec, ujrzała w pośrodku jego studnię, zupełnie podobną do tej, przy której był jej się ukazał św. Andrzej i całą miejscowość i rozpołożenie jej najdokładniej te same, jak je była oglądała w onem widzeniu; nie było tylko Świętego, ani łąki, ani kwiatów, ale te miała niezatarcie wyryte w wyobraźni i w pamięci. Zdumiała się na ten widok i teżę chwili postanowiła, że w tem miejscu założy swój klasztor, wielkie przytem czując zadowolenie wewnętrzne i uspokojenie wstrętu swego do mieszkania w Albie i ani myśląc już o zamienieniu go na inne. Poczęli oboje skupowywać domy sąsiednie i tym sposobem utworzyli sobie obszerną, założonemu celowi zupełnie odpowiednią posiadłość. Jeszcze jednak pozostawała w wielkiej niepewności, jakiemu zakonowi najlepiej byłoby oddać klasztor mający się założyć, zwłaszcza, że chciała aby zakonnice w nim były w małej liczbie, a reguła surowa i klauzura ścisła. Wezwała do rady dwóch Ojców, z dwu różnych zakonów, obu bardzo pobożnych i uczonych: otóż oba radzili jej, by raczej fundusz swój obróciła na inny jaki zakład pobożny, bo zakonnice, mówili, po większej części przykrzą sobie powołaniem swoim. Takie i inne tym podobne racye podawał im dyabeł, chcąc w samym zarodku zdławić przedsięwzięcie, jego chęciom i celom tak przeciwne. Jej także, za sprawą tegoż złego ducha, rady tych dwóch Ojców wydały się słuszne, tem bardziej, że oba usilnie obstawali za zdaniem swoim, wciąż jej dowodząc, że z założenia klasztoru żadnego nie byłoby pożytku. Naleganie ich tak ją zatrwodziło i z tropu zbiły, że w końcu już postanowiła od zamiaru swego odstąpić; mąż jej także, gdy mu o tem oznajmiła, uznał, że skoro tacy ludzie pobożni i uczeni tak ganią myśl ich, jedynie dla chwały Bożej powziętą, nic im nie pozostaje innego, jedno zaniechać jej. Umyslili za to, siostrzeńca jej, którego bardzo kochała, młodego jeszcze człowieka a bardzo pobożnego, ożenić z jedną z siostrzenic Velazquez'a, oddać im znaczną część majątności swoich, a resztę obrócić na uczynki miłosierne.

Postanowili więc oboje tak uczynić i na takim rozporządzeniu spokojnie już poprzestać. Ale postanowienie to spełzło na niczem, bo Pan był postanowił inaczej. W niespełna dwa tygodnie potem, siostrzeniec on Teresy nagle zaślabł śmiertelnie i w kilka dni Pan go zabrał do siebie. Ją ta śmierć niespodziana niezmiernie przeraziła; najmocniej była przekonana, że sama ją sprowadziła swoim sprzeniewierzeniem się woli Bożej i pierwszemu postanowieniu swemu, oddania dóbr swoich Panu samemu; stanął jej na myśli Jonasz prorok i co go spotkało za to, że nie chciał być posłusznym Bogu; strata tego siostrzeńca, tak jej drogiego, wyraźną jej się wydała karą Boską. Tejże chwili niezachwiane już uczyniła postanowienie, i mąż jej podobnie, że bezwarunkowo i bądź co bądź klasztor założą. Nie wiedzieli tylko jeszcze, w jaki sposób wykonać to postanowienie; bo chociaż Bóg wówczas już, zdaje się był jej dał do serca to co obecnie już spełniła, każdy jednak, komu o tem mówiła i opisywała, jakim ten klasztor mieć chce, nie wyjmując nawet spowiednika jej, poważnego bardzo i uczynnego franciszkanina, śmiał się z niej, że zachciewa jej się rzeczy, jakich niema na świecie. Ciężkie więc z tego powodu miała strapienie.

W tymże czasie, zakonnikowi, o którym tylko co wspomniałam, wypadła potrzeba udania się do pewnego miasta. Tam dowiedział się o tych naszych klasztorach Najświętszej Panny z góry Karmelu, które wówczas w różnych miejscach się zakładały. Wywiedziawszy się dokładnie o wszystkim, za powrotem do Alby oznajmił Teresie, że znalazł czego jej potrzeba, że będzie mogła założyć klasztor taki, jakiego sobie życzy. Opowiedział jej potem wszystko, co widział i co słyszał i poradził jej, aby się zniosła ze mną. Tak i uczyniła. Nie obyło się jednak bez trudności, nim układ między nami przyszedł do skutku. Ja zawsze trzymałam się i trzymam tej zasady, że kiedy już mam założyć klasztor z dochodami, dochody te powinny być zupełnie wystarczające, tak iżby siostry nie były potem zmuszone udawać się o pomoc do krewnych czy do kogobądź. Wymagam więc od fundatorów, by im zapewnili pożywienie, i ubranie, i wszystkie potrzeby domo-

we, i możność troskliwego pielęgnowania chorych; bo w razie niedostawania tych rzeczy potrzebnych, różne stąd wynikają niedogodności i złe następstwa. Kiedy zakładałam klasztor bez dochodów stałych, mający się utrzymywać jedynie z jałmużny,—a założyłam ich wiele,—nigdy mi nie brak odwagi i ufności, bo mam pewność niezachwianą, że Bóg go nie opuści; ale gdy chodzi o fundacye z dochodami, wszystka mię otucha opuszcza i jeśli dochody mają być szczupłe i niedostateczne, wołę wcale klasztoru nie zakładać. Tak i w tym razie stawiałam warunki, które na pierwszym wstępie wydały się wygórowanemi przezacnym fundatorom moim; w końcu jednak przyznali mi słusność i zgodzili się na wyznaczenie dochodów dostatecznych na utrzymanie postanowionej liczby sióstr; zatem jeszcze i z własnego domu ustąpili, oddając go nam na własność, a sami się przenieśli do drugiego, bez porównania gorszego; był to z ich strony dowód uprzejmej, z ofiarą z siebie, dobroci, który w oczach moich bardzo wysoką ma cenę. Najświętszy Sakrament został wprowadzony i fundacya na cześć i chwałę Boga dokonana się w dzień Nawrócenia św. Pawła, roku 1571. Dobrą i wierną, o ile mnie się zdaje, Pan w tym domu służbę odbiera: niechże mu, w Boskiej łaskawości swojej, coraz wyższego użyzca wzrostu i postępu.

W poprzednich rozdziałach zaczęłam była opowiadać pewne szczegóły o niektórych siostrach tych klasztorów, licząc na to z jednej strony, że nim te pisma zostaną ogłoszone, te o których mówię, już nie będą na tym świecie, choć dziś jeszcze żyją; a z drugiej strony spodziewając się, że te, które po nich przyjdą, czytając te rzeczy, wezmą sobie z nich pobudkę do naśladowania takich dobrych początków i przykładów. Później jednak przyszło mi na myśl, że znajdą się tacy, którzy lepiej i dokładniej odemnie potrafią te rzeczy opisać, tem bardziej, że nie będzie ich wstrzymywała obawa, która mnie stawała na przeszkodzie, mianowicie: by kto czytając opis tych dziwnych i chwalebnych rzeczy, nie przypisywał mnie jakiegokolwiek w nich udziału. Z tego powodu, milczeniem pominęłam wiele szczegółów, które kto widział albo o nich słyszał, nie mógł ich nie uznać za cudowne, dla wyraźnie nadprzyrodzo-

nego ich charakteru. Przemilczałam również wiele nadzwyczajnych łask i cudów, które Pan. na skutek modlitwy tych oblubienic swoich, jawnie i w oczach wielu uczynił. Co do oznaczenia dat tych fundacyi, nie jestem pewna, czy nie popełniłam tu i owdzie jakiej omyłki, lubo staram się ile mogę dokładnie je sobie przypomnieć. Wymieniam je tak, jak je pamiętam; jeśli się w czem mylę, nie jest to rzecz wielkiej wagi i da się później naprawić; różnica w każdym razie nie będzie znaczna <sup>1)</sup>).

---

## ROZDZIAŁ XXI.

O fundacyi Karmelu chwalebego św. Józefa w Segowii, w sam dzień św. Józefa, roku 1574.

Wspomniałam wyżej, jako po założeniu klasztorów w Salamantyce i w Albie, gdy jeszcze pierwszy z nich nie posiadał

---

<sup>1)</sup> Klasztorowi temu w Alba de Tormes szczególny, nad wszystkie drugie, dostał się w udziale zaszczyt i przywilej; w nim św. Teresa ducha swego Bogu oddała, w nim przechowują się śmiertelne jej szczątki. Ostatnie przeniesienie tych drogich relikwii odbyło się r. 1760, dnia 15 października, to jest w sam dzień, w którym Kościół obchodzi doroczną pamięć Świętej. Ciało panięskie, giętkie jak gdyby jeszcze żyła i słodką woń z siebie wydające, złożone zostało w srebrny relikwiarz, a relikwiarz zamknięty w sarkofag jaspisowy, wpuszczony w sam mur wielkiego ołtarza, na wysokość około 30 stóp ponad poziom nawy kościelnej. W tym wspaniałym grobowcu, głową obrócona w stronę Ewangelii, tuż pod sobą, po prawej ręce, mając przybytek wielkiego ołtarza, spoczywa seraficzna oblubienica Zbawiciela, tworząc jakoby nadziemiński baldachim albo koronę chwały nad obecnym na ołtarzu Boskim Oblubieńcem swoim. Chór zakonny przytyka do bocznego muru prezbiterium, po stronie Ewangelii, wzniesiony do równego poziomu z tem ostatniem, przewyższającym o kilka stopni poziom nawy kościelnej; za prostem więc uchyleciem zasłony od kraty, siostry mają swobodny widok na ołtarz i na grób świętej matki swojej. Za ołtarzem wielkim, tuż przy głównym murze jego, znajdują się we wnętrzu klasztoru dwa, jedno nad drugim, oratoria, oba z rzadkim przepychem urządzone. W górnem, każda, kiedy i ile razy

własnego domu, O. magister Piotr Fernandez, sprawujący w tym czasie urząd komisarza apostolskiego, kazał mi na trzy

chce, może ukłęknać tuż przy grobie świętej Karmelu odnowicielki i ucałować marmur, pokrywający drogie jej szczątki i głową się przytulić do miejsca, kiedy leży głowa ukochanej Matki i ręce do niej wyciągać, jakoby chciała śpiącą przebudzić, aby nakłoniła ucha na wołanie córki swej. Niejedna tam z dziecięcą prostotą i poufałością zapuka w wieko grobowca i wzywa Świętej, mówiąc: „Madre, oies? — Matko, czy słyszysz?” i potem wylewa przed nią pragnienia, i prośby, i troski swoje i nowym się zagrzewa zapałem do miłości i służby niebieskiego Oblubieńca. Nie mniej drogie skarby zawiera w sobie oratorium dolne. Przechowuje się tam, w przezroczystym relikwiarzu relikwia „znamienita” — *reliquia insignis*, — odłączone od ciała całe ramię lewe Świętej, a nadewszystko skarb najdroższy, zamknięte w kryształowej urnie i wonią nadziemską tchnące serce jej. Oprócz tych dwu kaplic, jest w klasztorze jeszcze trzeci, pełny najśodszych wspomnień, przybytek, to jest cela, w której św. Teresa dokonała ziemskiego zawodu swego. Cela ta, jak tego wymagała cześć świętej należna, zachowana jest w tym samym stanie, w jakim była w chwili jej śmierci; rozmiary i rozkład nietknięte: toż samo jedyne w niej okienko, też same wazki i niskie drzwi, też same mury, tylko kosztownemi zdobami i malowidłami upiększone. Panienskie zwłoki, z tej celi na pogrzeb wyniesione, raz jeszcze do niej wróciły, gdy je w roku 1750 tymczasowo tu złożono, aż do czasu dokończenia rozpoczętej w tymże roku przez króla Ferdynanda VI i r. 1760 dokonanej przebudowy całego kościoła i klasztoru, oraz wzniesienia obecnego wspaniałego grobowca. Ale i dziś jeszcze, po upływie trzech wieków, w tym błogosławionym przybytku, dziwnie pokrzepia duszę pozostała w nim słodka nadziemska woń ciała świętego; i głębiej jeszcze przenika ją wspomnienie tej śmierci drogiej przed oblicznością Pańską, której to miejsce było widowiskiem, gdy tu na ubogiej pościeli swojej, w tryumfalną zamienionej łożnicę, Teresa, z obliczem jaśniejącem, jakby już nimbem chwały wiecznej opromienionem, zwyczajnym głosem zawołała: „Już przecie, Panie, umieram córką Kościoła Katolickiego?” a dusza jej, w ostatnim jakoby paroksyznie, mocnej jako śmierć miłości swojej, potargawszy pęta ciała, swobodna i szczęśliwa, w postaci gołębicy wleciała do nieba. W jednej z kaplic kościoła pochowani są pobożni fundatorowie, Teresa Layz i Franciszek Velazquez, których pamięć św. Teresa w tym rozdziale uwieczniła. W samym zaś kościele wznosi się grobowiec drugich dwu, nie fundatorów, ale głównych dobroczyńców klasztoru, szwagra świętej, Jana de Ovalle i siostry jej Joanny de Ahumada, którzy, oddawszy mu naupród, co mieli na świecie najdroższego, jedyną córkę swoją, anielską Beatrycę od Jezusa, perłę Karmelu (ob. *Życie*, rozdz. 34), oddali mu potem i cały majątek swój. Przy nich leży także syn ich, Gonzalvo, którego Święta, gdy był jeszcze dzieckiem pięcioletniem, umarłego wskrzesiła, a który mając lat 27, tu w Alba de Tormes, świętobliwą śmiercią życie zakończył.



lata udać się do klasztoru Wcielenia w Awili i jako potem, widząc nagłą potrzebę siostr salmantyceńskich, pozwolił mi wrócić do nich, dla przeniesienia ich do domu własnego <sup>1)</sup>. Otóż, w czasie, gdy byłam zajęta nabyciem i urządzeniem tego domu, Pan któregoś dnia rozkazał mi na modlitwie, bym się udała do Segowii i tam nowy klasztor założyła. Rozkaz ten wydał mi się niepodobnym do spełnienia: nie mogłam podejmować tej fundacyi, nie mając na to wyraźnego polecenia komisarza apostolskiego, O. magistra Piotra Fernandez, a ten niedawno przedtem był mi oznajmił, że nie życzy sobie, bym więcej klasztorów zakładała; przytem i to miałam na względzie, że przepisany mi trzyletni termin przełożęństwa w klasztorze Wcielenia nie był jeszcze upłynął i rozumiałam, że ten jest właśnie powód, dla którego O. komisarz przeciwny jest nowym fundacyom. Ale Pan, gdym jeszcze zastanawiała się nad temi trudnościami, rzekł do mnie — „Oznajmij tylko temu Ojcu, że masz ten zamiar, a Ja sam przywiodę go do skutku“. Napisałam więc do O. Fernandez, obecnego w tej porze w Salmantyce, przedstawiając mu, że jak mu wiadomo, mam od przewielebnego naszego O. Generała polecenie, bym ile razy zdarzy mi się sposobność podjęcia gdziebądź nowej fundacyi, nigdy nie opuszczała onej; że w Segowii i ze strony miasta i ze strony biskupa nastąpiło już zgodzenie się na fundacyę klasztoru naszej reguły; że gotowa jestem podjąć się tej fundacyi, jeśli Jego Przewielebność mi każe; że z obowiązku sumienia o tem mu donoszę i że cokolwiek w tym względzie postanowi, ja ochotnie i spokojnie zastosuję się do woli jego. Te były mniej więcej, zdaje mi się, słowa listu mego; w końcu jeszcze dodałam, że zdaniem mojem, z fundacyi tej może być chwała Bogu. Widocznie też Bóg jej chciał, bo natychmiast otrzymałam od O. Fernandez odpowiedź przychylną, wraz z upoważnieniem do założenia tego klasztoru, czemu po tem, co mi pierwej był powiedział, wielce się zdziwiłam. Z Salmantyki jeszcze postarałam się o najęcie domu w Segowii, bo

---

<sup>1)</sup> Ob. *Życie*, rozdz. 19.

doświadczenia przebyte w Toledzie i w Waliadolidzie nauczyły mię, że lepiej naprzód się usadowić, a potem dopiero szukać własnego domu. Różne za tem przemawiają racye, z których ta jest najważniejsza, że przyjeżdżając na fundacyę bez grosza w kieszeni, nie mam za co domów kupować, skoro zaś klasztor stanie gotowy, Pan zaraz nasyla nam obfitość pieniędzy, zaczem już możemy, nie tylko nabyć dom bylejaki, ale i wybrać sobie taki, któryby leżał w miejscu dla nas najdogodniejszym.

Mieszkała w Segowii jedna pani, wdowa po pewnym właścicielu majoratu. Znałam ją, bo kiedyś przedtem przyjeżdżała do mnie do Awili. Nazywała się Donna Anna de Ximena. Była to dusza bardzo pobożna i zawsze czuła w sobie powołanie do życia zakonnego. Skoro więc stanął ten klasztor nasz, wstąpiła zaraz do niego wraz z córką swoją, także bardzo cnotliwą osobą. Ile jej ciężkiem było przedtem życie w stanie małżeńskim i we wdowieństwie, tyle teraz w dwójnasób rozweselił Pan serce jej, gdy się znalazła w zakonie; chociaż i na świecie obie, i matka i córka, wiodły życie bardzo skupione i całkiem Bogu oddane. Ta to dobra pani najęła nam dom i we wszystko, czego uważała że nam będzie potrzeba, tak dla urzędzenia kaplicy jak i dla nas samych, zaopatrzyła; z tej strony więc nie wiele miałam kłopotu. Lecz, aby nie było żadnej fundacyi bez jakiegoś dla mnie cierpienia, Pan tym razem, oprócz ucisków wewnętrznych, wielkiej oschłości i zacięcia w duszy, w jakich tę drogę odbyłam, dopuścił na mnie wszelkiego rodzaju boleści fizyczne i gorączkę, i mdłości, które przez trzy miesiące silnie mię nękały, owszem i przez całe półrocze mojego tam pobytu ciągle byłam mocno cierpiąca.

Choć miałam pozwolenie i od biskupa, i od miasta, wolałam jednak i tym razem zjechać na miejsce wieczorem i potajemnie. Było to w wigilię św. Józefa; nazajutrz, w uroczystość Świętego, wprowadziliśmy Najświętszy Sakrament. Pozwolenie wydane mi już było dawno przedtem; ale będąc wówczas w klasztorze Wcielenia i zostając tam pod władzą, nie naszego Ojca Generała, ale innego zwierzchnika, nie mogłam wcześniej przystąpić do fundacyi. Pozwolenie biskupa było ustne tylko;

dał je w tymże czasie, gdy i miasto zażądało założenia naszego klasztoru, jednemu panu, niejakiemu Andrzejowi de Ximena, który o nie dla nas się starał i nie uważał potrzeby zażądania go na piśmie, co i mnie wydawało się rzeczą obojętną. Ale okazało się, że byłam w błędzie; bo oto, jak tylko wikaryusz biskupi dowiedział się, żeśmy już klasztor nasz otworzyły, przybiegł zaraz mocno zagniewany: zabronił sprawowania u nas Najświętszej Ofiary, chciał nawet zabrać do więzienia tego, który ją był odprawił, to jest Ojca karmelitę Bosego, który mi towarzyszył <sup>1)</sup>, wraz z O. Julianem z Awili i drugim sługą Bożym, niejakiem Antonim Gaytan.

Ten ostatni, był to szlachcic rodem z Alby. Z pośrodku próżności światowych, którym żył oddany, Pan go na kilka lat przedtem był pociągnął do siebie. Od tego czasu, stanowczo wzgardziwszy światem, wszystką myśl i usilność swoją miał skierowaną do służby i większej chwały Bożej. Winna mu jestem to o nim wspomnienie, bo wielce mi był w tej fundacyi i w następnych pomocnym i dużo dla nich trudu poniósł; ale gdybym tu miała opisywać cnoty jego, nie prędkobym skończyła. Jedno tylko z nich wymienię, bo bardzo nam się w tej potrzebie przydała, to jest cnotę umartwienia: posiadał ją w tak wysokim stopniu, że żaden ze służby nam towarzyszącej tak pilnie i pokornie nam nie służył we wszystkim, jak on. Jest to mąż bardzo wysokiej modlitwy, i Bóg mu daje wiele nadzwyczajnych łask; zaczętem też wszelkie przykrości i przeciwności, jakichby drugi nie łatwo zniósł, jemu się wydają łatwe i przyjemne, jak tego mianowicie dał dowód w trudach i cierpieniach wszelkiego rodzaju, które go z powodu tych fundacyi spotkały. Widocznie on i O. Julian z Awili, wierny mój od samego początku pomocnik, powołani byli od Boga do skutecznego ze mną w tej świętej sprawie współdziałania, i na to snać Pan takich mi dał towarzyszków, aby przy nich i z nimi, we wszystkim mi się szczęśliwie powodziło. Rozmowa ich w drodze była ciągle o Bogu; nauczali ludzi nam towarzyszą-

---

<sup>1)</sup> Ojcem tym był nie kto inny, jedno samże św. Jan od Krzyża.

cych i kogo spotkali po drodze; słowem, na wszelki sposób i w czem tylko mogli, służyli Panu Bogu.

Słuszna jest, córki moje, które będziecie czytały opis tych fundacyi, byście wiedziały, jak wiele zawdzięczamy tym dwom sługom Bożym, byście za to, że bez żadnego interesu własnego tyle się natrudzili około zapewnienia wam tego szczęścia, którem teraz mieszkając w tych klasztorach się cieszyacie, wzajemnie polecały ich Panu, aby i oni mieli pożytek z modlitw waszych; i pewno, gdybyście wiedziały, ile pracy i zachodów w upały i słoty, ile bezsennych noczy, ile strudzenia w drodze wycierpieli, z całego serca modliłybyście się za nimi.

Wikaryusz oszedł wreszcie, ale we drzwiach kaplicy postawił nam policyanta; po co, tego nie wiem. Drudzy się nieco tem nastraszyli; co do mnie, zwykłam się bać tylko przed dokonaniem fundacyi; skoro ją obejmę w posiadanie, trudności wszelkie i przeciwności potem powstające mało już mię straszają. Jedną z sióstr towarzyszek moich miała w Segowii krewnych, liczących się do pierwszych znakomitości miasta: uprosiłam ich, by rozmówili się z wikaryuszem i objaśnili go, że mam pozwolenie od biskupa. Wiedział on o tem dobrze, jak później sam się przyznał; chodziło mu tylko o to, że rzecz zrobiła się bez niego; ale gdybym się była do niego udawała, sądzę że byłoby jeszcze gorzej. Wreszcie orędownicy nasi tyle przynajmniej na nim wymogli, że zgodził się na pozostawienie nam klasztoru, ale zakazu trzymania w nim Najświętszego Sakramentu cofnąć nie chciał i na to już nie było rady <sup>1)</sup>. Tak przebyliśmy kilka miesięcy, aż w końcu kupiliśmy dom, a z nim sporo procesów. Miałyśmy już sprawę z Ojcami franciszkanami, o inny domek, nabyty przez nas w pobliżu; teraz,

<sup>1)</sup> Po załatwieniu tych trudności z wikaryuszem biskupim, św. Teresa wyprawiła O. Juliana i Antoniego Gaytan do Pastrany, dla przeprowadzenia wszystkich sióstr tamecznych do Segowii. Przyczyną tego przesiedlenia był, jak to widzieliśmy w rozdz. 17, ucisk nieznośny, jaki siostry tam cierpiały od księżnej Eboli, od czasu śmierci jej męża, a szczególnie od czasu jej krótkiej i niefortunnej próby życia zakonnego. Święta uznała, że tego zużycia się dłużej znosić nie powinna i najpoważniejsi teologowie i mistrze duchowni

ledwo kupiwszy ten dom, musiałyśmy się prawować z mercedaryuszami <sup>1)</sup> i z kapitułą, której na nim przysługiwało jakieś prawo czynszu. O Jezuu, jakaż to ciężka robota, takie rozprawianie się z tylą różnych pretensyi! kiedy sprawa już zdawało się skończona, wnet na jej miejsce druga wyrastała; jakkolwiek się dla niżej zgody żądaniom ich ustępowało, zawsze było mało tego, bo zaraz nowe jakie zjawiało się żądanie. Teraz, gdy o tem piszę, wydaje się to niczem, ale wówczas wytrzymać to wszystko, było to utrapienie nielada. Nie brakło nam jednak orędowników: synowiec biskupa, kanonik i prepozyt katedralny i licencyat Herrera, mąż bardzo pobożny, bronili i wspierali nas ile mogli. Wreszcie, kosztem grubych pieniędzy, udało się nam on pierwszy proces zakończyć. Pozostawał nam jeszcze drugi z mercedaryuszami, i z tego powodu przeniesienie się nasze do nowego domu musiało się odbyć w najgłębszej tajemnicy, na dzień lub dwa przed św. Michałem; ale gdy ono już się dokonało, przeciwnicy nasi, widząc nas już usadowione na miejscu, uznali że lepiej będzie zaniechać procesu i ułożyli się z nami za pewnem wynagrodzeniem. Największą przykrością, jaka z tych kłopotów dla mnie wynikała, było to, że za siedm czy ośm dni kończył się trzyletni czas mego przełożenia w klasztorze Wcielenia i koniecznie mi potrzeba było tam zjechać przed upływem tego terminu. Ale z łaski Pana wszystko się pomyślnie ułożyło przed wyjazdem moim, i żaden nam nie pozostał z nikim zatarg niezłatwiony, zaczęłam i w dwa czy trzy dni potem mogłam spokojnie odjechać do klasztoru Wcielenia. Niech będzie błogosławione na wieki imię Jego, za tyle łask, jakimi mię bezprzestannie obsypuje i niechaj Go wielbi wszystko stworzenie Jego. Amen.

---

których się radziła, utwierdzili ją w tem zdaniu O. Julian i Antoni Gaytan roztropnie i szczęśliwie wywiązali się z drażliwego zadania swego i z wielką radością świętej odwieźli jej do Segowii znużone jej córki, w W. tygodniu roku 1574.

<sup>1)</sup> T. j. z braćmi Zakonu *B. M. V. de Mercede redemptionis captivorum*, czyli Matki Boskiej Łaskawej wykupu więźniów.

---

## ROZDZIAŁ XXII.

O fundacyi klasztoru św. Józefa od Zbawiciela w mieście Veas,  
w dzień św. Macieja r. 1575.

W czasie, gdy z rozkazu przełożonych, jak o tem była mowa wyżej, opuściwszy klasztor wcielenia bawiłam w Salmantyce, przybył tam do mnie posłaniec z miasta Veas, z listami od jednej pani tamże zamieszkałej, tudzież od miejscowego proboszcza i różnych innych osób, w których mię proszono o założenie u nich klasztoru, upewniając mię przytem, że dom już mają gotowy, zaczem dość że przyjadę, a wszystko bez trudności się zrobi.

Posłaniec, gdym go pytała o szczegóły, bardzo mi zachwalał tę miejscowość i słusznie, bo jest to okolica bardzo piękna, i klimat jej doskonały; mimo to jednak zdawało mi się, że zgodzenie się na ofiarowaną mi fundacyę byłoby nierozsądkiem z mojej strony, nie tylko ze względu na znaczną tego miejsca od Salmantyki odległość, ale i głównie dla tego, że rzecz taka nie mogła się zrobić bez wyraźnego rozkazu O. komisarza apostolskiego, który jak już mówiłam, zakładaniu przezemnie nowych klasztorów jeśli nie był wprost przeciwny, tedy przynajmniej nie sprzyjał. Chciałam więc odpowiedzieć po prostu że nie mogę, nie objaśniając, dla czego. Potem jednak, wspomniawszy na dane mi od najprzewielebniejszego naszego O. Generała ogólne zalecenie, bym żadnej fundacyi, ile razy zdarzy się do niej sposobność, nie odrzucała, uznałam, że nie należy mi dawać odmownej odpowiedzi, nie zapytawszy pierwej O. Komisarza, tem bardziej, że właśnie w tym czasie bawił w Salmantyce. Posłałam mu więc listy one z Veas; on zaś, przejrząwszy je, oznajmił mi, że zbudował się szczerą, o jakiej one świadczą, pobożnością piszących; że nie należy bezwarunkową odmową zasmucać tych dobrych ludzi; że zatem powinnam odpisać im z wszelką uprzejmością i dobrocią, obiecując im, że z mojej strony zamierzona fundacya nie napotka na żadne trudności, skoro tylko oni wystarają się o potrzebne zgodzenie

się zakonu <sup>1)</sup>, do którego zwierzchności miasto ich należy. Przytem jednak ręczył mi za to, że zgodzenia się komandorów zakonu nigdy nie uzyskają, bo wiadomo mu z wielu innych podobnych przykładów, że wszelkie, nieraz latami całemi trwające starania o takie pozwolenie, zawsze pozostają bez skutku. Ja nieraz myślę sobie, jak to Pan Bóg nasz, gdy czego chce, tak umie kierować rzeczami, że ludzie sami, choć chcą czego innego, mimo woli i wiedzy swojej stają się w rękę Jego narzędziem do spełnienia tego, co On postanowił. Jak to w tem zdarzeniu przytrafiło się naszemu Ojcu komisarzowi Piotrowi Fernandez; komandorowie, mimo zaręczenia jego, dali żądane pozwolenie, zaczem i on już nie mógł nie pozwolić; zaczem i fundacya przyszła do skutku, jak to poniżej opowiem.

## I. H S.

Klasztor błogosławionego św. Józefa w mieście Veas założony został w dzień św. Macieja, roku 1575. Na cześć i chwałę Boga opowiem tu, jaki był jego początek. Mieszkał w tem mieście jeden pan, szlchetnego rodu i bardzo bogaty. Nazywał się Sancho Rodriguez de Santoval. Za żonę miał szlchetną panią Donnę Katarzynę Godinez. Dał im Pan kilkoro dzieci, między któremi dwie córki, które stały się fundatorkami tego klasztoru; starszej było na imię, jak matce, Katarzyna, młodszej, Marya. Katarzyna miała mniej więcej czternaście lat, gdy Pan ją powołał do służby swojej; przedtem ani jej na myśl nie przychodziło, by miała porzucić świat; owszem, tak wysoko trzymała o sobie, że choć nie brakło ubiegających się o jej rękę i ojciec jej różnych po kolei doradzał, ona wszystkim ze wzgardą odrzucała, jako jej niegodnych. Owszem i samaż myśl o pójściu za mąż była jej przeciwną, bo poczytywała to sobie za poniżenie, gdyby się miała poddać władzy

---

<sup>1)</sup> t. j. zakonu rycerskiego św. Jakóba, „San Yago de Compostelle“.

czyjejbądź. Nie wiedziała sama, skąd jej taka pycha; ale wiedział Pan, jak ją wyleczyć: niech będzie błogosławione miłosierdzie Jego!

Któregoś dnia, będąc sama w pokoju swoim, położonym za pokojem ojca, który jeszcze nie był wstał, zastanawiała się nad nowym jakimś, jakoby bardzo świetnym projektem małżeństwa, na który ją tenże namawiał. „Doprawdy, myślała sobie, ojcu nie wiele potrzeba; byleby mię wydał za lada szlachcica posiadającego majorat, już mu tego dosyć. Mnie mało tego; świetność rodu mego odemnie dopiero się zacznie“. W tem trafem spojrzała na krzyż wiszący na ścianie i zatrzymała się wzrokiem na tytule nad nim położonym. I oto nagle, od tego jednego wejrzenia, Pan cudowną w duszy jej sprawił przemianę. Czytając napis krzyża, uczuła w sobie światłość na wkróś przenikającą jej wnętrze, jak gdyby do ciemnego pokoju nagle wnिकnie światło słoneczne; w tej światłości poznała prawdę; w tej światłości patrząc na Pana, wiszącego na krzyżu, krwią zbroczonego, poczęła rozważać srogość męki Jego, i głębokość pokory Jego i jak przeciwną dotąd sama w pysze swojej drogą chodziła. Po chwili takiego rozważania, Pan zesłał na nią zachwycenie, w którym dał jej głębokie i żywe poznanie własnej nędzy swojej, a zatem i pragnienie, aby wszyscy ją widzieli w niej i znali; dał jej tak gorącą żądzę cierpienia dla miłości Boga, iż radaby była ponieść wszelkie męki, jakie kiedybądź wycierpieli męczennicy, a przytem takie uniżenie siebie, tak głęboką pokorę i wzgardę, i nienawiść samej siebie, że ohotnie, gdyby to mogło być bez obrazy Boskiej, byłaby chciała uchodzić za kobietę złego życia, aby wszyscy nią się brzydzili. Sama sobie przynajmniej od tej chwili obrzydła i powzięła nieugaszone pragnienia jaknaj-sroższej pokuty, które też później mężnie w czyn zamieniła. Tejże chwili jeszcze uczyniła ślub czystości i ubóstwa i tak silny uczuła w sobie pociąg do zależności i wyniszczenia woli własnej, że z radością byłaby uszła do Maurów i oddała im siebie za niewolnicę.

Nie były to chwilowe tylko zachcenia i porywy; przeciwnie, niezłomna jej w tych wszystkich cnotach wytrwałość ja-



wnie dowiodła, że nawrócenie jej było nadprzyrodzoną łaską od Pana. Obszerniej to opowiem, aby wszyscy chwalili Boską moc i dobroć Jego. Bądź błogosławiony na wieki wieczne, Boże mój, który tak w jednej chwili w proch ścierasz duszę i na nowo ją tworzysz! Jak to być może, Panie? Gotowabym prawie podobne tu uczynić Tobie zapytanie, jakie uczynili Apostołowie, gdy na widok onego ślepego, któregoś Ty uzdrowił, rzekli: — „Mistrzu, kto zgrzeszył, ten czy rodzice jego, że się ślepym narodził?“ Tak i ja zapytałabym na odwrot: Kto tej szczęśliwej panience zasłużył na taką łaskę niesłychaną? Nie ona, z pewnością, boć wiemy już, jakie to były myśli jej, z których ją wyrwałeś, gdys jej tę łaskę uczynił. O jakże głębokie są sądy twoje, Panie! Ty wiesz co czynisz, ja nie wiem co mówię. Prawdziwie niepojęte są sprawy twoje i niedocieczone sądy twoje. Bądź na wieki uwielbiony, iżes mocen jest takie i większe jeszcze cuda czynić? Gdyby nie ta cudowna moc i dobroć twoja, co byłoby ze mną? Ale może też jakąś cząstkę zasługi miała w tem matka jej? może w nagrodę chrześcijańskich cnót jej, chciałeś jej w Boskiej łaskowości swojej użyzyć tego szczęścia, że jeszcze za życia ujrzała córki swoje do tak wysokiej doskonałości podniesione? Nieraz myślę sobie, że rad czynisz podobne łaski tym, którzy Cię miłują i tego im wielkiego szczęścia używasz, że w dzieciach, które im dajesz, więcej jeszcze chwalić Ciebie i służyć Ci mogą.

Gdy tak Katarzyna w zachwyceniu swoim oddawała siebie Panu, stał się nagle nad sufitem pokoju jej łoskot tak gwałtowny, jakby całe nad nią piętro miało się zawalić. Łoskot ten, zdawało się, że idzie wprost na nią, zsuwając się węglem ściany, przy której siedziała. Potem przez kilka chwil dały się słyszyć jakieś ryki straszliwe. Ojciec jej, który, jak mówiłam, jeszcze nie był wstał, od tego hałasu obudził się przerażony: drżący cały i prawie nieprzytomny, zarzucił na siebie okrycie i porwawszy szpadę, błądy i zmieniony wpadł do pokoju córki, pytając, co się stało. Odpowiedziała mu, że nie wie i niczego nie widziała. Zajrzał więc do pokoju sąsiedniego, a i tam nic nie znalazłszy, kazał córce pójść do matki, do której i sam za nią poszedł i opowiedział jej, co słyszał, zalecając jej, by

córki nie zostawiała samej. Zdarzenie to jasno dowodzi, jaka musi być wściekłość dyabła, gdy wymknie mu się z rąk dusza, którą już miał za swoją. Nie dziw, że nieubłagany ten wróg ludzkiego zbawienia tak się przeraził i w taki gwałtowny sposób gniew swój objawił, widząc tyle naraz łask od miłościwego Pana na tę duszę spływających; tem bardziej, że przewidywał, iż za sprawą takich skarbów niebieskich, tej jednej duszy użyczonych, straci niejedną jeszcze duszę, już, jak mu się zdawało, w sieci jego ułowionej. Bo mam to przekonanie, że nigdy Pan nie użycza takiej hojności darów swoich, by udziału w nich nie przeznaczal jeszcze wielu innym, którzy z obfitości osoby tak obdarzonej skorzystają.

Katarzyna nie mówiła nikomu o tem, co w niej zaszło; ale od tego czasu czuła w sobie niepowstrzymaną chęć do życia zakonnego. Rodzice jej jednak, nie zważając na usilne jej prośby, puścić jej nie chcieli. Wreszcie, po trzech latach daremnych nalegań, widząc, że tą drogą nic nie wskóra, sama sobie wymyśliła sposób jawnego zerwania ze światem. Matce, która, gdyby to od niej tylko zależało, łatwo byłaby jej pozwoliła wstąpić do klasztoru, zwierzyła się z zamiarem swoim; ojcu mówić nie śmiała i bez wiedzy jego myśl swoją wykonała. W dzień uroczysty św. Józefa, zrzuciwszy z siebie pańskie szaty swoje, ubrała się w proste suknie mieszczańskie i tak poszła do kościoła, licząc na to, że gdy raz ukaże się publicznie w takim pokornem ubraniu, już jej potem nie będą zmuszać do porzucenia go. Nie zawiodła się w swej nadziei; uszło jej to bez żadnych ze strony ojca trudności. W ciągu tych trzech lat, długie trawiła godziny na modlitwie i umartwiała siebie w czem mogła i na wszelki sposób, jaki jej Pan wewnętrznem natchnieniem wskazywał. Codzień i po kilka razy na dzień schodziła na dziedziniec i wodą sobie twarz zlewała i tak stawała na słońcu, chcąc tym sposobem zepsuć sobie cerę, aby już jej dali pokój z projektami małżeńskimi, któremi wciąż jeszcze ją prześladowano.

Od czasu tej dziwnej, jaka w niej zaszła odmiany, niezmiernie jej ciężko było rozkazywać komubądź. Gdy więc zarządzając domem rodzicielskim wypadła jej nieraz konie-

czność dawania rozkazów służebnicom z niecierpliwością potem czekała nocy, aby mogła gdy zasną, nogi ich ucałować, tak jej przykrą była ta myśl, że lepsi od niej usługują jej. W ciągu dnia zajęta przy rodzicach, całą noc potem, miasto snu, trawiła na modlitwie i tyle nieraz z rzędu przebywała takich nocy bezsennych, że niepodobna, zdaje się, by z tem żyć mogła bez szczególnej nadprzyrodzonej pomocy z nieba. Umartwienia i biczowania zadawała sobie nad miarę, bo nie miała przewodnika, któryby ją powściągał, i nikomu o nich nie mówiła. Raz naprzykład, przez cały Wielki Post nosiła na samem ciele stalową koszulkę wojenną ojca. Upatrzyła sobie miejsce na ustroniu zupełnie samotne; tam chroniła się na rozmowę z Bogiem, choć i dyabeł tam nękał ją złośliwemi napaściami swemi. Nieraz, zacząwszy modlitwę o dziesiątej wieczór, ani się spostrzegła jak ją świt zastał jeszcze się modlącą.

W takich ćwiczeniach przetrwała około czterech lat. Wtedy Pan, chcąc więcej jeszcze doświadczyć wierności służebnicy swojej, począł zsyłać jej próby dotkliwsze: ciężkie, niezmiernie bolesne choroby, gorączki ustawiczne, wodną puchlinę, cierpienia sercowe, raka, którego jej trzeba było wycinać. Niemoce te trwały blisko siedemnaście lat i rzadki przez cały ten przeciąg czasu miała dzień wolny od cierpienia.

Przykładem swoim pociągnęła siostrę. W rok po tem cu-downem nawróceniu Katarzyny, młodsza także, Marya, przywdziała suknie ubogie, choć przedtem bardzo kochała się w strojach i poczęła również oddawać się modlitwie. Matka, odkąd pozostała z niemi sama,—bo ojciec umarł w pięć lat po tej odmianie wewnętrznej, jaką Bóg łaską swoją sprawił w starszej córce jego,—nie tylko im się nie sprzeciwiała, ale owszem popierała je i utwierdzała w świętych ich ćwiczeniach i pragnieniach. Chętnie pozwalała im, między innemi, oddawać się zajęciu wielce cnotliwemu, choć na pozór z wysokiem stanowiskiem niezgodnemu, mianowicie nauczaniu dziewcząt czytania i różnych robót, bez żadnego stąd zysku dla siebie, jedynie w celu oświecania ich przy tej sposobności w nauce wiary i zaprawiania ich do modlitwy i życia pobożnego. Praca ich bardzo szczęśliwe wydawała owoce; wiele z tych dziew-

cząt pocieszające czyniło postępy i dzisiaj cnotliwym życiem swoim świadczą o świętych zasadach i dobrych obyczajach, które w nie wpojono za młodu. Ale zbawienna ta sprawa nie długo się utrzymała; dyabeł, któremu ona była bardzo nie na rękę, sprawił to, że rodzice odebrali dziewczęta, poczytując to sobie za poniżenie, by córki ich miały pobierać nauki darmo. Przytem i ciężkie choroby, które wkrótce potem, jak powiedziano wyżej, poczęły trapić Katarzynę, dalsze utrzymanie szkoły uczyniły niemożliwym.

W pięć lat po śmierci ojca tych panien, umarła i matka. Katarzyna, od początku nawrócenia swego czując siebie powołaną do zakonu i tylko oporem rodziców powstrzymywana, teraz mogąc już sama rozporządzać sobą, postanowiła natychmiast wykonać niezachwiany zamiar swój i wstąpić do klasztoru. W Veas klasztoru nie było żadnego, chciała więc udać się gdzieindziej; ale krewni poczęli jej przedstawiać, że mając obie z siostrą fundusz więcej niż dostateczny na założenie nowej fundacyi, lepiej więc będzie i z większą chwałą Bożą, gdy ją założą w rodzinnem miejscu swoim. Chętnie przystała na tę myśl; a ponieważ miasto Veas należy do komandoryi św. Jakóba z Kompostelli i niczego nie było można zdziałać bez uprzedniego pozwolenia Rady zakonnej, więc od razu wszczęła starania o uzyskanie onego. Niezliczone jednak w tem napotkała trudności; całe cztery lata ciągnęła się sprawa, i mimo wszelkie usilności i koszta nigdyby nie była doszła do końca, gdyby nie prośba, którą wreszcie podała do samego króla i skutkiem której nastąpiło przecie pomyślne rozwiązanie. Krewni jej tymczasem, wobec tylu niepokonanych trudności, nastawali na nią, by zaniechała swego zamiaru, dowodząc, że byłoby nierozsądkiem dłużej się upierać, tem bardziej, że przy tylu, jak się wyżej powiedziało, ciężkich niemocach, prawie bezprzestannie przykuta do łóżka, z pewnością nie znajdzie klasztoru, któryby zechciał ją przyjąć. Lecz ona odpowiadała im na to, że jeśli w ciągu miesiąca Pan przywróci jej zdrowie, będzie to oczywistym dla nich dowodem, że postanowienie jej zgadza się z wolą Jego i że wtedy sama uda się do Dworu, dla wystarania się o to, czego potrzeba. Gdy to mówiła, już

przeszło pół roku nie wstawała z łóżka i od ósmiu lat blisko prawie nie była w możności poruszenia się o własnej sile. Od ósmiu lat cierpiała nieustającą gorączkę, nękana artretyzmem i scyatyką, opuchła, wyniszczona suchotami i konsumcją, trawiona takim ogniem wewnętrznym w wątrobie, że bielizna na niej wyglądała jak spalona, i za dotknięciem, przez okrycie nawet, czuć było gorąco parzące. Są to rzeczy, zdawałoby się, nie do uwierzenia: ale lekarz jej, którego pytałam, w zupełności potwierdził mi wszystko, wyznając, że sam jest zdumiony takim stekiem niesłychanym tylu naraz i tak ciężkich cierpień.

Otóż, w dzień św. Sebastjana, który w tym roku przypadł w sobotę, wieczorem, Pan w jednej chwili tak zupełnie jej zdrowie przywrócił, że w obec bijącej w oczy jawności cudu, jakkolwiek się starała, ukryć go nie mogła. W chwili, gdy Pan miał w niej sprawić to nagłe uzdrowienie, tak opowiadała nam sama, objęły ją takie gwałtowne dreszcze wewnętrzne, że siostra, patrząc na to, sądziła że już kona; lecz zaraz potem takie uczuła we wszystkich członkach nowe życie, i posilenie i taką cudowną odmianę na duszy, jak gdyby się na nowo narodziła. Niezmiernie się ucieszyła z uzdrowienia swego, dla tego głównie, że będzie mogła sama popierać sprawę klasztoru; że cierpienia jej ustały, to ją mało obchodziło; bo od chwili, jak usłyszała w sobie głos powołania Bożego, taką do siebie samej pałała nienawiścią i taką nieugaszoną żądzą cierpienia, że nie tylko za nic sobie miała wszelkie najsroźsze bole, ale i, jak mi się przyznała, z całego serca błagała Boga, by na wszelki sposób doświadczał jej cierpliwości. Pan też nie omieszkał spełnić to pragnienie jej. W ciągu tych ósmiu lat przeszło pięćset razy puszczali jej krew; raz w raz stawiano jej bańki cięte, po których dotąd nosi blizny na całym ciele: nad to jeszcze, że dwadzieścia razy czy więcej, rany po bańkach nacierano jej solą, co zdaniem lekarza miało wyciągnąć soki jadowite, od których cierpiała gwałtowne boleści w boku. Co w tem wszystkim najwięcej było godnem podziwienia, to radość, jaką okazywała, ile razy lekarze zapowiadali jej potrzebę zastosowania podobnych środków nieludzkich; z upragnieniem wyglądała godziny operacyi, nietylko nie dając najmniejsze-

go znaku bojaźni, ale jeszcze i lekarzy zachęcając, aby śmiało cięli ją i palili, co też oni często uznawali potrzebnem, zwłaszcza gdy chodziło o wycięcie raka i w innych jeszcze, podobnych zdarzeniach. Dla tego głównie, mówiła mi, z takim upragnieniem przyjmowała te katusze, że chciała na nich doświadczyć rzetelności swej żądzy męczeństwa.

Widząc siebie tak nagle uzdrowioną, prosiła spowiednika swego i lekarza, by ją przenieśli gdzieindziej, aby się mogło zdawać, że zmiana miejsca i powietrza przywróciła jej zdrowie. Tego jednak oni uczynić nie chcieli, przeciwnie, samiż lekarze rozgłosili uzdrowienie jej, uznając je za cudowne; bo już ją mieli za nieuleczoną, zwłaszcza, gdy zaczęła zrzucać ustami krew zepsuta, co zdaniem ich było niezawodnym znakiem nadwężenia i gnicia płuc. Trzy dni jeszcze przeleżała w łóżku, nie śmiejąc wstać, aby nie poznano, że jest zupełnie zdrowa; ale nic jej to nie pomogło, bo jak przedtem jawną była choro-  
roba, tak teraz niepodobna było ukryć wyzdrowienia. Mówiła mi, że któregoś dnia w sierpniu, błagając Pana aby: albo odjął jej tę gorącą żądzę wstąpienia do zakonu i założenia klasztoru, albo też dał jej możność wykonania tego zamiaru, otrzymała stanowcze i niewątpliwe zapewnienie, że w samą porę wyzdrowieje, aby mogła w czasie Póstu pojechać gdzie potrzeba i wystarać się o pozwolenie na fundacyę. Stąd też, choć właśnie w tym czasie cierpienia jej się wzmogły i z nierównie większą jeszcze niż przedtem siłą jej dolegały, ona przecie, jak mię upewniała, ani na chwilę nie straciła nadziei, że Pan jej tę łaskę uczyni. I lubo dwa razy już tak z nią było źle, że jej udzielono Ostatniego Namaszczenia,—raz nawet lekarz, mając ją już za konającą, mówił, że próżno już chodzić po Oleje, bo zanim je przyniosą, chora umrze,—ona przecie trwała niezachwianie w swej ufności, że Pan jej da umrzeć zakonnicą. A było to jeszcze w pierwszych czasach jej choroby, kiedy nie miała jeszcze tej wyraźnej, o której mówiłam, obietnicy wyzdrowienia.

Krewni jej, widząc tak jawną łaskę i cud, jaki Pan z nią uczynił, takie jej dając nagle uzdrowienie, nie śmieli już sprzeciwiać się jej wyjazdowi do Madrytu, choć pewni byli, że nie tam nie wskóra. W rzeczy samej, całe trzy miesiące bawiła

u Dworu, a starania jej żadnego nie odnosiły skutku; aż w końcu odważyła się podać prośbę wprost do króla, i ten, skoro się dowiedział, że chodzi o założenie klasztoru karmelitek Bosych, natychmiast kazał wydać pozwolenie.

Że założenie tego klasztoru mimo tylu trudności przyszło do skutku, słusznie temu dziwić się można. Widocznie Katarzyna z samym Panem Bogiem traktowała tę sprawę, bo i przełożeni, pomimo odległość miejsca i szczupłość dochodów, chętnie się na tę fundacyę zgodzili. Co Pan w Boskiej woli swojej chce i postanowi, to nie może się nie stać. Zjechały tedy siostry, w początku Postu roku 1575. Ludność miejscowa spotkała je procesjonalnie, z wielkiem weselem i uroczystością. Radość była powszechna, dzieciątka nawet przyspieszywały i przyklaskiwały, na swój sposób okazując i świadcząc, jak przyjemną jest Panu ta sprawa, na chwałę Jego rozpoczęta. Otworzenie klasztoru nastąpiło w ciągu tegoż Postu, w dzień św. Macieja, pod wezwaniem św. Józefa od Zbawiciela.

Obie siostry w tymże klasztorze z wielką radością przywdziały habit zakonny. Zdrowie Katarzyny z każdym dniem coraz bardziej się poprawiało, a pokora jej, posłuszeństwo i pragnienie wzgardy i upokorzeń jawnie świadczą, jak szczerem i prawdziwem było jej pożądanie oddania się Panu na służbę. Niech Imię jego będzie uwielbione na wieki.

Zdając mi sprawę z całego życia swego, Katarzyna opowiedziała mi, między innymi, szczególny następujący. Któregoś wieczora, przed laty mniej więcej dwudziestu, kładąc się na spoczynek, żywe czuła w sobie pragnienie dowiedzenia się, który jest zakon najdoskonalszy na tej ziemi, aby mogła wstąpić do niego. Z tą myślą zasnęła i śniło jej się, że idzie gdzieś drogą jakąś, bardzo stromą i wązką i ponad głębokimi przepaściami wiodącą, i że na tej drodze spotyka ją jakiś braciszek bosy, — którego potem na pierwsze wejrzenie poznała w naszym braciszku Janie od Nędzy, gdy tenże przyszedł do Veas w czasie mojej tam bytności. Braciszek ten, tak śniła dalej, rzekł do niej: — Pódź zemną, siostro, — i zaprowadził ją do jednego domu, pełnego zakonnic, i innego tam światła nie było, jedno od zapalonych pochodni, które trzymały w ręku. Zapytała ich, jaki to zakon, na co one, nic jej nie odpo-

wiadając, podniosły tylko zasłony swoje i spoglądały na nią wesołem i uśmiechniętem obliczem; — a były, tak mię znowu upewniała, z twarzy zupełnie podobne do siostr, które teraz w klasztorze poznała. Wtedy przełożona wzięła ją za rękę i rzekła do niej: — „Córko, do tego domu chcę ciebie mieć,“ — i pokazała jej regułę i konstytucyę. Przebudziwszy się z tego snu, niewypowiedzianą czuła w sobie pociechę; zdawało jej się, że była w niebie. Potem spisała wszystko, co z reguły we śnie jej ukazanej spamiętać mogła.

Przez długi czas nic o tym śnie nikomu, nawet spowiednikowi, nie mówiła; od nikogo też dowiedzieć się nie mogła, jakiby to był zakon, który widziała. Wreszcie przyjechał do Veas jeden Ojciec Towarzystwa Jezusowego, który wiedział już o jej chęci wstąpienia do klasztoru. Pokazała mu co miała spisane z onej reguły, upewniając go, że największą byłoby to dla niej pociechą, gdyby mogła odszukać ten zakon, bo natychmiastby do niego wstąpiła. On, mając już wiadomość o tych naszych klasztorach, odpowiedział jej, że jest to reguła zakonu Najświętszej Panny z góry Karmelu, i nie wchodząc w bliższe szczegóły i objaśnienia, dodał tylko, że tego zakonu są klasztory, które ja zakładam. Wtedy wyprawiła do mnie onego posłańca swego, o którym na wstępie mówiłam. Gdy jej oddano odpowiedź moję, tak była wyczerpana chorobą, że spowiednik radził jej, by dała już pokój myślom o zakonie. W takim stanie zdrowia, mówił jej, gdybyś nawet była już w klasztorze, wydaliliby cię; tem bardziej więc niepodobna przypuścić, by który chciał taką chorą przyjąć cię. Mocno temi uwagami zgnębiona, zwróciła się do Pana i w udręczeniu duszy swojej zawołała: — „Panie mój i Boże mój, wiem i wierzę, iżes jest Bóg wszechmogący; więc, o życie duszy mojej, albo spraw by ustały te pragnienia moje, albo daj sposób spełnienia ich. Wymówiła te słowa z najmocniejszą ufnością, błagając Najświętszej Panny, przez ten miecz boleści, który przeniknął duszę Jej, gdy na ręku swoich trzymała umarłego Syna swego, by raczyła być jej pośredniczką i orędowniczką. Wtedy usłyszała w sobie głos wewnętrzny, mówiący jej: — „Wierz i ufaj; Ja wszystko mogę; będziesz zdrową; bo jako mocen byłem tym wszystkim niemocom twoim, z których każda sama z sie-



bie jest śmiertelną, zabronić by tobie śmierci nie zadały, tak łatwiej jeszcze potrafię oddalić je od ciebie.“ — Słowa te, powiada, były wymówione z taką siłą i stanowczością, że najmniejsza po nich nie pozostała jej wątpliwość o tem, że pragnienie jej się spełni, jakkolwiek cierpienia jej coraz bardziej się wzmagaly i coraz ciężej ją przygniatały, aż do dnia kiedy Pan, jak opowiedziałam wyżej, od razu jej zdrowie przywrócił. Całe to opowiadanie może się wydawać niepodobnem do wiary; sama też, jako jestem niecnotliwa, przyznaję, że skłonna byłam do posądzania go o niejaką przesadę, gdyby nie to, że wiadomości, jakich zasięgałam od lekarza i domowników, i od osób postronnych, w zupełności je stwierdziły.

Teraz Katarzyna, choć słaba i wątła, tyle jednak ma zdrowia, że może zachować regułę. Jest to pod każdym względem wzorowa zakonnica. Zawsze pogodna i wesoła, w całym postępowaniu swoim taką, jak już mówiłam, okazuje pokorę, że patrząc na nią, wszystkie wysławiamy Pana. Całą majątność swoją obie, bez żadnych warunków i zastrzeżeń, oddały zakonowi, za całe wynagrodzenie o to jedno tylko prosząc, abysmy je zechciały przyjąć do zgromadzenia. Takie w niej zupełne oderwanie się od krewnych i od miejsca urodzenia, że najgoręcej pragnie i przełożonym nawet się naprzykrza, aby ją przeniesli gdzieś daleko; choć z drugiej strony tak jest doskonale posłuszną, że i tu ochotnie pozostaje, skoro jej tak każą. Przez pokorę również, żadną miarą nie chciała przyjąć zasłony siostry chórowej, upierając się, że woli pozostać siostrą służebną; aż dopiero musiałam napisać do niej, strofując ją, że sprzeciwia się woli Ojca prowincyała, że taka pokora nie ma zasługi przed Bogiem i inne tym podobne, dość ostre dając jej upomnienia. Dla niej największa to rokosz, gdy tak ją karca i surowo upominają; tym też jedynie sposobem doszliśmy z nią do ładu, że zgodziła się wreszcie na żądanie nasze, choć bardzo tego nie chciała. Słowem, niczego nie widzę w tej duszy, coby nie było przyjemnem Bogu i pociechą dla nas wszystkich. Niechaj Pan utwierdzać ją raczy Boską mocą swoją i coraz większe czyni w niej pomnożenie tych cnót i tej łaski, których jej użyczył dla większej chwały i służby swojej, amen.

---

## ROZDZIAŁ XXIII.

O fundacyi Karmelu chwalebne­go świętego Józefa w mieście Sewilli, w dzień Świętej Trójcy roku 1575.

W czasie, gdy jeszcze pozostawałam w mieście Veas, czekając na wydanie mi przez Radę zakonów upoważnienia do założenia klasztoru Karawaka, odwiedził mię tamże jeden z Ojców naszego zakonu, karmelita Bosy, który zaledwo na parę lat przedtem był przywdział nasz habit, przebywając wówczas w Alkala. Był to magister brat Hieronim od Matki Bożej Gracyan, mąż głębokiej nauki, bystrego rozumu i rzadkiej przytem skromności; całe życie jego było jednym pasmem cnót niepospolitych; snać Najświętsza Panna sama go wybrała dla dobra tego naszego zakonu i przywrócenia w nim ducha pierwszych jego założycieli. Już w czasie, gdy odbywał nauki w Alkala, miał postanowienie zostać zakonnikiem, choć o naszym zakonie wówczas zgoła nie myślał. Rodzice jego, mając wielkie łaski u dworu i świetne budując nadzieje na wysokich zdolnościach jego, insze względem niego mieli zamiary, których on jednak bynajmniej nie podzielał. Gdy rozpoczął nauki, ojciec jego chciał, by chodził na kursa prawne; ale młodzieniaszek, głęboko, nad wiek swój, zmartwiony tem postanowieniem ojca, dopóty go błagał ze łzami, póki nie uzyskał pozwolenia słuchania teologii. Otrzymawszy stopień magistra, wszczął starania o dopuszczenie go do Towarzystwa Jezusowego i jezuci gotowi byli go przyjąć; ale z powodu pewnych, jakie zaszły trudności, kazali mu poczekać kilka dni. Wczasy i przyjemności, jakich używał na świecie, prawdziwą, jak mi mówił, były dla niego męką; zdawało mu się, że nie ta jest pewna droga do nieba; choć i w tem świeckiem życiu swoim miał stałe godziny przeznaczone na modlitwę i, obok ustawicznego skupienia ducha, najsurowszej przestrzegał czystości obyczajów.

W tymże czasie, jeden wielki przyjaciel jego, także magister, wstąpił do klasztoru naszego zakonu w Pastrana, gdzie

przybrał imię Jan od Jezusa. Czy to wskutek listu, jaki ten przyjaciel do niego napisał, wysławiając mu wysoką dostojność i starożytność Karmelu, czy z inszej jakiej przyczyny, nie wiem: dość że od tego czasu Gracyan dziwnie ten zakon nasz ukochał; niewypowiedzianą sprawiało mu roskosz czytanie wszelkich o nim wiadomości i stwierdzanie ich świadectwami i orzeczeniami wielkich doktorów; nieraz mówił mi, aż skrupuł miał w sumieniu, że dla tego ulubionego przedmiotu innych nauk swoich zaniedbuje, tak się od niego nie mógł oderwać; wszystkie chwile rekreacji tem czytaniem zapełniał. O mądrości, o mocy Boga! jakże daremnie miota się człowiek, chcąc się uchylić od tego, co jest wolą Jego! Widział Pan, jak bardzo potrzebnym był do tego dzieła, które On sam w Boskiej swej łaskawości rozpoczął, człowiek taki, jakim się okazał O. Gracyan. Ile razy na to wspomnę, uwielbiam zawsze dobroć Jego za tę wielką łaskę, jaką nam uczynił, dając nam tego Ojca. Gdybym i najgoręcej była prosiła Pana o przysłanie nam kogo, coby umiał do należącego porządku doprowadzić wszystkie sprawy naszego zakonu w tych pierwszych jego początkach, nigdybym nie była zdołała prosić i żądać tyle, ile On sam w tym razie nam darował. Niech za to będzie błogosławiony na wieki!

Zdarzyło się w tym czasie, że Gracyan, choć daleki jeszcze od myśli przywdziania habitu karmelitów Bosych, udał się, jak go o to proszono, do Pastrana, dla umówienia się z przełożoną naszego klasztoru, wówczas jeszcze nie przeniesionego stamtąd do Segowii, o przyjęcie jednej aspirantki. O jakże dziwnych Opatrzność Boska umie używać środków dla osiągnięcia celów swoich! Gdyby Gracyan był wyjeżdżał z powziętym już zamiarem wstąpienia do naszego zakonu, śnać niejednen ze znajomych i przyjaciół jego byłby mu odradzał tego kroku i od postanowienia go odwiódł. Ale Najświętsza Panna, Pani nasza, za żarliwą, jaką dla Niej pała, pobożność, chciała go wynagrodzić, dając mu habit swój; Ona, nie wątpię o tem, przyczyną swoją wyjednała mu u Boga tę łaskę, że tak gorąco ukochał nasz zakon, że w końcu do niego wstąpił, nie kto inny, pewna tego jestem, to sprawił, jedno ta Panna naj-

chwalebniejsza, nie chcąc by ten, który tak żarliwie pragnął Jej służyć, był pozbawionym sposobności spełnienia tej świętej żądzy swojej: bo taki jest tej Pani miłościwej obyczaj, że łaskami swemi obsypuje każdego, kto się pod Jej obronę ucieka.

Uciekał się do Niej Gracyan od młodzieństwa swego. Pacholęciem jeszcze, z domu rodzicielskiego w Madrycie, rad chodził modlić się przed obrazem Matki Boskiej, do którego szczególnie miał nabożeństwo; obraz ten, umieszczony nie pamiętam w którym kościele, nazywał kochaniem swoim i jak najczęściej go nawiedzał. Snać Ona za to wyprosiła mu u Syna swego tę niepokalaną czystość serca, jaką się całe życie odznaczał. Nieraz, powiadał mi, oczy miał spuchłe od łez, nie mogąc się powstrzymać od rzewnego płaczu na wspomnienie tylu grzechów, jakimi ludzie obrażają Boskiego Jej Syna. Stąd rodził się w nim niepowstrzymany zapał i żądza ratowania dusz; stąd głęboka bolesć jaka przenikała duszę jego, na widok obrazu Boskiej. Ta żądza zbawienia dusz tak go całego pochłania, że dla duchowego pożytku bliźniego, wszelki trud i wszelkie cierpienie wydaje mu się niczem. Wiem o tem z własnego doświadczenia, bo sama w różnych zdarzeniach patrzyłam na to, ile dla tej apostołskiej gorliwości swojej ochotnie ucierpiał.

Takim więc jakby fortelem przez Najświętszą Pannę porciągnięty, Gracyan wybrał się do Pastrana, w tem przekonaniu, że jedzie tam jedynie po to, aby dla onej aspirantki habit wyprosił; alisci Bóg go tam prowadził po to, aby jego samego w habit przyodziął. O słodkie tajniki dróg Bożych! jakże wdzięcznie i jak skutecznie umie On, mimo woli naszej, przysposobić nas do przyjęcia łask, jakie nam gotuje! jakże hojnie odplacił tej duszy za święte uczynki jej, za dobry przykład, jaki z siebie dawała, a zwłaszcza za żarliwą jej żądzę służenia błogosławionej Matce Jego! Bo zawsze, jak sądzę, czcicielom Matki swojej Pan w taki sposób się wywdzięcza, zlewając na nich szczególnie łaski swoje.

Przybywszy tedy do Pastrana, Gracyan udał się do przełożonej i przemówił do niej za oną aspirantką, aby ją przyjęła;

ale skutek mowy jego był taki, jak gdyby raczej był przemawiał za sobą, aby ona wyprosiła u Pana własne jego do zakonu wstąpienie. O. Gracyan ma tę szczególną łaskę od Boga, że dziwnym urokiem całej postawy swojej i sposobu zachowania się, wszystkich pociąga do siebie; rzadki chyba ten, ktoby go, poznawszy, nie pokochał; stąd też wszyscy jego podwładni, zakonnicy zarówno jak i zakonnice, nadzwyczajnie są do niego przywiązani; bo jakkolwiek w swej gorliwości o dobro i wzrost duchowny zakonu, którą posiada w najwyższym stopniu, żadnemu uchybieniu nie przepuszcza, takim przecie sameż upomnienia i strofowania swoje umie zaprawiać wdziękiem i słodkością, że nigdy nikogo nie urazi, ani mu da powodu do żalu. Tym sposobem i na przełożonej w Pastrana od pierwszego spotkania także jak i na wszystkich wywarł wrażenie; tak była nim zachwycona, że od razu powstało w niej najgorętsze pragnienie, aby mąż taki, tylu niepospolitemi zaletami ozdobiony, wstąpił do naszego zakonu. Zwierzyła się siostrze z tą myślą, przedstawiając im, jakiby to był niezmiernie ważny nabytek dla poczynającego się zakonu, posiadającego wówczas jeszcze mało kogo, czyli raczej nie posiadającego prawie nikogo, ktoby takiej znakomitości dorównał. Poleciła im zatem, aby wszystkie wspólne do Pana zanosili modlitwy, aby go z Pastrany nie wypuszczał i skłonił go do przywdziania habitu. Przełożona ta jest wysoko świętobliwą służebnicą Bożą, i sama już jej jednej modlitwa niezawodne, mniemam, znalazłaby wysłuchanie u Pana; jakże więc bardziej jeszcze skutecznymi musiały być połączone prośby tylu dusz tak pobożnych, zgromadzonych w tym klasztorze! Wszystkie one bardzo sobie wzięły do serca zalecenie przełożonej; ustawiczne, przy gorącej modlitwie, zadawały sobie posty i biczowania na uproszenie u Pana tej łaski; jakoż Pan w łaskawości swojej raczył wysłuchać ich prośby. Zaszedłszy w odwiedziny do klasztoru Braci, na widok panującej w nim doskonałej ścisłości zakonnej i całego urzędzenia jego, dziwnie ułatwiającego wyłączne oddanie się służbie Bożej, a szczególnie na myśl, że jest to zakon Matki Boskiej, dla chwały której tak gorąco pragnął się poświęcić, Gracyan uczuł w sobie wewnę-

trzne natchnienie i silną pobudkę, by już nie wracał do świata. Wiele mu, dla odstręczenia go od tej myśli, dyabeł nasuwał trudności; najtrudniej zwłaszcza było Gracyanowi wspomnienie na boleść, jaką swoim od nich odejściem sprawi rodzicom, którzy go bardzo kochali, i mając wiele synów i córek, na niego najmocniej liczyli, iż będzie podporą całego swego rodu. Ale mężnie idąc za głosem powołania, zdał tę troskę na Boga, dla którego opuszczał wszystko i z niezachwianem postanowieniem oddania się Najświętszej Pannie na służbę, oświadczył chęć przyjęcia habitu Jej, którego też Bracia z radością mu udzielili. Ale większa jeszcze była radość przełożonej i sióstr, które z uniesieniem najgorętszej wdzięczności wielbiły Pana, iż na prośby ich, jak słusznie mogły mniemać, tak wielką im łaskę uczynił.

W ciągu roku probacyi swojej Gracyan taką okazywał pokorę, jakiejby nie dorównał ostatni nowicyusz. W jednym zwłaszcza zdarzeniu jawny dał dowód niepospolitego zaprzania się siebie, gdy w nieobecność przeora rządy klasztoru dostały się w ręce jednego Brata, bardzo młodego, mało bardzo zdolnego, bez nauki, bez potrzebnej do rządzenia roztropności, bez żadnego doświadczenia, którego i nie mógł posiadać, sam jeszcze niedawno przedtem wstąpiwszy do zakonu. Szorstkość jego w obchodzeniu się z Braćmi i umarwienia, jakie na nich wkładał, przechodziły wszelką miarę. Ile razy na to wspomnę, nie mogę wyjść z podziwienia, jakim sposobem Bracia, a zwłaszcza człowiek tak zasłużony, jakim był O. Gracyan, mogli znieść to wszystko; rzecz pewna, że potrzeba było na to takiej nadzwyczajnej gorącości ducha, jaką Bóg tego Ojca obdarzał. Pokazało się potem, że niefortunny on przełożony od dawna cierpiał na melancholię; wszędzie gdziekolwiek był, choć jako podwładny, trudno było z nim wytrzymać, więc łatwo domyśleć się, jak musiał być nieznośnym na przełożeniu. Dobry zresztą z niego zakonnik, tylko że nad temi humorami swemi panować nie umie. Bóg nieraz dopuszcza podobne pomyłki w wyborze przełożonych, aby przez nich doskonalej jeszcze wyćwiczyć w cnocie posłuszeństwa tych, których miłuje. Takim zapewne i w tym razie był miłościwy zamiar Jego; bo

w nagrodę za tę mężną pokorę jego, użyczył O. Gracyanowi, czyli jak zowie się w zakonie, O. Hieronimowi od Matki Bożej, wysokiego bardzo światła w rzeczach posłuszeństwa, aby mógł go nauczać podwładnych, jak sam naprzód z takim przedziwnem zaprzaniem się siebie je pełnił. I aby mu nie zbywało na własnem, we wszystkim, czego nam potrzeba, doświadczeniu, przez trzy miesiące przed profesją swoją gwałtowne wycierpiał pokusy; ale waleczny zapaśnik, przyszedł wódz synów Panny Najświętszej, umiał dzielnie stawiać czoło nagabaniom złego ducha i im natarczywiej nieprzyjacieli dręczył go i kusił go, aby zakon porzucił, tem mężniej on te poduszczenia odpierał, przyrzekając Bogu, że nigdy się z habitem nie rozstanie i ślubami, skoro mu będzie wolno, dozgonnie się zwiąże. Pokazywał mi pismo, które w ciągu tych gwałtownych pokus ułożył; z wielkiem je przeczytałam nabożeństwem, podziwiając to męstwo niepokonane, jakiego Pan mu użyczał.

Może to się komu wyda rzeczą niewłaściwą, że O. Gracyan mnie się zwierzył z tylą szczegółów, dotyczących się duszy jego. Ale śnać Pan sam tego chciał, abym je zamieściła w tem piśmie mojem, a iżby ci, którzy je czytać będą, chwalili Go w stworzeniach Jego. Wiem na pewno, że przed nikim więcej, ani nawet przed spowiednikami swymi, O. Gracyan tak się nie otworzył, jak to uczynił przedemną. Niekiedy do tych zwierzeń skłaniał go wzgląd na podeszły wiek mój i na to, co słyszał o mnie, za czem zdawało mu się, że powinnam mieć niejaki w tych rzeczach doświadczenie. Czasem znowu z samego toku rozmowy, choć o czem innem zaczętej, nieznacznie tak wypadało, że mi zaczynał mówić o tych rzeczach i o innych jeszcze, o których mi tu pisać nie należy, i gdybym chciała tu o nich wspominać, rozszerzyłabym się nad miarę. I w tem, co napisałam, bardzo się, upewniam, powściągałam, aby mu nie zrobić przykrości, gdyby to pismo moje dostało się w ręce jego. Nie mogłam jednak przemilczeć o nim, tem bardziej, że chociażby miał kiedy czytać te karty, nie prędko to w każdym razie nastąpi, nie godziłoby się, jak sądzę, nie wspomnieć o tym, który około wznowienia tej pierwotnej re-

guly naszej tak wielkie položyl zaslugi. Nie on pierwszy wprawdzie dal temu wznowieniu poczatek, ale nastal w czasie, w ktorzym nieraz, gdyby nie wielka ufnośc, jaką pokladam w miłosierdziu Boga, byłabym żalowała, że się zaczęło. Mówię tu o domach Braci; bo klasztory Sióstr z łaski Boga, zawsze aż do tego czasu trzymały się dobrze. Nie mówię, żeby klasztory Braci szły źle; tylko że nosiły w sobie zaród rychłego upadku, bo nie tworząc własnej prowincyi, zostawały pod zarządkiem Trzewickowych. Tym, którzy mogliby byli rządzić, jak mianowicie O. Antoniemu od Jezusa, który pierwszy był zaczął, tamci nie przyznawali władzy. Nad to, Bracia nasi nie mieli jeszcze konstytucyi nadanych im przez najprzewielebniejszego naszego Ojca Generała; w każdym więc domu rządzili się wedle własnego uznania: jednym zdawało się, że tak najlepiej, drugim widziało się inaczej; gdyby rzeczy były miały dłużej trwać w takim stanie, ażby kiedyś Bracia doczekali się konstytucyi albo własnego rządu, ciężkie byłyby z tego wynikły szkody. Myśl ta nieraz srogie mi sprawiała udręczenie. Ale Pan zaradził złemu przez Ojca magistra Hieronima od Matki Bożej. O. Gracyan został mianowany komisarzem apostołskim: zlecono mu rządy i władzę nad karmelitami i karmelitkami Bosemi. Ustanowił wtedy konstytucye dla Braci. My już miałyśmy swoje od najprzewielebniejszego naszego O. Generała; nie dla nas więc napisał te konstytucye, jedno na mocy udzielonej mu władzy apostołskiej nadał je Braciom, a w wywiązaniu się z tego zadania nowy dał dowód tych znakomych zalet i zdolności, któremi Pan, jak mówiłam, go obdarzył. Za pierwszą zaraz, jaką odbył u nich wizytą, do takiej od razu przywiódł wszystko harmonii i ładu, tak mądrze i składnie wszystko ułożył, że jawnie w tem się okazało, iż Pan w Boskiej łaskawości swojej szczególną go wspiera pomocą, a iż Jego Najświętsza Panna wybrała dla naprawy zakonu swego. Błagam Jej z głębi duszy, aby nie przestawała wstawiać się za nim i wyjednała mu to u Syna swego, iżby go zawsze opieką swoją otaczał i użyczał mu łaski coraz wyższego w służbie Jego postępu. Amen.

---



## ROZDZIAŁ XXIV.

O fundacyi Karmelu św. Józefa w mieście Sewilli. Ciąg dalszy.

Gdy O. magister Hieronim Gracyan przybył do mnie w odwiedzinę do Veas, nigdy przedtem nie byliśmy się widzieli, chociaż ja dawno pragnęłam go poznać, tyle zewsząd słysząc o nim dobrego; kilka razy tylko do siebie pisałyśmy. Skoro tedy doniesiono mi, że już jest w mieście, ucieszyłam się niezmiernie na samą myśl, że wreszcie doczekam się upragnionego z nim spotkania; ale większą jeszcze bez porównania pociechę odniosłam z pierwszej zaraz mojej z nim rozmowy. Tak mi się nad wszelki wyraz spodobał, że wielkie, jakie przedtem byłam o nim słyszała pochwały, wydały mi się o wiele niedorównywajacemi istotnej wartości jego; widocznie, myślałam sobie, ci, którzy mi go chwalili, nie dość umieli poznać się na nim i tak wysoko go ocenić, jak na to zasługuje. Od pierwszej chwili tego z nim spotkania, strapienie moje, wówczas tak ciężko mię dręczące, znikło bez śladu, bo Pan jakby w obrazie stawił mi przed oczy, ile ten Ojciec zdziałał dla nas dobrego; takie stąd w one dni czułam w sobie rozradowanie i zadowolenie wewnętrzne, że sama sobie, prawdziwie rzec mogę, się dziwiłam. Zlecenie dane Ojcu Gracyan wprawdzie rozciągało się wówczas jeszcze tylko do Andaluzyi; ale już był wezwany przez Nuncyusza do Madrytu, a celem i skutkiem tego wezwania było nadanie mu także władzy nad braćmi i siostrami nowego Karmelu w całej prowincyi Kastylijskiej. Takie więc, powtarzam, cały ten czas czułam w sobie rozradowanie ducha, że nie mogłam się dosyć nadziękować Panu i radabym była nic innego nie czynić, jedno ciągle modlić się i dziękować.

W tymże czasie nadeszło wreszcie pozwolenie na fundację w Karawaka, ale nie w takiej formie, jakiej potrzebowałam i żądałam. Potrzeba więc było powtórnie udawać się do dworu; bo fundatorki, którym, zwracając ten dokument, oznajmi-

łam, że fundacya nie może przyjść do skutku, jeśli się nie wy-  
starają o dodanie jednego punktu, który był pominięty, same  
tego dopełnić nie mogły bez osobnej decyzji królewskiej.  
Przykrzyło mi się tak długo czekać na miejsce, chciałam po-  
wrócić do Kastylii; ale że O. Gracyan już był mianowany  
komisarzem apostolskim na całą prowincję kastylijską, będąc  
zatem podwładną jego i nie mogąc nic uczynić bez jego zgo-  
dzenia się, przedstawiłam mu życzenie moje, co tem łatwiej  
uczynić mogłam, że Ojciec jeszcze przebywał w Veas i że ta-  
mecznym klasztor nasz podlegał także władzy jego. Odpowie-  
dział mi, że odjazd mój, zdaniem jego, będzie się równał zu-  
pełnemu opuszczeniu fundacyi w Karawaka; że jednak sądzi,  
że uczynię rzecz bardzo przyjemną Bogu, gdy założę klasztor  
w Sewilli, co zdawało mu się rzeczą bardzo łatwą, bo już się  
z prośbą o to zgłaszało do niego kilka osób możnych i boga-  
tych, które z łatwością będą mogły zaraz ofiarować dom;  
a przytem i arcybiskup sewilski bardzo jest przychylnie uspo-  
sobiony dla naszego zakonu i pewno ochotnie nas poprze.  
Stańło więc na tem, że przełożona i siostry, które miałam  
z sobą dla fundacyi w Karawaka, pojedą do Sewilli. Ja do  
tego czasu, mając pewne do tego powody, stale się wzbrania-  
łam od zakładania klasztorów naszych w Andaluzyi; i w Veas  
nie byłabym podejmowała fundacyi, gdybym była wiedziała,  
o czem po niewczasie dopiero się dowiedziałam, że miasto to,  
choć położone o cztery czy pięć mil od właściwych granic  
Andaluzyi. — i to właśnie w błąd mię wprowadziło, — zalicza  
się przecie do terytorium tej prowincyi. Lecz wobec objawio-  
nego mi postanowienia zwierzchnika, choć sama nosiłam się  
z zamiarem innej fundacyi, choć przeciw usadowieniu się w Se-  
willi miałam powody bardzo ważne, natychmiast bez wahania  
poddalam się, bo Pan mi dał tę łaskę, że każde postanowienie  
tych, którzy mają od Niego władzę nademną, zawsze w oczach  
moich dobrem jest i słusznem <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Św. Teresa, jak opowiada Yepes w jej Życiu (Ks. II, r. 27), za naj-  
pilniejszą i dla zakonu najkorzystniejszą poczytywała fundacyę w stolicy.  
Widząc tę jej skłonność do Madrytu raczej niż do Sewilli, O. Gracyan pole-

Nie tracąc czasu, przyspieszyliśmy nasze przygotowania do drogi, bo skwary nastawały coraz większe. Ojciec Gracyan, komisarz apostolski odjechał do Madrytu, dokąd go zwywał nuncyusz, my wyruszyliśmy w drogę ku Sewilli, wraz z wiernymi towarzyszami moimi, O. Julianem z Awili, Antonim Gaytan i jednym z naszych Braci Bosych. Jechaliśmy powozami szczerbnie krytymi, jak tego zawsze przestrzegaliśmy w każdej podróży; zajeżdżając na popas czy na nocleg, brałyśmy pokój, jaki się zdarzył, dobry czy zły, do którego ani z towarzyszków naszych żaden nie miał wstępu; jedna z sióstr, stojąc we drzwiach, przyjmowała od służby miejscowej czego nam było potrzeba. Jakkolwiek pospieszałyśmy, zaledwo we czwartek przed Trójcą Świętą stanęłyśmy w Sewilli, wycierpiawszy upały niesłychane. W święta wprawdzie odpoczywałyśmy; ale i w czasie tych postojów, powozy nasze stojąc na słońcu, cały żar swój na nie puszczającem, tak się rozpałały, że wsiadanie do nich, upewniam was, siostry, równało się jakby czyścowi. Siostry jednak, bądź przywodząc sobie na pamięć ogień piekielny, bądź wspominając sobie, że cierpią dla miłości Boga, z radością największą i z weselem znosiły te

---

cił jej prosić Boga, aby raczył objawić wolę swoją w tym względzie. Święta spełniwszy to zlecenie, dała mu odpowiedź, że Pan oznajmił jej, iż lepiej będzie pierwej zacząć od fundacyi w Madrycie. „A ja jednak, odrzekł jej O. Gracyan, zawsze jestem tego zdania, że lepiej być naprzód pojechała do Sewilli“. Na to Święta, nie odpowiadając ani słowa, zaczęła natychmiast gotować się do drogi; już i siostry, mające jej towarzyszyć, były wyznaczone, gdy w parę dni potem O. Gracyan, tknięty widokiem takiego bezwarunkowego posłuszeństwa, zachwiał się w swem postanowieniu. „Być może, rzekł do św. Teresy, że moje zdanie jest błędnem; jakże mogłaś tak odrazu przystać na nie, mając niewatpliwe, wręcz przeciwne objawienie od Boga?“ — „Nie mogę złądzić, odparła Święta, gdy słucham przełożonych; polegając na objawieniu, chociażby mi się zdawało prawdziwem, mogę być w błędzie“. Zdumiony tą, godną świętej, odpowiedzią, O. Gracyan polecił jej powtórnie prosić Pana o objawienie woli swojej i wtedy Pan Jezus, zatwierdzając i postanowienie Ojca i posłuszeństwo swej oblubienicy, rzekł do niej: — „Dobrze zrobiłaś, córko, żeś usłuchała od razu; zakou wasz i fundacya madrycka nie na tem nie stracą. Jedź do Sewilli; fundacya przyjdzie do skutku, ale ty wiele tam niecierpisz.“

męki. Miałam ich z sobą sześć; a były to dusze takie, że z niemi śmiało poszłabym choćby do Turków, pewna tego, że wszędzie znajdą w sobie, czyli raczej że Pan im da męstwo do zniesienia wszelkich dla Niego katuszy; bo tego tylko pragnęły i o tem tylko mówiły, tak były doskonale wyćwiczone w modlitwie i w umartwieniu. Umyślnie też, mając je pozostawić przy fundacyi tak odległej, wybrałam takie, które uważałam do tego za najodpowiedniejsze. I w rzeczy samej potrzeba im było takiego męstwa i siły ducha do zniesienia wszystkich, jakie nas tam czekały utrapień; wiele z nich i to z największych, wolę pominąć milczeniem, bo mówiąc o nich mogłabym go go dotknąć.

W wigilię Zesłania Ducha Świętego, Bóg zadał im bardzo ciężkie zmartwienie, zsyłając na mnie gorączkę nad wszelki wyraz gwałtowną. Żem wówczas nie umarła, zawdzięczam to, pewna tego jestem, jedynie gorącym ich do Boga wołaniom; bo takiej gorączki nigdy w życiu nie miałam. Byłam zupełnie bez czucia, jakby w latargu. Siostry, chcąc mię ocucić, pryskały mi w twarz wodą, ale tak rozgrzaną od słońca, że żadnej mi ulgi sprawić nie mogła. Wystawcie sobie do tego niefortunne kwaterę, jaka się nam w tej potrzebie dostała. Dali nam izdebkę bez sufitu; okien w niej nie było, a za otwarciem drzwi, słońce ją całą zalewało. A trzeba wam wiedzieć, że słońce tam nie takie jak u nas w Kastylii, żar jego bez porównania silniejszy. Położyli mię na łóżku, ale było to łóżko takie, że wolałabym była leżeć na gołej ziemi; było ono z jednej strony tak wysokie, a z drugiej tak niskie, że prawie nie było sposobu na niem uleżeć, a przytem twarde i kolące, jakby ostremi kamykami usłane. Co to znaczy choroba! wszak w dobrem zdrowiu wszystko to byłoby się zniosło z łatwością. W końcu wolałam już lepiej wstać i jechać dalej; znośniejszem mi się zdawało słońce w otwartem polu, niż tej nędznej izdebce. Jakże okropnie muszą cierpieć ci nieszczęśni, którzy leżą pogrążeni w piekle, gdzie nigdy przez całą wieczność nie będzie dla nich odmiany; bo sama już zmiana, choćby jednej męki na drugą, niejako, jak sądzę, przynosi ulgę w cierpieniu. Sama na sobie tego doznałam, gdy raz, na miejsce bolu bardzo silnego

który cierpiałam, nastąpił drugi, nie mniej dotkliwy; ale to jedno już, że był to ból inszy, zdawało mi się ulgą. Tak było i w tem zdarzeniu. Mnie ta choroba moja, o ile pamiętam, żadnej nie sprawiła przykrości; siostry daleko bardziej były nią strapione, niż ja; ale z łaski Boga, gwałtowny ten jej paroksyzm tegoż dnia do wieczora się uspokoił.

Na parę dni przedtem, przeprawiając się przez Gwadal-kwiwir, miałyśmy przygodę, która nas nieco strachu nabawiła. Z powodu silnego prądu, prom z powozami naszymi nie mógł się utrzymać w prostym kierunku, przy linie przeciągniętej do drugiego brzegu, ale z prądem płynął na ukos; z początku jeszcze lina, siłą naciągana, niejakię oddawała usługi; ale po chwili wyrwała się z rąk tym, którzy się za nią trzymali, czy też sami ją upuścili. i tak prom nasz z powozami, bez liny ni wiosel, popłynął dalej na los szczęścia. Co do mnie, widok przewoźnika i strapienia jego nierównie żywiej mię obchodził, niż własne niebezpieczeństwo nasze. Siostry tymczasem wraz ze mną modliły się, drudzy wołali w niebogłosy. Na szczęście nasze, dostrzegł nas jeden pan z zamku swego stojącego nad brzegiem, i litując się nad nami, posłał nam ludzi na ratunek; było to w chwili, gdy prom jeszcze nie był całkiem oderwany od liny, i Bracia nasi także pomagali ją trzymać, ciągnąc z wszystkich sił swoich, nim wreszcie siła prądu wyrwała ją wszystkim z ręki, i to z taką gwałtownością, że niektórzy aż poupadali na ziemię. Nigdy, rzecz pewna, nie zapomnę po-bożnego wzruszenia, jakiego w tej przygodzie doznałam, patrząc na synka naszego przewoźnika; z takim serdecznem współuczuciem chłopczyk ten, zaledwo dziesięć lub jedenasto-letni, podzielał strapienie ojca swego, iż na ten widok w duchu wielbiłam Pana, że w takim młodem sercu, tak wysokie mi-łości synowskiej uczucia sprawuje. Wreszcie, jako Pan w Bo-skiej dobroci swojej zawsze się, i w karaniu i w próbach, jakie na nas zsyła, okazuje Ojcem miłościwym, tak i w tem zdarze-niu z nami uczynił: prom nasz uderzył o ławę piaszczystą, gdzie z jednej strony woda stała nisko, zaczęm łatwy już wtedy był dla nas ratunek. Gdyśmy wysiedli na brzeg, było już ciemno, i niełatwoby nam było samym trafić na drogę; ale

ludzie z zamku na pomoc nam przysłani, do niej nas doprowadzili, i tak i z tego nowego kłopotu wybawił nas Pan. Wiele innych miałabym do opowiedzenia podobnych złych przygód, doznanych w podróży, ale są to takie drobnostki, że o nich wspominać nie warto; i o powyższem zdarzeniu nie miałam zamiaru mówić, i dla tego tylko je tu opisałam, że usilnie na mnie nalegano, bym takich szczegółów nie pomijała milczeniem.

Insza przykrość, dużo większa od wyżej wspomnianych, wydarzyła się nam trzeciego dnia Zielonych Świątek. Spieszyliśmy bardzo, chcąc wcześniej z rana trafić do Kordowy, i wysłuchać tam Mszy świętej, bez zwrócenia na siebie uwagi publicznej. Ukazano nam kościół za mostem, w miejscu jakoby więcej samotnem. Ale gdyśmy się zbliżyli do mostu, okazało się, że nie wolno nim przejeżdżać powozom, bez osobnego pozwolenia naczelnika miasta; trzeba było posyłać do niego, ale nim pozwolenie nadeszło, straciliśmy przeszło dwie godziny, bo jeszcze spał; a tymczasem coraz więcej ludzi zbierało się około naszego powozu, ciekawie zaglądając, kto to przyjechał, choć oto jeszcze nie bardzo się troszczyliśmy, bo powóz był szczelnie zamknięty i kryty. Gdy wreszcie doczekaliśmy się pozwolenia, nowa zatrzymała nas trudność: brama mostowa była za wązka na szerokość naszego powozu; potrzeba było upiłować, nie wiem już jaką część wystającą, co znowu nam sporo czasu zabrało. Dostawszy się nakoniec do kościoła, gdzie O. Julian z Awili miał dla nas odprawić Mszę świętą, zastaliśmy w nim pełno ludzi, bo kościół ten, o czem nie wiedzieliśmy, był pod wezwaniem Ducha Świętego, i stąd uroczyste w nim nabożeństwo z kazaniem. Ja na widok takiego mnóstwa ludu, zafrasowałam się bardzo, i byłabym wolała jechać dalej, beze Mszy świętej, raczej niż wystawiać się na takie zbiegowisko. Ale O. Julian nie chciał na to się zgodzić; a że on jest teolog, więc potrzeba nam było wszystkim zastośować się do zdania jego, bo drudzy towarzysze moi zapewne byliby poszli raczej za mojem, i tak bylibyśmy wszyscy wielki błąd popełnili; choć ostatecznie nie wiem, czy byłabym śmiała w takiej rzeczy wyłącznie polegać na własnem zdaniu mojem.

Wysiadłyśmy więc przed kościołem; twarży naszych wprawdzie nikt nie mógł widzieć, bo nosiłyśmy jak zawsze spuszczone duże zasłony; ale sam już widok tych zasłon, i białych szerszycianych płaszczów naszych, i w sandały obutych nóg naszych, łatwo mógł wzniecić, i w rzeczy samej wzniecił powszechne między ludem poruszenie. I nasze też wzruszenie pewno, że nie było mniejsze; tyle przynajmniej mu zawdzięczam, że pod wrażeniem jego gorączka moja całkiem mię opuściła. Gdyśmy weszły do kościoła, zbliżył się do nas jakiś dobry człowiek i począł nam drogę torować przez tłumy. Prosiłam go usilnie, by zaprowadził nas do jakiej kaplicy; tak i uczynił, i zamknąwszy wejście do kaplicy, nie odstąpił nas aż do chwili wyjścia naszego z kościoła. Wkrótce potem, będąc w Sewilli i spotkawszy się z jednym Ojcem naszego zakonu, opowiadał mu o znacznym majątku, który tylko co, zupełnie niespodziewanie, dostał mu się drogą spadku czy darowizny, co poczytywał sobie za szczególną łaskę daną mu od Boga, w nagrodę za tę ludzkość, którą nam okazał. Całe to przejście, jakkolwiek może się zdawać nic nieznaczącem, dla mnie, upewniam was, córki, było jedną z najcięższych przykrości, jakich w życiu mojem doznałam; widok nasz takie wśród ludu zgromadzonego w kościele wzbudził poruszenie i taki zgiełk, jak gdybyśmy były trzodą byków pędzonych na igrzyska. Z niecierpliwością też wyglądałam chwili opuszczenia czempredzej tego miejsca, choć dla wielkiego upału, trzeba było zatrzymać się aż do wieczora, a nie miałyśmy gdzie się podziać; w braku innego schronienia, schowałyśmy się pod mostem.

Przybywszy do Sewilli, zajęchałyśmy do domu, najętego dla nas przez O. Mariano, który był przez nas uprzedzony. Sądziłam, że przyjeżdżam na rzecz gotową; licząc na przychylność arcybiskupa, który, jak mówiłam, bardzo był dobrze usposobiony dla karmelitów Bosych; sama też kilka razy miałam listy od niego, pełne dobroci i życzliwości. Mimo to jednak, z dopuszczenia Bożego, ciężkie z zamierzoną fundacją miałam z jego strony trudności. Arcybiskup stanowczo jest przeciwny zakładaniu klasztorów żeńskich, z jałmużny tylko się utrzymujących; ma swoje do tego powody. To było źródłem przeszkody, na jaką napotkało przedsięwzięcie nasze, czyli raczej,

to jemu pomysłny skutek zapewniło; bo gdyby przed wyjazdem moim arcybiskup był został uprzedzony o tym punkcie reguły naszej, zabraniającej nam posiadanie majątków i dochodów, pewna jestem, że nie byłby się na przyjazd nasz zgodził. Ale O. komisarz i O. Mariano, mając to za rzecz niewątpliwą, że przybycie moje bardzo go ucieszy, jak go i w rzeczy samej bardzo ucieszyło, i że naszym osiedleniem się w jego dyecezyi wielką mu oddamy przysługę, nie mu zrazu o tym punkcie nie wspomnieli; i dobrze się stało, bo w przeciwnym razie byłiby, jak mówiłam, popełnili błąd fatalny, i chcąc zrobić jaknajlepiej, fundacyę na samym wstępie niemożliwą uczynili. Co do mnie, choć przystępując do założenia nowego klasztoru zawsze się nasamprzód starałam o pozwolenie właściwego biskupa, jak tego wymaga święty Sobór Trydencki, w tym razie jednak byłam zaniechała tego starania, tak byłam pewna, że pozwolenie nam jest z góry zapewnione i że klasztor nasz wielki miastu przyniesie pożytek, jak się to i w rzeczy samej okazało. i jak arcybiskup sam później to uznał. Ale taka była wola Pańska, by żadna fundacya nasza nie powstała bez wielkiego dla mnie, czy w ten, czy w drugi sposób, cierpienia.

Stanąwszy tedy w domu, jak mówiłam, dla nas najętym chciałam zaraz, jak to było zwyczajem moim, wziąć go w posiadanie, abyśmy nie zwlekając zaczęły od zmówienia Officyum. Lecz tu, O. Mariano, który nas przyjmował, począł pod różnemi pozorami zwlekać, nie chcąc wyraźnie mi powiedzieć o co chodzi, aby mnie nie martwić. Widząc jednak wyraźną błahość pozornych racyi jakie mi podawał, łatwo zrozumiałam, że cała trudność w tem, że arcybiskup odmówił mu potrzebnego dla nas pozwolenia. Jakoż wreszcie przyznał się, że tak jest, namawiając mię przytem, bym założyła tu klasztor z dochodami, i inne jeszcze w tym rodzaju rady mi dając, których już nie pamiętam. Upewniał mię, że arcybiskup, jakkolwiek jest gorliwym sługą Bożym, nie lubi pozwalać na zakładanie klasztorów żeńskich; że odkąd jest arcybiskupem, a jest nim od wielu lat, przedtem w Kordowie, teraz tu w Sewilli, nigdy żadnemu zgromadzeniu żeńskiemu pozwolenia nie dał, że tem bardziej nie da go na fundacyę klasztoru, utrzymującego się wyłącznie z jałmużny. Znaczyło to innemi słowy, że klasztoru



wcale nie będzie. Naprzód, chociażbym była miała z czego wyznaczyć dochody, wstrętnemby mi było uposażać w nie klasztor w takim wielkiem mieście jak Sewilla; założyłam wprawdzie kilka klasztorów z dochodami, ale było to wyłącznie w miejscowościach mało ludnych, gdzie niepodobna inaczej, bo z samej jałmużny, w takich ubogich miejscowościach, klasztor nie mógłby się utrzymać. Powtóre, pieniądze jakie miałyśmy, wszystkie wydałyśmy w drodze, ledwo parę szelągów zostało nam w kieszeni, z rzeczy również nic nie posiadałyśmy, prócz ubrania, jakie miałyśmy na sobie, i kilku habitów i czepców, i kilku opon, które nam służyły do nakrycia powozów; nawet na opłacenie i odprawienie tych, którzy nas przywieźli, potrzeba nam było pożyczać pieniędzy, o które nam się Antoni Gaytan wystarał u przyjaciela swego, którego miał w mieście, a O. Mariano z swojej strony szukał ich na urządzenie domu; wreszcie i dom ten chwilowo tylko był najęty i nie miałyśmy własnego. Na takie warunki niepodobna mi było się zgodzić.

Snać nie mało musiał arcybiskup nasłuchać się od O. Mariano natrętnych prośb i nalegań, kiedy wreszcie, w dzień Trójcy Świętej, pozwolił na odprawienie u nas pierwszej Mszy; ale razem z tem pozwoleniem przysłał nam zakaz dzwonięcia na nabożeństwo, a nawet i posiadania dzwonu, tylko, że ten już był zawieszony. W takim położeniu przeżyłyśmy przeszło dwa tygodnie, owszem i znacznie dłużej, choć słabą mając pamięć, nie pamiętam dokładnie jak długo, ale zdaje mi się, że było tego więcej niż miesiąc. Gdyby O. Komisarz i O. Mariano nie byli mię zatrzymywali, rzecz pewna, że byłabym bez wahania i z niewielkim żalem odjechała z siostrami na powrót do Veas, dla dopilnowania lepiej fundacyi w Karawaka; bo już się zaczynała rozchodzić po mieście wieść o naszym klasztorze, i każdy dzień zwłoki z naszej strony dalej ją rozszerzał i odjazd utrudniał; łatwiej więc było odjechać zaraz. Ale O. Mariano żadną miarą nie pozwalał mi oznajmić o tem arcybiskupowi; wolał raczej powoli i stopniowo łagodzić opór jego, nad czem i O. komisarz pracował, pisując do niego z Madrytu.

Zresztą, nie bardzo się tem wszystkiem frasowałam; dość mi tego było na uspokojenie siebie, że pierwsza Msza święta już się odbyła u nas, i to za pozwoleniem arcybiskupa, i że

mogliśmy codziennie w chórze odmawiać Officjum. Przytem i arcybiskup raz w raz przysyłał kogo, aby mię w imieniu jego odwiedził, z oznajmieniem, że sam niezadługo u mnie będzie; sam też, do odprawienia u nas pierwszej Mszy świętej, był wyznaczył jednego z domowych kapłanów swoich; z czego jasny, jak mi się zdawało, wynikał wniosek, że trudności mi stawiane mają jedynie na celu umartwienie mnie. Zmartwiona byłam istotnie, ale nie chodziło mi w tem o siebie, ani o siostry moje, jedno o O. komisarza, dla którego, ponieważ z jego rozkazu byłam przyjechała do Sewilli, zwłoki te i przeszkody wielką były przykrością, a jeszcze większą i najdotkliwszą miałby przykreść, gdyby sprawa z rozkazu jego podjęta, ostatecznie się rozbiła, na co się bardzo zanosilo.

W tymże czasie zjawili się u mnie i miejscowi ojcowie karmelici Trzewiczkowi, żądając odemnie sprawy, na jakiej zasadzie otwieram tu w mieście klasztor mój. Przedstawiłam im patent wydany mi przez najprzewielebniejszego naszego i Ojca Generała, i na tem poprzestali; chociaż, gdyby byli wiedzieli, jak postępuje z nami arcybiskup, podobno nie byliby tak łatwo ustąpili. Ale o tem nikt nie wiedział; przeciwnie wszyscy byli przekonani, że arcybiskup bardzo rad naszej fundacyi i bardzo z niej się cieszy. Wreszcie, z łaski Boga, i on sam do nas przyszedł. Przedstawiałam mu, jaką nam postępowaniem swoim krzywdę wyrządza. Jakoż w końcu dał się przekonać i zgodził się na wszystko, czego żądałam i aby wszystko tak się zrobiło, jak tego żądałam. Od tego czasu stale nam pozostał przychylnym i w każdym zdarzeniu łaskę swoją i życzliwość nam okazywał.

---

## ROZDZIAŁ XXV.

O fundacyi klasztoru św. Józefa w Sewilli, ciąg dalszy. Ile trudu kosztowało nabycie własnego domu.

Ktoby temu dał wiarę, że w takim mieście wielkiem i ludzi bogatych pełnem, jakim jest Sewilla, mniej pomocy do fundacyi mojej znalazłam, niż w tyłu mniej zamożnych

miejskach, w których zakładałam klasztory? Tak byłam opuszczona od wszystkich, że nieraz mi przychodziła myśl zaniechania podjętej fundacyi, z której w takim miejscu, zdawało mi się, żadnego dla nas nie będzie pożytku. Nie wiem, czy to wpływ tego kraju tak działał na mnie, bo jak zawsze słyszałam, czarci, snać z dopuszczenia Bożego, większą w tych stronach mają moc kuszenia ludzi, niż gdzieindziej; dość, że w tym czasie tak byłam znękana ich napaściami, że nigdy w życiu mojem nie czułam się tak słabą i małoduszną, jak wówczas: zupełnie, rzec mogę, nie poznawałam siebie. Nie opuszczała mnie wprawdzie ufność, z jaką każdego czasu polegam na Panu; ale w przyrodzonym usposobieniu mojem czułam się zupełnie inną, niż bywam zwykle, odkąd zaczęłam chodzić około tych spraw fundacyjnych. Pan, rozumiałam to dobrze, usuwał nieco rękę swą ode mnie, zostawiając mię samej sobie, abym jasno poznała, że odwaga moja, jaką przedtem miewałam, nie zemnie była, jedno z Niego.

W takim więc położeniu zostawałyśmy od chwili naszego przyjazdu, to jest od czwartego dnia w oktawie Zielonych Świątek, aż do samego prawie następnego Postu Wielkiego. O nabyciu domu nie było ani mowy: nie miałyśmy na to ani pieniędzy, ani nikogo ktoby, jak to w innych stronach nam się nadarzało, za nas poręczył. Aspirantki one, które tak się były Ojcu Wizytatorowi apostolskiemu oświadczały z gotowością wstąpienia do nas, i tak na niego nalegały, by siostry nasze sprowadził, później, — z wyjątkiem jednej, która wytrwała w postanowieniu, jak o tem niżej powiem, — rozmyśliły się, snać znajdując, że reguła nasza zbyt jest ścisła i że takiej surowości nie zniosą. Przytem, wielki już był czas, by mi kazano opuścić Andaluzję, bo pilne sprawy czekały na mnie tu w Kastylii. Wielką to było dla mnie zgryzotą, pozostawiać siostry same bez domu; ale widziałam, że nic tam nie poradzę, bo łaska ta, którą Bóg mi czyni tu w Kastylii, że do każdej fundacyi znajduję ludzi gotowych przyjść mi w pomoc, tam w Sewilli była mi odmówioną.

W tym właśnie czasie, miłościwem zrządzeniem Pańskim zdarzyło się, że przybył do Sewilli jeden z braci moich, Wa-

wrzyniec de Cepeda, w powrocie z Indyi, gdzie całe trzydzieści i cztery lata był przemieszkał. Położenie siostr moich, nie mających własnego dachu nad głową, więcej jeszcze niż mnie same go obeszło. Wielką nam był pomocą, mianowicie usilnem, jakiego przyłożył, staraniem o nabycie tego domu, w którym teraz siostry mieszkają. Ja z mojej strony z większą jeszcze żarliwością uciekałam się do Pana, i siostry pobudzałam, aby czyniły podobnie, błagając Go, aby ich nie pozostawiał bez własnego schronienia; i wielkiego świętego Józefa o to wzywaliśmy, i Najświętszą Pannę, ustawiczne w tym celu odprawiając na cześć ich nabożeństwa i procesye. Ufając tedy w skuteczność tylu prośb naszych, i widząc ochotną brata mego gotowość do wspomżenia nas, poczęłam szukać domu odpowiedniego; ale choć kilka ich upatrzyłam i o każdy po kolei traktowałam, układy za każdym razem się rozbijały, w chwili, kiedy się zdawało, że już dochodzą do skutku. Aż pewnego dnia, gdy znowu na modlitwie błagałam Boga, by wejrzał na te oblubienice swoje, tak gorąco pragnące służyć Jemu, i dał im wreszcie ten dom, którego potrzebują, Pan rzekł do mnie:— „Już was wysłuchałem; spuść się na Mnie“. — Słowa te najżywszą napełniły mię radością; tak pewna byłam pomyslnego skutku, jakbym go już w rękę miała; i nie zawiodłam się. Pan w Boskiej łaskawości swojej uchronił nas od nabycia jednego domu, który podobał się wszystkim, dla wybornego położenia swego; ale było to domostwo takie stare i tak nędznie budowane, że nabywając je byłybyśmy w rzeczy samej kupiły tylko plac, a byłby mało co mniej kosztował niż to, co zapłaciłyśmy za gotowy i porządny dom, który obecnie posiadamy. Umowa o tę ruderę już była zrobiona, brakowało tylko jeszcze podpisania kontraktu; mnie jednak ten nabytek wcale nie cieszył: zdawało mi się, że nie zgadza się on ze słowami, jakie byłam usłyszała na modlitwie, zwłaszcza z ostatniem, w którym widziałam wyraźną obietnicę, że dostaniemy dom dobry. I dotrzymał Pan obietnicy swojej. Samże właściciel onego domostwa, choć był wymógł na nas cenę wygórowaną, ze znacznym zyskiem dla siebie, w chwili umówionej na podpisanie kontraktu, nowe wzbudził trudności, zaczęłam mogłyśmy, bez żadnej

winy z naszej strony, wycofać się z umowy. Było to wielkie nad nami zmiłowanie Boże; bo na naprawienie tych ruin, siostrom, które pierwsze osadziłam w Sewilli, całego życia nie byłoby starczyło; ciężkie tylko i ustawiczne byłyby miały kłopoty, zwłaszcza przy środkach tak niedostatecznych.

Do uchronienia nas od tego fatalnego kupna dużo się przyczynił pewien sługa Boży, który prawie od pierwszej chwili naszego przybycia, dowiedziawszy się, że jesteśmy pozbawione Mszy świętej, codzień z nią do nas przychodził, choć mieszkał bardzo daleko, i skwary panowały niesłychane. Nazywał się Garcia Alvarez. Był to mąż bardzo świętobliwy, czczony w całym mieście dla dobrych uczynków swoich, którym wyłącznie był oddany; gdyby był miał majątek, nam pewno nie byłoby zbywało na niczem. Otóż, znając dobrze on dom, o który się umawialiśmy, uważał to za wielki nierozum, że za taką nędzną rudere chcemy tak drogo płacić, i on to głównie, codzień nam to powtarzając, do tego kupna nas zniechęcił. Poszedł z bratem moim oglądać ten dom, który siostry obecnie zajmują; wrócili oba bardzo zadowolnieni z niego, i słusznie; a że Pan tego chciał, więc z łaski Jego w dwa czy trzy dni stanęła umowa i kontrakt został podpisany. Nie mało jednak jeszcze użyliśmy biedy z przeniesieniem się do tego domu, raz że lokator w nim mieszkający nie chciał ustąpić, a powtóre OO. franciszkanie, tuż obok klasztor swój mający, natychmiast wystąpili z zastrzeżeniem, byśmy pod żadnym warunkiem tak blisko ich się nie osiedlały. Co do mnie, gdyby nie to, że kontrakt już był nieodwołalnie podpisany, przyznaję, że chętnie byłabym się z niego wycofała i żądaniu zakonników ustąpiła, dziękując jeszcze Bogu za zwolnienie mnie od zobowiązania zapłacenia sześciu tysięcy dukatów za dom, do którego wstęp miał być nam wzbronionym. Przeorysza <sup>1)</sup> jednak nie podzielała mego zdania; przeciwnie, dziękowała Bogu, że

---

<sup>1)</sup> Była to Matka Marya od św. Józefa, jedna z największych ulubienic św. Teresy, z którą też Święta, zaczawszy od roku tej fundacyi aż do końca życia ciągle utrzymywała listowne stosunki, jak o tem świadczy księga jej Listów.

umowa zawarta już się nie da odmienić; w całej tej sprawie dużo większą, z łaski Boga, okazała wiarę i odwagę niż ja, jak i we wszystkim snać ma ją większą, bo jest o wiele lepszą odemnie. Przeszło miesiąc pozostawałyśmy w tem przykrem zawieszaniu, nim w końcu spodobało się Panu z niego nas oswobodzić. Przeniosłyśmy się wreszcie, ja z przeoryszą i dwiema siostrami, do naszego domu, ale nocą dopiero i z niemałym strachem, by nas Ojcowie nie spostrzegli pierwej nim byśmy zdążyły objąć go w posiadanie. Ci, którzy nas przeprowadzali przyznali się nam, że w każdym cieniu po drodze wydawało im się, że widzą franciszkanów.

Nazajutrz o świcie, dobry nasz Garcia Alvarez, który nam był towarzyszył, odprawił pierwszą w nowym domu Mszę św., i odtąd już byliśmy spokojne. O Jezu! ile to podobnych strachów użyłam przy każdym prawie obejmowaniu w posiadanie nowej fundacyi! Jeśli, tak myślę sobie nieraz, w przedsięwzięciach, w których nic nie masz złego, które owszem tylko chwałę i służbę Bożą mają na celu, tyle może być obaw i niepokojów, jakiegoż dopiero strachu muszą doznawać ci, którzy ważą się czynić złe, z krzywdą i Boga zarazem i bliźniego? Nie rozumiem, jaki w tych grzesznych sprawach swoich mogą upatrywać zysk dla siebie, i jaką w nich przyjemność znajdować, z takim na sumieniu ciężarem.

Brat mój tego dnia nie był z nami. Skutkiem pewnego błędu, popełnionego w pośpiechu przy spisywaniu kontraktu, a bardzo szkodliwego dla naszego klasztoru, chciano jego wziąć do więzienia, jako poręczyciela, i dla tego zmuszony był się ukrywać. Ponieważ obcy był w Sewilli i nie było komu za nim się ująć, wielkie mogły z tego powodu wyniknąć dla nas, i w rzeczy samej wynikły, nieprzyjemności; on też nie mało ucierpiał, dopóki złożywszy zastaw, przesładowców swoich nie uspokoił. Potem już sprawa dobrze się ułożyła, choć jakiś czas jeszcze miałyśmy proces, aby się i z tej strony nie obyło bez kłopotu.

Urządziłyśmy sobie tymczasową klauzurę w kilku pokojach na dole; resztę domu naprawiali i urządzali robotnicy, a brat mój cały dzień ich doglądał; on nas także żywił, jak to i przedtem już od dość dawnego czasu czynił; bo w mieście

jeszcze mało kto wiedział o naszym klasztorze, wszyscy dom nasz poczytywali za dom prywatny, i skutkiem tego jałmużny skąpo płynęły. Jeden tylko święty starzec wspomagał nas, przeor kartuzów w Las Cuevas (Pieczary), wielki sługa Boży. Pochodził z Awili, z możnego rodu Pantoja. Od pierwszej chwili przyjazdu naszego, taką Bóg w nim wzbudził ku nam miłość i życzliwość, że nieustannie wszelkiego rodzaju dobrodziejstwa nam świadczył, i pewna jestem, że do końca życia świadczyć nie przestanie. Słuszna więc, siostry, gdy to czytać będziecie, byście wraz z drugimi dobroczyńcami naszymi, żywymi czy umarłymi, polecały Bogu tego, który tak serdecznie i skutecznie nas wspomagał; wiele zawdzięczamy temu świętemu mężowi, i dla tego tu osobne o nim zapisuję wspomnienie.

Roboty trwały, o ile pamiętam, przeszło miesiąc; ale do dat słabą mam pamięć, i może się myłę: dla tego też te, które podaję, zawsze bierzcie w przybliżeniu tylko; ścisła dokładność mało tu znaczy. Dużo brat mój w ciągu tego miesiąca miał pracy i kłopotu, nim zdołał kilka pokojów zamienić w kaplicę i urządzić wszystko; my, dzięki jemu, nie miałyśmy potrzeby troszczyć się o to.

Gdy wreszcie skończyły się roboty i wszystko było gotowe na wprowadzenie Najświętszego Sakramentu, chciałam by uroczystość ta odbyła się po cichu i bez rozgłosu, bo w ogólności bardzo nie lubię sprawiać komubądź przykrość, gdy nie ma koniecznej potrzeby. Objawiłam mój zamiar Ojcu Garcia Alvarez, a ten zniósł się z Ojcem przeorem z Las Cuevas, bo oba ci Ojcowie wszystko, co nas się tyczyło, tak żywo brali do serca, jak gdyby to były sprawy ich własne. Nie pochwalili oba zamiaru mego: przeciwnie, byli zdania, że w interesie naszego klasztoru i rozpowszechnienia wiadomości o nim po mieście, koniecznie potrzeba dopełnić tego obrzędu z jaknajwiększą uroczystością. Udali się z tem do arcybiskupa, i po wspólnej naradzie stanęło na tem, że Najświętszy Sakrament ma być wzięty z kościoła parafialnego i w jaknajuroczystszej procesyi do nas przeniesiony, przytem rozkazał arcybiskup, by duchowienstwo, oraz kilka bractw, wzięło udział w tej procesyi, i żeby ulice były świętecznie przybrane.

Dobry nasz Garcia Alvarez z niebывałą wspaniałością przyozdobił i klasztor nasz, przez który, jak mówiłam, wówczas było wejście do kaplicy, i samęż kaplicę; poustawiał w niej okazałe ołtarze i różnemi ją upiększył wynalazkami. Między innemi była tam fontanna, tryskająca wodą pachnącą; sam z siebie, nie proszony i bez wiedzy naszej to urządził; tem bardziej więc, gdyśmy ujrzały rzecz gotową, niespodzianka ta nas ucieszyła i pobożne nam sprawiła wzruszenie. Cały też przebieg tego obchodu naszego, z taką uroczystością obrzędów i z takim przybraniem ulic, i z taką harmonią muzyki, i śpiewów, i z takim konkursem ludu, najśodsza był dla nas pociechą. Święty nasz przeor z Las Cuevas upewniał mię, że nigdy jeszcze nie widział w Sewilli tak wspaniałej uroczystości; uznawał w tem wyraźny jakby znak i zatwierdzenie od Boga, że ta fundacya jest własnem dziełem Jego. Sam wziął udział w procesyi, choć zwykle tego nie czynił. Arcybiskup we własnej osobie wprowadził do nas i umieścił Najświętszy Sakrament. Widzicie więc, córki, jakie to publiczne i powszechne honory odbierają te biedne karmelitki Bose, jeszcze na krótko przedtem tak za nic miane, że nikomu w tem mieście, rzechy można, nie stało dla nich ani na szklanekę wody, choć wody Sewilla ma dosyć w swej rzece. Mnóstwo ludu na procesyi było niezliczone.

Zdarzyła się z tej okoliczności rzecz, zdaniem wszystkich, którzy na nią patrzali, nadzwyczajna. Pomimo nieustannego, od zakończenia procesyi aż prawie do nocy, strzelania z armat i puszczania rakiet, zachciało się ludziom, nie zważając na ciemności, strzelać dalej. W tem, nie wiem jakim sposobem zajęła się paczka prochu; ten, który ją trzymał w ręku, ocalał, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, że nie został zabity na miejscu. Skutkiem tego wybuchu, ogromny płomień wzbił się aż po szczyty klasztoru, których sklepienia były obwieszane chorągwiami z tarlatanu żółtego i karmazynowego. Wszyscy byli pewni, że chorągwie te musiały się spalić na popiół: aliści nic zgoła złego im się nie stało i co w tem było najdziwniejszego, to, że kamienie sklepień, pod chorągwiami, okazały się całkiem zczerniałe od dymu, a chorągwie na nich zawieszane



pozostały zupełnie nieuszkodzone i nawet barwy nie straciły, jak gdyby ogień zgoła ich nie dotknął. Wszyscy zdumieli się na ten widok, a siostry dzięki czyniły Panu za taką łaskę Jego, bo nie byłyby miały za co odkupić taką kosztowną materję. Snać dyabeł, wściekając się od złości na widok pięknej naszej uroczystości i powstałego nowego domu Bożego, chciał choć w taki sposób na nas się zemścić; ale mu Pan nie dopuścił. Niech będzie błogosławiony na wieki wieczne. Amen.

---

## ROZDZIAŁ XXVI.

O fundacyi klasztoru św. Józefa w mieście Sewilli, dokończenie. Kilka szczegółów zaznaczenia godnych o pierwszej nowicyuszce do tego klasztoru przyjętej.

Łatwo możecie przedstawić sobie, córki, jak wielką tego dnia była radość nasza; moja, upewniam was, była niezmierną. Cieszyłam się z tego nad wszelki wyraz, że siostry pozostawię w domu własnym, i tak dogodnym, i tak dobrze położonym; że nad to i klasztor nasz już w mieście zasłynął, skutkiem czego już i kilka nowicyuszek nam przybyło, z dostatecznemi posagami, tak iż było czem spłacić większą część umówionego za dom szacunku, a za przyjęciem dalszych, dla dopełnienia liczby sióstr ustawą przypisanej, chociażby mało co wniosły, klasztor zupełnie się uwolni od długu. Lecz nadewszystko największą pociechą mię napełniało wspomnienie doznanych utrapień. Po tem wszystkiem, kiedy byłabym potrzebowała użyć nieco odpoczynku, wypadło mi zaraz udać się w drogę. Uroczystość nasza odbyła się w niedzielę przed zesłaniem Ducha Świętego, roku 1576; a zaraz nazajutrz w poniedziałek musiałam odjechać, i dla uniknienia większych upałów, które nastawały coraz silniejsze, i aby nie być w drodze w święta, na które chciałam zdążyć do Malagonu i kilka dni tam zabawić; dla tego tak spieszyłam z wyjazdem. Tym sposobem nie dozwolił mi Pan tej pociechy, bym choć jednej Mszy świętej

wysłuchała w nowej naszej kaplicy. Odjazd mój bardzo zamięcił siostrom ich radość; mocno nim były zmartwione; wszak cały rok byliśmy razem z sobą przeżyły, i razem tyle użyły utrapień, z których nawet, jak mówiłam, najcięższe pomijam tu milczeniem. Z wyjątkiem fundacyi w Awili, która była bez porównania najboleśniejszą, żadna druga, zdaje mi się, tyle mię nie kosztowała, ile ta Sewilska, tem bardziej, że utrapienia tu doznane były po większej części wewnętrzne. Niechaj Pan w Boskiej łaskawości swojej raczy to sprawić, by w tym domu zawsze kwitła wierna służba Jego; będzie to dla mnie szczęście, w porównaniu z którym za nic sobie ważę wszystko, co wycierpiałam. I mam nadzieję, że spełni się to moje życzenie. Już kilka dobrych dusz Pan w Boskiej dobroci swojej do tego domu pociągnął, oprócz tych pięciu, które z sobą przywiozłam i tam zostawiłam, a o których wielkiej świętobliwości nieco wam, tyle ile mogłam, powiedziałam, choć to bardzo mało w porównaniu z tem, coby się dało powiedzieć.

O pierwszej nowicyuszce, która do tego klasztoru wstąpiła, chcę tu zamieścić niektóre szczegóły, które z przyjemnością czytać będziecie. Panienska ta była córką bardzo pobożnych rodziców; ojciec jej pochodził z dzielnego rodu górali Santanderskich. Maluczka jeszcze, zaledwo siedmioletnią, ciotka jej, bezdietna, wyprosiwszy ją sobie u matki, wzięła do domu swego na wychowanie. Mając ją przy sobie, musiała ją naturalnie czuć troskliwością otaczać i serce macierzyńskie okazać tej przybranej córce swojej. Bardzo to było nie po myśli trzem kobietom, domowniczkom tej pani, które snąc, póki same były przy niej, spodziewały się, że im swój majątek zapisze, a teraz łatwo się domyślać mogły, że mając u siebie tę małą i tak ją kochając, dla niej ten zapis uczyni. Chcąc temu zapobiedz, zmówiły się między sobą i uknuły przeciw dziewczynce spisek prawdziwie piekielny: zmyśliły na nią, jakoby godziła na życie ciotki i w tym celu jednej z nich dała pieniądze, aby jej zadała merkuryuszu. Jedna zaniósła do ciotki to oskarżenie, a ta, gdy i drugie dwie je potwierdziły, uwierzyła im od razu; podobnież i matka małej, choć jest to niewiasta bardzo cnotliwa. Zabrała ją więc na powrót

do domu, przekonana i trapiąc się tą myślą, że dziecko jej, za młodu już tak występne, wyrośnie na złą i przewrotną kobietę.

Przez cały rok przeszło, tak opowiadała mi biedna nasza Beatrycza od Matki Bożej,—jest to jej imię w zakonie,—matka codzień biła ją, i męczyła, i na gołej ziemi spać jej kazała, chcąc ją tym sposobem zmusić, aby się przyznała do winy. Biedaczka zaklinała się, że jest niewinna, że nie wie nawet, co to jest merkuryusz; a matka w tych zapewnieniach jej nowy tylko i większy jeszcze upatrywała dowód złości i zaciętego uporu, zgoła już tracąc nadzieję, by jeszcze kiedy się poprawić mogła. Nie łatwo było dziewczeczce oprzeć się pokusie, przyznania się wreszcie do rzekomej winy swojej, i uwolnienia się tym sposobem od takich katuszy; ale Bóg strzegł niewinnej duszy jej, aby do końca wytrzymała w prawdzie i sam, jako zawsze jest pomocnikiem prześladowanych niewinnie, w obrobie jej wystąpił. Dwie z onych trzech kobiet dotknął chorobą tak straszną, że wiły się z bólu jak wściekłe; zaczęły, czując się bliskimi śmierci, małą, potajemnie ją wezwawszy do siebie, przeprosiły, a następnie i jawnie się przyznały do rzuconej na nią potwarzy. Trzecia, umierając w połogu, uczyniła podobnie; i tak wszystkie trzy, sprawiedliwym sądem Bożym, skończyły w mękach, zasłużoną ponosząc karę za krzywdę wyrządzoną niewinnej. Szczegóły te wiem nie tylko od niej samej; matka także, nie mogąc sobie wybaczyć okrutnego swego z własnym dzieckiem obchodzenia się, później, gdy Beatrycza już była w zakonie, z nieutalonym żalem opowiadała mi to wszystko, inne jeszcze dodając okoliczności, z których jeszcze jaśniej się okazywało, jakie srogie biedna dziewczeczka wycierpiała męczeństwo. Dziwnem zaiste dopuszczeniem Bożem, to jedno tylko dziecko mając i bardzo mocno ją kochając, takim przecie dla niego stała się oprawcą. Jest to niewiasta wielkiej wiary i prawości serca; bezwarunkowo też wierzę, że mi mówiła prawdę.

W trzynastym roku jej życia, gdy z dziecka zaczynała wyrastać na panienkę, dostał się do rąk Beatryczy Żywot św. Anny, który wielkie w niej wzbudził nabożeństwo do świętych

pustelników z góry Karmelu. Szczegół opowiedziany w tej książce, jakoby matka św. Anny,—miała podobno imię Emerencyana,—często się do tych mężów świętych udawała na duchowne rozmowy, tak ją mocno pociągnął do tego zakonu Najświętszej Pani naszej, że tejże chwili uczyniła ślub czystości, i postanowiła do nas wstąpić. Od tego czasu więcej jeszcze pokochała samotność, i długie godziny, ile tylko mogła, trawiła na modlitwie wewnętrznej i wielu na niej od Boga i od Najświętszej Panny nadzwyczajnych łask doznawała. Lecz jakkolwiek gorąco pragnęła zaraz wstąpić do zakonu, nie śmiała jednak objawić postanowienia swego rodzicom, tem bardziej, że i sama nie wiedziała, gdzie szukać tego zakonu; bo, rzecz dziwna i godna zastanowienia, choć był w Sewilli klasztor reguły złagodzonej, ona przecie nigdy nie o nim nie słyszała, aż dopiero wiele lat po tem jak już poznała klasztory nasze.

Gdy doszła do wieku odpowiedniego, rodzice umyśliли ją, choć jeszcze bardzo młodą, wydać za mąż i sami też ułożyli związek dla niej upatrzony. Trzeba wiedzieć, że Beatrycza, choć w tym czasie była już pozostała jedynaczką, przedtem jednak miała więcej rodzeństwa, tylko że wszystko powymierało, i ona jedna tylko pozostała rodzicom, którzy ją wówczas najmniej kochali. W czasie, gdy tak srogo cierpiała z powodu rzuconej na nią, jak opowiedziałam wyżej, potwarzy, jeden z braci jej, jeszcze żyjący, ujmował się za nią, i rodzicom wymawiał nawet, że dają wiarę takiemu na niewinną oszczerstwu. Otóż gdy jej oznajmili o postanowionem dla niej zamęźciu, w przekonaniu że bez oporu i ochotnie na nie się zgodzi, ona, nie mogąc już dłużej milczeć, oświadczyła rodzicom, że uczyniła ślub czystości i że za nic w świecie, choćby ją zabili, ślubu swego nie złamie i nigdy za mąż nie wyjdzie. Czy to dyabeł ich tak zaślepił, czy też Bóg dopuścił na nich to zaślepienie, aby dziewczeczka miała zasługę męczeństwa, dość że oboje, i ojciec i matka, posądzając córkę o jaki występki, którego potajemnie się dopuściwszy, boi się teraz i wstydzi wyjść za mąż, związani nad to danem już słowem, którego cofnąć nie mogli bez wyrządzenia zniewagi temu, któremu ją byli obiecali, zapamiętałym na nią gniewem się unieśli: tak ją

niemiłosiernie zbili różgami, z takim okrucieństwem nad nią się znęcali, wieszając ją i dusząc, że jakby cudem tylko żywa z rąk ich wyszła; Bóg, snać zachowując ją do rzeczy większych, uchronił ją od śmierci. Trzy miesiące jednak przeleżała w łóżku, nie mogąc się poruszyć, i wielka była obawa że zamrze. Ona z tem wszystkiem, jak mi sama mówiła, gdy ją tak męczyli, wspomniawszy na męczeństwo św. Agnieszki, i Pana wzywając na pomoc, katuszy swoich prawie już wcale nie czuła, radując się owszem, że może coś uciepieć dla Niego, i na wszelkie męki ochotnie Jemu się ofiarując.

Dziwnem może się wydać, i bardzo słusznie, jakim sposobem dziewczeczka, od urodzenia zostająca pod czujnem okiem matki i pod opieką ojca bardzo skromnych, jak mi mówiono i surowych obyczajów, mogła popaść u nich w takie podejrzenie: tem bardziej, że od najmłodszych lat wielką się odznaczała wstydlivością i świętobliwością, a serce miała tak litościwe, że co tylko dostała od rodziców, wszystko to oddawała na jałmużny dla ubogich. Ale Pan, gdy zechce duszy wybranej użyzyć łaski cierpienia, wiele ma na to sposobów. Dopiero w kilka lat po tem otworzył oczy rodzicom, iż wreszcie spostrzegli, jak niezrównanie cnotliwą mają córkę; wtedy już przesładowania zamieniły się w pieszczoty, a na jałmużny i wspieranie ubogich dawali jej ile chciała. Lecz w obec wciąż rosnącej żądzы wstąpienia do zakonu, wszystkie te pociechy ziemskie wydawały jej się raczej przykrością i utrapieniem, w skutek czego wciąż, jak mi mówiła, nieuleczoną czuła w sobie tęsknotę i smutek niepocieszony.

W tymże czasie,—a było to na trzynaście czy czternaście lat przed przybyciem O. Graciana do Sewilli, kiedy zatem o karmelitach Bosych jeszcze ani mowy nie było,—następujące miała dziwne zdarzenie. Któregoś dnia, w chwili, gdy siedziała z ojcem i matką, w towarzystwie dwu sąsiadek, zjawił się nagle w pokoju zakonnik karmelita, tak samo zupełnie ubrany jak dziś się noszą Bracia nasi, w habicie szersciowym i bosi, z długą brodą, białą i lśniącą jak srebro; był to starzec podeszłego wieku, a jednak twarz miał dziwnie świeżą, i cała postawa jego świętą tchnęła powagą. Przystąpił do Beatryczy

ją uginającą się pod ciężarem tego nowego ubrania, tak różnego od szat, które dotąd nosiła. O dziwna mocy miłości Bożej! Już nie o honor swój dbała, by jej kto w tym ubogim habicie nie wyśmiał i wzgardził, ale o to tylko się bała, by jej co nie stanęło na przeszkodzie w spełnieniu świętej żądzы swojej. Skoro stanęła u furty, natychmiast jej otworzyłyśmy. Zaraz też posłałam po matkę, która gdy przyszła, zrazu była jakby nieprzytomna od żalu; po chwili jednak przyszła do siebie, uznając, jak wielką łaskę Bóg jej córce uczynił i jakkolwiek ją rozstanie z nią bolało, umiała przecie pohamować żal swój, i nie miotała się zapamiętałe, jak to inne w podobnych zdarzeniach czynić zwykły; owszem, stale nam od tego czasu hojne daje jałmużny.

Już więc mogła przecie oblubienica Chrystusowa cieszyć się szczęściem swoim, od tak dawna upragnionem. Tak była pokorna, tak ochotna do wszelkiej posługi i roboty w domu, że nie mało z nią miewałyśmy biedy nim ją namówiłyśmy, by choć na chwilę miotłę z rąk wypuściła. Tak wykwinnie wychowana, tak przedtem w domu pieszczona, tu wszelką najgrubszą i najniższą pracę za roskosz sobie miała. Przy tem wielkiem zadowoleniu wewnętrznem, wnet i ciała zaczęła nabierać, tak iż rodzice, widząc jak się poprawia na zdrowiu, sami już cieszyli się z tego, że do nas wstąpiła.

Nie miała jednak tak wielkiego szczęścia używać bez cierpienia. Na dwa czy trzy miesiące przed profesją przyszły na nią ciężkie i gwałtowne pokusy: nie iżby się zachwiała w postanowieniu oddania siebie Panu na zawsze, ale trudności życia zakonnego tak jej się przedstawiały groźnie, że traciła otuchę, czy będzie mogła im podołać. Długie lata pragnienia i oczekiwania i wszystko, co w nich wycierpiała dla osiągnięcia tego dobra, które wreszcie trzymała w ręku, — wszystko to, mówię, zatarło się w jej pamięci, a zły duch tak ją dręczył poduszczeniami swemi, że nie wiedziała już, jak się od niego obronić. Z tem wszystkiem jednak, niesłychany gwałt sobie zadając, takie nad nim całkowite odniosła zwycięztwo, że właśnie wśród tej zawieruchy i męki wewnętrznej ostatecznie wznowiła i potwierdziła postanowienie swoje związania siebie wieczystą

ślubów zakonnych professyą. Za to Pan Jezus, który snać czekał tylko na ten ostatni dowód jej męstwa, na trzy dni przed profesyą nawiedził ją, i dziwnie słodką pociechą napełnił, i ducha złęgo odegnał. Po tem nawiedzeniu czuła w sobie radość niewypowiedzianą, i całe te trzy dni chodziła jakby nieprzytomna od uszczęśliwienia wewnętrznego; i nie dziw, bo łaska, której Pan jej był użyzył, była bardzo wielka. Wkrótce po jej wstąpieniu do klasztoru, umarł jej ojciec, a matka, idąc za przykładem córki, przywdziała nasz habit w tymże klasztorze i wszystek swój majątek jemu oddała. Odtąd obie, i matka i córka, żyją szczęśliwe, dając zbudowanie wszystkim siostrom, i służąc temu Panu, który takie nad niemi okazał wielkie miłosierdzie swoje. W niespełna rok potem, przybyła nam druga panienka, także z wielkim żalem rodziców. I tak Pan powoli zaludnia ten dom swój duszami, tak gorąco pragnącemi służyć mu, że w zamian za to szczęście za nic sobie poczytują wszelką surowość reguły i wszelką ścisłość klauzury. Niech będzie błogosławiony, niech będzie pochwalony na wieki wieczne. Amen.

---

## ROZDZIAŁ XXVII.

O fundacyi klasztoru pod wezwaniem chwalebnego św. Józefa,  
w miasteczku Caravaca, w dzień Nowego Roku 1576.

W chwili, gdy miałam już opuścić klasztor św. Józefa w Awili, będąc na wyjeźdnie do Veas, dla fundacyi, o której była mowa wyżej, i czekając tylko na ostatnie przygotowania do drogi, nadjechał z Karawaki umyślny posłaniec od Donny Cataliny de Otalora, pani tamże zamieszkałej, z oznajmieniem, jako trzy panny, będąc na kazaniu któregoś z Ojców Towarzystwa Jezusowego, zapragnęły założenia klasztoru w tem miejscu, i tymczasowo umieściły się w domu jej, z mocnem postanowieniem, że z niego nie wyjdą, póki się ich życzenie nie ziści. Zapewne były w znowie z tą panią, bo i potem, gdy miało już przyjść do fundacyi, ona głównie je popierała. Pan-

ny te należały do najznakomitszych rodów miasta. Jedna z nich była córką Rodryka de Moya, bardzo gorliwego sługi Bożego i męża wielkiej roztropności. Majątku we trzy miały więcej niż potrzeba na wykonanie podobnego przedsięwzięcia. Wiedziały dokładnie o dziwnych, w założeniu tych naszych klasztorów, sprawach Pańskich; miały tę wiadomość od Ojców Towarzystwa Jezusowego, którzy zawsze sprzyjali zakonowi naszemu i wpływem swoim go popierali.

Byłam zbudowana tą żarliwością i świętym zapałem, jakiego te dusze dały dowód, z tak daleka posyłając i kołacząc o przyjęcie do zakonu Najświętszej Pani naszej. Szczerze pragnęłam być im pomocną w wykonaniu pobożnego ich zamiaru. Dowiedziawszy się więc, że miejsce to leży niedaleko od Veas, zabrałam z sobą więcej sióstr niż ich zwykle brałam na założenie jednego klasztoru, i z brzmienia listów otrzymanych wnosząc, że umowa nie będzie przedstawiała trudności, zamierzając, zaraz po dokonaniu fundacyi w Veas, wprost stamtąd udać się do Karawaki.

Lecz wolą Bożą było, że miało stać się inaczej, stąd i wszystkie plany moje na nic się nie zdały; bo jak powiedziałam w opisie fundacyi Sewilskiej, zmuszona czekać w Veas na upoważnienie od Rady Wielkiej zakonów, które nad miarę się przewlekało, do Karawaki, wbrew postanowieniu memu pojechać nie mogłam. Prawda, że i sama potem zachwiałam się była w tem postanowieniu; bo zasiągnąwszy w Veas bliższych o Karawace szczegółów, i dowiedziawszy się, że miescina ta tak leży na uboczu, i takie zło do niej drogi, że trudny byłoby tam dojazd wizytatorom klasztoru, i słuszny stąd przelożonym powód do nieukontentowania, straciłam prawie wszelką do tej fundacyi ochotę. Ponieważ jednak już byłam dała dobrą nadzieję, uprosiłam więc O. Juliana z Awili i Antoniego Gaytan, aby tam pojechali, i sprawdziwszy rzeczy na miejscu, wszczęte układy, jeśli to uznają za dobre, przerwali. Zastali tam znaczne ostudzenie pierwszego zapału, nie w samych tych aspirantkach do naszego zakonu, ale w Donnie Katalinie, która w całej tej sprawie główną odgrywała rolę, i trzymała je



zamknięte u siebie, w oddzielnej części domu swego, jak gdyby już były w klasztorze.

Co do tych panien, trwały one niezmiennie w pierwszej gotowości swojej; dwie z nich mianowicie, które też w swoim czasie wstąpiły, tak silnie objawiały postanowienie, i tak umiały się spodobać O. Julianowi z Awili i Antoniemu Gaytan, że ci, nie zwlekając, zaraz spisali i odjeżdżając wręczyli im wszystkie dokumenta do fundacyi potrzebne, z czego one niezmiernie były uradowane. Oni też tak byli z nich zadowoleni i tak zachwyceni pięknem położeniem i żyznością miejsca, że zdając mi sprawę za powrotem, słów nie mieli na zalecenie mi tak obiecującej fundacyi, co do dróg jednak przyznając, że są one bardzo złe. Zgadzając się na rzecz już ułożoną, i nie mogąc sama odjechać z powodu opóźniającego się wciąż jeszcze pozwolenia Rady, posłałam tam powtórnie pocziwego Antoniego Gaytan, który dla miłości mojej zawsze był ochotnie gotów na podjęcie wszelkiego trudu. Oba oni z O. Julianem wielkie mieli do tej fundacyi zamiłowanie, i im też w istocie należy się wdzięczność za przyjście jej do skutku; bo gdyby nie to, że oni tam jeździli i sami wszystko ułożyli, ja z mojej strony nie wiele byłabym dbała o dokonanie jej. Posłałam więc Antoniego Gaytan z poleceniem, aby zaopatrzył w koło i kraty dom, który siostry miały zająć tymczasowo, aźby się znalazł odpowiedni dom, którybyśmy nabyły na własność. Chętnie podjął się tego zlecenia i dość dużo czasu strawił na urządzenie tego tymczasowego pomieszczenia, w domu Rodryka de Moya, ojca jednej z tych panien, jak powiedziałam wyżej, który odstąpił na ten cel część mieszkania swego. Gdy wreszcie nadeszło pozwolenie, i już byłam gotowa do wyjazdu, pokazało się, że w dokumencie tym zamieszczono zastrzeżenie, iż klasztor założycie się mający ma zostawać pod zwierzchnim nadzorem komandorów i że siostry nasze mają im składać obedyencyę. Na to się zgodzić nie mogłam; byłoby to oddaniem Karmelu Matki Boskiej pod władzę zupełnie mu obcą. Potrzeba więc było znowu prosić o drugie, bez tego zastrzeżenia, pozwolenie, ale tą drogą nigdybyśmy, ani na tę fundacyę ani na fundacyę w Veas, nie były się go doczekały. Do-

piero, gdy odważyłam się wprost napisać do króla, obecnie panującego Don Filipa II, Najjaśniejszy Pan, łaskawie przyjąwszy prośbę moją, raczył rozkazać, aby pozwolenie zostało nam wydane. Monarcha ten, wspaniałomyślny opiekun wszystkich zakonników, wiernych duchowi powołania swego, skoro się dowiedział o nas i o ścisłem, według reguły pierwotnej, urządzeniu klasztorów naszych, stale nam we wszystkim królewską łaskę swoją okazywał. Usilnie przeto was proszę córki, aby zawsze, tak jak to obecnie u nas się zachowuje, osobne modły we wszystkich domach były opowiadane za pomyślność Jego Królewskiej Mości.

W ciągu tych powtórnych starań o pozwolenie pojechała do Sewilli, z rozkazu O. magistra Hieronima Gracian od Matki Bożej, który naonczas był i dotąd jest prowincyałem, jak o tem było wyżej. Skutkiem tego biedne one panny pozostały w zamknięciu swoim aż do 1 stycznia nowego roku, choć jeszcze w lutym były wyprawiły swoje do Awili poselstwo. Pozwolenie wprawdzie niebawem nadeszło, ale ja, będąc tak daleko i tylą kłopotów obarczona, nie mogłam do nich pojechać, choć bardzo mi ich żal było, zwłaszcza, że raz w raz otrzymywałam od nich listy, w których wynurzały przedemną wielkie swe z tego powodu zmartwienie. Rzeczywiście też niepodobna było dłużej jeszcze je zostawiać w takim położeniu. Gdy więc i z powodu dalekiej drogi, i dla dobra niedokonanej jeszcze fundacyi Sewilskiej, sama nie mogłam udać się do Karawaki, O. Hieronim Gracian, mając władzę ku temu jako wizytator apostolski, postanowił posłać tam bezemnie siostry, które byłam zabrała z Awili dla tej fundacyi, a które tymczasem pozostały w klasztorze św. Józefa w Malangonie. Wybrałam na przełożoną siostrę, do której szczególną ufność miałam i pewna byłam, że będzie tam bardzo pożyteczną, — bo jest bez porównania lepszą odemnie <sup>1)</sup>. Zabrawszy więc potrzebne pakiunki, odjechały w towarzystwie dwóch naszych Ojców kar-

---

<sup>1)</sup> Była to Matka Anna od św. Alberta, ta sama, która wraz z drugimi wybranymi przez Świętą siostrami towarzyszyła jej do Sewilli, i której święta fundatorka tak wysokie oddaje pochwały. Ob. wyż. r. XXIV.

melitów Bosych; bo O. Julian z Awili i Antoni Gaytan już byli przedtem powrócili do siebie i ze względu na wielką odległość jak i na porę nie sprzyjającą, gdyż było to w grudniu, nie chciałam, by znowu na tę daleką podróż się narażali. Przybywszy na miejsce, zostały powitane z wielkimi oznakami radości przez lud wszystek, a szczególnie ucieszyły się do nich uwięzione nasze aspirantki. Fundacya klasztoru, przez wprowadzenie Najświętszego Sakramentu, odbyła się w uroczystość Imienia Jezus, to jest w dzień Nowego Roku 1576. Dwie z tych trzech panien zaraz przywdziały habit; trzecia, bardzo podległa melancholii, śnać złąka się takiego ścisłego zamknięcia, a tem bardziej jeszcze takiej surowości życia i ostrej pokuty; postanowiła zatem wrócić do domu i zamieszkać przy siostrze. Obaczcie tu, córki, i uwielbiajcie niezbadane sądy Boże; obaczcie i zważcie, jaką wdzięczność, jak wierną służbę winneśmy Panu za to, że użyzył nam łaski wytrwania w powołaniu naszym, że dozwolił nam dojsć aż do profesyi, że teraz dano nam jest mieszkać w tym Bożym domu Jego i zwać się córkami Najświętszej Matki Jego. Dobrą zrazu wolę i majątność tej panienki przyjął Pan i użył jej na założenie tego klasztoru; aż oto, w chwili gdy mogła już się cieszyć posiadaniem tego, czego przedtem tak gorąco pragnęła, zabrakło jej odwagi i przyrodzony temperament wziął górę nad pociąganiem do rzeczy wyższych <sup>1)</sup>. Jakże często, córki, na ten temperament składamy winę niedoskonałości i niestateczności naszych!

Niechaj Pan w Boskiej dobroci swojej raczy nam hojnie użyzczać swej łaski; jej pomocą wsparte, śmiało i bezpiecznie będziemy szły naprzód i żadna rzecz na świecie nie powstrzyma kroków naszych w coraz wyższym w służbie Jego postępie. Niechaj nas wszystkie obroną i opieką swoją otacza, aby ta

---

<sup>1)</sup> Tą trzecią aspirantką była Douna Franciszka de Tauste. Choć zachwiała się na chwilę, Bóg przecie jej nie opuścił. W kilka miesięcy potem, O. Gracjan, w czasie kanonicznej wizyty klasztoru, zastał ją tak umocnioną na duchu i na wszelką z siebie ofiarę gotową, że bez wahania pozwolił jej przywdziać habit. Odtąd wszystkie trzy były i aż do śmierci pozostały ozdobą powstałej za ich sprawą fundacyi.

wielka sprawa, którą w takich mizernych, jakimi my jesteśmy, niewiastach rozpoczął, przez nasze niedołęstwo nie ucierpiała szkody. O tę łaskę, siostry moje, córki moje, w imieniu Jego was błagam, nigdy Pana prosić nie ustawajcie. I każda nowo wstępująca niechaj z takim zapalem zabiera się do pracy, jak gdyby od niej dopiero zaczynało się to przywrócenie pierwotnej reguły Najświętszej Panny, Pani naszej. Nigdy, pod żadnym warunkiem, nie dopuszczajcie najmniejszego tej reguły zwolnienia. Pamiętajcie, że rzeczy małe otwierają wrota największym, i tak, powoli, nieznacznie, duch świata do was się zakradnie. Pamiętajcie, w jakim ubóstwie, z jakim trudem powstało to, czem wy dzisiaj w spokoju się cieszyicie. Przypatrzcie się dobrze, a obaczycie, że po większej części nie ludzie założyli te domy, jedno potężna ręka Boga; obaczycie, jak dziwnie Boska wielmożność Jego umie i rada doprowadzać do szczęśliwego końca sprawy przez nią poczęte, jeśli jedno my nie stawiamy jej przeszkód. Skąd, na przykład, pomyślcie tylko, taka jak ja nędzna niewiasta, zależna, bez grosza w kieszeni, bez żadnego z nikąd poparcia czy życzliwej pomocy, mogła znaleźć środki do wykonania tak wielkich przedsięwzięć? Prawda, że do fundacyi Sewilskiej miałam pomoc od brata mego, który posiadał nieco majątku i serce wspaniałomyślne, i ochotną gotowość do wspomżenia nas w czemkolwiek: ale przedtem, w czasie tylu poprzednich fundacyi, brat ten był daleko, aż w Indyach. Widzicie więc, widzicie, córki moje, że ręka Boga to wszystko zdziałała. Albo może przez wzgląd na wysokie z krwi szlacheckiej urodzenie moje, kwapiono się uczcić mię skutecznem zamiarów moich poparciem? Wiecie dobrze, że nie. Słowem, z którejkolwiek strony zechcecie się zapatrywać na te fundacye, na to w nich odnowienie Karmelu, zawsze znajdziecie, że jest to własne dzieło Jego. Czyż nie jest to naglącą dla nas pobudką, byśmy się starały aby dzieło to najmniejszego przez nas nie doznało uszczerbku, choćby nas to miało kosztować życie, i cześć, i pokój, tem bardziej więc, kiedy ono właśnie prawdziwe nam życie i cześć i pokój zapewnia? Bo jakież życie prawdziwiej może zwać się życiem, jedno gdy tak się żyje, iżby nam nie były strasznymi ani śmierć, ani żadne tego

życia ziemskiego przygody; gdy się ustawicznie czuje w sercu tę radość wewnętrzną, którą wy tutaj wszystkie się cieszyacie; gdy się używa najwyższej, jaka może być na tej ziemi, pomyślności, tej pomyślności, która tu jest udziałem naszym, że ubóstwa nie tylko się nie boimy, ale je owszem kochamy? A z czem porównać ten pokój wewnętrzny i zewnętrzny, w jakim tu upływają dni wasze? W waszej jest mocy, w tym pokoju żyć i umierać, umierać tak, jak już nieraz widziałyście że umierają te, które w tych domach Bogu duszę oddają. Bo skoro nieustannie Boga prosić będziecie o coraz dalsze tego zakonu naszego postępy i własny wasz coraz wyższy postęp w cnotach, skoro nic zgoła nie polegając na samych sobie, w Nim całą ufność waszą pokładać będziecie, i mężnem sercem Jemu służyć, i Jemu czynić całkowitą, bez podziału, z siebie ofiarę, On który kocha serca szlachetne i wspaniałe, nie odmówi wam miłosierdzia swego. Nie bójcie się, by wam kiedy zabrakło rzeczy potrzebnych do życia. Nigdy nie odmawiajcie żadnej zgłaszającej się o przyjęcie, jeśli jedno ma dobrą wolę i odpowiednie zdolności, jeśli przychodzi, nie po to jedynie, aby zapewniła sobie schronienie i kawałek chleba, ale po to, aby doskonalej mogła służyć Bogu, niech sobie będzie ubogą w dobra ziemskie, byleby bogatą była w cnoty. Co na wyżywienie takiej wydacie, Bóg wam to zwróci w dwójnasób: za to ręczyć mogę, bo wiem o tem z wielokrotnego doświadczenia mego. Nigdy, wiadomo to Panu, nigdy, o ile pamiętam, nie odmówiłam żadnej przyjęcia dla tego, że była ubogą, jeśli jedno z wewnętrznego jej usposobienia byłam zadowolnioną. Świadczy o tem, jak i wam wiadomo, wielka liczba przyjętych dla samej tylko miłości Boga. I mogę was upewnić, że nie z taką radością przyjmowałam te, które wносиły znaczny posag, jaką mi sprawiało przyjęcie tych, które nic z sobą nie przynosiły prócz ubóstwa i dobrej woli swojej; bogate owszem przyjmowałam z pewną obawą, gdy przeciwnie ubogie rozszerzały mi serce i taką mi sprawiały radość, że nieraz, prawdę mówię, płakałam z wielkiego uszczęśliwienia wewnętrznego. Jeśliż w czasie, gdy trzeba było domy kupować i zakładać, mogłyśmy tak przyjmować zupełnie ubogie, a przecie z łaski

Boga ani dla nich ani dla nas chleba nie zabrakło, cóżby to było gdybyśmy teraz, kiedy mamy z czego żyć, chciały postępować inaczej i na posagi się oglądać, a nieposażnym wstępu odmawiać? Wierzajcie, córki, że zysk, którybyście sobie z tego obiecywały, zamieniłby się w stratę. Która zaś wstępująca posiada majątek, nie mając żadnych skądinąd zobowiązań, ponieważ nie może go zatrzymać dla siebie, więc lepiej by wam go oddała jako jałmużnę, niżby miała nim zbogacać osoby postronne, które może go nie potrzebują; gdyby inaczej postąpiła, wyznaję, że poczytywałabym jej to za brak miłości. Zawsze jednak na to pilną baczność obracajcie, by wstępująca, co do sposobu rozporządzenia majątnością swoją, radziła się teologów i uczyniła wedle tego, co oni uznają za odpowiednie dla większej chwały Bożej; bo byłoby to bardzo niepięknie z naszej strony, gdybyśmy od postulantek naszych czegokolwiek żądały lub cokolwiekbądź brały, coby nie zmierzało do tego jedynego celu. Gdy one spełnią to, co winne są Bogu, to jest gdy uczynią to, co jest doskonalszego, większą to będzie dla nas korzyścią niż wszelkie posagi, jakieby nam wnieść mogły; boć wszystkie my do tego jedynie dążymy i na to tylko Bóg taką pomysłnością ten zakon nasz darzy, aby we wszystkim i z wszystkiego Boski Jego Majestat miał cześć i chwałę. Choć taka jestem grzeszna i nędzna, to przecie powiedzieć mogę na większą chwałę Pana i na pociechę waszą, abyście wiedziały, w jaki sposób zakładały się te domy Jego: że we wszelkich moich o założenie ich staraniach i rokowaniach, i we wszelkich, jakie mi się ku temu nastęrczać mogły środkach i ułatwieniach, i jakkolwiek nieraz się zdawało, że niepodobna będzie doprowadzić danej fundacyi do pomysłnego końca, bez odstąpienia w czem bądź od onej głównej intencji, nie byłabym przecie uczyniła, i nigdy nie uczyniłam, — w sprawie tych fundacyi, mówię, nic takiego, w czembym widziała najmniejszą niezgodność z wolą Pańską, idąc w tem zawsze za radą spowiedników moich, którzy, jak wam wiadomo, wszyscy, ilu ich miałam od samego początku mojego do tych spraw powołania, byli wielkimi, uczonymi teologami i świętobliwymi sługami Bożymi; nie pamiętam zgoła by kiedy choć na chwilę

myśl mi przyszła odstąpienia w czemkolwiek od tej zasady. Może się mylę, może popełniłam wiele błędów, do których się nie poczuwam, i niedoskonałości zapewne było bez liku. Zliczył je Pan, który sam jest Sędzią prawdziwy; ja tylko mówię, jak i o ile znam siebie i rozumiem. Ale i to jasno widzę, że wierność, z jaką trzymałam się onej naczelnej zasady, nie ze mnie pochodziła, jedno od Boga; Bóg chciał, aby te fundacye przyszły do skutku i dla tego wspierał mię, jako wybrane ku temu narzędzie swoje i taką mi łaskę czynił. W tym też jedynie celu o tem mówię, córki moje, abyscie tam lepiej rozumiały, jak wielką Jemu wdzięczność winnyście, i abyscie wiedziały, że chociaż tyle tych domów naszych do tego czasu powstało, żadnej przecie założenie ich nie przyniosło nikomu ciężkości ani uszczerbku. Niech będzie błogosławiony On, który wszystko to sprawił i duszom dobrym miłość dał do serca, aby nam w pomoc przyszły. Niech raczy w Boskiej dobroci swojej nigdy nas nie wypuszczać ze swej opieki i łaski swojej nam użyć, abysmy umiały nie okazać się niewdzięcznemi za tyle dobrodziejstw Jego, amen.

Z poprzedzających opisów widziałyście już po części, jakie trudy mieliśmy do zniesienia z powodu tych fundacyi, chociaż te, które tu wspominałam, były może jeszcze z mniejszych. Gdybym je miała opowiadać wszystkie po szczególe, nie prędko skończyłabym, tyle tam było różnego ciężkiego umęczenia, po drogach najgorszych, przez rzeki wezbrane i głębokie śniegi, tracąc nieraz właściwy kierunek i błądząc po bezdrożach, często jeszcze, co najgorsza, w bardzo złym stanie zdrowia. Raz, — nie pamiętam czy o tem w swoim miejscu mówiłam, — pierwszego dnia podróży naszej z Malagonu do Veas, wyjeżdżałam z taką silną gorączką, przy całym steku różnych cierpień i bólów, że widząc siebie tak słabą, a drogę przed sobą tak daleką, mimo woli wspomniałam na słowa ojca naszego Eliasza, gdy uciekając przed Jezabelą, mówił: — „Panie, skąd wezmę siły, bym zdołał wytrzymać to wszystko? Ty sam racz wejrzeć w to.“ Lecz oto Pan, widząc mię taką słabą, w jednej chwili uwolnił mię i od gorączki, i od wszystkich bólów moich. Tak było nagle to uzdrowienie,

i wszelkich cierpień moich, wewnętrznych i zewnętrznych, ustanie, że gdym się później nad tem zastanawiała, przyszło mi na myśl, iż stało się to za sprawą jednego świętobliwego sługi Bożego, kapłana, który właśnie w onej chwili był nad-szedł i bardzo być może, że się w tem nie mylę. W chwilach lepszego zdrowia, wszelkie trudy fizyczne łatwo i z weselem znosiłam. Fantazyje i humory różnych, które przy tych fundacyach w każdej miejscowości przychodziło znosić, nie mało nam przyczyniały utrapienia; a rozstawanie się z siostrami i córkami mojami, gdy potrzeba mi było jeździć z miejsca na miejsce, dzięki tej wielkiej miłości jaką im niosę, nie było, upewniam was, najłżejszym z krzyżów moich. Zwłaszcza gdy przewidywałam, że ich nigdy już nie obaczę, gdy patrzałam na ciężkie ich zmartwienie i łzy, serce mi się z żalu krajało. Choć zupełne w nich jest oderwanie się od wszystkich rzeczy tego świata, Bóg im nie dał tej łaski, by oderwały się odemnie, na to snąć, bym ja tem większą mękę miała, bo i ja nie umiem oderwać się od nich. Staralam się wprawdzie, ile mogłam, nie okazać im wzruszenia mego, owszem i strofowałam je za nie-pohamowane poddawanie się żalowi swemu; ale nie to nie skutkowało, wobec wielkiej miłości, jaką mają dla mnie, a która, jak jest szczerą i prawdziwą, tego niezliczone miałam od nich dowody.

Wiadomo wam także, że wszystkie te fundacye zostały dokonane, nie tylko za pozwoleniem przewielebnego naszego Ojca generała, ale że i pozwolenie to było potem wydane w formie wyraźnego polecenia albo rozkazu. Co większa, za każdą fundacją, objawiał mi listownie niezmierną radość swoją z powstania tego nowego klasztoru. Zadovolnienie jego było zaiste największą dla mnie w trudach i ciężkościach moich osłoda; pominąwszy że bardzo go kocham, zdawało mi się, że Pana samego pocieszam, przyczyniając pociechy przełożonemu, na miejscu Jego mną rządzącemu. W końcu jednak, czy to że Pan w Boskiej łaskawości swojej chciał mi użyzyć nieco odpoczynku, czy też że dyabeł nie mógł dłużej znieść widoku mnożących się tylu domów, służbie i chwale Bożej poświęconych, dalsze fundacye nasze nagle zostały wstrzymane. Nie



stało się to, rozumie się z woli naszego Ojca generala; przeciwnie, jeszcze na krótko przedtem, na błagalną prośbę moją, by mnie zwolnił od rozkazu zakładania dalszych domów, O. general był mi odpowiedział, że tego nigdy nie uczyni, że owszem pragnie, bym tyle fundowała klasztorów, ile mam włosów na głowie. Przed wyjazdem z Sewilli, w skutek świeżo odbytej kapituły generalnej, która zdawałoby się powinna była raczej uznać za przysługę oddaną zakonowi przymnożenie mu tylu nowych klasztorów, otrzymałam rozkaz, wydany przez definitorów, bym nie tylko zaniechała wszelkich dalszych fundacyi, ale nad to jeszcze, bym sama obrawszy sobie na stałe mieszkanie który zechcę klasztor, z niego się pod żadnym pozorem nie wydalala<sup>1)</sup>. Równało się to skazaniu mnie na więzienie; bo nie masz zakonnicy, którejby, gdy dobro zakonu tego wymaga, prowincyał nie był mocen posyłać z miejsca na miejsce, to jest z jednego klasztoru do drugiego. Gorsza to, i to jedynie prawdziwem było dla mnie zmartwieniem, że nasz Ojciec general był zagniewany na mnie, nie z winy mojej, jedno skutkiem fałszywych doniesień ludzi nieżyczliwych. Przytem jeszcze dowiedziałam się o dwu bardzo ciężkich oskarżeniach, które na mnie podniesiono.

Otóż, abyście widziały, jak wielkie jest miłosierdzie Pana, i jako Boska dobroć Jego nigdy nie opuszcza tych, którzy pragną Mu służyć, powiem wam, siostry, i upewniam was, że oszczerstwa te rzucone na mnie, nie tylko żadnej mi nie sprawiły przykrości, ale jeszcze tak wielką i jakby z brzegów występującą napełniły mię radością, iż niepodobna mi było w sobie ją powstrzymać, i już się nie dziwiłam Dawidowi, że wprowadzając na górę Syon arkę Pańską, skakał przed nią i tańczył jakby szalony, raczej sama radabym była czynić podobnie, od tego wielkiego rozradowania, którego ukryć w sobie nie mogłam. Nie wiem sama, skąd ono we mnie się wzięło, bo jak-

---

<sup>1)</sup> Wspomniana kapituła generalna karmelitów trzewickowych odbyła się we Włoszech, w Placencyi, d. 22 maja 1575 r. rozkaz zaś, o którym mówi Święta, został jej wręczony pod koniec tegoż roku przez O. Anioła Salazar, prowincyała reguły zlagodzonej.

kolwiek nieraz miałam do zniesienia dotkliwe szarpania sławy mojej i przeciwnieństwa, nigdy z nich nie doznałam takiego uszczęśliwienia jak w tym razie, choć z tych dwu zarzutów mi uczynionych jeden przynajmniej był w rzeczy bardzo ważnej. Co do zakazu fundowania dalszych klasztorów, gdyby nie bolesne mi zagniewanie przewielebnego Ojca generała, przyjąłabym go raczej jako pociechę i ulgę ze wszech miar najpożądaną, bo od dawna pragnęłam tego, by mi dano było w spokoju życie zakończyć. Zapewne że insza była myśl i zamiar tych, którzy mi oddali tę przysługę; sądzili oni, że wyrządzają mi największą w świecie przykrość i zmartwienie: choć przy tem może mieli też i dobrą jaką intencję. Nie przeczę, że nieraz i w innych zdarzeniach cieszyłam się z dojmujących sarkau i przeciwnieństw, jakich w ciągu tych moich wędrówek fundacyjnych doznałam od wielu, bądź w dobrej intencji, bądź w innym celu na mnie powstających; ale tak wielkiej radości, jaką to prześladowanie we mnie wzbudziło, nigdy, powtarzam, w żadnem z poprzednich utrapień moich nie miałam; przeciwnie, jedna tylko taka gorycz, jakich tu aż trzy od razu na mnie przyszło, w innym czasie ciężkie, wyznaję, byłaby mi sprawiła zmartwienie. Główną, jak sądzę, przyczyną radości mojej była ta myśl, że kiedy stworzenia w taki sposób mi odpłacają, więc znać kontent ze mnie Stworzyciel. Bo mam to mocne przekonanie, że kto zadowolnienie i szczęście swoje pokłada w rzeczach tej ziemi, albo w pochwałach ludzkich, ten gorzki sam sobie zawód gotuje: choćby te rzeczy mogły przynieść jaką korzyść rzeczywistą, tem samem już zawodzą, że są niestałe; ludzie dziś takie mają zdanie, jutro mają inne; co dzisiaj chwalą, to jutro potępiać będą. Bądź błogosławiony, Boże i Panie mój: Tyś sam niezmienny na wieki wieków, amen. Kto Tobie służy wiernie aż do końca życia swego, ten bez końca będzie żył w wieczności twojej.

Fundacye te, jak powiedziałam na wstępie, zaczęłam pisać z rozkazu Ojca magistra Ripalda, z Towarzystwa Jezusowego, rektora kolegium Salmantyczeńskiego, i naonczas spowiednika mojego. W czasie więc pobytu mego w tamecznym klasztorze św. Józefa, w roku 1573, napisałam kilka tych fun-

dacyi <sup>1)</sup>); potem, z powodu wielu innych zajęć moich, przerwałam pisanie i nie miałam już zamiaru pisać dalej, raz że skutkiem przeniesienia Ojca Ripalda w inne strony już się u niego nie spowiadałam, a powtóre dla tego, że i to, co byłam do tego czasu napisała, wiele mię kosztowało trudu i dotkliwych cierpień, lubo ich nie żałuję i nie uważam ich za stracone, skoro je ponosiłam przez posłuszeństwo i pisałam dla spełnienia danego mi rozkazu. Miałam więc mocne postanowienie zaniechać zupełnie dalszego pisania; ale poniewolnie zmuszona byłam zmienić postanowienie moje, otrzymawszy od komisarza apostolskiego, Ojca magistra Hieronima Gracian od Matki Bożej, rozkaz dokończenia opisu tych fundacyi. Broniłam się od tego rozkazu jak mogłam, dając przez to dowód, jak bardzo jestem niedoskonałą w posłuszeństwie; wymawiałam się brakiem czasu, i inne, jakie mi tylko na myśl przyszły, racye Ojcu przedstawiałam, bo w rzeczy samej, robota taka, przy tylu innych trudach, jakimi jestem obarczona, wielkiego mi przyczyniała obciążenia, Ojciec jednak na moje wymówki nie zważał i powtórzył mi rozkaz, bym powoli, jak zdołam, pisała dalej aż do końca. Usłuchałam, i oto skończyłam; zdając się w zupełności na sąd tych, którzy mają rozum i łaskę po temu, aby, jeślim co źle powiedziała, wykreślili; może właśnie złem się okaże to, co mnie się zdaje najlepszem. Skończyłam <sup>2)</sup> dzisiaj, w wigilię św. Eugeniusza, dnia 14-go listopada roku 1576, w klasztorze św. Józefa w Toledzie, gdzie obecnie przebywam z rozkazu O. komisarza apostolskiego, magistra Hieronima Gracian od Matki Bożej, dzisiejszego naszego przełożonego nad klasztorami męskimi zarówno jak i żeńskimi pierwotnej reguły Karmelu, a zarazem i wizytatora

---

<sup>1)</sup> To jest opis fundacyi pierwszych ośmiu klasztorów, tudzież pierwszego klasztoru męskiego w Durvelo; ob. objaśnienia wstępne.

<sup>2)</sup> To jest, tę drugą, od rozdziału 21-go do 27-go, część, obejmującą fundacye w Segowii, w Veas, Sewilli i w Karawaka, a która, jak wówczas sądziła Święta, miała być ostatnią, ponieważ w skutek oznajmionego jej rozkazu, była przekonana, że dalszych fundacyi jż zakładać nie będzie. Ob. objaśnienie wstępne.

provincyi Andaluzyjskiej, reguły złagodzonej. Niechaj będzie ta praca na cześć i chwałę Pana naszego Jezusa Chrystusa, który króluje i królować będzie na wieki wieczne, amen.

Na miłość Pana naszego proszę sióstr i braci, którzy to czytać będą, niechaj mię polecają Panu, aby miał miłosierdzie nademną, i wybawił mię z mąk czyścowych, jeśli na nie zasłużę, i dał mi cieszyć się posiadaniem Jego. Ponieważ za życia mego księgi tej nie ujrzyście, niechże więc po śmierci mam jaką zapłatę od was, o ile ją wam czytać pozwolą, za trud, jaki podjęłam w napisaniu jej, i za szczerą chęć moję przyczynienia wam przez nią niejakiej pociechy.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

J E Z U S.

Fundacya klasztoru w Villanueva de la Xara.

Po założeniu klasztoru Sewilskiego, fundacye dalsze przerwały się na przeszło cztery lata. Przyczyną tej przerwy były wielkie prześladowania, jakie nagle i niespodziewanie spadły na braci naszych i siostry wznowionej reguły pierwotnej. Były już i przedtem różne na nas napaści, ale żadna się nie srożyła z taką zapamiętałością, jak ta ostatnia; groziła ona zupełną dzieła naszego zagładą. Jasno się tu okazała i zaciekleła złość czarta na te święte z łaski Boga zakonu naszego początki, i miłościwa nad nim opieka Pana, który go jako sprawę swoją własną od grożącego mu zniszczenia ocalił. Srogo ucierpieli karmelici Bosi, szczególnie przełożeni klasztorów, od powszechnego niemal do nich wstrętu Trzewickowych, i ciężkich oskarżeń, jakie ciż przeciw nim podnosili. Przeciwnicy, zawistnemi przedstawieniami swemi tak umieli uprzedzić do nich przewielebnego naszego Ojca generała, iż ten, choć był to mąż

bardzo świętobliwy, choć sam był dał pozwolenie na wszystkie te fundacye, — z wyjątkiem jednej tylko fundacyi św. Józefa w Awili, która była najpierwszą i na którą miałyśmy pozwolenie od samego Papieża, — teraz jednak, ulegając ciągłym podżeganiom niechętnych, całą powagą władzy swojej wystąpił przeciw karmelitom Bosym, chcąc położyć tamę dalszemu ich szerzeniu się; ale dla klasztorów sióstr naszych zawsze pozostawał życzliwym. Do mnie tylko, ponieważ popierałam braci i w zakładaniu klasztorów im pomagałam, umieli go zniechęcić <sup>1)</sup>. Było to dla mnie strapienie najdotkliwsze nad wszelkie inne, jakie wycierpiałam w ciągu tych fundacyi, a wycierpiałam ich wiele. Zaniechać dalszego współdziałania w szerzeniu rozpoczętej sprawy, w której jasno widziałam

---

<sup>1)</sup> Początek tej zawieruchy, która o mało nie zmiotła rodzącej się reformy Karmelu, w krótkich słowach był następujący. Karmelici złagodzonej obserwancyi bardzo za złe wzięli św. Teresie zaprowadzoną jej staraniem reformę w zakonie; poczytywali ją sobie za poniżenie i osobistą obrazę, upatrywali w niej kość niezgody, zarzewie rozdziwienia, swawolnie rzucone między spokojnych dotąd synów Eliaszkowych, zaczęli uznali, że dla przywrócenia zakłóconej zgody potrzeba rychło stłumić niewczesną reformę, nim by zdołała zakorzenieć się i rozszerzyć. W tym celu, nie przebijając w środkach, nie wahali się w zapamiętałości swojej posunąć się do gorszących bezprawii i ohydnych gwałtów, o których Święta tu mimochodem tylko napomyka, a których bardzo smutnej historii i my nie mamy potrzeby szerzej tu opowiadać. Podstępniemi doniesieniami i podżeganiem swemi zdołali na swoją stronę pociągnąć samegoż generała zakonu. O. Rubeo. Generał wiedział dobrze, kto jest Matka Teresa, ale nie stało mu odwagi do stawienia czoła zacięłości karmelitów hiszpańskich, i zdradził sprawę prawdy i sprawiedliwości, wydając świętą reformatorkę Karmelu na łup jej nieprzyjaciół. Postanowiwszy więc zdusić powstającą reformę, pozyskał sobie poparcie nowego Nuneyusza, Filipa Segi. Ten, skoro przybył do Hiszpanii, w przekonaniu, że wymaga tego dobro Kościoła, z bezwzględną stanowczością przyłożył się do wykonania zamiarów generała: karmelitki wznowionej reguły pierwotnej poddał pod ścisły i nieprzychylny dozór karmelitów Trzewickowych, a nieliczne klasztory braci Bosych rozwiązał, i zakonników wydanych na poniewierkę po klasztorach luźnej obserwancyi porozmieszczał. W końcu jednak prawda wzięła górę; Nuneyusz przekonał się, że był w błąd wprowadzony, i staraniem króla Filipa II, Papież Karmel odnowiony nznął za oddzielną prowincję, niezależną od karmelitów Trzewickowych.

i większą chwałę Bożą, i wzrost naszego zakonu, żadną miarą nie mogłam: nie zgadzali się na to mężowie głęboko uczeni i wielcy teologowie, u których się spowiadałam i których rady zasięgałam; działać zaś wbrew woli zwierzchnika mego, było to dla mnie śmiertelną boleścią, nie tylko dla tego że miałam obowiązek go słuchać, ale i dla tego, że kochałam go serdecznie, co i ze wszech miar mu się należało. Z tem wszystkim jednak, jakkolwiekby była rada być mu powolną, w tym razie nie mogłam, bo miałyśmy wizytatorów apostołskich, których bezwarunkowo potrzeba mi było słuchać. Umarł w tym czasie Nuncyusz, człowiek święty, wielki zwolennik wszelkiej sprawy dobrej, a zatem i braci Bosych ceniący <sup>1)</sup>). Następca jego, snąc umyślnie zesłany od Boga, aby nas ćwiczył w cierpliwości, daleki krewny Papieża <sup>2)</sup>), okazał im się przeciwnym. Nie wątpię, że jest on godnym sługą Bożym, ale na samym wstępie bardzo stanowczo i silnie stanął po stronie Trzewiczkowych, i zupełną dając wiarę nieprzychylnym ich na nas doniesieniom, najmocniej był przekonany, że dobro Kościoła wymaga stłumienia w samym zarodku wszczętej przez nas sprawy przywrócenia reguły pierwotnej. Począł więc postępować z naszymi z niesłychaną surowością, z góry potępiając i na więzienie, lub na wygnanie skazując każdego, kogo posądzał o chęć sprzeciwiania się zamiarom i rozporządzeniom jego. Najsrożej skutkiem tego ucierpieli O. Antoni od Jezusa,

---

<sup>1)</sup> Mikołaj Ormaneto, jeden z najgorliwszych biskupów w. XVI. Towarzyszył Kardynałowi Polo do Anglii, potem uczestniczył w Soborze Trydenckim. Został następnie wikaryuszem generalnym św. Karola Boromeusza, w końcu biskupem padewskim. Przybył do Hiszpanii w charakterze Nuncjusza, r. 1572, i tamże umarł w czerwcu r. 1577, w takim, skutkiem rozrzućnej dobroczynności swojej, ubóstwie, że król musiał wziąć na siebie kosztą pogrzebu jego.

<sup>2)</sup> Nowym tym Nuncyuszem był Filip Segá, spokrewniony z kardynałem Buoncompagni, wnukiem po ciotce Papieża Grzegorza XIII. Kardynał ten był protektorem zakonu karmelickiego złagodzonej obserwancyi i przez niego karmelici hiszpańscy umieli trafić do Nuncjusza i oszczereczemi przedstawieniami swemi tak go dla św. Teresy i podjętej przez nią reformy nieprzychylnie usposobić.

ten sam, który był dał początek pierwszemu klasztorowi karmelitów Bosych. O Hieronim Gracian, którego poprzedni Nuncyusz był mianował wizytatorem apostolskim Trzewiczkowych, a któremu ten nowy Nuncyusz szczególną niełaskę i niechęć okazywał, i O. Maryan od św. Benedykta. O tych trzech Ojcach obszernie mówiłam wyżej w tych fundacyach i wykazałam niepospolite ich zalety i wysokie zasługi. Innych jeszcze, z pomiędzy najpoważniejszych, obłożył Nuncyusz pokutami, choć mniej surowemi; tamtym zaś trzem wyżej wymienionym pod zagrożeniem najcięższych kar zabronił wszelkiego bezwarunkowo wdawania się w sprawy zakonu. Wszystko to, któżby o tem wątpił? stało się zrządzeniem Opatrzności; Bóg dopuścił na nas to złe, aby wyszło z niego większe dobro, to jest aby się jawnie okazały cnoty tych Ojców, jak się i w rzeczy samej okazały. Wizytatorem klasztorów naszych, męskich i żeńskich, ustanowił Nuncyusz jednego z Ojców reguły złagodzonej, z czego, gdyby rzeczy tak były u nas stały jak on sobie wyobrażał, ciężkie byłoby dla nas wynikło uciemienie; ale mieliśmy je i tak, i nie lekkie, jak to opowie zdolniejszy odemnie i lepiej niżbym ja potrafiła, wszystko to opisze. Ja tu pokrótce tylko o tych przejściach napomykam, aby siostry, które po nas przyjdą, poznały stąd, jak wielki mają obowiązek dążenia do coraz wyższej doskonałości, mając już prostą i równą do niej drogę, której utorowanie tyle te dziś żyjące kosztowało; bo niektóre z nich srogo ucierpiały od rzucanych na nie ciężkich oskarżeń i oszczerstw, i daleko bardziej nad niemi bolałam, niż nad tem, co sama miałam do zniesienia; własne moje cierpienia wielką raczej były dla mnie pociechą. Mówiłam sobie, że ja sama jestem przyczyną całej tej zawieruchy, i że, gdyby mię jak Jonasza wrzucono do morza, ustałaby nawałność. Lecz dzięki niechaj będą i uwielbienie Bogu, iż i tu, jak zawsze, okazał się obrońcą prawdy. Przejścia nasze doszły do wiadomości katolickiego króla naszego Filipa, który znając już rodzaj życia i zakonną ścisłość karmelitów Bosych, wziął w ręce obronę naszą. Nie pozwolił by Nuncyusz sam jeden rozsądzał sprawę naszą, ale dodał mu do boku czterech pomocników, mężów poważnych i znamienitych, z pomiędzy których trzech

było zakonników, aby za wspólnym ich sądem, wyrok na nas wypadł sprawiedliwy. Jednym z tych trzech był O. magister Piotr Fernandez, mąż bardzo świętobliwego życia, głębokiej przytem nauki i niepospolitego rozumu. Był on poprzednio komisarzem apostolskim i wizytatorem karmelitów Trzewiczkowych w Kastylii, i my też podlegaliśmy władzy jego: dobrze mu więc był wiadomym istotny stan rzeczy, jakie życie wiedli tamci, a jakie my; o to też jedynie nam chodziło, i tego jedynie pragnęliśmy, by wiedziano o nas całą i czystą tylko prawdę. Skoro więc dowiedziałam się, że król jego mianował, z góry byłam pewną, że sprawa nasza wygrana, jak nią dziś jest w istocie, co jak się stało z łaski i miłosierdzia Bożego, tak też niechaj będzie na cześć i chwałę Boskiego Majestatu Jego. Bo jakkolwiek wielu było biskupów i panów możnych, którzy usiłowali oświecić Nuncyusza, jak rzeczy istotnie się mają, daremne wszakże byłyby wszystkie ich przedstawienia, gdyby nie było się spodobało Bogu użyć króla za narzędzie do wyświetlenia prawdy.

Święty my wszystkie mamy obowiązek, siostry, ustawicznie w modlitwach naszych polecać Bogu króla jegomości, i tych wszystkich, którzy za przykładem jego poparli sprawę Pańską i sprawę Najświętszej Panny, Pani naszej. Mocno wam ten obowiązek do serca kładę. Same widzicie, jakaby, bez ich pomocy, pozostała dla nas możność dalszych fundacyi. My z naszej strony nic innego uczynić nie mogliśmy, jedno że wszystkie bezprzestannie w modlitwie i w pokucie błagałyśmy Boga, by dał wzrost rozpoczętemu dziełu, jeśli ono ma być na chwałę Jego.

W pierwszych jeszcze początkach tego srogiego prześladowania, które tak w krótkości opowiedziane może wam się wydać małym, ale w istocie było bardzo ciężkiem i długich dla nas cierpień powodem, — roku 1576, gdy wracając z fundacyi w Sewilli, zatrzymałam się była w Toledzie, zgłosił się do mnie pewien duchowny z Villanueva de la Xara, z listem od miejscowej rady municypalnej, wzywającym mię do założenia u nich klasztoru naszej reguły i przyjęcia do niego dziewięciu panien, które na kilka lat przedtem były się schroniły do pobliskiej pustelni św. Anny, i mieszkały razem w małej



chacie, przyległej do tej pustelni. Wszystka ludność miejscowa, patrząc na życie ich świętobliwe i całkiem w Bogu skupione, pragnęła dopomóc im do tego, co było najgorętszem ich pożądanem, to jest do zamienienia swej pustelni w klasztor regularny. Pisał do mnie także w tymże przedmiocie Doktor Augustyn de Ervias, proboszcz miejscowy, mąż uczony i wysoko cnotliwy, zaczem i tę świętą sprawę z wszystkich sił swoich popierał. Mnie jednak zgodzenie się na wniesione do mnie żądanie zdawało się rzeczą ze wszech miar niepodobną, mianowicie z następujących czterech powodów. Naprzód, odstraszała mię sama już znaczna liczba aspirantek; obawiałam się, że nawykłym już do swojego sposobu życia, bardzo im trudno będzie nałamać się do naszego. Powtóre, nie posiadały one prawie żadnych środków utrzymania, a jałmużn, z miejscowości liczącej mało co więcej nad tysiąc mieszkańców, niepodobna było spodziewać się obfitych; a lubo rada miejska ofiarowała się z gotowością ponoszenia kosztów utrzymania klasztoru, nie zdawało mi się jednak, by obietnica ta dawała stałą rękojmię na przyszłość. Potrzebie, nie miały żadnego domu na pomieszczenie klasztoru. Poczwarcie, miejscowość leżała daleko od wszystkich domów naszych. Przytem, jakkolwiek mię upewniano, że są to osoby bardzo cnotliwe, wszakże nie znając ich z widzenia, nie mogłam nabrać przekonania, czy posiadają one te przymioty, jakich my wymagamy w klasztorach naszych. Z tych wszystkich powodów, gotowa byłam dać stanowczą odmowę. Przedtem jednak, mając niezmienny zwyczaj, nigdy nie przedsiębrać niczego według własnego widzenia mego, nie zasięgnąwszy pierwiej zdania ludzi zaufania godnych, chciałam pomówić o tej sprawie ze spowiednikiem moim, którym był w Toledzie doktor Velasquez, kanonik katedralny i profesor teologii na uniwersytecie, mąż bardzo uczony i cnotliwy, obecnie wyniesiony na stolicę biskupią Osma. Ten, przeczytawszy listy i całą sprawę zważywszy, poradził mi nie odmawiać, ale raczej dać odpowiedź przychylną; bo gdy Bóg, mówił, tyle serc połączył we wspólnem dążeniu do jednego celu, jest to znak, że chce mieć z nich chwałę swoją. Uczyniłam więc według rady spowiednika, nie objawiając ostatecznego zgodzenia się, ale i nie odmawiając stano-

wczo. Upłynęło tak lat cztery, aż do roku 1580; ciągle przez ten czas na mnie nalegano i przez różne osoby wpływano, bym już przystąpiła do dzieła; ja zawsze byłam zdania, że nierozsądkiem byłoby podejmować rzecz podobną; nigdy jednak, w odpowiedziach moich na te nalegania, nie mogłam się zdobyć na stanowczą odmowę.

Tymczasem, zrządzeniem Bożem tak się złożyło, że O. Antoni od Jezusa, po rozpędzeniu braci naszych, schronił się był, na czas wygnania swego, do klasztoru Najświętszej Panny Wspomożenia wiernych, odległego tylko o trzy mile od tegoż miasteczka Villanueva, zaczętem często tam bywał dla przepowiedania słowa Bożego. Podobnież i przeor tego klasztoru, O. Gabryel od Wniebowzięcia, mąż niepospolicie roztropny i gorliwy sługa Boży, częstym w tem mieście był gościem. Oba, przez doktora Ervias, z którym się przyjaźnili, poznali one świętobliwe siostry i wielce się cnotliwem ich życiem budowali. Podzielając zatem w zupełności życzliwe dla nich usposobienie proboszcza i miejscowej ludności, ujęli się za nimi jakby za sprawą własną, i pisywali do mnie, z wielką usilnością wstawiając się za nimi. Co większa, w chwili gdym przebywała w klasztorze św. Józefa w Malagonie, choć stamtąd do Villanueva jest przeszło dwadzieścia i sześć mil drogi, O. przeor sam przyjechał do mnie, dla ustnego w tej sprawie rozmówienia się ze mną. Przedstawił mi, jako założenie tego klasztoru może się dopełnić bez wielkich trudności, zwłaszcza, że skoro się założy, doktor Ervias wyznaczy mu, uzyskawszy na to pozwolenie z Rzymu, trzysta dukatów rocznego dochodu z probostwa swego. Mnie ta obietnica wydała się rzeczą niepewną; dochód ofiarowany, dodawszy do niego własny choć bardzo szczupły fundusik sióstr, wystarczyłyby zapewne na ich utrzymanie; ale to, że miał być ustanowiony nie zaraz, jedno dopiero po założeniu klasztoru, słuszną mogło wzbudzać obawę, że tymczasem obietnica pójdzie w niepamięć, albo przez zaniedbanie pozostanie bez skutku. Te i inne różne racye, w mojem przekonaniu dostateczne, podawałam O. przeorowi, dla przekonania go, że tej fundacyi podjąć się nie powinnam. Powiedziałam mu w końcu, by dobrze się nad tem z O. Anto-

nim zastanowił; że przedstawivszy im powody, zdaniem mojem przekonywające, dla których zgodzić się nie chcę, zdaję całą sprawę na ich sumienie i odpowiedzialność. Na tem jednak nie poprzestając, zaraz po odejściu przeora, zważywszy że tak usilnie pragnąc tej fundacyi, pewno o zgodzenie się na nią będzie nalegał na obecnego zwierzchnika naszego O. magistra Anioła Salazar, nie tracąc czasu napisałam do tego ostatniego, przedstawiając mu racye moje i błagając go, by pozwolenia swego odmówił, na co on później mi odpisał, że i tak nie byłby go dał, nie dowiedziawszy się pierwej, czy ja na to się zgadzam.

Mniej więcej w półtora miesiąca potem, gdy już sądziłam, że układy ostatecznie zerwane, znowu zgłosił się do mnie posłaniec z listem od rady miejskiej i z formalnem tejsze zobowiązaniem się do zaopatrywania wszelkich potrzeb przyszłego klasztoru; był przy tem i list od Doktora Ervias, stwierdzający i ponawiający poprzednią jego obietnicę, i listy od obu onych wielbnych Ojców, mocniej jeszcze niż przedtem nalegające o zgodzenie się moje na tę fundacyę. Ja jednak, nie mogąc się pozbyć obawy mojej, by przyjęcie tylu na raz obcych siostr nie pociągnęło za sobą jakich niesnasek w zgromadzeniu, albo, jak to nieraz się zdarza, jawnego ze strony nowoprzyjętych oporu przeciw siostrom do nich, dla wdrożenia ich w nasz sposób życia, posłać się mającym; nie widząc przytem w dawanych mi gołosłownych, żadnym aktem urzędowym niepopartych obietnicach, dostatecznej pewności, zabezpieczającej stałe utrzymanie zamierzonej fundacyi, wciąż jeszcze się wahałam. Wielkie potem z tego miałam zawstydzenie, gdy wreszcie poznałam, że to moje wanie się było sprawą złego ducha, który, choć zwykle z łaski Pana nie brak mi odwagi, taką wówczas na mnie rzucił małoduszność, jak gdybym żadnej już nie miała ufnosci w Bogu. W końcu przecie modlitwy onych dusz świętych silniejszemi się okazały niż małoduszne wątpliwości moje.

Pewnego dnia, po Komunii, w chwili gdy polecałam tę sprawę Bogu, jak to po wiele razy czyniłam, błagając o oświecenie, — bo wbrew wszelkim racyom przeciwnym, skłaniała

mię do dania raczej odpowiedzi przychylniej obawa, że odmawiając mogę niejednej duszy stanąć na przeszkodzie do wyższego uświęcenia siebie, oraz to pragnienie, które zawsze czuję w sobie, bym mogła w jakiejbądź mierze przyczynić się do rozszerzenia chwały Pańskiej i choć o jedną duszę pomnożyć liczbę sług Jego, — onego więc dnia po Komunii, Pan surowo mię strofując, rzekł do mnie te słowa: — „Jakiemiż to skarba mi dokonało się to, czego dotąd dokonałaś? Nie wahaj się już przystać na założenie tego domu: będzie z niego wielkie pomnożenie chwały mojej, i pożytek dusz.“ — Taka jest potęga słowa Bożego, iż nie tylko głosem swoim przenika do duszy, ale i umysł oświeca, aby poznał prawdę, i wolę pobudza do ochotnego spełnienia jej. Tak stało się i ze mną po onem do mnie przemówieniu Pańskiem: z rozkoszą gotową byłam podjąć tę fundacyę; wyrzucając sobie i winną się czując, że tak długo z nią się ociagałam, i tak upornie powodowałam się rozumem i względami ludzkimi, po tylu przewyższających wszelki rozum ludzki cudach, jakie Boska wielmożność Pana w oczach moich działała, na wzbudzenie i wzrost tego świętego zakonu.

Postanowiwszy już podjąć się tej fundacyi, z różnych, jakie mi się nastrezczały powodów, uznałam, że sama powinnam odwieść siostry, które miały osiąść w nowym klasztorze, jakkolwiek ciało bardzo na to stękało, bo przyjechałam była do Malagonu w bardzo złym stanie zdrowia i ciągle byłam mocno cierpiącą. Lecz mając na względzie tylko chwałę Bożą, napisałam do przełożonego, prosząc by mi kazał, co uzna za najlepsze, na co on, przy upoważnieniu do tej nowej fundacyi, przysłał mi rozkaz, bym sama zjechała na miejsce, a siostry zabrała z sobą, które zechcę. Wybór tych sióstr nie był łatwy, niemależ mi troski przyczynił, z uwagi, że miały żyć wspólnie z tamtymi, jeszcze obcemi. Po gorącym tej sprawy poleceniu Panu, wybrałam wreszcie dwie z klasztoru św. Józefa w Toledzie, z tych jedną na przeoryszę, i drugie dwie z klasztoru Malagońskiego, z których jedną przeznaczałam na podprzeoryszę. Wybór, dzięki tylu w tej sprawie żarliwym modlitwom, okazał się bardzo szczęśliwym. Uważałam to sobie

za dowód szczególnej nad nami łaskawości Bożej; bo trudność tu była o wiele większa niż w innych fundacjach, gdy siostry nasze same, bez przymieszania obcych żywiołów, zaczynają; wtedy wszystko od razu łatwo i dobrze się składa.

Przyjechali po nas O. Antoni od Jezusa i O. przeor Gabriel od Wniebowzięcia, przywożąc nam wszelkie od miasta zapewnienia i rękojmie. Wyruszyliśmy więc z Malagonu w sobotę przed W. Postem, d. 13 lutego r. 1580. Spodobało się Bogu dać nam na drogę najpiękniejszą pogodę, a mnie zdrowie tak doskonałe, jak gdybym nigdy nie chorowała. Sama się zdumiewałam nad taką nagłą zmianą i nową stąd brałam sobie naukę, jak wiele na tem zależy, byśmy nigdy nie zważali na żadną słabość zdrowia, ani żadnem nie zrażali się przeciwieństwem, gdy chodzi o spełnienie jasno poznanej woli Boga; bo On mocen jest słabych uczynić silnymi i chorych zdrowymi; a gdyby tego nie uczynił i cierpienia nie odjął, znak to, że z samegoż cierpienia widzi większy duszy naszej pożytek. A więc, skoro nam objawi wolę swoją, idźmy za nią, patrząc tylko na cześć i chwałę Jego, a o samych sobie zapominając. Bo i na cóż nam dane jest życie i zdrowie, jedno na to, byśmy je strawić mogli na służbie tak wielkiego Króla i Pana? Tą drogą idąc, wierzajcie siostry, nigdy nie doznacie szkody, nigdy was nic złego nie spotka. Ja za dawnych lat moich, tak będąc niecnotliwą i słabą, nieraz, wyznając, poddawałam się wątpliwościom i strachom; ale odkąd Pan mię odział w ten habit karmelitki Bosej, i już na kilka lat przedtem, nie pamiętam tego zdarzenia, by mi ten Boski Mistrz nasz, z samego tylko miłosierdzia swego, nie użyczył łaski zwyciężenia tych pokus i rzucenia się całą istnością moją ku temu, w czem uznam większą chwałę Bożą, choćby to była rzecz najtrudniejsza. Wiem ci dobrze i jasno to rozumiem, że własne moje w tych rzeczach działanie było prawie niczem; ale Bóg niczego więcej od nas nie żąda, prócz takiej ochotnej na wolę Jego gotowości, a gdy ją w nas znajdzie, sam potem zdziała wszystko Boską mocą swoją. Niech będzie uwielbiony i błogosławiony na wieki, amen.

Mając po drodze klasztor Najświętszej Panny wspomóżenia wiernych, zatrzymaliśmy się w nim dla zawiadomienia o przybyciu naszym tych, którzy czekali nas w Villanueva, o trzy mile tylko, jak mówiłam, od tego klasztoru odległem. Tak było ułożono przez obu ojców, którzy nas przeprowadzili, i słusznie im się należało odemnie zupełnie w tem wszystkim posłuszeństwo. Klasztor ten leży w pustem i rozkosznie samotnem ustroniu. Gdyśmy się zbliżali, zakonnicy w pięknym ordynku wyszli na spotkanie przeora swego. Widok tych pobożnych Braci, postępujących boso, w ubogich, z grubej szersci płaszczach swoich, głębokiem był dla nas wszystkich zbudowaniem; mnie on szczególnie do głębi serca rozrzewnił: czułam siebie jakby przeniesioną w błogosławione czasy pierwszych świętych ojców naszego zakonu. Zdawało mi się, że widzę w nich tyleż białych i wonnych kwiatów, zasadzonych w tem cichem ustroniu i takimi też, sądzę, są oni w oczach Boga, któremu z takim prawdziwem oddaniem siebie i z taką żarliwością służą. Wprowadzili nas do kościoła, śpiewając poważnym i stłumionym głosem *Te Deum*; sam ten śpiew ich świadczył o wewnętrznem ich umartwieniu. Wchodzi się do tego kościoła gankiem podziemnym, jakby do pieczary, co nam przypominało grootę ojca naszego Eliasza. Takiej tam doznałam wewnętrznej radości, że ona jedna wynagodziłaby mi sownie wszelkie trudy choćby i dłuższej podróży, lubo z drugiej strony żal głęboki ścisłał mi serce, że już nie zastałam przy życiu Świętej, przez którą Pan ten dom założył, a którą gorąco pragnęłam jeszcze ujrzeć, alem tego szczęścia nie była godna.

Nie będzie to, sądzę, od rzeczy, że wspomnę tu nieco obszerniej o życiu jej, i dla uwielbienia dziwnych dróg, jakimi Pan raczył przywieść ją do założenia tego klasztoru, który, jak mi mówiono, tak wielki bardzo wielu duszom w całej tej okolicy przyniósł pożytek i dla naszej, siostry moje, nauki, abyśmy patrząc na przykład życia jej pokutnego, poznały, jak daleko za nią w tyle pozostajemy, i nową z niego brały sobie pobudkę do coraz usilniejszej w służbie Pana gorliwości. Nie masz zaiste powodu, byśmy się jej dawały wyprzedzić w mężnem zaprzaniu samych siebie, tem bardziej, że nie jesteśmy

z tak wysokiego rodu, ani tak wykwintnie wychowane, jak ona. Katarzyna de Cardona pochodziła z rodu książąt tego nazwiska. Wiem-ci, że wysokie urodzenie nie jest żadną zasługą przed Bogiem, ale wspominam tu o niem dla zaznaczenia, jaki blask światowej okazałości i przepychu otaczał początki jej życia, później tak pokornego i umartwionego. Pisując do mnie dość często, pod pierwszym tylko i drugim listem położyła książęce nazwisko swoje, potem już stale podpisywała się: „Grzesznica“. Życie jej i pierwsze jego początki, gdy jeszcze nie była otrzymała tytułu nadzwyczajnych łask od Pana i późniejsze sprawy jej, o których jest dużo do powiedzenia, opisze kto inny<sup>1)</sup>; gdy jednak opis ten może nie dojść rąk waszych, więc opowiem tu niektóre o niej szczegóły, użyczone mi przez osoby wiarogodne, które ją znały i z nią obcowaly.

Już w pierwszej młodości, choć żyła jeszcze wśród wielkich pań i panów dworu książęcego, nieustanną ta Święta miała pieczę o duszy swojej i różne zadawała sobie umartwienia. Czuła w sobie gorącą żądzę, z każdym dniem rosnącą, schronienia się na jakie miejsce samotne, kędyby bez przeszkody mogła cieszyć się rozmową z Bogiem i oddawać się pokucie. Spowiednicy jednak, których się radziła, nie chcieli jej na to pozwolić. Zapewne myśl taka wydawała im się szaleństwem, i nie dziwię się temu: tak dzisiaj świat zrobił się roztropnym, tak poszły w zapomnienie one wielkie łaski, jakie Bóg niegdyś czynił świętym sługom i służebnicom swoim na puszczy. Ale Pan w Boskiej łaskawości swojej nigdy nie odmawia skutecznej pomocy prawdziwemu pragnieniu oddania się Jemu. Tak i Katarzyna, z łaski i zrządzenia Jego, doczekała się wreszcie spowiednika takiego, jakiego jej było potrzeba. Był to O. Franciszek de Torres, franciszkanin; znam go dobrze i mam go za świętego. Od wielu lat, z wielką gorącością ducha żyjąc w ustawicznej pokucie i modlitwie, różne przytem znosząc prześladowania, wie on snąć z własnego doświadczenia, jak wielką jest łaska, którą Bóg czyni tym, którzy usiłują stać się jej godny-

---

<sup>1)</sup> Ob. Dodatek V.

mi. Więc i Katarzynie, gdy ta mu się zwierzyła z myślą swoją, odpowiedział bez wahania, że powołanie jej jest od Boga, że zatem powinna iść za głosem jego, nie dając się odwieść od zamiaru swego. Nie wiem, czy te były słowa, które jej powiedział, ale taka musiała być treść ich, jak się to niebawem okazało w skutku.

Przystępując od razu do wykonania postanowienia swego, Katarzyna zwierzyła się pewnemu pustelnikowi z pod Alkała, prosząc go, by jej służył za przewodnika, a nigdy jej przed nikim nie wydał. Tak przyszli na miejsce, gdzie dzisiaj stoi ten klasztor; Katarzyna upatrzyła sobie tu pieczarę, tak ciasną, że ledwo w niej się mogła zmieścić, i tu opuścił ją pustelnik. Lecz o! jakież to zapał miłości musiał płonąć w jej sercu, że tak nie troszczyła się zgoła ani o pożywienie, ani o mogące jej tu grozić niebezpieczeństwa, ani o niesławę, która na nią, skutkiem takiego jej zniknięcia, spaść miała! Jakie musiało być upojenie tej duszy, tą jedną tylko myślą i troską zajętej, by nikt jej nie przeszkodził do rozkosznego z Boskim Oblubieńcem swoim obcowania! Jakie męstwo niezłomne, jaka moc postanowienia w tem zerwaniu wszelkiej wspólności ze światem, w tem jej dobrowolnem uchyleniu się od wszystkich przyjemności jego! Zważmy to dobrze, siostry: zważmy zwłaszcza dziwną stanowczość tego zwycięstwa, którem tak od razu, jakby jednym zamachem, wszystko, co jest na świecie, pokonała. Prawda, że i wy nie mniejsze odniosłyście zwycięstwo, gdyście wstąpiły do tego świętego zakonu, czyniąc Bogu ofiarę z woli waszej i poddając się tak ścisłemu, dozgonnemu zamknięciu. Ale, kto wie, czy te pierwsze nasze zapaly z czasem w niejednej z nas nie ostygły? czy w tem, lub owem nie wracamy znowu pod stare jarzmo miłości własnej? Daj Boże by tak nie było; daj nam Boże, jako już nasladujemy tę świętą w zewnętrznym, dobrowolnie obranem odłączeniu się od świata, tak bardziej jeszcze wewnątrz, za jej przykładem, całkiem go z serc naszych wyrugować.

Wiele słyszałam o niesłychanej surowości jej życia, ale co słyszałam, było to pewno małą tylko częścią tego, co było w istocie; bo tyle lat sama jedna przebywając na tej pustyni



i nikogo nie mając, toby ją powściągał, przy tej nieugaszonej żądzy, z jaką pragnęła pokuty, straszliwie musiała się obchodzić z ciałem swoim. Szczegóły, które tu opowiem, mam od osób, które je od niej samej słyszały, między innymi także od sióstr klasztoru św. Józefa w Toledzie, które ona odwiedzała i z którymi otwarcie, jak z siostrami, rozmawiała, co zresztą i z wszystkimi czyniła, bo wielką miała prostotę, a pewno i pokorę nie mniejszą. Dobrze zatem rozumiejąc, że niczem jest i nic nie ma z samej siebie i daleka od wszelkiej pokusy próżnej chwały, ochotnie i radosnem sercem opowiadała łaski, jakie Bóg jej czynił, w tym jedynie celu, aby za nie było chwalone i uwielbione imię Jego. Dla dusz, które nie doszły do tak wysokiego stanu doskonałości, takie objawianie łask od Boga otrzymanych, nie jest rzeczą bezpieczną; co najmniej mają one to uczucie, że, chwając Boskiego Dawcę, chwalą same siebie. Lecz Katarzynę, pewna jestem, przedziwna jej szczerłość i święta prostota broniły od tego niebezpieczeństwa; nigdy też nie słyszałam, by jej kto zarzucał samochwalstwo.

Opowiadała więc siostronom naszym, że w onej jaskini na puszczy mieszkała ośm lat: że przez długi czas <sup>1)</sup>, gdy skończyły się trzy chleby, które jej był pozostawił on pustelnik, żyła samymi tylko ziołami polnemi i korzonkami, aż wreszcie spotkał ją jakiś pasterz, i ten odtąd dostarczał jej chleba i mąki, z której ona piekła sobie na ogniu placuszki, i to było jedyne jej pożywienie, którem jeszcze co trzeci dzień tylko się posilała. Później, gdy już się krzątała około założenia klasztoru, — wiem o tem na pewno ze świadectwa tamtejszych Braci, którzy sami na to patrzali, — tak już była ciągłymi postami wyniszczona, że gdy czasem zmusili ją spożyć sardynkę, albo co podobnego, pokarm ten, miasto posilenia, tylko jej szkodził. Wina, o ile mi wiadomo, nigdy do ust nie wzięła. Biczowanie, które sobie zadawała grubym łańcuchem, trwało nieraz po półtorej i po dwie godziny. Włosienice nosiła niesłychanie ostre i kolczaste; pewna niewiasta, która wracając z pielgrzymki

---

<sup>1)</sup> Trzy lata, mówią pisarze jej życia.

była się do niej wprosiła na nocleg, opowiadała mi, że w nocy, udając że śpi, podpatrzyła świętą w chwili, gdy zdejmowała włosienicę dla oczyszczenia jej i z przerażeniem ujrzała tę prawdziwie męczenną szatę od góry do dołu pełną krwi. Najwięcej jednak, jak mówiła wspomnianym wyżej siostrom naszym, cierpiała od złych duchów, którzy jej się ukazywali bądź w postaci ogromnych psów, rzucających się na nią i szarpiących jej plecy, bądź w postaci węzów; ona wszakże zgoła się ich nie bała. Pieczary swojej i wówczas także, gdy już był powstał klasztor przez nią założony, nie opuszczała ani we dnie ani w nocy; do klasztoru przychodziła tylko na nabożeństwo, póki zaś klasztoru nie było, chodziła na Mszę do odległego o ćwierć mili kościoła Ojców Merzedaryuszów, nieraz całą drogę odbywając na klęczkach. Nosiła ciemnego koloru płaszcz szersściowy, a pod nim takąż z grubego wojłoku suknię, w taki sposób uszytą, że wyglądała w niej na mężczyznę. Po kilku latach takiej zupełnej samotności, spodobało się Panu głośną uczynić sławę jej; od tego czasu lud okoliczny taką począł otaczać ją czcią i tak tłumnie do niej przybiegać, że nie mogła się opędzić natłokowi; mimo to jednak z równą zawsze miłością i dobrocią z każdym rozmawiała. Tłumy cisnących się do niej z każdym dniem się zwiększały; kto mógł się docisnąć i słowo od niej usłyszeć, za szczęśliwego się poczytywał; ale ją te tłumne hołdy tak męczyły, iż nieraz żaliła się, że chcą ją na śmierć zamęczyć. Zwłaszcza, gdy klasztor już stanął i Bracia w nim osiedli, bywały takie dni, że całe pole dokoła klasztoru pokrywało się wozami z blizka i z daleka przybyłych; Bracia wtedy, nie widząc innego sposobu uchronienia jej od natarczywości tłumów, sadzali ją na podwyższeniu i tak, górując nad ciżbą zebranych, błogosławiła na wszystkie strony, a rzesze, otrzymawszy jej błogosławieństwo, rozchodzili się uszczęśliwione. Po ósmiu latach takiego życia w tej jaskini, którą później pielgrzymi do niej się schodzący byli rozszerzyli, zapadła na niemoc tak ciężką, iż śmierć już zdawała się pewną; a jednak i w takiej groźnej potrzebie nie chciała się rozstać ze swą pieczarą i całą w niej chorobę przebyła.

W tymże czasie poczuła w sobie silne natchnienie założenia w tem miejscu klasztoru męskiego; nie wiedząc jednak, jaki zakon wybrać, wstrzymywała się jakiś czas z wykonaniem tej myśli. Aż pewnego dnia, gdy klęczała na modlitwie przed krzyżem, który miała zawsze przy sobie, Pan ukazał jej płaszcz biały, dając jej zarazem do zrozumienia, że ma założyć klasztor karmelitów Bosych. Nigdy przedtem nie była słyszała, by istniał na świecie taki zakon, jakoż w istocie dwa dopiero w onym czasie posiadaliśmy klasztory braci Bosych, jeden w Mancera, a drugi w Pastrana. Poczęła więc zasięgać wiadomości, a dowiedziawszy się o klasztorze w Pastrana, mieście należącym do księżny Eboli, małżonki księcia Ruy Gomez, i dawnej z młodych lat jej przyjaciółki, tam się udała, chcąc przypatrzeć się i obmyśleć na miejscu, w jaki sposób założyć i urządzić tę swoją fundację, której tak gorąco pragnęła. Sama nasamprzód, przy tym klasztorze Pastrańskim, w kościele św. Piotra, przywdziała habit Najświętszej Pani naszej z Karmelu, nie w tej myśli jednak, by chciała złożyć śluby i podać się regule zakonnej; do zakonu nigdy nie miała powołania, bo inszą drogą Pan ją prowadził; od związania się ślubami powściągała ją głównie obawa, że przełożeni mogliby jej w imię posłuszeństwa zabronić ukochanych jej umartwień i życia na samotności.

Oblóczyny odbyły się w obecności wszystkich Braci. Był tam między nimi i O. Marian, o którym mówiłam wyżej w tej księdze Fundacyi. Ojciec ten, jak sam mi opowiadał, miał w czasie tego uroczystego obrzędu zachwycenie, z zupełnem zawieszeniem władz zmysłowych. W tym stanie będąc, widział w duchu rzeszę Braci i Sióstr zabitych, jednych z uciętą głową, drugich z odrąbanemi rękoma i nogami, co widocznie zapowiadało zgotowaną wielu z naszych łaskę męczeństwa. O rzeczywistości tego widzenia wątpić niepodobna; O. Marian nie jest taki człowiek, by mógł za widziane podawać rzeczy, których nie widział; zachwycenia też nie są u niego rzeczą zwyczajną, nie tą drogą Bóg go prowadzi. Prośmyż Boga, siostry, by to widzenie się sprawdziło, byśmy zasłużyły jeszcze za życia ujrzeć

zakon nasz przyozdobiony chwałą męczeństwa i same też w liczbie tych szczęśliwych męczenników znaleźć się mogły.

Od chwili przybycia swego do Pastrana, święta nasza wszczęła starania o założenie swego klasztoru. W tym celu ukazała się znowu na dworze, który z taką radością była porzuciła. Nie małą to dla niej musiało być męką; szemrania też i różnych przykrości na dworze jej nie szczędzono; a przytem, ile razy wyszła z domu, nie mogła się opędzić tłumom do niej się cisnącym, co, zresztą, nie tylko w Pastrana, ale i gdziekolwiekby się udała, było nieodstępem jej, wszędy za nią idącym utrapieniem: każdy chciał mieć po niej pamiątkę, jedni po kawałku obcinali jej suknie, drudzy płaszcz. Z Pastrana przeniosła się do Toledu i zamieszkała u sióstr naszych. Wszystkie one upewniały mię, że wydawała z siebie słodką woń, jak relikwie Świętych, woń tak mocną i trwałą, że przenikała i suknię jej i pas, które i potem jeszcze, gdy siostry, wymieniwszy je u świętej na inne, ze czcią je u siebie trzymały, tak samo, jak gdy je święta nosiła, woniały. Im bliżej kto do niej przystąpił, tem wyraźniej i silniej czuł tę cudowną woń, choć w przyrodzonym porządku rzeczy, gruby taki habit szerściowy, przy wielkich zwłaszcza, jakie w tej porze panowały upałach, powinienby był raczej wydawać z siebie woń przeciwną. Wszystko to z pobożnem wzruszeniem i dzięki czyniąc Panu za cudowne sprawy Jego, opowiadały mi siostry nasze, i pewna jestem, że wszystko to szczerą prawdą, bo żadna z nich za nic w świecie nie popełniłaby kłamstwa.

Zebrawszy u dworu i z innych stron środki dostateczne, mając także upoważnienie potrzebne, Katarzyna przystąpiła do budowy klasztoru i rychło jej dokonała. Kościół stanął w miejscu jej pieczary; urządzono jej nieopodal drugą, z wyciosaniem w niej wyobrażeniem Grobu Pańskiego. Tam odtąd przebywała noce całe i większą część dnia; nie długo już jednak, bo od założenia klasztoru żyła już tylko półszósta roku, choć, przy niesłychanej surowości jej życia, i to może wydawać się cudem, że żyła jeszcze tak długo. Śmierć jej, jeśli dobrze pamiętam, nastąpiła roku 1567. Pochowano ją z jaknajwiększą czcią i okazałością obrzędów, dzięki, zwłaszcza, szczodrości wiel-

kiego wielbiciela jej, Don Żuana de Leon, który, jako za życia czcił ją jak świętą, tak chciał ją uczcić po śmierci, biorąc na siebie kosztą tak wspianego pogrzebu. Ciało jej złożone jest tymczasowo w kaplicy Najświętszej Panny, do której zmarła szczególnie gorące miała nabożeństwo, dopóki w miejsce obecnego szczupłego kościółka Bracia nie wzniosą większego i w nim, jak słusznie się należy, umieszczą te błogosławione zwłoki panięskie. Klasztor, przez pamięć jej, powszechną jest otoczony czcią ludu pobożnego; rzekłbyś, że ona jeszcze żyje w tych murach i we wszystkich dokoła miejscach, pobyt jej poświęconych, szczególnie w tej pustelni i w tej jaskini, w której tak długo mieszkała, nim wykonała swój zamiar założenia klasztoru. Opowiadano mi jeszcze o niej, że znużona i strapiona nieustającym natłokiem rzesz do niej się cisnących, chciała opuścić to miejsce i schronić się gdzieindziej, gdzieby mogła się ukryć, nikomu nieznaną; że w tym celu posyłała po onego pustelnika, który ją był przyprowadził, aby przyszedł i zabrał ją stamtąd; ale pustelnik już nie żył. Pan sam tym sposobem powstrzymał ją od zamierzonej ucieczki, aby, wedle woli Jego, stanął ten dom Najświętszej Pani naszej, w której On taką chwałę i taką wierną służbę odbiera. Patrząc na spokój i pogodę, malującą się na twarzy tych pobożnych Braci, łatwo się domysleć, jaka radość wewnątrz serce ich napęlnia i jak się cieszą z tego, że obrali sobie to życie odłączone od świata; mianowicie przeor, którego także Bóg z życia bardzo dostatniego pociągnął do tego twardego habitu, ale któremu hojnie za to odpłacił, uciechy zmysłowe zamieniając mu w rozkosze duchowne. Przyjęli mię najserdeczniej; zaopatrzyli nas z zasobów swoich w naczynia i aparaty kościelne dla przyszłej naszej fundacyi; bo dzięki czci głębokiej, w jakiej pamięć błogosławionej Katarzyny żyje u tyłu osób możnych, bogate dary spływają na klasztor i kościół ich; mieli więc czem się z nami podzielić. Pobyt mój w tem świętem ustroniu niewypowiedzianą napęlnił mię pociechą, ale i zawstyżeniem wielkiem, które dotąd trwa. Ta, mówiłam i mówię sobie, która całe życie swoje strawiła w takiej surowej pokucie, niewiastą była jak ja, jako dziecko książęcego rodu

wykwintniej chowana i do wygod przywykła więcej niż ja, nie była taką wielką grzesznicą jak ja, nie miała takich łask nadzwyczajnych, jakich Pan tyle i na wszelki sposób mnie użyzył, a z których nie najmniejsza ta, że mnie dotąd jeszcze za wielkie grzechy moje w piekle nie pogrążył: a przecie, jakież moje życie i jaka moja pokuta, w porównaniu z taką jej pokutą? To jedno mnie pociesza, że pragnę się poprawić i wstępować ile zdołam w jej ślady; ale i to pociecha nie wielka, bo na pragnieniach całe życie mi schodzi, a uczynków niema i niema<sup>1)</sup>. Niech mi Pan będzie miłościw wedle wielkiego miłosierdzia swego; w niem jednym pokładałam zawsze i pokładam wszystką ufność moją, przez zasługi nieskończone Boskiego Syna Jego i przez przyczynę Najświętszej Panny, Pani naszej, której z łaski i dobroci Jego habit noszę.

Któregoś dnia, po przyjęciu Komunii w tym drogim mi kościele, przyszło na mnie głębokie zebranie wewnętrzne, po którym zaraz nastąpiło wielkie, z zupełnem zawieszeniem zmysłów, zachwycenie. W tym stanie będąc, ujrzałam tę świętą niewiastę, ukazującą mi się w widzeniu duchowym, przyobleczoną jakby w ciało uwielbione, w otoczeniu gromady aniołów i rzekła do mnie: — „Nie ustawaj w pracy twojej; zakładaj dalej ile zdołasz, coraz więcej klasztorów.“ — Zrozumiałam z tych słów, choć wyraźnie tego nie powiedziała, że ona mię wspiera przyczyną swoją do Boga. Powiedziała mi jeszcze drugą rzecz, której tu powtarzać nie widzę potrzeby. Bardzo mię to widzenie pocieszyło, i nowy we mnie wzbudziło zapal i pożądanie dalszych w służbie Pana prac i trudów. Ufam też w dobroci Jego, że wsparta modlitwą tak możnej orędowniczki, zdołam jeszcze przyczynić się w czemkolwiek do pomnożenia chwały Jego.

---

<sup>1)</sup> Ob. w *Księdze Sprawozdań, Sprawozd. 3*, jaką Święta otrzymała odpowiedź od Pana, gdy kiedyś na modlitwie żaliła się przed Nim, że związana posłuszeństwem, nie może za przykładem tej błogosławionej pokutnicy oddawać się większym surowościom i umartwieniom: — „Więcej, niż wszystka jej pokuta, rzekł jej Pan, waży przedemną posłuszeństwo twoje.“

Patrzcież, siostry, i zważcie, jako cierpienia i trudy tej świętej już wzięły koniec, a chwała, której za nie dostąpiła, będzie bez końca. Usiłujmyż, póki żyjemy, wstępować, dla miłości Pana naszego, w ślady tej siostry naszej; nienawidząc samych siebie tą świętą nienawiścią, jaką ona siebie nienawidziła, róbmy do końca zleconą nam robotę; życie prędko upływa i wszystko się kończy: skończy się i praca nasza, a potem zacznie się zapłata, która się nigdy nie skończy.

Przybyliśmy do Villanueva de la Xara w pierwszą niedzielę Postu 1580; był to dzień św. Barbacyana i wigilia Katedry św. Piotra <sup>1)</sup>. Tegoż dnia jeszcze, w czasie Sumy, odbyło się wprowadzenie Najświętszego Sakramentu do przeznaczonego dla nas kościoła św. Anny. Wszystkie Rada miejska, oraz doktor Ervias i inni znaczniejsi obywatele wyszli na spotkanie nasze i wprowadzili nas naprzód do kościoła parafialnego, od którego do św. Anny odległość jest znaczna. Wielka była radość wszystkiego ludu, a stąd i wielka pociecha moja, na widok tak ochotnego przyjęcia zakonu Najświętszej Panny, Pani naszej. Z daleka już dochodził nas świąteczny odgłos dzwonów. Wszedłszy do kościoła, zaintonowano *Te Deum*, odśpiewane na przemiany w chórze i na organach. Po skończonym śpiewie, ustawiono Najświętszy Sakrament na noszach i posąg Najświętszej Panny na drugich; krzyże i chorągwie niesiono na przedzie i tak z wielką uroczystością wyruszyła procesya. My, w naszych płaszczach białych, z zasłonami spuszczonej na twarze, szliśmy w pośrodku, tuż za Najświętszym Sakramentem, a wkoło nas Bracia nasi Bosi, w znacznej liczbie przybyli z klasztoru, oraz franciszkanie z miejscowego konwentu i dominikanin, chwilowo w mieście bawiący; choć on był jeden tylko, zawsze jednak przyjemnie mi było widzieć habit i tego zakonu, występujący w pochodzie naszym. Po drodze, ponieważ, jak mówiłam, odległość była znaczna, gęsto były ustawione ołtarze stacyjne, przy których odśpiewywano wiersze na cześć Najświętszej Panny, używane w naszym za-

---

<sup>1)</sup> 21-go Intego.

konie. Z pobożnem wzruszeniem i głębokiem zbudowaniem patrzyłyśmy na te rzesze, jednomyślnie wysławiające tego wielkiego Boga, tam w pośrodku nas obecnego i przyjmowałyśmy tę cześć, którą tam dla miłości Jego nas siedm nędznych mauluczki karmelitek Bosych otaczano. Lecz obok tego zbudowania, głębokie także czułam w sobie zawstydzenie na myśl: że i ja idę pospołu z temi wiernemi służebnicami Bożemi, kiedy przeciwnie, gdyby mię znano jaką jestem i chciano postąpić ze mną tak, jak na to zasługuję, wszyscy powinni by powstać na mnie i wyrzucić mię precz. Na to wam, siostry, tak szeroko opisałam to uczczenie, którego w tym dniu doznał habit Najświętszej Panny, abyście chwaliły Pana za tę łaskę Jego i błagały Go, aby opieką swoją otaczał i zachowywał tę nową fundacyę. Co do mnie, przyznaję, że wolę gdy założenie nowego klasztoru kosztuje mię wiele trudów i prześladowań, i ochotniej także o takich fundacyach wam opowiadam.

Prawda, że onym siostrom, które tu na nas z takim upragnieniem czekały, od czasu, jak się schroniły do tej pustelni św. Anny, to jest od sześciu lat, albo conajmniej od półszósta roku, na trudach i cierpieniach nie zbywało. Żyły tam w największem ubóstwie; tego, co zapracować mogły, ledwo im starczyło na kawałek chleba, a po jałmużnę nigdy ręki wyciągnąć nie chciały, by ich snąć nie posądzano, że po to opuściły dom swój i udały się na samotność, by potem cudzym kosztem się żywić z miłosierdzia publicznego. Ciągłe surowości i pokuty, częste posty, skąpe pożywienie, nędzny barłóg miasto posłania, ciasne pomieszczenie, które dzięki ścisłemu na jakie się były skazały zamknięciu, tem dotkliwszem było umartwieniem: takie było ich życie na każdy dzień. Ale niczem jeszcze, mówiły mi, były te umartwienia zewnętrzne, w porównaniu z wewnętrznem, jakie cierpiały udręczeniem, z powodu opóźniającego się tak długo spełnienia gorącej ich żądzy przywdziania habitu naszego. Myśl ta i obawa, że nigdy nie dostąpią tej łaski, dręczyła je we dnie i w nocy, i wszystka ich, często z gorącemi łzami, modlitwa była jednym ciągiem do Boga wołaniem, by się nad niemi zmiłował i dał im tego szczęścia doczekać. Za każdym nowym w swych staraniach zawodem, martwiły



się niepokieszone i zdawały pokuty. Skąpe zarobki swoje, od ust sobie odejmując, obracały na opłacenie posłańców, których do mnie wyprawiały, albo na wywdzięczenie się, wedle miary ubóstwa swego, tym, którzy im mogli w czemkolwiek okazać się pomocnymi. Teraz, gdy je poznałam i widzę, jak święte to dusze, pewna jestem, że one same modlitwami i łzami swemi wyjednały sobie u Boga przyjęcie do naszego zakonu i mam to przekonanie, że większym bez porównania skarbem te dusze zakon nasz zbogaciły, siebie tylko jemu oddając, niż gdyby były wniosły najbogatsze posagi; dobrą też mam otuchę, że dom ten szczęśliwie będzie się rozwijał ku coraz wyższej doskonałości <sup>1)</sup>.

Gdyśmy wchodziły do domu, który miałyśmy po nich objąć, one wszystkie stały zgromadzone przy furcie wewnętrznej na powitanie nasze. Każda była ubrana po swojemu, w tem samem ubraniu, w jakim były opuściły świat; habitu bowiem tak zwanych Beatek <sup>2)</sup> nie chciały żadną miarą przywdziać, spodziewając się doczekać naszego. Suknie ich, bardzo przyzwoite, świadczyły jeszcze o dawnej wytworności, ale

<sup>1)</sup> Moralną sprawczynią powołania tych świętych dusz była też sama wielebna Katarzyna de Cardona, o której była mowa wyżej. Naprzód cztery siostry, córki rodu szlacheckiego, słysząc tyle o głośniejszej na całą okolicę świętości jej, udały się za przykładem wielu innych, na miejsce, dla naoczego przekonania się. Widok samotnego i surowego życia jej tak głębokie na nich sprawił wrażenie, iż natychmiast postanowiły pójść za jej przykładem. Przekonawszy się jednak niebawem, że do takich niesłychanych umartwień siły ich nie wystarcza, idąc za radą świętej, inny sobie obmyśliły rodzaj życia, prawie równie samotny, ale nie tak surowy. Wkrótce przyłączyły się do nich drugie cztery, także siostry rodzone i jedna jeszcze pobożna dusza, którą całe miasto ceniło, jak świętą. Zarząd miasta, zbudowany takim ich męstwem i zaprzaniem siebie, oddał im za schronienie pustelnię św. Anny i tam świętobliwe te dusze, ufne w obietnicę Wielebnej Katarzyny, iż z tego ich zebrania powstanie klasztor karmelitek Bosych, w modlitwie i w pokucie czekały chwili, kiedy spodoba się Bogu podać im sposób i środki ku temu. W tym też celu, jak widzieliśmy wyżej, przez cztery lata, od r. 1576 do 1580 wciąż nalegały na św. Teresę, aby je przyjęła do zgromadzenia swego. (Ob. *Ann. gen. Carm.*).

<sup>2)</sup> t. j. osób poświęconych Bogu bez reguły zakonnej.

po obecnem zaniedbaniu ich znać było, że te, które je noszą, nie troszczą się o osobę swoją, ani tem bardziej o stroje. Prawie wszystkie były tak blade i wyniszczone, że z samego widoku ich łatwo było się domysleć, jak surowo pokutne życie wiodły. Powitały nas ze łzami radości, a że radość ta i łzy były szczere, dostatecznie to okazało się w skutku w ochotnem ich, z weselem ducha, dążeniu do doskonałości, i w pokorze ich, i posłuszeństwie dla przełożonej i dla wszystkich sióstr na tę fundacyę przysłanych, i w uprzedzającej skwapliwości ich do spełnienia natychmiast każdego ich życzenia. O to jedno tylko drżały, byśmy snąc, ubóstwem ich i ciasnotą pomieszczenia zrażone, nie odjechały napowrót i ich nie porzuciły. Przez cały czas wspólnego ich w tej pustelni pożycia, żadna nie chciała się podjąć przełożenstwa nad drugimi; wszystkie, w doskonałej zgodzie siostrzanej, pospołu pracowały, każda wedle przemożenia swego. Sprawy zewnętrzne w miarę potrzeby załatwiała dwie starsze wiekiem; drugie nigdy z nikim obcym nie rozmawiały, ani rozmawiać nie chciały. Drzwi domu ich nie zamykały się na klucz, tylko na zasuwę; a żadna nie śmiała do nich się zbliżyć, oprócz najstarszej wiekiem, która z polecenia drugich, za wszystkie odpowiadała. Sypiały krótko, chcąc mieć więcej czasu do pracy na chleb i do modlitwy; na rozmyślanie poświęcały po kilka godzin dziennie, a w święta cały dzień; do duchownego kierunku swego używały pism O. Ludwika z Granady i O. Piotra z Alkantary. Najwięcej czasu kosztowało je odmawianie Godzin kanonicznych, przychodziło im to z niemałą trudnością, bo z wyjątkiem jednej, biegłej w tej sztuce, żadna z nich nie umiała dobrze czytać. Przytem i brewiarze miały niezgodne; jedne modliły się na starych brewiarzach rzymskich, darowanych im przez księży, którzy ich już używać nie mogli<sup>1)</sup>; inne miały inne wydania, jakie się której dostało. Skutkiem tej niezgodności i słabej wprawy w czytaniu, całemi godzinami

---

<sup>1)</sup> Były to brewiarze dawnego układu, skutkiem reformy Mszału i Brewiarza, przez Sobór Trydencki postanowionej, przez Papieża ś. Piusa V i następców jego dokonanej, wycofane z użytku kościelnego.

męczyły się nad tem odmawianiem. Szczęściem, że zbierały się na to w odległym kącie domu, gdzie nikt obcy ich nie mógł słyszeć, a Pan Bóg przyjął chyba intencję i ciężką pracę ich, bo co do słów, pewno rzadko które udało im się wymówić, jak należy. O. Antoni od Jezusa, gdy z niemi się poznał, poradził im, by zaniechawszy tego zbytniego mozołu, porzuciły na odmawianiu Officyum Najświętszej Panny. Przytem i ubogi dom swój we wzorowym utrzymywały porządku; same sobie we własnym piecu piekły chleb i wszystko wogóle tak u nich szło zgodnie i składnie, jak gdyby była nad niemi przełożona, któraby tem wszystkiem zarządzała. Ja, patrząc na to, dzięki czyniłam Panu i im bliżej je poznawałam, tem bardziej cieszyłam się z mojego do nich przyjazdu; nigdybym sobie tego nie darowała, gdybym była pozostawiła te dusze bez pomocy i pociechy, której odemnie żądały, chociażbym najdalsze drogi i najcięższe trudy dla nich podjąć miała. Siostry także do tej fundacyi wyznaczone, choć w pierwszej chwili, jak mi się przyznały, z nakazanego im wspólnego pożycia z osobami obcemi niejaką przykrość czuły, skoro jednak bliżej je poznały i przekonały się, jakie to dusze enotliwe, bardzo cieszyły się z tego, że mogą z niemi żyć i serdecznie je pokochały. Taka to jest moc świętości i cnoty. Prawdziwie były to dusze, które choćby im przyszło najsroższe znosić cierpienia i najcięższe walki, ochotnieby za łaską Boga je podjęły i zwyciężkoby je przetrwały: bo tego tylko pragnęły, by im dano było cierpieć dla miłości Boskiego Pana swego. Tego i my wszystkie pragnąć powinnyśmy i któraby siostra nie czuła w sobie tego pragnienia, ta niechaj się nie łudzi, by była prawdziwą karmelitką Bosą; bo celem pożądań naszych ma być, nie życie spokojne i wygodne, ale umartwienie i cierpienie, abyśmy przez nie choć z daleka wstępowały w ślady Tego, który jest prawdziwym Oblubieńcem naszym. Niechaj On w Boskiej dobroci swojej raczy nam użyczyć łaski ku temu, amen.

Co do tej pustelni św. Anny, w której założyłyśmy nasz klasztor, początek jej był taki. Mieszkał przed laty w Villanueva de la Xara pewien kapłan, rodem z Zamora, który jakiś

czas był należał do zakonu Pani naszej z góry Karmelu. Nazywał się Diego (Jakób) de Guadaluara. Był to mąż bardzo cnotliwy i życiu wewnętrznemu oddany, a że miał szczególne nabożeństwo do św. Anny, więc pod jej wezwaniem zbudował sobie przy domu swoim tę pustelnię, dla sprawowania w niej Najświętszej Ofiary; chcąc zaś więcej jeszcze zadość uczynić swej pobożności dla świętej Patronki swojej i cześć jej w tem miejscu uświetnić i rozszerzyć, pojechał umyślnie do Rzymu i uzyskał tam dla tej pustelni, czy kaplicy swojej, Bullę z nadaniem hojnych odpustów. Wreszcie, przed śmiercią rozporządził testamentem, że dom ten i wszystkie przyległości jego mają być użyte na założenie klasztoru karmelitek; dopóki by zaś to się spełnić nie mogło, ma być ustanowiony kapelan, z obowiązkiem odprawiania w tej kaplicy Mszy świętej kilka razy na tydzień, który to obowiązek ma ustać, skoro założenie klasztoru przyjdzie do skutku. Tym sposobem zapis ten przez lat przeszło dwadzieścia pozostawał w ręku kapelana, skutkiem czego wartość posesyi znacznie się umniejszyła, bo choć potem zamieszkały tu i one siostry, ale zajmowały sam tylko dom i w ogólnym zarządzie żadnego nie miały udziału. Kapelan mieszkał w drugim domu, do tejsze posesyi należącym, z którego teraz ustąpi, i oba domy, z wszystkim, co do nich należy, przejdą na nas. Bardzo to niewiele; ale miłosierdzie Boga jest wielkie i nie wypuści z opieki swojej tego domu, poświęconego tej chwalebnej Matce, z której się narodziła Najświętsza Matka Jego. Niechajże raczy to sprawić w Boskiej łaskawości swojej, by zawsze w tym domu kwitła chwała Jego i niechaj Go wysławia wszystko stworzenie na wieki wieczne, amen.

---

## ROZDZIAŁ XXIX.

O fundacyi klasztoru św. Józefa u Matki Boskiej Nadrożnej  
w Palencyi, w dzień św. króla Dawida r. 1580.

Za powrotem z fundacyi w Villanueva de la Xara, otrzymałam od przełożonego rozkaz udania się do Waliadolidu. Stało się to na żądanie biskupa Palencyi, tego samego Don Alvaro de Mendoza, który, będąc przedtem biskupem Awili, tak życzliwą opieką otaczał pierwszy nasz klasztor, to jest klasztor św. Józefa w Awili i odtąd stale takąż życzliwość i łaskę temu zakonowi naszemu okazywał; zaczętem też, przeniosłszy się z Awili do Palencyi, powziął był z natchnienia Bożego zamiar ustanowienia klasztoru tegoż zakonu w tej nowej biskupiej stolicy swojej. Ledwo, przybywszy do Waliadolidu, zaniemogłam ciężko, zdawało się śmiertelnie. Ale lubo wyszłam jeszcze z tej choroby, takie mi po niej pozostało zniechęcenie do zamierzonej fundacyi i takie niepokonane uczucie zupełnej do podjęcia jej nieudolności, że mimo nalegań przełożonej waliadolidzkiej, która tej fundacyi pragnęła, na nic się zdobyć nie mogłam, nie widząc nawet sposobu, jakby się wziąć do rzeczy, zwłaszcza, że klasztor miał być bez stałych dochodów, a jałmużn dostatecznych na utrzymanie jego ostrzegano mię bym się nie spodziewała, bo miasto bardzo ubogie.

Myśl tej fundacyi nie była jednak dla mnie rzeczą nową; niespełna na rok przedtem już była o niej mowa, jak i o drugiej fundacyi w Burgos i wówczas zamiarowi temu wcale nie byłam przeciwną; aż teraz dopiero mnóstwo w nim znajdowałam trudności i niedogodności, choć przecie nie po co innego byłam przyjechała do Waliadolidu, jedno dla podjęcia tej fundacyi. Nie wiem, czy był to skutek wielkiego osłabienia mego po chorobie, czy też dyabeł chciał tym sposobem stłumić w samym zarodku szczęśliwe owoce, jakie później ta fundacya wydała. Prawdziwie dziwna to rzecz i żałosna, — jak i nieraz żalę się na to przed Panem, — jak biedna dusza nasza musi dzielić z ciałem niedołęstwa jego, jak gdyby zupełnie po-

dlegała prawom jego i wszelkim potrzebom i przygodom, które jemu sprawują cierpienie. Jest to, zdaniem mojem, jedną z najdotkliwszych nędz tego życia, jeśli duch nie ma w sobie dość żarliwości i męstwa, aby umiał nad tem zapanować. Podlegać ciężkiej niemocy, znosić wielkie boleści, zapewne, że jest to cierpieniem; ale takie cierpienie, jeśli jedno dusza jest swobodna, dla mnie jest niczem: bo choć ciało jęczy, dusza wielbi Boga i dzięki Mu czyni, pomnąc, że to cierpienie jest zrządzeniem i darem z ręki Jego. Ale cierpieć, a przytem mieć duszę bezwładną, to jest rzecz straszliwa, zwłaszcza jeśli to dusza, która przedtem wielkim płonęła zapalem i żądzą, nie szukania dla siebie żadnego, wewnętrznego czy zewnętrznego spoczynku, ale poświęcenia siebie bez podziału na służbę wielkiego Pana i Boga swego. Jedynem w takiej niedoli lekarstwem: cierpliwość i uznanie nędzy swojej i zdanie się na wolę Boga, aby On czynił z nami, co i jak Jemu się spodoba. W takim właśnie stanie byłam ja wówczas: wracałam już do zdrowia, ale takie było zniemożenie moje, że żadną miarą nie mogłam się zdobyć na tę ufność i otuchę, jaką przedtem zawsze miewałam z łaski Boga, podejmując te fundacye; same tylko we wszystkim widziałam niepodobieństwa. Potrzeba mi było kogo, coby umiał dodać mi ducha; pod jego wpływem otrzęsłabym się z niedołęstwa mego; ale z tych, którzy mię otaczali, jedni tylko większego jeszcze strachu mi napędzali, drudzy, choć dawali mi niejaką nadzieję, nie taka to jednak była nadzieja, by zdołała pokonać małoduszność moją.

Na szczęście moje, łaskawem zrządzeniem Bożem, zjechał w tym czasie do Waliadolidu O. magister Ripalda z Towarzystwa Jezusowego, dawny przed laty spowiednik mój <sup>1)</sup>). Udałam się do tego wielkiego sługi Bożego, odkryłam przed nim stan duszy mojej, prosząc, aby mi, jak tego pragnę, zastąpił miejsce Boga i objawił mi wolę Jego. Ojciec, wysłuchawszy wyznania mego, począł mi usilnie dodawać odwagi, twierdząc,

---

<sup>1)</sup> Ten sam, z którego rozkazu, jak powiedziano we wstępie, ś. Teresa napisała tę księgę Fundacyi.

że ta małoduszność moja jest skutkiem podeszłego wieku mego. Ja dobrze wiedziałam, że tak nie jest; dziś jestem jeszcze starsza, a przecie tego upadku na duchu, w jakim wówczas byłam, obecnie w sobie nie czuję; snąc i on to rozumiał, a tylko tak mówił strofując mię, abym się ocknęła z niedołęstwa mego i nie sądziła, że ono pochodzi od Boga. Oprócz tej fundacyi w Palencyi, druga jeszcze jednocześnie przygotowywała się w Burgos, a ani na jedną, ani na drugą żadnych nie posiadałam środków; ale nie to mię odstraszało: taki już był mój zwyczaj, wszędzie zaczynać z niczem, a nieraz i mniej niż z niczem. Ostatecznie, wszystko zważywszy, O. Ripalda stanowczo mi oznajmił, że pod żadnym warunkiem nie powinnam zaniechać tych fundacyi. Taką samą odpowiedź miałam na krótko przedtem w Toledzie od O. Baltazara Alvarez, tegoż Towarzystwa Jezusowego naonczas prowincyała. Na słowo jego bez wahania byłam postanowiła podjąć się tych fundacyi; ale wówczas byłam jeszcze zdrowa. Teraz przeciwnie, choć zdanie tego drugiego Ojca, tem bardziej, że zupełnie zgodne z tamtem, największą u mnie miało powagę, nie zdołało ono jednak skłonić mię do stanowczego odrzucenia mych obaw i wątpliwości: dyabeł, jak mówiłam, czy też zniemożenie fizyczne, trzymał mię spętana, choć zawsze, po tej spowiedzi u Ojca, czułam się już znacznie silniejszą. Przełożona waliadolidzka, która bardzo pragnęła przyjścia do skutku fundacyi w Palencyi, zachęcała mię jak mogła; ale widząc moją dla tej sprawy obojętność, nalegać nie śmiała. Ale czego ani nalegania ludzkie, ani powaga sług Bożych dokazać nie zdołały, to się w jednej chwili stało, gdy Pan raczył mi zesłać prawdziwy zapal z nieba; z czego każdy przekonać się może, że najczęściej nie ja działałam to, co się działo w tych fundacyach, ale działał Ten, który mocen jest zdziałać wszystko.

Pewnego dnia, po Komunii, pogrążona w tych wątpliwościach i nie mogąc się zdobyć na żadne postanowienie co do tych fundacyi, błagałam Pana, aby mię raczył oświecić, iżbym we wszystkim tem umiała poznać i spełnić wolę Jego, — bo i w czasach najgłębszego zniemożenia i oschłości, ta żądza spełnienia jedynie woli Bożej nigdy ani na chwilę wemnie nie

ustała. Wtedy Pan, jakby z wyrzutem, rzekł do mnie: — „Czego się boisz? Kiedy cię pomoc moja zawiiodła? Jakim zawsze byłem dla ciebie, takim jestem i dzisiaj. Nie ociągaj się z założeniem tych dwu fundacyi.“ — O Boże wielki! jakże różne są słowa Twoje od słów człowieka! W tejże chwili taką uczułam w sobie odwagę i tak silne postanowienie, że, chociażby świat cały stawał mi w drodze, nie zdołałby mnie powstrzymać. Nie zwlekając ani chwili, przystąpiłam do dzieła i Pan też, jakby tylko czekał gotowości mojej, zaraz mi nastreczył środki potrzebne. Wybrałam dwie siostry, których posagu chciałam użyć na kupienie domu; a co do przyszłego utrzymania klasztoru, jakkolwiek mię upewniano, że z jałmużny niepodobna nam będzie wyżyć w Palencyi, ja o tem ani słyszeć nie chciałam: ustanowienie stałego dochodu, widocznie, na razie przynajmniej, było rzeczą niepodobną, a więc, kiedy Bóg sam każe, aby klasztor ten był założony, sam też potrzebom jego zaradzi. Choć nie zupełnie jeszcze byłam przyszła do siebie i choć pora zimowa nie sprzyjała podróży, postanowiłam jednak nie zwlekać wyjazdu i w dzień śś. Młodzianków tegoż roku 1580 z Waliadolidu wyruszyłam. Od Nowego roku, aż do św. Jana miałyśmy zapewnione tymczasowe pomieszczenie w domu najmowanym przez jednego pana miejscowego, który go nam był ustąpił. Przed wyjazdem, napisałam była do jednego z kanoników w Palencyi; nie znałam go wcale, ale przyjaciel jego, którego znałam, upewnił mię, że jest to bardzo gorliwy sługa Boży, zaczem i pewna byłam, że wielką z niego będę miała pomoc, licząc na tę najlaskawszą Opatrzność, jaką Pan we wszystkich tych fundacyach nade mną okazywał, iż znając mię i wiedząc, jak mało do czego jestem zdolną, wszędzie dawał mi znaleźć kogo, coby mi w wykonaniu dzieła Jego dopomógł. Napisałam więc była do tego kanonika, prosząc go, by nam, bez najmniejszego, o ile będzie podobna rozgłosu, oczyścił dom dla nas przeznaczony, usuwając lokatora, który część jego zajmował, ale nie mówiąc mu, o co chodzi; bo jakkolwiek między znaczniejszymi obywatelami Palencyi miałyśmy kilku bardzo nam przychylnych, a szcze-



gólnie biskupa, zawsze jednak uważałam, że będzie bezpieczniej, nie rozgłaszać rzeczy przed czasem.

Kanonik Reinoso, — tak się nazywał ten zacny kapłan, — nie poprzestał na samem spełnieniu prośby mojej; nie tylko nam dom oczyścił, ale i zaopatrzył go w łóżka i we wszelkie wygody; rzeczywiście, były one nam potrzebne, po takiej, jaką miałyśmy podróży: zimno było przejmujące, droga uciążliwa, zwłaszcza, że cały dzień jechałyśmy w mgłę tak gęstą, iż prawie jedna drugiej dojrzeć nie mogłyśmy. Co prawda, odpoczynku miałyśmy nie wiele, bo zaraz po przyjeździe potrzeba było zająć się przygotowaniem do Mszy, aby nazajutrz wczesnie, nimby wieść o naszym przybyciu rozeszła się po mieście, spełnienie Najświętszej Ofiary w tym nowym domu stwierdziło i nieodwołalnym uczyniło nasze w nim usadowienie się. Z wielokrotnego doświadczenia przekonałam się, że ten jest najwłaściwszy sposób postępowania przy zakładaniu fundacyi; bo zwlekając i ociągając się, aż się wszyscy dowiedzą, daje się przez to ludziom powód do różnych sądów i gadań, a dyabeł korzysta z tego i wznieca zamieszanie i trudności, któremi choć nic nie wskóra, zawsze jednak sieje niepokój. Tak więc, nazajutrz rano, prawie o świcie, Don Porras, kapłan bardzo pobożny i towarzysz nasz w drodze do Palencyi, odprawił pierwszą w naszym domu Mszę świętą, a po nim zaraz drugą Don Augustyn de Vitoria, bardzo oddany naszym siostron waliadolidzkim, który też w drodze wielkie nam świadczył przysługi i nawet pieniądze mi pożyczył na urządzenie nowego domu.

Miałam z sobą cztery siostry i piątą towarzyszkę moją, która już od dawna wszędzie ze mną jeździ; jest ona tylko konwerską, ale tak jest świętobliwa i roztropna, że większą mam z niej pomoc niż z wielu sióstr chórowych <sup>1)</sup>. Tej nocy

---

<sup>1)</sup> Była to Wielebna Anna od św. Bartłomieja, długoletnia sekretarka św. Teresy, choć wstępując do zakonu wcale pisać nie umiała i później dopiero, jakby cudem się nauczyła. Gdy bowiem kiedyś, jak opowiadają jej życiopisarze, Święta wyraziła jej żal swój, że pisać nie umie, że posiadając tę

jak mówiłam, pomimo, że byliśmy znużone złą drogą i uciążliwemi przeparami przez wody wezbrane, sen nasz był krótki; ale znużenia nie czułam, wobec pociechy, jaką mię napęliło szczęśliwe rozpoczęcie naszej fundacyi, i z tego też bardzo się cieszyłam, że obrzęd otwarcia jej przypadł w dniu, w którym odmawiamy officyum o królu Dawidzie, do którego wielkie mam nabożeństwo. Tegoż samego dnia, zaraz z rana, posłałam do najprzewielebniejszego biskupa, z doniesieniem o przybyciu naszym, którego on tak rychło się nie spodziewał. Niezwłocznie odwiedził nas, z tą samą zawsze dobrocią, jaką nam od dawna stale okazuje. Obiecał nam zaopatrzyć nas w chleb, ile go będzie potrzeba i różnych innych potrzeb polecił szafarzowi swemu nam dostarczyć. Zakon nasz niezmiernie wiele mu zawdzięcza i każda, gdy czytając tę księgę Fundacyi dowie się o tylu względem nas dobrodziejstwach jego, powinna się poczuwać do obowiązku polecenia go Bogu, żywego czy umarłego, o co i na miłość Pana każdą proszę. Radość z naszego przybycia tak była w całym mieście wielka i powszechna, że słów mi nie staje na opisanie jej; rzadko chyba zdarza się między ludźmi taka jednomyślność; wśród tych ogólnych objawów zadowolenia, nie odezwał się ani jeden głos przeciwny. Zapewne, że w znacznej części przyczynił się do tego przykład biskupa, który wielką tu ma powagę i miłość u ludu; ale i lud sam taki jest dobry i szlachetny, jakiemu nigdzie nie widziałam podobnego; codzień też więcej się cieszę, że mi dano było wśród niego klasztor nasz założyć.

Zatrzymawszy się tymczasowo, jak mówiłam, w mieszkaniu najętym, zajęliśmy się bezwładnie kupnem domu własnego. Dom, w którym stałyśmy, był wprawdzie na sprzedaż, ale zrażone niedogodnym jego położeniem, wolałyśmy poszukać innego, a z tem, co posiadały te dwie siostry, które były do no-

---

umiejętność, mogłaby Jej być pożyteczna, ona wyprosiła u Świętej kilka wierszy Jej ręką pisanych, które wzięwszy do siebie i całą noc straciwszy na wpatrywaniu się w nie i naśladowaniu ich litera za literą, nazajutrz już wprawdzie pisała. W zbiorze rękopisów św. Teresy wiele się przechowuje listów, ręką Wielebnej Anny, w zastępstwie Świętej, pisanych.

wego klasztoru wyznaczone, miałyśmy przynajmniej o czem rozpocząć targ i zawierać umowę; była to suma niewielka, ale w takiej małej mieścinie znaczyła dużo. Ostatecznie jednak, z takim fundusikiem nie byłybyśmy doszły do końca, gdyby nie pomoc serdeczna tych dwóch przyjaciół, których Bóg nam zesłał, to jest kanonika Reinoso, o którym już mówiłam i drugiego jemu podobnego, kanonika Salinas, męża wielkiego rozumu i serca. Oba żyli z sobą w najściślejszej przyjaźni; oba też wspólnie zajęli się sprawą naszą jakby własną, gorliwiej nawet, rzecby można, niż gdyby to była sprawa ich własna i takąż pełną poświęcenia przychylność niezmiennie odtąd temu domowi okazują.

Jest w Palencyi bardzo miła kaplica czy pustelnia, pod wezwaniem Matki Boskiej Nadrożnej; wszystko miasto i cała okolica wielkie ma do niej nabożeństwo i mnóstwo ludu tam się schodzi na modlitwę. Jego Pasterska Mość i wszyscy nam życzliwi byli zdania, że najlepiej nam będzie osiedlić się przy tej kaplicy. Zabudowań mieszkalnych kaplica ta nie posiadała, ale były w pobliżu dwa domy, które mogłyśmy kupić, a które połączone w jedno, wystarczyłyby na pomieszczenie nas, wraz z domowem oratoryum. Kościółek ten należał do kapituły i do bractwa przy nim istniejącego; do nich więc naprzód się zwróciliśmy z prośbą o ustąpienie nam kościołka. Kapituła od razu zgodziła się najlaskawiej na to ustępstwo; ze starszymi bractwa porozumienie się szło nieco trudniej, ale i oni, po niejakiem wahaniu, zrzekli się praw swoich na rzecz naszą, bo jak już mówiłam, w życiu mojem nie widziałam ludu tak poczciwego, jak ten lud w Palencyi. Chodziło teraz o nabycie onych dwu domów; ale właściciele, widząc, że mamy na nie ochotę, podwyższyli ich cenę, czemu się nie dziwię. Gdym jednak poszła sama te domy obejrzeć, wydały mi się one tak niedogodnemi i nie tylko mnie, ale i tym, którzy nam towarzyszyli, że wszelką do nich chęć straciłam. Jasno potem się okazało, że zniechęcenie to niesłuszne w znacznej części pochodziło z poduszczenia złego ducha, któremu nasze osiedlenie się w tem miejscu bardzo się nie podobało. Kanonicy nasi, podziеляjąc moje uprzedzenie, popierali je jeszcze uwagą, że domy te

daleko są od katedry, co było prawdą, ale za to leżą one w części miasta najgęściej zaludnionej. Ostatecznie wszyscy jednogłośnie uznaliśmy, że miejsce to nie jest dla nas przydatne i że trzeba poszukać innego. Zajęli się tem natychmiast oba kanonicy, z taką niestrudzoną pilnością i troskliwością, że z głębi duszy za tę ich dobroć dziękowałam Panu. Wszystkie domy obeszli, nie opuszczając żadnego, o ile tylko mógł się wydawać odpowiednim, aż wreszcie jeden, należący do niejakiemu Tomayo, uznali najlepszym. Dom ten po części w dobrym był stanie i można było zająć go od razu, a graniczył z domem jednego pana możnego, Don Suero de Vega, który podobnie, jak wielu innych w sąsiedztwie, szczerze nam sprzyjał i bardzo pragnął naszego osiedlenia się w tej stronie. Rozmiary jednak tego domu były dla nas za szczupłe i nawet w połączeniu z drugim obok, który nam ofiarowano, jeszcze nie starczył na wygodne pomieszczenie nas.

Polegając na opisach i sprawozdaniach, jakie mi o tym domu dawano, pragnęłam już prędzej zawrzeć z właścicielem umowę; ale kanonicy żądali koniecznie, bym go pierwszej sama obaczyła. Ufając im zupełnie, a mając wstręt do pokazywania się na mieście, broniłam się od tego żądania jak mogłam, w końcu jednak musiałam ustąpić i poszłam. Po drodze wstąpiłam jeszcze do tamtych dwu domów przy kaplicy Matki Boskiej, nie w zamiarze nabycia ich, ale jedynie dla pokazania właścicielowi tego domu, o który chcieliśmy się umówić, że nie jesteśmy zależni od łaski jego, że mamy w czem wybierać. Domy te, jak już mówiłam i mnie i siostróm mi towarzyszącym wydały się zupełnie nieprzydatnymi; dziś jeszcze nie możemy wyjść z podziwienia, jakim sposobem to się stać mogło, że pomieszczenie to, z którego dzisiaj zupełnie jesteśmy zadowolnione, wówczas nam wszystkim tak się nie podobało. Pod wpływem tego uprzedzenia i w przekonaniu, że nie mamy innego wyboru, poszliśmy do tamtego domu, z powziętym z góry zamiarem kupienia go bądź co bądź. Dom ten rażąco przedstawiał trudności i niedogodności, którym nie byłoby sposobu zaradzić; chcąc, na przykład, urządzić w nim kaplicę i to jeszcze szczupłą i ciasną, byłoby potrzeba zburzyć całą jedną część

domu, skutkiem czego nie byłoby gdzie mieszkać. Ale na to wszystko wówczas nie zważaliśmy: taka to jest dziwna siła uprzedzenia i raz powziętego postanowienia! Co prawda, błąd ten, choć wówczas nie ja sama jemu uległam, był mi na przyszłość nauką, bym mniej dowierzała samej sobie. Stanęło więc na tem, że ten dom, a nie inny, weźmiemy; zgodziliśmy się i na żadaną cenę, choć bardzo wygórowaną, i właściciela, mieszkającego gdzieś pod miastem, listownie o tem zawiadomiliśmy.

Dziwicie się może, siostry, że tak szeroko się rozwodzę nad rzeczą na pozór tak błahą, jaką jest kupno domu; ale rzecz ta już nie wyda się błahą, gdy z przebiegu jej obaczycie, jakich to sposobów używał i z jaką złością usiłował dyabeł przeszkodzić nam, byśmy nie zamieszkały przy tym kościółku Matki Boskiej: ja dziś jeszcze drżę cała na samo o tem wspomnienie. Nazajutrz po onem postanowieniu naszym, kupienia bądź co bądź tego domu, w czasie Mszy świętej przysłała mi nagle silna wątpliwość, czy też dobrze zrobiliśmy i taki mię na tę myśl ogarnął niepokój, że przez cały czas Mszy świętej rady sobie dać nie mogłam; wciąż mi stał przed oczyma tamten dom Najświętszej Panny. Tak przystąpiłam do Komunii; aż oto w chwili przyjęcia jej, usłyszałam w sobie te słowa: — „Ten jest dom który wziąć powinnaś.“ — Słowa te tak były wyraźne i stanowcze, że pod ich wrażeniem natychmiast uczułam w sobie niezmiennie postanowienie, bezwarunkowo nabyć one domy przy pustelni, a zaczętej umowy o tamten zupełnie zaniechać. Przewidywałam wprawdzie, jak trudno będzie wycofać się z umowy już zrobionej i jaka to będzie przykrość dla tych, którzy tyle położyli zachodu około wynalezienia tego domu i naszego w nim osiedlenia się pragnęli: ale Pan odpowiedział mi na to: — „Nie wiedzą oni, ile tam dzieje się złego z ciężką obrazą moją; wasz klasztor skutecznie temu zaradzi.“ — Przysłała mi jeszcze myśl, czy nie jest to złudzenie; ale ani na chwilę przypuścić tego nie mogłam, jasno rozumiejąc po skutkach, jakie we mnie sprawiły te słowa, że pochodziły one z ducha Bożego. Pan też, utwierdzając mię w tem przekonaniu, zaraz rzekł do mnie: — „To Ja.“ — Wstałam zapełnie

uspokojona; wątpliwości, które mię przedtem dręczyły, znikły bez śladu, jakkolwiek nie widziałam jeszcze sposobu, jak naprawić to, co się stało i jak wytłómaczyć siostróm tę nagłą zmianę, kiedy tylko co przedtem z takim wstrętem odzywałam się przed niemi o tym domu i utwierdzałam je w ich do niego odrazie, mówiąc im, że za nic w świecie nie życzyłabym sobie, byśmy go były bez widzenia, jak łatwo być mogło, to jest na słowo przyjaciół naszych, kupiły. Chociaż o siostry mniej się w tym razie troszczyłam, wiedząc z góry, że wszystko uznają za dobre, cokolwiek ja uczynię; ale obawiałam się złego wrażenia, jakie to świeże postanowienie moje mogło sprawić na drugich, którzy za tamtem kupnem obstawali. Widząc takie nagłe moje przerzucanie się z jednego zamiaru w drugi, mogli mię posądzać o lekkomyślność i zmienność, a są to wady, któremi właśnie się brzydę. Wszystkie jednak te względy i obawy nie zdołały ani na chwilę zachwiać mnie w postanowieniu założenia siedziby naszej w domu Najświętszej Panny; wszelkie też niedogodności, jakie w nim byłam spostrzegła, znikły mi z oczu; bo wszelkie niewygody i wszelkie sądy ludzkie niczem były dla mnie w obec tej myśli, że osiedlenie się nasze i zamieszkanie sióstr w tem miejscu zdoła zapobiedz choćby jednemu grzechowi powszedniemu i każda z nich, gdyby były słyszały to, co ja słyszałam od Pana o niegodziwościach, jakie tam do tego czasu się działy, tak samoby, pewna tego jestem, postąpiła.

Chcąc jednak ile możności zapobiedz zgorzeniu, jakie przyjaciele nasi z pozornej zmienności mojej wziąć mogli, takiego ku temu użyłam sposobu. Spowiadałam się u kanonika Reinoso, jednego z tych dwu, którzy mi z takim poświęceniem siebie w tej fundacyi pomagali. Dotąd nie byłam mu jeszcze mówiła o łaskach nadzwyczajnych, takich jak to ostatnie objawienie, których Pan mi użycza; nigdy do tego czasu nie było sposobności ku temu ani potrzeby. Teraz jednak, ponieważ, pragnąc zawsze iść drogą bezpieczną, niezmienny mam zwyczaj w takich zdarzeniach zasięgać rady spowiednika i postępować według zdania jego, uznałam konieczność powiedzenia kanonikowi, pod sekretem spowiedzi, jaki rozkaz otrzy-

małam od Pana. Przyznaję, że niewypowiedzianą byłabym miała trudność w zastosowaniu się w tym razie do zdania spowiednika, gdyby mi był kazał postąpić przeciwnie temu, co słyszałam od Pana; ostatecznie jednak gotowa byłam uczynić, cokolwiek mi rozkaże, pokładając wszystką ufność moję w Panu, który, jak tego po wiele razy doświadczyłam, umie w danem zdarzeniu odmienić serce spowiednika, iż choćby z razu był innego zdania, w końcu jednak postąpi zgodnie z wolą Jego. Powiedziałam mu więc naprzód, jako Pan zwykł często w taki sposób mię nauczać i jako dotąd zawsze okazało się w skutkach, że słowa, które słyszę, niewątpliwie pochodzą z ducha Bożego. Potem opowiedziałam mu to ostatnie objawienie moje, dodając jednak, że w każdym razie, choćby mi to przyszło z trudnością, postąpię tak, jak on uzna, że postąpić powinnam. Na to kapłan ten, ile świętobliwy, tyle też, mimo młody wiek swój, roztropny i bezpieczny w każdej potrzebie poradnik, odpowiedział mi, że jakkolwiek przewiduje, jak mię za tę nagłą zmianę palcami wytykać będą, wszakże nie chce tego wziąć na siebie, by mi zabraniał postąpić wedle słów, które słyszałam. Zapytałam go jeszcze, czy pozwoli bym się wstrzymała z objawieniem mojego zamiaru, aż do powrotu posłańca, wyprawionego przez nas do właściciela tamtego domu. Zgodził się na to; ja zaś niezachwianą miałam ufność, że Bóg tymczasem w jaki bądź sposób otworzy mi wyjście z tej trudności i nie zawiodłam się. Właściciel, choć zgodziliśmy się na jego cenę i gotowi byliśmy zapłacić tyle, ile sam chciał, teraz nagle z nową występował pretensją, żądając jeszcze trzysta dukatów dopłaty. Było to żądanie nie tylko nieuczciwe, bo skoro sam był postawił cenę, a my na nią zgadzaliśmy się, nie miał już prawa ją podwyższać, ale i ze względu na własny jego interes bardzo niemądre, bo do sprzedaży nagliła go potrzeba, a suma, którą mu mieliśmy zapłacić i tak o wiele przewyższała wartość domu. Jawne w tem widzieliśmy zrządzenie Boże, podające nam tak łatwy i prosty sposób wycofania się z danej niebacznie obietnicy. Właścicielowi oznajmiliśmy, że uważamy umowę za zerwaną, podając za powód, że postępowaniem swoim przekonał nas, iż z nim nie można dojść do końca, choć

nie był to powód główny, ani nawet w gruncie nie tłumaczył dostatecznie zerwania umowy, bo gdyby chodziło tylko o te trzysta dukatów, rzecz jasna, że nie byłoby racyi dla nich wyzrekać się kupna tego domu, o ile byśmy go skądinąd znajdowały odpowiednim na urządzenie w nim klasztoru. Po takim szczęśliwem uchyleniu tej głównej trudności, widząc spowiednika mojego zafrasowanego przewidywaniem powszechnego zdziwienia i niekorzystnych sądów, jakie z ujmą dla sławy mojej z tej raptownej zmiany postanowienia wyniknąć mogą, prosiłam go, aby skoro uznaje, że powinnam tak postąpić jak Pan mi powiedział, o mnie i o sławę moją już się nie troszczył. Dodałam tylko prośbę, by towarzyszowi swemu oznajmił, że postanowiłam i koniecznie chcę, bez względu czy drogo, czy tanio, czy cały czy zrujnowany, kupić ten dom Najświętszej Panny. Kanonik Reinoso spełnił prośbę moją, a tamten przyjął to oznajmienie w milczeniu; śnać niepospolicie byстрыm rozumem swoim odgadł, choć się do tego nie przyznał, jaki powód mię skłonił do takiej nagłej zmiany; nigdy też najmniejszej nie uczynił mi z tego powodu uwagi czy wyrzutu.

Wszyscy później przekonaliśmy się, jak wielki bylibyśmy popełnili błąd, gdybyśmy byli kupili tamten dom. Ten, który z łaski Boga mamy, nad wszelkie spodziewanie nasze okazuje się zupełnie dogodnym i pod każdym względem lepszym od tamtego, nie mówiąc już o tem, co rzecz główna, że Boski nasz Zbawiciel i Najświętsza Matka Jego teraz w nim jak każdy to widzi, cześć i wierną służbę odbierają i że dawne okazy do obrazy Boskiej już w nim miejsca nie mają. Przedtem, póki to miejsce było tylko samotną pustelnią, odbywały się w niej nieraz schadzki nocne, które mogły dawać powód do różnych grzechów; dla tego właśnie dyabeł z taką złością i chytrością zwodził nas i naszemu tu osiedleniu się przeszkadzał, nie chcąc dopuścić tego, by zgorzenia te ustać miały; my zaś tem bardziej cieszymy i radujemy się, że możemy w czemkolwiek przyczynić się do chwały niebieskiej Matki, Pani i Orędowniczki naszej. To tylko wielka szkoda, żeśmy się tak późno opatrzyli; trzeba było wziąć dom ten od razu, nie tracąc czasu na szukaniu innego. Jasno teraz widzę, do jakiego stopnia zły duch w tej sprawie mię zaślepił, bo mamy



w tym domu takie dogodności, jakichbyśmy daremnie szukały gdzieindziej; lud też wszystkich, jak pragnął założenia naszego klasztoru w tem poświęconem ustroniu Matki Boskiej, tak teraz niezmiernie z niego się cieszy; a i ci nawet, którzy pierwaj za tamtym domem obstawali, teraz uznają, że w tym jest daleko lepiej. Niech będzie błogosławiony na wieki Ten, który raczył mię w tej potrzebie oświecić, jak i w każdym innem zdarzeniu, jeśli kiedy zdołam uczynić co dobrego, jedynie oświeceniu Jego to zawdzięczam, bo coraz bardziej i z coraz większem przerażeniem widzę, jak zupełnie niezdolna jestem do niczego. Proszę nie sądzić, bym mówiła to tylko przez pokorę, mówię to z prawdziwego, z każdym dniem coraz jaśniejszego przeświadczenia. Taka jest snać wola Pana, bym się przekonała i by przekonali się wszyscy, iż On sam działa i sprawuje wszystkie te rzeczy i jako ślepemu, błotem pomazawszy oczy jego, wzrok przywrócił, tak i takiemu ślepemu jak ja stworzeniu raczy niekiedy oczy otworzyć, abym tego co mi czynić każe, nie czyniła po ślepemu. W tem zdarzeniu, rzecz pewna, wielka była ślepota moja i ile razy na to wspomnę, chciałabym wciąż na nowo dzięki czynić Panu, że mię tak miłościwie oświecił. Ale i dziękować Jemu, tak jak powinienam, nie umiem; nie wiem doprawdy, jak On jeszcze mię znosi. Niech będzie błogosławione miłosierdzie Jego, amen.

Jak tylko stanęło na tem, że kupimy te dwa domy przy pustelni, dwaj oni święci miłośnicy Najświętszej Panny zaraz o nie targ wszczęli i w końcu, zdaniem mojem, tanio je nabyli. Ale kłopotu z tem i zachodu mieli nie mało, bo tak się Panu podoba, że w każdej z tych fundacyi hojną nadarza sposobność do cierpienia i zasługi tym, którzy nam do nich pomagają; ja jedna tylko nic nie robię, jak już mówiłam i chciałabym wciąż to powtarzać, bo tak jest. A po ciężkich zachodach przy targowaniu tych domów, nowe jeszcze i nie mniejsze ponieśli z urządzeniem ich dla nas, które całe sami wzięli na siebie; i potem jeszcze na pierwsze potrzeby pieniędzy mi dali, wiedząc, że ich nie mam i za nas poręczyli, co za szczególną z ich strony dobroć sobie poczytuję, bo w innych miejscach niemały miewam kłopot nim znajdę poręczyciela, choćby na sumę mniej

znaczną. I nie dziw, że ludzie uchylają się od takiej posługi, bo ja zwykle zaczynam bez grosza w kieszeni i jedynem poręczyciela zabezpieczeniem jest ufność w pomoc Pana. Ale Pan zawsze dotąd czynił mi tę łaskę, że żaden z tych, co za nas ręczyli, nie miał na tem straty i zawsze znalazło się z czego spłacić należność do ostatniego szeląga, w czem uznaję szczególny dowód miłościwej nad nami Opatrzności Jego. Właściciele domów naszych na poręczeniu obu kanoników poprzestać nie chcieli; ci więc udali się o pomoc do Officyała; nazywał się, jeśli się nie mylę, Prudencio; wówczas nazywaliśmy go zawsze tylko officyałem, więc właściwego nazwiska jego nie wiedziałam i dziś tak je podaję, jak je słyszę od drugich. Dostojnik ten nadzwyczajną nam dobroć okazał i bardzo wiele jemu zawdzięczaliśmy i zawdzięczamy. Kanonicy spotkali go po drodze, wyjeżdżającego gdzieś na mule; na zapytanie jego, dokąd idą, odpowiedzieli mu, że szli do niego i że proszą go, aby położył podpis swój na ich poręczeniu. Jak to, odrzekł śmiejąc się, o porękę na taką wielką sumę tak mię bez ceremonii napastujecie na ulicy? I natychmiast, nie zsiadając nawet, podpisał się na podanym mu dokumencie: była to zaiste rzadka, jak na te czasy, hojność i wspaniałomyślność. Nie mogę tu pominąć bez należynej jaknajgorętszej pochwały tylu dowodów życzliwości i miłości, jakich w Palencyi doznałam, bądź od pojedynczych osób, bądź od całej ludności w ogóle. Była to miłość godna pierwszych początków Kościoła, a przynajmniej nie bardzo dzisiaj pospolita na świecie: wiedzieli, że żadnych nie mamy funduszków, że sami będą musieli nas żywić, a przecie nie tylko nie bronili nam osiedlenia się między nimi, ale jeszcze cieszyli się z niego, jakby z łaski największej od Boga. Jakoż, w świetle wiary patrząc na rzeczy, mieli słuszność; bo chociażby z tego klasztoru naszego nie mieli żadnego innego pożytku niż ten, że przybył im jeden więcej kościół, w którym się przechowuje Najświętszy Sakrament, to samo już jest łaską bardzo wielką. Ale, niech za to wieczne będą dzięki Panu, nie jest to jedyna korzyść, jaką z nas miasto odniosło, bo jak to wszyscy coraz jaśniej widzą, ma teraz Bóg w tem miejscu chwałę swoją; ustały różne nie-

właściwości, jakie snać dawniej tu się zdarzały, gdyż wśród mnóstwa ludu, jakie się do tej pustelni na nocne nabożeństwa schodziło, nie wszyscy przychodzili dla nabożeństwa; dziś tu już o takich rzeczach nie słyhać <sup>1)</sup>). Obraz także Najświętszej Panny w wielkim przedtem był nieposzanowaniu; teraz umieszczony jest ze czcią należną w osobnej kaplicy, którą biskup Alvaro de Mendoza dla niego postawił i wiele innych tym podobnych ulepszeń powoli się dopełnia, na cześć i chwałę Matki Boskiej i Boskiego Jej Syna, któremu niech będzie dziękczynienie i uwielbienie na wieki, amen, amen.

Gdy już nowy klasztor stał gotów na przyjęcie nas, biskup postanowił, że przeprowadzenie nasze ma się odbyć jak najuroczyściej. Wybrał na to dzień Oktawy Bożego Ciała i sam na ten dzień zjechał z Waliadolidu. Kapituła, zakony i wszystka niemal ludność miejscowa uczestniczyły w tej uroczystości z muzyką na czele. Z domu, w którym tymczasowo mieszkaliśmy, przeszliśmy procesjonalnie, w płaszczach białych i ze spuszczoną na oczy zasłoną, do położonego w pobliżu pustelni kościoła parafialnego, gdzie zastałyśmy nasz obraz Najświętszej Panny, z kaplicy na spotkanie nasze przeniesiony, jak gdyby najłaskawsza Pani nasza sama wyszła na powitanie nas. Biskup wziął w ręce Najświętszy Sakrament, i procesjonalnie w pięknym ordynku, wprowadziwszy go do naszej kaplicy, z wielką uroczystością umieścił go na ołtarzu. Był to widok niezmiernie budujący. My na tej uroczystości byłyśmy w większej liczbie obecne, bo prócz sióstr miejscowych, szły z nami także, z gromnicami w ręku, siostry sprowadzone na fundację w Soria. Piękny tego dnia, jak sądzę, Boski Pan nasz odebrał w tem mieście hołd czci i uwielbienia; niech Mu z łaski Jego będzie chwała na wieki od wszystkiego stworzenia, amen <sup>2)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Nie całkiem jednak, zdaje się, zgorzenia te ustały, albo wkrótce potem się wznowiły, kiedy z powodu ich zakonnice w dziesięć lat po założeniu klasztoru zmuszone były go opuścić. Ob. *Cronica del Carmen Descalzo*, lib. V cap. 7.

<sup>2)</sup> Może do chwili, w której Święta pisała te słowa miłością Bożą płonące, odnosi się zdarzenie, które, jak opowiada Ribera (*Vita*, l. III, c. 10),

W czasie pobytu mego w Palencyi, nastąpiło stanowcze odłączenie karmelitów Bosych od Trzewiczkowych, skutkiem czego dwie te reguły stanowią odtąd dwie prowincye oddzielne. Było to najgorętszem życzeniem naszym, w interesie zgody zobopólnej i spokojności naszej. Za wstawieniem się naszego króla katolickiego Filipa II, otrzymaliśmy z Rzymu bardzo obszerne Brewe w tym przedmiocie i Najjaśniejszy Pan, jak sam miłościwie tej sprawie dał początek, tak i w dalszem jej przeprowadzeniu królewską łaskę swoją i nadzwyczajną przychylność nam okazywał. Zebrała się w Alkala kapituła, zwołana przez wielebnego Ojca Jana, de las Cuevas <sup>1)</sup>, naówczas przeora w Talavera, z zakonu św. Dominika, któremu Rzym, na przedstawienie króla Jego mości, był wykonanie Brewe papieskiego zlecił; był to mąż bardzo świętobliwy i roztropny, taki jakiego do sprawy tak ważnej było potrzeba. Król własnym kosztem swoim całe zgromadzenie podejmował i z rozkazu jego, miejscowy także uniwersytet wszelkie one-muż czynił ułatwienie. Kapituła zasiadała w naszym, jaki tam posiadamy, klasztorze braci Bosych, pod wezwaniem św. Cyryla. Wszystko odbyło się w najpiękniejszej jedności i zgodzie. Prowincyałem został obrany O. Hieronim Gracian od Matki Bożej. Bliższe szczegóły i cały przebieg obrad Ojcowie sami na innem miejscu opiszą, nie mam więc potrzeby dłużej tu nad nimi się rozwodzić. Dla tego tylko pokrótce o tem wspomniałam, że byłam obecną w Palencyi, w chwili, gdy Pan taki szczęśliwy dał koniec tej walnej sprawie, na cześć

---

miało miejsce w czasie pobytu św. Teresy w Palencyi. Któregoś dnia wieczorem, siostra jedna, wszedłszy do celki Świętej fundatorki, zastała ją siedzącą nad pisaniem, a tak przytem pogrążoną czy zachwyconą w Bogu, że choć zbliżyła się do niej i przy niej usiadła, święta jej nie spostrzegła. Co chwila w tem zachwyceniu kładła pióro, głęboko wzdychając, a taki blask jaśniał na jej obliczu i głowę jej jakby aureolą opromieniał, że siostra, siedząc przy niej, nie mogła się oderwać od tego widoku, świętą trwogą i religijną czcią przenikniona.

<sup>1)</sup> Właściwie Velazquez, ale pospolicie znany, imieniem matki, De las Cuevas. Roku 1596 został biskupem Awili, gdzie i w dwa lata później umarł.

i chwałę Najświętszej Matki swojej, boć to własny Jej zakon, i Ona jest Panią i Patronką naszą. Radość, jakiej wówczas doznałam, liczę do największych, jakie w życiu mojem otrzy-  
mać mogłam. Więcej niż dwadzieścia i pięć lat znosiłam tru-  
dy, i prześladowania, i utrapienia, o których długo byłoby opo-  
wiadać; Panu samemu wiadomo, ile ich było i jak ciężkie. Teraz więc, gdy wszystko to przeszło i szczęśliwy koniec wzię-  
ło, taka radość zalała serce moje, jaką ten tylko mógłby zro-  
zumieć, ktoby wiedział, ile wycierpiałam. O jak gorąco pra-  
gnęłam tego, by wszystek świat połączył się ze mną w jedno  
wielkie Panu dziękczynienie, by wszyscy ze mną żarliwie do  
Niego zanosili modlitwy za pobożnym królem naszym Filipem,  
za którego sprawą łaska Pańska tak szczęśliwie nas ocaliła od  
grożącej nam zguby, bo w tej wściekłej zawierusze, którą dy-  
abeł był na nas wznicił, wszystka praca nasza byłaby poszła  
w niwecz, gdyby nie to, że król nas wziął w swoją opiekę

Teraz już wszyscy: i Trzewiczkowi, i Bosi, w zgodzie je-  
steśmy z sobą i pokój mamy; nikt już nam nie przeszkadza  
służyć Panu. Wszyscy więc, bracia moi i siostry, kwapmy  
się pracować na chwałę Boskiego Majestatu Jego, kiedy tak  
łaskawie raczył wysłuchać prośby nasze. My dziś żyjący,  
świadkowie naoczni tych cudownych spraw Pańskich, pomnij-  
my na łaski, jakie nam uczynił, na uciski i utrapienia, z któ-  
rych nas wyzwolił. A którzy przyjdą po nas, mając już przed  
sobą drogę utorowaną i równą, niechaj niczego nie zaniedbają,  
cokolwiek do doskonałości naszego stanu należy. Niechaj ni-  
gdy nie będzie o nich powiedziano to, co niekiedy słychać  
o niektórych innych zakonach: Tak, kiedyś początki ich by-  
ły piękne i chwalebne,—ale jak my dziś zaczynamy, tak nie-  
chaj oni usiłują zaczynać wciąż na nowo, coraz dalej ku coraz  
lepszym rzeczom postępując. Niechaj pomną, że korzystając  
z uchybień naszych w rzeczach małych, dyabeł powoli otwiera  
sobie wyłomy i podkopy, którymi potem wciskają się rzeczy  
wielkie i największe. Niechaj nigdy nie mówią sobie: To  
rzecz małej wagi, albo: To przesadna, niepotrzebna surowość.  
O córki moje, nie jest rzeczą małej wagi, cokolwiek nas wstrzy-

muje w postępie do wyższej doskonałości. Na miłość Pana naszego proszę was wszystkie, pomnijcie jak prędko wszystko na tym świecie się kończy, jak wielką łaskę uczynił nam Pan, powołując nas do tego zakonu, jak ciężkie karanie spotkałoby każdą, któraby dała początek jakiemu tej świętej reguły naszej zwolnieniu. Miejmy raczej wciąż przed oczyma ten ród święty, z którego pochodzimy; jesteśmy duchownem potomstwem błogosławionych proroków onych i ojców, potomstwem tyłu chwalebnych przodków naszych, którzy tu na ziemi nosili ten habit nasz, a dziś chwałą przyobleczeni czekają nas w niebie. Zdobywajmyż się na świętą zuchwałość, postanówmy sobie i usiłujmy za łaską Boga świętymi stać się jak oni. Walka, siostry moje, nie będzie długa, a koniec jej wieczny. Wzgardźmy, porzućmy te rzeczy ziemskie, które są samą nicością, a miłujmy jedynie te rzeczy, które same mają być i istność prawdziwą, bo trwają wiecznie, abyśmy coraz usilniej dążąc do osiągnięcia ich, coraz wierniej służyły Temu, coraz goręcej kochały Tego, który żyje na wieki wieczne. Amen, amen <sup>1</sup>).

---

## ROZDZIAŁ XXX.

Fundacya klasztoru Trójcy Przenajświętszej w mieście Soria,  
roku 1581 w dzień świętego Ojca naszego Elizeusza.

J E Z U S.

W czasie pobytu mego w Palencyi, dla fundacyi wyżej opowiedzianej, otrzymałam list od biskupa Osmy, tego samego doktora Velazquez, z którym, gdy jeszcze był kanonikiem

---

<sup>1</sup>) Ustęp ten końcowy tak brzmi, jak gdyby miał być zakończeniem całej księgi. Jakoż w tych ostatnich czterech Fundacyach, opisując każdą zaraz po dokonaniu jej, Święta, wiekiem i chorobą przygnębioua, za każdą sądziła, że to już ostatnia. Ob. *Uwagi wstępne* do tej księgi.

i scholastykiem katedralnym w Toledzie, będąc wówczas jeszcze trapiąca wątpliwościami i strachami moimi, a wiedząc o nim, że jest to mąż bardzo uczony i wielki sługa Boży, usilnie się starałam zawiązać znajomość, i bardzo mu się naprzykrzałam, aby mi pozwolił spowiadać się u niego i podjął się pieczy o duszy mojej <sup>1)</sup>. Choć bardzo był obarczony różnymi obowiązkami, wszakże widząc potrzebę moją, nie mógł się oprzeć błagalnej na miłość Pana naszego prośbie mojej i tak ochotnie na nią się zgodził, że aż zdziwiona byłam tak wielką łaskawością jego. Spowiadał mię więc i kierował mną przez cały czas pobytu mego w Toledzie, a był to czas dość długi. Z zupełną szczerością, jak zawsze to czynię, otwierałam przed nim duszę moją, a rady i nauki jego tak skuteczny na mnie wpływ wywierały, że od tego czasu zaczęłam się pozbywać onych strachów i obaw moich. Prawda, że do uśmierzenia ich inny jeszcze powód się przyczynił, ale o tem nie mam potrzeby tu mówić. W każdym razie jemu bardzo wiele w tym względzie zawdzięczam: dodawał mi otuchy, przytaczając mi słowa Pisma świętego, a te zawsze mi najłatwiej trafiają do przekonania; skoro mam pewność, jak w tym razie ją miałam, że ten, z ust którego je słyszę, dobrze je rozumie, a przytem życiem świętobliwym je stwierdza.

Otóż w liście tym, pisanym z Soria, gdzie wówczas przebywał, święty ten biskup donosił mi, że pewna pani, penitentka jego, objawiła mu chęć założenia klasztoru sióstr naszych w tem mieście; że, pochwalając ten zamiar, obiecał jej, iż namówi mię do podjęcia się tej fundacyi, niech mu zatem nie robię zawodu, i jeśli jedno uznam to za rzecz dobrą i pożyteczną, niech mu dam znać, a on przyszele po mnie. Niezmiernie się ucieszyłam z tego wezwania: raz, że sama ta fundacya bardzo mi się uśmiechała, a powtóre i dla tego, że, pomnąc ile mi ten dawny spowiednik zrobił dobrego i serdeczną mu za to chowając wdzięczność i przywiązanie, rada byłam bardzo z tej

---

<sup>1)</sup> Oh. *Księgę Sprawozd.* 9-e.

sposobności obaczenia go znowu i zasięgnięcia rady jego w niektórych potrzebach mej duszy.

Hojna ta pani i fundatorka nasza nazywała się Donna Beatrycza de Veamonte y Navarra. Była to pani sławnego i bardzo znakomitego rodu; ojciec jej, Don Franciszek de Veamonte (Beaumont), był potomkiem królów nawarskich. Po śmierci męża, z którym kilka lat tylko żyła, pozostała wdową i bezdzietną na czele wielkiego majątku. Od dawna już nosiła się z myślą założenia klasztoru żeńskiego. Biskup, gdy mu się z tym zamiarem zwierzyła, wskazał jej ten nasz zakon karmelitek Bosych, a szczegóły, jakie jej dał o nas, tak jej się spodobały, że od razu powzięła wielką chęć sprowadzenia nas czemprędzej. Jest to osoba bardzo słodkiego charakteru i wspaniałego serca, przytem bardzo pobożna i oddana życiu pokutnemu. Posiadała w Soria dom duży, mocno zbudowany i w bardzo dobrem położeniu. Dom ten obiecała nam oddać, co i uczyniła, zapewniając nam przytem, na wszelkie potrzeby fundacyi, pięćset dukatów rocznego dochodu. Biskup z swojej strony ofiarował nam bardzo piękny kościół, cały sklepiony, w pobliżu tego domu, z którym łatwo było połączyć go krytym gankiem. Był to właściwie kościół parafialny, ale biskup mógł nim na korzyść naszą rozporządzić, przyłączając tę parafię, bardzo ubogą, do drugiej sąsiedniej, tem bardziej, że kościołów parafialnych w Soria znaczna jest ilość. Wszystkie te szczegóły i objaśnienia zawierały się w onym do mnie liście biskupa. Przedstawiłam całą sprawę O. prowincyałowi <sup>1)</sup>, obecnemu nuncjuszowi w Palencyi. I jemu, i przyjaciołom naszym bardzo się ten zamiar spodobał; byli więc zdania, bym odpisała biskupowi, że skończywszy już fundacyę w Palencyi, gotowa jestem zaraz przybyć do Soria, jak tylko po mnie przyszlą. Tak i napisałam z wielką, z powodów wyżej wspomnianych, radością.

Zająłam się zaraz sprowadzeniem sióstr, mających ze mną pojechać na nową fundacyę. Było ich siedm,—bo fundatorka

---

<sup>1)</sup> Był nim O. Gracjan od Matki Bożej.



nasza prosiła, by ich przyjechało raczej więcej niż mniej, — i jedna siostra konwerska, oprócz towarzyszki mojej <sup>1)</sup> i mnie. Biskup bezwzględnie przysłał po nas zaufanego swego, umyślnie wybranego, aby nam był pomocą w drodze. Zabrałam także, jak o tem byłam uprzedziła biskupa, dwóch Ojców naszego zakonu. Jednym z nich był O. Mikołaj od Jezusa i Maryi, rodem z Genui <sup>2)</sup>, zakonnik wysokiej doskonałości i roztropności niezrównanej. Do zgromadzenia naszego należał on od niedawnego czasu jeszcze; miał już, zdaje mi się, przeszło czterdzieści lat, gdy przywdział habit Karmelu, tyle przynajmniej ma ich obecnie; ale w tym krótkim czasie tak znakomite uczynił postępy w doskonałości, iż słusznie z tego wnosić można, że był na to wybrany od Pana, aby zakonowi, w tych czasach ciężkiego ucisku i prześladowania, jakie go czekały, stał się podporą i obroną. I w rzeczy samej, on jeden wówczas miał jeszcze możność wspierać go i bronić, bo drudzy Ojcowie, którzyby zdołali popierać skutecznie sprawę naszą, byli wszyscy na wygnaniu, lub w więzieniu; na niego zaś, ponieważ nie piastował żadnego urzędu w zakonie i niedawno jeszcze, jak mówiłam, do niego należał, nie zwracano uwagi i tak miłościwem zrządzeniem Bożem, używał względnej swobody i mógł mi być pomocnym. Dzięki rzadkiej roztropności swojej i oględności w postępowaniu, choć zmuszony był mieszkać w madryckim klasztorze Trzewiczkowych, wśród Braci zapamiętałe reformie naszej przeciwnych, tak zręcznie umiał ukrywać kroki swoje, że wszyscy mieli go za nieszkodliwego, fraszkami bawiącego się półgłówka, i nikomu ani na myśl nie przyszło, żeby on mógł utrzymywać stosunki ze mną i w sprawie naszej działać; dla tego dawali mu pokój. Ja wówczas zostawałam w klasztorze św. Józefa w Awili; pisywaliśmy do siebie, omawiając między sobą, co i jak nam czynić należy

---

<sup>1)</sup> Tej samej Wiel. Matki od św. Bartłomieja, o której była mowa wyżej.

<sup>2)</sup> Był to sławny O. Doria, później obrauy pierwszym jenerałem Karmelu ścisłego w Hiszpanii.

Listy moje, jak upewniał, pocieszały go i otuchy mu dodawały. Łatwo z tego poznać, jak wielki był naonczas w zakonie naszym brak ludzi, kiedy wedle przysłowia, że na bezrybiu i rak ryba, do mnie się tak ze wszystkim udawano. W ciągu tych ciężkich prób naszych, ciągle miałam dowody wysokiej doskonałości i roztropności tego Ojca; mało też jest Ojców zakonu naszego, którychbym tak mocno, jak jego, w Panu miłowała i tak wysoko poważała.

Ten więc Ojciec, wraz z braciszkiem, towarzyszem swoim, zabrał się z nami. Podróż tym razem miałam wcale nie męczącą, bo człowiek, przysłany po nas od biskupa, starał się o to, by nam na niczem nie zbywało i upatrywał nam dobre zajazdy, a przytem, od pierwszego wstępu naszego w granice dycezyi osmeńskiej, wszyscy, dla miłości swego biskupa, którego kochają bardzo, skoro posłyszeli, że na jego wezwanie i pod jego opieką jedziemy, wszędzie nas przyjmowali jaknajlepiej. Pogoda była piękna, mety jazdy dziennej nie dalekie, słowem, cała ta podróż nie tylko nam się nie przykrzyła, ale owszem przyjemność nam sprawiała, a jeszcze większą przyjemność i pociechę miałam, słysząc wszędzie po drodze jednomyślne pochwały świętości biskupa. Na ostatniej stacyi naszej przed Soria stanęliśmy w środę w Oktawie Bożego Ciała. Nazajutrz, w dzień Oktawy, byliśmy u Komunii i tamże już resztę dnia pozostałyśmy, bo nie byłoby podobna zdążyć przed nocą do Soria. Nocleg, w braku innego schronienia, miałyśmy w kościele, z czem nie było nam złe. Następnego dnia wysłuchałyśmy tam Mszy świętej, a popołudniu około piątej stanęliśmy u celu naszej podróży. Biskup nasz święty, w chwili gdy przejeżdżałyśmy koło domu jego, stał w oknie i z okna przeżegnał nas; podwójnie tem byłam uszczęśliwiona, raz że otrzymałam błogosławieństwo biskupie, a powtóre, że je otrzymałam z ręki takiego świętego biskupa.

Pani ta, fundatorka nasza, czekała nas w bramie domu przeznaczonego dla nas na klasztor. Nam pilno było wejść, bo mnóstwo ludu szło za nami. Chociaż nie było to już dla nas rzeczą nową, bo dzięki ciekawości ludzkiej, zawsze chciwej nowin, gdziekolwiek przyjedziemy, wszędzie otaczają nas

tłumy i gdyby nie zasłony nasze, któremi sobie twarz zakrywamy, takie wystawienie na widok publiczny wielką byłoby dla nas przykrością; zasłoniwszy oczy, łatwiej to znieść. Z łaski pani naszej, zastałyśmy już przygotowaną, dużą i bardzo pięknie urządzoną salę, w której miała się sprawować Najświętsza Ofiara, do czasu wykończenia ganku, mającego nas połączyć z kościołem, oddanym nam z rozporządzenia biskupa. Zaraz nazajutrz, w dzień świętego ojca naszego Elizeusza, odbyła się w tej sali pierwsza Msza święta. Wszystkie potrzeby nasze jaknajhojniej miałyśmy zaopatrzone przez tę pobożną panią; wyznaczyła nam tymczasowe pomieszczenie w oddzielnej części domu, gdzie byliśmy zupełnie same i tam przemieszkałyśmy, aż do ukończenia robót około ganku, które trwały aż do Przemienienia Pańskiego. W tym dniu, z wielką uroczystością i konkursem ludu, odbyła się pierwsza Msza święta w kościele naszym. Kazanie miał jeden z Ojców Towarzystwa Jezusowego. Biskup nie uczestniczył w tej uroczystości; był już wyjechał na wizytę dyecezyi, bez wytchnienia, dnia jednego ani jednej godziny nie tracąc, oddany pracy pasterskiej, pomimo, że zdrowie ma podkopane i od ciągłego wyczerpania już jedno oko stracił. Gdym się dowiedziała o tem kalectwie jego, niezmiernie się zmartwiłam i żal wielki mię ogarnął, by te oczy, z tak wielkim pożytkiem poświęcone wyłącznie na służbę Pana naszego, miały całkiem ociemnieć. Niezbadane są wyroki i sądy Boże. Ale snad dla tego Pan dopuścił taką próbę na wiernego sługę swego, aby tem większą miał zasługę i aby tem jaśniej okazała się cnota jego; bo z zupełnem poddaniem się woli Bożej przyjął on to kalectwo swoje i dalej pracował z równem, jak przedtem poświęceniem siebie. Utrata oka, mówił mi, nie więcej go obeszała, niż gdyby niedola ta spotkała kogo obcego; i chociażby stracił jeszcze i drugie, nie zmartwiłby się tem zbyt; wolny wówczas od wszelkich obowiązków zewnętrznych, udałby się gdzie na samotność i oddałby się bez podziału służbie Bożej. Pociąg ten do życia pustelniczego zawsze on miał, jeszcze i przedtem nim został biskupem; nieraz mi się z tem zwierzał i był nawet czas, kiedy już prawie był postanowił opuścić wszystko

i schronić się gdzieś daleko od ludzi. Ja tego zamiaru nie pochwalałam; pragnęłam raczej dla niego tej wysokiej godności, na którą w końcu został wyniesiony, bo widziałam, jak wielkie on na tem stanowisku oddałby usługi Kościołowi. Z tem wszystkim jednak, gdy się to życzenie moje spełniło i nastąpiła promocya jego na dostojenstwo biskupie, o czem on zaraz mię zawiadomił, wiadomość ta w pierwszej chwili mocno mię przeraziła; tak mi żywo stanęła w oczach cała ciężkość brzemienia nań włożonego, że spokoju sobie znaleźć nie mogłam; aż dopiero gdy poszłam do chóru i uklęknęłam na modlitwę, polecając go Panu, Pan raczył mię pocieszyć, oznajmując mi, że będzie miał z niego bardzo gorliwą służbę i wielką chwałę swoją, co też jawnie okazuje się w skutku. Nie zważając na chore oczy swoje, ani na inne cierpienia swoje bardzo dotkliwe, ani na uciążliwą pracę, którą zajęty jest ciągle, jeszcze cztery dni w tygodniu zachowuje ścisły post, żywi się jaknajskromniej i różne inne zadaje sobie unartwienia. Wizyty pasterskie odbywa zawsze piechotą, z czego służba jego bardzo jest nierada i przedemną nawet na to się skarżyła; ale kto chce u niego służyć, ten potrzeba by był człowiekiem wypróbowanej cnoty, innych w domu swoim nie znosi. Rzadko się zdarzy, by którą ważniejszą sprawę poruczył wikaryuszom swoim generalnym; sędzę nawet, że nigdy, i że wszystkie sam osobiście roztrząsa i załatwia. Zaraz na początku biskupstwa swego, przez dwa lata miał do zniesienia ciężkie prześladowania i oszczerstwa takie, że ja, znając nieskazitelną prawość jego i wiedząc jaką ścisłością przestrzega sprawiedliwości we wszystkich czynnościach urzędu swego, pojąć nie mogłam, skąd i jak na podobnego męża mogły powstać sądy i skargi tak ciężko krzywdzące. Oszczerstwa te w końcu, choć powoli, musiały ustąpić przed jawną czystością charakteru i życia jego; choć nieprzyjaciele jego umieli trafić aż do dworu i na wszelki sposób starali się mu szkodzić, knowania ich, w obec głośnej w całej dyecezyi sławy świętobliwości jego, obróciły się w niwecz. On zaś całe to prześladowanie zniósł z niewzruszonym spokojem i cierpliwością i zawstydził przeciwników swoich, dobrem odplacając im za złe. W końcu dodam i to jeszcze, że choć

tak obarczony pracą, modlitwy wewnętrznej żadnego dnia nie opuszcza i zawsze umie czas na nią sobie znaleźć <sup>1)</sup>).

Może się komu wyda, że zbyt folguję przyjemności, jaką mi sprawia pisanie pochwał tego świętego, i że zbyt szeroko nad niemi się rozwodzę; ale tego, co tu o nim powiedziałam, mało jest w porównaniu z tem, co by powiedzieć można i należało. Na to zaś uczyniłam tę dłuższą o nim i cnotach jego wzmiankę, aby wiadomo było wszystkim, którzy to czytać będą, kto był ten, który dał początek tej fundacyi Trójcy świętej w Soria, i aby te, które później do tego klasztoru wstąpią, miały pociechę czytając te budujące o nim szczegóły; a i te, które dziś tu żyją i dobrze je znają, nic na tem nie stracą, że znajdą w tem, co piszę, nowe ich przypomnienie i stwierdzenie. On nam dał ten kościół nasz; a i dochody zapewnione temu klasztorowi, jemu naprzód zawdzięczamy, bo choć nie sam je dał, ale do ustanowienia ich skłonił tę pobożną i cnotliwą panią, tak wielką i możną wedle świata, ale większą w obliczu Boga chrześcijańską pokorą i umartwionem życiem swoim <sup>2)</sup>).

Zaraz po objęciu kościoła i dopełnieniu urzędzeń potrzebnych do klauzury, wypadła mi konieczność udania się do klasztoru św. Józefa w Awili. Wyjechałam więc bezzwłocznie, choć skwary były wielkie i drogi kołowe bardzo złe. Towa-

<sup>1)</sup> W dwa lata po opisanem tu spotkaniu ze św. Teresą, r. 1583 biskup Velazquez został przeniesiony na stolicę Kompostelską, lecz wkrótce potem stanowczo oznajmił królowi Filipowi II, że sumienie mu nie pozwala dłużej piastować władzę, której obowiązków przy zniszczonem zdrowiu swoim wypełniać już nie zdoła. Król zrazu wzbraniał się przyjąć jego rezygnacyę, w końcu zgodził się na nią pod warunkiem, że biskup sam mu wskaże, kto ma być jego następcą. Zapytany przez króla o wysokość pensyi, jaką sobie z dochodów biskupstwa zastrzega, zażądał 1000 dukatów; król wyznaczył mu 12,000, ale mąż Boży ledwo po usilnych naleganiach zgodził się przyjąć połowę tego uposażenia. Zwolniony od obowiązków biskupich, przeniósł się do Palavera, gdzie roku 1587 umarł jak święty. Ciało jego spoczywa w Tudela de Duero, miejscu urodzenia jego.

<sup>2)</sup> W kilka lat po dokonaniu wspaniałej swej fundacyi w Soria, Donna Beatrycza założyła drugi klasztor karmelitek Bosych w Pampelonie i sama do niego wstąpiwszy, tamże r. 1602 pełna lat i zasług zakończyła świętobliwy żywot swój. Ob. Yepes, *Życie św. Teresy*, Ks. III, r. 32.

rzyszył mi niejaki ksiądz Ribera, prebendarz z Palencyi. Mając jakieś interesa w Soria, przyjechał tam był jednocześnie z nami i w nieobecność O. Mikołaja od Jezusa i Maryi, który, będąc bardzo potrzebny gdzieindziej, zaraz po spisaniu dokumentów fundacyjnych był odjechał, niezmiernie był mi pomocnym przy budowie naszego ganku i w wielu innych rzeczach. Tak się do nas przywiązał i taką mu Bóg dał do serca uczynną dla nas życzliwość, że słusznie należy nam polecać go Panu, na równi z drugimi dobroczyńcami naszego zakonu. Mając jego i zwykłą towarzyszkę moję, innego towarzystwa nie chciałam, bo i nie potrzebowałam: tego jednego było dosyć, tak jest troskliwy i przytomny i umie pamiętać o wszystkim; a przytem, im mniej koło mnie ruchu i wrzawy, gdy jestem w podróży, tem lepiej dla mnie. Dobrze w tej drodze odpokutowałam za przyjemność, jakiej użyłam w poprzedniej, jadąc do Soria. Woznica nasz znał tylko pieszą drogę do Segowii, a wozowej nie znał, skutkiem czego wjeżdżał z nami na werpety, gdzie co chwila musiałyśmy wysiadać i iść piechotą, albo znowu jechaliśmy jakby zawieszeni na samej krawędzi głębokich przepaści. Próbowaliśmy brać przewodników, ale ci tyle nas tylko prowadzili, ile starczyło drogi lepszej, skoro zaś spostrzegli że zaczyna się zła, porzucali nas, tłómacząc się, że mają pilną robotę w domu. Nie znając drogi i nie wiedząc gdzie szukać zajazdów, nieraz, nim na który natrafiliśmy, potrzeba nam było długo błąkać się po bardzo dolegliwym skwarze słonecznym; wóz nasz przytem ciągle się przechylał z boku na bok, grożąc co chwila wywróceniem; a nad to wszystko jeszcze, ludzie, pytani o drogę, błędne nam dawali wskazówki, za któremi ujechawszy kawał drogi i spostrzegłszy dopiero że błądzimy, musieliśmy po wiele razy cofać się i wracać skąd wyjechaliśmy. Wszystkie te przygody bardzo mi były przykre, ze względu zwłaszcza na utrudzenie towarzysza mego; ale jest to kapłan tak gruntownej cnoty, że nigdy wśród tych dolegliwości nie okazał najmniejszego znaku uprzykrzenia; podziwiałam jego cierpliwość i dziękowałam za nią Panu, nowy na tym przykładzie mając dowód, jako cnoty prawdziwie gruntownej żadna pokusa ani okazyja do grzechu nie zachwieje.

Z tem wszystkim jednak spodobało się Panu wyprowadzić nas całych z tej drogi, za co niech będą dzięki Boskiej łaskowości Jego.

Przybyliśmy wreszcie do klasztoru św. Józefa w Segowii, w wilię św. Bartłomieja. Siostry czekały mię, zaniepokojone mojem opóźnieniem się, które dzięki takiej drodze było znaczne. Radosne ich powitanie i serdecznie troskliwe ich posługi sownie mi powetowały wszystkie niewygody podróży; tak to Bóg zawsze, gdy zesze mi jakie cierpienie, zaraz mi je wynagradza pociechą. Wypoczęłam u nich przeszło tydzień; ale najwięcej mię pokrzepia wspomnienie na tę nową w Soria fundacyę, i wobec dziwnie łatwych i słodkich okoliczności, w jakich ona się dokonała, niczem są wszystkie trudy, które teraz w podróży poniosłam, i ani wspominać o nich nie warto. Wyjechałam z Soria uradowana, bo ufam, że jest to grunt, na którym z miłosierdzia Boga będzie kwitła chwała Jego w tych, które na nim stanęły, jak to już teraz się okazuje. Niechaj będzie Jemu cześć i uwielbienie na wszystkie wieki wieków, amen. Bogu dzięki.

---

## ROZDZIAŁ XXXI.

Fundacya klasztoru św. Józefa u św. Anny w mieście Burgos,  
dnia 19 kwietnia, w Oktawę Zmartwychwstania Pańskiego  
roku 1582.

Już na sześć lat przed datą niniejszego pisania mego, niektórzy zakonnicy Towarzystwa Jezusowego, mężowie poważni wiekiem, gruntownie uczeni i wysoko duchowni, przedstawiali mi wielkie dla służby i chwały Bożej pożytki, jakichby się spodziewać można z założenia w Burgos domu tego świętego zakonu naszego. Racye, jakie mi podawali, trafiły mi do przekonania i wzbudziły we mnie pragnienie tej fundacyi; ale wśród zatrudnień moich około innych fundacyi i wśród ucisków, jakie po tem przysły na nasz zakon, nie miałam

możności przystąpienia wcześniej do wykonania tej myśli. Roku 1580, w czasie pobytu mego w Waliadolidzie, zatrzymał się tam przejazdem nowy arcybiskup Burgoski <sup>1)</sup>, który, świeżo z biskupstwa wysp Kanaryjskich przeniesiony na to arcybiskupstwo, właśnie stamtąd jechał na objęcie swej nowej stolicy. Umyśliłam skorzystać z tej dobrej sposobności i w tym celu udałam się do biskupa Palencyi, Don Alvaro de Mendoza, z prośbą o poparcie. Mówiłam już jak bardzo ten biskup przychylnym jest dla naszego zakonu; on pierwszy, będąc wówczas biskupem awilańskim, uznał i przyjął pod opiekę swoją tameczny nasz klasztor św. Józefa i wiele innych od tego czasu łask nam okazał i sprawy zakonu naszego tak bierze do serca jakby swoje własne, gotów wszystko dla nas uczynić, zwłaszcza gdy ja go o co proszę. Otóż udałam się do niego z prośbą, by wyjednał mi u arcybiskupa pozwolenie na fundację w Burgos. Najchętniej tego się podjął, bo mając to przekonanie, że Pan w tych domach naszych wierną odbiera służbę, cieszy się bardzo, ile razy nowy taki dom powstaje. Arcybiskup, nie chcąc stawać w mieście, zatrzymał się w klasztorze św. Hieronima, gdzie biskup Palencyi świetnie go podejmował i obiad wielki na cześć jego wydał i wreszcie dopełnił na nim uroczystego obrzędu włożenia opaski <sup>2)</sup>, czy nie wiem jak to się nazywa, przez co nowomianowany metropolita otrzymał dopiero władzę arcybiskupią. Przy tej sposobności przedstawił mu także, jak był obiecał, prośbę moją o pozwolenie założenia tego klasztoru. Arcybiskup upewnił go, że bardzo chętnie udzieli tego pozwolenia; że jeszcze będąc na wyspach kanaryjskich, pragnął tam założyć klasztor karmelitek, wiedząc, jak w tych domach kwitnie służba Boża, o czym sam się przekonał naocznie w rodzinnem mieście swoim, gdzie taki klasztor istnieje, a i mnie także dobrze zna. Biskup Mendoza powtórzył mi słowa jego, zapewniając mię, że o pozwolenie mogę być spokojną, że arcybiskup owszem bardzo się ucieszył z zamiaru

---

<sup>1)</sup> Don Cristobal Vela.

<sup>2)</sup> Palliusz arcybiskupi.



mego. Nie miałam wprawdzie pozwolenia tego na piśmie, ale po takim oświadczeniu arcybiskupa, mogłam je uważać za pewne i prawomocne; bo Sobór Trydencki żąda tylko zgody się miejscowego biskupa, nie przepisując w jaki sposób, ustnie czy na piśmie, ma być wyrażone.

Opisując powyżej fundacyę w Palencyi, mówiłam jak wielkie czułam wówczas zniechęcenie do tego przedsięwzięcia, skutkiem ciężkiej, śmiertelnej jak się zdawało wszystkim, choroby, po której nie byłam jeszcze przyszła do zdrowia. Zwykle jednak nie podlegałam takim pokusom małoduszności, jak tylko widzę że chodzi o służbę Bożą; ostatecznie więc dobrze nie rozumiem, skąd mi przyszło to zgnębienie i zniechęcenie, którego wówczas doznawałam. Gdyby mi chodziło tylko o brak środków, i trudności i przeszkody większe mi stawały na drodze przy innych fundacyach, a przecie mi odwagi nie odbierały. Ale widząc teraz, jak łatwo i dobrze rzecz raz zaczęta się powiodła i jak szczęśliwie na chwałę Bożą rozwija się ta fundacya, utwierdzam się w przekonaniu, że mojego wówczas upadania na duchu przyczyną i sprawcą był dyabeł. Dla tego też, ile razy która fundacya ma być połączona z wielkimi trudnościami, Pan znając wielką nędzę moją, zawsze mi dodaje ducha słowem i okazaniem Boskiej mocy swojej. Przeciwnie, gdy rzeczy mają pójść łatwo, nic mi nie mówi, jak to już w kilku fundacyach uważałam. Tak więc i w tym razie, widząc ciężkie, jakie mię czekały walki i cierpienia, pokwapił się dodać mi odwagi, niech Mu będzie chwała i dziękczynienie za wszystko! Tu właśnie w Waliadolidzie, jak to opowiedziałam opisując fundacyę w Palencyi, o którą wówczas jednocześnie z tą drugą toczyły się układy, powiedział mi jakby z wyrzutem te słowa:—„Czego się lękasz? Czy cię kiedy pomoc moja zawiodła? Ja zawsze jestem ten sam, nie wahaj się podjąć obie te fundacye.“—Nie będę tu powtarzała tego, co tam już mówiłam, jaką odwagą napełniły mię te słowa; w tejże chwili znikła bez śladu małoduszność moja, z czego się jawnie okazuje, że nie była ona skutkiem ani choroby ani starości, i jak mówiłam, bez wahania rozpoczęłam przygotowania do obu tych fundacyi. Uznałam jednak, że będzie właściwiej, naprzód się zając

Palencyą: było to i bliżej i nie takie tam w porze zimowej mrozy, jak w Burgos; chciałam także tym sposobem dogodzić łaskawemu naszemu biskupowi palencyjskiemu. Gdy zaś w czasie pobytu mego w Palencyi nastroczyła się trzecia fundacya w Soria, zdało mi się, ponieważ wszystko tam było gotowo, że lepiej będzie pierwej skończyć i z tą fundacyą, a potem dopiero udać się do Burgos. Biskup w Palencyi uważał, że należy uprzedzić arcybiskupa o tym stanie rzeczy, co na prośbę moją obiecał sam uczynić. Jakoż po wyjeździe moim do Soria, umyślnie w tym interesie wyprawił do Burgos kanonika Jana Alonso. Arcybiskup, po naradzie z tym kanonikiem, oznajmił mi listownie, że z całego serca pragnie przyjazdu mego; w drugim zaś liście do biskupa, objaśniał temuż, że zdaje się zupełnie na niego co do przeprowadzenia tej sprawy; że jednak, znając usposobienie miasta Burgos, uważa, iż koniecznie będzie potrzebnem zgodzenie się onegoż; wnosi zatem, że powinnam sama przyjechać i wejść nasamprzód w układy z miastem; jeśliby ono swojego zgodzenia się odmówiło, jemu, arcybiskupowi rąk to nie zawiąże. by nie miał dać z swojej strony obiecanego już pozwolenia, tylko że pomnąc, jak sam na to patrzył, co się działo przy założeniu pierwszego klasztoru w Awili, i jakie wówczas powstało przeciw niemu wzburzenie w mieście i jaki opór zaciekły, chciałby tu podobnym zajęściom zapobiedz; w końcu ostrzega, że w razie odmowy miasta, nieodzownie będzie potrzeba, by klasztor miał zapewnione stałe dochody.

Biskup na mocy tego listu uważał sprawę za skończoną i słusznie, skoro arcybiskup żądał przybycia mego i wyraźnie mię wzywał. Mnie jednak zdawało się, że list ten poniekąd zdradzał pewien ze strony arcybiskupa brak odwagi i stanowczości. Odpisałam mu, dziękując za łaskę mi okazaną, dodając jednak, że zdaniem mojem gorzej byłoby prosić miasta o pozwolenie, gdyby go miało odmówić, niż zacząć bez pytania go o zgodę, gdyż tamto łatwiej mogło by narazić Jego Przewielebność na możliwe spory. Snać przeczuwałam zawczasu, jak słabe znalazłabym u niego poparcie, skoro by zamiar nasz napotkał na jaki opór, a napotkałby najpewniej, gdybym była

podjęła starania o to pozwolenie, którego uzyskanie z góry widziałam jak byłoby trudnem, dzięki zwykłej w takich razach różności zdań. Jednocześnie napisałam do biskupa palenckiego, prosząc go, by zgodził się na zawieszenie do czasu dalszych kroków, ze względu na podkopane zdrowie moje, z którym w tak późnej już porze roku trudno mi narażać się na pobyt w Burgos, gdzie takie silne chłody panują. O wątpliwościach moich co do arcybiskupa nic mu nie wspominałam, nie chcąc go więcej jeszcze martwić, kiedy i tak już był zmartwiony onym listem jego, w którym, po takich zapewnieniach o dobrej woli swojej, jakoby się cofał i wynajdywał trudności; bałam się także, dotykając tej kwestyi, dać im jaki powód do niezgody, kiedy dotąd w najlepszej z sobą żyli przyjaźni. W taki sposób wytłumaczywszy się przed obu biskupami, uważałam siebie za zwolnioną do czasu i ani myśląc o przedkiem wybraniu się do Burgos, z Soria udałam się do naszego domu św. Józefa w Awili, gdzie różne interesa wymagały koniecznie obecności mojej.

Mieszkała wówczas w mieście Burgos pewna wdowa świętobliwa, rodem z Biskai; nazywała się Katarzyna de Tolosa. Nie prędko skończyłabym, gdybym chciała tu opisywać wszystkie jej cnoty, jej życie umartwione i ducha modlitwy, i wielkie jej jałmużny, i uczynki miłosierne, i bystry jej umysł, i wspaniałość serca. Dwie córki swoje, na cztery lata przedtem, o ile pamiętam, była oddała do naszego klasztoru Poczęcia Najświętszej Panny w Waliadolidzie; z oddaniem drugich dwu czekała na otwarcie domu naszego w Palencyi, i zaraz po dokonaniu tej fundacyi, nim jeszcze stamtąd odjechałam, sama mi je przywiozła. Wszystkie cztery okazują się córkami godnemi takiej matki, są to, rzec mogę, dusze anielskie. Dała im posag znaczny i hojną wyprawę, bo hojną ona jest we wszystkim co robi, i ma z czego, posiadając bardzo duży majątek. W czasie pobytu jej u mnie w Palencyi, będąc zupełnie spokojną co do pozwolenia arcybiskupa, tak mi się ono wydawało rzeczą pewną, prosiłam tej pobożnej pani, by wyszukała nam w Burgos jaki dom do najęcia, w którym byśmy tymczasowo mogły zacząć i objąć fundacyę w posiadanie, i aby urządziła

w nim kratę i koło. Wydatki na to potrzebne prosiłam by zaliczyła na mój rachunek, bo ani myślałam o tem, by ona miała jeszcze obarczać siebie tym kosztem. Gorąco pragnęła tej fundacyi i bardzo się tem martwiła, że skutkiem nieprzewidzianych, o których wyżej wspomniałam, trudności, rzecz ma pójść w odwłokę. Jakoż, gdy ja odjechałam do Awili, ani myśląc, jak mówiłam, o dalszem na teraz traktowaniu tej sprawy, ona jej nie zaniechała i w przekonaniu, że bez pozwolenia miasta nie będzie podobna nic zrobić, nic mi o tem nie mówiąc, wszczęła starania o uzyskanie onegoż. Miała dwie znajome, panie znacznego rodu, a bardzo pobożne, matkę i córkę; obie one również bardzo pragnęły tej fundacyi. Matka nazywała się Donna Marya Manrique; synowi, który należał do zarządu miasta, było na imię Don Alfons od św. Dominika, córce, Donna Katarzyna. Obie więc, i matka i córka, poczęły nalegać na Don Alfonsa, aby wystąpił w zarządzie miejskim z wnioskiem wydania onego pozwolenia. Alfons udał się na-przód do Katarzyny de Tolosa z zapytaniem, jaką ma dać wnioskowi swemu podstawę, to jest jaką przedstawić rękojmię co do utrzymania zamierzonej fundacyi, bo bez takiej rękojmi, rzecz pewna, że pozwolenia odmówią. Na to oświadczyła Donna Katarzyna, że obowiązuje się, — jak tego i dopełniła, — dać nam dom, jeślibyśmy go skądinąd nie miały, i zapewnić nam pożywienie. Ułożono podanie z wymienieniem tych zobowiązań, Donna Katarzyna podpisała je, a Don Alfons z tym dokumentem w ręku tak zręcznie i pomyślnie pokierował sprawą, że wszyscy członkowie zarządu zgodzili się na dopuszczenie naszej fundacyi, po czem udał się do arcybiskupa i otrzymał od niego pozwolenie na piśmie. Donna Katarzyna, zaraz po wszczęciu tych rokowań, uprzedziła mnie listownie o krokach przez nią uczynionych. Ja wzięłam to za żarty: wiedziałam dobrze z własnego doświadczenia, jak trudno jest uzyskać od miast pozwolenie na klasztor utrzymujący się z jałmużny, byłam więc pewna, że i w tym razie rzeczy łatwo nie pójdą, a ani mi w myśli nie było, żeby ona tak prędko załatwiła sprawę, tak wielkie i hojne biorąc na siebie zobowiązania.

Z tem wszystkim jednak, któregoś dnia — było to w oktawę św. Marcina, — polecając tę sprawę Panu, zastanowiłam się, co pocznę, jeśliby, wbrew oczekiwaniu mojemu, zgodzenie się miasta rychło nastąpiło. Zdawało mi się, że przy tylu różnych i ciężkich cierpieniach moich, któreby wystawianie się na mrozy zimowe, tem bardziej że tak jestem wrażliwa na zimno, bardziej jeszcze pogorszyło, o podróży do Burgos myśleć mi nie podobna; że byłoby to nierozsądnem narażaniem się, gdybym po świeżo przebytej, tak ciężkiej, jak wyżej opowiedziałam, jeździe do Soria, zaraz znowu puszczała się w taką daleką drogę; że i prowincyał pewnoby na to nie pozwolił; że wreszcie, skoro tam nie grożą żadne szczególne trudności, obecność moja nie będzie tam potrzebną i przeorysza bardzo dobrze mię zastąpić może. Wśród takich myśli, gdy już postanawiałam sobie, że nie pojedę, Pan rzekł do mnie te słowa, z których poznałam, że pozwolenie już jest uzyskane: — „Nie bój się tego zimna, Jam jest gorąco prawdziwe. Dyabeł wszystkie siły swoje wyteżę, aby przeszkodzić tej fundacyi; ty dla mnie wyteżasz twoje, aby przyszła do skutku. Nie wahaj się pojechać tam sama; wielki będzie z tego pożytek.“ — Słowa te zmieniły w jednej chwili moje postanowienie; bo choć natura nieraz się wzdraga wobec grożącego jej cierpienia, nigdy jednak nie ulega zmianie chęć i gotowość do cierpienia dla miłości tak wielkiego Pana i Boga mego. Tak też Jemu mówię w chwilach podobnej pokusy: — „Nie zważaj, Panie, mówię Mu, na te wstręty ułomności mojej, ale każ, co chcesz abym uczyniła dla chwały Twojej, a ja za łaską Twoją bez ociągania się spełnię, co każesz.“ Choć w tej porze padały śniegi, nie tyle przecie to mię odstraszało od jazdy do Burgos, ile raczej wzgląd na złe zdrowie moje; gdybym je była miała dobre, pewnoby na śniegi i mrozy ani na nic nie zważała. Cierpienia moje w czasie tej fundacyi mocno mi dolegały, jak zwykle; ale zimno było tak nieznaczne, czy też ja tak mało je czułam, że prawdziwie powiedzieć mogę, iż nie więcej od niego cierpiałam, niż gdybym była choćby w Toledzie. Wiernie, co do tego, dotrzymał Pan obietnicy, jaką był mi dał w onych słowach swoich.

W kilka dni po tem do mnie przemówieniu Pańskim, nadesłano mi pozwolenie od miasta, wraz z listami od Katarzyny de Tolosa i od przyjaciółki jej, Donny Manriquez. Obie nalegały na mnie, bym przyspieszyła mój przyjazd, z obawy, by nie zaszła jaka przeszkoda, bo świeżo byli się tam zjawili Bracia Wiktoryni<sup>1)</sup>, z zamiarem założenia klasztoru, a przed nimi jeszcze, od dość dawna już, o takież upoważnienie do fundacyi starali się karmelici Trzewiczkowi; później, w takimże celu, zjawili się jeszcze Bazylianie. Takie jednoczesne zgłoszenie się tylu na raz zakonów mogło rzeczywiście stać się poważną dla nas przeszkodą; tem bardziej więc jest czego dziękować Panu za wielką dobroć i miłość tego miasta, które je chętnie dopuściło wszystkie, choć zamożność jego nie jest dzisiaj tak wielką, jaką była dawniej. Zawsze słyszałam pochwały miasta Burgos za miłosierdzie jego chrześcijańskie, ale przyznaję, że nie spodziewałam się, by ono umiało się zdobyć na taką szerokość i hojność. Mnogość i różnorodność zakonów była raczej dla pobożnej tej ludności zachętą: jedni wedle pociągu swego wspierali ten zakon, drudzy woleli świadczyć drugiemu. Arcybiskup jednak nie chciał zrazu tych nowoprzybywających dopuścić, przewidując możliwe z ich osiedlenia się niepożądane następstwa, a mianowicie obawiając się, by istniejące już w mieście klasztory żebracze, z sąsiedztwa tych nowych nie miały szkody, to jest umniejszenia jałmużn, bez którychby utrzymać się nie mogły. Może być, że samiż ci zakonnicy taką arcybiskupowi obawę podali, a może też wzniecił ją dyabeł, chcąc przeszkodzić wielkim korzyściom duchownym, jakie sprawuje znaczniejsza liczba klasztorów, w jednymże miejscu istniejących; a czy ich jest mniej czy więcej, Bóg zarówno mocen jest dać im pożywienie.

Zważając na wielką usilność, z jaką te świętobliwe panie nalegały na mnie w listach swoich, abym przyspieszyła mój przyjazd, radabym była wyjechać natychmiast, tylko że nie-

---

<sup>1)</sup> Wiktorynami (*Frailes Vitorios*, albo *de la Victoria*) zwali się w Hiszpanii Najmniejsi (*Minimi*) św. Franciszka z Pauli.

które pilne sprawy jeszcze mię w Awili zatrzymywały <sup>1)</sup>. Wobec pobożnej skwapliwości tych pań, które, choć obce, tak żywo brały do serca tę sprawę, czułam dobrze, że mnie tem bardziej nie wypada ociągać się, że tem bardziej obowiązana jestem spieszenie korzystać z pomyślnych okoliczności i czasu, póki sprzyja, z własnej winy nie tracić. Słowa, które byłam sły-

---

<sup>1)</sup> Św. Teresa z Soria przybyła do Awili 5 września 1581. Wybrana natychmiast na przełożoną domu św. Józefa, przez cztery miesiące zajęta była duchownemi i materialnemi potrzebami tego klasztoru. Do Burgos wyjechała 2 stycznia 1582 r., zabierając z sobą, prócz stałej towarzyszkii swojej, Matki Anny od św. Bartłomieja, siostrę Teresę od Jezusa, siostrzenicę swoją i dwie siostry sprowadzone z Alby. Podróż od pierwszego dnia była dla świętej bardzo ciężką; deszcz padał bezustannie, a przytem cierpienia jej, mianowicie częściowe sparaliżowanie reumatyczne i silne zapalenie gardła, znacznie się pogorszyły. Z trudnością wielką dojechała 4-go do Medina del Campo, gdzie zmuszona była odpoczywać do 9-go. Przyjazd jej do tego klasztoru, jak o tem świadczą akta kanonizacyjne, zaznaczył się cudownem uzdrowieniem przełożonej, Matki Alberty Baptisty, złożonej silną gorączką z wielkimi bólami w boku. Przykuta do łoża, chora nie mogła z siostrami zejść do furty na powitanie drogiego gościa, co widząc święta, posłała do niej natychmiast do infirmaryi i wchodząc zawołała: — „Jezu! jak ty możesz, córko, chorować na przyjazd mój? Wszak jesteś zdrowa, wstawaj zaraz i chodź z mną do refektarza.“ — To mówiąc, dotknęła ręką bolącego jej boku, a chora tejże chwili wstała i poszła z drugimi na wieczerzę. Z Medina, Święta pojechała dalej do Waliadolidu, gdzie znowu cztery dni przeleżała, a byłaby się tam zatrzymała i dłużej, bo cierpienie jej i po czterodniowym odpoczynku nie było się zmniejszyło; ale lekarze ostrzegali, że przez dłuższe pozostawanie na miejscu ono jeszcze bardziej się wzmoże, przyspieszono więc wyjazd, póki jeszcze był możebny. Tak dojechano do Palencyi, gdzie takie tłumy ludu wyszły na spotkanie Świętej i tak wóz jej obległy, że przez długą chwilę niepodobna jej było wysiąść. Wprowadzając ją do klasztoru, siostry odśpiewały *Te Deum*, jak to było we zwyczaju we wszystkich klasztorach reformy, za każdą wizytą świętej fundatorki. Klasztor cały był przystrojony i ołtarzyki ustawione, na okazanie radości, z jaką siostry witały ukochaną matkę. W Palencyi nowe pogorszenie zatrzymało Świętą cały tydzień; ale i przy lepszem zdrowiu nie byłaby mogła wcześniej wyjechać w tę fatalną drogę do Burgos, skutkiem nieustających deszczów do gruntu rozmokłą, powodziami zalaną i na prawdę niebezpieczną, jak tego Święta, pomimo dłuższego przeczekania, jeszcze w powyżej opisanej podróży swojej sownie doznała, nim wreszcie, po 24 dniach takich trudów niesłychanych, 26-go stycznia w Burgos stanęła. (Ob. Ribera i Yepes).

szala, zapowiadały wielkie przeciwności, choć nie mogłam odgadnąć, skąd i od kogoby one przyjść miały, skoro w liście Katarzyny de Tolosa miałam zapewnienie, że własny dom jej gotów jest na przyjęcie nasze i na wstępne przez nas objęcie fundacyi, że miasto się zgadza i arcybiskup też; nie mogłam więc żadną miarą dojść, ktoby jeszcze miał być sprawcą tego przeciwności, które nam dyabeł miał wzniecić, lubo, mając na to słowo Pańskie, nie wątpiłam, że tak będzie. Wreszcie, większe w Boskiej mądrości swojej Pan daje światło przełożonym. Napisałam do Ojca prowincyała, zdając mu sprawę i z uprzedniego usposobienia mego i z tego, co potem słyszałam od Pana; on odpowiedział, że jechać mi nie zabrania, tylko zapytuje, czy mam na piśmie pozwolenie od arcybiskupa. Odpisałam mu, że według listów, jakie otrzymałam z Burgos, mówiono z nim w tej sprawie, uprzedzając go, że proszono miasta o pozwolenie i że on ten krok pochwalił; że zatem, wobec tego wszystkiego i wobec poprzednich jego w tej kwestyi oświadczeń, zdaje się, że o pozwoleniu jego niema co wątpić.

Ojciec prowincyał postanowił towarzyszyć nam w podróży na tę fundację, po części dla tego, że skończywszy już kazania adwentowe, czas miał swobodny; po części dla odwiedzenia, z małym zboczeniem z drogi, klasztoru naszego w Soria, którego od czasu założenia jego jeszcze nie był wizytował; po części także, widząc mię taką starą i schorzałą, a sądząc, że życie moje jeszcze się na co przydać może, chciał czuwać nad zdrowiem mojem w tej jeździe po drogach niegodziwych i w najsurowszą porę roku. Stało się to rzeczywiście miłościwem zrządzeniem Pańskim, bo drogi tak były złe i wody tak wezbrane, że nie łatwo byłybyśmy z nich wyszły całe bez pomocy jego i towarzyszków jego; po wiele razy przyszło im wysiadać, dla odszukania drogi, albo dla dobywania wozów z kałuż, w których się raz w raz nurzały; zwłaszcza między Palencią a Burgos tak było złe, że odważenie się na taką przeprawę istotnie mogło się wydawać zuchwalstwem. Prawda, że na ubezpieczenie się miałam słowo Pana, który rzekł do mnie:— „Jedź dalej, nie bój się; Ja będę z wami.“—Ojcu prowincya-



łowi nie na razie nie mówiłam o tych słowach; ale wielkie z nich miałam uspokojenie i pociechę w tych bardzo poważnych niebezpieczeństwach i cierpieniach, na jakie byliśmy wystawieni. W jednej szczególnie miejscowości pod Burgos, zwanej Mosty (pontones), bardzo było groźnie; wody w tem miejscu tak były wezbrały, że sameż mosty prawie wszędzie pod niemi znikwały; drogi zupełnie nie było widać, tylko jak daleko okiem zasięgnąć, wszędzie woda i woda, a po obu stronach mostów i drogi, toń niezglębiona. Puszczanie się w taką drogę, powtarzam, równało się zuchwalstwu, zwłaszcza jeszcze wozami, które, za najmniejszym zboczeniem, niechybnie musiałyby zsunąć się w przepaść; jakoż z jednym z wozów naszych o mało że tak się nie stało <sup>1)</sup>.

Wzięliśmy wprawdzie w austeryi położonej nieopodal przewodnika, znającego dobrze to przejście; ale i z najlepszym przewodnikiem niebezpieczeństwo jest wielkie. A jakie zajazdy miewaliśmy po drodze, o tem lepiej nie mówić. Przy takich złych drogach, nie mogliśmy ani stawać na popas czy nocleg, gdziebyśmy chcieli, ani tyle ujechać, ileby w ciągu dnia należało. Wozy nasze raz w raz grzęzły w błocie i trzeba było nieraz wypręgać muły z jednego, aby wyciągnąć drugi. Ojcowie nam towarzyszący wielkie z tem mieli utrudzenie, zwłaszcza że woźnice, jacy się nam byli dostali, byli to ludzie młodzi i niedoświadczeni, a przytem i niedbali. Towarzystwo Ojca prowincyała dużo mi dodawało otuchy; sam się zajmował wszystkim: z takim niewzruszonym spokojem znosił

---

<sup>1)</sup> W chwili wjeżdżania samą krawędzią góry, stromo się wznoszącą ponad płynącą w dole wezbraną rzeką, jeden z wozów tak się przechylił na bok, że po ludzku niemierniknione już było stoczenie się jego do rzeki, choćby go kilku silnych ludzi zatrzymać usiłowało; aliśel, cudem oczywistym, zatrzymał go jeden człowiek, za jedno tylko koło schwyciłwszy. Tak opowiada Rihera i dodaje, że odtąd aż do końca podróży św. Teresa swojemu wozowi kazała jechać naprzód, chcąc być pierwszą na spotkanie niebezpieczeństwa. W zajeździe, w którym się po tej przeprawie zatrzymano na noc, nie było nawet łóżka dla świętej, choć gorączka coraz mocniej ją trawiła i ból gardła tak się był wzmógł, że prawie już przetykać nie mogła.

wszystkie te kłopoty, jak gdyby dla niego były niczem, i największe nawet trudności tak spokojnie, jakby od niechcenia, przyjmował i załatwiał, jak gdyby to były bagatele. Raz tylko, w czasie onej przeprawy przez mosty, mimowoli uległ silnemu wrażeniu przestachu. I ja też, gdy się wówczas znalazłam wśród onej bezbrzeżnej topieli, nie widząc ani śladu drogi, kędyby przejechać, ani łodzi, którąby przepłynąć, mimo całej odwagi, jakiej mi dodawała otrzymana od Pana obietnica, nie zdołałam się oprzeć silnemu przełknięciu, na myśl, co się stanie z towarzyszkami mojami <sup>1)</sup>. Miałam ich siedm w tej drodze: dwie z nich miały ze mną powrócić, drugie pięć, z których cztery chórowe a jedna konwerska, były wyznaczone na pozostanie w Burgos. Jeszcze, zdaje mi się, nie powiedziałam, kto był ówczesny nasz Ojciec prowincyał: był to O. Hieronim Gracian od Matki Bożej, o którym niejednokrotnie już w innych miejscach mówiłam. Co do mnie, odbywałam tę podróż z bardzo silnym bólem gardła, który mi przyszedł w drodze, jeszcze przed dojechaniem do Waliadolidu; gorączka przytem ani na chwilę mnie nie opuszczała; cierpiałam więc mocno, skutkiem czego i nie byłam zdolną cieszyć się tak, jakby należało, szczęśliwie przebytemi niebezpieczeństwami i słodkością najłaskawszej opieki, jaką nas Pan w tej drodze otaczał. Ból ten dotąd mam, choć to już koniec czerwca; nie jest on już tak gwałtowny, zawsze jednak mocno mi dolega. Siostry po tych przeprawach były uszczęśliwione, i miło to rozmawiać o niebezpieczeństwach przebytych, kiedy już miną; ale milszą je-

---

<sup>1)</sup> Siostry, pisze Ribera (*Życie*, ks. III, r. 13), wobec grożącego niebezpieczeństwa, wszystkie tamże na miejscu odbyły spowiedź, po czym ukłękły przed świętą, prosząc o jej błogosławieństwo i poczęły głośno odmawiać Skład Apostolski. Wtedy Święta, dla dodania im ducha, rzekła do nich: — „Odwagi, siostry; jakieżby większe szczęście spotkać was mogło nad to, gdyby wam dano było tutaj życie wasze położyć w ofierze dla Pana Jezusa, jeśliby taka była wola Jego, i stać się męczenniczkami miłości Jego? Puściecie mię naprzód, niech pierwsza tej drogi spróbuję; a jeśliby mi przyszło utonąć w tej fali, wy, proszę was i błagam, nie postąpcie już naprzód ani kroku ale wróćcie wszystkie do gospody, skąd wyjechałyśmy.“ To rzekłszy, ruszyła naprzód i przykładem męstwa swego wszystkim odwagi dodała.

szcze i większą rzeczą jest, cierpieć z posłuszeństwa, zwłaszcza dla dusz tak tę cnotę kochających i pełniących, jak ją kochają i pełnią te siostry.

Po takiej fatalnej podróży, jeszcze pod samem miastem przebywszy głębokości wód, stanęliśmy wreszcie w Burgos, w piątek nazajutrz po Nawróceniu św. Pawła, dnia 26 stycznia. Stosownie do żądania Ojca prowincyała, zatrzymaliśmy się naprzód u świętego Krzyża <sup>1)</sup>, dla polecenia jemu sprawy naszej, a także dla doczekania tam zmroku, bo jeszcze było widno. Mieliśmy zamiar i postanowienie, zaraz bez odkładania przystąpić do fundacyi. Byłam zaopatrzona w listy, od kanonika Salinas,—tego samego, który, jak opowiedziałam w swoim miejscu, tak skutecznie nas wspomagał przy fundacyi w Palencyi i tutaj również najusilniej był nam pomocny,—i od kilku osób znaczniejszych, gorąco nas polecających krewnym i przyjaciołom swoim w Burgos, aby sprawę naszą wpływem swoim poparli. Wszyscy oni uczynili zadość temu wezwaniu i zaraz nazajutrz przyszli mię odwiedzić; podobnie i członkowie zarządu miasta przyszli do mnie z upewnieniem, że słowa nam danego wcale nie żałują, że owszem bardzo się cieszą z przybycia mojego i radzi będą, w czem zechcą, mi usłużyć. Oświadczenie to zupełnie nas uspokoiło, bo ponieważ jedyna obawa, jaką miałyśmy, była o to, by nam miasto nie robiło trudności, więc wobec takiej uprzejmości radnych byłyśmy pewne, że żadnej już przeszkody nie będzie.

W chwili przyjazdu naszego, chciałyśmy natychmiast, nimby kto o nas się dowiedział, zawiadomić arcybiskupa i prosić go, aby pierwsza u nas Msza święta mogła być zaraz nazajutrz, jak tego zawsze, we wszystkich prawie fundacyach przestrzegałam; ale z powodu deszczu ulewnego, w jaki zajęchałyśmy do domu kochanej naszej Katarzyny de Tolosa, trzeba było wstrzymać się z tem zawiadomieniem do rana. Noc tę miałyśmy spokojną i doskonałą po trudach podróży odpoczynek, dzięki serdecznie gościnnemu przyjęciu, jakie nam

---

<sup>1)</sup> To jest u słynącego cudami krzyża „el santo Cristo di Burgos,” w kościele angustyanów.

zgotowała ta pobożna pani. Ja jednak tej nocy dużo ucierpiałam; dla osuszenia przemokłej odzieży mojej, mocno w pokoju napalono, a ogień ten, choć kominkowy, tak mi zaszkodził, że nazajutrz głowy podnieść nie mogłam; przychodzących do mnie zmuszona byłam przyjmować leżąc i przez zakratowane okienko, zasłoną zawieszoną, z nimi rozmawiać; bardzo to dla mnie było uciążliwem, ale wobec konieczności traktowania o interesach fundacyi, niepodobna mi było od tych rozmów się uchylić.

Nazajutrz wcześniej O. prowincyał poszedł do arcybiskupa, prosić go o błogosławieństwo, bo niczego już więcej, zdawało nam się, nie było potrzeba. Ale arcybiskup przyjął go bardzo nachmurzony i rozgniewany, objawiając mu wielkie niezadowolenie swoje, że przyjechaliśmy bez pozwolenia jego, jak gdyby nie był sam kazał mi przyjechać i jak gdyby nigdy nie było mowy z nim o naszej fundacyi. Ostremi więc obsypywał O. prowincyała wyrzutami, mocne zwłaszcza na mnie okazując zagniewanie. Wprawdzie musiał przyznać w końcu, że sam mi kazał przyjechać, ale to było tylko w tej myśli, dodawał, abym rozpatrzyła się na miejscu i układy wszczęła, a nie bym od razu tyle mniszek przywoziła; niech wam Bóg nie pamięta, wołał, tej przykrości, jaką mi ona przez to wyrządziła. Na próżno przedstawiał mu O. prowincyał, że układ z miastem, według żądania jego, już stanął, że zatem już nie o układy chodzi, jedno o dopełnienie przyznanej już fundacyi; że przed wyjazdem zapytywałam biskupa palencyjskiego i otrzymałam od niego zapewnienie, że mogę i powinnam zaraz jechać, bez uprzedniego znoszenia się jeszcze z Jego Przewielebnością; że nawet trudzenie księdza arcybiskupa nowem jeszcze z mojej strony uprzedniem zapytaniem, byłoby rzeczą zbyteczną i niewłaściwą, skoro on już oświadczył, że pragnie naszego przybycia: wszystkie te racye nie zdołały przekonać arcybiskupa, ani zmienić nieprzychylnego dla nas usposobienia jego. Widocznie Bóg sam, chcąc tej fundacyi, zrządził ten nagły, bez zapytywania, przyjazd nasz; gdybyśmy były postąpiły inaczej, fundacya z pewnością nie przyszłaby do skutku; bo arcybiskup, jak potem sam to przy-

znał, w razie nowej do niego prośby naszej, byłby dał odpowiedź odmowną i przyjazdu nam zabronił. Ostatecznie oświadczył O. prowincyałowi i z tem go odprawił, że jeśli nie wykazemy się ze stałego na utrzymanie fundacyi naszej dochodu i z posiadania własnego domu, pozwolenia od niego żadną miarą nie otrzymamy i możemy sobie odjechać, skąd przyjechałyśmy. Odjechać! piękne bo były właśnie do odjazdu drogi i czas na podróż przesliczny! O Panie mój, jaka to prawda, że kto Tobie odda jaką usługę, temu Ty zaraz odpłacasz jakim dotkliwym strapieniem! I jakże drogą byłaby taka zapłata dla duszy prawdziwie Ciebie miłującej, gdybyśmy umieli od razu poznać się na cenie jej! My jednak w onej chwili tego zysku wcale sobie nie życzyliśmy; widzieliśmy tylko to jedno, że warunki stawiane przez arcybiskupa grożą nam zupełną niemożnością wykonania naszego zamiaru; bo nie dość, że wymagał, byśmy miały zapewniony stały dochód i nabyły własny dom, ale nadto jeszcze zabraniał, by fundusz na to potrzebny nie był brany z posagu siostr: znalezienie zaś innego źródła na sumę tak znaczną, przy najusilniejszym nawet szukaniu i obmyślaniu, przedstawiało się widocznem, jak na te czasy obecne, niepodobieństwem. Ja wszakże mimo to wszystko nie zachwiałam się ani na chwilę w mej ufności; najmocniej byłam pewna tego, że wszystkie te przeciwności zrządzone są dla większego dobra naszego, że jakkolwiek dyabel kładzie nam w drogę przeszkody, dla udaremnienia fundacyi naszej, Bóg przecie w końcu zwycięży i sprawę swoją do pomysłnego skutku przywiedzie. Snać i O. prowincyał podzielał tę ufność moję; odpowiedzią arcybiskupa zgoła się nie zafrasował i z pogodnym uśmiechem mi ją powtórzył. Bóg łaskawy tak go dobrze usposobił, aby się nie gniewał na mnie i nie robił mi wymówek, żem nie postarała się z samego początku dostać pozwolenie arcybiskupa na piśmie, jak on wówczas radził.

Dowiedziawszy się o tym stanie rzeczy, przyszło zaraz do mnie kilku z przyjaciół i krewnych kanonika Salinas, do których tenże, jak mówiłam, był nam dał listy. Wszyscy oni byli zdania, że trzeba prosić arcybiskupa o pozwolenie, byśmy

mogły mieć Mszę świętą w domu i nie potrzebowały wychodzić na ulice, w tej porze pełne błota, po którym nie wypadało nam chodzić boso; a była w domu sala bardzo przyzwoita, która Ojcem Towarzystwa Jezusowego, od chwili przybycia ich do Burgos, przez dziesięć lat służyła za kaplicę; nie byłoby więc w tem, zdawało się nam. żadnej trudności, byśmy w tejże kaplicy odbyły tymczasowe objęcie w posiadanie, nimbyśmy zdołały nabyć dom własny i do niego na stałe mieszkanie się przenieść. Ale arcybiskup żadną miarą nie chciał pozwolić na odprawianie Mszy świętej w tej sali, choć dwóch kanoników usilnie go o to prosiło. Tyle tylko zdołali uzyskać, że skoro będziemy miały dochód zapewniony, on zgodzi się na rozpoczęcie fundacyi w tym domu, do czasu nabycia własnego; ale że dom własny koniecznie kupimy i stawimy na to poręczycieli, jako od tego warunku w żadnym razie się nie uchylimy. Szczęściem poręczycieli zaraz znaleźliśmy: przyjaciele kanonika Salinas sami się nam z poręką ofiarowali, a Katarzyna de Tolosa zobowiązała się zapewnić nam dochód, bez którego fundacyi rozpoczynać nam broniono. Na tych wszystkich pertraktacyach i obmyślaniach, jak i skąd zaradzić tylu kłopotom, upłynęły nam ze trzy tygodnie, w ciągu których byłysmy bez Mszy świętej, z wyjątkiem świąt i to wcześniej z rana, a ja do tego byłam mocno chora i wciąż trawiona gorączką<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Święta, wśród tylu przykrości wciąż się mnożących, nie zachwiała się ani na chwilę w swej cierpliwości, choć i skądinąd dotkliwie w różnych zdarzeniach upokorzenia na twardą wystawiała ją próbę. Razu jednego w tym czasie, idąc do kościoła i stanąwszy nad szerokim i głębokim przez nlicę rynsztokiem, prosiła kobiety jakiejś, zastępującej jej drogę, by zechciała dać jej przejście; lecz ta, biorąc ją za żebraczkę, sfukała ją i nazwała obłudnicą i tak silnie ją pchnęła, że Święta upadła w błoto. Towarzyszki jej oburzone chciały strofować tę kobietę za niegodny jej postępek, ale święta je powstrzymała, mówiąc:—„Dajcie jej pokój; wiedziała ona, do kogo mówi, i prawdę powiedziała.“ Innego razu, gdy modliła się klęcząc w kościele, ludzie jaćyś, przechodząc koło niej i gardząc nią dla ubogiego jej ubrania, pchnęli ją nogą, że im nie ustępuje z drogi. Pchnięcie było tak silne, że Święta upadła na ziemię; ale w milczeniu zniosła tę zniewagę i nim Matka

Ale Katarzyna de Tolosa z taką troskliwością pamiętała o wszystkich potrzebach i wygodach moich i, dawszy nam na mieszkanie całą część domu swego, gdzie byliśmy zupełnie same, przez cały miesiąc, z taką serdecznością nas żywiła, jak gdyby nam wszystkim była matką. O. Prowincyał z towarzyszymi swymi stał u przyjaciela i dawnego swego kolegi szkolnego, niejakiego doktora Manso, kanonika i scholastyka katedralnego <sup>1)</sup>; bardzo był nierad tym zwłokom, które go tak długo w Burgos zatrzymywały, a nie miał serca opuścić nas przed ostatecznym załatwieniem sprawy naszej.

Arcybiskup, na przedstawienie nasze, że mamy już żądanych poręczycieli i zapewnione utrzymanie klasztoru, odesłał nas do swego wikaryusza generalnego, aby zaraz co należy zarządził. Ale i do niego dyabeł trafić nie zaniechał. Bo oto, gdyśmy sądzili, że już żadnej nie może być przyczepki, że arcybiskup, po całomiesięcznych staraniach naszych, poprzestanie wreszcie na tem, cośmy według żądania jego spełnili, wikaryusz generalny, po długim zastanowieniu się, przysłał mi reskrypt z oznajmieniem, że pozwolenia dla nas nie będzie, póki nie będziemy miały własnego domu; że na rozpoczęcie fundacji w tym domu, w którym stałyśmy, arcybiskup już się nie zgadza, bo wielka w nim wilgoć i ciągly hałas z ulicy; przytem i co do

---

Anna od św. Bartłomieja przybiegła, aby ją podnieść, sama się podniosła i z takim na nią spojrzeła wyrazem nradowania, jak gdyby ją największe szczęście spotkało.

<sup>1)</sup> Piotr Manso, z rodu Manso y Znniga, pochodził z Val de Canas, w diecezyi Calahorra. Słuchał z O. Gracian teologii w Alkala, został kanonikiem w Salmantyce, później w Burgos, w końcu, według przepowiedni św. Teresy. Jak to sam zeznał w jej procesie kanonizacyjnym, biskupem diecezyi Calahorra. Po wyjeździe O. Gracian z Burgos, on spowiadał Świętą. Miał dla niej cześć głęboką; powiadał, że w kwestyach wiary i nanki objawionej woli się radzić jej, niż najsławniejszych teologów. Pewnego razu, jak również sam to zeznał w procesie kanonizacyjnym, Święta, gdy jej się przyznał, że zaniechał rozmyślenia, żywo go o to strofowała: „O, jakie to nieszczęście! zawołała; potrzeba ci koniecznie wrócić do rozmyślenia, choćby się całe piekło temu sprzeciwiało.“ Między Listami św. Teresy jest jeden do doktora Piotra Manso.

zabezpieczenia stałych dochodów klasztoru podnosił nie wiem już jakie zarzuty i mnóstwo innych robił trudności, jakby sprawa, od miesiąca wlokąca się, teraz dopiero się zaczynała; wreszcie kończąc oświadczał, że o tej sprawie więcej niema co mówić, póki nie będzie domu i takiego, któryby się spodobał arcybiskupowi.

Wielkie było oburzenie O. prowincyała i wszystkich za otrzymaniem tego dziwnego poselstwa. Boć na znalezienie takiego domu, któryby się zdał na klasztor, każdy to widzi, że potrzeba czasu. A przytem O. prowincyał już nie mógł dłużej patrzeć na to, że zmuszone byłyśmy wychodzić na miasto dla słuchania Mszy świętej; i choć kościół był niedaleko i miałyśmy w nim osobną kaplicę, gdzie nikt nas nie widział, zawsze jednak przedłużenie, jakby umyślne ze strony arcybiskupa czy wikaryusza jego, takiego stanu rzeczy bardzo ciężką było i dla Jego Przewielebności, i dla nas przykrością. Na seryo już wówczas myślał, jak sądzę, kazać nam odjechać. Na to jednak ja nie mogłam się zgodzić; pomnąc na słowa, jakie byłam usłyszała od Pana, i na zalecenie Jego, bym za Niego broniła tej sprawy Jego, tak byłam pewna pomyslnego jej skutku, że wszystkich tych przykrości jakby wcale nie czułam. To jedno tylko mię martwiło, że O. prowincyał tyle z naszego powodu cierpi nieprzyjemności; żałowałam, że z nami przyjechał, nie przewidując wówczas, jak wielką i skuteczną przyjaciele jego mieli nam być pomocą, jak się to z dalszego opowiadania mego okaże. Towarzyszki moje także mocno były strapione, ale o nie nie tyle się frasowałam, ile o O. prowincyała. Wśród tego powszechnego strapienia, któregoś dnia, lubo w tej chwili nie byłam na modlitwie, Pan rzekł do mnie te słowa: — „Teraz, Tereso, trzymaj się mocno.“ — Słowa te nowej dodały mi odwagi; nie wahałam się już prosić O. prowincyała, — do czego zapewne i Pan sam wewnątrz go skłonił, — by, nie czekając dłużej, zostawił nas same i wrócił do domu, tembardziej, że zbliżał się już czas Wielkiego Postu, a kazania postne w jego kościele klasztornym z obowiązku na niego przypadały.



Przed odjazdem z Burgos, wspólnie z przyjaciółmi swymi, wystarał się nam o pomieszczenie w szpitalu Poczęcia, gdzie przynajmniej miałyśmy Najświętszy Sakrament i codziennie Mszę świętą. Było to dla nas ulgą, a dla niego niejaką pociechą; ale uzyskanie dla nas tego mieszkania nie mało go kosztowało. Pewna bowiem wdowa miała w tymże szpitalu wynajęty dla siebie obszerny pokój i nie tylko pożyczyć go nam nie chciała, choć sama miała go zająć dopiero za pół roku, ale nadto jeszcze bardzo się gniewała, że nam dano parę pokoiów na górze, pod dachem, z których jeden miał wyjście na jej pokój. Mało jej było zamknąć na klucz to przejście, ale jeszcze je od środka zatarasowała drągami. Z drugiej strony znowu, członkowie bractwa, zawiadującego szpitalem, wyobrazili sobie, że na to do niego się wprowadzamy, aby go zabrać dla siebie; obawa ta nie miała sensu, ale dla większej zasługi naszej Bóg dopuścił na nas i to utrapienie. Kazali nam tedy, O. prowincyałowi i mnie, złożyć przed notaryuszem przyrzeczenie, że na pierwsze ich żądanie natychmiast się wyniesiemy. Warunek ten wydawał mi się szczególnie niebezpiecznym i groźnym, bo wdowa ona była bogata i możnych miała krewnych mogłaby więc każdej chwili, skoroby jej przyszła fantazyja, wyrzucić nas na ulicę. Ale O. prowincyał, roztropniejszy odemnie, uznał, że potrzeba nam zgodzić się na wszelkie stawiane nam warunki, aby tylko prędzej zająć to mieszkanie. Dano nam tylko dwa pokoje i kuchnię; ale ochmistrz szpitalny, niejaki Ferdynand de Matanza, wielki sługa Boży, dodał nam drugie dwa, z których jeden nam służył za rozmownicę; nad to i w codziennych potrzebach naszych, dobry ten człowiek, pełen miłości dla bliźnich i wielki jałmużnik, hojnie nas wspierał. Również wiele dobrego nam świadczył pocztmistrz miejscowy, Franciszek de Cuevas, czynny bardzo i gorliwy opiekun tego szpitala; w każdej, ile razy się zdarzyła, potrzebie zawsze gotową u niego znajdowałyśmy pomoc.

Na to wymieniam tu tych dobroczyńców, którzy tak; wspierali nas w pierwszych naszych w Burgos początkach, aby siostry i te, które teraz są, i te, które później nastaną, pamiętały o nich, jako słuszną, w modlitwach swoich. Wszak-

że więcej jeszcze pamięć wdzięczna i modlitwa należy się od nas fundatorom. Nie było zrazu zamiarem moim, ani mi to nawet na myśl nie przyszło, by Katarzyna de Tolosa miała zostać fundatorką tego naszego klasztoru; ale ona życiem swoim świętem zasłużyła sobie na tę łaskę u Pana, który Opatrznością swoją tak wszystko zrządził, iż niepodobna jej tego chwalebne tytułu zaprzeczyć. To jedno już, że ona dała fundusz na kupienie domu, na co my same nigdy nie byłibyśmy się zdobyły, niewątpliwe jej zapewnia prawo do tytułu fundatorki; ale więcej jeszcze nań zasłużyła tem, że tak ją niewypowiedzianie bolały wszystkie one z arcybiskupem mitręgi, i sama myśl, że zamiar nasz może spełznąć na niczem, dojmującym przejmowała ją smutkiem. Niestrudzoną też była w świadczeniu nam coraz nowych dobrodziejstw. Choć szpital, w którym mieszkaliśmy, w znacznej od domu jej leżał odległości, ona przecie prawie codzień z największą serdecznością nas odwiedzała i przysyłała nam czego nam było potrzeba, nie zważając na wszelkie szemrania i obelgi, jakimi ją za to ścigano, a wobec których serce mniej, niż ona je miała, odważne byłoby się z pewnością ulęknąć albo zniechęcić. Przykrości te, które ona z naszego powodu cierpiała, wielkiem były dla mnie zmartwieniem. Najczęściej wprawdzie ukrywała je przedemną, ale bywały chwile, że nie mogła ich zataić, zwłaszcza takie, które dotykały ją w sumieniu; bo sumienie miała tak czyste i prawe, że jakkolwiek nieraz silne jej dawano powody do żalu i urazy, nigdy przecie z ust jej nie słyssałam słowa, któreby było z obrazą Boga i miłości bliźniego. Wymyślano jej na wszelki sposób: że idzie prostą drogą do piekła, że to wstyd i hańba, by niewiasta uczciwa i mająca dzieci takie robiła zbytki jak ona. Niczego jednak nie robiła, w czymby pierwszej nie zasięgnęła rady i zgodzenia się świątłych i uczonych teologów; i ja też, gdyby ta szczodrobliwość jej nie była w zgodzie z innemi jej obowiązkiem, za nic na świecie, jakkolwiekby o to nastawała, nie przyjąłabym daru jej, choćbym za to miała się wyrzec założenia, nie jednego, ale tysiąca klasztorów. Zresztą sprawa ta toczyła się całkiem między nami, i nikt z postronnych nie wiedział, jak rzeczy stoją istotnie;

nie dziw więc, że więcej się domyślano niż było rzeczywiście. Ona na wszystkie te napaści odpowiadała z chrześcijańską, jaką w wysokim stopniu posiada, roztropnością i z cierpliwością nigdy niezachwianą; snąc Bóg sam uczył ją umiejętności łagodzenia jednych, znoszenia drugich i darzył ją męstwem wyższym nad wszelkie cierpienia i przeciwności. O jakże wysoko, w tej odwadze do czynienia wielkich rzeczy i znoszenia wielkich cierpień, prawdziwi słudzy Boży przewyższają możnych tego świata, o ile w nich, obok świetności znakomitego rodu, nie masz tej prawdziwej wyższości ducha, którą daje tylko miłość Boga! chociaż Katarzynie de Tolosa ani na jednym ani na drugim nie zbywało, bo i duszę miała czystą i nielada rodu córka była.

Wracam do przerwane go opowiadania mego. O. Prowincyał, umieściwszy nas w tym szpitalu, gdzie i Mszę świętą miałyśmy i mogłyśmy zachowywać klauzurę, łatwiej już zdobył się na odwagę opuszczenia nas i udania się do Waliadolidu, gdzie miał opowiadać słowo Boże. Odjeżdżał jednak mocno zgryziony tem, że ze strony arcybiskupa żadnego nie było widoku, byśmy mieli otrzymać potrzebne nam pozwolenie. Dodawałam mu otuchy, jak mogłam, ale daremnie; nie dawał wiary słowom moim, i trzeba przyznać, że bardzo poważne miał do smutnych przewidywań swoich powody, nad którymi nie mam potrzeby tutaj się rozwodzić. Dość, że mało miał nadziei, a przyjaciele jego jeszcze mniej, co tem bardziej jeszcze utwierdzało go w zwątpieniu. Odjazd jego wielką mi przyniósł ulgę, bo, jak już mówiłam, największem zmartwieniem mojem było to, że on tak się martwił. Odjeżdżając, zalecał nam, byśmy się na wszelki sposób starały o nabycie domu, abyśmy przynajmniej już były we własnem mieszkaniu. Ale było to zadanie trudne: dotychczas, pomimo usilnego szukania, żaden jeszcze dom nie był się znalazł, którybyśmy kupić mogły. Życzliwi nasi, zwłaszcza przyjaciele O. prowincyała, po odjeździe jego gorliwiej jeszcze niż przedtem zajmowali się sprawą naszą. Wszyscy oni byli zdania, że arcybiskupowi, dopóki nie będziemy miały domu, ani słowem już o nas wspominać nie trzeba. Ten jednak wciąż powtarzał, że więcej niż ktobądź

pragnie tej fundacyi naszej, i chęć wierzyć temu, boć taki dobry chrześcijaniu, jak on, nie kłamałby przecie. Ale w czynach to pragnienie jego nie bardzo się okazywało, skoro żądał od nas takich rzeczy, których spełnienie widocznem dla nas było niepodobieństwem. Takie to zdrady knuł na nas dyabeł, aby zamiar nasz nie przyszedł do skutku. Lecz jakże jawnie, o Panie, okazała się i w tem zdarzeniu wszechmocność Twoja, kiedy z tych właśnie podstępów, które nieprzyjaciel wynajdywał na zdławienie tego dzieła Twego, Ty wyprowadziłeś tem świetniejsze onegoż dokonanie. Bądź za to błogosławiony na wieki!

Już blisko miesiąc, od wigilii św. Macieja do wigilii św. Józefa, mieszkaliśmy w tym szpitalu <sup>1)</sup>, wciąż szukając domu; ale wszystkie, które nam ofiarowano na sprzedaż, tyle różnych

---

<sup>1)</sup> Święta cały ten czas, jak widzieliśmy wyżej, mocno była cierpiącą, nieustannie trawiona silną gorączką. Pokój, w którym leżała, zimny był i źle opatrzone, łóżko krótkie i twarde. Cierpiąca ciągle nudności i za każdym kęsem, który spożyła, krew jej się rzucała z rany, którą miała w gardle. Wszystko to znosiła z niezmaconą nigdy pogodą i cierpliwością, a siostrą zafrasowaną o nią mówiła:—„Nie litujcie się tak bardzo nademną; więcej Pan nasz cierpiał, gdy Go ociem i żółcią napawano; ja tu mam łóżko roskoszne, a On wisiał rozpięty na krzyżu.“—Pewnego razu objawiła chęć skosztowania pomarańczy, dla pobudzenia apetytu. Siostry podały jej kilka pomarańcz bardzo pięknych, przysłanych przez Katarzynę de Tolosa. Święta schowała je za rękawy habitu, i pod jakimś pozorem wyszedłszy z pokoju, zesłała prosto do sali ogólnej i pomarańcze swoje chorym rozdała, a siostrą wymawiającą jej, że tak nie o sobie nie pamięta, odpowiedziała:—„Nie dla siebie chciałam tych pomarańcz ale dla tych biednych; najlepsza to dla mnie ulga, gdy im mogę przynieść jaką ulgę w ich cierpieniach.“—W sali ogólnej leżał jeden chory, cierpiący gwałtowne boleści, i jękami, i głośnym krzykiem mieszający spokój drugim. Święta przystąpiła do niego i rzekła:—„Czemu tak krzyczysz, moje dziecko? czemu nie starasz się dla miłości Boga cierpliwiej znosić boleści twoje?“—To rzekłszy, poleciła go Bogu, a tejże chwili bole jego uśmierzyły się i krzyki jego ustały. W ciągu niespełna cztertygodniowego pobytu swego w tym szpitalu, święta taką sobie u chorych ufność i miłość zjednała, że ciągle ją do siebie wzywali, twierdząc, że sam widok jej ulgę im przynosi; a gdy po miesiącu szpital opuszczała, żal i płacz ją żegnał powszechny. (Ob. Ribera, Yepes).

przedstawiały niedogodności, że żadnego z nich wybrać nie mogliśmy. Mówiono mi o domu jakiegoś pana, od dłuższego już czasu wystawionym na sprzedaż; dziwnem zrządzeniem Bożem stało się, że choć tyle na raz zakonów w tymże czasie, jak mówiłam wyżej, szukało domu dla siebie, ten żadnemu z nich się nie spodobał, czemu dzisiaj wszyscy się dziwią, a niektórzy nawet i żałują. Słyszałam była o tym domu od dwóch znajomych, ale wobec niekorzystnego o nim zdania wielu innych, miałam go za całkiem dla nas nieprzydatny i już o nim zgoła nie myślałam. Aż pewnego razu, w ciągu rozmowy z doktorem Aguiar, przyjacielem, jak mówiłam, naszego Ojca, w której tenże,—choć z serdeczną życzliwością, nie szczędząc trudu swego, chodził wszędy szukając domu dla nas,—oznajmiał mi ze smutkiem, że na próżno wiele domów oglądał i w całym mieście nic nie znalazł i prawie już zwątpił, czy będzie podobna co znaleźć: nagle mi się przypomniał on dom, który już byliśmy, jak mówiłam, odrzucili, i przysła mi myśl, że chociażby ten dom był tak niedogodny, jak go nam przedstawiano, zawsze jednak, z uwagi na nagłą w jakiej jesteśmy potrzebie, możemy w nim znaleźć choć tymczasowe schronienie, a potem go odprzedać. Objawiłam tę myśl moją doktorowi Aguiar, prosząc go, by raczył potrudzić się jeszcze i dom ten obejrzeć. Spodobał mu się mój pomysł, a że domu tego nie znał, więc, nie zważając na przykrą i ostrą tego dnia nie pogodę, postanowił zaraz tam pójść i poszedł. Lokator, w tym domu mieszkający i zamierzonej sprzedaży jego przeciwny, nie chciał go wpuścić do środka; ale położenie domu i całe, o ile je mógł zewnątrz osądzić, urządzenie jego bardzo się doktorowi spodobało; zaczęłam też na słowo jego postanowiliśmy wejść w układy o kupno. Właściciel nie był obecny w mieście, ale pełnomocnictwo do sprzedaży domu był pozostawił pewnemu pobożnemu kapłanowi, który, z łaski Boga najżyczliwszą ożywiony chęcią ułatwienia nam tego kupna, w całym toku układów z wielką postąpił z nami szczerością. Umówiliśmy się, że naprzód sama dom ten obejrzę; pojechałam więc na miejsce i tak go znalazłam dla nas dogodnym, że cho-

ciężby dwakroć tyle zań żądano, za ile nam go ofiarowano, jeszczeby mi się zdawało, że to bardzo tanio. Nie przesadzam bynajmniej, czego najlepszym dowodem to, że dwa lata przedtem rzeczywiście ofiarowano właścicielowi cenę w dwójnasób wyższą, a on jej nie chciał przyjąć. Zaraz nazajutrz przyszedł do mnie ten kapłan razem z doktorem, który również zdziwiony, że właściciel na tak umiarkowanym szacunku poprzestaje, od razu chciał zawrzeć umowę. Zrobiłam mu uwagę, że niektórzy z przyjaciół naszych, których się radziłam, znajdują, że cena żądana jest o pięćset dukatów za wysoka; ale on, obstając przy swoim, upewniał mię, że choć zapłacę co do grosza tyle, ile właściciel żąda, zawsze to będzie tanio; ja też zupełnie podzielałam jego zdanie, owszem zdawało mi się, że to prawie za darmo, i gdyby tylko o mnie chodziło, nie wahałabym się ani chwili z dobiciem targu; ale że szacunek miał być zapłacony z funduszów zakonu, uważałam sobie za obowiązek starać się o uzyskanie ceny jaknajniższej. Było to w wigilię św. Józefa, jeszcze przed Mszą świętą; uprosiłam ich więc, by po Mszy do mnie wrócili, dla ukończenia sprawy. Doktor, człowiek rozumny i bystry, nalegał o pośpiech, dobrze to widząc, że gdyby rzecz się przewlokła i stała się głośną, wypadłoby nam zapłacić dużo drożej, albo może i samożkupno jużby nie przyszło do skutku; wziął więc od tego kapłana słowo, że niezawodnie zaraz po Mszy znowu do mnie się zgłosi. My tymczasem poszłyśmy na Mszę świętą, polecając sprawę naszą Bogu; a Pan rzekł do mnie: — „Troską o pieniądze dajesz się wstrzymywać?“—dając mi do zrozumienia, że dom ten będzie dla nas odpowiedni i że powinniśmy go nabyć. Siostry już przedtem gorąco prosiły św. Józefa, by na dzień swój święty darował im dom, i święty nasz Ojciec wysłuchał ich prośby, choć gdy ją zanosily, nie było jeszcze ani widoku, by tak prędko spełnić się mogła. Wszystkie one nalegały na mnie o rychłe zawarcie umowy i stało się zadość ich żądaniu. Doktor, wracając do nas, we drzwiach spotkał notaryusza, jakby Pan umyślnie dla nas go na tę chwilę przysłał; zaraz go zabrał z sobą i do nas wprowadził, oznajmując mi, że trzeba kończyć bez straty czasu; sprowadził świadków, zamknął drzwi

od sali, bojąc się, by nas kto obcy nie podsłuchał: i tak, dzięki niestrudzonej i rozumnej gorliwości tego zacnego przyjaciela, w wigilię św. Józefa, jak mówiłam, akt sprzedaży i kupna naszego domu spisany i podpisany został według wszelkich wymagań prawa.

Na mieście, skoro wieść o tem się rozeszła, wielkie powstało zdziwienie, że dom ten dostał się nam tak tanio; zjawili się ochotnicy do kupienia go; mówiono głośno, że pełnomocnik zmarnował własność swego mocodawcy, że trzeba zerwać kontrakt, że stało się jawne oszukaństwo. Nie mało dobry nasz kapłan miał do zniesienia z tego powodu. Doniesiono zaraz o tem, co zaszło, właścicielom, to jest temu panu możnemu, o którym mówiłam, i żonie jego, również ze znacznego rodu pochodzącej; lecz oboje ci państwo nie tylko nie chcieli podnosić żadnego zarzutu przeciw umowie z nami zawartej, ale raczej ucieszyli się bardzo, że dom ich zamieni się w klasztor, i bez żadnych trudności, które zresztą nicby już nie pomogły, zgodzili się na wszystko. Zaraz nazajutrz nastąpiła wymiana kontraktów; złożyliśmy trzecią część szacunku, z niejaką jeszcze nad umowę nadwyżką, czem choć byliśmy nieco poszkodowane, wszakże dla miłości tego poczciwego kapłana, który nas o to prosił, przystaliśmy na to żądanie jego.

Może to się komu wyda niewłaściwem, że tak szeroko i z takimi szczegółami się rozwodzę nad kupnem tego domu. Ale wszystkim, prawdziwie rzecz mogę, którzy na tę sprawę z bliska patrzali, cały jej przebieg wydawał się jakby cudownym: i ta dziwna niskość ceny, i to dziwniejsze jeszcze zaślepienie tylu różnych osób zakonnych, które wszystkie ten dom oglądały, i żadna go dla zgromadzenia swego wziąć nie chciała, i samychże mieszkańców miasta, którzy nigdy przedtem na ten dom, jak gdyby go nie było, uwagi nie zwracali, aż teraz dopiero ze zdziwieniem spostrzegli, jaki to dobry i wygodny dom, i tym, którzy go łatwo dostać mogli, a nie chcieli, niebacznosc ich i nierozum wytykali. Było między nimi jedno zgromadzenie żeńskie, szukające schronienia dla siebie, i drugie dwa, jedno tylko co założone, drugie przybyłe

z dalszych stron, skutkiem pożaru, w którym klasztor jego był spłonął, i jakaś pani bogata, która, chcąc założyć klasztor, na krótko przed nami była ten dom oglądała i nie znalazła go odpowiednim; wszyscy oni teraz bardzo nieuwagi swojej żałują. Wrzawa niesłychana, jaką to kupno nasze sprawiło w całym mieście, pokazała nam jasno, jak wielką miał słusność zacyt nasz doktor Aguiar, że tak nastawał o to, by rzecz się zrobiła potajemnie a prędko; jemu. po Bogu, prawdziwie rzecz mogę, dom nasz zawdzięczamy. Umysł dojrzały i poważny wielką jest pomocą do wszystkiego: doktor nasz posiadał go w wysokim stopniu, więc przy serdecznej, jaką mu Bóg dał dla nas życzliwości, szczęśliwie za łaską Jego sprawy tej dokonał. Potem jeszcze przeszło miesiąc trudził się dla nas, pomagając nam w urządzeniu domu i podając myśli i wskazówki, aby wszystko zrobiło się dobrze a tanio. Widocznie Pan zachowywał ten dom dla siebie, abyśmy Go w nim chwalili, tak przedziwnie położenie i cały rozkład jego, jakby umyślnie dla nas przygotowany, odpowiadał wszelkim potrzebom naszym; gdym go w tak krótkim czasie ujrzała gotowym na przyjęcie nasze, prawdziwie zdawało mi się, że to sen. Zaiste, sownie Pan wynagrodził nam za to, cośmy przecierpiał, dając nam taki dom, z takim ogrodem i z taką obfitością wody, i takim pięknym widokiem, że prawdziwie rokosz w nim mieszkać. Niech Mu będzie chwała i dziękczynienie na wieki. Amen.

Arcybiskup, niebawem uprzedzony o wszystkim, ucieszył się bardzo, że nam się tak szczęśliwie powiodło, przypisując pomyślny ten skutek swojemu względem nas uporowi. w czym miał wielką słusność. Napisałam do niego, wyrażając mu radość moją, iżem zdołała go zadowolnić i zapewniając go, że postaram się jaknajspieszniej doprowadzić dom nasz do porządku, dla otrzymania już wreszcie od niego łaski upragnionej. Ale i bez tego pilno mi było przenieść się, zwłaszcza gdy mię ostrzeżono, że, do czasu spisania jakichś tam dokumentów, chcąc nas jeszcze w dawnym mieszkaniu zatrzymać. Lubo więc lokator, zajmujący ten dom, jeszcze nie był ustąpił, i nieco jeszcze czasu upłynęło, nim zdołałyśmy go wyrugować, my jednak nie czekając przeniosłyśmy się, zajmując tymczasowo



jedną część domu, dla nas opróżnioną. Arcybiskup, jak mi zaraz doniesiono, mocno był nierad z tego pośpiechu mego; postarałam się, jak mówiłam, uspokoić go i udobruchał się, bo dobre ma serce i, choć łatwo zagniewa się, gniew jego prędko przemija. Potem znowu gniewał się, gdy mu doniesiono, że urządziliśmy sobie kratę i koło; zdawało mu się, że to postępek samowolny, jakobym chciała usadowić się, nie czekając upoważnienia od niego; napisałam znowu, tłumacząc mu, że wcale nie miałam tego zamiaru, o który mię posądza; że kratę i koło urządziłam, bo żaden klasztor żeński bez nich być nie może; ale że zresztą krzyża nawet nad domem umieścić nie śmiałam, aby się nie zdawało, że chcę działać własną powagą, bez niego, i tak było istotnie.

Mimo wszelką, jaką nam arcybiskup okazywał, życzliwość, z wydaniem jednak pożądanego od tak dawna pozwolenia wciąż jeszcze się ociągał, i nie było sposobu wydobyć je od niego. Przyjechał zwiedzić dom nasz, który bardzo mu się spodobał; okazał nam wiele łaskawości, ale pozwolenia nie dał; zrobił nam tylko nieco lepszą nadzieję, że je otrzymamy, jak tylko załatwią się nie wiem jakie jeszcze układy z Katarzyną de Tolosa i odpowiednie dokumenty się spiszą. Wielką była obawa, by go w końcu całkiem nie odmówił; ale szczęściem doktor Manso, drugi on, o którym mówiłam wyżej, przyjaciel O. prowincyała, nie wypuszczał nas z swej opieki i, korzystając z swojej z arcybiskupem zażyłości, przy każdej sposobności przypominał mu prośbę naszą i nalegał nań, aby jej wreszcie zadość uczynił. Bardzo go to bolało, że i tu znowu zmuszone byłyśmy szukać Mszy świętej na mieście; bo choć była w domu kaplica, w której dla uprzednich właścicieli sprawowała się Najświętsza Ofiara i która nigdy do innego użytku nie służyła, nam jednak arcybiskup za nic nie chciał pozwolić, byśmy w niej miały Mszę świętą, i tak potrzeba nam było co niedzielę i święto chodzić na nabożeństwo do kościoła; szczęściem, że przynajmniej miałyśmy go blisko, i taki stan rzeczy trwał bez zmiany od dnia naszego przeniesienia się do tego domu, aż do chwili ostatecznego w nim dokonania fundacyi, to jest mniej więcej cały miesiąc. Wszyscy teologowie zga-

dzali się na to, że nie masz żadnej racji, aby Msza święta nie mogła i teraz odprawiać się w tej kaplicy, jak odprawiała się przedtem, i arcybiskup, sam wielki teolog, tak samo to uznawał jak i drudzy; snać więc odmowa jego nie miała inszej przyczyny, jedno tę, że Pan chciał, byśmy cierpiali. Co do mnie, dość łatwo znosiłam tę próbę; ale między siostrami była jedna, której ta konieczność wystawiania się na widok publiczny tak głęboko szła do serca, że, wychodząc na ulicę, cała się trzęsła od wzruszenia.

Dopełnienie wymaganych formalności nie mało nas biedy kosztowało; raz zgadzano się przyjąć od nas porękę, drugi raz znowu żądano gotowych pieniędzy i wiele innych robiono nam trudności. Nie tyle temu był winien arcybiskup, ile raczej jego oficyał; ten jawną i zawziętą toczył z nami wojnę, i gdyby go Pan nie był w porę sprowadził z tej drogi i skierował na lepszą, snać sprawa nasza nigdy nie byłaby doszła do końca. O, ileż w tych przejściach wycierpiała Katarzyna de Tolosa! niepodobna tego i wypowiedzieć. Ale wszystko to znosiła z taką cierpliwością, że się nad nią zdumiewałam, a przytem wciąż z niestrudzoną troskliwością pamiętała o nas i potrzebach naszych. Dała nam zupełną wyprawę na urządzenie się w domu, łóżka i sprzęty i wszelkie inne potrzeby; dom jej zamóżny sownie był w to wszystko zaopatrzone, ale hojność, z jaką nam tych rzeczy dostarczała, jawnie świadczyła o jej dla nas poświęceniu, iż wolałaby raczej, by u niej czego zabrakło, niż gdybyśmy miały w czemkolwiek cierpieć niedostatek rzeczy potrzebnych. Niejedną miałyśmy fundatorkę i niejedną na założenie nam klasztoru dużo więcej wydała pieniędzy; ale takiej, któraby poniosła choćby dziesiątą część tych przykrości i utrapień, jakie dla nas wycierpiała Katarzyna, nie było żadnej. Gdyby nie to, że miała dzieci, na które musiała się oglądać, cały swój majątek byłaby nam oddała, a tak gorąco pragnęła szczęśliwego dokonania tej naszej fundacyi, że wszelkie jej w tym celu ofiary i trudy wydawały się jej jakby niczem.

Widząc, że temu zwlekaniu nie masz końca, napisałam do biskupa Palencyi, prosząc go, by znowu wstawił się za na-

mi do arcybiskupa. Biskup był mocno zażalony na niego, całe jego postępowanie z nami za osobistą sobie poczytując obrażę, kiedy przeciwnie arcybiskup, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, nigdy najmniejszym znakiem nie okazał, by poczuwał się do tego, że nam czyni krzywdę. Prosiłam więc biskupa by jeszcze raz napisał do niego, przedstawiając mu, że kiedy już mamy dom i spełniłyśmy wszystko, czego żądał, jemu też należałoby już dotrzymać tego, co obiecał. W skutek tej prośby mojej, biskup przysłał mi do niego list otwarty, ale pisany w formie tak stanowczej, że oddanie jego byłoby zepsuło całą sprawę; jakoż i doktor Manso, u którego się spowiadałam i którego zdania we wszystkim zasięgałam, nie radził mi go oddawać; bo choć w wyrazach, owszem bardzo umiarkowanych, nic nie było ubliżającego, w treści swojej jednak list ten wypowiadał pewne prawdy, któremi arcybiskup, taki już mając charakter, łatwo mógł się obrazić. Już i bez tego markotny był na biskupa za niektóre uwagi, jakie mu tenże był przysłał, choć do tego czasu w najlepszej z sobą żyli przyjaźni. Winę tego poróżnienia mnie przypisywał i w tej myśli powiedział mi kiedyś, że jak przez mękę Pana naszego przyjaciółmi się stali ci, którzy przedtem byli sobie nieprzyjaciółmi, — to jest Piłat i Herod, — tak przeciwnie przezemnie dawna przyjaźń jego z biskupem zamieniła się w nieprzyjaźń; na co mu odpowiedziałam tylko, że może z tego się przekonać, jaka ja jestem. Zdaje mi się jednak, że wszelkiego z mojej strony dokładałam starania, aby poróżnieniu między nimi zapobiedz. W tym też celu na nowo udałam się do biskupa z błagalną prośbą, popierając ją wszelkimi, na jakie zdobyć się mogłam, racyami i stawiając mu przed oczy, że chodzi tu o chwałę Bożą, aby drugi, jaknajprzyjaźniejszy list do arcybiskupa napisał. Spełnił prośbę moją, choć nie bez wielkiej trudności; ale mając przedewszystkiem na względzie chwałę Bożą i chcąc mnie dogodzić, jak to niezmiennie przez całe życie swoje czynił, zadał sobie gwałt i napisał tak, jak prosiłam, oznajmiając mi jednak przytem, że wszystko, cokolwiek kiedybądź dla zakonu naszego uczynił, nie tyle go kosztowało, ile napisanie tego listu. Bądź co bądź, list ten trafił wreszcie do serca arcybisku-

powi, a doktor Manso dokonał reszty, popierając go życzliwymi dla nas uwagami i usilnemi przedstawieniami swemi. Tak więc arcybiskup dał nakoniec pozwolenie i posłał z niem do nas zacnego Ferdynanda de Matanza, który je z niemałą radością nam przyniósł. A właśnie tego dnia siostry więcej niż kiedybądź były zgnębione, i kochana nasza Katarzyna de Tolosa tak już upadała na duchu, że nie wiedziałam, jak ją pocieszyć, i ja sama też, choć cały ten czas nie zachwiałam się była w mej ufności, ostatniej nocy zaczynałam tracić nadzieję; tak to snać Pan chciał nas przygotować do radości, którą miał niebawem nam zesłać, dopuszczając na nas na chwilę przedtem cięższe strapienie. Niech będzie pochwalone i błogosławione imię Jego na wieki wieczne, amen.

Doktorowi Manso arcybiskup dał upoważnienie do odprawienia u nas nazajutrz Mszy świętej i wprowadzenia Najświętszego Sakramentu. On więc pierwszy w kaplicy naszej spełnił Najświętszą Ofiarę. Po nim, z wielką uroczystością i z udziałem muzykantów, którzy sami niewzywani byli się zgłosili, odprawił Sumę O. przeor od św. Pawła, z zakonu dominikańskiego, któremu to zakonowi, równie jak i Towarzystwu Jezusowemu, zgromadzenie nasze bardzo wiele zawdzięcza. Wszyscy przyjaciele nasi byli bardzo ucieszeni; cieszyło się z nimi, rzec można, prawie całe miasto, bo powszechnie nas żałowano, widząc nas w takiej poniewierce, i ostro przymawiano arcybiskupowi za jego z nami postępowanie, tak iż nieraz to, co przy mnie na niego wygadywano, więcej mię bolało, niż to, co sama cierpiałam. Radość niezmierna dobrej naszej Katarzyny de Tolosa i wszystkich sióstr, prawdziwem była dla mnie zbudowaniem. — „Panie, wołała, czegoż więcej pragną te służebnice Twoje, jedno tego by mogły Tobie służyć i być i pozostać więźniami dla miłości Twojej w tem świętem zamknięciu, którego już nigdy nie opuszczą?“ — Nikt nie zrozumie, kto sam tego nie doświadczył, jak wielkie jest uszczęśliwienie nasze, gdy, za dokonaniem takiej fundacyi, ujrzymy się wreszcie za klauzurą, za którą nie może mieć wstępu żadna osoba świecka. Jakkolwiek miłujemy wszystkich, którzy żyją w świecie, nigdy jednak towarzystwo ich nie zdoła nam zastąpić tej

wielkiej pociechy, jaką nam daje samotność. Jako ryba pojmana w sieci i wyciągnięta z wody żyć nie może, chyba że puszczą ją na powrót do wody, tak jest, rzec mogę, i z duszą powołaną do tego, by żyła zanurzona w źródłach Oblubieńca swego: zarzuć na nią sieci, wyciągnij ją z tej toni Bożej i każ jej patrzeć na rzeczy tego świata, a obaczysz, że życie prawdziwie już dla niej nie jest życiem, dopóki jej nie będzie dano wrócić do onego żywiołu swego. O tem się przekonywam na każdy dzień, patrząc na wszystkie te, ile ich jest, siostry nasze; o tem mię przekonywa i własne doświadczenie. Któraby zaś czuła w sobie tęsknotę do wychodzenia między ludzi świeckich, albo do częstych z nimi rozmów, taka słusznie się bać o siebie powinna: śnać nie zakosztowała nigdy onej wody żywej, o której Pan mówił w swej Boskiej rozmowie z Samarytanką; śnać ukrył się przed nią Oblubieniec, i sprawiedliwie: skoro jej mało tego, że wolno jej się cieszyć towarzystwem Jego. Ja przynajmniej boję się o taką duszę i dwojaki do tego widzę powód: bo albo ona obrała sobie ten stan nie dla czystej jedynie miłości Jego, albo też, obrawszy go sobie, nie rozumie tej wielkiej łaski, jaką Pan jej uczynił, iż raczył ją wybrać dla siebie i uchronił ją od poddaństwa pod władzę męża, pod którą niejedną czeka utrata zdrowia i życia, a dałby Bóg, by nie utrata i duszy. O prawdziwy Człowieku, i prawdziwy Boże, Oblubieńcze mój! czy mała to łaska i czy godzi się lekce ją ważyć? Chwalmy Go, siostry moje, iż nam tę łaskę uczynił; bezustannie wysławiajmy tego wielkiego Pana i Króla, iż za trochę cierpienia i trudu, który nam osładza tysiącem pociech, a który skończy się jutro, zgotował nam królestwo, które się nigdy nie skończy. Niechaj będzie błogosławiony na wieki, amen, amen!

W kilka dni po założeniu naszego domu, naradziwszy się z O. prowincyałem, przyszlismy, on i ja, do wniosku, że fundusz darowany przez Katarzynę de Tolosa, czyli dochód roczny na utrzymanie tego klasztoru, przedstawia pewne niedogodności, że może dać powód do jakiego procesu i tem samem spowodować na nią jakie nieprzyjemności. Uznaliśmy zatem, że lepiej nam zdać się z ufnością na Opatrzność Boską, niżby ona

miała z naszego powodu doznawać przykrości. W tej myśli, nie mówiąc już o innych jeszcze względach, które nas do tego skłaniały, na ogólnem zgromadzeniu wszystkich siostr i z upoważnienia O. prowincyała, zrzekłyśmy się przed notaryuszem dochodu, przez nią nam darowanego, i wszystkie dokumenta jej zwróciłyśmy. Odbyło się to w największym sekrecie, aby arcybiskup nie dowiedział się o tym kroku naszym i nie wziął go nam za złe, choć w rzeczy samej krok ten dla nas tylko i dla tego domu był uciążliwym. O klasztor, o którym wiadomo, że żadnych nie ma dochodów i utrzymuje się tylko z jałmużny, niema co się obawiać, bo każdy go wspomóże; ale gdy o nim jest powszechnie mniemanie, że ma dostateczne uposażenie, choć w istocie go nie ma, jak to było z tym naszym, taki klasztor łatwo może być narażony na głód. Naszemu właśnie, jak mogło się zdawać, groziło to niebezpieczeństwo, na razie przynajmniej, bo na przyszłość Katarzyna de Tolosa była już dla niego obmyśliła sposób, aby po jej śmierci miał zapewnione utrzymanie. Dwie córki jej, które w tym roku miały uczynić profesyę w klasztorze naszym w Palencyi, były się zrzekły majątności swoich na rzecz matki; otóż ona unieważniła to zrzeczenie się na jej imię i dała je przepisać na rzecz tego domu naszego w Burgos. Prócz tego, trzecia jej córka, która postanowiła wstąpić do nas tutaj, zapisała klasztorowi część przypadającą na nią po ojcu i po matce; dwa te zapisy razem stanowiły sumę, równającą się dochodowi, wyznaczonemu nam pierwotnie przez Katarzynę; w tem tylko trudność, że klasztor nie może zaraz wejść w ich używalność<sup>1)</sup>. Mimo to jednak miałam zawsze i mam tę ufnosć, że siostry nie będą

---

<sup>1)</sup> Trudność ta wkrótce potem sama przez się ustała, gdy Katarzyna de Tolosa, oddawszy Karmelowi wszystkie siedmioro dzieci swoich, pięć córek i dwóch synów, i sama za niemi do tegoż zakonu wstąpiwszy, wszystkie dobra swoje klasztorowi w Burgos zapisała. Jeszcze przed założeniem tego klasztoru, dwie córki jej, jak o tem była wzmianka wyżej, Katarzyna od Wniebowzięcia i Kasylda od św. Anioła, wstąpiły do klasztoru w Waliadolidzie; drugie dwie, Maryę od św. Józefa i Izabellę od św. Trójcy, oddała do klasztoru w Palencyi; po założeniu klasztoru w Burgos, oddała mu piątą cór-

tu cierpiał niedostatk; jako innym klasztorom, założonym bez stałych dochodów, Pan zsyła jałmużny potrzebne, tak i tu wzbudzi serca litościwe, które domowi temu przyjdą w pomoc, albo też innym jakim sposobem potrzebom jego zaradzi. Nie przeczę wszakże, że wyjątkowe to położenie jego, bo żadna jeszcze z fundacyi naszych nie była powstała w takich jak ta warunkach, nasuwało mi niekiedy pewne o dalszy byt jego obawy; w takich chwilach uciekałam się do Pana z błagalną modlitwą, aby jako sam chciał założenia tego klasztoru, tak też sam raczył zrzadzić co potrzeba, aby dzieło Jego istnieć mogło i nie cierpiało niedostatk rzeczy do utrzymania jego

---

kę swoją, Helenę od Jezusa. Na krótko przed obłóczynami tej ostatniej, syn starszy, Sebastyan, wstąpił do klasztoru w Pastrana; mężna matka sama go odwiozła i ofiarowała Panu. Nakoniec, r. 1587, sama wraz z drugim synem Janem przywdziała w Palencyi święty habit Karmelu. Jan udał się do Waliadolidu, dla odbycia nowicyatu; Katarzyna pozostała w Palencyi, gdzie lud miejscowy, świadek siódmej z rzędu ofiary tej bohaterkiej matki, już wówczas począł czcić ją jak świętą. W rzeczy samej, blaskiem nadzwyczajnych cnót swoich i przykładem świętości swojej, Katarzyna od Jezusa, jak się nazywała w zakonie, stała się ozdobą, światłem i pociechą klasztoru w Palencyi. Sama z sobą obchodząc się z przerażającą surowością i do bohaterskiego stopnia posuwając umartwienia swoje, drugim okazywała pobłażanie i miłość bez granic. Przez kilka lat sprawując rządy klasztoru, prawdziwą była dla wszystkich córek swoich pełną dobroci i poświęcenia matką i zarazem, w każdej z nich czeując z radością oblubienicę umiłowanego nad wszystko Pana swego, najpokorniejszą wszystkich służebnicą. Nareszcie, po jedenastu latach takich wciąż rosnących cnót i zasług, otrzymała od Pana objawienie o bliskim końcu swoim. Łatwiej odgadnąć niż opisać radość, jaką to objawienie i pewność rychłego wyzwolenia z tego wygnania ziemskiego musiały napełnić taką duszę, Bogu tylko żyjącą. Dnia 2 lutego 1608, w dzień Nawiedzenia N. P. Maryi, zapadła na niemoc, która miała położyć koniec życiu jej śmiertelnemu. Zawiadomieni o groźnym jej stanie, oba synowie, Sebastyan od Jezusa, naówczas przeor klasztoru w Waliadolidzie, i Jan Chryzostom, profesor teologii w Salmantyce, przybiegli do łoża umierającej matki. Było to spotkanie i pożegnanie godne świętych: nie folgowaniem przyrodzonym uczuciom żalu i smutku zasępienie, ale jasnością wspólnej wiary i zapalem Ducha Świętego rozpromienione, w którym jedyna między matką, z miłości Boga więcej niż z choroby umierającą, a synami, słowem kapłańskim żar tej miłości jeszcze podniecającymi, rozmowa była o nieskończonej piękności i dobroci Tego, który za chwilę oblubienicy swojej bramy przybytków swoich otworzy. Gdy po przyjęciu z rąk O. Sebastyana ostatnich Sakramentów dłuż-

niezbędnych. Z tego też powodu zwlekałam z wyjazdem, nie chcąc nowego domu tego opuścić, pókiby się nie nadarzyła jaka aspirantka z posagiem. Aż pewnego dnia, gdy po Komunii znowu byłam zajęta temi myślami, Pan rzekł do mnie:— „Czego się frasujesz? to już rzecz załatwiona; możesz spokojnie odjechać,“—dając mi do zrozumienia, że siostry będą miały z czego żyć i że nie zabraknie im rzeczy potrzebnych. Słowa te tak mię uspokoiły, że gdybym widziała gotowe dla sióstr i zapewnione najobfitsze dochody, nie opuszczałabym ich z większym o utrzymanie ich spokojem. Zaraz też zabrałam się do odjazdu, bo w tym domu zdawało mi się, że już nie mam

---

szy czas trwała milcząca i nieruchoma w ekstazy z Panem w niej obecnym rozmowie, rodzeństwo obecne, to jest dwaj synowie i dwie córki, w tymże z matką klasztorze Bogu poślubione, przerwali to długie jej milczenie i, klękając dokoła jej łoża, prosili jej o błogosławieństwo dla siebie i dla trzech sióstr nieobecnych. — „Mnie to raczej, rzekła na to do synów pokorna służebnica Boża, mnie to raczej błagać was, byście mi pobłogosławili i odpuścili mi wszystkie zgorzenia, jakie wam dałam i żyjąc jeszcze na świecie, i tu w zakonie“. W chwilę potem cicho i pogodnie Bogu ducha oddała. Było to w niedzielę, 13 lipca 1608 r. Żyła lat 70, z których 48 na świecie a 22 w Karmelu. Spodobało się Bogu zaraz po śmierci wsławić przed ludźmi wierną służebnicę swoją. Ciało jej, niepokalany nigdy od chwili Chrztu przybytek Ducha Świętego, za życia wiekiem, umartwieniami, chorobą wyniszczoną, w chwili skonania dziwnego nabrało wdzięku, jakby już w wiekuistą młodość chwalebne go zmartwychwstania przyobleczoną; oblicze jej, wychudłe za życia i wymizerniałe, przedziwną się krasą rozpromieniło, jakby aureolą nadziemskiego blasku otoczone, a słodka woń z członków jej wynikająca i całą celkę śmiertelną napełniająca, radosnem zdumieniem i rzewną czcią przejmowała obecnych. Do zwłok jej, w ubogim habicie karmelickim wystawionych, tłumy ludu z bliska i z daleka przybiegały, nie mogąc się napatrzeć widoku niebiańskiej pogody i jasności na tem martwym obliczu rozlanej; wszyscy ją wielbili jako świętą, zwali ją drugą św. Synforozą albo Felicytą. I w rzeczy samej, jak one dwie bohaterkie matki siedmiu synów swoich ochotnie dla miłości Chrystusa oddały na straszliwe choć krótkie męki ciała, tak i ta niewiasta mężna siedmioro dzieci swoich i samą siebie z niemi ofiarowała Bogu na trudniejsze może, bo dłuższe, męczeństwo miłości, w nieustającym aż do śmierci zaprzaniu siebie i cierpieniu życia zakonnego, w którym błogosławione ono rodzeństwo, wraz z matką, Pana i Oblubienicę swego wsławiło cnotami prawdziwie bohaterskimi i ustawiczną, w życiu i w śmierci, z samych siebie na chwałę Boga ofiarą.



co robić, że tylko wczasu i roskoszy używam, bo było mi tam bardzo dobrze, gdy przeciwnie w innych klasztorach, choć mię tam czekało więcej pracy i trudu, obecność moja mogła jeszcze na co się przydać.

Arcybiskup i biskup Palencyi od tego czasu pozostali serdecznymi przyjaciółmi. Dla nas też arcybiskup stale odtąd okazywał się bardzo łaskawym. Sam osobiście dał habit córce Katarzynie de Tolosa i drugiej siostrze, która wraz z nią do tego klasztoru naszego wstąpiła. Znalazło się także kilka osób miłosiernych, które dotąd hojnie ubóstwo nasze wspierają; tak i nadal Pan nie dopuści, by oblubienice Jego głód cierpiały, jeśli jedno one Mu służyć będą, jak to jest ich obowiązkiem. Niechaj On raczy użyzyć im łaski ku temu wedle wielkiego miłosierdzia swego i nieskończonej dobroci swojej <sup>1)</sup>.

### J E Z U S.

Zdaje mi się, że nie będzie od rzeczy, gdy dodam tu jeszcze, w jaki sposób klasztor św. Józefa w Awili, który był pierwszą fundacją naszą, a którego założenia w tej księdze nie opisuję, bo już je na innem miejscu opisałam <sup>2)</sup>, z pod władzy biskupa miejscowego, pod którą został fundowany, przeszedł pod zwierzchność zakonu.

W chwili założenia tego klasztoru, biskupem w Awili był Don Alvaro de Mendoza, ten sam, który obecnie jest biskupem w Palencyi. Przez cały czas rządów jego w Awili, siostry doznawały od niego nad wszelki wyraz łaskawej opieki i kiedy oddawałyśmy się pod posłuszeństwo jego, Pan stwierdził to postanowienie nasze, mówiąc mi, że—„tak potrzeba,“ jak się to i w dalszem następstwie jasno okazało. We wszystkich kolejach i trudnościach, jakie przechodził nasz zakon, najżyczliwsze za-

---

<sup>1)</sup> Na tem św. Teresa zakończyła swą Księgę Fundacji; potem, z opuszczeniem jednej stronicy próżnej, dopisała jeszcze następujący dodatek.

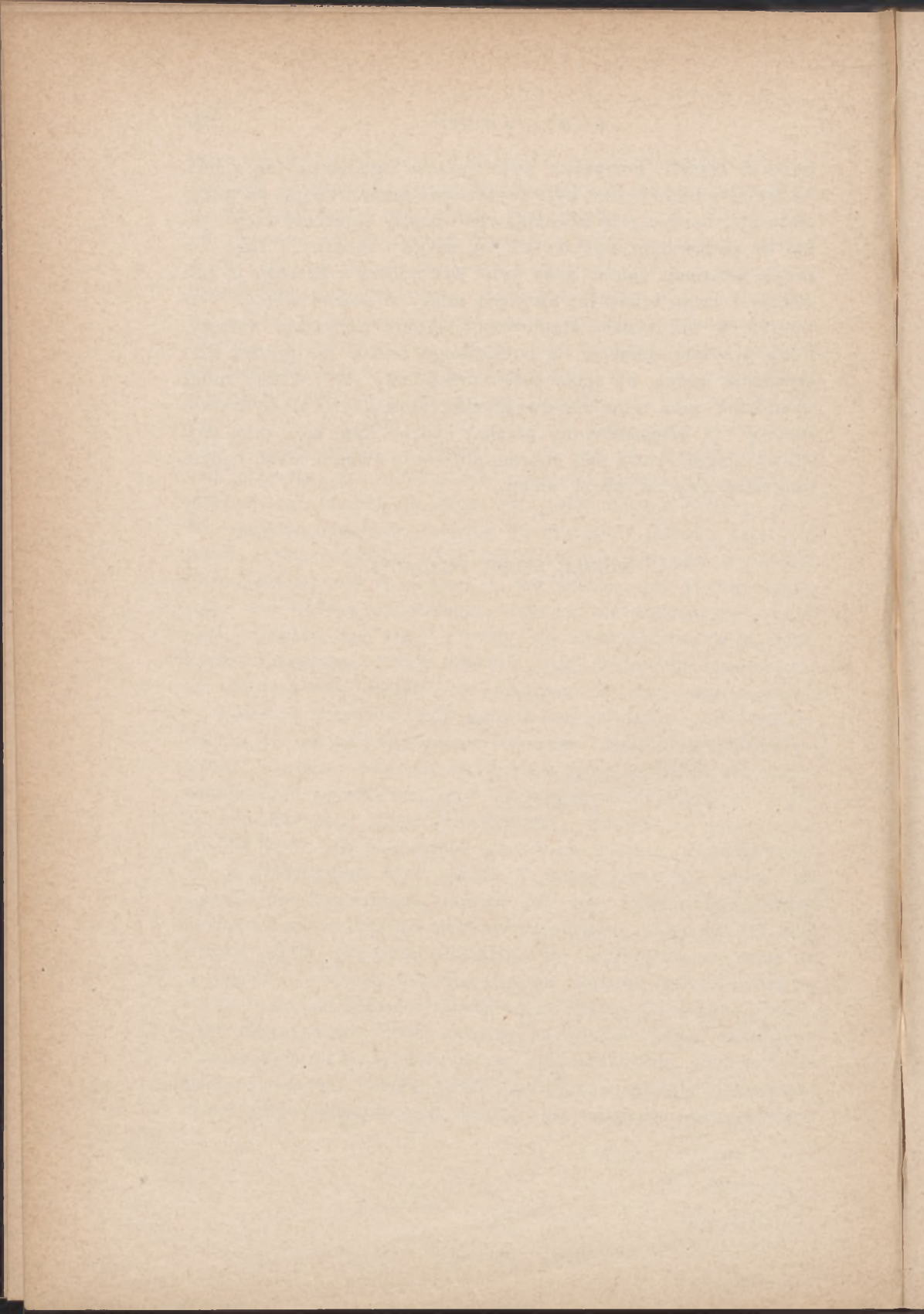
<sup>2)</sup> W księdze Życia.

wsze miałyśmy od niego poparcie i gorliwą obronę; w niezliczonych zdarzeniach jawnie przekonałyśmy się, jak szczęśliwie to się stało, żeśmy się oddały pod władzę jego. Nigdy tego nie dopuścił, by którybądź duchowny wizytował nas w zastępstwie jego; nic się nie działo w klasztorze, jedno z mego, za uprzedniem jego na prośbę moję zgodzeniem się, rozporządzenia. Taki stan rzeczy trwał mniej więcej, nie pamiętam dokładnie, siedmnaście lat, i przez cały ten czas ani mi na myśl nie przyszło starać się o zmianę obediencyi. Po przeniesieniu jednak biskupa awilańskiego na biskupstwo w Palencyi, któregoś dnia, w czasie pobytu mego w klasztorze toletańskim, Pan rzekł do mnie: — „Potrzeba, by siostry klasztoru św. Józefa przeszły pod obediencyę zakonu; postaraj się o to, bo gdybyś tego zaniechała, dom ten rychło uległby rozluźnieniu.“ Nie umiając pogodzić pozornej sprzeczności między tym rozkazem a poprzedniemi, jakie byłam słyszała słowami, w których Pan upewniał mię, że dobrze i pożytecznie, aby siostry zostały pod władzą miejscowego biskupa, nie wiedziałam, co począć. Udałam się więc o radę do spowiednika mego, męża bardzo uczonego, który obecnie jest biskupem Osmeńskim. On dopiero mię objaśnił, że nie mam tu czego się frasować; że wówczas potrzeba było tego, a dziś potrzeba czego innego, jak się to już od tego czasu w bardzo wielu zdarzeniach jawnie i dowodnie okazało; że zdaniem jego, lepiej i bezpieczniej będzie temu klasztorowi, gdy się połączy z drugimi, niż gdyby pozostał sam jeden odosobniony. Poleciał mi zatem udać się do Awili, dla omówienia sprawy na miejscu. Biskup zrazu wręcz przeciwnego był zdania i żadną miarą nie chciał się zgodzić na taką zmianę; dopiero gdy mu wymieniłam główne powody moje, nalegając zwłaszcza na szkody, jakie obecny stan rzeczy, gdyby pozostał niezmienny, mógłby spowodzić na te siostry, które on tak ojcowskiem sercem miłuje, wziął te racje moje pod głębszą rozważę; a że rozum ma bardzo bystry, więc przy pomocy Bożej znalazł inne jeszcze racje, ważniejsze i mocniejsze od tych, które ja mu przedstawiałam, zaczem i postanowił uczynić według prośby mojej, nie zważając już na zarzuty kilku duchownych, którzy go od tego postanowienia

odwieść chcieli. Potrzebne było jeszcze zgodzenie się siostr. Niektóre z nich bardzo były tej zmianie przeciwne; ale że wszystkie one bardzo mię kochają, więc uznały słusność racyi, jakie im podawałam, mianowicie tej, że gdy zabraknie tego biskupa, któremu zakon nasz tyle zawdzięcza i którego ja tak miłuję, i mnie także już nie będą miały w pośród siebie. Ten wzgląd, w ich oczach stanowczy, pokonał wszystkie wstręty, i tak przysła wreszcie do pomyślnego końca ta sprawa nie-  
słuchanie ważna, bo same potem przekonały się, i każdy mógł to widzieć, jaka temu domowi groziła ruina, gdyby się było stało inaczej. O, błogosławiony niechaj będzie Pan, że z taką troskliwą pieczą czuwa nad dobrem służebnic swoich: niech będzie błogosławiony na wieki, amen.

KONIEC KSIĘGI FUNDACYI.

---



# DODATKI.

## DODATEK I.

### Fundacya klasztoru Karmelitek Bosych w Granadzie, opisana przez Wielebną Matkę Annę od Jezusa.

Każesz mi Wasza Przewielebność <sup>1)</sup> opisać fundacyę tego klasztoru Granadeńskiego. Mając głowę osłabioną i pamięć w skutek tego bardzo krótką, nie wiem, czy wszystko sobie przypomnę; ale co pamiętam, to powiem.

W październiku r. 1585 było cztery lata temu, jak O. Jakób od św. Trójcy (Boże świec nad jego duszą) z polecenia Waszej przewielebności przybył jako wikaryusz prowincyański na wizytę klasztoru w Veas. Ja wówczas od trzech czy czterech miesięcy już nie byłam przełożoną tego klasztoru i mocno chorowałam. Nie zważając jednak na zły stan zdrowia mego, O. wizytator począł bardzo na seryo namawiać nas, byśmy przybyły do Granady, dla założenia klasztoru, upewniając nas, że jest tam wiele osób poważnych i panien wielkiego rodu, a bogatych, które go o to prosiły, hojne na ten cel ofiarując jałmużny. W przekonaniu, że dobry Ojciec w prostocie serca swego zbyt łatwo daje wiarę tym świętym nadziejom, odpowiedziałam mu, że, zdaniem mojem, wszystkie one obietnice są to tylko piękne słowa, że gdy przyjdzie do rzeczy, nie z tego nie będzie, że i arcybiskup z pewnością nie da pozwolenia na otwarcie klasztoru, utrzymującego się z jałmużny, kiedy tyle

---

<sup>1)</sup> O. Hieronim Gracian, naówczas prowincyał. — Między listami św. Teresy jest jeden (T. I, n. 65) odnoszący się do tej fundacyi, w którym Święta wyrzeka Wiel. Matce Annie różne błędy, jakie w tej okoliczności popełniła, mianowicie zabranie zbyt wielkiej liczby sióstr, co było jednym z głównych powodów trudności, z którymi ta fundacya miała do walczenia i na które autorka tej relacyi w opowiadaniu swoim się oskarża. Ton tego listu, jak na św. Teresę, jest niezwykle ostry. Pisała go 30 maja 1582, na cztery miesiące przed śmiercią.

już tam jest zakonów i zakonnie, które nie mają z czego żyć, tembardziej, że Granada cała jest w gruzach, a i lata ostatnie bardzo były nieurodzajne. Ojciec, choć zrazu fundacyi, wzięła górę nad niemi i znów ożywiła zachwiane na chwilę nadzieje jego; mówił mi jeszcze, że doktor Laguna, audytor kurji areybiskupiej, wszelką mu pomoc obiecał, a O. Salazar z towarzystwa Jezusowego poufnie go upewniał, że pozwolenie od areybiskupa oni potrafią uzyskać. Wszystko to wydawało mi się bardzo niepewnem, jak i było w istocie. Widząc jednak, że Ojciec tak bardzo o to stoi, usilnie polecałam tę sprawę Bogu, i siostrom także zalceiłam, by błagały Pana o światło, abyśmy poznać mogły, co nam uczynić należy. Wysłuchał Pan w Boskiej swej łaskawości prosby naszej, i raczył mi jasno oznajmić wolę swoją:— „że na teraz w istocie żadnej pomocy ani łaski od ludzi spodziewać się nie mamy; ale jako drugie klasztory założone zostały polegając jedynie na Boskiej Opatrzności Jego, tak i będzie w nim kwitła służba Jego.“ Byłam tylko co po Komunii, gdy to oznajmienie otrzymałam. Wszystkie wątpliwości i zarzuty, jakimi dotąd odpowiadałam na usilne, już od trzech tygodni. nalegania O. wizytatora, znikły od razu, i w samejże chwili przyjęcia Komunii świętej gotowe już było we mnie postanowienie. Wstawszy od modlitwy, rzekłam do siostry Beatryczy od św. Michała, kołowej: „Wierzaj, siostrze, że Bóg chce tej fundacyi naszej w Granadzie; wezwij, proszę, O. Jana od Krzyża, bo chcę mu wyznac na spowiedzi, co Pan mi oznajmił.“ O. Jan od Krzyża, który był moim spowiednikiem, wysłuchawszy wyznania mego, uznał, że potrzeba uprzedzić o tem O. wizytatora, jeszcze przebywającego u nas, aby zaraz napisał do Waszej ojeowskiej Miłości i abyśmy, skoro Wasza Przewielebność dasz pozwolenie, mogły przystąpić do rzeczy. Tegoż dnia jeszcze wszystko ułożyliśmy i wszystkim odezwy potrzebne wystaliśmy, z wielkiem zadowoleniem Ojców i z najmniejszym uradowaniem sióstr, skoro się o postanowionej fundacyi dowiedziały. Oprócz listu do Waszej Przewielebności, napisałyśmy drugi do świętej Matki naszej Teresy od Jezusa, prosząc o wyznaczenie na tę fundacyę czterech sióstr z tamtych klasztorów w Kastylii i błagając ją zarazem, by sama przybyła na założenie tego nowego domu, tak byłyśmy pełne otuchy, że przedsięwzięcie nasze przyjdzie do skutku. Uprosiłyśmy O. Jana od Krzyża, by wraz z drugim zakonikiem pojechał po siostry, zabierając z sobą wszystkie zasoby, jakie im będą potrzebne w podróży. Wyjechał więc Ojciec z Veas i udał się do Awili, do świętej Matki naszej Teresy od Jezusa; stamtąd oboje przez posłańca znieśli się z Waszą ojeowską Miłością, który wówczas znajdował się w Salmantyce. Za przeczytaniem listów naszych, Wasza Przewielebność dała nam pozwolenie, o które prosiliśmy, zdając na świętą Matkę naszą wyznaczenie, według uznania swego, sióstr nam potrzebnych. Wybrała dwie z klasztoru w Awili: Matkę Maryę od Chrystusa, która przez pięć lat była przełożoną tego domu, i siostrę Antoninę od Ducha Świętego, jedną z czterech, które pierwsze przyjęły habit karmelitek Bosych w tymże klasztorze św. Józefa w Awili; z domu zaś toletańskiego, siostrę Beatryczę

od Jezusa, także dawną już zakonnice, a siostrzenicę świętej Matki. Sama jednak, będąc na wyjeździe do Burgos, gdzie w tymże czasie zakładał się klasztor, przybyć nie mogła, jak już przedtem była mię uprzedziła listownie, że do Granady na czas fundacyi nie przyjedzie, mając tę pewność, że Bóg chce, abym ja tej fundacyi dokonała. Mnie się to zdawało rzeczą niepodobną, bym sama jedna, bez Wielebnej Matki, miała zakładać klasztor; wielkie też było moje zmartwienie, gdy w dzień Poczęcia Najświętszej Panny Maryi siostry przyjechały, a jej z niemi nie było. Przywiozły mi tylko list od niej, w którym mię upewniała, że choćby tylko dla samej pociechy mojej pragnęłaby przyjechać, ale że wielki Bóg i Pan nasz postanowił inaczej; że zresztą pewna jest, iż w Granadzie wszystko pójdzie jaknajlepiej i że Pan wspomże mię skutecznie potężną obroną swoją. Jakoż i od samego początku objawiła się miłościwa nad nami opieka Jego, jak to w dalszym ciągu opowiem.

W tym samym czasie, kiedy O. Jan od Krzyża z towarzyszem swoim odjechał do Kastylji po siostry, wikaryusz prowincyański, O. Jakób od św. Trójcy, udał się do Granady, dla układów co do obiecywanych zapomóg, których zawsze był najpewniejszy; skoroby zaś je miał w ręku, miał napisać i wezwać nas. Mocno musiał ten święty człowiek się natrudzić, nim zdołał zebrać choć cząstkę tego, co mu obiecywano; a co do pozwolenia arcybiskupiego, daremne było wszystko trudenie się, i niczego zgoła nie mógł otrzymać. Mimo to jednak, niewzruszony w dobrej wierze i prostocie swojej, wciąż nam donosił do Veas o świetnych ofiarach, jakie mu się zapowiadają, Ja śmiałam się z tej dobrodusznosci jego i odpisując mu, prosiłam, by nie polegał tak bardzo na tych spodziewanych bogactwach; niech tylko postara się o najęcie dla nas jakiego domu, w którymbyśmy stanąć mogły, bo siostry, wyznaczone z Kastylji, już były do nas zjechały. Ale i tego nawet nie mógł znaleźć, czem biedny bardzo się martwił. Z uzyskaniem pozwolenia także mu się wciąż nie wiodło; jakkolwiek chodził do arcybiskupa, prosząc o nie, jakkolwiek miał poparcie dwóch starszych audytorów, Don Ludwika de Mercado i doktora Laguna, arcybiskup nie tylko nie chciał żadną miarą zezwolić na nasz przyjazd, ale jeszcze mocno był zagniewany i w wyrazach bardzo ostrych gniew swój objawiał. Radbym, mówił, znieść wszystkie klasztory żeńskie, ile ich jest w mieście, kiedy w te takie ciężkie lata zupełnego nieurodzaju i głodu nie mają z czego żyć; a wy przychodzicie z prośbą o założenie jeszcze jednego klasztoru i chcecie, bym jeszcze więcej zakonnice tu nasprawdzała? gdzie rozum wasz? I z tem ich odprawił, dodawszy jeszcze na pożegnanie kilka słów bardzo niełaskawych. Dwaj oni panowie audytorowie, którzy za naszą sprawą przemawiali, mocno się taką odprawą zafrasowali, zwłaszcza wobec listów naszych z Veas, w których raz w raz prosiłyśmy o pośpiech, przedstawiając zarazem, jak mało potrzeba na utrzymanie dziesięciu zakonnice, bo tyle nas miało przyjechać. Robiąc zatem tyle przynajmniej, ile było w ich możności, popierali w sekrecie przed arcybiskupem starania Ojea, i w końcu, za ich pośrednictwem, jeden z urzędników miejskich zgodził się oddać mi w najem dom swój. Ojciec, skoro się o dom ten

upewnił, zaraz napisał do nas, byśmy przyjeżdżały, choć bardzo był zmartwiony, że nie więcej dla nas uzyskać nie zdołał.

My tymczasem w Veas byłyśmy w ciągłym oczekiwaniu, gotowe natychmiast puścić się w drogę, za pierwszym od Ojea słowem i zawiadomieniem, że możemy przyjechać; tak też jeszcze 13-go stycznia było umówiono z O. Janem od Krzyża i z siostrami naszego klasztoru. W ciągu tego oczekiwania któregoś dnia udałam się na rozmyślanie, w zwykłej porze wieczornej, u nas na to naznaczonej. Rozmyślałam o tych słowach Ewangelii, gdzie Chrystus Pan, w chwili chrztu swego, mówi do św. Jana: „Godzi się nam wypełnić wszelką sprawiedliwość<sup>1)</sup>.”<sup>4</sup> Całkiem skupiona i pogrążona w rozważaniu tych Boskich słów, ani myślałam w onej chwili o fundacyi naszej, gdy nagle usłyszałam straszliwy wrzask mnóstwa głosów niesforne zmieszanych. Zaraz mi przyszło na myśl, że to czareci snąć taki zgiełk czynią, bo pewno lada chwila zjawi się posłaniec z listem wzywającym nas w drogę do Granady. W miarę jak utwierdzałam się w tej myśli, wrzaski one coraz głośniej obijały mi się o uszy, z takim wciąż rosnącym hukiem i łoskotem, że w końcu nie mogąc dłużej wytrzymać i czując, że mi się słabo robi, zwiślam na matkę przełożoną, przy mnie klęczącą. Matka, sądząc że to zwyczajne omdlenie, chciała posłać, aby mi przyniesiono czem się posilić. Dałam jej ręką znak, że tego nie potrzeba, ale żeby posłała do furty dowiedzieć się, kto tam dzwoni. Posłano do furty i właśnie okazało się, że to posłaniec z listem wzywającym nas do przyjazdu. W tejże chwili zerwała się burza straszliwa, z taką nawałnością ulewy i z takim gradem kamieni, jak gdyby świat się zapadał. Mnie zrobiło się bardzo źle, zdawało się, że umieram; wiałam się w srogich nad wszelki wyraz boleściach, nadnaturalne wstrząśnienia targaly mną; lekarze i domownicy, patrząc na te cierpienia moje, jednogłośnie twierdzili, że niepodobna, bym w takim stanie puszczała się w drogę. Mnie, przeciwnie, te cierpienia większej tylko odwagi dodawały. Nagliłam o pośpiech, aby muły i wszystkie potrzeby podrózne były gotowe na trzeci dzień, do którego potrzeba nam było wstrzymać się z wyjazdem, bo nazajutrz po przybyciu posłańca była niedziela; a ja w tę niedzielę tak cierpiałam, że nawet na Mszy świętej być nie mogłam, pomimo to, że celka moja prawie przytykała do chóru.

Wyruszyłyśmy więc trzeciego dnia, w poniedziałek, o 3-ej rano: siostry, towarzyszące mi, wszystkie były uszczęśliwione z tej podróży, ciesząc się, że Pan będzie z niej miał wielką chwałę swoją. Czas był pogodny; ale ulewa poprzedniego dnia tak była zepsuła drogi, że muły nasze prawie wzięły w błocie. Staęliśmy na noc w Daifuentes. Przed udaniem się na spoczynek, w czasie gdy towarzyszący nam Ojcowie, to jest O. Jan od Krzyża i O. Piotr od Aniołów, naradzili się ze mną, jakichby użyć sposobów na złagodzenie gniewu i uporu areybiskupa, aby zechciał dopuścić nas i dać nam pozwolenie, nagle usłyszeliśmy z daleka przeraźliwy łoskot gromu. Piorun uderzył w Gra-

<sup>1)</sup> Mat. 3, 15.



nadzie, w sam pałac arcybiskupa, tuż przy sypialni jego; spalił mu część biblioteki jego i w stajni kilka mułów mu zabił. Najstarsi ludzie w Granadzie nie pamiętali, by kiedy u nich w tej porze, w styczniu, zdarzyły się burze i pioruny. Arcybiskupa wypadek ten tak przestraszył, że z przerażenia zaniemógł, ale dla nas, jak nam mówiono, przestraszał ten życzliwiej go usposobił.

Tegoż samego dnia, urzędnik on, który był wynajął dom swój O. wikaremu, zrzucił się z danego słowa i cofnął przyrzeczenie, jakie był wystawił na piśmie Don Ludwikowi de Mercado i doktorowi Laguna. Tłómaczył się tem, że nie był uprzedzony, iż dom jego najmuje się na klasztor; teraz dopiero o tem się dowiedział, zatem też na taki cel domu swego nie odda, ani lokatorów, których miał sporo, z niego rugować nie będzie. Daremnie oni dwaj panowie, sekretni popiecznicy nasi, starali się skłonić go do ustępstwa; daremną nawet była poręka, którą mu w sumie pięćdziesięciu tysięcy dukatów za nas ofiarowali. Wobec tego uporu, wiedząc, że my jedziemy, że już jesteśmy blisko, że za dwa dni najdalej będziemy na miejscu, nie wiedzieli już co począć. Ale z łaski Boga znalazła się rada. Don Ludwik de Mercado, jakby od niechcenia wspominał o zamierzonej fundacji naszej siostrze swojej, Donnie Annie de Penalosa, przed którą O. wikary, z niewiadomych mi powodów, trzymał rzecz w sekrecie i nie jej o nas nie mówił; zaczęłam, zwierzając jej się z obecnym kłopotem swoim, dodałam: „Czy nie byłoby dobrze, siostrze, gdybyś się postarała, aby te siostry, skoro już są w drodze, mogły tu zajechać do naszego domu i zająć u nas jaką izbę osobną, gdzie miałyby spokój i samotność, dopóki nie znajdą sobie własnego kąta i stałego schronienia?“ Dobra ta pani, która od wielu lat już prawie nie wychodziła ze swej domowej kapliczki, opłakując wdowieństwo swoje i nie mogąc się pocieszyć po stracie córki jedynaczki, na tę myśl, podaną jej przez brata tejże chwili, jak nam to sama opowiada, uczuła ulgę w smutku swoim i pociechę wewnętrzną. Zaraz też z wielką skwapliwością zabrała się do urządzenia domu swego i do przygotowania dla nas kaplicy z całym potrzebnym przyborem, oraz pomieszczenia, bardzo wygodnego, choć ciasnego, bo dom był nie wielki. Stanęliśmy w Granadzie w dzień św. Fabiana i Sebastjana, o trzeciej rano; umyślnie wybrałyśmy tak wczesną godzinę, aby nikt się przed czasem o przyjeździe naszym nie dowiedział. Zastałyśmy tę świątobliwą panią czekającą nas w bramie od ulicy, gdzie nas powitała z rzewnymi łzami i pobożnym wzruszeniem. My także od łez powstrzymać się nie mogłyśmy i z głębi serca zaśpiewałyśmy „Laudate Dominum,“ uradowane nad wyraz na widok kaplicy, umieszczonej w bramie wchodowej i pięknego przyozdobienia jej. Ze względu jednak na brak upoważnienia arcybiskupiego, prosiłam, aby ją zamknięto; podobnież i Ojców z nami przybyłych, i O. wikarego prosiłam, by zaniechali dzwonięcia i odprawienia Mszy świętej, nie tylko publicznie ale i przy zamkniętych drzwiach, dopóki nie będziemy miały pozwolenia od arcybiskupa, który, ufałam w Bogu, że nam go zaraz użyczy.

Wyprawiłam podanie do niego, z doniesieniem o naszym przyjeździe i z pokorną prośbą, aby raczył przybyć do nas i dać nam błogosławieństwo

swoje i wprowadził do nas Najświętszy Sakrament, oraz z nadmienieniem, że lubo to dzień święty, my przecie nie będziemy na Mszy, dopóki Jego arcy-pasterska Moć nie raczy zarządzić, by wolno było ją u nas odprawić. Odpowiedział mi na to bardzo łaskawie: że z przyjemnością wita nas; że bardzo się cieszy z przyjazdu naszego, że chętnieby wstał i do nas z pierwszą w kaplicy naszej Mszą świętą przyjechał, ale, że będąc chorym, posyła nam oficyała swego, aby ją w zastępstwie jego odprawił i wszystko wedle życzenia mego spełnił. Jakoż tego samego dnia jeszcze, o siódmej rano, przybył do nas oficyał. Prosiłam go, aby u nas odprawił Mszę świętą i dał nam wszystkim Komunię i zostawił nam Najświętszy Sakrament, umieściwszy Go własną ręką na ołtarzu, czego też wszystkiego bardzo uroczyście dopełnił. Dwaj nasi panowie audytorowie byli obecni na tych obrzędach, ale i ludu zebrało się dużo, choć pojąć nie mogliśmy, jakim sposobem tak prędko o nas się dowiedzieli. Ledwośmy były przyjechały, a tegoż samego dnia, o 8-iej rano, już miałyśmy wprowadzony do kaplicy naszej Najświętszy Sakrament i Msze święte odprawiwały się jedna za drugą. Z całego miasta ludzie do nas przybiegali, jakby na odpust, i jednogłośnie obwoływali nas za święte i dziękowali Bogu, że nawiedził tę krainę, przysyłając nas do nich.

Tegoż samego dnia, Don Ludwik de Mercado i doktor Laguna poszli odwiedzić arcybiskupa, jeszcze chorego skutkiem przestrażu od piorunu, który był dwa dni temu w pałac jego uderzył. Przyjął ich bardzo niełaskawie, z wielką furją wymyślając na nas, po cośmy przyjechały. A gdy oni, zdziwieni, zapytali go, czemu więc dawał pozwolenie na rzecz tak jemu przeciwną, a teraz się gniewa po czasie, kiedy klasztor już założony? odpowiedział im: że pozwolił, bo nie mógł inaczej, choć dużo go to kosztowało i musiał gwałt sobie zadać, bo nie cierpi mniszek; ale niech się te nie spodziewają, by dostały co od niego, kiedy już i na te, które ma na swoim utrzymaniu, wystarczyć nie może.

Tak więc poczęłyśmy cieszyć się na prawdę skutkami naszego ubóstwa. Wprawdzie gospodyni nasza, Donna Anna, dawała nam jałmużnę, ale bardzo szczupłą; z postronnych zaś nikt nam nie przychodził w pomoc, bo widząc nas umieszczone w tym domu, w którym tylu ubogich znajdowało wsparcie, i z którego wciąż szły hojne jałmużny na wszystkie niemal w całej okolicy klasztory i szpitale, wszyscy sądzili, że jesteśmy sownie zaopatrzone we wszystko i że żadnego nie cierpimy niedostatku. A my, w rzeczy samej, cierpiałyśmy głód i taki, że bardzo często tego, co nam dawała ta pani, nie byłoby starczyło na dzienne pożywienie nasze, gdyby nie to, że Ojcowie nasi Bosi z klasztoru Męczenników ratowali nas, dosyłając nam nieco chleba i ryby; chociaż i u nich była bieda, z powodu wielkiego głodu, jaki w tym roku, skutkiem zupełnego nieurodzaju, cierpiała cała Andaluzya. Brakowało nam i kołder do nakrycia się w nocy; miałyśmy ich tylko tyle, ile byłyśmy zabrały z sobą na drogę; a tego było tak mało, że ledwo po dwie albo trzy, zmieniając się kolejno, mogłyśmy spać nakryte, drugie zaś kładły się na matach, rozpostartych w chórze. Wszystka jednak ta nędza także nam sprawiała uszczęśliwienie, że pragnąc cieszyć się nią jaknajdłużej, starannie ją ukrywa-

łyśmy, i nikomu, a szczególnie tej pani, aby jej nie być ciężarem, nie mówiliśmy o tem, że nam tyle rzeczy niezbędnie potrzebnych niedostaje. Ona też, widząc zawsze na twarzach naszych radość i zadowolenie, wysokie przytem mając wyobrażenie o naszych cnotach i duchu umartwienia, nie spostrzegając zgoła, by nam było czego więcej potrzeba nad to, co nam dawała. W taki sposób przeżyliśmy prawie cały czas naszego pobytu w tym domu, to jest siedm miesięcy. Przez cały ten czas, zaraz od pierwszego dnia, odwiedzało nas wiele osób najpoważniejszych stanowiskiem i znaczeniem, oraz zakonnicy z wszystkich w mieście klasztorów. Rozmowa ich z nami toczyła się wciąż na ten jeden temat, jaka to lekkomyślna śmiałość, zakładać klasztory takie ubogie, bez żadnej podpory ni środków ludzkich. Odpowiadałyśmy im na to, że w zamiar za to ogołocenie z wszelkich zasobów ludzkich, tembardziej cieszymy się hojnością pomocy Boskich, i że ufne w opiekę i Opatrzność Pańską, którą znamy dobrze z własnego doświadczenia, i tyle jej mając dowodów w tych klasztorach naszych, zawsze w ten sposób śmiało i bez wahania zaczynamy, owszem nawet nie chcielibyśmy, by który dom nasz powstał na innych warunkach, bo ten sposób, zdaniem naszym, jest najbezpieczniejszy. Śmieli się z nas, że takie rzeczy mówimy i że rade żyjemy w takim ścisłym zamknięciu. W tym punkcie rzeczywiście nie dopuszczaliśmy najmniejszego zwolnienia: tak ściśle przestrzegaliśmy naszej klauzury, że sam nawet Don Ludwik de Mercado, choć we własnym domu jego mieszkałyśmy, nigdy nas przecie nie widział bez zasłony, i ani on, ani nikt nie znał nas z twarzy. Pewno, że nie w tem było nad to, co według powołania i reguły naszej zachowujemy wszystkie i wszędzie; ale tu wydawało się to ludziom rzeczą niesłychaną. Zgłaszało się do nas wiele panien i pań różnego stanu, prosząc o habit; ale między niemi, a było ich przeszło dwieście, nie znalazłyśmy ani jednej, którąbyśmy zgodnie z duchem naszych konstytneji przyjąć mogły; zaczem jedne odprowadzałyśmy, nie wdając się w dłuższe rozmowy, drugim odkładałyśmy odpowiedź na później, tłumacząc im, że potrzeba naprzód, by poznały nasz rodzaj życia, i byśmy mogły wypróbować szczerłość ich zamiaru, co na teraz, póki nie znajdziemy sobie domu, jest rzeczą niepodobną, bo tu nikogo więcej nad liczbę naszą pomieścić nie możemy. Domu tego szukałyśmy z wielką pilnością, ale wciąż na próżno; nie było żadnego, o któryby, czy to sposobem najmu, czy to sposobem kupua, można było na przystępnych warunkach się umówić. Nieraz wśród tego szukania gorzko mi się robiło na sercu, że tak mało od tego ludu mamy współczucia i pomocy; ale za każdym takim nagabaniem, zaraz słyszałam w głębi duszy, jakoby do mnie Chrystus Pan nasz mówił te słowa, które mówił do Apostołów:— „Gdyś was posyłał bez mieszka, i taistry, i butów. zali wam czego niedostawało?„ I zaraz z całego serca odpowiadałam, jak oni:— „Niczego, Panie,“ <sup>1)</sup> z wielką ufnością, że wszelkim potrzebom naszym, i duchownym, i doczesnym, Pan w Boskiej łaskawości swojej przeobficie zaradzi. Duchownym już hojnie

<sup>1)</sup> Luk. 22, 35.

zaradzał: ze Mszą i ze słowem Bożem przychodzili do nas, bez żadnego prawie z naszej strony o to starania, najgłośniejsi w mieście kapłani i kaznodzieje; radzi nas słuchali spowiedzi, starali się bliżej poznać nasz rodzaj życia, budowali się niezachwianą, wśród wszelkich prób, otuchą naszą wewnętrzną, iż na niezem nam zbywać nie będzie. Bóg w dobroci swojej dawał mi tę otuchę, i mocniej jeszcze, zaraz po przyjeździe naszym do Granady, we mnie ją utwierdził, szczególną łaskę, jakiej w tym czasie dostąpiłam od Niego, gdy pewnego razu, na modlitwie, dał mi w głębi duszy usłyszeć najdobitniej i najwyraźniej jakby do mnie powiedziane te słowa Psalmu: — „Plecami swimi okryje cię, a pod skrzydłami Jego nadzieję mieć będziesz <sup>1)</sup>“. Zdałam o tem sprawę spowiednikowi mojemu, O. Janowi od Krzyża, i O. magistrowi Janowi Chrzycielowi de Ribera, z Towarzystwa Jezusowego, przed którym się otwierałam we wszystkich potrzebach duszy mojej, nie tylko na spowiedzi, ale i po za spowiedzią. Oba byli zdania, że jest to zadatek i rękojmia od Pana, na upewnienie mnie o pomyślnem utwierdzeniu się tej fundacyi: jakoż dotąd, po czterech latach istnienia, sprawdza się na niej ta miłościwa obietnica Pańska. Niech będzie imię Jego błogosławione. Siostry, które tu ze mną przyjechały, upewniają mię, że żywiej przez te cztery lata czuły w sobie obecność Pańską i bliższe z Boskim Majestatem Jego obcowanie, niżli tego przez całe życie swoje doznały. Jawnie też to się okazało wielkim ich tu w doskonałości postępem i zbawiennym wpływem, jaki, zdaniem wszystkich, przykładem swoim na tutejszych klasztorach i zakonnicach wywarły. Wiem o tem z ust samegoż prezydenta, Don Piotra de Castro, że w żeńskich klasztorach tutejszych, a jest ich tu w Granadzie mnóstwo wielkie, niemała od przyjazdu naszego zaszła odmiana na lepsze. Prócz tych wszystkich łask, któremi Pan nas tu obsypywał, jedną jeszcze cieszyliśmy się niezmierną i nadzwyczajną, tą mianowicie, że Pan Jezus jakoby dotykalnie dotrzymywał nam towarzystwa w Najświętszym Sakramencie ołtarza, tak iż czułyśmy jakby widomnie rzeczywistą Jego i wedle ciała z nami obecność. Pocięcha ta niewypowiedziana tak wszystkim nam, bez wyjątku, była wspólną, i tak ze zwykłym trybem i z każdą chwilą powszedniego życia naszego związana, że nieraz w naszych z sobą rozmowach nad nią się zastanawialiśmy; wszystkie na to zgadzałyśmy się, że nigdzie chyba Najświętszy Sakrament takiego na nas nie robił wrażenia, jakiego tu z obecności Jego doznawałyśmy. Żywe to i dotykalne uczucie Pana z nami mieszkającego zaczęło się w nas od pierwszej chwili wprowadzenia Najświętszego Sakramentu do kaplicy naszej, i dotąd ono jeszcze trwa w niektórych z nas, choć już nie takie silne, jak w ciągu onych pierwszych siedmiu miesięcy.

Po upływie tych siedmiu miesięcy, znalazłyśmy wreszcie dom do najęcia; ustąpił go nam dawny lokator i dla nas uprzętał bez wiedzy właściciela, więc przeniosłyśmy się w największym sekrecie; Wasza ojcowska Przewielebność sam nas na to nowe mieszkanie przeprowadziłeś, umyślnie wów-

1) Ps. 90, 4.

czas z Baczę przyjechałszy aż do Granady, dla opatrzenia naszej gromadki. Nie miałyśmy narazie innego wyboru, więc trzeba było do czasu na tem poprzestać. Dopiero w dziesięć miesięcy później począł Pan w kilku panienkach, z najznakomitszych rodów miejscowych, wzbudzać prawdziwą chęć oddania się Jemu na służbę. Idąc za radą spowiedników swoich, nie uprzedzając o tem rodziców i krewnych, którzy żadną miarą nie byliby się zgodzili na wstąpienie ich do zakonu tak surowego, zgłosiły się one do nas potajemnie, prosząc o przyjęcie. Przyjęłyśmy ich sześc, i z wielką uroczyością oblekłyśmy je w habit. Wielkie stąd było oburzenie krewnych i wielkie wzruszenie w całym mieście, bo zdawało się wszystkim rzeczą okropną, poświęcić się na taki rodzaj życia. To też odtąd, jak nam mówiono, wielu rodziców pod pilną straż wzięło córki swoje, aby żadnych nie miały z nami stosunków, zwłaszcza, gdy pierwszej, którą przyjęłyśmy, siostry Maryi od Jezusa, ojciec umarł zaraz po jej wstąpieniu do nas, i tuż po nim matka, oboje, jak utrzymywano, ze zmartwienia. Ona jednak bynajmniej nie żałowała tego, że do nas wstąpiła, przeciwnie, wielkie stąd czuła uszczęśliwienie i wdzięczność wielką za tę łaskę, którą Pan jej uczynił, pociągając ją do naszego zakonu; najwierniej też odpowiedziała powołaniu swemu, podobnie jak i drugie, które razem z nią wstąpiły, i wszystkie dalsze, które później przyjęłyśmy. Gdy już one pierwsze wszystkie złożyły profesję, umyśliłyśmy za posagi ich kupić dom na własność. Nie obeszło się to bez trudności. Niejeden dom się nam nadarzał; kilka razy nawet już, już mieliśmy przystąpić do spisania kontraktu, a za każdym razem układy w ostatniej chwili się rozbijały. Aż w końcu odważyłyśmy się traktować o dom księcia de Sesa; był to rzeczywiście dom z wszystkich najdogodniejszy i w najlepszym na całą Granadę położeniu. Ale takie na pozór niepokonane sprzeciwiały się temu kupnu trudności, że porywać się na nie i nam, i wszystkim, którzy tylko o tej chęci naszej posłyszeli, zdawało się szaleństwem. Mimo to jednak zdobyłam się na odwagę i postanowiłam dom ten nabyć, polegając na zapewnieniu, jakie mi na dwa lata przedtem była dała siostra, naówczas sekretarka, której nie wymieniam, bo Wasza Miłość z tego listu dowie się, jak jej na innię,—mianowicie, że Pan Jezus po trzykroć jej oznajmił, że w tym domu księcia, a nie w innym, ma się osiedlić nasz klasztor, i tak jasne i wyraźne było to oznajmienie, i taką w niej pewność wzbudziło, że wbrew wszelkim pozornym niepodobieństwom ani na chwilę nie wąpi o spełnieniu jego. Jakoż i spełniło się, jak Waszej Przewielebności wiadomo, i w tym domu dziś mieszkamy.

*Anna od Jezusa.*

## DODATEK II.

### O. Hieronim Ripalda T. J.

Hieronim Ripalda urodził się w Aragonii, gdzie ojciec jego służył jako znakomity czasu swego lekarz. Dzieckiem jeszcze posłany na nauki do Alkali, Hieronim, mając zaledwie lat czternaście, nieprzeparłym wiedziony pociągami Św. Teresy. T. II.

giem do życia apostołskiego, wstąpił do Towarzystwa OO. Jezuitów. Tu z równym zapałem oddając się i naukom, jak i pracy nad uświęceniem siebie, wyszedł z nowicyatu i świętobliwym zakonnikiem, i znakomitym teologiem. W zakonie sprawował z kolei urząd mistrza nowicyuszów i rektora domów w Villagarcia, w Salmantyce, w Burgos i w Waliadolidzie. Był to mąż pod każdym względem niepospolity: głęboka nauka teologa szła w nim w parze z porywającą wymową kaznodzjej i z niestrudzoną żarliwością apostoła. Szczególną miał od Boga łaskę do nawracania grzeszników i do prowadzenia dusz drogami życia wewnętrznego. Nie tylko w kazaniach i innych z urzędu czynnościach kapłańskich, ale i w potocznej rozmowie i w każdym słowie jego objawiał się z siłą porywającą zapał apostołskiego serca jego. O Bogu i rzeczach duchownych z takim mówił wdziękiem nadprzyrodzonym i namaszczeniem, że każdy, kto go słuchał, mimowoli czuł się poruszonym i pociągniętym do miłości Bożej. Św. Teresa w różnych czasach, w Salmantyce, w Waliadolidzie, w Burgos, jego sobie obierała za spowiednika. Umiał mąż apostołski poznać się na skarbach łaski i świętości, ukrytych w tej duszy wybranej; zrozumiał wysokie posłannictwo dane jej od Boga dla pożytku Kościoła, zaczem i dopomagał jej i popierał ją ile mógł w zakładaniu klasztorów reformy. Ostatnie trzy fundacye Świętej, jego głównie, wraz z O. Baltazarem Alvarez, namowie i skutecznej pomocy początek swój zawdzięczały <sup>1)</sup>. Z pod jego kierunku wyszła i do Karmelu wstąpiła głośna, najwyższemi łaskami z nieba obdarzona M. Stefania od Apostołów <sup>2)</sup>. On przez długie lata na drodze doskonałości prowadził onę Maryę de Acugna, małżonkę gubernatora Kastylji, i córkę jej Ludwikę de Padilla, której enót św. Teresa taki wspinały w tej księdze obraz skreśliła <sup>3)</sup>. W życiu swem zakonem, O. Ripalda był żyjącym wzorem wszelkiej cnoty, mianowicie zamięłowania w ubóstwie, doskonałego posłuszeństwa, żarliwego ducha pokuty i surowego, aż do ostatniej chwili długiego życia swego, umartwienia, a nadewszystko tego ducha modlitwy i wewnętrznego złączenia z Bogiem, i tej płonącej coraz wyższym zapałem miłości Chrystusa Pana, i tego nieugaszonego pragnienia chwały Jego i zbawienia dusz, które po wszystkie czasy były, są i będą znamieniem wielkich sług Bożych, i źródłem nieustającym wielkich dla Kościoła Bożego czynów ich i poświęceń. Umarł, pełen lat i zasług, w Toledzie, d. 21 kwietnia 1618, w 85-ym roku życia swego. W chwili skonań, oblicze jego rozjaśniło się blaskiem nadziemskiego wdzięku i pogody; ciało i członki jego pozostały czerstwe i giętkie, jakby jeszcze żył. Całe miasto zbiegło się na oglądanie tego cudownego widoku i na uczenie zwłok tego, jak go wszyscy już za życia nazywali, świętego. Duch jego apostołski dotąd jeszcze żyje i działa w pozostałym nam Katechizmie jego, prawdziwym arcydziele, powszechnie podziwianem, i dziś jeszcze, po upływie blisko trzechset lat, w Hiszpanii używanem.

<sup>1)</sup> Ob. wyżej, rozdz. 29. — <sup>2)</sup> Ob. wyżej, rozdz. 11. — <sup>3)</sup> Ob. wyżej, rozdz. 10.

## D O D A T E K III.

Antoni de Padilla, syn Maryi de Acuna, i siostry jego.

W r. 1572, mając niespełna 18 lat, Antoni de Padilla, po kilkoletniej zażartej walce pokonawszy opór rodziny, dostąpił wreszcie upragnionego szczęścia oddania się Bogu, i na mocy specjalnego zlecenia generała, św. Franciszka Borgiasza, bawiącego naówczas z legatem św. Piusa V Papieża na dworze hiszpańskim, przez O. Ripalda, rektora domu profesów w Waliadolidzie, przyjęty został do Towarzystwa Jezusowego. Przed opuszczeniem domu rodzicielskiego, bohaterski młodzieniaszek, zrzekłszy się uroczyste, wobec zgromadzonej rodziny, książęcych praw, i tytułów i majątności swoich, upadł na kolana, i wznosząc oczy i ręce do nieba, zawołał: „Dzięki Tobie, Panie Jezu Chryste, iż z łaski Twojej już jestem wolny i Tobie samemu służyć mogę.“ Mężna matka i żyjąca jeszcze babka jego, pobożna Donna Ludwika de Padilla, same go odprowadziły do kościoła profesów, własnymi rękoma ofiarując Bogu Izaaka swego, wobec mnóstwa ludu, głęboko wzruszonego tym wspaniałym aktem wiary, i widokiem tego świetnego młodzieńca, w kwiecie wieku porzucającego splendory i wielmożności światowe, do których z urodzenia miał prawo, a zamieniającego je dobrowolnie na ubóstwo i niskość habitu zakonnego. Po tem pierwszym uad światem i samym sobą zwycięstwem, posłany na nowicyat do Medina del Campo, pod kierunkiem takiego mistrza jakim był O. Baltazar Alvarez, młodzieniaszek w krótkim czasie przemienia się w dojrzałego męża Bożego, w nieustraszonego zapaśnika Chrystusowego: chwyta oburącz sztandar ukrzyżowanego Wodza swego, całym sercem rozmiłowuje się w zelżywościach krzyża Jego. „Widywałem go dawniej, pisze o nim wielebny O. Ludwik De Ponte, przejeżdżającego kouno po ulicach Waliadolidu, jaśniejącego blaskiem bogactwa i niewypowiedzianego wdzięku i urody, otoczonego orszakiem wykwiintnej pańskiej młodzieży. Widziałem go potem, tego ucznia i miłośnika krzyża, tego towarzysza Jezusowego, jak chodził po ulicach Medina del Campo, postępując jak pacholek i sługa za braciszkiem refektarskim, i nosząc na plecach wór z utargowanymi czy darowanymi dla domu wiktuałami, albo jak u furty nowicyatu z jednej misy z nędzarzami miejskimi spożywał podaną im z miłosierdzia strawę żebraczą.“ Z rokoszą spełniał najniższe usługi, ochotnie czynił siebie podnóżkiem wszystkich i każdego, poczytując siebie niegodnym zaszczytu nalczenia do grona towarzyszków Jezusowych, pod wodzą Boskiego Króla pracujących i walczących. To zamiłowanie miejsca ostatniego było i pozostało aż do końca wybitną cechą całego w zakonie życia jego i najsilniejszym pociąganiem serca jego. Po odbyciu nowicyatu, takim zaznaczonego zdumiewającym postępem w doskonałości zakonnej, posłany do Salmantyki na studia, nie mniej szybkie i znakomite okazał postępy w naukach. Mając z przyrodzenia umysł szeroki i niepospolicie przenikliwy, z zadziwiającą szybkością i gruntownością

cały obszar umiejętności świętych ogarnął i zgłębił, zaczem, jako był znakomitym uczniem, tak po skończeniu studyów powołany do wykładania teologii na uniwersytecie, świętym był profesorem. Zastąpił również w całej Hiszpanii jako niezrównany kaznodzieja, tem bardziej, czyli raczej dla tego, że przepowiadanie jego, obok daru rzadkiej porywającej wymowy, nosiło na sobie to znamię, które samo stanowi siłę i skuteczność kaznodziejstwa chrześcijańskiego, to jest znamię namaszczenia świętości wewnętrznej i duszy jedynie chwały Bożej i zbawienia ludzkiego pragnącej. „Sam już widok tego człowieka, nim jeszcze usta otworzy, mówił o nim król Filip II, jest wymownem kazaniem.“ Przez czterdzieści lat, w dobrowolnem ubóstwie i poniżeniu, w surowej pokucie, w pracach nieustających i trudach apostoelskich, na kazalnicy i w trybunale pokuty, w misjach po całym kraju światło wiary i zapal miłości Bożej niecałych, w mądrym, w duchu cichości i mocy kierownictwie domów zakonu swego, rządów jego powierzanych, szczęśliwy ten zbieg ze świata każdą chwilę życia swego na większą chwałę Bożą poświęcał, nim je w końcu, roku 1612, drogą przed Panem śmiercią uwieńczył. Z szczególnego dopuszczenia Bożego, snać mającego na celu ostatecznie jak w ogniu oczyszczenie tej świętej duszy, choć po takim życiu mógł mówić z Apostołem: *Nihil mihi conscius sum* <sup>1)</sup>, choć w chwili przyjęcia Wiatyku mógł się świadczyć wobec zgromadzonych przy łożu jego Braci, że we wszystkich czynnościach przełożenstwa swego nie nigdy nie postanowił i nie uczynił, czego by nie uznawał w sumieniu zgodnem z większą chwałą Bożą, wszakże w obec nastającej godziny śmierci silnego doznał nagabania trwogi przed bliskim na sądzie Bożym rachunkiem. Ale i w tej bolesnej próbie pięknie się objawiła niepokalana czystość serca jego. Gdy któryś z obecnych Ojców poddawał mu myśl, czy ta trwoga, której doznaje, nie pochodzi może z pamięci na jaki grzech ciężki, którymy kiedy w ciągu czterdziestu lat życia w zakonie sumienie swoje zmazał?—„Co mówisz, Ojeze? zawołał z przerażeniem chory: zakonnik a grzech śmiertelny? czy podobna taką okropność i pomysleć?“ Gdy znowu bliski krewny jego, Don Diego Sarmiento de Acuna, później poseł przy dworze angielskim, chcąc go uspokoić zapytał, czego się trwoży,—„Drżę o zbawienie moje,“ odpowiedział mu: „Czyż o to, rzekł na to Don Diego, możesz mieć jaką obawę?“—„A o cóż, odparł umierający, miałbym się obawiać, jeśli nie o to?“ Bóg nie opuścił w tej próbie wiernego sługi swego: po dłuższej chwili takiego udręczenia, nie tylko mu spokój przywrócił, ale i wyraźnem objawieniem o zbawieniu duszy jego serce mu rozweselił. Nad ranem, przerywając dwugodzinną w najgłębszem zebraniu wewnętrznem przed krucyfiksem modlitwę, chory rzekł do spowiednika swego: „Tej nocy dusza moja pójdzie śpiewać Jutrznie w niebie,“ i na uwagę spowiednika, że nie zdaje mu się, by koniec jego był tak bliskim, raz jeszcze stanowczym głosem powtórzył toż zapewnienie. Potem zwracając się znowu do Pana ukrzyżowanego, mówił: „Czegoż jeszcze mam się bać, kiedy Ty, najśodszy

---

<sup>1)</sup> 1. Kor. 4, 4.



mój Panie, schowałeś mię w sercu swoim? Skoro jestem schowany w sercu Twojem, pódźmyż kędykolwiek zechcesz, niczego już się nie lękam.“ Wieczorem zażądał udzielenia mu Ostatniego Pomazania w obecności całego zgromadzenia. do którego nie mając już siły sam przemówić, prosił jednego z Ojców, aby w imieniu jego przeprosił wszystkich za winy i uchybienia, jakimi w życiu swoim i w tej ostatniej chorobie mógł im dać zgorzenie. Ojciec, spełniwszy jego żądanie, prosił go nawzajem, by o nich pamiętał w niebie. „Będę, odrzekł z prostotą umierający, bo w niebie nie masz niewdzięcznych.“ Po tem zamknął oczy, i z cicha mówiąc słowa Psalmu: *Laetatus sum in his quae dicta sunt mihi, in domum Domini ibimus* <sup>1)</sup>, zasnął w pokoju, o 11-ej w nocy, jak był przepowiedział, a dusza jego błogosławiona poczęła tejsze nocy śpiewać w niebie wieczną Jutrznję uwielbienia i dziękczynienia na cześć Boskiego Króla swego, który jej dał moe, w młodzieństwie jeszcze dla miłości Jego potargać więzy świata, i aż do końca życia w mężnem zaprzaniu siebie wstępować w królewskie ślady krzyża, i ubóstwa, i pokory Jego (ob. Lud. de Ponte, *Życie O. Baltazara Alvarez*, rozdz. 20).

Godne takiego brata, trzy córki Maryi de Acuna, siostry Antoniego, podobnie jak i on, życiem swoim stwierdziły wysokie pochwały, jakie św. Teresa oddaje niepospolitej ich od najmłodszych lat pobożności. Starsza, Ludwika, mając lat czternaście uczyniła ślub dozgonnej czystości i wstąpienia do zakonu, z upragnieniem wyglądając możności spełnienia poślubionej Paun ofiary. Tymczasem, nimby nastał ten dzień szczęśliwy, na świecie już wiodła życie jakby w najsurowszym zakonie. Każdej nocy, obyczajem zakonnym, zrywała się z pościeli, i w kaplicy domowej dwie godziny spędzała na modlitwie wewnętrznej. Z nicubłaganą dla siebie surowością, postem, biczowaniem, włosienicą umartwiała młode ciało swoje. W tem wszystkim była wierną towarzyszką i naśladowczynią świętobliwej matki swojej. „Między św. Panlą i córką jej św. Eustochią, mówił o nich O. Ripalda, ich duchowny przewodnik, a Maryą de Acuna i córką jej, Ludwiką de Padilla, żadnej nie widzę różnicy.“ Niepokonany opór dumnej rodziny, któremu i matka sprzeciwić się nie śmiała, zamykający przed nią, zdawało się na zawsze, utęskniony wstęp do klasztoru, ciężkiem był dla bogomyślnej panienki strapieniem. Bóg jej osłodził to zmartwienie, dając jej za towarzyszkę i przyjaciółkę jedną z najświętszych dusz, które w tym czasie Kościół Boży zdobyły, Annę de Pedruja, późniejszą w Karmelu Matkę Annę od św. Augustyna, która jako córka rządcy dóbr rodu De Acuna, dodana została przez opiekunów do boku młodej dziedziczki. Dwunastoletnie, aż do chwili wstąpienia jej do Karmelu, z tą duszą anielską obcowanie niewypowiedzianą było dla Ludwiki pociechą, przykład jej nienastającą do coraz wyższego postępu duchowego pobudką. Teskuota jej do zakonu, pod wpływem takiej przyjaciółki, coraz głębiej ją przenikała i trawiła; doszła ona do szczytu za poznaniem św. Teresy, w czasie pobytu świętej fundatorki w Waliadolidzie. Gdyby to było w jej mocy,

<sup>1)</sup> Ps. 121, 1.

natychmiast byłaby Ludwika prosiła o święty habit Karmelu; ale Boski Oblubieniec jeszcze zwlekał z przyjęciem jej ofiary, ażby pierwiej spełniła inne posłannictwo, jakie jej na świecie przeznaczał: chciał, by pierwiej wśród blasku wielkości ziemskich zajaśniała przed światem jako wzór doskonały wszelkiej cnoty chrześcijańskiej. Gdy skutkiem profesyi najmłodszej siostry, Ludwika pozostała jedyną przedstawicielką swego rodu, i dobra, i tytuły rodowe, których przedtem, gdy przeszły na nią po bracie wstępującym do zakonu, na rzecz tej siostry była się zrzekła, znowu do niej wróciły, opiekunowie, nie pytając, ani uprzedzając jej, wyjednali w Rzymie Breve papieskie, unieważniające jej śluby i zalecające jej poddanie się bez oporn życzeniu i żądaniu familii. Ulegając zatem woli Bożej, tak wyraźnie jej oznajmionej rozkazem Namiestnika Chrystusowego, zgodziła się na oddanie swej ręki Don Marcinowi de Padilla. Bóg hojnie błogosławił ten związek, z woli Jego zawarty. Siedmioro dzieci z niego się urodziło, które Ludwika wychowała w takimże duchu wysokiej pobożności, w jakim sama była wychowana przez świętobliwą matkę swoją. Kilkanaście lat żyła z mężem, powszechnie świętością życia swego dając dworowi i całemu miastu zbudowanie. Wbrew wszelkim roztargnieniom i służebnościom życia wielkoświatowego, każdy dzień rozpoczynała całogodzinnem u stóp krzyża rozmyślaniami i kończyła podobnież wspólną z domownikami w kaplicy pałacowej modlitwą. Gdy wreszcie r. 1602 mąż jej pięknie i pobożnie życie zakończył, świętobliwa wdowa, wolna już od więzów, które ją na świecie zatrzymywały, u stóp Pana ukrzyżowanego ponawia śluby młodości swojej. Roku 1606, postanowiwszy dzieci swoje i syna, Marcina de Padilla, oddawszy Bogu w zakonie Jezuitów, sama w klasztorze Talavera wstąpiła do Karmelu, dumne swe tytuły rodowe zamieniając na pokorne imię Ludwiki od Krzyża i za jedyny herb swój, jak mówi pięknie św. Teresa, obierając sobie Pięć Ran Jezusowych. Wreszcie, d. 9 stycznia 1614 r. w klasztorze Lermańskim, świętą śmiercią uwieńczyła żywot, cały bez podziału służbie i chwale Bożej poświęcony.

Druga siostra Antoniego de Padilla, najpierwsza z tego błogosławionego rodzeństwa oddawszy się Bogu, w klasztorze dominikanek w Waliadolidzie strawiła i zakończyła cnotliwe życie swoje. Trzecia zaś, Donna Kasylda, której dziwnego powołania św. Teresa w rodziale 10-ym tej księgi taki wspaniały obraz skreśliła, wbrew woli swojej zmuszona była opuścić ten Karmel waliadolidzki, do którego tak mężnie była sobie wstęp wywalczyła. Po kilku latach pobytu w tym klasztorze, surowości reguły podkopały wątłe zdrowie jej, co widząc opiekunowie, bez wiedzy jej, uzyskali w Rzymie Breve papieskie, zniewalające tę, jak ją zowie św. Teresa, Oblubienicę Pańską do zamienienia Karmelu na łagodniejszą regułę franciszkańską i przeniesienia się do klasztoru franciszkanek, którym aż do dnia błogosławionej śmierci swojej, jako opatka rządziła. Tym sposobem, dziwnem zrzadzeniem Bożem, czworo świętych założycieli zakonów, św. Franciszek, św. Dominik, św. Ignacy i św. Teresa, jakoby podzieliło się między sobą tą wybraną od Pana rodziną. (Ob. *Ann. gen. Carmel*, T. III, ks. XIII., r. 40, 41).

## D O D A T E K IV.

## O. Antoni od Jezusa (Antoni de Heredia) pierwszy, z św. Janem od Krzyża, Karmelita Bosy.

Podobnie jak św. Janowi od Krzyża, którego święta matka, choć nie należała do Karmelu, zasłużyła sobie na szczególną przyjaźń wielkiej reformatorki jego i na cześć serdeczną pierwszych jej córek, i wśród nich spędziwszy ostatnie lata życia swego, obok nich w grobach klasztoru Medina del Campo spoczęła, — tak i pierwszemu jego w odnowieniu pierwotnej reguły karmelitów Bosych towarzyszewi, Antoniemu od Jezusa, dostało się w udziale to szczęście, że miał świętobliwych rodziców, pod których troskliwą opieką i kierunkiem, w samym zaraniu życia swego nauczył się kochać Boga nad wszystko. Antoni przyszedł na świat r. 1510, w Requena, w Nowej Kastylji. Ojciec jego pochodził z biskajskiego rodu Heredia, słynnego z rycerskiego przywiązania swego do Kościoła i wiary katolickiej; matka, rodem z królestwa Walencji, była ze świetnego domu Ferrier, który zakonowi dominikańskiemu i Kościołowi darował wielkiego apostoła, św. Wincentego Ferreriusza. Nauki i przykład takich rodziców od niemowlęstwa prawie skierowały ich syna na drogi bojaźni i miłości Bożej. Obok wdzięku niewinnej, serdecznej pobożności, dziwna się w tem dziecku objawiała i coraz pełniej rozwijała weale nie dziecienna dojrzałość umysłu i rzadka moc woli. Zaledwo dziesięcioletni, już zrozumiał, że lepszego i świętszego z życia swego użytku człowiek uczynić nie może, niż gdy je całe poświęci na służbę Bogu i szczerne chwały Jego. Tą myślą wiedziony, jakby już dorosły i dojrzały mimo pacholęcy wiek swój, zaciągnął się pod znaki Najświętszej Panny z góry Karmelu, niosąc Jej i przez Nią Panu w ofierze, obok świeżej i wonnej prostoty serca czystego, niezłomne postanowienie dążenia do jaknajwyższej świętości. Szczęśliwi zaprawdę tacy rodzice, którzy, wierni łasce Bożej i wysokiej rodzicielskiej powinności swojej, starają się i zdołają uchronić od zarazy złego niewjune serce dziecka swego, aż je nieskażone i czyste od wszelkiej zmydy doprowadzą do tego kresu, gdzie będąc już panem woli swojej, dobrowolnym i stanowczym serca wyborem, wszystką istność i wszystką miłość swoje zwróci w stronę Boga i rzeczy wiecznych. Takim szczęściem opływało serce rodziców Antoniego w dniu onym radosnym, gdy ujrżeli młodzietkiego syna swego obleczonego w habit Królowej Karmelu. Duchownem wykształceniem młodego zakonnika Bóg od pierwszej chwili wstąpienia jego w progi klasztorne tak poklerował, iżby było odpowiedniem przygotowaniem do wielkiego dzieła odnowienia pierwotnej reguły zakonu, do którego wspólnie z Janem od Krzyża był przeznaczony. W nowicyacie Antoni zostawał pod ręką przewodnika, który bez względu na młody wiek i wątłe siły jego, a zważając jedynie na zapal i męstwo ducha jego, nie jak z dzieckiem z nim się obchodził, ale jak z mężem dojrzałym i do wszelkich najtrudniejszych pra-

kytk i surowości zakonnych z nieugiętym rygorem go wdrażał. Pod tym kierunkiem, któremu z bezwarunkową uległością i z niezachwiałą wiernością łasce powołania się poddawał, przyszedł reformator Karmelu męskiego założył fundament tej niewzruszonej, na duchu pokuty i zupełnem wyrzeczeniu się siebie opartej doskonałości wewnętrznej, którą całe życie jego jaśniało. Po takim w owoce świętości obfitym nowicyacie, z równie świetnym postępem odbył w Salmantyce nauki klasyczne, filozoficzne i teologiczne. Mając lat 22 otrzymał święcenie kapłańskie. W cztery lata po tem obrany przeorem klasztoru w Moralegia, kolejno wszystkie znaczniejsze urzędy w zakonie swoim sprawował, wszędzie odznaczając się głęboką nauką, rzadką roztropnością, gorliwym spełnianiem obowiązków swoich; generał zakonu i samże król Filip II w wysokim go mieli poważaniu. Będąc przeorem w Awili, w czasie założenia tam pierwszego klasztoru odnowionej pierwotnej reguły Karmelu, poznał św. Teresę. Zbudowany i zdumiony widokiem bohaterskich cnót jej i pierwszych jej w nowym klasztorze towarzyszek i córek, uczuł w sobie pragnienie oddania się wyłącznie pokucie i bogomyślności. W tym celu zamierzał już wstąpić do kartuzów, gdy rozmowa, jaką miała z nim św. Teresa w Medina del Campo <sup>1)</sup>, skłoniła go do pozostania w zakonie swoim, przyjmując tylko pierwotną, w całej swej ściśłości regułę Karmelu. W jaki sposób, wspólnie z towarzyszem swoim Janem od Krzyża, tę myśl wykonał, jakie było w pierwszym „klasztorze“ ich, to jest w najnudniejszej chacie uędznej wioski Durvelo, w surowej pokucie, w zupełnem niemal z rzeczy ziemskich ogołoceniu, a w nieustającym weselu ducha, bogomyślne i apostołskie ich życie, tego nam św. Teresa w tej księdze Fundacyi <sup>2)</sup> wspomniała w swej prostocie obraz skreśliła. Do końca mąż Boży okazał się godnym wysokiego powołania swego; aż do ostatniego dnia długiego życia swego, z najtroskliwszą pilnością zachowywał wszelkie najsurowsze przepisy reguły, najmniejszego, mimo sędziwy wiek swój, nie pozwalając sobie zwolnienia; znakomite też taką nigdy nieustającą gorącością ducha oddał zakonowi swemu usługi, wielkie mu przykładem życia i cnót swoich dając zbudowanie. Bóg mu użyczył tej łaski i pociechy niezrównanej, że i św. Teresę dysponował na śmierć i wernemu towarzyszowi swemu, św. Janowi od Krzyża, oczy zamknął. Sam dopiero w dwadzieścia lat po nich poszedł do nieba po zasłużoną pracę swoich zapłatę. Pod koniec W. Postu r. 1601, przybywszy z Granady do klasztoru w Velez, poczuł pierwsze oznaki zbliżającego się końca. Mimo to jednak jeszcze pierwsze cztery dni W. Tygodnia chodził do chóru i brał udział w przepisanych regułą biczowaniach. W W. Czwartek sam celebrował i Braciom rozdawał Komunię św., a choć już przy tych obrzędach świętych ogarniały go dreszcze przedśmiertne, siłą woli przecie mężny starzec ukrywał w sobie wzmagające się zniemożenie, chcąc aż do końca uczestniczyć w ćwiczeniach zakonnych zgromadzenia i aż do końca wiernym pozostać regule.

<sup>1)</sup> Ob. wyżej, rozdz. III.

<sup>2)</sup> Ob. rozdz. 13, 14.

W W. Sobotę, po trzykrotnem w Sakramencie Pokuty jednaniu się z Bogiem, prosił o św. Wiatyk, i w chwili tego ostatniego na tej ziemi z Panem swoim złączenia się, rzecznymi słowy przemówił do otaczających go braci, przepraszając ich za winy i uchybienia swoje, i pobudzając ich do nieustrudzonego zapału w ścisłem przestrzeganiu reguły. Nazajutrz, wreszcie, w dzień wielkanocny, o 9-ej rano, przyjąwszy ostatnie [pomazanie, z obliczem rozjaśnionem blaskiem nadziemskiej pogody i wesela, wydał ciche westchnienie, i dusza jego odeszła do Stwórcy swego; i tak niezwyoczony ten zapasnik Boży, po niemal całowiekowych bojach pokuty, tego samego dnia zwycięzko wszedł do nieba, którego Boski Mistrz jego zwycięzko powstał z grobu. Było to d. 22 kwietnia 1601 r. O. Antoni od Jezusa umarł mając lat 91, z których 81 przeżył w zakonie; 47 lat w Karmelu reguły złączodzonej, a 34 w regule pierwotnej. (Ob. *Ann. gen. Carm.* T. III, ks. XI, rozdz. 7—9).

## DODATEK V.

## Katarzyna de Cardona.

Dla uzupełnienia wstrząsająco budujących o Katarzynie de Cardona szczegółów, które wyżej <sup>1)</sup> czytaliśmy ręką św. Teresy spisane, przytaczamy tu, z obszernej w „Ogólnych rocznikach Karmelu“ biografii jej, główne zdarzenia życia tej bohaterko męczeńskiej miłośnicy ukrzyżowanego Zbawiciela, aż do chwili onego zdumiewającego jej na puszczy powołania.

Katarzyna urodziła się r. 1519 w Neapolu, z katalońskiego rodu książąt de Cardona. Ojciec jej, Don Rajmund de Cardona, był potomkiem królów aragońskich; matka jej była bliską krewną księżny Salerno. Prawie nlemowłędem jeszcze, Katarzyna już zapowiadała się taką, jaką się później okazała. Od najwcześniejszych lat dziecinnych dziwny się w niej objawiał pociąg do modlitwy, do samotności i umartwienia, obok serdecznej i gorącej i z każdym dniem rosnącej czci i miłości Najświętszej Panny Maryi. Pod Jej macierzyńską opiekę, zaledwo ósmioletnia, jakby już dorosła i dojrzała, oddała, jako skarb swój najdroższy, panięńską czystość swoje. Długo codzień do niej się modliła, z prawdziwie anielską pobożnością, i taką od dzieciństwa wiernością Bogu i łasce Jego zastużyła sobie na to rzadkie szczęście, że czysta i niezmazana przeszła przez wszystkie zmazy świata, i otrzymaną na Chrzcie szatę niewinności niepokalana aż do końca życia swego zachowała.

Mając niespełna lat ośm, straciła ojca, skutkiem czego księżna Salerno wzięła ją do siebie na wychowanie. Ale Bóg niebawem inszą, niżby świat i troskliwość krewnych obmyślić zdołały, drogę życia jej ukazał. Pewnego dnia, gdy strapiona jeszcze świeżą śmiercią ojca, klęczała w kaplicy swojej na modlitwie, polecając Bogu duszę jego, nagle ujrzała go przed sobą, od stóp do głowy jakby obleczonego w ogień czyścowy, i usłyszała głos jego, mówiący do niej te słowa: — „Córko, nie pierwaj wyjdę z tych płomieni, aż

<sup>1)</sup> Rozdział 28.

gdy ty za mnie pokutę uczynisz“. Głęboko tym widokiem i temi słowami wzruszona i serdeczną nad męką ojca litością przenikniona, dziewczeczka przyrzeka mu, iż bierze na siebie i dopełni za niego należne sprawiedliwości Boskiej zadośćuczynienie. Jakoż od tej chwili, dojrzałym umyślem i mężnem sercem zwyciężając słabość dziecinnego wieku swego i lekliwość niewieścią, rozpoczyna on długi, nieprzerwany aż do śmierci szereg niesłychanych umartwień i surowości, które ją uczyniły dziwem i niedoścignionym, bez szczególnej łaski Bożej, wzorem pokuty chrześcijańskiej. W braku dyscypliny, zbiera klucze, ile ich miała pod ręką, i w jeden ciężki pęk je związawszy, bez litości biczuje nimi i kaleczy niewinne ciało swoje, z radością krew z ran jej płynącą ofiaruje Bogu za duszę ojca swego. Po niejakiem czasie takiej zastępczej pokuty, znowu ukazał jej się ojciec, już jaśniejący chwałą błogosławionych, i rzekł do niej: — „Bóg raczył przyjąć pokutę twoją, córko, i do chwały swojej mię dopuścić. I nie tylko przyjął pokutę twoją, ale tak sobie w niej Pan Jezus upodobał, iż za to wybrał cię sobie za oblubienicę. Nie ustawaj. póki żyjesz, oddawać siebie w ofierze dla zbawienia dusz: taka jest Boska wola Jego.“ Słowa te niewypowiedzianą pociechą napełniły serce Katarzyny. Uszczęśliwiona na myśl, że Boski Oblubieniec dusz czystych raczył ją przyjąć za oblubienicę, w jasnościach ustawicznej bogomyślniej modlitwy, coraz głębiej poznając nieskończoną wielkość i piękność tego Oblubienca, i niepojętą wielkość tego zaszczytu, że ją maluczką, na równi z takimi wielkimi duszami jak Agnieszka, jak Agata, jak Łucya, jak Cecylia, podniósł do niezrównanej godności najbliższego z Nim obcowania, sama też, ledwo dzieścioletnia, bez podziału Jemu się oddaje, w obliczu wszystkiego dworu niebieskiego ślubując Mu dozwonne państwo i wierność aż do śmierci. Wierność poślubioną i miłość swoją chce Mu okazać czynem, wstępując w krwawe ślady ukrzyżowanego Oblubienca i pewna już tego, że poświęcając siebie na ofiarę dla zbawienia dusz, czyni Jemu rzecz przyjemną, wśród okazałości i zbytku książęcego dworu opiekunki swojej, wie dzie życie pokutne, niesłychaną surowością swoją równające się życiu Ojców na puszczy. Choć zmuszona ubierać się w kosztowne szaty, odpowiednicie wysokiemu jej urodzeniu i pańskiemu, w którym żyje, otoczeniu, dla niej przecie jedyną szatą, w której się kocha i z którą się nie rozstaje, włosienicą, biczem i dyscypliną, to klejnoty jej, krwawe rany, jakie nimi ciału swemu zadaje, to jej perły i brylanty, choć troskliwie je ukrywa przed oczyma ludzkimi, aby Ten tylko je widział, któremu samemu podobać się pragnie, a który w zamian za taką mężną wierność i miłość, niewypowiedzianą słodkością nadzwyczajnych łask i pociech niebieskich duszę jej zalewa. Wewnętrzne to, w cierpieniach nieubłaganej pokuty, w rozkoszach najwyższej bogomyślności, z Boskim Oblubieńcem obcowanie. choć ukryte w głębi duszy przed oczyma ludzkimi, nie mogło przecie ukryć się w skutkach swoich, w rodzących się z niego owocach świętości. Pogodna zawsze w pełnieniu powszednich obowiązków i wszelkiej enoty, z dziecięcą prostotą i pokorą, wierność jej i stateczność, nadziemski jakiś urok czystości i niewinności, oblicze i całą postawę jej oprzemieniający, dziwne, w każdym słowie i w każdym postępku, cichości i dobroci najśodszej

z nieugiętą siłą woli połączenie: wszystko to niezrównanego wdzięku dodawało całemu jej jestestwu, i wszystkich serca do niej pociągało. Niechętni nawet, lub obojętni mimowoli podziwiali żywą i głęboką jej wiarę, czystą i gorącą jej żądzą chwały Bożej we wszystkim i nadewszystko, zupełne jej oderwanie się od wszelkiego przywiązania do rzeczy stworzonych, niestrudzone jej, z ochotnym poświęceniem siebie, miłosierdzie dla ubogich: a choć nie kryła się z głęboką wzdargą swoją dla świata i od marnych uciech i zabaw jego, ile mogła, stroniła, taką przecie tę odrębność swoją umiała zaprawiać uprzejmością i dobrocią dla wszystkich, że i najbardziej światowi nie mieli serca na nią się gniewać. Ale samaż ta powszechna cześć i uwielbienie, jakie poślubiona Bogu dziewczeczka takimi cnotami swemi dla siebie wzbudzała, stały się dla niej powodem ciężkiej próby i walki. Gdy miała lat trzyznaście, pewien szlachetny młodzieniec, potomek jednego z największych rodów neapolitańskich, zachwycony nie tyle jeszcze urodą panienki ile wdziękiem jej duszy, oświadczył się o rękę jej, i stanowcze u opiekunów jej znalazł prośby swojej poparcie. Napróżno powoływała się na swój ślub panieństwa: opiekunowie oznajmili jej, że od ślubu uzyskają dyspensę, i tem mocniej jeszcze prośbą, rozkazem i groźbą na nią nastawiali, aby się na ofiarowany związek zgodziła. Zmuszona uleść tak usilnemu naciskowi, Katarzyna, jak to niegdyś uczyniła św. Cecylia, gdy poniewolnie poddać się musiała podobnemuż żądaniu rodziców, porzuciła panieństwo swoje wszechmogącej obronie Boskiego Oblubieńca swego; i nie zawiodła się w swej ufności: narzeczony jej niespodzianie zasnął i umarł, nie doczekawszy dnia ślubu, a Katarzyna, wybawiona od groźących jej więzów, na nowo w obliczu Aniołów uroczystą się wiąże przysięgą, iż nieczyją być nie chce, i nigdy nie będzie, jedno Boskiego Pana i Oblubieńca swego. Opiekunowie i krewni, w nagłej śmierci narzeczonego uznając wyraźny znak woli Bożej, nie śmieli dalej sprzeciwiać się świętym pragnieniom panienki. Pozostawiona woli swojej, i wyzwolona z pęt i służebności światowych, Katarzyna opuszcza pałac opiekunki swojej i obiera sobie mieszkanie w klasztorze kapucynek w Neapolu, gdzie będzie mogła bez przeszkody iść za pociągiem swoim do pokuty i bogomyślności. Zagłębianie się rozmyślaniem w tajemnicę niezgłębione miłości ukrzyżowanego Boga swego, rzeźbienie na ciele swoim pokutą i umartwieniem jaknajbliższego z Nim podobieństwa, to było jedyne na tej dobrowolnie obranej samotności zajęcie jej, na którym z rozkoszą dnie i noce trawiła. Jaka była w tem schronieniu klasztorzem miara srogości jej uczynków pokutnych, i hojności spływających na nią za to łask i pociech niebieskich, to pozostało tajemnicą między nią a Bogiem; ale z tego co wiemy o późniejszym jej życiu, nie trudno wniosek, że była to miara przeobfita.

Po dwudziestu i pięciu latach spędzonych na samotności w takim modlitwą i pokutą z Oblubieńcem ukrzyżowanym zjednoczeniu, spodobało się Panu bohaterską tę miłośniczkę krzyża wywieść znowu na widownię świata, aby na samymże dworze królewskim, przed wielkimi i możnymi tej ziemi zajaśniała wspaniałym wzorem najwyższych cnót chrześcijańskich. Stało się to w sposób następujący:

Księżna Salerno, skutkiem upadku małżonka swego, który odstąpiwszy sprawy Karola V i przyłączywszy się do stronnictwa francuskiego, doznał za to całej srogości gniewu mszczącego się za zdradę wyrządzoną ojcu króla Filipa II, z rozkazu tegoż króla skazaną została r. 1557 na przymusowe zamieszkanie w Waliadolidzie. Głęboko dotknięta tym ciosem, udała się do Katarzyny z błagalną prośbą, by zechciała towarzyszyć jej na to wygnanie, i być jej podporą i pociechą w nieszczęściu. Nie chcąc i przez miłość bliźniego, i przez wdzięczność dla dawnej opiekunki i dobrodziejki swojej odrzucać jej prośby, Katarzyna, nie bez ciężkiej ofiary z siebie, zgodziła się opuścić ukochaną samotność swoją, i, w towarzystwie księżny, przeniosła się do Hiszpanii. Za przybyciem do Waliadolidu, księżna, pragnąc wobec ciężającej nad nią niełaski monarchy tem dobitniej zaznaczyć książęcą wielmożność swoją, z wielką okazałością i przepychem urządziła dom swój, i świetnym otoczyła się dworem. Ale w czem ona miała tylko na celu zadowolenie ziemskiej dumy i próżności swojej, tego Bóg użył na większą chwałę swoją i większy dusz ludzkich pożytek. Największą, wśród tego blasku i przepychu, ozdobą dworu książęcego i najdroższym jego klejnotem, była Katarzyna. Będąc zawsze przy boku księżnej na wszystkich zebraniach i przyjęciach, rychło tchnącym z niej urokiem świętości powszechną zwróciła na siebie uwagę wielkiego świata, tłumnie gromadzącego się na pokojach książęcych. Przykład życia jej zdumiewająco enotliwego, wdzięk uroczej skromności i serdecznej dobroci jaśniejący w całym jej zachowaniu się, nadprzyrodzona mądrość i roztropność, znamionująca każde słowo jej, połączone z tą przenikającą w prostocie swojej głębokością i siłą, która jest sekretem świętych: wszystko to nieprzparte na każdym, kto do niej się zbliżył, wywierało wrażenie, tak, iż sam widok jej był jakoby żyjącem kazaniem, skuteczny i szczęśliwy szeroko dokoła wpływ wywierającym, ku umocnieniu w wierze wielu dusz, błędami nowatorów, w onym czasie i do Hiszpanii wciskającymi się, zachwianych, ku naprawie wykwiutnych, ale nie zawsze budujących obyczajów wielkoświatowego jej otoczenia, ku upamiętaniu i skierowaniu do Boga wielu serc zbłąkanych.

Po śmierci księżny Salerno, która nastąpiła w dwa lata po jej przesiedleniu się do Hiszpanii, król Filip II, znając i wysoko ceniąc niepospolite zalety Katarzyny, powołał ją na dwór swój i mianował ją ochmistrzynią nieletniego syna swego, Don Karlos'a, oraz młodego Don Juana austriackiego, późniejszego zwycięzcy pod Lepanto. Książę Ruy-Gomez, pierwszy minister króla, za szczęście i zaszczyt poczytywał sobie, że mógł jej ofiarować mieszkanie w pałacu swoim, prosząc jej nadto, by raczyła go wziąć w swe zawiadywanie, na co ona zgodziła się, zastrzegając sobie tylko nieograniczoną swobodę w dawaniu jałmużny ubogim Chrystusowym. Świętobliwa ochmistrzyni prędko pozyskała sobie serce królewskich wychowanków swoich, którzy zwali ją matką i czuli i kochali jak matkę; Don Juan szczególnie zachował dla niej aż do śmierci uczucia synowskiego przywiązania i, w listach swoich, póki żyła, wymowne jej tego dawał dowody. Nad domem Ruy Gomez'a, dopóki nim zawiadywała Katarzyna, widoczne spoczywało błogość-



wieństwo nieba; snuć, jak sam to z dziękczynieniem uznawał, Bóg w taki sposób chciał mu odpłacać stokrotnie za hojne jałmużny, któremi ta prawdziwa matka ubogich, z oddanych w szafarstwo jej dochodów, wszelką nędzę rozrzutną ręką obsypywała. Wszystek dwór królewski nieustające, w szczęśliwe skutki nawróceń obfite miał z niej zbudowanie; prawdziwie tam, jak „na każdym miejscu, była dobrą wonią Chrystusową”<sup>1)</sup>.

Wreszcie, po pięciu latach takiego między wielkimi tego świata apostołstwa, r. 1562, tego samego roku, w którym św. Teresa zakładała w Awili pierwsze naprawy Karmelu fundamenta, Katarzyna usłyszała w sobie taki głos Boskiego Oblubieńca:—„Porzuć już ten pałac; schroń się na puszcę; tam, w samotnej jaskini, swobodniej niż tu będziesz się mogła oddawać modlitwie i umartwieniu.“ Słowa te dziwnym napełniły duszę jej pokojem i niewypowiedzianą radością: uzbroiły ją w siłę i męstwo, żadną przeszkodą, żadną trudnością nieustraszone: był to, jak uczy nas św. Teresa, doświadczona w tych rzeczach mistrzyni, znak niezawodny, że słowa te pochodziły od Boga. Katarzyna chciała bezzwłocznie pójść za wezwaniem Pańskim; ale odpowiednik, powodując się więcej względami ludzkimi, nie puszczał jej. Po jakimś czasie dopiero Bóg przysłał jej na pomoc dwóch gorliwych sług swoich, Franciszka de Terre i św. Piotra z Alkantary: oba upewnili ją, że słowa, które słyszała, były rzeczywiście głosem wezwania Bożego i twierdzili ją w postanowieniu usłuchania go; św. Piotr z Alkantary obiecał jej nadto, że będzie się modlił za nią, aby mogła jaknajrychlej opuścić dwór królewski i udać się na puszcę. Bóg też niebawem ułatwił jej tę świętą ucieczkę. Korzystając z wyjazdu księcia Ruy Gomez, udającego się do majątku swego pod Alkalą, uprosiła sobie pozwolenie towarzyszenia mu i tam na wsi znalazła sobie onego pustelnika, który, jak wiemy już z opowiadania św. Teresy, dopomógł jej do wykonania zamiaru swego. Opuszczając dom księcia, napisała i w pokoju swoim pozostawiła na wierzchu list do tegoż i do księżny Eboli, w którym oznajmiała im, że stosownie do rozkazu otrzymanego od Boga, idzie na pustynię, i w imię przyjaźni, jaką mają dla niej, błaga ich by jej nie szukali, co i byłoby na próżno, bo nie znajdą jej, a choćby i znaleźli, żadna przyjaźń ani żadna siła ludzka nie zdołałaby jej skłonić do powrotu na dwór królewski; upewniała ich przytem, że nigdy w modlitwach swoich o nich nie zapomni, prosząc zarazem, by też upewnienie złożyli od niej królowi i dwóm młodym księżetom, a szczególnie Don Żuanowi, którego kocha sercem, jakby macierzyńskim. Noc przed wyjściem swoim Katarzyna spędziła na modlitwie, i tu Boski Oblubieniec, który ją wzywał do siebie, sam raczył być pierwszym jej przewodnikiem i dodać jej odwagi okazaniem eudownej mocy swojej: przed świtem, w chwili na wyjście postanowionej, krzyż, który nosiła zawieszony na szyi, podniósł się w górę i zawisł w powietrzu, zaczem usłyszała głos z niego wychodzący: „Chodź za mną.“ Doprowadził ją do niskiego okna, wychodzącego na ulicę,

<sup>1)</sup> 2. Kor. 2, 15.

i tejsze chwili, choć okno było zamknięte i grubo zakratowane, Katarzyna, sama nie wiedząc jak, znalazła się poza murami domu. Rozradowana do głębi duszy tym cudownym dowodem miłości i czułej opieki, którym Boski Pan raczył ją zaszczyścić, pobiegła co tchu na miejsce umówione, gdzie czekał na nią pustelnik wraz z drugim pobożnym duchownym, aby ją, jak byli przyrzekli, zaprowadzić na miejsce odludne. Z radością powitali bohaterską pokutnicę, winszując jej i wraz z nią wielbiąc Boga, iż potargał jej pęta. Potem, ubrawszy ją w wór pustelniczy i obciawszy jej włosy, aby jej kto nie poznał, pospiesznie z nią puścili się w drogę, chcąc czemprowadzić wyjść z granic posiadłości książąt Eboli. Zatrzymali się w Cuença, gdzie pustelnik udał się do biskupa, prosząc dla Katarzyny o pozwolenie założenia sobie pustelni w jego dyecezyi, na co biskup łaskawie się zgodził, pozostawiając jej do woli wybór miejsca. Udali się więc w dalszą drogę, w kierunku miasta Roda. Na jakie dwie mile przed miastem, Katarzyna zatrzymała się na wzgórzu przy drodze i rzekła do przewodników swoich: „Tu jest miejsce, gdzie Bóg mi każe zamieszkać; nie chodźmy dalej, proszę.“ Oglądając się za jakim dla niej schronieniem, upatrzyli wśród gęstych zarośli cierniowych rodzaj pieczary, ale z wejściem tak ciasnym i tak niską, że Katarzyna, choć szczupła i niewysokiego wzrostu, ledwo mogła do niej się wcisnąć i w niej się wyprostować. Nicopodal, o małe ćwierć mili od tej jaskini, był klasztor „Zródź święty,“ z kościołkiem, na kilka lat przedtem wśród tej pustyni przez OO. Trynitarzy zbudowany. Tu więc Katarzyna założyła mieszkanie swoje. Przewodnicy jej zagrodzili wejście do pieczary, dla ukrycia go od oczu ciekawych, plecionką z jałowca; poczem, zostawiając jej cały przybór narzędzi pokutnych, jaki mieli z sobą i za całą żywność trzy chleby, pożegnali ją i odeszli. I tak córka książąt de Cardona rozpoczęła w roku 1562 ten zdumiewający surowością i świętością swoją żywot pustelniczy, którego nam św. Teresa tak żywy obraz skreśla.

Trzy lata zupełnie samotna i niespostrzeżona przeżyła w pieczarze swojej, nim, jak widzieliśmy wyżej, pasterz jakiś trafem odkrył jej schronienie. Wkrótce potem dowiedziano się także o nazwisku i pochodzeniu jej, gdy niektórzy zakonnicy z sąsiedniego klasztoru Zródź święty, trafiwszy do pieczary w nieobecność jej, ujrzeni tam list Don Żuana Austriackiego, zowiący ją matką, i książkę do nabożeństwa z napisem: „Księżna Eboli Katarzynie de Cardona.“ Od tej chwili, napływ pobożnych i ciekawych, już na pierwszą o niej wieść, przez onego pasterza rozgłoszoną, bardzo znaczny, coraz więcej się wzmagał: lud okoliczny tłumami się zbiegał do tej dziwnej księżny, w worze pustelniczym ukrytej, i czcił ją jak świętą. Wobec tego nadzwyczajnego konkursu, wobec dziwów, jakie wszędy o niej opowiadano, władza duchowna uznała konieczność zbadania ducha jej. O. Gaspar de Salazar, rektor kolegium jezuickiego w Cuença, ten sam, który przedtem był w Awili spowiednikiem św. Teresy, i o którym Święta w Księdze Życia swego z uwielbieniem mówi, przybywszy do Katarzyny, jako wysłany z urzędu delegowany biskupi, rychło przekonał się z podziwieniem, jakie niezmierzone skarby łaski Bóg w tej duszy wybranej nagromadził, i uroczyste oddał świadectwo świętości

jej życia; później też często ją odwiedzał, i zwał ją „jedną z dusz najwyższej serafickich swego wieku“.

W roku 1571 Katarzyna przystąpiła do wykonania myśli swojej, założenia przy swej pustelni klasztoru karmelitów Bosych, i w tym celu udała się do Pastrana. Dnia 6 maja tegoż roku, w obecności księcia i księżny Eboli, przywdziała habit Karmelu. Był to habit męski; żeńskiego nie chciała, bez wątpienia skutkiem szczególnej wskazówki, jaką miała w tym względzie od Boga; jakoż w istocie, przy takim rodzaju życia, w tem zupełnem osamotnieniu i opuszczeniu, na jakie się dobrowolnie była skazała, ubranie na wpeł męskie, jakie była od pierwszej chwili wyjścia na puszcze przywdziała, bezpieczniejszą było dla niej obroną i pewniejszą tajemnicą jej osłoną. Gdy dowiedziano się na dworze królewskim o przybyciu jej do Pastrana, księżna Joanna, siostra Filipa II, po śmierci męża swego, księcia Jana portugalskiego, żyjąca w ukryciu u klarysek madryckich, napisała do księcia Eboli, prosząc go, by jej przywiózł tę dawną jej znajomą. Ruy Gomez, czyniąc zadość temu żądaniu, z Katarzyną i towarzyszem jej Ojcem Mariano, przybył niezwłocznie do Madrytu, gdzie księżna powitała świętą z radością, długie godziny trawiając z nią na duchownych rozmowach i wyuurzając przed nią wszystkie strapienia swoje; zawiozła ją do Eskurialu, ani na chwilę prawie nie odstępując od boku jej. Na dworze królewskim Katarzyna zabawiła tydzień cały, w niczem nie zmieniając pustelniczego trybu życia swego; tak samo, jak w jaskini swojej, posty zachowywała surowe, syplała godzinę na dobę, wszysstek czas, ile go mogła mieć swobodnego, trawiając na modlitwie. W szerściannym habicie swoim, z kapturem nasuniętym na głowę, z taką prostotą i swobodą zachowywała się wśród przepychu komnat królewskich, i świetnej ciżby panów i dworzan, jak gdyby była na pustyni; wbrew wszelkim przepisom etykiety i wszelkim formom wykwińności dworskiej, jak gdyby przez te ośm lat bogomyślniej samotności swojej zupełnie już zapomniała obyczaju i sposobu rozmowy światowej, nie tylko panów i dostojników dworskich traktowała przez „ty“, ale samemu królowi mówiła: „synu“ a księżniczkom „córki“. Ale głęboka wiara króla nie obrażała się tą prostotą, z serca Boga pogrążonego płynącą, i rada puszczała w niepamięć ziemską wielkość monarchy, w obec tej istoty anielskiej, mówiącej doń jak poseł z nieba; a księżniczka Joanna, gdy święta raz spostrzegłszy się i przepraszając ją za niewłaściwość mowy swojej, rzekła: „albo mi wybaczenie prostactwo moje, albo mię odprawcie skądem przyszła“,—rzucając się jej na szyję zawołała: „O matko, zapomnij sobie ile chcesz o książęcych tytułach moich, tylko o mnie pamiętaj przed Panem“. Po ośmioldniowym pobyciu w Eskurialu, Katarzyna powróciła do Madrytu. Po drodze, z powozu, którym ją odwoziły panie dworskie, w dobroci serca swego żegnała tłumy ludu, cisnącego się do niej i proszącego o błogosławieństwo. Za to pokora jej została wystawiona na dotkliwą próbę. Nuncyusz wezwał ją do siebie i ostro zgromił, że chodzi w ubraniu męskiem, i że poważa się publicznie jak Biskup dawać błogosławieństwo. Pokorna służebnica Boża w milczeniu, krzyżem leżąc u nóg nuncjusza, wysłuchiwała tego groźnego ostrego upomnienia; dopiero gdy skończył, na rozkaz jego podniosłszy się z ziemi,

spokojnie i swobodnie, z tą świętą prostotą, która była znamionną jej cechą i głównym wdziękiem jej, wytlómaczyła się, przedstawiając nuncyuszowi powody postępowania swego. Słowa jej przekonały nuncyusza, że Bóg sam prowadzi ją taką nadzwyczajną drogą; pozwolił jej zachować i nadal męskie ubranie swoje i uprzejmie ją pożegnał, błogosławiąc ją i polecając siebie jej modlitwom.

Z Madrytu Katarzyna udała się do Toletu, gdzie czas jakiś przemieszkała w tamecznym klasztorze Karmelitek Bosych. W tej Bożej atmosferze ciszy i samotności, wolna od przeszkód i służebności światowych, mogąc swobodnie oddawać się ukochanym swym ćwiczeniom bogomyślności i pokuty, czuła się między siostrami jakby w gronie rodzinnem. W godzinach rekreacji, z dziecięcą szczerością i prostotą opowiadała im o łaskach nadzwyczajnych, jakimi Bóg ją obsypywał, o nadzwyczajnych również umartwieniach i surowościach życia swego, a siostry z zachwyceniem słuchały tych opowiadań, lubując się techną z nich słodką wonią ewangelicznej prostoty i świętości, i nie mniej słodką, cudowną wonią, jaką technę samaż osoba opowiadającej i wszystka odzież jej. Z jakim nieubłaganem okrucieństwem ta bohaterska pokutnica pastwiła się nad ciałem swoim, ofiarując siebie Bogu na zadośćuczynienie za grzechy ludzkie, o tem w czasie jej między niemi pobytu miały sposobność przekonać się naocznie. Któregoś wieczora słyszały, jak Katarzyna całe trzy godziny biczowała siebie bez przerwy. Jedna z sióstr, wszystkie ten czas przestawszy podebrzwaniami, w końcu nie mogąc już dłużej, wytrzymać, wpadła do celi świętej; ta zaś na zakończenie krwawej tej operacji, którą poniewolnie przerwać musiała, najspokojniej, jeden ból zastępując drugim, plecy swoje, w jedną ranę zamienione, włosienicą z krwi obficie płynącej otarła, a gdy siostry poczęły ją namawiać, by choć nieco pofolgowała tym straszliwym umartwieniom swoim, dała im tę pamiętną odpowiedź, w której jest wytlómaczenie całego życia jej: — „Komu dano było, jak mnie, na oczy oglądać piekło i czyściec, ten, dla uchronienia dusz ludzkich od tamtego, dla wyzwolenia ich z tego drugiego, nigdy nie może przebrać miary w pokucie; nie wolno mi oszczędzać siebie, bo oddałam siebie na ofiarę za zbawienie bliźnich“.

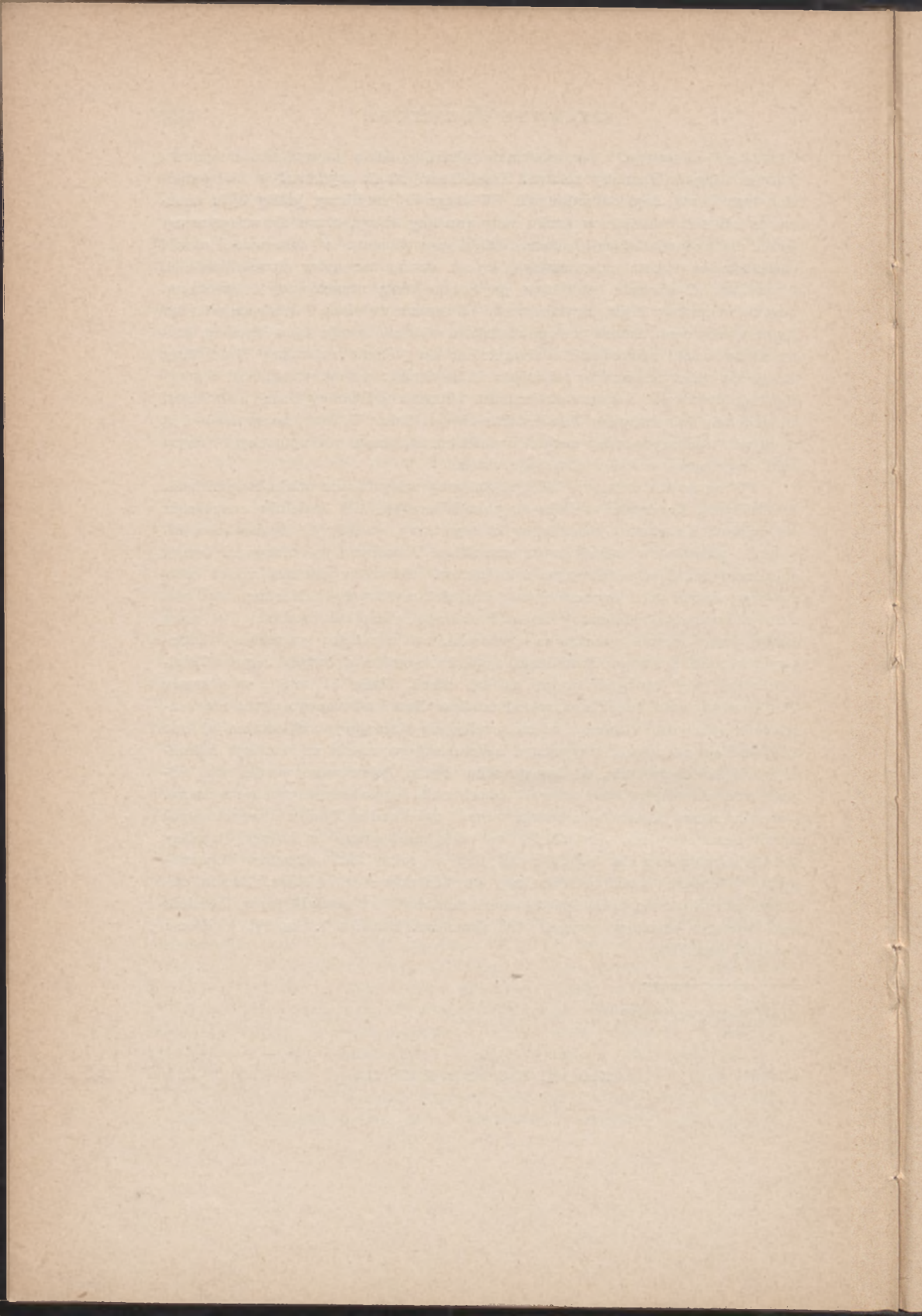
Za powrotem z Toletu, Katarzyna zatrzymała się w pałacu księcia Ruy Gomez w Madrycie. Było to w czasie, kiedy miały się rozstrzygnąć losy chrześcijaństwa, zagrożonego najazdem potęgi otomańskiej. Pod dowództwem Don Juana austriackiego, który jeszcze przed odpłynięciem z Hiszpanii miał radość ujżenia w Eskurialu dawnej zawsze mu jakby matka drogiej ochmistrzyni swojej, i ze czcią synowską ukląkłszy, wziął od niej błogosławieństwo na niebezpieczną wyprawę swoją, — flota książąt chrześcijańskich już była wypłynęła na wody morza egejskiego, gdzie niebawem miała się zmierzyć z groźnie przeważającą siłą nieprzyjaciela. Katarzyna w głębokiej samotności ukryta, zdawała modlitwy i pokuty swoje, łącząc je z nakazaniami przez świętego Papieża Piusa V, powszechnemi po całym świecie modłami o zwycięstwo oręża chrześcijańskiego. W niedzielę, 7 października 1571, wewnętrznem oświeceniem ostrzeżona, że ten miał być dzień stanowczy, srozsze niż kiedybądź zadała sobie biczowanie, i klęcząc u stóp krzyża,

i łzami go oblewając, i bezprzestannie ofiarując siebie na przejednanie gniewu Bożego, błagała Pana, by ratował Kościół swój i nie wydawał w moc pogańską dusz krwią Jego odkupionych. W ciągu tej modlitwy, jakby była obecną na miejscu, widziała w duchu cały przebieg bitwy, zrazu dla wroga szczęśliwie się zapowiadającej, potem, dzięki pomyślnemu w stanowczej chwili obróceniu się wiatru, przeważającej się na stronę szeregów chrześcijańskich, i zakończonej wreszcie zupełnym pogromem floty otomańskiej i świetnym, obrońców sprawy Bożej zwycięstwem. Z sercem radością i wdzięcznością ku Bogu wezbranem, Katarzyna opowiedziała widzenie swoje Ojcu Mariano, który bezzwłocznie zawiadomił o niem króla: ten jednak rozważny i ostrożny kazał mu rzecz schować w milczeniu. Ale wkrótce potem, wiadomość o zwycięskiej bitwie pod Lepanto stwierdziła widzenie służebnicy Bożej i dowiodła, że podobnie jak świętego Namiestnika swego Piusa V, Pan rzeczywiście i ją w sposób nadprzyrodzony uczynił świadkiem naocznym wiekopomnego w onym dniu zwycięstwa wodzów chrześcijańskich.

W początku marca r. 1572, spełniwszy wszystko, co miała do spełnienia w Madrycie, Katarzyna wróciła do pustelni swojej. W kwietniu rozpoczęła się budowa klasztoru i kościoła, w którego mury, według jej życzenia, wciągnięto i pieczarę, w której dotąd mieszkała. Urządzono jej nieopodal drugą, połączoną gankiem podziemnym z kościołem. Nowa ta pieczara miała cztery stopy szerokości i dwanaście stóp długości, z których O. Mariano ujął ośm na zbudowanie jej podobizny Grobu Pańskiego. Tam też, we dnie i w nocy mając przed oczyma pobożne to wyobrażenie i pamiątkę pogrzebu i zmarłych wstania Boskiego Oblubieńca, spędziła bohaterska krzyża Jego miłośnica ostatnie pięć lat życia swego na tej ziemi. Dnia 11 maja, w Oktawę Wniebowstąpienia Pańskiego, wśród modłów Braci założonego przez nią klasztoru, z synowską miłością i ze czcią religijną otaczających śmiertelne jej łoże z uśmiechem na ustach, z wyrazem nadziemskiego wesela na twarzy, zakończyła pięćdziesięcioletnie, od ósmego roku życia, dobrowolne swoje, dla miłości ukrzyżowanego Pana swego i dusz krwią Jego odkupionych, męczeństwo, i według słowa Apostoła <sup>1)</sup>, poszła wespół królować z Tym, z którym wespół na tej ziemi cierpiała. Zwłoki jej ze czcią pochowano w bocznej kaplicy zbudowanego przez nią kościoła; aż gdy w roku 1603 klasztor Wspomożenia Wiernych został przeniesiony do Villanueve de la Xara, Bracia zakonnici zabrali z sobą ciało świętej swej fundatorki i złożyli je w kościele tego nowego klasztoru swego. (Ob. *Ann. gen. Carm. t. I. ks. IV, i Decor Carmeli, pars. II.*)

---

<sup>1)</sup> 2 Tym. 2. 12.



# SPIS RZECZY

TOMU II.

Str.

## Księga Sprawozdań duchownych.

Uwagi wstępne. . . . .	3
<b>Sprawozdanie pierwsze.</b> Do św. Piotra z Alkantary, założyciela Braci Bosych świętego Ojca Franciszka. Przedstawia mu stan swej duszy i sposób swój zachowywania się na modlitwie. Pisane r. 1560, w klasztorze Wcielenia.	7
<b>Sprawozdanie drugie.</b> Pisane w klasztorze Wcielenia, między r. 1561 a 1562, do spowiednika niewiadomego. Święta opisuje w dalszym ciągu stan duszy swojej . . . . .	18
<b>Sprawozdanie trzecie.</b> O różnych łaskach, jakie otrzymywała od Boga w latach 1568—1571 . . . . .	27
<b>Sprawozdanie czwarte.</b> O łaskach, jakie otrzymała od Pana w Salmantyce, w kościele W. Postu r. 1571 . . . . .	37
<b>Sprawozdanie piąte.</b> Objawienia i nauki o rzeczach duchownych . . . . .	41
<b>Sprawozdanie szóste.</b> O ślubie posłuszeństwa, który uczyniła Ojcu Gracjan, r. 1575 . . . . .	47
<b>Sprawozdanie siódme.</b> Napisane r. 1575 dla O. Rodryka Alvarez T. J.. Wymienia w niem spowiedników, którym w różnych czasach powierzała sumienie i duchowne sprawy swoje i opowiada główne zdarzenia zakonnego życia swego . . . . .	51
<b>Sprawozdanie ósme.</b> Do tekoż O. Rodryka Alvarez . . . . .	61
<b>Sprawozdanie dziewiąte.</b> O różnych łaskach duchownych, jakie otrzymała w Toledo i w Awili, w ciągu lat 1576 i 1577 . . . . .	70
<b>Sprawozdanie dziesiąte.</b> O objawieniu, jakie miała w Awili roku 1579 i oznajmionych jej od Pana czterech przestrożach dla zakonu karmelitów Bosych . . . . .	80

## Księga fundacyi.

Uwagi wstępne . . . . .	85
Wstęp . . . . .	89
<b>Rozdział pierwszy.</b> W jaki sposób poczęła się pierwsza myśl tej fundacyi w Medina del Campo i drugich . . . . .	93
<b>Rozdział drugi.</b> Przyjazd naszego Ojca Generała do Awili i co z przyjazdu jego wynikło . . . . .	97

<b>Rozdział trzeci.</b> W jaki sposób i z jakimi środkami przystąpiono do założenia klasztoru św. Józefa w Medina del Campo . . . . .	101
<b>Rozdział czwarty.</b> O szczególnych łaskach, jakie Pan czyni siostram w tych klasztorach naszych.—Przestrogi dla przełożonych, jak się w obec nich mają zachowywać . . . . .	110
<b>Rozdział piąty.</b> O modlitwie bogomyślnej i objawieniach: uwagi i przestrogi przydatne szczególnie duszom powołanym do pracy zewnętrznej . . .	115
<b>Rozdział szósty.</b> O szkodach, jakie może sobie wyrządzić dusza w życiu duchownem, gdy nie wie kiedy i jak sprzeciwić się duchowi, to jest zapamięłom wewnętrznym i zachwyceniom.—O pożądaniu Komunii świętej i jakie w niem mogą ukrywać się złudzenia.—Ważne wskazówki i przestrogi dla przełożonych w tych domach naszych . . . . .	125
<b>Rozdział siódmy.</b> Jak należy postępować z duszami podlegającymi melancholii. Wskazówki przełożonym potrzebne . . . . .	137
<b>Rozdział ósmy.</b> Kilka uwag o objawieniach i widzeniach . . . . .	144
<b>Rozdział dziewiąty.</b> Wyjazd z Medina del Campo na fundację św. Józefa w Malagonie . . . . .	149
<b>Rozdział dziesiąty.</b> Fundacya domu w Waliadolidzie, pod wezwaniem Poczęcia Najśw. Panny z Góry Karmelu . . . . .	151
<b>Rozdział jedenasty.</b> Dalszy ciąg wszczętego w poprzedzającym rozdziale opowiadania.—Jaki zakon obrała sobie Donna Kasylda de Padilla, w wykonaniu świętego zamiaru swego wstąpienia do klasztoru . . . . .	160
<b>Rozdział dwunasty.</b> O życiu i śmierci Beatryczy od Wcielenia, którą Pan do tego domu naszego powołał: życiu tak cnotliwem i śmierci tak pięknej, iż słusznie należy im się to wspomnienie . . . . .	166
<b>Rozdział trzynasty.</b> W jaki sposób i za czyją sprawą, powstał pierwszy, według reguły pierwotnej, klasztor karmelitów Bosych, roku 1568 . . . . .	171
<b>Rozdział czternasty.</b> Dalszy ciąg o założeniu pierwszego domu karmelitów Bosych. Jakie życie w nim wiedli pierwsi dwaj Ojcowie i jaki pożytek poczęł Pan przez nich sprawiać wśród ludności okolicznej, na cześć i chwałę swoją . . . . .	176
<b>Rozdział piętnasty.</b> O fundacyi domu chwalebego św. Józefa w mieście Toledzie, roku 1568 . . . . .	182
<b>Rozdział szesnasty.</b> Nicktóre, na cześć i chwałę Panu, szczegóły z dziejów wewnętrznych tego klasztoru św. Józefa w Toledzie . . . . .	192
<b>Rozdział siedemnasty.</b> O fundacyi dwóch klasztorów, męskiego i żeńskiego w Pastrana, tegoż roku 1569 . . . . .	196
<b>Rozdział osmnasty.</b> O fundacyi klasztoru św. Józefa w Salmantyce, roku 1570. Kilka ważnych uwag dla przełożonych . . . . .	206
<b>Rozdział dziewiętnasty.</b> O fundacyi domu św. Józefa w Salmantyce, ciąg dalszy	216
<b>Rozdział dwudziesty.</b> O fundacyi klasztoru Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi w Alba de Tormes, roku 1571 . . . . .	224



	Str.
Rozdział dwudziesty i pierwszy. O fundacyi Karmelu chwalebnego św. Józefa w Segowii, w sam dzień św. Józefa roku 1574 . . . . .	233
Rozdział dwudziesty i drugi. O fundacyi klasztoru świętego Józefa od Zbawiciela w mieście Veas, w dzień św. Macieja r. 1575 . . . . .	240
Rozdział dwudziesty i trzeci. O fundacyi Karmelu chwalebnego św. Józefa w mieście Sewilli, w dzień Świętej Trójcy roku 1575 . . . . .	252
Rozdział dwudziesty i czwarty. O fundacyi Karmelu św. Józefa w mieście Sewilli. Ciąg dalszy . . . . .	259
Rozdział dwudziesty i piąty. O fundacyi klasztoru św. Józefa w Sewilli, ciąg dalszy. Ile trudu kosztowało nabycie własnego domu . . . . .	268
Rozdział dwudziesty i szósty. O fundacyi klasztoru św. Józefa w mieście Sewilli, dokończenie.—Kilka szczegółów zaznaczenia godnych o pierwszej nowicyuszce do tego klasztoru przyjętej . . . . .	275
Rozdział dwudziesty i siódmy. O fundacyi klasztoru pod wezwaniem chwalebne- go św. Józefa w miasteczku Caravaca, w dzień Nowego Roku 1576 . . . . .	283
Rozdział dwudziesty i ósmy. Fundacya klasztoru w Villanueva de la Xara . . . . .	296
Rozdział dwudziesty i dziewiąty. Fundacya klasztoru św. Józefa u Matki Bo- skiej Nadrożnej w Palencyi, w dzień św. króla Dawida r. 1580 . . . . .	321
Rozdział trzydziesty. Fundacya klasztoru Trójcy Przenajświętszej w mieście Soria, roku 1581, w dzień św. Ojca naszego Elizeusza . . . . .	338
Rozdział trzydziesty i pierwszy. Fundacya klasztoru św. Józefa u św. Anny w mieście Burgos, dnia 19 kwietnia, w Oktawę Zmartwychwstania Pań- skiego r. 1582. . . . .	347

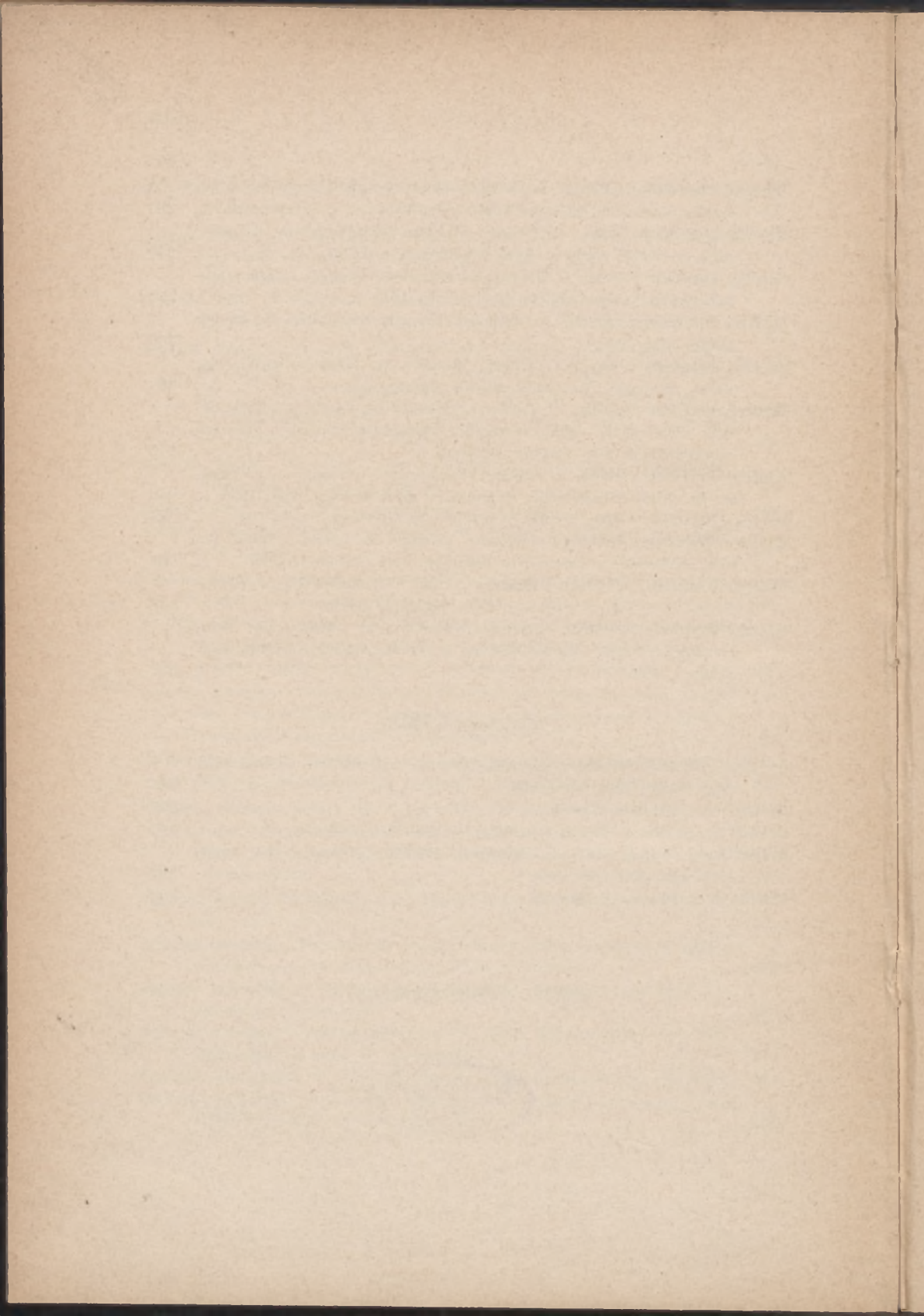
## DODATKI.

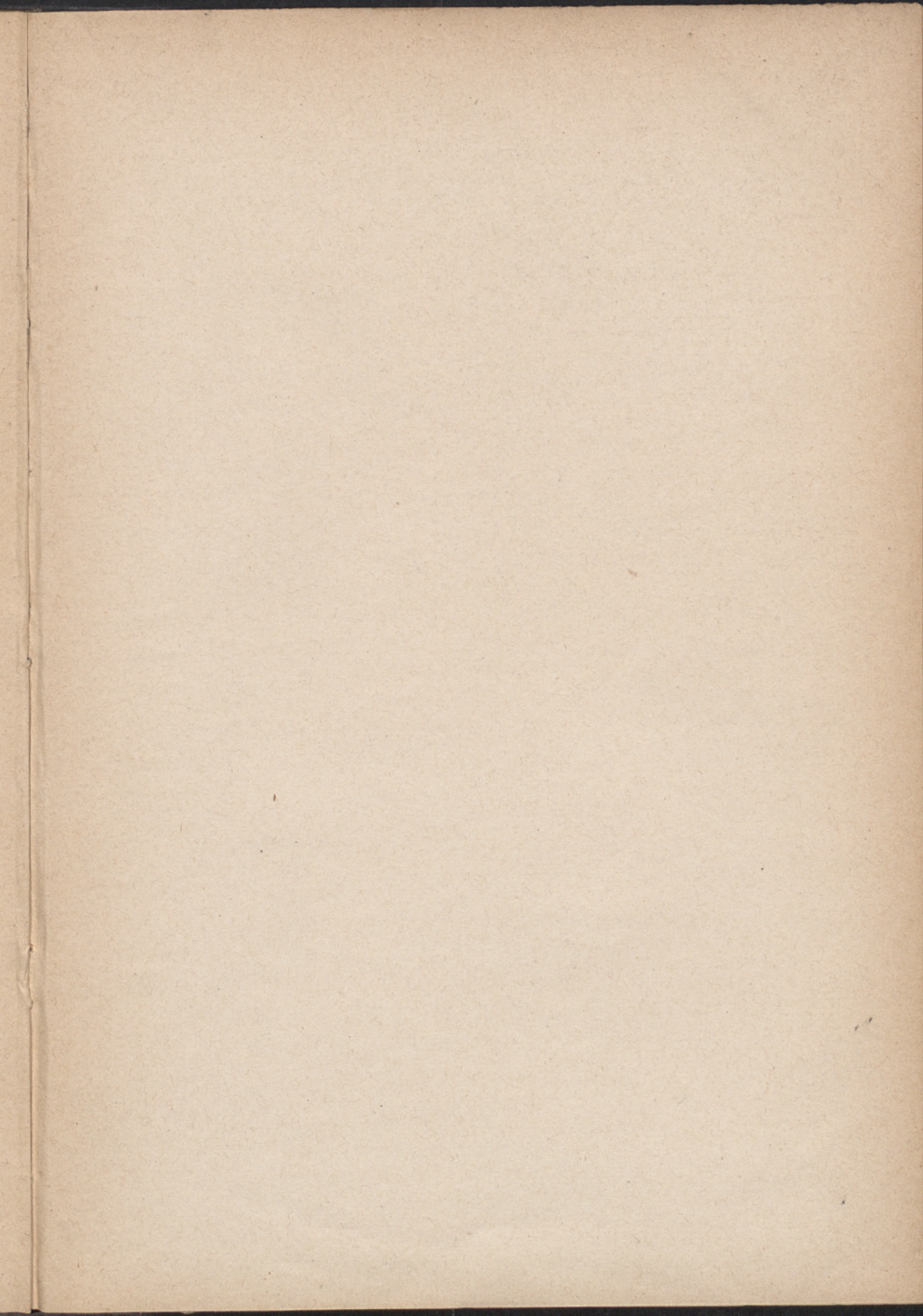
Dodatek I. Fundacya klasztoru Karmelitek Bosych w Granadzie, opisana przez Wiel. Matkę Annę od Jezusa . . . . .	385
Dodatek II. O Hieronim Ripalda . . . . .	393
Dodatek III. Antoni de Pudilla, syn Maryi de Acuna i siostry jego . . . . .	395
Dodatek IV. O Antoni od Jezusa (Antoni de Heredia), pierwszy, z św. Janem od Krzyża, Karmelita Bosy . . . . .	397
Dodatek V. Katarzyna de Cardona . . . . .	401

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



Duklow. Kuc  
Bukier. Kuc  
Drap

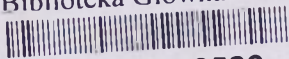




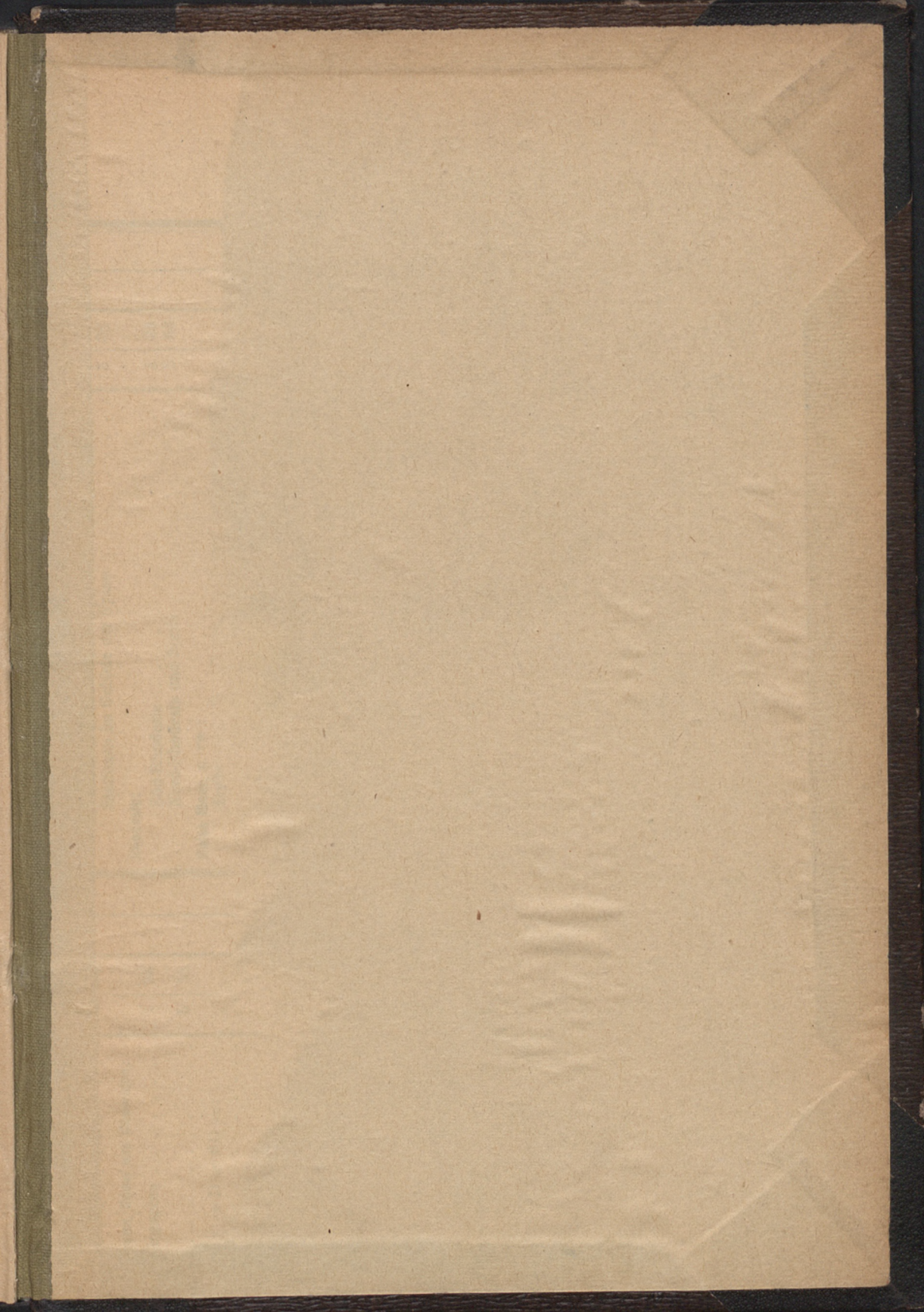
7.1-2

40.000,-

Biblioteka Główna UMK



300040168582



Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

670268

Biblioteka Główna UMK



300040168582